

James Clavell



SHOGUN

CLAVELL JAMES

Shogun #3

JAMES CLAVELL

część 3

Powieść o Japonii

Przełożyli Małgorzata i Andrzej

Grabowscy

ISKRY

KSIĘGA CZWARTA

47.

Oślepiająco jasny Erasmus błyszczał w promieniach słońca w samo południe przy nabrzeżu w Edo.

–Panie Jezu w niebiesiech, Mariko, spójrz tylko na niego! Czy widziałaś kiedyś coś takiego jak on? Spójrz na jego sylwetkę.

Zaopatrzony w nowe liny statek cumował o sto kroków od nich przy nabrzeżu, otoczony ze wszystkich stron barierkami. Cały teren był silnie strzeżony, samuraje byli też na pokładzie statku, a napisy wszędzie obwieszczały, że wstęp tutaj jest wzbroniony, chyba że za osobistą zgodą pana Toranagi.

Erasmus był świeżo pomalowany i wysmołowany, pokłady lśniły czystością, kadłub uszczelniono, a żagle naprawiono. Nawet fokmaszt, który zabrała burza, został zastąpiony ostatnim z zapasowych, wiezionych w ładowni, i osadzony w gnieździe pod idealnym kątem. Końce wszystkich lin były porządnie zwinięte, wszystkie działa w furtach działowych błyszczały pociągnięte ochronną warstwą smaru. A nad tym wszystkim powiewała dumnie postrzępiona bandera.

–Ahoj! – zawołał wesoło Blackthorne spoza ogrodzenia, ale nikt mu nie odpowiedział.

Jeden ze strażników wyjaśnił, że dziś na pokładzie nie ma żadnych barbarzyńców.

–Shigata ga nai – odparł na to. – Dōmo. – Poskromił rosnącą niecierpliwość, żeby

wejść na pokład, i uśmiechnął się promiennie do Mariko. – Wygląda tak, jakby właśnie opuścił po remoncie stocznię w Portsmouth, Mariko-san – rzekł. – Spójrz na jego działa, chłopcy musieli tu tyrać jak woły. Jest piękny, ne? Nie mogę się doczekać spotkania z Baccusem, Vinckiem i innymi. Do głowy mi nie przyszło, że odnajdę statek w takim stanie. Chryste, jaki on śliczny, ne?

Mariko przyglądała się jemu nie statkowi. Zdawała sobie sprawę, że o niej zapomniał. I że znalazł sobie co innego na jej miejsce.

Trudno, powiedziała sobie. Nasza podróż dobiegła końca.

Tego ranka dojechali wreszcie do rogatek na przedmieściach Edo. Ponownie sprawdzono im dokumenty podróżne. Ponownie przepuszczono ich uprzejmie, lecz tym razem czekała na nich nowa eskortą honorowa.

Większość wczorajszego dnia i wieczór spędzili w przydrożnym zajeździe ze dwa ri na południe stąd, a Yoshinaka, jak poprzednio, pozwolił im mitrężyć czas.

Ach, to była taka piękna noc, pomyślała.

Tyle było tych pięknych dni i nocy. Wszystkie cudowne, z wyjątkiem pierwszej po wyjeździe z Mishimy, kiedy to dogonił ich ponownie ojciec Tsukku-san i kruchy rozejm, jaki zawarł z Blackthorne'em, został gwałtownie zerwany. Ich nagłą zajadłą kłótnię podgrzał i zaognił wypadek z Rodriguesem i za dużo wypitej brandy. Po groźbach z jednej i drugiej strony i klątwach ojciec Alvito pomknął przodem do Edo, pozostawiając ją z poczuciem klęski i rujnując całą przyjemność z tej podróży.

–Nie wolno nam było dopuścić do tego, Anjin-san – powiedziała.

–Ale ten człowiek nie miał prawa...

–O, tak, zgadzam się. Oczywiście, masz rację. Ale jeżeli ten wypadek zniszczy twoją wewnętrzną harmonię, to zgubisz siebie i mnie. Proszę cię, błagam, bądź Japończykiem. Zapomnij o tym incydencie, jest on tylko jednym z tysięcy. Nie wolno, żeby zniszczył twoją równowagę ducha. Schowaj go w jakiś zakamarek duszy.

–Jak? Jakże mogę to zrobić? Spójrz tylko na moje ręce! Jestem taki wściekły, że nie mogę opanować ich drżenia.

–Spójrz na ten kamień, Anjin-san. Posłuchaj, jak rośnie.

–Co takiego?

–Posłuchaj, jak rośnie ten kamień, Anjin-san. Skup się na tym, na harmonii tego kamienia. Wsłuchaj się w jego kami. Wsłuchaj się, jeśli ci życie miłe. I moje!

Tak więc spróbował – z pewnym powodzeniem – a następnego dnia, kiedy znów zapanowały pomiędzy nimi przyjaźń, miłość i spokój, uczyła go dalej, starając się w niego wpoić, tak żeby się nie zorientował, ideę Wieńca Ośmiu Płotów i budując w nim wewnętrzne ściany i umocnienia, które jako jedyne mogły doprowadzić go do harmonii. I przeżycia.

–Tak się cieszę, że ten ksiądz odjechał i już nie powróci, Anjin-san.

–Tak.

–Lepiej byłoby jednak, żeby nie doszło między wami do kłótni. Boję się o ciebie.

–Nic się nie zmieniło... zawsze był moim wrogiem i zawsze nim będzie. Karma to karma. Ale nie zapomnij, że oprócz nas nie ma nic. Jeszcze nie. Ani jego, ani nikogo. Aż do Edo. Ne?

–Tak. Jesteś taki mądry. I znów masz rację. Jestem z tobą taka szczęśliwa...

Droga z Mishimy do Edo szybko opuściła równiny i zaczęła się wspinać, wijąc w górę ku przełęczy Hakone. Zadowoleni i szczęśliwi odpoczywali na wierzchołku góry przez dwa dni, o wschodzie i zachodzie słońca podziwiając wspaniałą górę Fuji, której szczyt spowijały kłęby chmur.

–Czy ta góra zawsze tak wygląda? – spytał Blackthorne.

–Tak, Anjin-san, na ogół zawsze jest zasłonięta. Ale dzięki temu, gdy widać ją jak na dłoni, wydaje się jeszcze piękniejsza, ne? Można wspiąć się aż na sam jej szczyt.

–To zrobmy to teraz.

–Nie” teraz nie, Anjin-san. Kiedyś się na nią wespniemy. Musimy zostawić sobie coś na przyszłość, ne? Wejdziemy na Fuji-san jesienią...

Aż do równin Kantō, wędrując w dół, zatrzymywali się w samych ładnych, ustronnych zajazdach. Na prawo mieli morze i bez przerwy przeprawiali się przez strumyczki” potoki, rzeki. Ich grupka podążała na północ uczęszczanym tłoczonym gościńcem Tokaidō, który wił się przez największą nieckę ryżową w cesarstwie. Każdy najmniejszy centymetr płaskich, namulistych, obfitujących w wodę równin zajmowały uprawy. Powietrze było tu w tej chwili gorące, wilgotne, przesycone silnym fetorem ludzkich odchodów, którymi rolnicy, po zmieszaniu ich z wodą, bardzo troskliwie podlewali rośliny.

–Ryż dostarcza nam jedzenia, tatami do spania, sandałów do chodzenia, okryć do ochrony przed deszczem i zimnem, strzech, żebyśmy mieli ciepło w domach, papieru do pisania. Bez ryżu nie da się żyć, Anjin-san.

–Ale ten smród, Mariko-san!

–To mała cena za tak wiele pożytków, ne? Po prostu rób to co my, miej otwarte oczy, uszy, rozum. Słuchaj wiatru i deszczu, owadów i ptaków. Przysłuchuj się, jak rosną rośliny, a w wyobraźni oglądaj wszystkich swoich potomków aż po kres czasu. Jeżeli to zrobisz, Anjin-san, to wkrótce zaczniesz dostrzegać i czuć same powaby życia. Wymaga to praktyki... ale staniesz się bardzo japoński, ne?

–Och, dziękuję, pani! Muszę ci jednak wyznać, że już zaczynam lubić ryż. Na pewno wolę go od kartofli i wiesz co jeszcze? Już nie tak bardzo tęsknię za mięsem. Czy to nie dziwne? Przestałem już być taki głodny...

–A ja jeszcze nigdy nie byłam taka wygłodniała.

–Och, ale ja mówiłem o jedzeniu.

–Och, ja również...

W trzy dni drogi od przełęczy Hakone Mariko zaczął się okres, poprosiła go więc, żeby wziął sobie którąś ze służących z zajazdu.

–Mądrze byś zrobił, Anjin-san – powiedziała.

–Przepraszam, ale wolę nie brać.

–Proszę cię o to. To dla bezpieczeństwa. Z rozwagi.

–Zgadzam się, ponieważ to ty o to prosisz. Ale nie dzisiaj, jutro. Dzisiejszą noc prześpijmy spokojnie.

Tak, pomyślała Mariko, tę noc przespaliśmy spokojnie, a następny ranek był tak śliczny, że pozostawiłam go samego w ciepłym pościeliu, usiadłam na werandzie z Chimmoko i patrzyłam, jak wstaje nowy dzień.

–O, dzień dobry, pani Toda. – U wejścia do ogrodu stała zgięta w ukłonie Gyoko. – Wspaniały poranek, ne?

–Tak, piękny.

–Czy wolno ci przeszkodzić? Czy mogłybyśmy porozmawiać w cztery oczy, same? W sprawach interesów.

–Oczywiście.

Mariko zeszła z werandy, nie chcąc zakłócać snu Blackthorne'owi, a potem wysłała Chimmoko po cha i poleciła jej ułożyć koce na trawie przy małym wodospadzie.

Kiedy zostały same i już można było przejść do rzeczy, Gyoko powiedziała:

–Zastanawiałam się, w jaki sposób mogę być najbardziej pomocna wielmożnemu panu Toranadze.

–Tysiąc koku jest aż nadto hojnym darem.

–Ale jeszcze hojniejszym mogą się okazać trzy tajemnice.

–Wystarczy jedna, byleby właściwa, Gyoko-san.

–Anjin-san to dobry człowiek, ne? Jego przyszłości też trzeba dopomóc, ne?

–Anjin-san ma swoją własną karmę – odparła Mariko wiedząc, że nadszedł czas targów, i zastanawiając się, z czego zrezygnować i czy starczy jej na to odwagi. – Mówiliśmy o panu Toranadze, ne? Czyżby jedna z tych tajemnic dotyczyła Anjin-sana?

–O nie, pani. Jest tak, jak mówisz. Anjin-san ma swoją własną karmę, podobnie jak ma swoje własne tajemnice. Po prostu wpadło mi do głowy, że należy do ulubionych wasali pana Toranagi, a wszystko, co chroni naszego pana, w pewnym sensie chroni też jego wasali, ne?

–Owszem. Obowiązkiem wasali zaś jest naturalnie przekazywanie wszelkich wieści, które mogą dopomóc ich panu.

–To prawda, pani, wielka prawda. Och, to dla mnie ogromny zaszczyt móc służyć tobie. Naprawdę. Niech mi wolno będzie ci powiedzieć, że zaszczyca mnie to, że mogę z tobą podróżować, rozmawiać, jeść i śmiać się, a niekiedy służyć skromną radą, chociaż nie dostaje mi wiedzy, niestety. A na koniec muszę ci powiedzieć, że twoja mądrość dorównuje twojej piękności, a twoja dzielność jest tak świetna jak twoja pozycja społeczna.

–Ach. Gyoko-san, wybacz, proszę, ale jesteś dla mnie za uprzejma, za życzliwa. Jestem zaledwie żoną jednego z generałów mojego pana. Co mówiłaś? O czterech tajemnicach?

–O trzech, pani. Zastanawiałam się, czy wstawisz się w mojej sprawie u pana Toranagi. Niepodobna, żebym osobiście przekazała mu na ucho to, co na pewno jest prawdą. Byłoby to w bardzo złym stylu, ponieważ nie wiedziałabym, jakich użyć słów albo jak przedstawić mu ową wiadomość, zresztą w sprawach ważnych znacznie lepszy jest nasz zwyczaj korzystania z pośredników, ne?

–A czy Kiku-san nie załatwiłaby tego lepiej? Nigdy nie wiem, kiedy on po mnie pośle i po jakim czasie stanę znowu przed jego obliczem ani nawet, czy okaże

zainteresowanie czymkolwiek z tego, co mam do powiedzenia.

–Bardzo przepraszam, pani, ale ty byłabyś o niebo lepsza. Ty potrafisz ocenić, co warta jest jakaś wiadomość, ona nie. Dla ciebie on ma zawsze chętnie ucho, a dla niej co innego.

–Nie jestem doradczynią, Gyoko-san. Ani też nie oceniani wiadomości.

–Moim zdaniem, są warte tysiąc koku.

–So desu ka?

Gyoko dokładnie upewniła się, że nikt ich nie słyszy, a potem opowiedziała jej, co wygadał chrześcijański kapłan odstępcy, a mianowicie, że powtórzył swojemu wujowi, panu Harimie, co wyznał mu w konfesjonale pan Onoshi. Opowiedziała, że drugi kucharz pana Omiego dowiedział się o intrydze, jaką Orni knuje z matką przeciwko Yabu. A ponadto zrelacjonowała wszystko, co wiedziała o panu Zatakim, o jego wyraźnej żądzy, którą czuł do pani Ochiby, oraz o powiązaniach Ochiby z Ishido...

Mariko słuchała pilnie bez jednego słowa, chociaż wiadomość o złamaniu tajemnicy spowiedzi bardzo nią wstrząsnęła, a w głowie kłębiło jej się od myśli o rozlicznych możliwościach, jakie otwierała ta informacja. Na koniec dokładnie wypytała Gyoko, żeby upewnić się, czy wszystko właściwie zrozumiała, i dobrze to sobie zapamiętać.

Kiedy przekonała się, że wie wszystko, co Gyoko jest gotowa ujawnić w tej chwili (bo naturalnie każda tak bystra handlarka zostawia sobie mnóstwo w zapasie), posłała po świeżą cha.

Osobiście napełniła filiżankę Gyoko i zaczęły pić z powagą. Obie czujne, obie pewne siebie.

–Nie jestem w stanie ocenić, ile warte są te informacje, Gyoko-san – powiedziała Mariko.

–Oczywiście, Mariko-sama.

–Myślę, że te informacje, wraz z tamtym tysiącem koku, ogromnie ucieszą pana Toranagę. Gyoko ugryzła się w język, na którego końcu miała nieprzyzwoite słowo. Spodziewała się, że ów tysięczny upust ulegnie poważnemu zmniejszeniu.

–Bardzo przepraszam, ale pieniądze są całkiem bez znaczenia dla takiego daimyō, chociaż dla chłopki takiej jak ja sama to prawdziwy skarb. Z tysiącem koku można zostać założycielką rodu. Zawsze trzeba znać swoje miejsce, pani Toda, ne? – spytała uszczypliwie.

–Tak. Dobrze jest wiedzieć, czym i kim się jest, Gyoko-san. To jeden z tych rzadkich talentów, dzięki którym kobieta przewyższa mężczyznę. Kobieta zawsze wie. Na szczęście ja wiem, kim jestem. O, jak – najbardziej. Ale zechciej, proszę, przejść do rzeczy.

Gyoko nie ugięła się pod tą groźbą, ale niegrzecznie, prędko ruszyła do ataku.

–Rzecz w tym, że obie znamy życie i rozumiemy śmierć, a ponadto obie wierzymy, że to, jak cię traktują w piekle i wszędzie indziej, zależy od pieniędzy – powiedziała.

–Obie?!

–Tak.

–Bardzo przepraszam, ale według mnie tysiąc koku to za dużo.

–Lepsza od tego jest śmierć? Ja już napisałam swój wiersz pogrzebowy, pani. Oto on:

Kiedy umrę nie grzebcie mnie, nie grzebcie, trupa mego wyrzućcie wprost na pole, żeby najadł się nim jakiś wygłodniały pies.

–To się da załatwić. Z łatwością.

–Owszem. Ale ważniejsze może się okazać, że ja mam długie uszy, a język bezpieczny.

Mariko dołała cha. Tylko sobie.

–Przepraszam bardzo, napijesz się? – spytała.

–O, tak, jak najbardziej. Racz mi wybaczyć, ale nie chwaląc się, zostałam dobrze wyszkolona, pani, pod tym względem i wieloma innymi.

Nie boję się umrzeć. Na wypadek mojej śmierci sporządziłam testament ze szczegółowymi dyspozycjami dla mojej rodziny. Dawno już pogodziłam się z bogami i wiem, że w czterdzieści dni po śmierci odrodzę się znowu. A jeżeli nie – Gyoko wzruszyła ramionami – to będę kami. – Jej wachlarz ani drgnął. – Dlatego stać mnie na sięganie po rzeczy niemożliwe, ne? Wybacz, że o tym wspominam, ale jestem podobna do ciebie: nie boję się niczego. Jednak w przeciwieństwie do ciebie w tym życiu nie mam nic do stracenia.

–Tyle słów o złych rzeczach w taki przyjemny poranek Gyoko-san. Bo jest przyjemny, ne? – Mariko przygotowała się do schowania pazurów. – Wolalabym o wiele bardziej widzieć cię żywą, jak dożywasz zaszczytnie starości jako jedna z

podpór swego cechu. Sprytnie to wymyśliłaś. Doskonale, Gyoko-san.

–Dziękuję ci, pani. Ja również pragnę, żebyś była szczęśliwa, bezpieczna i wiodło ci się tak, jak pragniesz. Żebyś się zabawiała i opływała w zaszczyty, których ci potrzeba.

–Zabawiała? – spytała agresywnie Mariko.

–Jestem jedynie chłopką, pani, więc nie wiem, jakich zaszczytów pragniesz i co by cię zabawiło. Albo twojego syna.

Żadna z nich nie zwróciła uwagi na trzask wąskiego drewnienka w wachlarzu, który trzymała Mariko. Wiatr ustał. W ogrodzie wychodzącym na spokojne morze wisiało ciepłe wilgotne powietrze. Muchy roily się w locie, siadały i znowu wzbijały się rojem.

–A jakich... jakich zaszczytów i zabawek pragnęłabyś ty? – spytała Mariko. – Dla siebie.

Wpatrzyła się z niechętną fascynacją w starszą kobietę, w pełni świadoma tego, że musi ją zniszczyć, gdyż inaczej jej syn zginie.

–Dla siebie, żadnych – odparła Gyoko. – Pan Toranaga obdarzył mnie zaszczytami i bogactwami ponad najśmielsze marzenia – odparła. – Ale dla mojego syna... O, tak, jemu można pomóc.

–Pomóc w czym?

–Dając mu dwa miecze. – To niemożliwe.

–Wiem, pani. Bardzo przepraszam. Tak łatwo je przyznać, a jednak takie to niemożliwe. Zbliża się wojna. Wielu będzie potrzebnych do walki.

–Teraz już nie będzie wojny. Pan Toranaga jedzie do Osaki.

–Dwa miecze. To niewielka prośba.

–Niemożliwa do spełnienia. Bardzo mi przykro, ale ja mu nie mogę ich dać.

–Bardzo przepraszam, ale ja cię o nic nie prosiłam. Niemniej zadowolili mnie tylko to jedno. Tak. Tylko to. – Pot zaczął skapywać Gyoko z twarzy na kolana. – Na dowód mojego szacunku dla pana Toranagi w tych ciężkich czasach chciałabym ofiarować mu pięćset koku za wykupienie kontraktu. Drugie pięćset podaruję synowi. Samurajowi potrzebny jest spadek, ne?

–Skazujesz swojego syna na śmierć. Wszystkich samurajów pana Toranagi czeka śmierć albo los roninów.

–Karma. Mój syn ma już własnych synów, pani. Oni opowiedzą swoim synom, że kiedyś nasz ród był samurajski. Tylko to jedno się liczy, ne?

–Ja mu nie mogę dać samurajskich mieczy. – To prawda. Bardzo przepraszam. Ale zadowolili mnie wyłącznie to.

Toranaga gniewnie potrząsnął głową.

–Jej informacje są ciekawe, zapewne, ale niewarte tego, żeby robić jej syna samurajem.

–Wydaje mi się, że jest wierną poddaną, wielmożny panie – odparła Mariko. – Powiedziała, że sprawi jej zaszczyt, jeżeli ujmiesz jeszcze pięćset koku z ceny jej kontraktu dla jakiegoś samuraja w potrzebie. –

–To nie płynie ze szczodrobliwości. Nie, wcale. Wyłącznie z niespokojnego sumienia, że podyktowała tak wygórowaną cenę.

–Może warto rzecz rozważyć, wielmożny panie. Jej pomysł z cechem, z gejszami i nową klasyfikacją kurtyzan przyniesie doniosłe zmiany, ne? Być może wcale nie zaszkodzi.

–Nie zgadzam się. Nie. Dlaczego ją nagradzać? Nie ma powodu, by przyznawać jej ten zaszczyt. To śmieszne! Przecież ona nie mogła cię o to prosić, co?

–Taka prośba z jej strony byłaby niemalym zuchwalstwem, wielmożny panie. Zaproponowałam ci to, ponieważ sądzę, że ta kobieta może ci się bardzo przydać.

–Byłoby dla niej o wiele lepiej, gdyby była bardziej przydatna. A w dodatku te jej tajemnice to pewnie kłamstwa. Obecnie wszyscy tylko kłamią.

Toranaga zadzwonił małym dzwonkiem i w drzwiach po drugiej stronie pokoju natychmiast pojawił się jego przyboczny strażnik. – Tak, wielmożny panie?

–Gdzie jest kurtyzana Kiku?

–W swoim pokoju, wielmożny panie.

–Czy ta Gyoko z nią tam jest?

–Tak, wielmożny panie.

–Odeślij je z zamku. Natychmiast! Odeślij je z powrotem do... Nie, umieść je w zajeździe... zajeździe trzeciej klasy i każ im tam poczekać, aż je wezwę. Oburzające! – dodał gniewnie Toranaga po wyjściu samuraja. – Stręczyciele chcą być samurajami! Ci śmierdzący chłopcy przestali znać swoje miejsce!

Mariko przyglądała mu się, jak siedzi na poduszce, poruszając co jakiś czas wachlarzem. Była wstrząśnięta zmianą, jaką w nim zaszła. Miejsce pogodnej pewności siebie zajęły przygnębienie, irytacja i drażliwość. Przysłuchiwał się z zaciekawieniem tajemnicom Gyoko, ale bez ożywienia, jakiego po nim oczekiwała. Biedak, pomyślała ze współczuciem, poddał się. Po co mu jakiegokolwiek informacji? Być może jest na tyle mądry, żeby odsunąć od siebie rzeczy doczesne i przygotować się na spotkanie nieznanego. Ty sama również powinnaś to zrobić, powiedziała sobie”, w duchu robiąc kolejny krok w stronę śmierci. Tak, ale przecież ty nie możesz tego zrobić, jeszcze nie, jakoś musisz uratować swojego syna...

Znajdowali się na szóstym piętrze wysokiej ufortyfikowanej wieży, której okna wychodziły z trzech stron świata na miasto. Zachód słońca był dzisiaj mroczny, sierp księżycy wisiał nisko nad horyzontem, a przejmująco wilgotne powietrze zatykało, chociaż tutaj, prawie sto stóp od podnóży zamkowych murów obronnych, do sali docierał każdy podmuch wiatru. Była nisko sklepiona, warowna i zajmowała pół piętra, a za nią mieściły się inne izby.

Toranaga wziął relację, którą Hiro-matsu przesłał mu za pośrednictwem Mariko, i przeczytał ją jeszcze raz. Spostrzegła, że drży mu ręka.

–Po co on chce przyjechać do Edo? – spytał Toranaga i niecierpliwym gestem odrzucił list na bok.

–Bardzo żałuję, ale nie wiem, wielmożny panie. Po prostu prosił, żebym oddała ci ten list.

–Czy rozmawiałaś z tym chrześcijańskim odstępcą?

–Nie, wielmożny panie. Yoshinaka-san powiedział, że zakazałeś tego wszystkim.

–Jak się sprawował Yoshinaka podczas podróży?

–Był bardzo sprawny, wielmożny panie – odparła, odpowiadając na to pytanie drugi raz. – Bardzo skuteczny. Strzegł nas doskonale i dowiózł na czas. „v – Dlaczego ksiądz Tsukku-san nie jechał z wami całą drogę?

–W drodze z Mishimy, wielmożny panie, on i Anjin-san posprzeczali się – odparła Mariko, nie wiedząc, co też mógł na ten temat powiedzieć Toranadze ojciec Alvito, jeśli Toranaga zdążył już go wezwać. – Ojciec postanowił podróżować sam.

–A o co im poszło?

–Częściowo o mnie, o moją duszę, wielmożny panie. Ale głównie pokłócili się z powodu różnic religijnych i z powodu wojny pomiędzy ich władcami.

–Kto zaczął sprzeczkę?

–Wina była po obu stronach. Zaczęło się od butelki trunku. – Mariko zrelacjonowała mu zdarzenie z Rodriguesem. – Tsukku-san przywiózł drugą butelkę w darze chcąc, jak powiedział, wstawić się za Rodriguesem, ale Anjin-san z niedopuszczalną bezpośredniością odpowiedział, że nie napije się żadnego „trunku papistów”, woli sake i nie ufa księżom – Na to... na to świątobliwy ojciec poczerwieniał i z równie niedopuszczalną bezpośredniością odparł, że nigdy nie parała się trucicielstwem, za nic tego nie zrobiłby i nie darowałby tego nikomu.

–A, trucicielstwem? Czy używają trucizn jako broni?

–Anjin-san twierdzi, że niektórzy to robią, wielmożny panie. To ich przywiodło do jeszcze gwałtowniejszych słów i zaczęli sobie skakać do oczu w sprawach religii, mojej duszy, katolików i protestantów... Odeszłam najszybciej jak mogłam, żeby sprowadzić pana Yoshinakę, a on przerwał kłótnię.

–Barbarzyńcy sprowadzają same kłopoty. Chrześcijanie to same kłopoty. Ne?

Nie odpowiedziała mu. Jego rozdrażnienie zaniepokoiło ją. Takie to było do niego niepodobne i brakło jakiegokolwiek widomego powodu, żeby tak nagle stracił swoje legendarne opanowanie. Może wstrząs spowodowany porażką to dla niego za wiele, pomyślała. Jeżeli go zabraknie, koniec z nami, koniec z moim synem, a Kantō wkrótce wpadnie w obce ręce. Przygnębienie Toranagi było zaraźliwe. Na ulicach i w samym zamku dostrzegła całun smutku, który spowił całe miasto, miasto słynące z wesołości, zacnego, rubasznego humoru i radości życia.

–Urodziłem się w roku, w którym przybyli tu pierwsi chrześcijanie i od tamtej pory mącą w tym kraju – rzekł Toranaga. – Od pięćdziesięciu ośmiu lat same z nimi kłopoty. Ne?

–Przykro mi, że cię urazili, wielmożny panie. Czy wezwałeś mnie po coś jeszcze? Za twoim pozwoleniem...

–Usiądź. Jeszcze nie skończyłem. – Toranaga znowu zadzwonił dzwonkiem i otworzyły się drzwi. – Niech wejdzie Buntaro-san.

Wszedł Buntaro. Z surową miną uklęknął i ukłonił się. Mariko złożyła mu ukłon, całkiem zdrętwiała, ale jej się nie odklonił.

Przed chwilą Buntaro spotkał ich orszak przy zamkowej bramie. Przywitał się z nią krótko i powiedział, że ma się natychmiast stawić u pana Toranagi i że Anjin-san zostanie wezwany później.

–Buntaro-san, proszę mnie, żebym cię przyjął jak najszybciej w obecności twojej

żony? – spytał Toranaga.

–Tak, wielmożny panie.

–Czego chcesz?

–Pokornie błagam cię, żebyś pozwolił mi ściąć głowę Anjin-sanowi – odparł Buntaro.

–Dlaczego?

–Racz mi wybaczyć, wielmożny panie, ale... ale nie podoba mi się to, w jaki sposób patrzy na moją żonę. Chciałem... chciałem to powiedzieć w jej obecności, po raz pierwszy, przed twoim obliczem. A poza tym obraził mnie w Anjiro i nie potrafię dłużej żyć z tym wstydem.

Toranaga zerknął na Mariko, która siedziała jak skamieniała.

–Oskarżasz żonę o zachęcanie go?

–Ja... ja proszę, żebyś mi pozwolił ściąć mu głowę.

–Oskarżasz ją o zachęcanie go? Odpowiedz mi na pytanie!

–Wybacz, wielmożny panie, ale gdybym tak pomyślał, to w tej samej chwili byłbym zobowiązany ściąć jej głowę – odparł lodowato Buntaro ze wzrokiem wbitym w tatami. – Ten barbarzyńca, cały czas zakłóca moją harmonię. A dla ciebie jest, moim zdaniem, utrapieniem. Pozwól, że odetnę mu głowę, błagam cię. – Podniósł wzrok, mocne szczęki miał nie ogolone, oczy podkrążone. – Albo pozwól mi zabrać stąd żonę, a dziś wieczorem staniemy przed tobą... żeby przygotować się do odejścia w Pustkę.

–Co ty na to, Mariko-san?

–To mój mąż. Zrobię, cokolwiek postanowi... chyba że ty wydasz inny rozkaz, wielmożny panie. To mój obowiązek.

Toranaga patrzył to na jedno, to na drugie. A potem jego głos nabrał surowości i przez chwilę przypominał dawnego Toranagę.

–Mariko-san, za trzy dni wyjedziesz do Osaki. Przygotujesz tam moje uroczyste odejście i zaczekasz na mnie. Ty, Buntaro-san, pojedziesz ze mną, gdy wyruszę, jako dowódca mojej eskorty. Po tym, jak spełnisz rolę mojego sekundanta, ty albo któryś z twoich ludzi może to samo zrobić z Anjin-sanem, za jego zgodą albo bez niej.

Buntaro odchrząknął.

–Wielmożny panie, proszę, zarządz Szkarłat...

–Zamilcz! Zapominasz się! Trzy razy powiedziałem ci: nie! Jeżeli jeszcze raz będziesz miał czelność udzielić mi niewczesnej rady, to rozplatasz sobie brzuch w jakiejś gnojówce w Edo!

Buntaro dotknął głową tatami.

–Przepraszam, wielmożny panie. Przepraszam za moją bezczelność.

Mariko również zdumiał grubiański i niegodny wybuch Toranagi, więc żeby ukryć zakłopotanie, także zgięła się w niskim ukłonie.

–Zechciej mi wybaczyć ten wybuch – rzekł po chwili Toranaga. – Zgadzam się na twoją prośbę, Buntaro-san, ale dopiero po tym, jak posłużysz mi za sekundanta.

–Dziękuję, wielmożny panie. Wybacz, proszę, że cię uraziłem.

–Nakazałem wam obojgu pogodzić się ze sobą. Zrobiliście to?

Buntaro krótko skinął głową. Mariko również.

–Dobrze. Mariko-san, wrócisz tu do mnie dziś wieczorem z Anjin-sanem, o godzinie Psa. Możesz odejść.

Ukloniła się im i wyszła.

Toranaga przyjrzał się bacznie Buntaro.

–No więc? – spytał. – Oskarżasz ją?

–Nie... nie do pomyślenia jest, żeby mnie zdradziła, wielmożny panie – odparł posępnie Buntaro.

–Owszem.:- Toranaga bardzo znużonym ruchem odpędził muchę. – No cóż, wkrótce dostaniesz głowę Anjin-sana. Mnie jest ona potrzebna na jego karku trochę dłużej.

–Dziękuję, wielmożny panie. Jeszcze raz proszę o wybaczenie za to, że cię zdenerwowałem.

–To denerwujące czasy. Niedobre czasy. – Toranaga pochylił się, do przodu. – Posłuchaj, chcę, żebyś zaraz pojechał do Mishimy, żebyś wyręczył na kilka dni swojego ojca. Prosi mnie, żebym pozwolił mu przyjechać tu po radę. Nie wiem jaką... W każdym razie w Mishimie muszę mieć kogoś zaufanego. Czy mógłbyś wyruszyć o świcie?... Ale trasą przez Takato.

–Słucham, wielmożny panie?

Buntaro widział, że Toranaga z najwyższym wysiłkiem zachowuje spokój i że mimowolnie drży mu głos.

–Mam osobistą wiadomość do mojej matki w Takato. Nie mów nikomu, że tam jedziesz. A kiedy tylko oddalisz się od miasta, rusz na północ.

–Rozumiem.

–Pan Zataki może zapobiec dostarczeniu tej wiadomości, może podejmować takie próby. Masz ją przekazać tylko jej. Rozumiesz? Tylko jej. Weź dwudziestu ludzi i jedźcie galopem. Do pana Zatakiego wyślę gołębia z prośbą, żeby was przepuścił.

–Ta wiadomość będzie ustna czy na piśmie, wielmożny panie?

–Na piśmie. – A jeżeli nie będę mógł jej dostarczyć?

–Musisz ją dostarczyć, oczywiście, że musisz. Właśnie dlatego wybrałem ciebie. Ale... jeżeli zostaniesz zdradzony tak jak ja... jeżeli zostaniesz zdradzony, to nim się zabijesz, zniszcz ten list. Kiedy tylko dotrą do mnie te niedobre wieści, głową Anjin-sana spadnie z karku. A jeżeli... co z Mariko-san? Jeżeli coś się nie uda, to co z twoją żoną?.'

–Zanim umrzesz, wielmożny panie, zgładź ją. Byłbym zaszczycony, gdybyś... zasługuje na godnego sekundanta.

–Obiecuję ci, że na pewno umrze z honorem. Dopilnuję tego. Osobiście. A zatem przyjdź tu o świcie po ten list. Nie zawieź mnie. Ma trafić do rąk własnych mojej matki.

Buntaro podziękował mu jeszcze raz i wyszedł, zawstydzony wyraźnym lękiem Toranagi.

Pozostawszy sam, Toranaga wyjął chustkę i otarł spoconą twarz. Palce mu drżały. Próbował opanować drżenie, ale nie był w stanie. Z najwyższym trudem dalej odgrywał niedojdę i głupka, żeby ukryć bezgraniczne podniecenie tajemnicami, które, o dziwo, obiecywały mu upragnione tymczasowe zażegnanie klęski.

–Prawdopodobne zażegnanie, tylko prawdopodobne, jeżeli te jej tajemnice są prawdziwe – powiedział na głos, z trudem mogąc jasno myśleć, bo w mózgu krzyczała mu przyniesiona od Gyoko przez Mariko zdumiewająco korzystna wieść.

Ochiba, rozkoszował się w myślach... a więc to powaby tej jędzy wyrzuciły mojego brata z jego orlego gniazda. Mój brat pożąda Ochiby. Ale teraz nie ma już

najmniejszych wątpliwości, że chce mieć nie tylko ją, nie tylko Kantō. On chce cesarstwa. Nie znosi Ishido, wstrętni są mu chrześcijanie, a teraz szaleje z zazdrości z powodu dobrze wszystkim znanej żądzy Ishido do Ochiby. Tak więc pokłóci się z nim, z Kiyamą i Onoshim, ponieważ tak naprawdę mój zdradziecki brat pragnie dla siebie tytułu shōguna. Jest z Minowarów, ma wymagany rodowód, niepomierną ambicję, ale brakuje mu mandatu. Oraz Kantō. Najpierw więc musi zdobyć Kantō, żeby uzyskać resztę.

Toranaga zatarł ręce, radując się z wszystkich możliwości, które stwarzały mu świeżo pozyskane informacje do snucia wspaniałych intryg przeciwko bratu.

I do tego jeszcze ten trędowaty Onoshi!

–Gyoko jest całkiem pewna, wielmożny panie – powiedziała mu Mariko. – Ten akolita, brat Józef, twierdzi, że Onoshi wyznał w konfesjonale, iż zawarł potajemny układ z Ishido przeciwko innemu chrześcijańskiemu daimyō i chce być z tego rozgrzeszony. W umowie tej Ishido uroczyście przyrzeka, że w zamian za poparcie go w tej chwili, po twojej śmierci oskarży owego chrześcijanina o zdradę i tego samego dnia zaprosi go, w razie potrzeby siłą, do Wielkiej Pustki, a ponadto, że syn i spadkobierca Onoshiego dostanie w spadku wszystkie ziemie. Nazwisko tego chrześcijanina nie padło, wielmożny panie.

To Kiyama czy Harima z Nagasaki? – zastanawiał się Toranaga. – Nieważne. Moim zdaniem, na pewno Kiyama.

Pomimo rozradowania wstał chwiejnie i wymacawszy drogę do okna oparł się na drewnianym parapecie. Spojrzał na księżyc i niebo. Gwiazdy były przyćmione. Gromadziły się deszczowe chmury.

–O Buddo, o wszyscy bogowie, jacykolwiek, sprawcie, żeby mój brat chwycił przynętę... i niech pogłoski od tej kobiety okażą się prawdziwe! – powiedział na głos.

Bądź cierpliwy, upomniał się w duchu. Rozważaj jedynie fakty. Usiądź i pomyśl...

Wiedział, że napięcie nerwowe zaczyna dawać mu się we znaki, ale było to konieczne, żeby nikt z jego bliskich ani wasali – a tym samym nikt z legionu gadatliwych głupców bądź szpiegów w Edo – nawet przez moment nie podejrzewał, że on tylko udaje kapitulację i że gra rolę pokonanego. W Yokose natychmiast zrozumiał, że przyjęcie od brata drugiego dokumentu byłoby dla niego podzwonnym. Uznał, że małą szansę ocalenia ma tylko wówczas, gdy przekona wszystkich, w tym samego siebie, że całkowicie pogodził się z porażką, choć w rzeczywistości była to jedynie maska, dzięki której zyskiwał czas, kontynuując prowadzoną przez siebie całe życie grę, składającą się z pertraktacji, zwlekania i pozornych odwrotów, i czekał cierpliwie na pojawienie się szczeliny w zbroi wroga, tam gdzie kryje się żyła szyjna,

żeby natychmiast bez pardonu zadać celny cios.

Czy Zataki naprawdę pożąda Ochiby? – zastanawiał się. Wiele ryzykuję, dając wiarę plotkom jakiejś rozstawiającej nogi dziewczki – i jej zaspanego zalotnika. Czy ta bezczelna pijawka Gyoko kłamie, żeby to wyzyskać?! Jej syn samurajem! Oto klucz do uwolnienia jej tajemnic.

Na pewno ma jakiś dowód na to, co łączy Mariko-san i Anjin-sana. Bo czyż inaczej Mariko przedstawiłaby mi taką prośbę? Toda Mariko i barbarzyńca! Barbarzyńca i Buntaro! Iii, życie jest dziwne.

Znów go dopadł szarpiący ból pod sercem. Po chwili napisał wiadomość, którą miał zanieść gołąb, pocztowy, i wszedł ciężko po schodach na poddasze nad salą. Starannie wybrał ptaka z jednej z licznych klatek i przytwierdził mu do nogi małą kapsułkę. Potem umieścił gołębia w otwartym pudle na żerdzi, skąd o brzasku miał odlecieć. W liście prosił matkę, żeby zażądała bezpiecznego przejazdu dla Buntaro, który wiezie ważną wiadomość dla niej i brata. Podpisał go niczym ofertę, Yoshi Toranaga-no-Minowara, po raz pierwszy w życiu roszcząc sobie pretensje do tego tytułu.

**–Leć szczęśliwie i doleć, ptaszku – powiedział, głaszcząc pióro, które zgubił gołąb.
– Niesiesz dziedzictwo dziesięciu tysięcy lat.**

Jeszcze raz jego wzrok spoczął na mieście w dole. Na horyzoncie po zachodniej stronie pojawiła się niteczka światła. W porcie widział szpileczki pochodni, które otaczały statek barbarzyńcy.

Jest jeszcze jedno rozwiązanie, pomyślał i zaczął się zastanawiać nad trzema tajemnicami Gyoko. Był pewien, że coś pominął.

–Szkoda, że nie ma tutaj Kiri – powiedział w noc.

Mariko klęczała przed wypolerowanym metalowym lustrem. Oderwała wzrok od swojego odbicia. W ręku trzymała sztylet, w którym odbijało się migotliwe światło olejnej lampy.

**–s- Powinnam była cię użyć – szepnęła, pełna żalu. Jej oczy odszukały Madonnę z Dzieciątkiem we wnęce obok ślicznie ułożonych kwiatów i wypełniły się łzami. –
Wiem, że samobójstwo to grzech śmiertelny, ale cóż mogę poradzić? Jak mogę żyć z takim wstydem? Lepiej, jeżeli zrobię to, zanim zostanę zdradzona.**

Rozległy się kroki. Skrzypnęła otwierana furta w bramie i usłyszała służące, spieszące, by powitać pana. Szybko schowała sztylet pod obi i osuszyła łzy. Niedługo potem na odgłos kroków otworzyła shoji, uprzejmie się – kłaniając.

Buntaro, w złym humorze, zawiadomił ją, że Toranaga znowu zmienił zdanie i że teraz on, Buntaro, ma rozkaz udać się na jakiś czas do Mishimy.

–Wyjeżdżam o świcie – oznajmił. – Chciałem ci życzyć szczęśliwej podróży... – Urwał i przyjrzał się jej. – Czemu płaczesz?

–Przepraszam, wielmożny panie. To dlatego, że jestem kobietą, a tak trudno mi żyć. A poza tym z powodu wielmożnego pana Toranagi.

–Jest złamaną trzcina. Przykro mi to mówić. Straszne, że spotkało to jego. Powinniśmy walczyć. O wiele lepiej jest się bić niż wiedzieć, że będę musiał spojrzeć w plugawą gębę Ishido, śmiejącego się z mojej karmy!

–Tak, bardzo mi przykro. Żeby tak mogła w jakiś sposób pomóc. Napijesz się sake czy cha?

Buntaro odwrócił się i huknął na służącą stojącą w korytarzu.

–Przynieś sake! Migiem!

Wszedł do pokoju Mariko. Zamknął drzwi. Zatrzymał się przy oknie, spoglądając na mury zamku i wieżę za nimi.

–Nie martw się, proszę, wielmożny panie – powiedziała, chcąc go udobruchać. – Kąpiel jest gotowa i posłałam po twoją faworytę.

Gotując się w środku, Buntaro nie odrywał oczu od wieży.

–Skoro nie ma odwagi przewodzić nam dłużej, to powinien ustąpić miejsca panu Sudarze – wyrzucił z siebie. – Pan Sudara jest jego synem i prawowitym dziedzicem, ne? Ne?

–Tak, wielmożny panie.

–Tak. A jeszcze lepiej zrobiłby, gdyby posłuchał rady pana Zatakiego. Popęłił seppuku. Wtedy Zataki i jego wojska walczyłyby razem z nami. Z pomocą ich i muszkietów na pewno przebiliśmy sobie drogę do Kioto. A gdyby nawet nam się nie udało, lepsze to, niż poddawać się jak parszywe, tchórzliwe Czosnkojady! Nasz pan stracił wszelkie prawa. Ne? Ne?!

Buntaro odwrócił się gwałtownie w jej stronę.

–Wybacz mi, proszę... ale nie mnie o tym sądzić – powiedziała. – To nasz lenny pan.

Buntaro znów się odwrócił i w zamyśleniu wpatrzył w wieżę. Na wszystkich piętrach paliły się światła. A najsilniejsze na szóstym. – Zgłoszę wniosek jego Radzie, żeby

poprosiła go o odejście w Pustkę, a jeżeli odmówi, żeby mu w tym dopomogła. Znamy dość – takich przykładów z historii! Wielu podziela moje zdanie, ale nie pan Sudara. On jeszcze nie. Choć w duchu być może tak... kto wie, co naprawdę myśli. Kiedy zobaczysz się z jego żoną, z panią Genjiko, porozmawiaj z nią i ją przekonaj. A wtedy ona przekona jego, bo przecież to ona u nich rządzi, ne? Jesteście przyjaciółkami, ciebie ona posłucha. Przekonaj ją.

–Myślę, że byłby to bardzo niegodziwy postępek, wielmożny panie. Byłaby to zdrada.

–Rozkazuję ci z nią porozmawiać!

–Będę ci posłuszna.

–Tak jest, wykonasz mój rozkaz, prawda? – spytał. – Wykonasz? Dlaczego zawsze jesteś taka zimna i niemiła? Co? – Wziął lustro i podstawił jej przed twarz. – Spójrz na siebie!

–Przepraszam, wielmożny panie, jeśli cię dotknęłam. – Głos miała spokojny i patrzyła ponad lustrem w jego twarz. – Nie chciałam cię rozgniewać.

Przyglądał się jej przez chwilę, a potem rzucił lustro na stolik z laki.

–Nie oskarżam cię – powiedział. – Gdybym sądził, że ty... nie zawahałbym się.

I nagle Mariko usłyszała własny głos, którym w sposób niewybaczalny pyta natarczywie:

–Nie zawahałbyś się zrobić czego? Zabić mnie, wielmożny panie? Albo ku mojej większej sromocie zostawić mnie przy życiu?

–Nie ciebie oskarżam, tylko jego! – ryknął Buntaro.

–Ale ja oskarżam ciebie! – krzyknęła w odpowiedzi. – I ty też mnie oskarżyłeś!

–Zamilcz!

–Zawstydziłeś mnie w obecności naszego pana! Oskarżyłeś mnie, a sam nie wypełniasz swoich obowiązków! Boisz się! Jesteś tchórzem! Śmierdzącym, tchórzliwym Czosnkojadem!

Kiedy dobył miecza z pochwy, poczuła dumę, że wreszcie odważyła się zmusić go, by przekroczył miarę.

Ale miecz zawisł nieruchomo w powietrzu.

–Ty... ty mi przysięgłaś... przysięgłaś na twojego boga, w Osace. Zanim... zanim, umrzemy... ty mi przysięgłaś i... trzymam cię za słowo!

Zaśmiała się wyzywająco – ostro i zjadliwie.

–O tak, mój możny panie. Jeszcze raz jeden posłużę ci za poduszkę, ale spotka cię chłodne, niemiłe i gnuśne przyjęcie.

Z całej siły na oślep sieknął oburącz w narożny słup, niemal przecinając wysuszoną, grubą na stopę belkę. Pociągnął, ale ostrze siedziało mocno. Bliski szalu, przekręcił miecz, zaczął się z nim mocować i złamał klingę. Zakławszy po raz ostatni, cisnął ułamaną rękojeść przez cieniutką papierową ścianę i, chwiejąc się jak pijany, poszedł do drzwi. Stała przy nich, drżąca służąca z tacą i sake. Buntaro wytrącił jej tacę z rąk. Służąca natychmiast padła na kolana, dotknęła czołem podłogi i zamarła.

Buntaro oparł się o strzaskaną ramę drzwi.

–Poczekaj... poczekaj do Osaki – powiedział i wytoczył się z domu... „... „-, Przez jakiś czas Mariko siedziała nieruchomo, najwyraźniej w transie. A potem kolory powróciły na jej policzki. Oczy zaczęły widzieć. W milczeniu zajęła się znów lustrem. Przez chwilę przyglądała się swojemu odbiciu. A potem z całym spokojem dokończyła się malować.

Opancerzone drzwi otworzyły się cicho. Toranaga siedział na drugim końcu kwadratowej sali na podwyższeniu z tatami. Był sam.

Blackthorne ukląkł i płasko ułożywszy dłonie nisko się uklonił.

–Konbanwa, Toranaga-sama – powiedział. – Ikaga desu ka?

–Okagesana de genki desu, Anata wa?

Toranaga postarzał się, przygasał i znacznie schudł. Shigata ga nai, rzekł Blackthorne w duchu. Karma Toranagi nie zniszczy Erasmusa, to Erasmus go wybawi, na miły Bóg!

Odpowiedział na zwyczajowe pytania Toranagi prostą, ale prawidłowo akcentowaną japońszczyzną, stosując uproszczoną technikę wy-. mowy, którą rozwinął z pomocą Alvita. Toranaga pochwalił go za postępy i zaczął mówić szybciej.

Blackthorne użył w odpowiedzi jednego z zasobu zwrotów, których wyuczyli go Alvito i Mariko: „Wybacz, wielmożny panie, ale ponieważ nie mówię po japońsku dobrze, czy zechciałbyś mówić wolniej i używać prostszych słów, takich jak ja. Racz wybaczyć, że sprawiam ci tyle kłopotu”.

–Dobrze. Tak, oczywiście. Powiedz mi, jak ci się podobało Yokose? – spytał Toranaga.

Blackthorne rozumiał jego pytania, ale odpowiadając na nie zaciął się i posługiwał nadal bardzo ograniczonym słownictwem. Wreszcie jednak Toranaga zadał mu pytanie, w którym Anglik nie wychwycił najistotniejszych słów. – Dozo? Gomen nasai, Toranaga-sama – rzekł przepraszająco. – Wakarimasen. (Nie rozumiem).

Toranaga powtórzył zdanie prostszym językiem. Blackthorne zerknął na Mariko.

–Bardzo mi przykro, Mariko-san. Co znaczy „sohkei su beki umi”?

–Zdatny do pływania, Anjin-san.

–Aha! Dōmo.

Blackthorne zwrócił się znów twarzą do Toranagi. Daimyō spytał, jak szybko może upewnić się, czy statek nadaje się w pełni do żeglugi.

–To nic trudnego – odparł. – Zajmie mi to pół dnia, wielmożny panie.

Po chwili zastanowienia Toranaga kazał mu zrobić to jutro i zameldować się po południu, o godzinie Kozła.

–Później zaś będziesz mógł zobaczyć swoich ludzi – dodał.

–Słucham, wielmożny panie?’

–Twoich wasali. Posłałem po ciebie, żeby cię zawiadomić, że jutro dostaniesz swoich żołnierzy.

–Ach, bardzo przepraszam. Rozumiem. Wasali samurajów. Dwustu.

–Tak. Dobranoc, Anjin-san. Do jutra.

–Proszę o wybaczenie, wielmożny panie, ale czy wolno mi z całym szacunkiem zapytać o trzy sprawy?

–Jakie?

–Po pierwsze: czy jest możliwe, żebym zobaczył teraz moją załogę? Oszczędność czasu, ne? Proszę.

Toranaga zgodził się na to i wydał jednemu z samurajów krótki rozkaz, żeby zaprowadził Blackthorne’a do jego ziomków.

–Zabierz z sobą dziesięciu strażników – rzekł. – A po wszystkim odprowadź Anjin-sana do zamku.

–Tak, wielmożny panie.

–Co jeszcze, Anjin-san?

–Czy możliwe, proszę, porozmawiać sami? Mało czasu. Wybacz mi niegrzeczność.

Blackthorne starał się nie okazać niepokoju, kiedy Toranaga spytał Mariko, o co tu właściwie chodzi. Odparła zgodnie z prawdą, że wiadomo jej tylko tyle, że Anjin-san ma do powiedzenia coś osobistego, ale nie pytała go, czego to dotyczy.

–Jesteś pewna, że będę go mógł spytać, Mariko-san? – ; zadał jej wcześniej pytanie Blackthorne, kiedy zaczęli wspinać się po schodach.

–O, tak. Pod warunkiem, że zaczekasz, aż skończy mówić. Ale musisz wiedzieć dokładnie, co chcesz mu przekazać, Anjin-san. On... on nie jest tak cierpliwy jak zwykle.

Nie zapytała go, o co chce spytać Toranagę, a on sam nic jej nie wyjaśnił.

–Dobrze, Anjin-san – odparł Toranaga. – Zechciej poczekać na zewnątrz, Mariko-san.

Ukloniła się i wyszła.

–A więc słucham.

–Bardzo mi przykro, słyszałem, że pan Harima z Nagasaki teraz wróg – powiedział Blackthorne.

Toranagę zaskoczyło to, bo o jawnym wstąpieniu Harimy w szeregi sojuszników Ishido sam dowiedział się dopiero po przyjeździe do Edo.

–A od kogo o tym wiesz? – spytał.

–Słucham?

Toranaga powtórzył pytanie wolniej.

–Aha! Rozumiem. Słyszałem o panu Harimie w Hakone. Powiedziała nam Gyoko-san. Gyoko-san usłyszała w Mishimie.

–Ta kobieta jest dobrze poinformowana. Może aż za dobrze.

–Słucham, wielmożny panie?

–Nic. Mów dalej. I co z panem Harimą?

–Wielmożny panie, z całym szacunkiem mogę powiedzieć: mój statek, wielka broń na Czarną Karawelę, ne? Jeśli zdobyć Czarną Karawelę bardzo szybko, księża bardzo źli, bo nie ma pieniędzy na dzieło chrześcijan tu, nie ma pieniędzy w innych portugalskich ziemiach. Zeszły rok Czarna Karawela nie być tu, więc nie ma pieniądze, ne? Jeśli teraz zdobyć Czarną Karawelę szybko, bardzo szybko i w następny rok też, wszyscy księża w wielkim strachu. To prawda, wielmożny panie. Myślę, księża ugną się, jeśli postraszyć. Księża tacy dla Toranaga-sama!

Żeby zademonstrować, co ma na myśli, Blackthorne gwałtownie zacisnął dłoń.

Toranaga słuchał go uważnie i wpatrywał się w jego usta, a Blackthorne robił to samo.

–Rozumiem cię, ale co to da, Anjin-san? – spytał.

–Słucham, wielmożny panie?

Toranaga dostosował się do jego skrótowego stylu wystawiania się.

–Co się przez to uzyska? Złapie? Zdobędzie?

–Pana Onoshiego, pana Kiyamę i pana Harimę.

–A więc chcesz się wtrącać do naszej polityki tak jak księża?

–Bardzo przepraszam, wybac, nie rozumiem.

–Nieważne. – Toranaga namyślał się dłuższy czas, wreszcie rzekł: – Księża mówią, że nie mogą rozkazywać chrześcijańskim daimyō.

–Nieprawda. Wielmożny panie, wybac, proszę. Pieniądze – wielka władza nad księżmi. To prawda, wielmożny panie. Nie ma Czarna Karawela w tym roku, nie ma Czarna Karawela w następnym -; ruina. Bardzo, bardzo źle dla księży. Pieniądze to władza. Proszę, rozważ: jeżeli Szkarłatne Niebo, to ja, równocześnie albo prędzej, atakuję Nagasaki. Nagasaki teraz wróg, ne? Biorę Czarną Karawelę i atakuję trasy morskie pomiędzy Kiusiu i Honsiu. Może groźba wystarczy, żeby z wroga był przyjaciel?

–Nie. Księża wstrzymają handel. Nie prowadzę wojny z kapłanami i z Nagasaki. Ani z nikim. Jadę do Osaki. Nie będzie Szkarłatnego Nieba. Wakarimasu?

–Hai.

Blackthorne nie przejął się tym. Wiedział, że Toranaga w lot pojął, iż taka bardzo realna taktyka odciągnęłaby sporą część wojsk Kiyamy, Onoshjego i Harimy, które stały na Kiusiu. Erasmus z całą pewnością przeszkodziłby każdemu większemu transportowi wojska z tej wyspy na wyspę główną. Bądź cierpliwy, przestrzegł się. Niech Toranaga to rozważy. Może będzie tak, jak mówi Mariko: pomiędzy dniem dzisiejszym a Osaka jest wiele czasu i kto wie, co się jeszcze wydarzy. Przygotuj się na najlepsze, lecz nie bój się najgorszego.

**–Anjin-san, dlaczego nie mówisz o tym w obecności Mariko-san? – spytał Toranaga.
– Powie o tym księżom? Tak myślisz?**

–Nie, wielmożny panie. Chciałem tylko porozmawiać z tobą bezpośrednio. Wojna to nie sprawa kobiet. Jedno ostatnie pytanie, Toranaga-sama. – Blackthorne zrobił to, co sobie zaplanował. – Zwyczajem hatamoto jest prosić o łaskę, czasem. Zechciej wybaczyć, wielmożny panie, czy mogę z całym szacunkiem wypowiedzieć możliwą prośbę?

Toranaga przestał się wachlować.

–O jaką łaskę chodzi? – spytał.

–Wiem, że rozwód łatwy, kiedy pan każe. Proszę Toda Mariko-sama na żonę.

Toranaga osłupiał i Blackthorne zląkł się, czy tym razem nie posunął się za daleko, dlatego dodał:

–Racz mi wybaczyć niegrzeczność. Toranaga szybko doszedł do siebie.

–Czy Mariko-san zgadza się? – spytał.

–Nie, Toranaga-sama. Moja tajemnica. Nigdy jej nie mówił, nikomu. Tajemnica tylko moja. Nie mówił Mariko-san. Nigdy. Kinjiru, ne? Ale znam gniewy żony i męża. Rozwód w Japonii łatwy. Proszę tylko pana Toranagę. Wielka tajemnica tylko moja. Mariko-san nigdy. Przepraszam, jeżeli cię uraziłem.

–To butna prośba jak na cudzoziemca. Niesłychana! Ale ponieważ jesteś hatamoto, mam obowiązek rozważyć ją, chociaż pod żadnym warunkiem nie wolno ci o tym wspomnieć Mariko-san. Ani jej, ani jej mężowi. Czy to jasne?

–Słucham? – spytał Blackthorne, nic nie rozumiejąc i w ogóle z wielkim trudem mogąc myśleć.

–Bardzo źle myśleć i pytać, Anjin-san. Rozumiesz?

–„Tak, wielmożny panie, bardzo prze...

–Ponieważ Anjin-san jest hatamoto, nie gniewam się. Rozważę. Zrozumiałeś?

–Tak, tak myślę. Dziękuję. Racz wybaczyć mój marny japoński. Przepraszam.

–Żadnych rozmów z nią, Anjin-san, o rozwodzie. Ani z Mariko-san, ani z Buntaro-sanem. Kinjiru, wakarimasu?

–Tak, wielmożny panie. Zrozumiałem. Tajemnica tylko ja i ty. Dziękuję. Wybacz mi, proszę, niegrzeczność i dziękuję ci za cierpliwość.

Blackthorne złożył nienaganny ukłon i wyszedł niczym we śnie. Drzwi zamknęły się za nim. Stojący na podeście schodów patrzyli na niego pytająco.

Chciał się podzielić swoim zwycięstwem z Mariko. Ale obecność strażników i jej błoga, rozkojarzona mina powstrzymały go od tego.

–Przepraszam, że kazałem ci tak długo na siebie czekać – rzekł tylko.

–Cała przyjemność po mojej stronie – odparła równie wymijająco.

Ruszyli po schodach. Piętro niżej powiedziała:

–Twój prosty sposób wysławiania się” jest dziwny, ale w pełni zrozumiała, Anjin-san.

–Za dużo razy traciłem wątek. Świadomość, że tu jesteś, bardzo mi pomogła.

–Nie zrobiłam nic takiego Dalej szli w milczeniu, Mariko nieco z tyłu, tak jak nakazywał zwyczaj. Na każdym piętrze przechodzili przez kordon samurajów. Kiedy mijali już ostatni zakręt schodów, wlokący się za nią rąbek kimona zaplątał się w balustradę i potknęła się. Blackthorne złapał ją i przytrzymał. Nagłe zetknięcie się ciałami obojgu sprawiło przyjemność.

–Dziękuję ci – szepnęła podniecona, kiedy postawił ją na ziemi.

Schodzili dalej, znacznie bliżej siebie niż dotąd tego wieczoru.

W drodze do głównej, południowej bramy Mariko powiedziała mu, że kiedy budowa dobiegnie końca, forteca pomieści w swoich murach sto tysięcy samurajów i dwadzieścia tysięcy koni wraz z niezbędnym prowiantem, który starczy na cały rok.

–W takim razie będzie największa na świecie – rzekł Blackthorne.

–Takie były plany pana Toranagi. Shigata ga nai, ne? – Jej głos był śmiertelnie poważny. Wreszcie doszli do ostatniego mostu. – Jak więc widzisz, Anjin-san, ten zamek jest sercem Edo, środkiem sieci ulic, które rozchodząc się we wszystkie

strony tworzą miasto. Dziesięć lat temu była tu tylko wioska rybacka. A teraz jest tu, kto wie? Trzy-stutysięczne miasto? Dwustutysięczne? Czterystutysięczne? Pan Toranaga jeszcze nie policzył mieszkańców. Ale wszyscy oni są tu wyłącznie z jednego powodu: żeby służyć temu zamkowi, broniącemu portu i równin, które żywią wojsko.

–Tylko z tego? – spytał.

–Nie.:

Nie trzeba się martwić ani chodzić z tak poważną miną, pomyślał wesoło. Wszystko załatwiłem. Toranaga spełni wszystkie moje życzenia.

Po drugiej stronie oświetlonego pochodniami Ichi-bashi, Pierwszego Mostu, który wiódł do właściwego miasta, zatrzymała się.

–Tutaj się rozstajemy, Anjin-san.

–Kiedy cię zobaczę?

–Jutro. O godzinie Kozła. Będą na ciebie czekała na dziedzińcu.

–Nie zobaczymy się dziś wieczorem? Jeżeli wrócę wcześniej?

–Nie, bardzo żałuję, wybacz mi. Nie dziś – powiedziała i ukłoniła się mu zgodnie z etykietą. – Konbanwa, Anjin-san.

Odkłonił się jej. Jak samuraj. Patrzył, jak Mariko idzie po moście, a wraz z nią część strażników z pochodniami. Wokół pochodni zatkniętych w uchwyty przy filarach mostu kłębiły się owady. Wkrótce wchłonęła ją ludzka ciżba i mrok.

Blackthorne z rosnącym podnieceniem odwrócił się plecami do zamku i podążył za swoim przewodnikiem.

–Barbarzyńcy mieszkają tam, Anjin-san – samuraj wskazał ręką przed siebie.

Blackthorne poczuł się nieswojo i wpatrzył się w ciemność. Powietrze stało w miejscu i było duszno.

–Gdzie? – spytał. – W tamtym domu? Tam?

–Tak. Niestety, właśnie tam. Widzisz go, panie?

–Śmierdzi jak londyński rynek rybny Billingsgate przy najniższej wodzie – mruknął, zabijając następnego nocnego natręta, który usiadł mu na policzku. Ciało lepiło mu się od potu.

Nagle dosłyszał strzęp swawolnej morskiej szanty śpiewanej po holendersku i natychmiast zapomniał o wszystkich przykrościach.

–Czy to ty, Vinck? – spytał.

Uradowany ruszył w stronę głosu wraz z tragarzami oświetlającymi mu drogę i samurajami, którzy podążali za nim.

Kiedy znalazł się bliżej, dojrzał parterowy budynek, częściowo w stylu japońskim, częściowo europejskim, znacznie nowszy od gromady pobliskich ruder. Był wzniesiony na palach i stał na osobnej parceli, otoczonej rozchwierutany bambusowym płotem. W płocie tym nie było furtki, tylko dziura. Dom miał dach kryty strzechą, drzwi mocne, ściany z nie heblowanych desek, a okna zasłonięte okiennicami w stylu holenderskim. Tu i ówdzie przez szpary wydostawało się światło. Śpiewy i przekomarzania słyhać już było lepiej, ale jeszcze nie dało się rozpoznać głosów. Przez zaniedbany ogród biegły prosto do stopni na werandę kamienne płyty. Przy wejściu umocowano liną niski maszt flagowy. Blackthorne zatrzymał się i przyjrzał mu. Zwisiała z niego apatycznie nieruchoma, prowizoryczna holenderska bandera, na której widok serce zabiło mu żywiej...

Ktoś raptownym pchnięciem otworzył drzwi. Na werandę wystrzeliła smuga światła. Baccus van Nekk pijanym krokiem dotarł na jej skraj, z na wpół przymkniętymi oczami odciągnął sączek i wysikał się wysokim, zakrzywionym łukiem.

–Uhhhhh – stęknął z rozkoszą. – Nie ma to jak się odlać.

–Prawda? – zawołał po niderlandzku Blackthorne. – Dlaczego nie korzystasz z wiadra?

–Co? – Van Nekk wpatrzył się swoimi oczami krótkowidza w Blackthorne’a, który stał w ciemnościach rozświetlonych pochodniami samurajów. – Chryste Jezu Przenajświętszy, samuraje! – Odchrząknął, wziął się w garść i niezgrabnie uklonił w pas. – Gomen nasai, samuraj-sama. Ichibon gomen nasai wszystkim małpom-samom. – Wyprostował się, uśmiechnął z przymusem i mruknął pod nosem: – Jestem bardziej zalany, niż myślałem. Ubzdurało mi się, że ten bękart, ten psi syn odezwał się po holendersku! Gomen nasai, ne? – zawołał jeszcze raz i zawrócił chwiejnie do chałupy, drapiąc się i macając sącze.

–Ej, Baccusie, masz na tyle rozumu w głowie, żeby nie kalać własnego gniazda? – spytał Blackthorne.

–Co?! – Van Nekk obrócił się i nie widzącym wzrokiem wpatrzył w pochodnie, próbując dojrzeć mówiącego. – Pilot?! – wydusił z siebie...- Czy to ty, pilocie? A niech wszyscy diabli te moje oczy, nic nie widzę. Na miły Bóg, pilocie, czy to ty?

Blackthorne zaśmiał się. Jego stary znajomek stał tam taki nagi, tak głupio wyglądał, a członek zwisał mu tak żałośnie.

–Tak, to ja! – odparł i zwrócił się do swojego japońskiego przewodnika, który przyglądał się tej scenie z kiepsko skrywaną pogardą. – Matte kurasai. (Zaczekaj na mnie, proszę.)

–Hai, Anjin-san.

Blackthorne ruszył, a kiedy doszedł do smugi światła, zobaczył, że cały ogród to jeden wielki śmietnik, z odrazą zdjął więc drewniaki i wbiegł po stopniach.

–Witaj, Baecusie, widzę, że sadła masz więcej niż przy wyjeździe z Rotterdamu, ne? – spytał i klepnął go serdecznie w plecy.

–Panie Jezu Chryste, to naprawdę ty? i – Tak, pewnie, że ja.

–Dawno temu uznaliśmy cię za zmarłego. – Van Nekk wyciągnął rękę i dotknął Blackthorne’a, żeby się upewnić, że nie śni. – Panie Jezu, wysłuchałeś naszych modlitw. Pilocie, co się z tobą działo, skąd przybywasz? To cud! Czy to naprawdę ty?

–Tak. A teraz nasuń z powrotem sącze i wejdźmy do środka – powiedział Blackthorne, świadom obecności samurajów.

–Co? Aha! Przepraszam, nie... – Van Nekk prędko spełnił jego życzenie, a po policzkach pociekły mu łzy. – O Jezu, pilocie... już myślałem, że gorzałkowe diabły znowu płatają mi figle. Chodź, najpierw jednak pozwól, że cię zapowiem, co? – Przytrzymał Blackthorne’owi drzwi i przekrzykując zachryple śpiewy wrzasnął: –

Chłopaki! Patrzcie tylko, kogo nam przyniósł święty Mikołaj!

Dla większego efektu z hukiem zatrzaskała drzwi.

W jednej chwili zapadła cisza.

Blackthorne potrzebował dobrej chwili, żeby przyzwycząić oczy do światła w środku. Dusił się od smrodu. Ujrzał, że wszyscy gapią się na niego, jakby mieli przed sobą diabelską zjawę. A potem czar przysłał i rozległy się powitania i okrzyki radości. Wszyscy zaczęli go ścisnąć, walić w plecy i mówić jeden przez drugiego.

–Skąd przybywasz, pilocie?... Napij się... Chryste, czy to możliwe... A niech mi naszczują w kapelusz, wspaniale jest cię znowu widzieć... Uznaliśmy cię za zmarłego... Nie, mamy się dobrze, a przynajmniej na ogół... Złaz z tego krzesła, dziwko, najlepsze zasrane krzesło dla pilota-samy... Hej, grogu, ne, migiem, psiajucho, migiem!... Niech mnie szlag, zejdz mi z drogi, bo chcę mu uścisnąć rękę.

–Po jednym, chłopaki! – wrzasnął w końcu Vinck. – Dajcie mu się przywitać. Dajcie pilotowi krzesło i coś do picia, na miły Bóg! Tak, ja też go wziąłem za samuraja...

Któryś wsunął Blackthorne'owi w dłoń drewniany kielich. Blackthorne usiadł na koślawym krześle, wszyscy wznieśli pucharki i znów posypały się pytania, Blackthorne rozejrzał się po izbie. W oświetlonym świecami i lampkami olejnymi pomieszczeniu stały ławy, stoły i parę prymitywnych krzesel. Na plugawej podłodze ustawiono dużą beczkę sake. Na jednym, pełnym brudnych talerzy stole leżał niedopieczony udziec, który obsiadły muchy.

Pod ścianą klęczało w ukłonie sześć skulonych kocmołuchowatych Japoniek.

Jego krajanie czekali uśmiechnięci, aż zacznie mówić: kucharz Sonk, starszy bosman i ogniomistrz Johann Vinck, Salamon niemowa, młody Croocq, żaglomistrz Ginsel, skarbnik i naczelny kupiec Baccus van Nekk i wreszcie drugi kupiec, Jan Roper, który jak zwykle usiadł z boku, z tym samym co, zwykle kwaśnym uśmiechem na pociągłej, napiętej twarzy.

–A gdzie dowódca wyprawy? – spytał Blackthorne.

–Nie żyje, pilocie, umarł. – odparło mu sześć głosów i na wypródki zaczęło opowiadać, płacząc relację.

Wreszcie zmuszony był podnieść rękę i uciszyć ich.

–Umarł, pilocie. Już nie wyszedł z tej jamy. Pamiętasz, że był chory, prawda? Kiedy cię zabrali... cóż, tej samej nocy usłyszeliśmy, że się dławi w ciemnościach. Prawda, chłopcy?

Odpowiedział mu chór potakiwań, więc van Nekk dodał:

–Siedziałem przy nim, pilocie. Chciał się napić wody, ale ponieważ nic jej nie zostało, to się dusił i jęczał. Nie mam pewności co do godziny, wszyscy śmiertelnie się baliśmy, ale w końcu zadławił się, a potem zaczął, hmm, śmiertelnie rzezić. Miał ciężką śmierć, pilocie.

–Tak, miał okropną śmierć – dodał Jan Roper. – Ale to kara boska.

Blackthorne przyjrzał się po kolei ich twarzom.

–Czy któryś z was go uderzył? Żeby uciszyć? – spytał.

–Nie... nie, och, nie – odparł van Nekk. – On tylko charczał. Zostawili go w ziemiance z tym drugim... z tym Japusem, pamiętasz go, tym, który próbował się utopić w cebrze szczyn. Potem jednak pan Omi kazał im wynieść stamtąd zwłoki Spillbergena i spalili je. Ale tamtego drugiego biednego drania zostawili. Pan Omi dał mu nóż i tamten, psia jego mać, sam sobie otworzył brzuch, a wtedy go zasypali. Pamiętasz go, pilocie?

–Tak. A co z Maetsukkerem?

–Najlepiej ty opowiedz, Vinck.

–Ten mały Szczurza Morda zgnił, pilocie – zaczął Vinck, na co reszta zaczęła wykrzykiwać szczegóły i rozpuściła języki, tak że w końcu musiał ryknąć: – Baccus poprosił o to mnie, jak rany Chrystusa! Na każdego przyjdzie kolej!

Głosy ucichły.

–Opowiedz o tym ty, Johann – uczynnie przyszedł Vinckowi w sukurs Sonk.

–Zaczęła mu gnić ręka, pilocie. Drasnęli go w czasie tej walki w piwnicy... pamiętasz tę walkę, kiedy cię ogłuszyli? Chryste, wydaje mi się, że to było wieki temu! W każdym razie rana zaczęła ropieć, więc przez dwa dni z rzędu puszczałem mu krew, ale ręka szerniała. Powiedziałem mu, że najlepiej będzie przeciąć wrzód, bo inaczej straci całą... powtarzałem to tuzin razy, wszyscy powtarzaliśmy, ale nie posłuchał. Piątego dnia rana zaczęła cuchnąć. Przytrzymaliśmy go i wycięliśmy większość zgnitego ciała, to jednak nie pomogło. Wiedziałem, że to na nic, ale niektórzy uważali, że warto próbować. Zachodził do nas kilka razy taki żółty psi syn, lekarz, ale i on nic nie mógł poradzić. Tak więc Szczurza Morda przeżył jeszcze dzień czy dwa, ale zgnilizna zaszła za daleko i mocno szalał. W końcu musieliśmy go związać.

–Tak jest, pilocie – potwierdził Sonk, drapiąc się z ukontentowaniem. – Musieliśmy go związać.

–A co się stało z jego ciałem? – spytał Blackthorne.

–Zanieśli je na wzgórze i też spalili. Chcieliśmy wyprawić jemu i generałowi-gubernatorowi porządną chrześcijańską pogrzeb, ale nam nie dali. Po prostu spalili ich.

Zrobiło się jeszcze ciszej.

–Nie tknąłeś-trunku, pilocie! – odezwał się wreszcie któryś.

Blackthorne podniósł sake do ust i spróbował. Omal nie zwymiotował, bo kielich był brudny. Czysty alkohol sparzył mu gardło. Odór nie mytych ciał i zastarzałego brudu nie pranej odzieży był dla niego prawie nie do zniesienia.

–I jak ci smakuje ta gorzałka, pilocie? – spytał van Nekk.

–Bardzo dobra.

–Opowiedz mu o niej, Baccusie, no, mów!

–Ech! Zrobiłem kocioł do destylacji, pilocie – powiedział van Nekk. Był bardzo dumny z siebie, a reszta promieniała. – Pędzimy już ją beczkami. Bierzemy ryż, owoce, dajemy im sfermentować, czekamy około tygodnia, a potem, z pomocą małych czarów marów... – Przysadzisty mężczyzna zaśmiał się i radośnie podrapał. – Pewnie lepiej byłoby potrzymać zacier przez rok, żeby dojrzał, ale wypijamy ten trunek szybciej niż... – zamilkł. – Nie smakuje ci?

–Och, przepraszam, jest dobry... dobry.

W rzadkich włosach van Nekka Blackthorne spostrzegł wesz.

–A ty, pilocie? – zaczął go pytać Jan Roper. – Masz się dobrze, prawda? Co u ciebie?

Znowu posypały się pytania, które uciął okrzyk Vincka:

–Ależ dajcie mu coś powiedzieć! – A potem ten mężczyzna z czerstwą twarzą wyznał uszczęśliwiony: – i – Chryste, kiedy zobaczyłem cię w tych drzwiach, pomyślałem, że to jedna z tych małp, słowo daję... słowo!

Zgodzono się z nim chóralnie.

–Tak jest – zdołał wtrącić van Nekk. – Te przekłete głupie kimona! Wyglądasz jak kobieta, pilocie; albo jak któryś z tych półmężczyzn. Tych przeklętych sodomitów, ha! Mój Boże, wielu Japusów to sodomici! Jeden uganiał się za Croocqiem.

Znów zaczęły się krzyki i sprośne żarty, wreszcie jednak van Nekk dokończył.

–Na pewno zechcesz przebrać się w normalny strój, pilocie. Posłuchaj, mamy tu twoje ubranie. Do Edo przyплыliśmy na Erasmusie. Doholowali nas tu i pozwolili zabrać na brzeg odzież, ale nic ponadto. Zabraliśmy twoją, żeby ją dla ciebie przechować, pozwolili nam na to. Wzięliśmy twój worek żeglarski, z wszystkimi żeglarskimi ubraniami. Skocz no po nie, Sonk, dobra?

–Jasne, że skoczę, ale później, co, Baccusie? Nie chcę niczego stracić.

–Zgoda.

–Miecze i kimono... jak u prawdziwego poganina! – odezwał się Jan Roper z urągliwym uśmiechem na cienkich ustach. – Może wolisz już teraz żyć po pogańsku, co, pilocie?

–To ubranie jest chłodne, lepsze od naszego – odparł zakłopotany Blackthorne. – Zapomniałem, że jestem inaczej ubrany. Tak wiele się zdarzyło. Nie miałem innego ubrania, więc przyzwyczałem się do noszenia tego. W ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Ten ubiór jest z pewnością wygodniejszy...

–Czy to są prawdziwe miecze?

–Tak, oczywiście, a dlaczego pytasz?

–Nam nie wolno nosić broni. Żadnej broni! – rzekł z przekąsem Jan Roper. – Dlaczego tobie na to pozwolili? Tak jak wszystkim tym poganom samurajom?

Blackthorne zaśmiał się krótko.

–Nic się nie zmieniłeś, Janie Roper, prawda? Jesteś coraz świętszy? Dobrze, w swoim czasie opowiem wam o mieczach, w pierw jednak przekażę wam najpomysłniejsze wieści. Słuchajcie, za mniej więcej miesiąc znów wyplyniemy na pełne morze.

–Jezu, Boże Święty, mówisz poważnie, pilocie? – spytał Vinck.

–Tak.

Ryknęli głośno na wiwat, a potem znów popłynęła rzeka pytań i odpowiedzi.

–A mówiłem wam, że ruszymy w drogę... a mówiłem, że Bóg nam sprzyja?! Niech mówi... dajcie pilotowi mówić...

Wreszcie Blackthorne podniósł rękę i wskazał na w dalszym ciągu klęczące nieruchomo, jeszcze pokorniejsze pod jego spojrzeniem Japonki.

–Co to za jedne? – spytał.

Sonk zaśmiał się.

–To nasze miłośnice, pilocie. Nasze kurwy, i to tanie, na tydzień kosztują nas tyle co guzik, na miły Bóg! W sąsiednim domu jest ich pełno, a znacznie więcej w wiosce...

–A łobzują się jak gronostaje – wtrącił Croocq.

–Tak jest, pilocie – potwierdził Sonk. – Pewnie, że są krępe i koślawe, ale bardzo żwawe i nie mają syfa. Chcesz jakąś, pilocie? Mamy swoje własne koje, nie tak jak te małpy, własne koje i pokoje...

–Wypróbuj Dupiastą Mary, pilocie, jest w sam raz dla ciebie – zachęcił Croocq.

–Pilot nie chce naszych ładacznic – przekrzyczał wszystkich Jan Roper. – Ma własne. Co, pilocie?

Ich twarze ożywiły się.

–To prawda, pilocie? Masz kobiety? Ej, opowiedz nam o tym, co? Nie ma lepszych od tych małp, no nie?

–Powiedz nam o swoich miłośnicach, pilocie! – rzekł Sonk, znowu drapiąc zawszone miejsca na ciele.

–Wiele by tu opowiadać – odparł Blackthorne. – Ale powinno się to odbyć bez świadków. Im mniej słuchających uszu, tym lepiej, prawda? Odeślijcie te kobiety, to będziemy mogli porozmawiać.

Vinck dźgnął palcem w stronę Japoniek.

–Wynoście się, hai?

Kobiety ukloniły się, wymamrotały podziękowania, przeprosiły i szybko się wyniosły, cicho zamykając za sobą drzwi.

–Najpierw o statku. To niewiarygodne. Chcę wam podziękować i pogratulować roboty, którą odwaliliście. Po powrocie do kraju będę nalegał, żebyście dostali za to potrójny udział we wszystkich łyskach z przyzów, a będzie to nagroda ponad wszelkie... – Zobaczył, że wymieniają zakłopotane spojrzenia. – O co chodzi?

–To nie my, pilocie – powiedział skrzępowany van Nekk. To ludzie króla Toranagi. Oni to zrobili. Vinck im pokazał, ale my nie tknęliśmy tam niczego palcem.

–Co takiego?

–Nie pozwolili nam już wrócić na pokład. Na statek dopuścili tylko Vincka, a chodził tam raz na jakieś dziesięć dni. My nic nie zrobiliśmy.

–On jeden – dorzucił Sonk. – Johann im pokazał.

–A jak się z nimi porozumiałeś, Johann? – spytał Blackthorne.

–Jeden z samurajów zna portugalski i mówiliśmy z sobą w tym języku... wystarczyło, żebyśmy się rozumieli. Sato-samę, tak nazywa się ten samuraj, wyznaczono dowódcą statku, kiedyśmy tu przyплыnęli. Spytał, którzy z nas są oficerami lub marynarzami. Odpowiedzieliśmy, że Ginsel, ale że jest przede wszystkim kanonierem, że ja i Sonk, który...

–Który jest, psiamać, najgorszym kucharzem, jakiego...

–Zamknij tę głupią jadaczkę, Croocq!

–Bo nie potrafisz, psiakrew, gotować na lądzie, nie wspominając już nawet o tym, że i na pokładzie, jak Boga kocham!

–Wy dwaj, bądźcie cicho, proszę! – upomniał ich Blackthorne. – Mów dalej, Johann.

–Sato-sama – ciągnął Vinck – spytał mnie, czego brakuje statkowi, więc mu wyjaśniłem, że trzeba go przechylić, oskrobać i cały wyreperować. Powiedziałem mu wszystko, co wiedziałem, no i zabrali się do roboty. Przechylili Erasmusa jak należy, oczyścili żęzy, wyszorowali je niczym książęcy sracz... Wszystkim kierowali samuraje, podczas gdy inne małpy tyrały jak wszyscy diabli, setki tych psich synów. Kurwa-mać, pilocie, jeszcze żeś nie oglądał na oczy pracujących tak pilnie jak oni!

–To prawda – przyznał Sonk. – Jak wszyscy diabli.

–Zrobiłem wszystko, co tylko mogłem, żeby dzień, w którym... Chryste Panie, pilocie, naprawdę myślisz, że stąd odpłyniemy?

–Tak, jeżeli będziemy cierpliwi i jeżeli...

–Jeżeli zechce Bóg, pilocie. Tylko wtedy.

–Tak. Być może masz rację – odparł Blackthorne, myśląc, że nie szkodzi, że Jan Roper jest religijnym fanatykiem. Potrzebował go, potrzebował ich wszystkich. I pomocy boskiej. – Tak. Potrzebna nam będzie pomoc boska – rzekł i obrócił się znów twarzą do Vincka. – A co z naszym kilem? – spytał.

–Czysty i mocny, pilocie. Nie myślałem, że sprawią się z nim aż tak dobrze. Ci

dranie są zmyślni jak najlepsi cieśle, skutnicy i powroźnicy w Holandii. Takielunek jest w idealnym stanie... wszystko.

–A żagle?

–Uszyli komplet z jedwabiu, który jest mocny jak płótno. A do tego drugi zapasowy; Zabrali nasze i dokładnie je skopiowali, pilocie. Działa są w jak najlepszym stanie, wszystkie z powrotem na pokładzie, razem z prochem i zapasem kul. W razie czego statek mógłby wypłynąć choćby dziś, z odpływem. Jasne, że nie był na morzu, więc co warte są te żagle, przekonamy się, kiedy powieje, ale stawiam swoje życie na to, że wszystkie szpary są tak szczelne jak przy pierwszym naszym wyjściu na Zuiderze, a nawet szczelniejsze, bo przecież wręgi, dzięki Bogu, wyschły! – Vinck przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza. – Kiedy odpłyniemy?

–Za miesiąc. Mniej więcej.

Tręcili się łokciami, promienni i rozradowani, a potem wznieśli huczny toast za pilota i statek.

Blackthorne wesoło pomachał im ręką po raz ostatni. Z ciemności po drugiej stronie małego mostu odpowiedziano mu okrzykiem. Odwrócił się, z trudem zmusił się do stłumienia w sobie serdecznych uczuć i w asyście dziesięciu pilnujących go samurajów skręcił za róg.

Mijane ulice, aleje i mosty widział jak przez mgłę. Wtem zauważył, że rękę trzyma pod kimonem i drapie się. Stanął jak wryty.

–Te parszywe przeklęte...

Rozwiązał pas, zdarł z siebie wilgotne kimono i, tak jakby było zbrukane, cisnął je do rowu.

–Dózo, nan desu ka, Anjin-san? – spytał jeden z eskorty.

–Nani mo! Nic, na miły Bóg! – odparł Blackthorne i z mieczami w ręku szedł dalej.

–Ah! Eta! Wakarimasu! Gomen nasai!

Samuraje rozmawiali pomiędzy sobą, ale nie przysłuchiwał się im.

Tak lepiej, myślał z największą ulgą, nie zwracając sobie głowy tym, że jest prawie nagi, bo liczyło się tylko to, że po zdjęciu zawszonego kimona przestała go swędzić skóra.

Mój Boże, z jaką rozkoszą by się teraz wykąpał.

Opowiedział załodze o swoich przygodach, ale nie o tym, że został samurajem i hatamoto, że jest jednym z faworytów Toranagi. Nie wspomniał też o Fujiko. Ani o Mariko. Nie powiedział im również, że ich oddział wylądzuje w Nagasaki, że szturmem zdobędą Czarną Karawelę, a samurajami będzie dowodził on sam. Na to przyjdzie czas później, pomyślał ze znużeniem. I na wszystko inne.

Czy kiedykolwiek powiem im o Mariko? – zadał sobie pytanie, stukając drewnianymi sabotami o deski Pierwszego Mostu.

Przy głównej bramie zamku czekał na niego drugi przewodnik. Zaprowadził go do jego kwatery znajdującej się w wewnętrznym kręgu umocnień. Przeznaczono dla niego pokój w jednym z ufortyfikowanych, ale ładnych domów gościnnych, jednak grzecznie odmówił pójścia tam od razu.

–Najpierw kąpiel, proszę – powiedział do samuraja.

–A rozumiem. To bardzo mądrze z twojej strony, Anjin-san. Do łaźni idzie się tędy. Tak, gorąca noc, ne? A poza tym słyszałem, że odwiedziłeś Nieczystych. Inni goście docenią, że się o nich troszczysz. Dziękuję ci w ich imieniu.

Blackthorne nie zrozumiał wszystkich słów, ale pojął ich znaczenie. „Nieczyści” to określenie moich ziomków i mnie, nas, a nie ich własnych biedaków, eta, pomyślał.

–Dobry wieczór, Anjin-san – przywitał go łaźiebny. Był potężnie zbudowanym Japończykiem w średnim wieku, z ogromnym brzuchem i bicepsami. Służąca obudziła go przed chwilą oznajmiając, że nadchodzi jeszcze jeden spóźniony klient. Klasnął w dłonie, na co zjawiły się łaźiebne. Blackthorne poszedł za nimi do szorowni, gdzie namydliły go, umyły, po czym kazał im to zrobić drugi raz. Po umyciu przeszedł do wpuszczonego w ziemię basenu, zstąpił do parującej gorącej wody i pokonawszy ukrop, oddał się rozmyślaniom.

Po jakimś czasie mocne ręce pomogły mu wyjść z wody, natarły wonnym olejkiem ciało, rozmasowały mięśnie i kark, poprowadziły do pokoju wypoczynkowego i tam podały wyprane, wysuszone na słońcu kimono. Wreszcie z przeciągłym westchnieniem ulgi położył się i...

Obudził się odświeżony. Obok leżały czyste kimono, przepaska na biodra i tabi. Pochwy jego mieczów wypolerowano. Szybko się ubrał. Przed łaźnią czekali samuraje. Podnieśli się z ziemi i ukłonili.

–Jesteśmy dziś twoją strażą, Anjin-san – wyjaśnili.

–Dziękuję. Pójdziemy teraz na statek? – spytał.

–Tak. Oto twoja przepustka.

-Dobrze. Dziękuję. A jak się nazywasz, panie?

-Mitsutoki Musashi.

-Dziękuję, Musashi-san. Pójdziemy? Poszli do nabrzeży.

–Anjin-san? – usłyszał.

–Hai? W odsuniętych drzwiach stanęła Fujiko i uśmiechając się nieśmiało ukloniła mu się.

–Byłbym o tobie zapomniał – powiedział po angielsku. – Bałem się, że umarłaś.

–Dózo goziemashita, Anjin-san, nan desu ka?

–Nani mo, Fujiko-san – odparł, czując wstyd. – Gomen nasai. Hai. Gomen nasai. Masuware odoroi ta honto ni mata aete ureshi.

–Dómo arigato goziemashita – odparła i wysokim, cienkim głosem zapewniła, że raduje się jego widokiem, że jego japoński bardzo się poprawił, że świetnie wygląda, ona zaś bardzo się cieszy, że tu jest.

Patrzył, jak siada niezgrabnie na poduszce naprzeciwko niego.

–Nogi... – Szukał w pamięci słowa „oparzone”, ale nie mógł go sobie przypomnieć, więc zamiast tego powiedział: – Nogi pożar bolą. Żle?

–Nie. Przepraszam. Ale bolą mnie trochę przy siadaniu – odparła Fujiko, uważnie wpatrując się w jego usta. – Nogi bolą, niestety.

–Pokaż, proszę.

–Wybacz, Anjin-san. Nie chcę ci sprawiać kłopotu. Masz inne zmartwienia. Ja...

–Nie rozumiem. Za szybko, przykro mi.

–Ach, przepraszam. Nogi w porządku. Bez kłopotu.

–Z kłopotem. Jesteś konkubina, ne? Bez wstydu. Pokaż mi!

Posłusznie wstała. Najwyraźniej krępowało ją to, lecz zaczęła rozwiązywać tasiemki obi. Kiedy zdjęła kimono, wierzchnie i spodnie, i została w samej halce, podszedł i podniósł rąbek bielizny. Oparzenia zaczynały się na łydkach.

Fujiko stała bez ruchu. Po policzku spłynęła jej kropla potu, uszkadzając makijaż. Podniósł halkę wyżej. Obie nogi z tyłu, włącznie z pośladkami, były poparzone, ale goiły się idealnie. Tkanka już się zabiłżniła i nie było infekcji ani ropienia, a tylko troszkę czystej krwi w stawie kolanowym, tam gdzie świeża blizna pękła, kiedy Fujiko siadała.

–Lekarz bardzo dobry. Najlepszy, jaki widziałem! – powiedział. – Najlepszy! Budda czuwa nad Fujiko-san. – Położył ręce na jej ramionach i zajrzał w oczy. – Nie martw się już. Shigata ga nai, ne? Rozumiesz?

Po twarzy Fujiko popłynęły łzy.

–Przepraszam, Anjin-san. Tak mi głupio. Powinnam była być z tobą, chronić cię... a nie tkwić w tamtym domu ze służbą. Tam nie ma dla mnie nic, nic, nie mam żadnego powodu, żeby mieć dom...

Wprawdzie nie rozumiał prawie nic z tego, co mówiła, ale trzymał ją współczująco w ramionach. Miała szczęście, że poparzyła sobie tylko nogi i pośladki, a nie twarz, pomyślał. Spojrzał na nią. Jej twarz była kwadratowa i płaska jak zawsze, zęby ostre jak u łasicy, ale ciepło bijące z oczu przyćmiewało brzydotę. Przytulił ją jeszcze raz.

–Już dobrze. Nie płacz. To rozkaz!

Posłał służącą po świeżą herbatę, sake i wiele poduszek, a potem pomógł Fujiko położyć się na nich, choć z początku bardzo ją to krępowało.

–Jakże ci za to podziękować? – spytała.

–Nie dziękuj. Zwracam... – Zaczął się zastanawiać, ale nie mógł przypomnieć sobie japońskich odpowiedników słów „przysługa” i „pamiętać”, dlatego wyjął słownik i odszukał je. „Przysługa” brzmiała „o-negai” ... a „pamiętać” „omoi dasu”. – Hai, mondotsu o-negai! Orni desu? (Zwracam przysługę. Pamiętasz?) – Podniósł dłonie, naśladując nimi pistolety i wymierzył je. – Pamiętasz Omiego-sana?

–A, oczywiście – zawołała. A potem zdumiona poprosiła, żeby pokazał jej tę książkę. Nigdy jeszcze nie widziała rzymskiego pisma, dlatego słupki japońskich słów z łacińskimi i portugalskimi odpowiednikami i na odwrót nic jej nie mówiły, ale szybko pojęła, czemu służą. – To jest książka ze wszystkimi naszymi... przepraszam. To słownik, ne?

–Hai.

–„Hombun”? – spytała.

Pokazał jej, jak znaleźć to słowo po łacinie i po portugalsku.

–„Hombun” to „obowiązek” – rzekł i dodał po japońsku: – Ja rozumiem obowiązek. Obowiązek samuraja, ne?

–Hai.

Klasnęła w dłonie, jakby pokazano jej magiczną zabawkę. Ale to przecież jest magiczny podarunek, od Boga, rzekł w duchu. Da mi on dostęp do jej myśli, do myśli Toranagi i niedługo będę mówił świetnie.

Podala mu inne słowa, na które otrzymała łacińskie i portugalskie odpowiedniki. Wszystkie zrozumiał i wszystkie znalazł. Słownik ani razu go nie zawiódł.

Sprawdził słowo.

–Majutsu desu, ne? (To magia, prawda?) – spytał.

–Tak, Anjin-san. To książka magiczna. – Łyknęła herbaty. – Teraz mogę z tobą rozmawiać. Naprawdę rozmawiać.

–Trochę. Tylko powoli, rozumiesz?

–Tak. Okaż mi cierpliwość. Racz mi wybaczyć.

Duży zegar na wieży zamkowej wybił godzinę Kozła i we wszystkich świątyniach Edo rozdzwoniły się dzwony. – Pójdę już. Pójdę do pana Toranagi.

Blackthorne schował książkę do rękawa.

–Jeżeli wolno, to zostanę tutaj.

–. Gdzie?

Wskazała ręką.

–O, tam, w moim pokoju obok. Racz mi wybaczyć obcesowość...

–Powoli. Mów powoli. Mów prosto! Powtórzyła wszystko wolniej, znowu przepaszając.

–Dobrze – powiedział. – Dobrze. Zobaczymy się później. Chciała się podnieść, ale potrząsnął głową i wyszedł na dziedziniec.

Zachmurzyło się, powietrze zatykało. Czekala na niego eskorta. Wkrótce znaleźli się na podwórku przed wieżą. Zastali tam Mariko, jeszcze szczuplejszą, jeszcze bardziej eteryczną, z twarzą alabastrową pod rdzawozłotą parasolką. Była w ciemnobrązowym kimonie, oblamowanym zielenią.

–Ohayo, Anjin-san. Ikaga desu ka? – spytała, składając mu oficjalny ukłon.

Powiedział, że czuje się dobrze, z zadowoleniem podtrzymując ich zwyczaj rozmowy po japońsku tak długo, jak był w stanie, i przechodząc na portugalski tylko wówczas,

kiedy się zmęczył albo gdy chcieli zachować treść rozmowy dla siebie.

–Moja ty... – rzekł ostrożnie po łacinie, kiedy wchodzili po schodach w wieży.

–Mój ty – odpowiedziała Mariko i natychmiast przeszła na portugalski z taką samą poważną miną jak wczoraj wieczorem. – Wybacz, proszę, ale dziś żadnej łaciny, Anjin-san. Łacina niezbyt pasuje dzisiaj... łacina nie może dziś służyć temu, do czego jest stworzona. Ne?

–A kiedy będę mógł z tobą porozmawiać?

–To bardzo trudne, przepraszam. Mam obowiązki...

–Nie stało się nic złego, prawda?

–Och, nie – odparła. – Wybacz, proszę, ale co złego mogłoby się stać? Nic złego się nie stało.

W milczeniu przeszli następny odcinek schodów. Na kolejnym piętrze ponownie sprawdzono im, jak zwykle, przepustki i ruszyli dalej w asyście strażników z przodu i z tyłu. Mocno się rozpadało i zrobiło się mniej parno.

–Będzie padać wiele godzin – orzekł.

–Tak. Ale bez deszczu nie ma ryżu. Wkrótce deszcze zupełnie ustaną, za dwa, trzy tygodnie, a potem aż do jesieni będzie ciepło, parno i wilgotno. – Wyjrzała przez okno na ulewę przesłaniającą świat. – Spodoba ci się jesień, Anjin-san.

–Tak – odparł patrząc na Erasmusa, stojącego w oddali na przystani. A potem nawałnica zasłoniła statek, on zaś wszedł w przewężenie schodów. – Po rozmowie z panem Toranagą będziemy musieli przeczekać ten deszcz. Może znajdzie się tu jakieś miejsce do rozmawiania?

–Z tym mogą być trudności – odparła wymijająco, co go zdziwiło. Zwykle wykazywała zdecydowanie i wypełniała jego grzeczne „propozycje” jak rozkazy, które należy od razu wykonać. – Wybacz mi, Anjin-san, proszę, ale w tej chwili jest mi trudno i muszę załatwić wiele spraw. – Zatrzymała się na chwilę, przełożyła parasolkę do drugiej ręki i ujęła rąbek kimona. – Jak się udał wieczór? – spytała. – Jak twoi znajomi, twoja załoga?

–Dobrze. Wszystko dobrze – odparł.

–Ale nie za „dobrze”?

–Dobrze, ale bardzo dziwnie. – Blackthorne spojrzał na Mariko. – Wszystko

zauważysz, prawda?

–Nie, Anjin-san. Ale nie wspomniałeś o nich, a wiele o nich myślałeś przez cały tydzień. Nie jestem czarodziejką. Niestety.

–Czy u ciebie na pewno wszystko w porządku? – spytał po chwili. – Nie masz żadnych kłopotów z panem Buntaro, prawda?

Od Yokose nie rozmawiał z nią o jej mężu ani o nim nie wspomniał. Od pierwszej chwili za obopólną zgodą żadne z nich nie przywoływało tego widma.

–To moja jedyna-prośba, Anjin-san – szepnęła mu podczas ich pierwszej wspólnej nocy. – Wszystko, co zdarzy się w trakcie podróży do Mishimy albo, jeśli Matka Boska sprawi, do Edo, będzie tylko naszą własnością, nikogo więcej, dobrze? Nie powiemy sobie o niczym, co istnieje naprawdę. Ne? O niczym. Proszę.

–Dobrze. Przysięgam ci to.

–I ja tobie. Ostatecznie nasza podróż skończy się na Pierwszym Moście w Edo.

–Nie.

–Musi mieć swój koniec, ukochany. Nasza podróż skończy się na Pierwszym Moście. Proszę cię o to, bo inaczej nie przeżyję udręki i lęku, że wystawiłam cię na takie niebezpieczeństwo...

Wczoraj rano stanął na skraju Pierwszego Mostu i chociaż uradował go widok Erasmusa, to nagle zrobiło mu się ciężko na duszy.

–Powinniśmy już przejść przez ten most, Anjin-san – powiedziała Mariko.

–Tak, ale to przecież zwykły most. Jeden z wielu. Chodź, Mariko-san. Po tym moście przejdź przy moim boku. Przy moim boku, proszę cię. Wejdźmy razem – dodał po łacinie – i wyobraź sobie, że idziemy ręka w rękę, żeby wszystko zacząć od nowa.

Wysiadła z palankinu i poszła obok niego aż do końca mostu. A potem skryła się ponownie za zasłonami w palankinie i weszli na małe wzniesienie. Przy bramie zamku czekał Buntaro.

Blackthorne przypomniał sobie, jak się modlił, żeby piorun strzelił z jasnego nieba.

–Nie masz z nim żadnych kłopotów, prawda? – spytał jeszcze raz, kiedy weszli na ostatnie piętro.

Pokręciła przecząco głową.

–Statek jest w pełni gotów, Anjin-san? – spytał Toranaga. – Na pewno?

–Na pewno, wielmożny panie. Jest w świetnym stanie.

–Ilu dodatkowych ludzi... ilu ludzi więcej chcesz mieć na statku... – Toranaga spojrzął na Mariko. – Spytaj go, proszę, ilu jeszcze ludzi potrzebuje, żeby pływać tym statkiem jak należy. Pragnę, żeby dokładnie wiedział, jakie informacje chcę uzyskać.

– Anjin-san mówi, że do żeglugi tym statkiem potrzeba co najmniej trzydziestu marynarzy i dwudziestu artylerzystów. Jego załoga liczyła pierwotnie stu siedmiu ludzi, wliczając w to kucharzy i kupców. Do pływania i walki na tych wodach wystarczyłoby dwustu samurajów.

–I uważa, że pozostałych ludzi, których potrzebuje, można by wynająć w Nagasaki?

–Tak, wielmożny panie.

–Ja na pewno nie zaufałbym najemnikom – rzekł z odrazą Toranaga.

–Przepraszam, wielmożny panie, czy mam to przelożyć?

–Słucham? O, nie, to nieważne.

Toranaga wstał, nadal udając, że jest w złym humorze, i spojrzął przez okna na deszcz. Ulewa przesłaniała miasto. Niech leje miesiącami, pomyślał. O bogowie, sprawcie, żeby deszcze padały aż do Nowego Roku. Kiedy Buntaro zobaczy się z moim bratem?

–Przekaż Anjin-sanowi, że jego wasali przyślę mu jutro. Dziś okropna pogoda – powiedział. – Będzie lało przez cały dzień... Nie ma sensu moknąć. „Tak, wielmożny panie”, usłyszał jej odpowiedź i uśmiechnął się do siebie z ironią. Jak dotąd pogoda jeszcze nigdy nie odwiodła mnie od niczego. To na pewno powinno przekonać ją i innych wątpiących, że nieodwracalnie zmieniłem się na gorsze, pomyślał, zdając sobie sprawę, że jeszcze nie wolno mu zmienić taktyki.

–Jutro czy pojutrze, czy to ważne? – ciągnął. – Kiedy będę gotów, wezwę go. Do tego czasu ma czekać w zamku.

Przysłuchiwał się, jak przekazuje jego polecenie Anjinowi.

–Tak, panie Toranaga, rozumiem – odparł Blackthorne. – Ale czy, z całym szacunkiem, wolno spytać: możliwe prędko jadę Nagasaki? Myślę, to ważne. Bardzo przepraszam.

–O tym zadecyduję później – rzekł szorstko Toranaga, tak żeby pilot nie był pewny swego. Dał mu znak, że ma odejść. – Do widzenia, Anjin-san. Niedługo zadecyduję o

twojej przyszłości. – Spostrzegł, że tamten ma chęć nalegać, ale że z grzeczności się powstrzymuje. To dobrze, przynajmniej uczy się dobrych manier, pomyślał. – Powiedz Anjin-sanowi, że nie musi na ciebie czekać, Mariko-san. Do widzenia, Anjin-san.

Mariko spełniła polecenie. Toranaga odwrócił się do nich plecami, żeby przyjrzeć się miastu i ulewie. Wsłuchał się w szum deszczu. Za Anjin-sanem zamknęły się drzwi.

–O co się pokłóciliście? – spytał, nie patrząc na Mariko.

–Słucham, wielmożny panie?

Jego wyczulony słuch pochwycił w jej głosie leciutkie drżenie. – Ty i Buntaro, oczywiście, a może miałaś jeszcze jakąś inną sprzeczkę na mój temat? – dodał z gryzącą ironią, ponieważ musiał szybko załatwić tę sprawę. – Może z Anjin-sanem, może z moimi chrześcijańskimi wrogami albo z Tsukku-sanem?

–Nie, wielmożny panie. Bardzo cię przepraszam. Ta kłótnia zaczęła się jak zawsze, tak jak większość sprzeczek pomiędzy mężem i żoną. Doprawdy o nic. Sprzeczką, w której po chwili raptem oboje zaczynają wypominać sobie całą przeszłość, a jeżeli są w nastroju do kłótni, to przeszłość ta zatruwa i jego, i ją.

–A byliście w takim nastroju?

–Tak. Bardzo przepraszam. To ja bezlitośnie sprowokowałam męża. Wina była wyłącznie po mojej stronie. Żałuję tego, wielmożny panie, ale w dzisiejszych czasach, niestety, ludzie mówią złe rzeczy.

–Ależ mówże prędzej, jakie to złe rzeczy?

Przypominała zagonioną łanię. Twarz miała białą jak kreda. Wiedziała, że szpiedzy na pewno donieśli mu, co wykrzykiwali ona i Buntaro w domowym zaciszu.

Zrelacjonowała mu całą rozmowę z mężem najlepiej, jak pamiętała. A potem dodała:

–Uważam, że mój mąż wyrzekł te słowa w furii, którą ja sprowokowałam. Jest wierny... wiem, że jest wierny. Jeżeli ktokolwiek ma ponieść za to karę, to ja, wielmożny panie. To ja wywołałam u niego ten wybuch wściekłości.

Toranaga z kamienną twarzą znów usiadł na poduszce, prosto, jakby połknął kij.

–Co powiedziała pani Genjiko? – spytał.

–Jeszcze z nią nie rozmawiałam, wielmożny panie.

–Ale masz taki zamiar albo miałaś, ne?

–Nie, wielmożny panie. Za twoim pozwoleniem zamierzam natychmiast wyjechać do Osaki.

–Wyjedziesz, kiedy ci powiem, ale nie prędeż. Każda zdrada to podłość!

Na te chłoszczące jak bat słowa Mariko ukloniła się.

–Tak, wielmożny panie. Bardzo przepraszam. Cała wina jest po mojej stronie...

Toranaga zadzwonił małym ręcznym dzwonkiem. Otworzyły się drzwi i stanął w nich Naga.

–Każ tu natychmiast przybyć panu Sudarze z panią Genjiko – polecił.

–Tak, wielmożny panie – odparł Naga i odwrócił się, chcąc odejść.

–Zaczekaj! A potem zwołaj moją radę, Yabu i wszystkich... wszystkich starszych dowódców. Mają się tu stawić o północy. Usuń ludzi z tego piętra. Wszystkich strażników! Wróć tu, z Sudarą!

–Tak, wielmożny panie.

Poblady Naga zamknął drzwi.

Toranaga usłyszał stukot nóg samurajów, którzy zbiegali po schodach. Piętro opustoszało. Zatrzasnął drzwi i zaryglował je. Podniósł drugi dzwonek i zadzwonił. Na drugim końcu sali otworzyły się drzwi. Były one ledwo widoczne, bo bardzo pomysłowo wkomponowano je w boazerię. Stanęła w nich mocno zbudowana kobieta w średnim wieku.

Ubrana była w habit z kapturem, jaki noszą buddyjskie mniszki.

–Tak, Wielki Panie? – spytała.

–Proszę o cha, Chano-chan – powiedział Toranaga. Drzwi zamknęły się. Jego wzrok znów spoczął na Mariko. – A więc uważasz, że jest wierny?

–Wiem o tym, wielmożny panie. Bardzo przepraszam, to nie była jego wina, tylko moja – odparła, gotowa błagać go. – Ja go sprowokowałam.

–Tak, sprowokowałaś go. To oburzające. Straszne. Niewybaczalne! – Toranaga wyjął papierową chustkę i otarł czoło. – Ale pomyślnie – rzekł.

–Słucham, wielmożny panie?

–Gdybyś go nie sprowokowała, to być może w ogóle nie dowiedziałbym się o zdradzie. Natomiast gdyby powiedział to bez sprowokowania, pozostawałoby mi tylko jedno. A tak stworzyłaś mi wybór.

–Słucham, wielmożny panie?

Toranaga milczał. Myślał właśnie: „Szkoda, że nie ma tu Hiro-matsu, miałbym wtedy przy sobie przynajmniej jednego człowieka, któremu mogę bezgranicznie ufać”.

–A co z tobą? Co z twoją wiernością?

–Ależ wielmożny panie, przecież na pewno wiesz, że jestem ci wierna.

Nie odpowiedział. Wzrok miał bezlitosny.

Otworzyły się wewnętrzne drzwi i do sali weszła śmiało bez pukania mniszka Chano z tacą.

–Proszę, Wielki Panie, cha była gotowa. – Uklękła po chłopsku. Ręce też miała chłopskie, szorstkie, ale zachowywała się z wielką pewnością i promieniowała spokojem ducha. – Niechaj Budda obdarzy cię spokojem – rzekła, a potem zwróciła się w stronę Mariko, ukloniła się jej po chłopsku i wygodnie usadowiła. – Może sprawisz mi zaszczyt i nalejesz cha, pani – zaproponowała. – Zrobisz to pięknie i jej nie rozlejesz, ne?

W jej oczach błyszczało dyskretne rozbawienie.

–Z przyjemnością, Oku-san – zgodziła się Mariko, tytułując ją duchową matką i skrywając zaskoczenie. Matkę Nagi widziała po raz pierwszy. Znała większość pozostałych oficjalnych konkubin Toranagi, bo widziała je na uroczystościach, ale dobre stosunki łączyły ją tylko z Kiritsubo i panią Sazuko.

–Chano-chan, to jest pani Toda Mariko-no-Buntaro.

–Ah so desu, bardzo przepraszam, wzięłam cię, pani, za jedną z czcigodnych dam mojego Wielkiego Pana. Zechciej mi wybaczyć, pani Toda, niechaj Budda ci błogosławi.

–Dziękuję – powiedziała Mariko.

Podawała filiżankę Toranadze, który ją przyjął i się napił.

–Nalej Chano-chan i sobie – zaproponował.

–Bardzo przepraszam, Wielki Panie, ale za twoim pozwoleniem, dla mnie nie. Zadnią gębę mam pełną cha, a do wiadra za daleko na moje sterane kości.

–Przydałoby ci się trochę ćwiczeń – odparł Toranaga, rad, że posłał po nią, kiedy powrócił do Edo.

–Tak, Wielki Panie, masz rację... tak jak zawsze. – Chano ponownie zwróciła się do Mariko. – A więc jesteś córką pana Akechiego Jinsai...

Filizanka w” ręku Mariko znieruchomiła niepewnie w powietrzu.

–Tak. Wybacz, proszę...

–Och, a co tu jest do wybaczenia, dziecko? – Chano zaśmiała się życzliwie, a brzuch jej się zatrząsł. – Wybacz mi, że nie znając twojego nazwiska nie rozpoznałam cię, ale przecież ostatni raz widziałam cię na twoim ślubie.

–Tak?;

–A, tak, ja ciebie tam widziałam, ale ty mnie nie. Podglądałam zza zasłony. Tak jest, ciebie i wszystkich wielkich panów, dyktatora i Nakamurę, przyszłego taikō, całą szlachtę. Och, byłam zbyt nieśmiała, żeby dotrzymać im towarzystwa. Ale to były dla mnie wspaniałe dni. Najlepsze w moim życiu. Mój Wielki Pan darzył mnie względami drugi rok, a ja byłam przy nadziei, niemniej pozostałam chłopką, którą się urodziłam. – Wokół jej oczu pojawiły się zmarszczki. – Bardzo mało zmieniłaś się od tamtych czasów, pani, nadal jesteś jedną z wybranek Buddy – dodała.

–Och, chciałabym, żeby to była prawda, Oku-san.

–To jest prawda. Czy wiedziałaś, że jesteś jedną z wybranek Buddy?

–Nie jestem nią, Oku-san, nawet gdybym bardzo tego pragnęła.

–Jest chrześcijanką – wyjaśnił Toranaga.

–Aha, chrześcijanką, a jaka to różnica dla kobiety: być chrześcijanką czy buddystką, Wielki Panie? Niekiedy niewielka, chociaż nie zawadzi, jeśli kobieta ma jakiegoś boga. – Chano zaśmiała się wesoło. – My, kobiety, potrzebujemy boga, Wielki Panie, żeby pomagał nam radzić sobie z mężczyznami, ne?

–A my, mężczyźni, potrzebujemy cierpliwości, boskiej cierpliwości, żeby radzić sobie z kobietami, ne?

Mniszka zaśmiała się i w sali od razu zrobiło się milej, a złe przeczucia Mariko chwilowo nieco zelżały.

–Tak, Wielki Panie – ciągnęła Chano – a wszystko dlatego, że czyjś Niebiański Pawilon nie ma przed sobą przyszłości, brakuje mu odrobiny ciepła, za to piekła

zaznaje w obfitości.

Toranaga chrząknął.

–I co ty na to, Mariko-san? – spytał.

–Pani Chano jest mądra ponad swój młody wiek – odparła Mariko.

–Ach, pani, mówisz miłe rzeczy głupiej starej – powiedziała mniszka. – Pamiętam cię tak dobrze. Miałaś wtedy niebieskie kimono w najpiękniejsze żurawie, jakie widziałam w życiu. Srebrne. – Jej spojrzenie powróciło do Toranagi. – No cóż, Wielki Panie, chciałam przysiąc na chwilę. A teraz, wybaczyć, że pójdę. –

–Jest jeszcze czas. Nie odchodź.

–Tak, Wielki Panie – odparła Chano, wstając ociężale. – Tak jak zawsze byłabym ci posłuszna, ale natura mnie wzywa. Bądź więc miły dla starej wieśniaczki, „bo za nic nie chciałaby ci przynieść wstydu. Czas iść. Wszystko jest przygotowane. Jedzenie i sake, kiedy tylko sobie życzysz, Wielki Panie.

–Dziękuję.

Drzwi zamknęły się za nią bezgłośnie. Mariko czekała, aż Toranaga opróżni filiżankę, po czym napełniła ją ponownie.

–O czym myślisz? – spytał.

–Czekałam, wielmożny panie.

–Na co, Mariko-san?

–Panie, jestem hatamoto. Jeszcze nigdy o nic nie prosiłam. Chciałabym więc prosić cię, jako hata...

–Nie życzę sobie żadnych twoich próśb, do których masz prawo jako hatamoto:- przerwał jej.

–W takim razie pozwól, że złożę ci prośbę życia.

–Nie jestem twoim mężem, bym mógł na to pozwolić.

–Czasem jednak poddany może prosić o coś swojego lennego pana.

–Czasem tak, ale nie w tej chwili! Zabraniam ci w tej chwili wspominać o jakichkolwiek próśbach życia, nagrodach, życzeniach i tym podobnych.

Zgodnie ze starożytnym zwyczajem prośba życia była przywilejem, o który – bez utraty twarzy – żona mogła prosić męża, syn ojca, a niekiedy mąż żonę, pod warunkiem, że w razie jej spełnienia, osoba ta zgadzała się nigdy już o nic nie prosić. Zwyczaj nakazywał, aby na temat owego życzenia nie zadawać żadnych pytań ani nigdy więcej o nim nie wspominać.

Do drzwi ktoś – grzecznie zapukał.

–Odsuń rygiel – rzekł Toranaga.

Mariko wypełniła polecenie. Do sali weszli Sudara, za nim jego żona, pani Genjiko, i Naga.

–Naga-san – Toranaga zwrócił się do syna. – Zejdiesz na drugie piętro i dopilnujesz, żeby nikt bez mojego rozkazu nie wszedł na górę.

Naga wyszedł.

–Mariko-san, zamknij drzwi i „usiądź tu.

Toranaga wskazał jej miejsce tuż przed sobą chcąc, żeby siadła twarzą do wezwanych.

–Wezwałem tu was oboje – rzekł – ponieważ musimy omówić sprawy rodzinne, które nie cierpią zwłoki.

Oczy Sudary mimowolnie powędrowały do Mariko i znów spoczęły na ojcu. Pani Genjiko ani drgnęła.

–Pani Toda jest tutaj z dwóch powodów, synu -. powiedział szorstko Toranaga. – Po pierwsze dlatego, że ja tego chcę, a po drugie dlatego, że ja tego chcę!

–Tak, ojcze – odparł Sudara, zawstydzony niegrzecznym zachowaniem ojca wobec nich wszystkich. – Wolno spytać, czym cię uraziłem?

–A czy jest jakiś powód do urazy?

–Nie, wielmożny panie, chyba że takim powodem jest moja gorliwość w zapewnieniu ci bezpieczeństwa i to, że nie chcę dopuścić, żebyś się rozstał z tym światem.

–A co powiesz o zdradzie? Doszło do mnie, że ośmielasz się przywłaszczać sobie moje miejsce jako głowa naszego rodu!

Sudara zbladł. Tak samo pani Genjiko.

–Nigdy nie zrobiłem tego myślą, słowem ni uczynkiem. Podobnie jak nikt z mojej

godziny ani nikt w mojej obecności.

–To prawda, wielmożny panie – potwierdziła z równą mocą pani Genjiko.

Sudara był dumnym, szczupłym mężczyzną o zimnych, wąskich oczach i cienkich ustach, które nigdy się nie uśmiechały. Ten dwudziestoczterolatek, drugi z pięciu żyjących synów Toranagi, był dobrym dowódcą. Uwielbiał swoje dzieci, nie miał konkubin i był oddany żonie.

Genjiko była niska, trzy lata starsza od męża i pękata po urodzeniu czworga potomków. Ale chodziła z podniesioną głową, miała w sobie całą dumę swojej siostry Ochiby, była bezgranicznie opiekuńcza wobec dzieci i drzemała w niej ta sama co u tamtej dzikość, którą obie odziedziczyły po dziadku Gorodzie.

–Każdy, kto oskarża mojego męża, jest kłamcą – oświadczyła.

–Mariko-san – rzekł Toranaga – wyjaw pani Genjiko, co ci kazał powiedzieć twój mąż!

–Mój pan Buntaro poprosił mnie, rozkazał mi, abym cię przekonała, że nadszedł czas, żeby pan Sudara przejął władzę, że inni w radzie pana Toranagi podzielają jego zdanie, że jeśli pan Toranaga nie zechce zrzec się władzy, to... to powinno się go jej pozbawić siłą.

–Nikom z nas taka myśl nie powstała w głowie, ojczy – odparł Sudara. – Jesteśmy ci wierni i nigdy bym nie roz...

–A gdybym ci przekazał władzę, to co byś zrobił? – spytał Toranaga.

–A skąd pan Sudara może to wiedzieć, skoro nigdy nie brał pod uwagę takiej niegodziwości – odparła natychmiast Genjiko. – Bardzo przepraszam, wielmożny panie, ale nie może ci na to odpowiedzieć, ponieważ nigdy o tym nie myślał. Jakże mogło mu przyjść na myśl coś podobnego? A co do pana Buntaro, to na pewno opętał go zły kami.

–Buntaro oświadczył, że inni dzielają jego zdanie.

–Kto? – spytał jadowitym tonem Sudara. – Powiedz mi, kim oni są, a po chwili już nie będą żyć.

–To ty mi to powiedz!

–Nie znam nikogo takiego, wielmożny panie, bo gdybym znał, to już bym ci o nim doniósł.

–A czy pierwaj byś ich nie zabił?

–Twoim pierwszym prawem jest być cierpliwym, drugim – być cierpliwym. Zawsze byłem posłuszny twoim rozkazom. Zaczekałbym i najpierw zawiadomił ciebie. Jeżeli cię obraziłem, każ mi popełnić seppuku. Nie zasłużyłem sobie na twój gniew, wielmożny panie, nie popełniłem zdrady. Nie mogę znieść, że wylewasz na mnie swój gniew.

–Tak, wielmożny panie – poparła go pani Genjiko. – Racz wybaczyć, ale pokornie zgadzam się z moim mężem. Jest niewinny, tak jak i reszta naszych ludzi. Jesteśmy wierni, wszystko, co mamy, należy do ciebie, dzięki tobie jesteśmy tym, kim jesteśmy, i spełnimy każde twoje życzenie.

–Aha! Jesteście wiernymi wasalami, tak? Posłusznymi? Zawsze wypełniacie rozkazy?

–Tak, wielmożny panie.

–To dobrze. W takim razie idźcie i uśmierćcie wasze dzieci. Już.

Sudara zdjął wzrok z ojca i spojrzał na żonę.

Poruszyła głową i skinęła nią na znak zgody.

Sudara uklonił się Toranadze. Zaciśnął dłoń na rękojeści miecza i – wstał. Cicho zamknął za sobą drzwi. Pozostała po nim wielka cisza. Genjiko zerknęła na Mariko, a potem wpatrzyła się w podłogę.

Dzwony wydzwoniły połowę godziny Kozła. Atmosfera w sali zagęściła się jeszcze bardziej. Deszcz ustał na krótko, a potem znów zaczął padać mocniej.

Tuż po wybiciu przez dzwony kolejnej godziny zapukano do drzwi.

–Tak?

Drzwi otwarły się.

–Wybacz, wielmożny panie, ale mój brat... – zaczął Naga. – Pan Sudara chce znowu wejść na górę.

–Wpuść go... i wróć na posterunek.

Sudara wszedł, ukląkł i uklonił się. Był przemoczony do suchej nitki, deszcz zmierzwił mu włosy. Ramiona lekko mu drżały.

–Moje... moje dzieci są... Ty już je zabrałeś, wielmożny panie. Genjiko zachwiała się

i niewiele brakowało, aby upadła.

–Ty... nie zabiłeś ich? – spytała męża.

Sudara potrząsnął przecząco głową, a Toranaga powiedział:

–Wasze dzieci są w moich pokojach, piętro niżej. Poleciałem Chano-san, żeby sprowadziła je tam, kiedy was tu wezwałem: Musiałem mieć pewność co do was dwojga. Niegodziwe czasy wymagają niegodziwych prób.

Zadzwoił ręcznym dzwonkiem.

–Czy... czy cofasz swój... swój rozkaz, wielmożny panie? – spytała Genjiko, za wszelką cenę starając się zachować stateczną godność.

–Tak. Cofam go. Tym razem. Był on konieczny, żeby was poznać. A także mojego dziedzica.

–Dziękuję ci, dziękuję ci, wielmożny panie.

Sudara czołobitnie skłonił głowę.

Otworzyły się wewnętrzne drzwi.

–Chano-san, przyprowadź tu na chwilę moje wnuki – powiedział Toranaga.

Wkrótce potem trzy ciemno ubrane piastunki i mamka wprowadziły dzieci. Dziewczynki miały lat cztery, trzy i dwa, a kilkudniowy syn, niemowlak, spał w ramionach mamki. Wszystkie dziewczynki były w czerwonych kimonach, a we włosach nosiły czerwone wstążki. Piastunki uklękły, ukłoniły się Toranadze, a ich podopieczne, naśladując je, zrobiły to samo z wielką powagą i dotknęły czołami tatami, oprócz najmłodszej, której głowa potrzebowała pomocy łagodnej, lecz stanowczej ręki.

Toranaga odkłonił się im z powagą. Potem, spełniwszy swój obowiązek, dziewczynki rzuciły się mu w objęcia, oprócz najmłodszej, która niepewnym krokiem dotarła w ramiona matki.

Otworzyły się boczne drzwi. Wszedł przez nie Toranaga. Za nim Sudara. Zebrani dowódcy ukłonili się sztywno. Toranaga odkłonił im się i siadł twarzą do nich. Sudara, jako jego prawdopodobny następca, zajął miejsce nieco przed nim, również siadając twarzą do reszty. Od głównych drzwi sali nadszedł Naga i zamknął drzwi boczne.

Tylko Toranaga nosił miecze.

–Doniesiono mi, że niektórzy z was mówią o zdradzie, myślą o zdradzie i planują zdradę – powiedział chłodno.

Nikt się nie odezwał i nikt się nie poruszył. Toranaga wolno przesuwał wzrokiem po twarzach zgromadzonych. Nadal siedzieli bez jednego ruchu...

–Wielmożny panie, z całym szacunkiem, czy wolno spytać, co rozumiesz przez „zdradę”? – spytał generał Kiyoshio.

–Każde kwestionowanie rozkazów, decyzji bądź stanowiska swojego lennego pana jest zawsze, w każdej chwili, zdradą! – odparł gwałtownie Toranaga.

Generał zjeżył się.

–W takim razie jestem winien zdrady – stwierdził.

–A więc natychmiast stąd wyjdź i popełnij seppuku.

–Tak zrobię, wielmożny panie – odparł dumnie żołnierz – ale wpierw domagam się prawa do swobodnego wypowiedzenia się w obecności twoich oficerów i dorad...

–Utraciłeś wszystkie prawa!

–Dobrze. W takim razie domagam się tego jako przysługującej mi prośby życia. Jako twój hatamoto, który wiernie ci służył przez dwadzieścia osiem lat.

–Streszczaj się.

–Dobrze, wielmożny panie – odparł lodowato Kiyoshio. – Po pierwsze: pozwolę sobie powiedzieć, że jazda do Osaki i kłanianie się temu wieśniakowi Ishido jest zdradą wobec twojego honoru, honoru twojego rodu, honoru twoich wasali, wobec twojego wspaniałego dziedzictwa, a ponadto jest całkowicie sprzeczna z bushido. Po drugie: oskarżam cię o tę zdradę i oświadczam, że z tej przyczyny utraciłeś prawo do bycia naszym lennym panem. Po trzecie: proszę cię, żebyś natychmiast zrzekł się władzy na rzecz pana Sudary i zaszczytnie rozstał się z życiem... albo ogolił głowę i wstąpił do klasztoru, co wolisz.

Generał ukłonił się chłodno i usiadł na piętach. Wszyscy czekali ledwie oddychając, bo to, co było tak niedawno nie do pomyślenia, stało się rzeczywistością.

–Na co jeszcze czekasz? – wysyczał znienacka Toranaga. Generał Kiyoshio wpatrzył się w niego.

–Na nic, wielmożny panie. Bardzo przepraszam.

Kiyoshio ukłonił się Toranadze po raz ostatni, wstał i z ogromną godnością

wyszedł. Część zebranych poprawiła się nerwowo na swoich miejscach, przez salę przeszedł szmer, ale szorstkie zachowanie Toranagi znów narzuciło posłuch.

–Czy jeszcze ktoś przyznaje się do zdrady? – spytał. – Czy jeszcze ktoś ośmiela się naruszać kodeks bushido? Czy jeszcze ktoś ośmiela się zarzucić lennemu panu zdradę?

–Wybacz, wielmożny panie – odezwał się spokojnie Isumi, jego starszy doradca. – Z przykrością muszę powiedzieć, że jeżeli pojedziesz do Osaki, zdradzisz dziedzictwo swoich przodków.

–W dniu, w którym pojedę do Osaki, ty opuścisz tę ziemię. Siwowłosa mężczyzna ukłonił się grzecznie.

–Tak, wielmożny panie.

Toranaga przyjrzał się zebrany. Bezlitosnym wzrokiem. Niektórzy poruszyli się niespokojnie, wszyscy zaś wbili w niego wzrok. Jeden z samurajów, były wojownik, który wiele lat temu stracił ochotę do walki, ogolił głowę i stał się buddyjskim mnichem, a w tej chwili należał do cywilnej administracji Toranagi, wprowadził nic nie powiedział, ale skurczył się z wielkiej trwogi, rozpaczliwie starając się ją ukryć.

–Czego się boisz, Numata-san?

–Niczego, wielmożny panie – odparł mnich ze spuszczonego wzrokiem.

–To dobrze. Idź i popełnij seppuku, ponieważ jesteś kłamcą, a twój strach zaraźliwie cuchnie.

Mnich zajęczał i wyszedł, potykając się. Strach padł na wszystkich. Toranaga obserwował ich. I czekał.

Atmosfera stała się nieznośna, ciche trzaski płonących pochodni brzmiały niesamowicie głośno. I wówczas Sudara, wiedząc, że na niego spada ten obowiązek i odpowiedzialność, odwrócił się w stronę ojca i ukłonił..’.

–Wielmożny panie, z całym szacunkiem, czy pozwolisz mi wygłosić oświadczenie?

–Jakie oświadczenie?

–Uważam, wielmożny panie, że nie ma... że w tej sali nie ma więcej zdrajców i że nie będzie już zdra...

–Mam inne zdanie.

–Przepraszam, wielmożny panie, wiesz, że będę ci posłuszny. Wszyscy będziemy ci

posłuszni. Zabiegamy jedynie o to, co najlepsze dla twojego...

–Najlepsze jest to, co sam postanowię. Moja decyzja jest najlepsza! Bezradny Sudara przyznał mu rację i zamilkł. Toranaga nie zdjął z niego wzroku. Patrzył bezlitośnie.

–Przestałeś być moim dziedzicem – oświadczył.

Sudara zbladł. I wówczas Toranaga przeciął napięcie panujące w sali mówiąc:

–To ja jestem waszym suzerenem!

Odczekał chwilę, a potem w ciszy jak makiem zasiał wstał i wyniosłym krokiem opuścił salę. Drzwi zamknęły się za nim. Przez salę przebiegło ogromne westchnienie. Dłonie bezradnie szukały rękojeści mieczy... Ale nikt nie wstał z miejsca.

–Dziś... dziś rano... dostałem wiadomość od naszego naczelnego wodza – odezwał się wreszcie Sudara. – Za parę dni przybędzie tutaj pan Hiro-matsu. Ja... porozmawiam z nim. Milczcie, zachowajcie cierpliwość, bądźcie wierni naszemu lennemu panu. Chodźmy – i złożmy honory generałowi Seracie Kiyoshio...

Straszliwie samotny Toranaga szedł po schodach wśród ech własnych kroków w pustce wieży. Blisko jej szczytu zatrzymał się i ciężko dysząc oparł się na chwilę o ścianę. Znow chwycił go ból w klatce piersiowej. Zaczął ją masować.

–To tylko brak ćwiczeń – mruknął. – Wyłącznie to, brak ćwiczeń.

Ruszył dalej. Wiedział, że znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie. Zdrada i strach były zaraźliwe i należało je wyplenić bez litości z chwilą pojawienia. Ale i tak nigdy nie było pewności, czy to się udało. Walka, w którą się wdał, nie była dziecięcą zabawą. Słabi musieli paść pastwą silnych, a silni stać się pionkami w ręku bardzo silnych. Gdyby Sudara publicznie upomniał się o władzę, nic nie mógłby na to poradzić. Aż do nadejścia odpowiedzi Zatakiego musiał czekać.

Kiedy zamknął i zaryglował drzwi, podszedł do okna. W dole dojrzał swoich generałów i doradców, którzy w milczeniu wracali do kwater poza murami obronnymi wieży. Miasto za murami zamku tonęło niemal w całkowitych ciemnościach. W górze świecił blady, zamglony księżyc. Noc była posępna i mroczna. Miał wrażenie, że po niebie kroczy ku niemu zguba.

Blackthorne ze słownikiem w ręku siedział samotnie w porannym słońcu w kącie ogrodu przed domem gościnnym i marzył na jawie. Był piękny bezchmurny dzień, pierwszy taki od wielu tygodni, piąty od jego ostatniego spotkania z Toranagą. Przez cały ten czas był skazany na pobyt w zamku – nie widział Mariko, nie mógł iść na statek ani do swojej załogi, zwiedzić miasta, zapolować bądź pojeździć konno. Raz dziennie szedł z jakimś samurajem popływać w zamkowej fosie, a dla zabicia czasu niektórych uczył pływać, a innych nurkować. Nie było mu jednak dzięki temu łatwiej czekać.

–Przepraszam, Anjin-san, ale to samo dotyczy wszystkich – powiedziała mu wczoraj Mariko, kiedy przypadkiem napotkał ją w swojej części twierdzy. – Czeką nawet pan Hiro-matsu. Przyjechał dwa dni temu, a dotąd nie widział pana Toranagi. Nikt go nie widział.

–Ale to ważna sprawa, Mariko-san. Myślałem, że zrozumiał, iż liczy się każdy dzień. Czy mogę jakoś przekazać mu wiadomość?

–O, tak, Anjin-san. To proste. Po prostu napisz – odparła. – Jeżeli mi powiesz, co chcesz mu przekazać, to napiszę ci list. Każdy musi pisemnie poprosić o posłuchanie, tak rozkazał. Bądź cierpliwy, tylko to nam wszystkim pozostaje.

–Wobec tego poproś go o posłuchanie. Rad bym...

–To żaden kłopot, zrobię to z przyjemnością.

–Gdzie byłaś? Nie widziałem cię cztery dni.

–Wybacz, ale miałam tak wiele rzeczy do załatwienia. Jest... jest mi poniekąd trudno, tyle przygotowań...

–Co się tu dzieje? Od blisko tygodnia cały zamek przypomina rój, który lada moment wyleci z ula.

–Och, przepraszam. Wszystko jest w porządku, Anjin-san.

–Tak? Przepraszam, a ten generał i starszy urzędnik, którzy popełniają seppuku na dziedzińcu przed wieżą? To normalne? Pan Toranaga, który zamyka się w wieży z kości słoniowej, każąc swoim ludziom czekać bez żadnego widocznego powodu, to też normalne? A co z panem Hiro-matsu?

–Pan Toranaga jest naszym władcą... Cokolwiek robi, jest słuszne.

–A ty, Mariko-san? Dlaczego cię nie widywałem?

–Bardzo cię przepraszam, wybacz, ale pan Toranaga polecił, żeby dać ci spokój, byś mógł postudiować język. Właśnie odwiedzam twoją konkubinę, Anjin-san. Nie przybyłam w odwiedziny do ciebie.

–A dlaczego on miałby coś przeciwko temu?

–Przypuszczam, że zależy mu, byś musiał posługiwać się naszym językiem. Przecież to tylko kilka dni, ne?

–Kiedy wyjeżdżasz do Osaki?, – Nie wiem. Sądziłam, że wyjadę trzy dni temu, ale pan Toranaga nie podpisał mi przepustki.

–Myślałem, że to ja zawiozę cię do Osaki statkiem. Nie mówił ci, że zawiozę cię tam statkiem?

–Tak. Tak mówił, ale... z naszym panem nigdy nic nie wiadomo, Anjin-san. Zmienia plany.

–Czy zawsze tak było?

–Tak i nie. Od Yokose popadł... jak to się mówi... w melancholię, ne? Tak, w melancholię. I bardzo się zmienił. On... tak”, zmienił się.

–Od przejścia Pierwszego Mostu ty również popadłaś w melancholię i bardzo się zmieniłaś. Tak, jesteś inna.

–Pierwszy Most był końcem i początkiem, Anjin-san, a także naszą tajemnicą. Ne?

–Tak. Bardzo przepraszam...

Ukłoniła się zasmucona i odeszła, a gdy znalazła się w bezpiecznej odległości od niego, nie odwracając się szepnęła „Mój ty...” Słowa te pozostały w korytarzu tak długo, jak zapach jej perfum...

Dźwięki gongów obwieściły zmianę godziny. Po raz pierwszy pomyślał, że to środek godziny Konia, a nie osiem szklanek wachty – samo południe.

Wsunął słownik do rękawa ciesząc się, że nadszedł czas na pierwszy tego dnia prawdziwy posiłek.

Dzisiaj był to ryż, gotowane krewetki, zupa rybna i pikle.

–Chcesz więcej, Anjin-san?– spytała Fujiko.

–Dziękuję. Tak. Proszę o ryż i trochę ryby. Dobrze... bardzo... – Sprawdził słowo „smaczny” i powtórzył je kilka razy dla zapamiętania. – Tak, smaczne, ne?

Fujiko ucieszyła się.

–Dziękuję. To ryby z północy. Woda na północy zimniejsza, rozumiesz? Ta ryba nazywa się kurima-ebi.

Powtórzył tę nazwę i zapamiętał. Kiedy skończył jeść i służba zabrała tace, Fujiko nałala cha i wyjęła z rękawa paczuszkę.

–Oto pieniądze, Anjin-san – powiedziała i pokazała mu złote monety. – Pięćdziesiąt kobanów. Warte sto pięćdziesiąt koku. Chcesz je, ne? Na żeglarzy. Przepraszam, czy rozumiesz?

–Tak, dziękuję ci.

–Proszę bardzo. To dość?

–Tak. Tak myślę. Skąd masz?, – Główny zarządca wielmożnego pana Toranagi... – Fujiko szukała sposobu, żeby wyjaśnić to prościej. – Poszłam do ważnego człowieka pana Toranagi. Naczelnika. Jak Mura, ne? Nie samuraja... tylko człowieka od pieniędzy. Napisałam swoje nazwisko za ciebie.

–A, rozumiem. Dziękuję. Moje pieniądze? Moje koku?

–O, tak.

–Ten dom. Jedzenie. Służba. Kto płaci?

–Och, ja płacę. Z twojego... koku za rok.

–Czy to dosyć, proszę? Dostyc koku?

–O, tak. Tak, tak myślę – odparła.

–Czemu zmartwienie? Zmartwienie na twarzy?

–Och, przepraszam, Anjin-san. Nie jestem zmartwiona. Nie zmartwiona...

–Boli? Boli oparzenie?

–Nie boli. Zobacz. – Fujiko ostrożnie wstała z grubych poduszek, z których, ponieważ na to nalegał, korzystała. Nie zdradzając najmniejszych oznak bólu, uklękła na tatami, po czym usiadła na piętach i usadowiła się. – Proszę, wszystko lepiej.

–liii, bardzo dobrze – powiedział, zadowolony. – Pokaż, co?

Wstała ostrożnie, zadarła kimona i halki i pokazała mu nogi. Tkanka blizny nie była popękana i nie ropiąca.

–Bardzo dobrze – powtórzył. – Tak, niedługo jak skóra dziecka, ne?

–Dziękuję ci, tak. Miękka. Dziękuję ci, Anjin-san.

Zauważył leciutką zmianę w jej głosie, ale nie skomentował tego. Tej nocy nie odprawił jej.

Poduszkowanie zadowoliło go. Nic ponadto. Nie pozostawiło uczucia rozkoszy, radosnego znużenia. Po prostu był to najnormalniejszy stosunek. To bardzo niedobrze, pomyślał, chociaż jednak mimo wszystko nie, ne?

Zanim wyszła, uklękła, złożyła mu ponownie ukłon i położyła dłonie na czole.

–Dziękuję ci z całego serca – powiedziała. – Teraz, proszę, zaśnij, Anjin-san.

–Dziękuję, Fujiko-san. Zasnę później.

–Zaśnij teraz, proszę. To mój obowiązek i sprawiłbyś mi wielką przyjemność.

Jej dłoń była w dotyku ciepła, sucha i niemiła. Niemniej udał, że układa się do snu. Pieściła go nieumiejętnie, choć bardzo cierpliwie. Wreszcie po cichu wróciła do swojego pokoju. Zadowolony z tego, że został sam, Blackthorne podparł głowę rękami i wpatrzył się w ciemność.

Toranaga rozwinął mały zwitek papieru, który nadszedł dwie godziny po świcie. Wiadomość od matki brzmiała: „Twój brat zgadza się, synu. Jego potwierdzający to list zostanie wysłany dziś przez posłańca. Uroczysta wizyta pana Sudary wraz z rodziną musi się zacząć przed upływem dziesięciu dni”.

Toranaga usiadł bezsilnie. Gołębie zatrzepotały na grzędach i uspokoiły się. Na strych wpadało przyjemne światło porannego słońca, chociaż na niebie już gromadziły się deszczowe chmury. Zebrawszy siły, zszedł do swoich pokoi, żeby przystąpić do dzieła.

–Naga-san! – zawołał.

–Tak, ojciec?

–Przyslij tu pana Hiro-matsu. A potem mojego sekretarza.

–Tak, ojciec.

Stary generał zjawił się szybko. Stawy skrzypiały mu od wspinaczki na górę. W rękach swobodnie trzymał miecz. Z twarzą jeszcze surowszą, jeszcze bardziej wiekową i miną stanowczą jak nigdy dotąd nisko się uklonił.

–Witaj, stary druhu – rzekł Toranaga.

–Dziękuję, panie. – Hiro-matsu podniósł głowę. – Zasmuca mnie widok twojej zatroskanej twarzy.

–A mnie zasmuca, że aż tyle słyszę i widzę dookoła zdrady.

–Tak. Zdrada to niegodziwość.

Toranaga spostrzegł badawczy wzrok starego generała.

–Możesz mówić śmiało, co tylko chcesz – powiedział.

**–A czy znasz przypadek, żebym kiedyś rozmawiał z tobą inaczej, wielmożny panie?
– spytał starzec.**

–Wybacz mi, że kazałem ci czekać.

–Wybacz mi, że cię niepokoję. Czego sobie życzysz, wielmożny panie? Powiedz mi, proszę, co postanowiłeś w sprawie przyszłości swojego rodu. Czy ostatecznie wybrałeś wyjazd do Osaki... ugięcie się przed tą kupą gnoju?

–A czy ty znasz przypadek, żebym ostatecznie przesądzał o jakiejś sprawie?

Hiro-matsu zmarszczył czoło, a po chwili wyprostował plecy, żeby zmniejszyć ból, który odczuwał w ramionach.

–Zawsze znałem cię z twojej cierpliwości, zdecydowania i z tego, że nigdy nie przegrywasz. Dlatego właśnie cię nie pojmuję. Poddanie się komukolwiek jest do ciebie zupełnie niepodobne.

–Czy cesarstwo jest ważniejsze od mojej przyszłości?

–Nie.

–Z mocy testamentu taikō Ishido i inni regenci są nadal legalnymi władcami.

–Jestem wasalem Yoshiego Toranagi-no-Minowara i nie uznaję innego pana.

–To dobrze. Pojutrze wyznaczyłem dzień swojego wyjazdu do Osaki.

–Tak, słyszałem o tym.

–Będziesz dowodził eskortą, a Buntaro będzie twoim zastępcą.

Stary generał westchnął.

–O tym również wiem, wielmożny panie. Ale odkąd wróciłem, rozmawiałem z twoimi głównymi doradcami i genera...

–Tak, wiem. I co o tym myślisz?

–Że nie powinieneś opuszczać Edo. Że twoje rozkazy powinny być chwilowo uchylone.

–Przez kogo?

–Przeze mnie. Na moje polecenie.

–Czy to oni sobie tego życzą? Czy też postanowiłeś o tym sam? Hiro-matsu położył swój miecz na podłodze bliżej Toranagi i bezbronny spojrzał mu prosto w oczy.

–Racz mi wybaczyć, wielmożny panie, ale chciałbym zapytać cię, jak powinienem postąpić. Moje poczucie obowiązku podpowiada mi, że powinienem przejąć dowództwo i nie dopuścić do twojego wyjazdu. Zmusi to tym samym Ishido do natychmiastowego ruszenia przeciwko nam. Tak, oczywiście, że przegramy, ale to jest chyba jedyna honorowa droga.

–Niemniej głupia, ne?

Stalowski brwi generała zwały się.

–Nie – odparł. – Polegniemy w bitwie, z honorem. Odzyskamy wa. Kantō to zdobycz wojenna, ale przecież w tym życiu nie ujrzymy już nowego pana Ośmiu Prowincji. Shigata ga nai.

–Nigdy nie cieszyły mnie niepotrzebne straty w ludziach. Jeszcze nie przegrałem żadnej bitwy i nie widzę powodu, żeby dać temu początek.

–Przegranie jednej bitwy to nie hańba, wielmożny panie. Hańbą natomiast jest poddanie się.

–Wszyscy zgodziliście się na tę zdradę?

–Bardzo przepraszam, wielmożny panie, ale pytałem różne osoby jedynie o opinię wojskową. Nie ma żadnej zdrady ani intrygi.

–Ale mimo to słuchałeś zdrajców.

–Z całym szacunkiem, wielmożny panie, ale gdybym, jako twój naczelny wódz, zgodził się z nimi, to nie byłaby to już dłużej zdrada, tylko polityka zgodna z racją stanu.

–Odbieranie prawa decyzji swojemu lennemu panu jest zdradą.

–Wielmożny panie, znamy aż nadto liczne przykłady odsunięcia od władzy pana. Robiłeś to ty, robił Goroda, taikō, wszyscy robiliśmy to i jeszcze gorsze rzeczy. Zwycięzcy nie popełniają zrad.

–Postanowiłeś mnie odsunąć?

–Proszę cię o pomoc w podjęciu tej decyzji.

–Uważałem cię za jedyną osobę, której mogę ufać!

–Na wszystkich bogów, ja tylko pragnę ci służyć jak najwierniej. Jestem wyłącznie żołnierzem i chcę wypełnić swój obowiązek wobec ciebie. Myślę jedynie o twoim interesie, wielmożny panie. Zasługuję na twoje zaufanie. Jeżeli to pomoże, weź mą głowę. Jeśli to przekona cię do walki, chętnie oddam za ciebie życie, przeleję krew mojego rodu, dziś, przy wszystkich lub na osobności, jak chcesz. Czyż nie to właśnie zrobił nasz przyjaciel, generał Kiyoshio? Bardzo przepraszam, ale nie rozumiem, dlaczego miałbyś zmarnować wszystko, o co zabiegałeś całe życie.

–A więc odmawiasz objęcia dowództwa kolumny, która pojutrze wyruszy do Osaki?

Słońce przesłoniła chmura i obaj spojrzeli przez okno.

–Niedługo znów zaczniesz padać – powiedział Toranaga.

–Tak. W tym roku spadło za dużo deszczu, ne? Jeżeli deszcze wkrótce nie ustaną, to przepadną zbiory.

Spojrzeli na siebie.

–No więc? – spytał Toranaga.

–Oficjalnie pytam cię, wielmożny panie – odparł na to bez ogródek Hiro-matsu – czy każesz mi stanąć na czele, eskorty, która pojutrze ma wyruszyć z Edo, towarzysząc ci w podróży do Osaki?

–Ponieważ wszyscy moi doradcy najwyraźniej zalecają mi zrobić coś przeciwnego, przyjmuję ich zdanie i twoje i odkładam wyjazd.

Hiro-matsu był całkowicie nie przygotowany na taki obrót sprawy.

–Jak to? Nie wyjedziesz?

Toranaga roześmiał się, zdejmując wreszcie maskę, i stał się na powrót dawnym Toranaga.

–Nigdy nie zamierzałem jechać do Osaki – powiedział. – Jak mógłbym być aż tak głupi?

–Co takiego?

–Moja zgoda w Yokose była najzwyczajszym fortelem, gdyż chciałem zyskać na czasie – wyjaśnił grzecznie. – Ishido pochwycił przynętę. Ten głupiec spodziewa się mnie za parę tygodni w Osace! Zataki również się na nią złapał. Złapałeś się na nią również ty i wszyscy moi dzielni, nieufni wasale. Nie dając nic, zyskałem miesiąc, mącąc w głowach Ishido i jego niegodziwym sprzymierzeńcom. Słyszałem, że już wszyscy ostrzą sobie zęby na Kantō, które zostało tymczasem przy-rzeczzone zarówno Kiyamie, jak Zatakiemu.

–Nigdy nie miałeś zamiaru jechać? – Hiro-matsu pokręcił głową, i a kiedy wreszcie dotarła do niego oczywistość całego pomysłu, na jego twarzy pojawił się radosny uśmiech. – A więc to był podstęp?

–Oczywiście. Posłuchaj, przecież musiałem nabrać wszystkich, ne? Zatakiego, całą resztę, nawet ciebie! Bo w przeciwnym razie szpiedzy donieśliby Ishido, ten natychmiast wyruszyłby na nas, a wówczas żaden sprzyjający los na ziemi ani żadni bogowie w niebie nie zapobiegliby mojej klęsce.

–To prawda... och, panie, wybac mi. Jestem taki głupi! Zasługuję na pozbawienie mnie głowy! A więc to wszystko były bajdy, same bajdy. Ale... ale co z generałem Kiyoshio?

–Przyznał się do zdrady. A mnie nie potrzeba zdradzieckich generałów, tylko posłusznych wasali.

–Ale po co było uderzać w pana Sudarę? Po co cofać mu względy?

–Bo tak mi się podoba – odparł szorstko Toranaga.

–Tak. Proszę o wybaczenie. Masz do tego wyłączne prawo. Błagam cię, żebyś mi wybaczył moje wątpliwości.

–A dlaczego miałbym wybaczać ci to, że jesteś sobą, stary druhu? Potrzebowałem ciebie, żebyś zrobił to, coś zrobił, i powiedział to, co powiedziałeś. W tej chwili zaś jesteś mi potrzebny jak nigdy dotąd. Muszę mieć kogoś, komu mogę ufać. Właśnie dlatego robię cię moim powiernikiem. Musi to pozostać naszą wspólną tajemnicą.

–Och, wielmożny panie. Tak mnie uszczęśliwiasz...

–Tak. Boję się tylko jednego – wyznał Toranaga.

–To znaczy, wielmożny panie?

–Jesteś dowódcą moich wojsk. Tylko ty jeden możesz wykorzenić ten niemądry, kielkujący bunt, podczas gdy ja będę czekał. Ufam ci i muszę ufać. Mój syn nie potrafi utrzymać generałów w ryzach, choć gdyby poznał moją tajemnicę, na pewno nie zdradziłby się ze swoją radością. Natomiast twoja twarz to brama twojej duszy, stary druhu.

–W takim razie pozwól, że kiedy już załatwię się z generałami, odbiorę sobie życie.

–To nie pomoże. Musisz utrzymać ich razem aż do mojego rzekomego wyjazdu, ne? Po prostu będziesz musiał uważać na swoją minę i pilnować się podczas snu jak nigdy dotąd. Ty jeden jedyny na świecie wiesz o wszystkim, tylko tobie jednemu muszę ufać, ne?

–Wybacz mi moją głupotę, wielmożny panie, nie zawiodę cię. Wyjaśnij mi, jak mam się zachować.

–Powiedz moim generałom prawdę, że przekonałeś mnie do przyjęcia twojej rady, która jest również ich radą, ne? Oficjalnie odłożę wyjazd o siedem dni. Potem odłożę go znowu. Tym razem z powodu choroby. Będziesz o tym wiedział tylko ty.

–A potem? Potem będzie Szkarłatne Niebo?

–Nie, Szkarłatne Niebo było zawsze planem ostatecznym.

–Tak. A co z pułkiem muszkietów? Czy przebijemy się dzięki niemu przez góry?

–Częściowo. Ale nie aż do samego Kioto.

–Kaź zamordować Zatakiego.

–Nie wykluczam takiego posunięcia. Ale Ishido i jego sprzymierzeńcy nadal są nie do pokonania, – Toranaga opowiedział mu o racjach, jakie przedstawili mu Omi, Yabu, Igurashi i Buntaro w dzień trzęsienia ziemi. – Nakazanie wówczas Szkarłatnego Nieba było jeszcze jednym fortem służącym zmyleniu Ishido... a ponadto temu, żeby właściwe fragmenty naszej dyskusji dotarły do niepożądanych uszu. Pozostaje jednakże faktem, że siły Ishido są dla nas w dalszym ciągu nie do pokonania.

–Jak możemy je osłabić? A co z Kiyamą i Onoshim?

–Nic, ci dwaj są zdecydowanie przeciwko mnie. Będę miał przeciw sobie wszystkich

chrześcijan... oprócz mojego chrześcijanina, z niego zaś i jego statku już wkrótce zrobię dobry użytek. Najbardziej potrzebuję czasu. W całym cesarstwie mam sprzymierzeńców i utajonych przyjaciół, więc gdybym tylko miał czas... z każdym dodatkowo, zyskanym dniem osłabiam Ishido. Oto mój bitewny plan. Ważny jest każdy dzień zwłoki. Posłuchaj, kiedy przestanie padać, Ishido wyruszy na Kantō i weźmie mnie w kleszcze – Ikawa Jikkyu uderzy od południa, a Zataki od północy. Jikkyu zastopujemy pod Mishimą i wycofamy się do przełęczy Hakone i do Odawary, na nasze ostateczne pozycje. Natomiast Zatakiego zatrzymamy bardzo szybko w górach na północy, na gościńcu Hosho-kaidō, w okolicach Mikawy. Igurashi i Omi mieli rację: na pewno powstrzymamy pierwszy atak, co powinno zapobiec kolejnemu wielkiemu najazdowi. Powalczymy i zaczekamy za naszymi górami. Powalczymy, pozwlekamy, zaczekamy, a kiedy owoc dojrzeje do zerwania... ruszy Szkarłatne Niebo.

–liiiii, oby ten dzień nadszedł wkrótce!

–Posłuchaj, stary, druhu, tylko ty zdołasz utrzymać w ryzach moich generałów. Z czasem, gdy już zapewnimy Kantō bezpieczeństwo, całkowite bezpieczeństwo, przetrzymamy pierwszy atak, a potem sojusze Ishido zaczną się rozpadać. Kiedy zaś to nastąpi, przyszłość Yaemona będzie pewna, a testament taikō nie naruszony.

–Nie przejmiesz wyłącznej władzy, wielmożny panie?

–Powtarzam po raz ostatni: „Prawo może być wbrew rozumowi, ale rozum nigdy nie może być wbrew prawu, w przeciwnym razie bowiem całe społeczeństwo rozleci się na kawałki jak stara mata. Prawo może być użyte do pomieszania szyków rozumowi, ale rozum z pewnością nie może być użyty do obalenia prawa”. A wola taikō jest prawem.

Hiro-matsu uklonił się, przyznając mu rację.

–Dobrze, wielmożny panie. Więcej o tym nie wspomnę. Bardzo przepraszam. A teraz... – zaczął, nie starając się ukryć uśmiechu. – Co mam teraz zrobić?

–Udaj, że namówiłeś mnie do odłożenia wyjazdu. Po prostu trzymaj ich wszystkich żelazną ręką.

–Jak długo będę zmuszony udawać?

–Nie wiem.

–Nie dowierzam sobie, wielmożny panie. Mogę niechcący popełnić błąd. Myślę jednak, że zdołam nie zdradzić się z radością przez kilka dni. Za twoim pozwoleniem, moje „boleści” powinny się tak wzmóc, żebym zmuszony był leżeć... i nie przyjmować żadnych gości, ne?

–Dobrze. Zrób tak za cztery dni. Niech trochę tych boleści zacznie być widocznych już dzisiaj. To nie powinno być trudne, ne?

–Nie, wielmożny panie. Bardzo przepraszam. Cieszę się, że bitwę stoczmy w tym roku. W przyszłym... być może już nie będę mógł pomóc.

–Bzdura. Ale i tak bez względu na to, czy powiem tak, czy nie, to bitwa rozegra się w tym roku. Za szesnaście dni wyjadę z Edo do Osaki. Do tego czasu otrzymasz moją „niechętną zgodę” na marsz i poprowadzisz wojsko. Tylko ty i ja wiemy, że nastąpią kolejne zwłoki i znacznie prędzej niż dotrę do granic moich ziem, zawrócę do Edo.

–Proszę o wybaczenie, że w ciebie zwątpiłem. Gdybym nie był zmuszony pozostać przy życiu, żeby dopomóc ci w przeprowadzeniu planów, nie mógłbym dłużej żyć ze swoim wstydem.

–Nie masz się czego wstydzić. Gdybyś nie był o tym przekonany ty, to Ishido i Zataki przejrzeliby podstęp. Aha, przy okazji, jak zachował się Buntaro, kiedyś się z nim spotkał?

–Cały się gotował, wielmożny panie. Dobrze by mu zrobił udział w jakiejś bitwie.

–Proponował, żeby usunąć mnie jako waszego lennego pana?

–Gdyby mi coś takiego powiedział, odciąłbym mu głowę! Natychmiast!, – Poślę po ciebie za trzy dni. Codziennie proś o posłuchanie u mnie, a ja codziennie aż do tego czasu będę ci go odmawiał.

–Tak, wielmożny panie. – Stary generał uklonił się nisko. – Racz wybaczyć staremu głupcowi. Przywróciłeś mi sens życia. Dziękuję.

Skłonił się i wyszedł.

Toranaga wyjął z rękawa karteluszek i niezwykle zadowolony odczytał jeszcze raz list matki. Wobec prawdopodobnego udostępnienia mu swobodnego przejścia północnym szlakiem i zdrady, która prawdopodobnie czekała tam Ishido, jego własne szanse ogromnie wzrastały. Przytknął wiadomość do płomienia. Papier skurczył się i zamienił w popiół. Toranaga z zadowoleniem rozgniół go na proch. Tak, pomyślał, a więc kogo by tu zrobić nowym głównodowodzącym moich wojsk?

W południe Mariko przeszła pomiędzy milczącymi, ponurymi szeregami strażników na dziedzińcu i weszła do wieży. W jednym z przedpokojów na parterze czekał na nią sekretarz Toranagi.

–Bardzo przepraszam, że po ciebie posłałem, pani Toda – powiedział apatycznym

tonem.

–To dla mnie przyjemność, Kawanabi-san.

Kawanabi, starszawy samuraj o ostrych rysach twarzy i z ogoloną głową, był kiedyś buddyjskim mnichem. Od lat jednak prowadził całą korespondencję Toranagi. Zazwyczaj pogodny i pełen zapału, dziś, tak jak większość ludzi w zamku, był zasmucony. Wręczył Mariko mały zwoik.

–Oto twoje dokumenty podrózne do Osaki, zaopatrzone w konieczne podpisy – rzekł. – Wyjedziesz jutro i dotrzesz tam jak najszybciej.

–Dziękuję – odparła głosem, który jej samej wydał się cienki.

–Pan Toranaga powiedział, że może mieć dla ciebie jakieś prywatne wiadomości dla pań Kiritsubo i Koto. A także dla pana generała Ishido i dla pani Ochiby. Otrzymasz je jutro o świcie, jeżeli... Bardzo przepraszam, jeżeli będą gotowe, dopilnuję, żeby ci je dostarczono.

–Dziękuję.

Spośród kilku zwojów, które ułożone w pedantyczny stos leżały na niskim biurku, Kawanabi wybrał urzędowy dokument.

–Polecono mi przekazać ci to. Jest to nadanie dotyczące powiększenia lenna twojego syna, które obiecał ci pan Toranaga. Dziesięć tysięcy koku rocznie. Jest datowane ostatniego dnia zeszłego miesiąca i... no cóż, oto ono.

Przyjęła dokument, przeczytała go i sprawdziła urzędowe pieczęcie. Wszystko było jak należy. Ale nie uszczęśliwiło jej to. Oboje wiedzieli, że w tej chwili jest to nadanie bez pokrycia. Gdyby oszczędzono życie jej synowi, to i tak zostałaby roninem...

–Dziękuję. Zechciej podziękować panu Toranadze za uczyniony nam zaszczyt. Czy wolno mi będzie zobaczyć go przed odjazdem?

–O, tak. Prosi cię, żebyś po wyjściu stąd udała się na barbarzyński statek. Masz tam na niego poczekać.

–Czy... czy będę tłumaczyła?

–Tego nie powiedział. Tak przypuszczam, pani Toda. – Sekretarz spojrział ukradkiem na wykaz, który trzymał w ręku. – Jeżeli pozwolisz, to twoją eskortą w drodze do Osaki będzie dowodził kapitan Yoshinaka.

–Jego ponowna opieka nade mną sprawi mi zaszczyt. Dziękuję. A czy wolno spytać,

jak się ma pan Toranaga?

–Czuje się w miarę dobrze, ale jak na tak czynnego człowieka jak on przebywanie w zamknięciu przez wiele dni z rzędu... Cóż mogę powiedzieć? – Kawanabi bezradnie rozłożył ręce. – Bardzo mi przykro. Dziś przynajmniej spotkał się z panem Hiro-matsu i zgodził się odłożyć wyjazd. Zgodził się też zająć paroma innymi sprawami... już teraz należy ustabilizować ceny ryżu, na wypadek złych zbiorów... Ale tyle jeszcze pozostaje do załatwienia i... po prostu nie jest sobą, pani Toda. To straszne czasy, ne? I straszne wróżby... wróżbici przepowiadają zniszczenie tegorocznych plonów-

–Nie uwierzę im... aż do żniw.

–Mądrze, bardzo mądrze. Ale niewielu z nas doczeka pory żniw. Mam z nim jechać do Osaki. – Kawanabi zadrżał i pochylił się nerwowo do przodu. – Słyszałem plotkę, że gdzieś pomiędzy Osaka a Kioto znowu wybuchła zaraza. Ospa. Czy to jeszcze jeden znak niebios, że bogowie odwracają się od nas?

–To niepodobne do ciebie, żebyś wierzył plotkom czy znakom niebios, Kawanabi-san, ani też, żebyś przekazywał plotki. Wiesz, jakie ma o tym zdanie pan Toranaga.

–Wiem. Bardzo przepraszam. Ale, cóż... w dzisiejszych czasach chyba nikt nie zachowuje się normalnie, ne?

–Może ta pogłoska nie jest sprawdzona... modlę się, żeby tak było. – Otrząsnęła się ze złych przeczuć. – Czy ustalono nową datę wyjazdu?

–O ile wiem, to pan Hiro-matsu powiedział, że został odłożony o siedem dni. Tak się cieszę z powrotu naszego naczelnego wodza, tak się cieszę, że namówił... Tak chciałbym, żeby ten wyjazd został odłożony na zawsze. Lepiej walczyć tutaj, niż tam stracić honor, ne?

–Tak – przyznała Mariko, zdając sobie sprawę, że nie ma już dłużej sensu ukrywać, iż wszyscy bez wyjątku myślą głównie o tym. – Może teraz, po powrocie pana Hiro-matsu, nasz pan przekona się, że poddanie się nie jest najlepszym wyjściem.

–Wielmożna pani, mówię to tylko do twojej wiadomości. Pan Hiro-matsu...- Sekretarz urwał i przywołał na twarz uśmiech. Do pomieszczenia wszedł pobrzękując mieczem Yabu. – O, pan Kasigi Yabu. Jakże miło cię widzieć. – Kawanabi uklonił się i po wymianie uprzejmości rzekł: – Pan Toranaga oczekuje cię, wielmożny panie. Zechciej wejść od razu na górę.

–Dobrze. A w jakiej sprawie chce mnie widzieć?

–Bardzo mi przykro, wielmożny panie, ale nie powiedział mi... tylko tyle, że chce się z tobą zobaczyć.

–Jak się czuje? Kawanabi, zawahał się.

–Bez zmian, wielmożny panie.

–Jego wyjazd... czy została ustalona jego data?

–O ile mi wiadomo, ma to nastąpić za siedem dni.

–A może pan Hiro-matsu odwlecze go jeszcze bardziej, ne?

–To zależy tylko od naszego pana, wielmożny panie.

–Oczywiście – odparł Yabu i wyszedł.

–Mówiłeś o panu Hiro-matsu – przypomniała Mariko.

–Tylko do twojej wiadomości, pani... jako że nie ma tu pana Buntaro – szepnął sekretarz. – Kiedy stary Żelazna Pięść wyszedł ze spotkania z naszym panem, to przez całą godzinę musiał odpoczywać. Miał wielkie bóle, wielmożna pani.

–Ach «tak! To straszne, gdyby mu się coś przytrafiło!

–Tak. Bez niego wybuchłby bunt, ne? Ta zwłoka nie rozwiązuje niczego, prawda? Oznacza tylko zawieszenie broni. Prawdziwy problem... obawiam się, że... że odkąd pan Sudara posłużył generałowi Kiyoshio jako sekundant przy jego śmierci, to na każdą wzmiankę o synu nasz pan wpada w wielki gniew... Pozostaje już tylko pan Hiro-matsu, który nakłonił go do odłożenia wyjazdu, i jest tylko jedna rzecz, która... – Po policzkach sekretarza pociekły łzy. – Co tu się właściwie dzieje, wielmożna pani? On chyba stracił władzę, ne?

–Nie – zaprzeczyła stanowczo, lecz bez przekonania. – Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze. Dziękuję ci, żeś mi o tym powiedział. Spróbuję odwiedzić pana Hiro-matsu przed wyjazdem.

–Idź z Bogiem, pani.

To ją zaskoczyło.

–Nie wiedziałam, że jesteś chrześcijaninem, Kawanabi-san – powiedziała.

–Nie jestem chrześcijaninem, pani. Ale wiem, że macie taki zwyczaj.

Wyszła na słońce, wielce zatroskana zdrowiem Hiro-matsu, a jednocześnie wdzięczna Panu Bogu, że jej czekanie się skończyło i że jutro wyjedzie stąd. Podeszła do palankinu, przy którym czekała eskorta.

–Och, pani Toda – powiedziała Gyoko, wyłaniając się z cienia i zachodząc jej drogę.

–A, dzień dobry, Gyoko-san jakże miło cię widzieć. Mam nadzieję, że dobrze się czujesz? – spytała miłym tonem Mariko, którą nagle przeszył zimny dreszcz.

–Niestety, bynajmniej niedobrze, przykro mi. To takie smutne. Zdaje się, że my, Kiku-san i ja, nie jesteśmy już dłużej w łaskach u naszego pana. Od przyjazdu tutaj siedzimy zamknięte w tym podłym, trzeciorzędnym zajeździe, w którym nie umieściłabym nawet męskiej kurtyzany ósmej rangi.

–Och, tak mi przykro. To na pewno jest jakieś nieporozumienie.

–A, tak, nieporozumienie. Mam niepłonną nadzieję, wielmożna pani. Dziś nareszcie pozwolono mi przybyć do zamku, wreszcie doczekałam się odpowiedzi na moje prośby do najjaśniejszego pana, wreszcie wolno mi znowu się mu pokłonić, dziś, później. – Gyoko uśmiechnęła się nieszczercze do Mariko. – Usłyszałam, że masz spotkać się z sekretarzem naszego pana, pomyślałam więc, że zaczekam i się z tobą przywitam. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

–Miło mi znów cię widzieć, Gyoko-san. Odwiedziłabym ciebie i Kiku-san lub zaprosiła obie do siebie z wizytą, ale nie było to, niestety, możliwe.

–Tak... to smutne. To smutne czasy. Trudne dla szlachetnie urodzonych. Trudne dla chłopów. Biedna Kiku-san aż rozchorowała się ze zmartwienia, że straciła łaski naszego pana.

–Na pewno nie, Gyoko-san. On... pan Toranaga ma na głowie wiele pilnych problemów, ne?

–To prawda... prawda. Może napiłybyśmy się cha, pani Toda. Krótka rozmowa z tobą sprawiłaby mi zaszczyt.

–Och, bardzo żałuję, ale mam polecenie załatwić urzędową sprawę. – W przeciwnym razie byłabym zaszczycona twoją propozycją.

–Ach tak, musisz iść teraz na statek Anjin-sana. Wybacz, całkiem zapomniałam. A jak się ma Anjin-san?

–Mam nadzieję, że dobrze – odparła Mariko, wściekła, że Gyoko zna jej prywatne sprawy. – Widziałam go tylko raz, i to przez kilka chwil.

–Ciekawy człowiek. Tak, bardzo ciekawy. To przykre nie móc widywać przyjaciół, ne?

Obie uśmiechały się, rozmawiały grzecznie i beztrosko, w pełni świadome

obecności obserwujących je i przysłuchujących się im samurajów.

–Słyszałam, że Anjin-san odwiedził swoich znajomych, swoją załogę. Jak ich znaleźli?

–Nawet mi o nich nie wspomniał, Gyoko-san. Jak już powiedziałam, widziałam go tylko przez chwilę. Bardzo przepraszam, ale muszę już iść.

–To smutne nie widywać przyjaciół. Może ja mogłabym ci o nich coś powiedzieć. Na przykład to, że mieszkają w wiosce eta.

–Co takiego?

–Tak. Zdaje się, że jego znajomi sami poprosili o zamieszkanie tam, woląc to od cywilizowanych dzielnic. Niezwykłe, ne? W przeciwieństwie do Anjin-sana, który jest inny. Plotka głosi, że ich zdaniem wioska eta bardziej przypomina im ojczyznę. Niezwykłe, ne?...

Mariko przypomniała sobie, jak dziwnie zachowywał się Anjin-san tego dnia na schodach wieży. To wyjaśnia wszystko, pomyślała. Eta! O Madonno, biedak. Jakże bardzo musiał się ich wstydzić.

–Przepraszam, Gyoko-san, co powiedziałaś? – spytała.

–Tylko to, że to niezwykle, jak bardzo Anjin-san różni się od reszty barbarzyńców.

–Jacy oni są? Widziałaś ich? Tych pozostałych?

–Nie, wielmożna pani. Nie poszłabym tam. Co mi po nich? Lub po eta? Muszę myśleć o swoich klientach i mojej Kiku-san. A także o moim synu.

–Ach tak, o synu.

Twarz Gyoko posmutniała pod parasolką, ale spojrzenie bryzowych jak jej kimono oczu zachowało twardość kamienia.

–Przepraszam, że pytam, ale nic ci nie wiadomo, jak sądzę, dlaczego utraciliśmy łaski pana Toranagi?

–Nie. Jestem pewna, że się mylisz. Sprawa kontraktu została załatwiona, ne? Zgodnie z umową.

–O, tak, dziękuję ci. Mam kredytywę do kupców zbożowych w Mishimie, płatną pa każde żądanie. Na sumę mniejszą od uzgodnionej. Ale pieniądze są u mnie na ostatnim miejscu. Cóż znaczą pieniądze wobec utraty pańskich łask, ktokolwiek o nie zabiega, ne?

–Jestem pewna, że wrócisz do łask.

–Ach” łaski! Martwię się również o twoje łaski, pani Toda.

–Zawsze możesz liczyć na moją życzliwość. I przyjaźń, Gyoko-san. Może uda nam się porozmawiać kiedy indziej, ale naprawdę muszę już iść, przykro mi...

–O, tak, jesteś dla mnie taka miła. Tak się cieszę – dodała Gyoko jak najśłodszym tonem w chwili, gdy Mariko zaczęła się od niej odwracać. – Ale czy znajdziesz czas? Wyjeżdżasz jutro, ne? Do Osaki?

Mariko poczuła nagle w piersi lodowate ukłucie, bo oto pułapka zatrzaskała się.

–Czy coś się stało, wielmożna pani?

–Nie... nie, Gyoko-san. Czy... czy godzina Psa dziś wieczorem... ci odpowiada?

–Jesteś nader Uprzejma, wielmożna pani. O, tak, a ponieważ prędeż niż ja zobaczysz się z naszym panem, to czy mogłabyś się wstawić za nami u niego? To taka niewielka prośba. Ne?

–Zrobię to z przyjemnością. – Mariko zastanawiała się chwilę. – Ale można o coś prosić, a mimo to tego nie otrzymać.

Gyoko lekko się zjeżyła.

–O! – powiedziała. – A więc już go prosiłaś o... o łaskawość dla nas?

–Oczywiście... a co w tym złego? – spytała ostrożnie Mariko. – Czy Kiku-san nie jest jego faworytą? I czy ty nie jesteś jego wierną poddaną? Czy nie obdarzał cię łaskami w przeszłości?

–Moje prośby są zwykle takie niewielkie. Wszystko, co powiedziałam wcześniej, nie straciło na ważności. A może jeszcze zyskało.

–To o wygłodniałym psie?

–To o długich uszach i bezpiecznym języku.

–Ach, tak. I o tajemnicach.

–Tak łatwo byłoby mnie zadowolić. Względy mojego pana... i mojej pani... to niewielka prośba, ne?

–Nie. Jeżeli nadarzy, się sposobność... Nic nie obiecuję.

–Do wieczora, wielmożna pani.

Wymieniły ukłony. Żaden z samurajów nie dowiedział się z ich rozmowy niczego. Mariko pośród dalszych ukłonów wsiadła do palankinu ukrywając, że całą dygocze, i orszak ruszył. Gyoko patrzyła za nią.

–Ty, kobieto – odezwał się do niej przechodzący młody samuraj. – Na co czekasz? Zajmij się swoimi interesami.

–Ha! – prychnęła z pogardą Gyoko ku uciesze innych strażników. – Kobieto, powiadasz, szczeniaku? Gdybym się chciała zająć twoim interesem, to miałabym piekielne trudności z jego znalezieniem, bo po prawdzie co z ciebie za mężczyzna, skoro nawet nie puścił ci się jeszcze zarost!

Strażnicy gruchnęli śmiechem. Gyoko, dumnie targnąwszy głową, odeszła śmiałym krokiem.

–Witam – powiedział Blackthorne.

–Dzień dobry, Anjin-san. Masz uszczęśliwioną minę!

–Dziękuję. To na widok takiej prześlicznej damy, ne?

–Och, dziękuję – odparła Mariko. – I jak tam twój statek?

–Znakomicie. Wejdiesz na pokład? Chciałbym cię po nim oprowadzić.

–A czy wolno? Mam polecenie spotkać się tu z panem Toranagą.

–Tak. Wszyscy na niego czekamy. – Blackthorne odwrócił się i przemówił do dowódcy samurajów na nabrzeżu. – Kapitanie, wprowadzam tu panią Todę. Żeby pokazać statek. Kiedy przybędzie pan Toranagą, zawołasz, ne?«

–Jak sobie życzysz, Anjin-san.

Blackthorne opuścił nabrzeże. Przy barierkach stali samuraje, a środki bezpieczeństwa zaostrozono jak nigdy dotąd i na statku, i na brzegu. Najpierw Blackthorne wszedł na rufówkę.

–To moje, wszystko moje – rzekł z dumą.

–Czy jest tutaj ktoś z twojej załogi?

–Nie;. nikogo. Nie dzisiaj, Mariko-san. – Pokazał jej, jak mógł najprędzej, wszystko, a potem sprowadził ją pod pokład. – To jest główna kabina.

Tylne okna na rufie wychodziły na podwodzie. Zamknął drzwi. Znaleźli się zupełnie sami, tylko we dwoje.

–To twoja kabina? – zapytała.

Potrząsnął głową, przyglądając się jej. Przytuliła się do niego. Mocno ją objął.

–Och, jakże za tobą tęskniłem...

–I ja za tobą...

–Tyle mam ci do powiedzenia. I tyle pytań do ciebie – rzekł. – A ja nie mam ci do powiedzenia nic. Tylko tyle, że kocham cię z całego serca. – Zadrżała w jego ramionach, próbując pozbyć się obaw, że Gyoko albo ktoś inny o nich doniesie. – Tak się o ciebie boję.

–Nie bój się, Mariko, ukochana. Wszystko będzie dobrze.

–To właśnie sobie powtarzam: Ale dziś niepodobna mi pogodzić się z karmą i z wolą Boga.

–Ostatnim razem byłaś taka obca.

–Jesteśmy w Edo, ukochany. Przeszliśmy przez Pierwszy Most.

–To z powodu Buntaro? Prawda?

–Tak – odparła. – Z powodu jego i decyzji pana Toranagi, by się poddać. To takie haniebne... Nie przypuszczałam, że te słowa przejdą mi przez usta. Bardzo przepraszam.

Wtuliła się głębiej w jego bezpieczne ramiona.

–Jeżeli on pojedzie do Osaki, to ciebie też czeka śmierć?

–Tak. Ród Toda jest zbyt potężny i znaczący. W żadnym przypadku nie pozostawią mnie przy życiu.

–W takim razie musisz popłynąć ze mną. Uciekniemy. My...

–Bardzo mi przykro, ale nie mogę uciec.

–Chyba że pozwoli ci na to pan Toranaga, ne?

–A czemu miałby pozwolić?

Blackthorne szybko powtórzył jej, co powiedział Toranadze, ale nie wspomniał, że poprosił także o nią.

–Wiem, że potrafię zmusić księży do przeciągnięcia Kiyamy i Onoshiego na jego stronę, jeśli tylko pozwoli mi zdobyć Czarną Karawelę – zakończył podniecony. – Wiem, że stać mnie na to!

–Tak – odparła, ze względu na los Kościoła rada, że decyzja Toranagi spętała jej ukochanemu ręce. Jeszcze raz zastanowiła się nad logiką jego planu i nie znalazła w nim żadnego błędu. – Powinno ci się to udać, Anjin-san. Gdyby pan Toranaga się nie poddał i zamiast tego ruszył na wojnę, to wobec wrogiej postawy, jaką zajął wobec niego pan Harima, miałby wszelkie powody, by nakazać ci taki atak.

–A gdyby pan Kiyama lub pan Onoshi, albo obaj, dołączyli do niego, to przeważałoby to szalę na jego stronę?

–Tak – przyznała. – Gdyby miał po swojej stronie pana Zatakiego i czas. – Już wcześniej wyłożyła Blackthorne’owi, jak ważny jest strategicznie fakt, że Zataki zawiaduje północnym szlakiem. – Ale Zataki jest przeciwko wielmożnemu panu Toranadze.

–Posłuchaj, mogę chwycić jezuitów za gardło. Przykro mi, wprawdzie są to twoi księża, ale są też moimi wrogami. W jego imieniu potrafię ich podporządkować, a i w swoim również. Czy pomożesz mi dopomóc jemu?

Mariko wpatrzyła się w niego.

–W jaki sposób?

–Pomóż mi przekonać go, żeby dał mi szansę, a ponadto, żeby odłożył wyjazd do Osaki.

Od nabrzeża dobiegły ich dźwięki zbliżających się koni i głosy. Przerwali rozmowę i podeszli do okien. Samuraje odsuwali na bok barierkę. Na plac wjechał ojciec Alvito.

–A ten czego tu chce? – mruknął cierpko Blackthorne.

Przyglądali się jezuitcie, który zsiadł z konia, wyciągnął z rękawa mały zwój papieru i podał go dowódcy samurajów. Ten przeczytał list. Alvito spojrzał na statek.

–Z czymkolwiek tu przybył, to z pewnością w urzędowej sprawie – powiedziała cicho Mariko.

–Posłuchaj, Mariko-san. Ja nie występuję przeciwko Kościołowi. To nie Kościół jest zły, tylko ci księża. I nie wszyscy z nich są niedobrzy. Alvito nie jest zły, choć to

fanatyk. Na Boga, wierz mi, że jezuita ugnę się przed panem Toranaga, jeżeli zdobędę Czarną Karawelę i zagrozę jej rejsowi w przyszłym roku, ponieważ muszą mieć pieniądze... pieniądze muszą mieć Hiszpania i Portugalia. Toranaga jest przecież ważniejszy. Czy mi pomożesz?

–Tak. Tak, pomogę ci, Anjin-san. Ale wybacz mi, proszę, nie mogę zdradzić Kościoła.

–Pragnę jedynie tego, żebyś porozmawiała z Toranagą albo, jeżeli uznasz, że tak będzie lepiej, pomogła mi porozmawiać z nim.

Z oddali doleciało granie rogu. Znowu wyrzeli przez okna. Wszyscy patrzyli na zachód. Od zamku zbliżało się czoło pochodu składające się z samurajów, którzy otaczali palankin.

Drzwi kabiny otworzyły się.

–Anjin-san, zechciej wyjść – powiedział samuraj. Blackthorne ruszył pierwszy na pokład i zszedł na nabrzeże. Z chłodną uprzejmością skinął głową ojcu Alvito. Jezuita odklonił się równie lodowato.

–Witam, Mariko-san – przywitał się miło z Mariko. – Jak dobrze jest cię znowu widzieć... i – Dziękuję ci, ojcie – odparła z niskim ukłonem.

–Niechaj cię Bóg błogosławi. – Zrobił nad nią znak krzyża. – In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti.

–Dziękuję, ojcie.

Alvito spojrzał na Blackthorne'a.

–A więc, pilocie? Jak twój statek?

–Na pewno jest już gotowy.

–Tak, wiem. – Alvito ze ściągniętą twarzą przyjrzał się Erasmusowi. – Jeżeli zostanie użyty przeciwko Prawdziwej Wierze i Portugalii, niechaj Bóg przeklnie go i wszystkich, którzy nim popłyną!

–To z tego powodu tu się zjawileś? Żeby wylać więcej jadu?

–Nie, pilocie – odparł Alvito. – Zostałem zaproszony na spotkanie z panem Toranagą. Twoja obecność tutaj jest mi równie niemiła, jak moja tobie.

–Twoja obecność nie jest mi niemiła, ojcie. Niemiłe jest mi tylko zło, które reprezentujesz.

Alvito zaczerwienił się.

–Proszę was – powiedziała prędko Mariko. – Nie godzi się klócić przy wszystkich. Błagam was więc o to, byście okazali więcej rozwagi.

–Tak, wybacz. Przepraszam, Mariko-san.

Ojciec Alvito odwrócił się i spojrzął na zakryty zasłonami palankin, który właśnie mijał bariery. Powiewał nad nim proporzec Toranagi. Umundurowani samuraje z przodu i z tyłu podążali w otoczeniu luźnej grupy samurajów w różnobarwnych strojach.

Palankin zatrzymał się, zasłony rozsunęły. Wsiadł z niego Yabu. Wszystkich to zaskoczyło. Niemniej ukłonili się. Yabu wyniośle odpowiedział im pozdrowieniem.

–O, Anjin-san – rzekł. – Jak się masz?

–Dobrze, dziękuję, wielmożny panie. A ty?

–Dziękuję, dobrze. Pan Toranaga zachorował. Poprosił, żebym go zastąpił. Rozumiesz?

–Tak. Rozumiem – odrzekł Blackthorne, próbując skryć niezadowolenie z powodu nieobecności Toranagi. – Bardzo mi przykro, że pan Toranaga chory.

Yabu wzruszył ramionami, z szacunkiem oddał ukłon Mariko, udał, że nie spostrzegł jezuitę, i przez chwilę przyglądał się statkowi. Kiedy obrócił się znowu do Blackthorne'a, na twarzy miał krzywy uśmiech.

–So desu, Anjin-san. Twój statek wygląda inaczej, niż kiedy widziałem go poprzednio, ne? Tak, to inny statek, zmienił się, zmieniło się wszystko... nawet nasz świat się zmienił! Ne?

–Bardzo żałuję, ale nie rozumiem, wielmożny panie. Wybacz, ale mówisz bardzo szybko. Ponieważ moja...

Blackthorne zaczął wypowiadać wyuczoną formułkę, ale Yabu przerwał mu gardłowym głosem:

–Mariko-san, zechciej mi tłumaczyć.

Zrobiła to.

Blackthorne skinął głową i powiedział wolno: – Tak. Zmienił się, Yabu-sama.

–Tak, bardzo się zmienił... nie jesteś już barbarzyńcą, ale samurajem, a dotyczy to

również twojego statku, ne?

Blackthorne zobaczył na grubych wargach Yabu uśmiech, dostrzegł jego wojowniczą postawę i nagle znów znalazł się w Anjiro, z powrotem na tamtym brzegu, powalony na kolana, widząc Croocqa w kotle, w uszach mając wrzaski Pieterzoona, w nozdrzach smród ziemiarki, a w mózgu krzyk: „Jakie to wszystko niepotrzebne, te wszystkie cierpienia, strach, śmierć Pieterzoona, Spillbergena, Maetsukera, więzienie, eta, wpadnięcie w pułapkę bez wyjścia,– i wszystko przez ciebie!”

–Czy dobrze się czujesz, Anjin-san? – spytała Mariko zaniepokojona jego spojrzeniem, – Słucham? Ach, ach tak. Czuję się dobrze.

–Co mu jest? – spytał Yabu.

Blackthorne potrząsnął głową, starając się jasno myśleć i usunąć z twarzy nienawiść.

–Bardzo przepraszam. Racz wybaczyć – powiedział. – Ja... to nic. Niedobrze z głową... brak snu. Bardzo przepraszam. – Spojrzał Yabu prosto w oczy mając nadzieję, że zdołał ukryć groźne w skutkach zapomnienie się. – Przykro, że Toranaga-sama chory... mam nadzieję, że nie sprawiam kłopotu wielmożnemu panu Yabu.

–Nie, żadnego – odparł Yabu myśląc: „Tak, odkąd ty i twój parszywy statek przyłynęliście do moich brzegów, mam same kłopoty. Straciłem Izu, straciłem działa, straciłem cały honor, a teraz z powodu jakiegoś tchórza grozi mi jeszcze utrata głowy”. – Żadnego kłopotu, Anjin-san – powtórzył nadzwyczaj grzecznym tonem. – Toranaga-sama poprosił mnie, żebym przekazał ci twoich poddanych, których ci obiecał. – Jego wzrok spoczął na Alvicie. – A więc, Tsukku-san! Czernił jesteś wrogiem pana Toranagi?.

–Nie jestem, Kasigi Yabu-sama.

–Ale wasi chrześcijańscy daimyō są jego wrogami, ne?

–Racz wybaczyć, wielmożny panie, ale jesteśmy tylko duchownymi, nie odpowiadamy za poglądy tych, którzy wyznają Prawdziwą Wiarę, nie mamy również władzy nad tymi daimyō, którzy...

–Prawdziwą Wiarą tej Krainy Bogów jest shintō, wraz z tao, Drogą Buddy!

Alvito nie odpowiedział. Yabu z pogardą odwrócił się od niego i wydał rozkaz. Beładna grupa oberwanych samurajów zaczęła ustawiać się przed statkiem. Żaden nie miał broni. Niektórzy mieli związane ręce.

Alvito zrobił kilka kroków i uklonił się.

–Bardzo przepraszam, wielmożny panie – odezwał się. – Miałem się spotkać z panem Toranagą. A ponieważ nie przybędzie...

–Pan Toranagą chciał, żebyś posłużył mu za tłumacza w rozmowie z Anjin-sanem – przerwał mu z umyślną opryskliwością Yabu, tak jak mu polecił Toranagą. – Tak, tylko ty jeden potrafisz tłumaczyć w taki sposób, bezpośrednio i od razu, ne? Na pewno nie masz nic przeciwko temu, żebyś, zanim odejdziesz, wykonał dla mnie to, czego żądał od ciebie pan Toranagą, co?

–Nie, oczywiście, że nie, wielmożny panie.

–To dobrze. Mariko-san! Pan Toranagą prosi, abyś dopilnowała, żeby odpowiedzi Anjin-sana zostały przełożone wiernie.

Alvito poczerwieniał, ale stłumił gniew.

–Tak, wielmożny panie – odparła Mariko, nienawidząc Yabu.

Yabu wydał następny rozkaz. Dwóch samurajów podeszło do palankinu i wróciło z ciężką kasetą okrętową.

–Przetłumacz, Tsukku-san. „Posłuchaj, Anjin-san, po pierwsze pan Toranaga rozkazał zwrócić ci to. To twoja własność, ne?” Otwórz ją – polecił Yabu samurajowi. W kasecie było pełno srebrnych monet. – „Jest w takim stanie, w jakim zabrano ją ze statku”.

–Dziękuję.

Blackthorne ledwie mógł uwierzyć własnym oczom, bo dawało mu to możliwość najęcia najlepszych marynarzy, i to bez składania fałszywych obietnic. – Ma być umieszczona w skarbcu statku.

–Tak, oczywiście.

Yabu dał znak samurajom na pokładzie, po czym, ku wściekłości tłumaczącego nadal prawie równolegle Alvita, rzekł:

–Po wtóre, pan Toranaga mówi, że możesz odpłynąć lub pozostać, jak wolisz. Przebywając na naszej ziemi jesteś samurajem, hatamoto i podlegasz samurajskim prawom. Na morzu, z dala od naszych brzegów, jesteś tym, kim byłeś przed przyłynięciem tutaj, i podlegasz prawom barbarzyńskim. Otrzymujesz dożywotnie prawo zawijania bez żadnej kontroli do wszystkich portów, którymi włada pan Toranaga. I po ostatnie, tych dwustu ludzi to twoi poddani. Poprosił mnie, żebym

przekazał ci ich oficjalnie, wraz – z bronią, tak jak to obiecał.

–Mogę odjechać kiedy i jak chcę? – spytał z niedowierzaniem Blackthorne.

–Tak, Anjin-san, możesz odjechać, ponieważ pan Toranaga wyraził na to zgodę...

Blackthorne wpatrzył się w Mariko, ale ponieważ unikała jego wzroku, spojrzął znów na Yabu... – Czy mogę odpłynąć jutro?

–Tak, jeśli chcesz'. A jeśli chodzi o tych ludzi – dodał Yabu – to wszyscy są roninami. Pochodzą z północnych prowincji. Zgodzili się zaprzysiąc dożgonną wierność tobie i twoim potomkom. Wszyscy są dzielnymi wojownikami. Żaden nie popełnił zbrodni, na którą są dowody. Stali się roninami, ponieważ ich lenni panowie zginęli, zmarli albo utracili władzę. Wielu z nich walczyło na statkach przeciwko wako. – Yabu uśmiechnął się, jak to on, zjadliwie. – Być może niektórzy z nich sami byli wako... Rozumiesz słowo „wako”?

–Tak, wielmożny panie.

–Ci, którzy są związani, to prawdopodobnie bandyci albo wako. Zgłosiła się ich cała zgraja i przyrzekli służyć ci nieustraszenie w zamian za darowanie im wszystkich popełnionych przestępstw. Przysięgli panu Noboru, który ich wybrał dla ciebie na rozkaz pana Toranagi, że nigdy nie popełnili żadnej zbrodni przeciwko panu Toranadze ani żadnemu z jego samurajów. Możesz przyjąć ich do służby pojedynczo, w grupie albo odrzucić. Rozumiesz?

–Mogę odrzucić każdego?

–A po co miałbyś to robić? – spytał Yabu. – Pan Noboru dobrał ich starannie.

–Oczywiście, przepraszam – rzekł zrezygnowany Blackthorne, widząc rosnące niezadowolenie Yabu. – Całkowicie rozumiem. Ale co się stanie, jeżeli odrzucę tych związanych?

–Odrąbie im się głowy, oczywiście. A co to ma do rzeczy?

–Nic. Przepraszam.

–Pójdź za mną – powiedział Yabu i ruszył do palankinu. Blackthorne spojrzął na Mariko.

–Mogę wyjechać! Słyszałaś? – spytał.

–Tak.

–A to znaczy... Mam wrażenie, że śnię. Powiedział.?

–Anjin-san!

Blackthorne posłusznie podążył za Yabu. Palankin – zamienił się teraz w podest. Jakiś urzędnik ustawił stolik, na którym leżały zwoje papieru. Nieco dalej samuraje pilnowali stosów mieczy, krótkich i długich, włócznie, tarcz, toporów, łuków oraz strzał, które tragarze zdejmowali z jucznych koni. Yabu wskazał Blackthorne’owi miejsce obok siebie, Alvitowi tuż przed sobą, a Mariko przy swoim drugim boku. Urzędnik zaczął wywoływać nazwiska. Roninowie występowali po kolei z szeregu, kłaniali się czołobitnie, podawali swoje nazwisko i rodowód, składali przysięgę na wierność, podpisywali dokumenty i pieczętowali je kroplą krwi z nakłutych przez urzędnika palców. Na koniec każdy z nich klękał przed Blackthorne’em, a potem wstawał i śpieszył do zbrojmistrza. Najpierw dostawał długi miecz do zabijania, a potem krótki. Wszyscy przyjmowali swoje miecze z czcią, dokładnie je oglądali, chwalać ich jakość, a potem z dziką radością wsuwali je za pas. Następnie wydawano im pozostały rynsztunek i tarcze. Kiedy już w pełni uzbrojeni powrócili na swoje miejsca, nie będąc dłużej roninami, lecz znów samurajami, wstąpiły w nich nowe siły, wyprostowali się i prezentowali jeszcze groźniej.

Pozostało trzydziestu związanych roninów. Blackthorne uparł się, żeby osobiście przeciąć więzy wszystkim. Jeden po drugim, tak jak pozostali, składali przysięgę na wierność: „Na mój honor samuraja ślubuję ci całkowite posłuszeństwo i przysięgam, że twoi wrogowie są moimi wrogami”.

Po złożeniu przysięgi odbierali broń.

–Uraga-no-Tadamasa! – zawołał Yabu.

Wywołany wystąpił z szeregu. Alvito wpadł w rozpacz. Między stojącymi w pobliżu samurajami krył się, nie zauważony przez niego Uraga, brat Józef. Był bez broni, w prostym kimonie i kapeluszu z bambusa. Na widok zmieszania jezuity Yabu uśmiechnął się i zwrócił do Blackthorne’a.

–Anjin-san. To jest samuraj Uraga-no-Tadamasa, obecnie ronin. Rozpoznajesz go? Rozumiesz słowo „rozpoznajesz”?

–Tak. Rozumiem. Tak, rozpoznaję.

–To dobrze. Kiedyś był chrześcijańskim kapłanem, ne?

–Tak.

–Teraz już nie jest. Rozumiesz? Teraz jest roninem.

–Rozumiem, Yabu-sama.

Yabu obserwował Alvita. Alvito wpatrywał się uporczywie w odstępce, który mierzył go nienawistnym wzrokiem.

–O, Tsukku-san, ty też go rozpoznajesz?

–Tak, rozpoznaję go, wielmożny panie.

–Jesteś gotów tłumaczyć dalej czy też może straciłeś, ochotę?

–Proszę, mów dalej, wielmożny panie.

–Dobrze. – Yabu wskazał na Uragę. – Posłuchaj, Anjin-san, jeśli chcesz przyjąć tego człowieka, to pan Toranaga daje ci go. Kiedyś był chrześcijańskim kapłanem... nowicjuszem. Już nie jest. Wyparł się fałszywego obcego boga, nawrócił się na prawdziwą wiarę shintō i... – Urwał, bo urwał ojciec Alvito. – Przełożyłeś to dokładnie, Tsukku-san? Prawdziwą wiarę shintō?!

Jezuita nie odpowiedział. Gniewnie westchnął i przełożył dokładnie słowa Yabu dodając:

–To właśnie powiedział pan Yabu, Anjin-san, oby Bóg mu wybaczył.

Mariko pozostawiła to bez komentarza i, nienawidząc Yabu, jeszcze mocniej przyrzekła sobie, że już niedługo się na nim zemści.

Yabu przyglądał się im przez chwilę, a potem podjął wątek:

–Tak więc Uraga-san jest byłym chrześcijaninem. A teraz gotów jest służyć tobie. Zna język barbarzyński, wewnętrzny język księży i był jednym z czterech młodych Japończyków wysłanych do waszych ziem. Spotkał nawet naczelnego wodza chrześcijan, jak powiadają... ale w tej chwili nienawidzi ich wszystkich tak mocno jak ty, ne? – Yabu przyglądał się wyzywająco Alwitowi i raz po raz zerkał na słuchającą go również pilnie Mariko. – Nienawidzisz chrześcijan, Anjin-san, ne?

–Większość katolików to moi wrogowie, owszem. – odparł Blackthorne, w pełni świadom obecności Mariko, która kamiennym wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń.
– Tak, Hiszpania i Portugalia są wrogami mojego kraju.

–Chrześcijanie są również naszymi wrogami. Prawda, Tsukku-san?

–Nie, wielmożny panie. A poza tym chrześcijaństwo to klucz do życia wiecznego.

–Czy to prawda, Uraga-san? – spytał Yabu. Uraga potrząsnął głową.

–Już tak nie myślę, wielmożny panie – odparł surowo. – Nie.

–Powiedz to Anjin-sanowi.

–Senhor Anjin-san – rzekł Urąga z mocnym japońskim akcentem, ale wymawiając portugalskie słowa poprawnie i bez trudności. – Nie sądzę, żeby katolicyzm był zamkiem... przepraszam, kluczem do nieśmiertelności.

–Tak – odparł Blackthorne. – Zgadza się.

–Dobrze – ciągnął Yabu. – Tak więc pan Toranaga oddaje ci tego ronina, Anjin-san. To przeniewierca, ale z dobrej samurajskiej rodziny. Urąga przysięga, że jeżeli go do siebie przyjmiesz, to będzie twoim sekretarzem, tłumaczem i robi wszystko, co każesz. Musisz mu tylko dać miecz. Co jeszcze, Urąga? Powiedz mu.

–Racz mi wybaczyć, senhor. Po pierwsze... – Urąga zdjął kapelusz. Szczyt porośniętej szczytną głową miał wygolony jak samuraj, ale brakowało mu jeszcze czuba. – Po pierwsze, wstydzę się, że nie mam właściwej fryzury i samurajskiego węzła. Nie jestem jednak przez to gorszym samurajem, a włosy mi odrosną. – Włożył kapelusz na głowę. Wyjaśnił Yabu, co powiedział, a stojący najbliżej roninowie również słuchali go z uwagą. – Po wtóre, bardzo cię proszę o wybaczenie, że nie potrafię władać mieczem ani żadną inną bronią. Nie uczono mnie tego. Ale wierz mi, że się nauczę. Zechciej wybaczyć mi ten wstyd. Przysięgam ci całkowite posłuszeństwo i błagam, byś mnie przyjął... Po twarzy i plecach Uragi ściekał pot.

–Shigata ga nai, ne? – rzekł Współczująco Blackthorne. – Ukeru anatawa desu, Uruga-san. (A czy to ważne? Przyjmuję cię, Uruga-san).

Urąga uklonił się mu i wyjaśnił Yabu, co powiedział. Nikt się nie zaśmiał. Oprócz Yabu. Ale śmiech daimyō przerwała sprzeczka, która wybuchła pomiędzy dwoma ostatnimi roninami w kwestii mieczy, które pozostały do wyboru.

–Wy dwaj, milczeć! – krzyknął.

Obaj obrócili się gwałtownie w jego stronę, a jeden warknął opryskliwie:

–Nie jesteś moim panem! Gdzie twoje wychowanie? Poproś albo sam zamilcz!

Yabu zerwał się na nogi i z uniesionym mieczem ruszył na ubliżającego mu ronina. Samuraje rozpięchli się, a ronin zemknął. Przy nabrzeżu jednak nagle odwrócił się i zaatakował z przeraźliwym okrzykiem bitewnym. Jego wszyscy kompani rzucili się mu na odsiecz z przygotowanymi mieczami i Yabu znalazł się w pułapce. Uniknął gwałtownego ciosu atakującego ronina, ciął w odpowiedzi mieczem i chybił w, chwili, gdy cała zgraja ruszyła naprzód, by go zabić. Samuraje Toranagi zareagowali za późno i zrozumieli, że już po Yabu, – Stać! – krzyknął po japońsku Blackthorne. Jego potężny głos osadził w miejscu wszystkich. – Iść tam! – Wskazał roninom miejsce, gdzie przedtem stali w szeregu. – Już! To rozkaz!

Na chwilę wszyscy na nabrzeżu zamarli. A potem ożyli. Zakłęcie Blackthorne'a straciło moc. Yabu rzucił się na ronina, który go obraził. Ten odskoczył w tył, w bok i z uniesionym nad głową mieczem czekał nieustraszenie na następny atak. Jego kompani zawahali się.

–Iść tam! Już! To rozkaz!

Z ociąganiem, ale posłusznie roninowie usunęli się z drogi, chowając miecze do pochew. Yabu i ronin zaczęli się nawzajem wolno okrążyć.

–Ty! – krzyknął Blackthorne. – Stój! Opuść miecz! To rozkaz!

Ronin ani na chwilę nie zdejmował wściekłego spojrzenia z Yabu, ale usłyszał polecenie Blackthorne'a i oblizął wargi. Zamarkował atak z lewej, z prawej, a kiedy Yabu cofnął się, wymknął się poza zasięg jego miecza, pośpieszył do Blackthorne'a i położył swój miecz przed nim.

–Jestem posłuszny, Anjin-san. Nie zaatakowałem go – powiedział Uskoczył i przed atakującym Yabu i wycofał się bez śladu lęku zwinniejszy i młodszy od daimyō, najwyraźniej go prowokując.

–Yabu-san – zawołał Blackthorne. – Przepraszam... myślę, że to nieporozumienie, nie? Może....:

Ale Yabu wyrzucił z siebie potok japońskich słów i skoczył na ronina, który znowu wycofał się, nic się go nie bojąc.

–Yabu-san uważa, że to wcale nie jest nieporozumienie, Anjin-san – wyjaśnił z chłodnym rozbawieniem Alvito. – „Ten cabron musi umrzeć – mówi. – Żaden samuraj nie może puścić płazem takiej zniewagi!”

Blackthorne, który rozpaczliwie starał się rozstrzygnąć, jak ma postąpić, czuł na sobie wzrok wszystkich. Patrzył, jak Yabu zbliża się do ronina. Stojący po jego lewej ręce samuraj Toranagi wycelował łuk. W ciszy słychać było jedynie zdyszane oddechy, kroki i okrzyki obu przeciwników. Ronin wycofał się, odwrócił i puścił biegiem wokół placu, uskakując na boki, klucząc i ani na chwilę nie przestając syczeć gardłowo zniewag i obelg.

–On go prowokuje, Anjin-san – powiedział Alvito. – Mówi; „Jestem samurajem... nie zabijam takich bezbronnych jak ty... ty nie jesteś samurajem, jesteś chłopem, który śmierdzi gnojem... tak, nie jesteś samurajem, jesteś eta i...”

Jezuita urwał, bo Yabu zaryczał z wściekłości, wskazał na jednego z samurajów i coś do niego krzyknął.

–Yabu mówi: „Ty! Daj mu swój miecz!” – wyjaśnił Alvito.

Ronin zawahał się i spojrzął na Blackthorne’a, oczekując rozkazu.

Yabu też zwrócił się do niego i krzyknął:

–Daj mu jego miecz!

Blackthorne podniósł leżący miecz.

–Yabu-san, proszę, nie walcz – powiedział, życząc mu śmierci. – Proszę, nie walcz...

–Daj mu miecz!!!

Wśród ludzi Blackthorne’a rozszedł się gniewny pomruk. Blackthorne podniósł rękę.

–Cisza! – rozkazał i spojrzął na swojego ronina. – Chodź tli. Proszę!

Nie spuszczać Yabu z oka i odskakując to w lewo, to w prawo przed jego wściekłymi ciosami, ronin zdołał się mu wymknąć i dobiegł do Blackthorne’a. Tym razem Yabu nie podążył za nim. Tylko czekał i przyglądał się mu jak rozjuszony byk szykujący się do szarży. Ronin uklonił się Blackthorne’owi i wziął miecz. A potem obrócił się w stronę Yabu i z bitewnym rykiem rzucił się na niego. Miecze szczęknęły raz i drugi. Przeciwnicy zaczęli się okręzać w milczeniu. Znowu wymienili ciosy, miecze zaśpiewały. Wtem Yabu potknął się i ronin zaatakował łatwy cel. W tej samej chwili jednak Yabu zrobił zgrabny unik i uderzył. Jego cios odrąbał roninowi rękę, nadal ściskając miecz. Przez chwilę ronin stał wyjąc, wpatrzony w kikuty, a potem Yabu odciął mu głowę. Zapadła cisza. A po chwili Yabu otoczył ryk zachwytu. Daimyō jeszcze raz sieknął mieczem podrygujące zwłoki. Pomściwszy W ten sposób honor, podniósł odciętą głowę za węzeł z włosów, starannie napluł zabitemu w twarz i odrzucił głowę na bok. W milczeniu powrócił do Blackthorne’a i złożył mu ukłon.

–Racz mi wybaczyć moje niewłaściwe zachowanie, Anjin-san. Dziękuję, że dałeś mi miecz – rzekł uprzejmym tonem, a Alvito przetłumaczył to. – Przepraszam za to, że krzychałem. Dziękuję ci, żeś pozwolił mi z honorem zakrwawić miecz. – Jego wzrok padł na rodowy klejnot, miecz, który podarował mu Toranaga. Dokładnie obejrzał jego klingę, a potem rozwiązał jedwabny pas, żeby usunąć z niej krew. – Nigdy nie dotykaj klingi palcami, Anjin-san, bo to ją zniszczy – powiedział. – Klinga może się stykać wyłącznie z jedwabiem albo z ciałem wroga. – Urwał i podniósł wzrok. – Czy wolno mi zaproponować ci, żebyś pozwolił swoim poddanym wypróbować miecze? Będzie to dla nich dobra wróżba.

Blackthorne zwrócił się do Uragi.

–Powiedz im to – polecił.

Yabu powrócił do domu późno. Służące zabrały jego przepocone szaty i dały świeże spacerowe kimono, a na stopy włożyły mu czyste tabi. Na chłodnej werandzie czekała na niego jego żona Yuriko z cha i sake w temperaturze wrzenia, tak jak lubił.

–Sake, Yabu-san? – spytała.

Yuriko była wysoka, szczupła, z pasmami siwizny we włosach. Ciemne kimono z nie najlepszego jedwabiu miło podkreślało jej jasną cerę.

–Dziękuję, Yuriko-san.

Yabu z przyjemnością napił się wina, rozkoszując się jego słodko-cierpkim drapaniem, gdy spływało mu przez spieczone gardło.

–Słyszałam, że dobrze ci poszło.

–Tak.

–Ależ bezczelny był ten ronin!

–Dobrze mi to zrobiło, pani, doskonale. Czuję się świetnie. Umoczyłem we krwi miecz Toranagi i dzięki temu stał się mój. – Yabu dopił czarkę, więc napełniła mu ją znowu. Dłonią pieścił rękojeść miecza. – Ale ta walka z pewnością nie przypadłaby ci do gustu. To był dzieciak... wpadł w pierwszą pułapkę w życiu.

Yuriko czule dotknęła męża.

–Cieszę się z tego, że w nią wpadł – powiedziała.

–Dziękuję ci, ale nawet się nie spocilem. – Yabu roześmiał się. – Niemniej szkoda, że nie widziałas miny tego kapłana! Uradowałabyś się patrząc, jak ten barbarzyńca poci się... jeszcze nigdy nie widziałem go rozgniewanego. Omal nie zadławił się gniewem, chcąc go opanować. Ludożerca! Oni wszyscy to ludożercy! Szkoda, że nie możemy ich – wytępić, zanim rozstaniemy się z tym światem.

–Myślisz, że Anjin-san mógłby to zrobić?

–Będzie się starał. Gdybym miał dziesięć takich statków i dziesięciu takich jak on, władałbym na morzu stąd do Kiusiu. On jeden wystarczyłby mi, żeby zaszkodzić Kiyamie, Onoshiemu i Harimie, rozbić Jikkyu i zatrzymać Izu! Potrzebujemy tylko odrobinę czasu, a każdy daimyō zacznie walczyć z własnym, osobistym wrogiem. Izu zaś będzie bezpieczna i z powrotem moja! Nie rozumiem, dlaczego Toranaga chce wypuścić Anjin-sana. Jeszcze jedno głupie marnotrawstwo!

Zacisnął dłoń w pięść i uderzył nią w tatami. Służąca wzdrygnęła się, ale nic nie powiedziała. Yuriko w ogóle się nie poruszyła. Przez jej twarz przemknął uśmiech.

–Jak Anjin-san przyjął własną wolność i swoich poddanych? – spytała.

–Był tak uszczęśliwiony, jak staruszek, który marzy o poczwórnym yangu jednej nocy. On... aha... – Yabu zmarszczył brwi na tę myśl. – ? Ale jednego nadal nie pojmuję. Kiedy ci wako otoczyli mnie za pierwszym razem, byłem zgubiony. Z całą pewnością. Ale Anjin-san powstrzymał ich i przywrócił mi życie. Nie miał po temu żadnego powodu, ne? Tuż przedtem widziałem, jak bije z niego nienawiść. Jest za naiwny, by udawać... a zresztą, czyż ja mógłbym mu zaufać?

–Przywrócił ci życie?

–O, tak. Dziwne, ne?

–Tak. Dzieje się wiele dziwnych rzeczy, mężu. – Yuriko odprawiła służącą, a potem spytała cicho: – Czego tak naprawdę chce Toranaga?

Yabu pochylił się ku niej i szepnął:

–Myślę, że chce, abym został jego naczelnym wodzem.

–A to z jakiego powodu? Czy Żelazna Pięść jest umierający? – spytała Yuriko. – A co z panem Sudarą? Co z Buntaro? Co z panem Noboru?

–Kto wie, pani. Wszyscy wypadli z jego łask, ne? Toranaga tak często zmienia zdanie, że nikt nie może przewidzieć, co z kolei zrobi. Najpierw poprosił mnie, żebym pojechał zamiast niego na nabrzeże i powiedział to wszystko, co zamierzał powiedzieć on, no a potem zaczął mówić o Hiro-matsu, że tak się postarzał, i spytał, co naprawdę myślę o pułku muszkietów.

–Czyżby znowu się szykował do Szkarłatnego Nieba?

–Ten plan jest gotowy. Ale jemu brak do tego ikry. Potrzebne są tu umiejętności dowodzenia i zręczność. Kiedyś miał te cechy, ale już ich nie ma. Teraz jest cieniem tego Minowary, którym był. Przeżyłem wstrząs, kiedy go zobaczyłem. Przykro mi bardzo, ale popełniłem błąd. Powinienem stanąć po stronie Ishido.

.– Myślę, że wybrałaś właściwie.

–Słucham?

–Najpierw wykąp się, a potem mam dla ciebie, jak sądzę, pewien prezent.

–Jaki prezent?

–Po wieczery przyjdzie tu twój brat Mizuno.

–To jest prezent? – Yabu nastroszył się. – A co mi może dać ten głupiec?

–Dostarczona przez głupca specjalna wiadomość albo jego wiedza mogą być tyle samo warte, co te od doradcy, ne? A czasem więcej.

–Jaka wiadomość?

–Najpierw weź kąpiel. I zjedz. Dzisiaj wieczorem musisz rozumować chłodno, Yabu-chan.

Kasigi Mizuno, młodszy brat Yabu i ojciec Omiego, był niskim mężczyzną z wyłupiastymi oczami, wysokim czołem i rzadkimi włosami.

Miecze nie pasowały do niego i ledwie umiał się nimi posługiwać. W strzelaniu z łuku też nie był orłem.

Uklonił się bratu i pogratulował mu sztuki szermierczej, bo wieści o wyczynie Yabu rozeszły się po zamku, jeszcze bardziej podnosząc jego renomę jako wojownika. Potem zaś, pragnąc sprawić mu przyjemność, przeszedł do rzeczy:

–Dziś dostałem zaszyfrowaną wiadomość od mojego syna, wielmożny panie – powiedział. – Pani Yuriko uznała, że powinienem ci ją przekazać osobiście.

Wręczył Yabu list wraz z rozszyfrowaną treścią. Brzmiał on:.

Ojczy, powiadom bezzwłocznie i poufnie pana Yabu, że po pierwsze, do Mishimy przybył potajemnie trasą przez Takato pan Buntaro. Jednemu z jego ludzi wymknęło się to w czasie popijawy, którą wydałem na ich cześć. Po drugie, w czasie swojej tajnej wizyty w Takato, która trwała trzy dni, Buntaro widział się dwukrotnie z Zatakim, a trzykrotnie z jego matką. Po trzecie, przed wyjazdem z Mishimy pan Hiro-matsu powiedział swojej nowej konkubinie, pani Oko, żeby się nie martwiła, „ponieważ póki żyję, pan Toranaga nie opuści Kantō”. Po czwarte...

Yabu podniósł wzrok.

–Jakże Omi-san może wiedzieć, co Żelazna Pięść powiedział prywatnie swojej konkubinie? – spytał. – Nie mamy w jego domu szpiegów.

–Już mamy, wielmożny panie. Proszę, czytaj dalej.

Po czwarte, Hiro-matsu jest w razie konieczności gotów zdradzić i zatrzymać Toranagę w Edo, a ponadto, w razie jego odmowy, wprowadzić w czyn, za zgodą lub bez zgody pana Sudary, Szkarłatne Niebo. Po piąte, są to informacje godne

zaufania. Osobista pokojówka pani Oko jest córką mamki mojej żony i została polecona do służby pani Oko tu, w Mishimie, kiedy poprzednia jej służąca nabawiła się, traf chce, chronicznego złego samopoczucia. Po szóste, Buntaro-san zachowuje się jak szaleniec, jest ponury i rozdrażniony, dziś na przykład bez powodu sprowokował i zabił samuraja, przeklinając Anjin-sana. I po ostatnie, szpiedzy donoszą, że Ikawa Jikkyu zgromadził w Surudze dziesięć tysięcy ludzi, gotowych przekroczyć nasze granice. Przekaż, proszę, panu Yabu moje pozdrowienia...

Reszta listu była nieistotna.

–Jikkyu, ha! A więc muszę iść na śmierć, nie zemściwszy się na tym diable! – wybuchnął Yabu. –

–Cierpliwości, wielmożny panie – powiedziała Yuriko. – Przekaż mu wszystko, Mizuno-san.

–Wielmożny panie – zaczął niski brat Yabu. – Od miesiący staraliśmy się wcielić w życie twój plan, ten, który zaproponowałeś zaraz po przybyciu barbarzyńcy. Pamiętasz, coś powiedział o tych srebrnych monetach? Wspomniałeś, że sto czy nawet pięćset takich, włożonych w ręce odpowiedniego kucharza, mogłoby usunąć Ikawę Jikkyu raz na zawsze. – Wyłupiaste oczy Mizuno stały się jeszcze bardziej żabie. – Wygląda na to, że Mura, naczelnik wioski Anjiro, mąż kuzyna, który ma kuzyna, którego brat jest najlepszym kucharzem w Surudze. Usłyszałem dziś, że został on przyjęty do domu Jikkyu. Jako zaliczkę otrzymał dwieście sztuk srebra, a pełna cena za jego usługę wynosi pięćset...

–Nie mam tych pieniędzy! To niemożliwe! Skąd wezmę pięćset, jestem rak zadłużony, że nie mam skąd wziąć nawet stu!

–Przepraszam, wielmożny panie. Przepraszam, ale pieniądze te już zostały odłożone. Nie wszystkie monety barbarzyńcy pozostały w tej kasecie. Tysiąc z nich zagubiło się jeszcze przed urzędowym przeliczeniem... Bardzo przepraszam.

Yabu spojrział na niego jak głupi.

–W jaki sposób? – spytał.

–Zdaje się, że nakazał mi to zrobić w twoim imieniu Omi. Pieniądze te przywieziono potajemnie pani Yuriko, za jej wcześniejszym przyzwoleniem, nie narażając się na twój gniew.

Yabu dłuższy czas nad tym myślał.

–Na czyje polecenie? – spytał.

–Moje. Za przyzwoleniem pani Yuriko.

–Dziękuję ci, Mizuno-san. I tobie, Yuriko-san. – Yabu uklonił się obojgu. – A więc to tak!, Ikawa Jikkyu, ha?! Nareszcie! – Klepnął serdecznie brata w plecy, na co ten zareagował z niemal żalną przymilnością. – Świetnie zrobiłeś, bracie. Poślę ci parę sztuk jedwabiu z mojego skarbcza. A jak tam twoja żona?

–No cóż, ma się bardzo dobrze, wielmożny panie. Prosiła, żebyś przyjął jej najlepsze życzenia.

–Musimy razem zjeść. Dobrze... dobrze. No, a co sądzisz o reszcie tego listu?

–Nic, wielmożny panie. Ale bardzo interesuje mnie twoje zdanie na ten temat.

–Po pierwsze... – Yabu urwał, zauważając ostrzegawcze spojrzenie żony, i zmienił treść zdania, które miał wygłosić. – Po pierwsze i po ostatnie, znaczy to, że Omi-san jest wspaniałym wasalem. Gdyby ode mnie zależała przyszłość, tobym go awansował... tak jest, zasługuje na awans, ne?

Mizuno okazał obłudną radość. Yabu cierpliwie pogawędził z nim, jeszcze raz go pochwalił i pożegnał tak szybko, jak na to pozwalała grzeczność.

Yuriko posłała po cha. Kiedy zostali tylko we dwoje, Yabu ponownie spytał:

–A co oznacza reszta tego listu?

Twarz Yuriko zdradzała podniecenie.

–Racz mi wybaczyć, wielmożny panie, ale chcę ci podsunąć nową myśl: Toranaga robi z nas wszystkich głupców i nie ma zamiaru, nigdy nie miał, jechać do Osaki, żeby się poddać.

–Bzdura!

–Pozwól, że ci przedstawię fakty... Och, wielmożny panie, nie zdajesz sobie sprawy, jakie to szczęście, że masz takiego wasala jak Orni i takiego głupiego brata, który kradnie tysiąc sztuk srebra. A dowody na moją teorię są takie: Buntaro-san, zaufany powiernik Toranagi, został wysłany potajemnie do Zatakiego. Po co? Naturalnie, z nową propozycją. Co by mogło skusić Zatakiego? Kantō... jedynie to! Tak więc proponuje się mu Kantō w zamian za przysięgę na wierność Toranadze, kiedy ten stanie się znowu przewodniczącym Rady Regencyjnej, nowej Rady, z nowym mandatem sprawowania władzy. Będzie mógł sobie wówczas pozwolić na taki dar, ne? – Yuriko odczekała chwilę, a potem pieczołowicie tłumaczyła dalej. – Jeżeli przekona Zatakiego, żeby zdradził Ishido, to będzie miał za sobą czwartą część drogi do stolicy, Kioto. A jak spoić ów pakt z bratem? Oczywiście za pomocą zakładników!

Słyszałam dzisiaj po południu, że pan Sudara z panią Genjiko oraz córkami i synem przed upływem dziesięciu dni wybiorą się w odwiedzinach do czcigodnej babki w Takato.

–Wszyscy?

–Tak. Pan Toranaga zwraca Anjin-sanowi statek, który jest jak nowy, i oddaje mu działa, proch, dwustu fanatycznych wojowników i wszystkie pieniądze, które na pewno wystarczą do kupienia nowych barbarzyńskich najemników, tych nikczemnych pirackich szumowin z Nagasaki. W jakim celu? Żeby mógł zaatakować i zdobyć barbarzyńską Czarną Karawelę. Brak Czarnej Karaweli to brak pieniędzy i niesłychane kłopoty dla chrześcijańskich kapłanów, którzy mają wpływ na Kiyamę, Onoshiego i całą resztę zdradzieckich chrześcijańskich daimyō.

–Toranaga nigdy nie ośmieliłby się na to porwać! Próbował taikō i przegrał, a był przecież wszechpotężny. Barbarzyńcy wściekną się i odpłyną. Przestaniemy handlować.

–Tak by było. Gdybyśmy zrobili to my. Lecz tym razem to barbarzyńcy będą walczyć z innym barbarzyńcą, ne? My nie mamy z tym nic wspólnego. Powiedzmy, że Anjin-san zaatakuje Nagasaki i puści je z dymem... czyż Harima nie jest nastawiony wrogo, podobnie jak Kiyama i Onoshi, a za ich sprawą reszta daimyō z Kiusiu? Powiedzmy, że Anjin-san podpala jeszcze kilka innych portów tych wielmożów, łupi je, a jednocześnie...

–Jednocześnie Toranaga rozpoczyna Szkarłatne Niebo! – dopowiedział Yabu.

–Tak. Właśnie tak – przyznała uradowana Yuriko. – Czyż to nie tłumaczy jego postępowania? Czyż intryga ta nie pasuje do niego jak ulał? Czyż nie robi on tego, co robił zawsze? Po prostu jak zawsze czeka, jak zawsze gra na czas, dzień tutaj, dzień tam i robi się z tego miesiąc, a wówczas znów ma przytłaczającą przewagę siły, co pozwala mu zgnieść Wszelki opór. Od chwili, kiedy Zataki przywiózł mu do Yokose wezwanie, upłynął już prawie miesiąc.

Yabu czuł, jak w uszach dudni mu krew.

–A więc jesteśmy uratowani? – spytał.

–Nie, ale nie zgubieni. Uważam, że nie będzie żadnego poddania się. – Yuriko zawahała się. – Toranaga zwiódł wszystkich. Ależ on jest szczwany, ne? Wszystkich oszukał tak jak nas. Oszukiwał aż do dzisiejszego wieczora. Orni dostarczył mi wskazówek. Wszyscyśmy zapomnieli, że Toranaga jest wspaniałym aktorem teatru nō, w razie potrzeby wdzierającym na twarz minę niczym maskę. Ne?

Yabu bardzo chciał uporządkować myśli, ale nie był w stanie.

–Ale przecież Ishido nadal ma przeciwko nam całą Japonię! – powiedział.

–Tak. Bez Zatakiego. A ponadto z całą pewnością istnieją też inne potajemne sojusze. Toranaga i ty utrzymacie nasze przełęcze aż do odpowiedniej chwili.

–W ręku Ishido jest zamek w Osace, następca i bogactwa taikō.

–Tak. Ale on nie wysunie nosa z zamku. Ktoś go zdradzi.

–Co mam robić?

–Dokładnie co innego niż Toranaga. Niech on czeka, a ty przyspieszaj bieg wypadków.

–W jaki sposób?

–Po pierwsze, wielmożny panie, Toranaga zapomniał o jednej rzeczy, którą spostrzegłeś dziś po południu. O niezmiernej wściekłości Tsukku-sana. Z jakiego powodu? Z takiego, że Anjin-san zagraża przyszłości chrześcijan, ne? Dlatego też natychmiast musisz wziąć Anjin-sana pod swoją opiekę, ponieważ ci kapłani albo ich marionetki zabiją go w ciągu najbliższych godzin. Po drugie, Anjin-san potrzebuje twojej ochrony i rady w zdobyciu nowej załogi w Nagasaki. Bez ciebie i twoich ludzi na pewno mu się to nie uda. Bez niego, jego statku, dział i barbarzyńskich najemników Nagasaki nie spłonie, a musi spłonąć, bo inaczej Onoshi, Kiyama, Harima i ci plugawi kapłani nie stracą głowy na tyle, żeby na jakiś czas wycofać poparcie dla Ishido. W tym samym czasie Toranaga, wspomagany, dziw nad dziwy, przez Zatakiego i jego fanatycznych żołnierzy oraz ciebie na czele pułku muszkietów, przebędzie prędko przełęcze Shinano i dostanie się na równiny Kioto.

–Tak. Tak, masz rację, Yuriko-chan! Tak to się odbędzie. Ach, jesteś taka sprytna, taka przebiegła, taka mądra!

–Wiedza i mądrość nie zdadzą się na nic, jeśli zabraknie środków na wprowadzenie planu w życie, wielmożny panie. Ty sam jeden możesz to zrobić, jesteś wodzem, jesteś wojownikiem, generałem, bez którego Toranaga nie może się obyć. Musisz się z nim zobaczyć dziś wieczorem.

–Przecież nie mogę iść do niego i powiedzieć mu, że przejrzałem jego grę, ne?

–Nie, ale będziesz go błagał, żeby pozwolił ci popłynąć z Anjin-sanem, powiesz, że musisz natychmiast wyjechać. Wymyślimy jakiś wiarygodny powód.

–Ale jeżeli Anjin-san zaatakuje Nagasaki,! Czarną Karawelę, to czy oni nie przestaną handlować i nie odpłyną?

–Tak. Możliwe. Ale w przyszłym roku. A do przyszłego roku Toranaga zostanie regentem, przewodniczącym Rady. A ty jego naczelnym wodzem.

Yabu zszedł z obłoków.

–Nie – powiedział stanowczo. – Kiedy tylko zdobędzie władzę, każe mi popęlić seppuku.

–O wiele pręcej dostaniesz od niego Kantō. Yabu zamrugał oczami.

–Jak to? – spytał.

–Toranaga za nic nie odda Kantō swojemu przyrodniemu bratu. Zataki jest dla niego nieustannym zagrożeniem. To dzikus, którego rozpira pycha, ne? Toranaga z dziecinną łatwością podpuści Zatakiego, żeby go poprosił o centralne miejsce w szyku bitewnym. Jeżeli Zataki nie polegnie z czyjejś ręki... to być może trafi go jakaś zabłąkana kula albo strzała? Zapewne kula. Koniecznie musisz poprowadzić do bitwy ten pułk muszkietów, wielmożny panie.

–A czy i mnie nie może trafić zabłąkana kula?

–Może. Ale ty nie jesteś krewnym Toranagi, a więc nie zagrażasz jego władzy. Staniesz się jego najbardziej oddanym wasalem. On potrzebuje dowódców wojskowych. Zasłużysz sobie na Kantō i do tego właśnie powinieneś dążyć. Kiedy Ishido zostanie zdradzony, Toranaga da ci Osiem Prowincji, a dla siebie weźmie Osakę.

–Wasalem? Ale przecież powiedziałaś, żeby czekać... a niedługo wca...

–A teraz doradzam ci, żebyś go poparł z całych sił. Nie wykonuj wszystkich jego rozkazów ślepo jak Żelazna Pięść, ale z głową. Pamiętaj, Yabu-chan, że podczas bitwy, każdej bitwy, żołnierze popełniają omyłki, a zabłąkane kule naprawdę się zdarzają. Jak długo będziesz dowodził tym pułkiem, zachowasz wybór... i dokonasz go w dogodnej chwili, ne?

–Tak – odparł Yabu, podziwiając żonę.

–Pamiętaj. Warto poprzeć Toranagę. To Minowara, a Ishido to chłop. Ishido to głupiec. Teraz widzę to wyraźnie. Ishido już teraz, deszcz nie deszcz, powinien walić do wrót Odawary. Czyż Omi-san nie mówił tego parę miesięcy temu? Czyż w Odawarze nie brakuje żołnierzy? Czy Toranaga nie jest osamotniony?

Yabu radośnie uderzył pięścią w podłogę.

–A więc mimo wszystko wojna! Jakże przebiegła jesteś, żeś go tak przejrzała! Och,

a więc on przez cały czas bawił się z nami w lisa, ne?

–Tak – odparła, bardzo z siebie zadowolona.

Mariko doszła do tego samego zdumiewającego wniosku, choć nie na podstawie tych samych faktów. Toranaga na pewno udaje, rozumowała, prowadzi potajemną grę. To jedyne wytłumaczenie jego niewiarygodnego zachowania – zwrócenia Anjin-sanowi na oczach Tsukku-sana statku, pieniędzy, wszystkich dział i wolności. Teraz Anjin-san na pewno zaatakuje Czarną Karawelę. Zdobędzie ją i zagrozi przyszłorocznej Czarnej Karaweli, a przez to bardzo zaszkodzi Kościołowi i zmusi świątobliwych ojców, żeby wymogli na Kiyamie i Onoshim zdradę Ishido...

Ale dlaczego to zrobił? Jeżeli to prawda, pomyślała zdezorientowana, i Toranaga ma takie dalekosiężne plany, to oczywiście nie pojedzie do Osaki i nie pokłoni się Ishido, ne? Jednak musi... Ach! A ta dzisiejsza zwłoka w wyjeździe, do której namówił go Hiro-matsu? Madonno na wysokościach, pan Toranaga wcale nie miał zamiaru się poddać! To był podstęp!

W jakim celu? Żeby zdobyć czas.

I co przez to zyskać? Zaczekać i przygotować tysiąc sztuczek Więcej, nieważne jakich, bo liczy się tylko to, że Toranaga pozostaje sobą – wszechwładnym manipulatorem marionetek, który pociąga za wszystkie sznurki, ile jeszcze potrwa, zanim Ishido straci cierpliwość, podniesie bitewne chorągwie i ruszy na nas? Miesiąc... najdalej dwa. Nie więcej. Tak więc przed dziesiątym, miesiącem obecnego piątego roku ery Keichō zacznie się bitwa o Kantō!

Tylko co Toranaga zyska w ciągu dwóch miesięcy? Nie wiem, wiem jedynie, że teraz mój syn ma szansę otrzymać swoje dziesięć tysięcy koku, żyć i mieć potomków i że ród mojego ojca być może nie zniknie z powierzchni ziemi.

Zaczęła się rozkoszować tą nowo zdobytą wiedzą, zastanawiając się nad nią, roztrząsając ją i dochodząc do wniosku, że logicznie jest bez zarzutu. Co jednak robić tymczasem? – zadawała sobie pytanie. Nic więcej ponad to, co robiłaś i na co się zdecydowałaś, odpowiedziała sobie. Ne? – Pani?

–Tak, Chimmoko?

–Przyszła Gyoko-san. Mówi, że była umówiona.

–A tak. Zapomniałam ci powiedzieć. Najpierw podgrzej sake, a potem wprowadź ją tutaj.

Mariko przyszły na myśl wydarzenia tego popołudnia. Przypomniła sobie uścisk jego ramion, taki bezpieczny, ciepły, mocny.

–Czy zobaczę cię dziś wieczorem? – spytał ostrożnie po odejściu Tsukku-sana i Yabu.

–Tak – odparła w porywie uczucia. – Tak, kochany. Och, jakże się cieszę z twojego powodu. Powiedz Fujiko-san... poproś ją, żeby posłała po mnie po godzinie Dzika.

Teraz w ciszy własnego domu ścisnęło ją w gardle. Jakie to głupie i jakie niebezpieczne, pomyślała.

Sprawdziła w lustrze fryzurę i makijaż i spróbowała się opanować. Zbliżyły się kroki. Odsunięto shoji.

–O, pani – powiedziała Gyoko z głębokim ukłonem. – Jakże miło z twojej strony, że zechciałaś się ze mną spotkać.

–Proszę bardzo, Gyoko-san.

Napiły się sake, którego nałała im Chimmoko.

–Jaka śliczna porcelana, pani. Taka piękna.

Po wymianie grzeczności, Chimmoko została odesłana.

–Bardzo mi przykro, Gyoko-san, ale nasz pan nie pojawił się dziś po południu. Nie widziałam się z nim, chociaż mam nadzieję zobaczyć się z nim przed wyjazdem.

–Tak, słyszałam, że zamiast niego na nabrzeże przybył Yabu-san.

–Kiedy zobaczę się z wielmożnym panem Toranagą, spytam go jeszcze raz. Spodziewam się jednak, że jego odpowiedź będzie taka sama. – Mariko nałała obu sake. – Tak mi przykro, że nie spełni mojej prośby.

–Owszem, wierzę ci. Chyba że wywrze się na niego duży nacisk.

–Ja nie mogę zastosować żadnego nacisku. Bardzo żałuję.

–Ja również bardzo żałuję, pani.

Mariko odstawiła czarkę.

–A więc uznałaś, że niektóre języki nie są bezpieczne – powiedziała. –

–Czy gdybym chciała rozpowiedzieć twoje tajemnice, pani, tobym ci o tym powiedziała prosto w oczy? – spytała szorstko Gyoko. – Posądzasz mnie o taką naiwność?

–Może lepiej będzie, jeśli sobie pójdiesz. Bardzo przepraszam, ale mam tyle zajęć.

–To tak jak ja, pani! – odparła Gyoko, nastroszona. – Pan Toranagą spytał mnie wprost, co wiem o tobie i Anjin-sanie. Dzisiaj po południu. Powiedziałam mu, że nic pomiędzy wami nie ma. „O, tak, a jakże, słyszałam też podłe plotki, wielmożny panie, ale nie ma w nich krzty prawdy. Przysięgam ci na głowę mojego syna i jego synów. Gdyby ktoś o tym wiedział, to ja na pewno. Wierz mi, że to wszystko wredne kłamstwo, plotka, plotka zazdrośników, wielmożny panie...” A, tak, pani, wierzaj mi, byłam odpowiednio oburzona, grałam wspaniale i przekonałam go. – Gyoko wypła sake i dodała z goryczą w głosie: – A teraz wszystkie czeka marny los, jeśli on zdobędzie dowody. O co wcale nietrudno. Ne?

–W jaki sposób?

–Podda Anjin-sana próbie, stosując chińskie metody. Podda chińskim metodom Chimmoko, mnie, Kiku-san, Yoshinakę... a nawet, przykro powiedzieć, ciebie, pani... stosując metody Chińczyków.

Mariko wzięła głęboki oddech.

–Czy... czy wolno spytać, czemu tak bardzo się narażasz? – spytała.

–: Ponieważ w pewnych sytuacjach kobiety muszą bronić się nawzajem przed mężczyznami. Ponieważ ja właściwie nie widziałam nic. Ponieważ lubię ciebie i Anjin-sana i wierzę, że oboje macie własne karmy. A poza tym dlatego, że wolę, żebyś żyła i była moją przyjaciółką, niż zginęła. Ponadto fascynuje mnie obserwowanie, jak wy, troje ciem, krążycie wokół płomienia życia.

–Nie wierzę ci.

Gyoko zaśmiała się cicho.

–Dziękuję ci, pani. – Opanowała się i dodała z całkowitą szczerością: – A więc dobrze, zdradzę ci prawdziwy powód. Potrzebuję twojej pomocy. Tak, Toranaga-sama nie spełni mojej prośby, ale ty być może wymyślisz na to sposób. Jesteś moją jedyną nadzieją, drugiej takiej już w życiu mieć nie będę i nie zrezygnuję z niej tak łatwo. Tak więc wiesz już wszystko. A zatem proszę cię, błagam z całą pokorą o pomoc w spełnieniu mojego życzenia. – Położyła obie ręce na futonie i pokłoniła się nisko. – Zechciej wybaczyć mi moje natręctwo, pani Toda, ale jeżeli mi pomożesz, to wszystko, co mam, będzie na twoje zawołanie.

Gyoko usiadła na piętach, poprawiła fałdy kimona i dokończyła sake.

Mariko próbowała myśleć jasno. Intuicja podpowiadała jej, żeby zaufać tej kobiecie, ale jej umysł wciąż był pełen myśli o przejrzeniu zamiarów Toranagi i czuła ulgę, że

Gyoko nie doniosła na nią, jak tego oczekiwała. Postanowiła więc odłożyć decyzję w jej sprawie na później.

–Tak, spróbuję – obiecała. – Musisz mi łaskawie dać na to czas.

–Dam ci coś lepszego. Oto fakty: Czy znasz Bractwo Amidy? Tych zabójców?

–A o co chodzi?

–Pamiętasz tego z zamku w Osace, pani? Chciał zabić Anjin-sana, a nie wielmożnego pana Toranagę. Zarządca pana Kiyamy zapłacił za tę usługę dwa tysiące koku.

–Kiyama? Ale dlaczego?

–To chrześcijanin, ne? Anjin-san już wtedy był dla niego wrogiem, a jeżeli wtedy, to co dopiero teraz? Teraz Anjin-san jest samurajem, jest wolny i ma statek.

–Jeszcze jeden zabójca z Bractwa Amidy? Tutaj?

Gyoko wzruszyła ramionami.

–Kto wie? Ale jeżeli Anjin-san nie będzie się pilnował poza murami zamku, to nie dałabym za jego życie opaski zawszonego eta.

–A gdzie jest teraz?

–W swojej kwaterze, pani. Masz zamiar wkrótce go odwiedzić, ne? Może dobrze byłoby przy okazji ostrzec go.

–Zdaje się, że wiesz o wszystkim, co się dzieje, Gyoko-san!

–Uszy mam otwarte, wielmożna pani. I oczy. Mariko stłumiła obawy o los Blackthorne'a.

–Czy powiedziałaś o tym panu Toranadze? – spytała.

**–O, tak, powiedziałam mu o tym. – Kąciki ust Gyoko zmarszczyły się, lęknęła sake.
– Prawdę mówiąc, nie wyglądał na zaskoczonego. Ciekawe, prawda?**

–Może się pomyliłaś.

–Może. W Mishimie słyszałam plotkę o zamiarze otrucia pana Kiyamy. Straszne, co?

–Jakim zamiarze?, Gyoko podała jej szczegóły.

–To niemożliwe! Jeden chrześcijański daimyō nie zrobiłby tego drugiemu!,– oświadczyła Mariko i napełniła czarki. – Wolno spytać, o czym jeszcze ze sobą rozmawialiście, ty i on?

–Po części o odzyskaniu przez nas jego łask i wydostaniu nas z tej zapchlonej gospody, wielmożna pani, na co przystał. Mamy otrzymać godziwe-pomieszczenia wewnątrz zamku, blisko Anjin-sana, w jednym z domów dla gości, a poza tym możemy poruszać się swobodnie. Poprosił, żeby Kiku-san zabawiła go dziś wieczorem, co wprawdzie nie rozproszy jego melancholii, ale to już jakiś postęp. Ne?

Gyoko przyglądała się badawczo Mariko. Ta jednak nie zmieniła miny i tylko skinęła głową. Starsza kobieta westchnęła i mówiła dalej.

–Tak, jest bardzo smutny. Szkoda. Część rozmowy poświęciliśmy tym trzem tajemnicom. Kazał mi powtórzyć, co wiem, wszystko to, o czym ci napomknęłam.

Aha, pomyślała Mariko, kiedy następny element zagadki dopasował się do całości. Ochiba? A więc to jest ta przynęta dla Zatakiego. A ponadto Toranaga otrzymał pałkę, którą w razie potrzeby może przywołać do porządku Omiego, a do tego broń przeciwko Onoshiemu i Harimie, a nawet przeciwko Kiyamie.

–Uśmiechasz się, pani?

O, tak, chciała odpowiedzieć Mariko, chcąc się podzielić z Gyoko swoim rozradowaniem. Chciała jej powiedzieć: „Jakże cenne są twoje informacje dla naszego pana. Powinien cię za to ozłocić! Powinnaś otrzymać tytuł daimyō! Jakież to niezwykle człowiek, że wysłuchał cię, nie okazując na pozór najmniejszego zainteresowania. Jaki wspaniały!”

Ale pani Toda Mariko-no-Buntaro tylko potrząsnęła głową i odparła jakby nigdy nic:

–Bardzo mi przykro, że twoje informacje go nie pocieszyły.

–Nic z tego, co mu powiedziałam, nie poprawiło mu humoru, był posępny i zrezygnowany. To smutne, ne?

–Tak, bardzo mi przykro.

–Tak. – Gyoko głośno wciągnęła nosem powietrze. – Nim jednak sobie pójdę, pani, dla umocnienia naszej przyjaźni chciałabym ci powiedzieć jeszcze coś, co może cię zainteresować. Bardzo możliwe, że Anjin-san jest bardzo płodnym mężczyzną.

–Słucham?

–Kiku-san jest w ciąży.

–Z Anjin-sanem?

–Tak. Albo z panem Toranaga. Niewykluczone też, że z panem Omim. Wszyscy robili to w odpowiednim czasie. Po wizycie pana Omiego zastosowała oczywiście zwykłe środki ostrożności, ale, jak wiesz, żadna metoda nie jest doskonała, niczego nie da się zagwarantować, a błędy się zdarzają, ne? Wydaje jej się, że zapomniała tego zrobić po wizycie Anjin-sana, ale nie jest pewna. W tym dniu przybył do Anjiro posłaniec i w podnieceniu spowodowanym wyjazdem do Yokose oraz wykupieniem jej kontraktu przez pana Toranagę... jest to zrozumiałe, ne? – Gyoko podniosła rękę, ogromnie przejęta. – Natomiast po wizycie pana Toranagi, za moją namową, postąpiła przeciwnie. I obie zapaliłyśmy trociczki i pomodliłyśmy się o chłopca. Mariko Wpatrywała się pilnie we wzór na wachlarzu.

–Kto jest ojcem? Jak myślisz? – spytała.

–W tym cały kłopot, wielmożna pani. Nie wiem. Byłabym ci wdzięczna za radę.

–To poczęcie musi być, oczywiście, przerwane. Kiku-san niczym to nie grozi.

–Ja się zgadzam. Ale, niestety, nie zgadza się na to ona.

–Co takiego? To niesłychane, Gyoko-san! Ależ ona musi to zrobić. Albo trzeba zawiadomić o wszystkim pana Toranagę. W końcu stało się to, zanim...

–Być może stało się to przed jego wizytą, wielmożna pani.

–Pan Toranaga musi o tym wiedzieć. Dlaczego Kiku-san jest taka nieposłuszna i niemądra?, – Karma, pani. Ona chce mieć dziecko.

–Czyje dziecko?

–Tego nie powie. Oświadczyła jedynie, że każdy z tej trójki ma swoje zalety.

–Mądrze by zrobiła pozbywając się tego dziecka, a następnym razem miała pewność co do ojca. i, – Zgadzam się. Pomyślałam sobie, że ty, pani, powinnaś wiedzieć o tej sprawie, na wypadek... Zanim zacznie być coś widać albo zanim będzie za późno na bezpieczne poronienie, minie wiele, wiele dni. Może Kiku-san zmieni zdanie. W tym przypadku nie mogę jej do niczego zmusić. Nie jest już moją własnością, choć tymczasem staram się nią opiekować. Byłoby wspaniale, gdyby ojcem tego dziecka okazał się pan Toranaga. Ale załóżmy, że będzie miało niebieskie oczy... Jeszcze jedna rada, wielmożna pani. Powiedz Anjin-sanowi, żeby ufał temu Urzędę tylko do pewnych granic, ale w żadnym razie w Nagasaki. Tam za nic. Ostatecznie ten przechrzta zawsze będzie powolny swojemu wujowi, panu Harimie.

–Skąd dowiadujesz się o tych wszystkich sprawach, Gyoko-san? – spytała Mariko.

–Mężczyźni mają potrzebę powierzenia innym swoich tajemnic, pani. Tym właśnie różnią się od nas... muszą dzielić się z kimś swoimi sekretami, ale my, kobiety, odsłaniamy je tylko wówczas, kiedy chcemy zapewnić sobie przewagę. Jeżeli ma się troszkę srebra i czujne ucho, a ja mam i to, i to, bardzo o to łatwo. Tak, mężczyźni muszą dzielić się swoimi sekretami. Dlatego właśnie jesteśmy od nich lepsze i zawsze będą w naszym ręku.

W ciemnościach tuż przed świtem krata w bocznej bramie podniosła się bezszelestnie i przez wąski zwodzony most nad wewnętrzną fosą przeszło dziesięciu mężczyzn. Żelazna krata opadła za nimi. Stojący po drugiej stronie mostu strażnicy z rozmysłem odwrócili się do nich plecami i pozwolili im przejść” nie sprawdzając tożsamości. Cała dziesiątka – Naga, Yabu, Blackthorne, Urąga i sześciu samurajów – nosiła ciemne kimona, stożkowate kapelusze i mocno ścisnęła miecze. Naga, z Yabu przy boku poprowadził ich bezbłędnie przez labirynt bocznych, pnących się w górę i opadających w dół schodów oraz mało uczęszczane zaułki. Wszystkim napotkanym, bez wyjątku czujnym patrolom i strażom, Naga okazywał srebrne godło i oddziałek przepuszczano bez zatrzymywania i wypytywania.

Tuż przed kordonem otaczającym nabrzeże, przy którym cumował Erasmus, towarzysząca od Pierwszego Mostu dziesiątce przybyszów eskorta samurajów zatrzymała się, jej dowódca dał im znak, by poszli dalej, zasalutował, a potem wraz z podkomendnymi odwrócił się i wtopił z powrotem w ciemności.

Naga przeprowadził oddziałek przez bariery. Bez słowa wpuszczono ich na nabrzeże. Paliło się tam więcej pochodni i stało więcej strażników niż poprzednio...

–Wszystko gotowe? – spytał Yabu, przejmując dowództwo.

–Tak, wielmożny panie – odparł dowódca samurajów.

–Dobrze. Zrozumiałeś, Anjin-san?

–Tak, dziękuję, Yabu-san.

–Doskonale. Pośpiesz się.

Blackthorne spostrzegł, że jego samuraje stoją z boku, tworząc luźny kwadrat, i, tak jak było ustalone, dał Uradzę znak, żeby do nich dołączył. Pośpieszył na statek, a kiedy wreszcie znalazł się rozradowany na własnej rufówce, ponownie zlustrował go wzrokiem, sprawdzając wszystko jeszcze raz od nowa. Na ciemnym niebie nie było jeszcze znać żadnych zwiastunów brzasku. Wszystko wskazywało, że dzień będzie ładny, a morze spokojne.

Spojrzał na nabrzeże. Yabu i Naga byli zajęci rozmową, a Urąga wyjaśniał jego poddanym, co się dzieje. I wtedy znów otworzono bariery, wpuszczając na plac wśród zgryźliwych żartów strażników wyraźnie zalęknionych Baccusa van Nekka i resztę jego załogi...

Blackthorne podszedł do nadburcia i zawołał:

–Hej! Wejdźcie na pokład!

Kiedy jego ludzie dojrżeli go, ich lęk nieco opadł i przyśpieszyli kroku, ale strażnicy obrzucili ich przekleństwami, więc stanęli jak wryci.

–Uraga-san! – krzyknął Blackthorne. – Każ im wpuścić moich ludzi na pokład. Natychmiast!

Uraga skwapliwie wypełnił polecenie. Samuraje wysłuchali go, ukłonili się w stronę statku i wpuścili załogę.”

Pierwszy znalazł się na pokładzie Vinck, ostatni wdrapał się po omacku Baccus. Europejczycy Byli nadął wystraszeni, ale żaden nie wszedł na rufówkę, która była wyłączną domeną Blackthorne’a.

–Jezu Chryste, pilocie – wysapał Baccus i głośniejszym głosem zapytał: – Co się dzieje?

–Co się stało, pilocie? – dołączył z pytaniem Vinck wraz z pozostałymi. – Rany boskie, spokojnie sobie śpimy, a tu raptem wybucha piekło, drzwi otwierają się na oścież, a te mały pędzą nas tutaj...

–Posłuchajcie! – rzekł Blackthorne, podnosząc rękę, a kiedy zapadła cisza, cicho mówił dalej: – Zabieramy stąd Erasmusa do bezpiecznej zatoki za...

–Nie mamy dość ludzi, pilocie – przerwał mu zaniepokojony Vinck. – Za nic...

–Posłuchaj, Johann! Japończycy pohołują nas. Lada chwila zjawi się tu drugi statek. Ginsel, idź na dziób... zajmiesz się ołowianką. Vinck, stań za sterem, Jan Ropper i Baccus obsadzą kołowrót z przodu, a Salamon z Croocqiem na rufie. Sonk, zejź na dół i sprawdź ładownie. Jeżeli znajdziesz jakiś grog, to go wytocz. Stań w dryfie!

–Chwileczkę, pilocie! – powiedział Jan Roper. – Po co ten cały pośpiech? Dokąd płyniemy i dlaczego?

Blackthorne zachnął się na takie wypytywanie, ale przypomniał sobie, że przecież mają prawo to wiedzieć, że nie są poddanymi ani eta, tylko jego załogą, towarzyszami żeglugi i do pewnego stopnia niemal współnikami.

–To początek pory burz. Nazywają je tai-funami, wielkimi burzami – odparł. – Na przystani Erasmus nie jest bezpieczny. Po drugiej stronie zatoki, kilka mil morskich na południe, jest najlepsze i najbezpieczniejsze kotwicowisko w tej okolicy. Znajduje się nie opodal wioski Jokohama. Erasmus będzie tam bezpieczny i przetrzyma każdy sztorm. A teraz, stanąć w dryfie! Nikt się nie poruszył.

–Tylko kilka mil morskich, pilocie? – spytał van Nekk.

–Tak.

–A co potem? I po co ten pośpiech?

–Pan Toranaga pozwolił mi to zrobić teraz – odparł Blackthorne, wyjawiając im tylko część prawdy. – Pomyślałem, że im prędeej, tym lepiej. Bo znowu może zmienić zdanie, ne? W Jokohamie...

Odwrócił głowę, bo na pokład wszedł Yabu w asyście sześciu strażników. Europejczycy natychmiast zeszli mu z drogi.

–O Chryste – wydusił z siebie Vinck. – To on! To ten psi syn, który zamęczył Pieterzoona!

Yabu z szerokim uśmiechem wspiął się prawie na pokład rufowy, świadom przerażenia, jakie ogarnęło załogę, kiedy go rozpoznała. Wskazał na morze.

–Anjin-san, patrz! – powiedział. – Tam! Wszystko doskonale, ne?

Z ciemności na zachodzie wyłoniła się bezgłośnie galera, sunąc w ich stronę niczym olbrzymia morska gąsienica.

–Dobrze, Yabu-sama! Chcesz zostać tutaj?

–Później,” Anjin-san.

Yabu zszedł ze szczytu schodni, a Blackthorne jeszcze raz zwrócił się do ziomków.

–Na dziób. Migiem... i uważać, co mówicie. Porozumiewajcie się pomiędzy sobą tylko rynsztokowym holenderskim... na pokładzie jest Japończyk, który zna portugalski! Pogadam z wami, kiedy odpłyniemy. Ruszajcie się!

Członkowie jego załogi rozproszyli się, radzi, że schodzą z oczu Yabu. Na pokład wbiegli susami Urąga i dwudziestu samurajów Blackthorne’a. Pozostali ustawili się na nabrzeżu, szykując do wejścia na” pokład.

–To twoja straż przyboczna, senhor, jeśli pozwolisz – rzekł Urąga.

–Nazywam się Anjin-san, nie senhor – odparł Blackthorne.

–Bardzo przepraszam, Anjin-san – powiedział Urąga i ruszył po schodni.

–Stać! Zostań na dole! Na rufówkę nikt nie wejdzie bez mojego pozwolenia! Powiedz to im.

–Tak, Anjin-san. Proszę o wybaczenie.

Blackthorne podszedł do burty, żeby się przyjrzeć galerze, która właśnie wpływała do przystani tuż na zachód od, nich.

–Ginsel! Zejdź na brzeg i dopilnuj, żeby wzięli nasze liny holownicze! – polecił. – Niech je umocują jak należy! Chyżo!

Przejawszy dowództwo statku, Blackthorne zlustrował swoich dwudziestu samurajów.

–Dlaczego wybrałeś tylko takich, którzy przedtem nosili pęta, Uraga-san? – spytał.

–Bo należą do jednego rodu, Anjin-san. Są jak bracia, wielmożny panie, Dopraszali się o zaszczyt ochraniania ciebie.

–Anatawa... anatawa... anatawa... – Blackthorne na chybił trafił wskazał dziesięciu Japończyków i kazał im zejść na brzeg. Zastąpili ich inni, wybrani również na chybił trafił przez Uragę, który wyjaśnił im, że na polecenie Blackthorne'a wszyscy mają się traktować jak bracia, bo jeżeli nie zechcą, to od razu mogą popełnić seppuku.

–Wakarimasu?

–Hai, Anjin-san. Gomen nasai.

Wkrótce potem liny holownicze umocowano na pokładzie drugiego statku. Blackthorne sprawdził wszystko i wykorzystując swój żeglarski instynkt zbadał wiatr. Dobrze wiedział, że nawet na najspokojniejszych wodach zatoki w Edo, jeśli zacznie się nagły szkwał, czeka ich niebezpieczny rejs.

–Odbijamy!, – zawołał. – Ima, kapitan-san!

Kapitan galery dał znak ręką i odbił od nabrzeża. Na jej pokładzie, zatłoczonym przez samurajów i poddanych Blackthorne'a, płynął Naga. Yabu stał obok Blackthorne'a na rufówce Erasmusa. Statek przechylił się i lekko zadrżał, napotykając morski prąd. Blackthorne'a i jego ludzi rozsadzała radość, a podniecenie tym, że znów płyną, przesłaniało troski. Ginsel wychylał się przez maleńki, zabezpieczony linami pomost na prawej burcie, spuszczać ołowiankę i wykrzykując pomiary głębokości. Nabrzeże zaczęło zostawać w tyle.

–Ahoj w przodzie, yukkuri sei! (Zwolnić!)

–Hai, Anjin-san! – odkrzyknięto.

Statki z kotwicznymi światłami na masztach płynęły razem, przedzierając się ku

prądowi zatokowemu.

–Dobrze, Anjin-san – powiedział Yabu. – Bardzo dobrze!

Odczekał, aż statki wypłyną kawałek w morze, a potem wziął Blackthorne’a na bok.

–Anjin-san – zaczął ostrożnie. – Wczoraj uratowałeś mi życie. Rozumiesz? Odwołując tych roninów. Pamiętasz?

–Tak. To był tylko mój obowiązek.

–Nie, nie obowiązek. A Anjiro, pamiętasz tamtego człowieka, żeglarza... pamiętasz?

–Tak, pamiętam.

–Shigata ga nai, ne? Karma, ne? Było to przed samurajem i hatamoto... – Yabu, z oczami błyszczącymi w świetle latarni pokładowej, dotknął miecza Blackthorne’a, a potem rzekł cicho i wyraźnie: – Przed otrzymaniem miecza, ne? Jak samuraj samuraja proszę cię, zapomnij o wszystkim co przedtem. Zaczniemy od nowa. Dziś wieczorem. Zgoda? Rozumiesz?.

–Tak, rozumiem.

–Potrzebujesz mnie, Anjin-san. Beze mnie nie ma barbarzyńskich wako. Sam ich nie zdobędziesz. Nie w Nagasaki. Nigdy? Ja ich zdobędę, pomogę ci ich zdobyć. Teraz walczymy po tej samej stronie. Po stronie Toranagi. Po tej samej stronie. Beze mnie nie ma wako, rozumiesz?

Blackthorne przez chwilę przyglądał się galerze płynącej przed nimi, a potem sprawdził pokład i co robią jego marynarze. W końcu spojrział na Yabu.

–Tak, rozumiem – odparł.

–Rozumiesz „nienawiść”, słowo „nienawiść”?

–Tak.

–Nienawiść bierze się z lęku. Ja się ciebie nie boję. Ty nie musisz się bać mnie. Już nigdy. Chcę tego, co chcesz ty: twoich nowych statków tutaj, ciebie tutaj, kapitanów nowych statków. Mogę ci bardzo dużo pomóc. Po pierwsze, z Czarną Karawelą... o, tak, Anjin-san – zapewnił Yabu widząc, jak na twarzy Blackthorne’a rozlewa się radość. – Namówię pana Toranagę. Wiesz przecież, że jestem wojownikiem, ne? Poprowadzę atak. Zdobędę dla ciebie Czarną Karawelę, walcząc na lądzie. Razem jesteśmy silniejsi niż w pojedynkę. Ne?

–Tak. To możliwe dostać więcej ludzi? Więcej niż moje dwieście?

–Jeżeli potrzebujesz, dwa tysiące... pięć tysięcy! Nie martw się, poprowadzisz atak... ja poprowadzę bój. Zgoda?

–Tak. Uczciwa umowa. Dziękuję. Zgoda.

–Dobrze, bardzo dobrze, Anjin-san – rzekł zadowolony Yabu. Wiedział, że na tym partnerstwie skorzystają obaj, bez względu na to, jak bardzo barbarzyńca go nienawidzi. Logika rozumowania Yuriko ponownie okazała się bezbłędna.

Obserwował barbarzyńcę, jak stoi wysoki, wyniosły, w lekkim rozkroku, z łatwością poddając się rozkołysowi fal i najwyraźniej będąc częścią tego statku, taki potężny, mocny, inny. Tak bardzo inny niż na brzegu. Yabu świadomie przybrał taką samą pozę, wiernie naśladowując Blackthorne’a...

–Chcę więcej niż Kantō, Yuriko-san – szepnął żonie tuż przed wyjściem z domu. – Chcę jeszcze jednego. Chcę władzy na morzu. Chcę zostać naczelnym admirałem floty. Poprzemy plan Omiego całym zyskiem z Kantō, żeby pod naszą strażą wysłać barbarzyńcę do jego ojczyzny zakupić tam więcej statków i sprowadzić je-tutaj. Orni pojedzie z nim, ne?

–Tak – odparła, równie uszczęśliwiona jak on. – Jemu możemy ufać.

Nabrzeże w Edo opustoszało. Ostatni strażujący samuraje znikali właśnie w uliczkach prowadzących do zamku. Ojciec Alvito wychynął z Cieni, a przy jego boku brat Michał. Alvito spojrzał na morze.

–Niechaj Bóg przeklnie ten statek i wszystkich na nim – powiedział.

–Z wyjątkiem jednego, ojczy. Na statku płynie jeden z naszych. I Naga-san. Naga-san przysiągł, że w pierwszym miesiącu następnego roku zostanie chrześcijaninem.

–Jeżeli dożyje do tego czasu – odparł Alvito, pełen pesymizmu. – Nie znam Nagi, może myśli o tym poważnie, a może nie. Ten statek zniszczy nas i nic na to nie poradzimy.

–Bóg nam pomoże.

–Tak, ale na razie jesteśmy Jego żołnierzami i to my musimy pomóc Bogu. Trzeba natychmiast ostrzec ojca wizytatora i generała-gubernatora. Czy znalazłeś już gołębia pocztowego do Osaki?

–Nie, ojczy, nie sposób go znaleźć za żadne pieniądze. Ani też żadnego do Nagasaki. Wiele miesięcy temu Toranaga-sama rozkazał przekazać sobie wszystkie.

Pesymizm Alvita jeszcze bardziej wzrósł.

–Ktoś musi mieć jakiegoś! – odrzekł. – Zapłać, ile zażąda. Ten – heretyk strasznie nam zaszkodzi, Michale.

–A może jednak nie, ojcie.

–To dlaczego odholowują ten statek gdzie indziej? Oczywiście, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo, ale jeszcze bardziej po to, żebyśmy nie mogli go osiągnąć. Dlaczego Toranaga podarował temu heretykowi dwustu wako i zwrócił srebro? Bo chce go użyć do zaatakowania nas, a monety mają posłużyć wynajęciu piratów, artylerzystów i marynarzy. Po co zwracałby Blackthorne'owi wolność? Po to, żeby zagabić Czarną Karawelę. Boże, miej nas w opiece. Toranaga też nas porzuca!

–To myśmy go porzucili, ojcie!

–Nic nie możemy zrobić, żeby mu pomóc! Próbowaliśmy wszystkiego z tymi daimyō! Jesteśmy bezradni.

–Może gdybyśmy modlili się mocniej, to Pan Bóg podsunąłby nam jakiś sposób.

–Modłę się i modłę, ale... może Bóg nas opuścił, Michale, i słusznie. Może nie zasługujemy na Jego miłosierdzie. Ja wiem, że na nie nie zasługuję.

–A może Anjin-sanowi nie uda się znaleźć tych artylerzystów i marynarzy. Może nigdy nie dopłyne do Nagasaki.

–Za to srebro kupi wszystkich, jakich potrzebuje. Nawet katolików... nawet Portugalczyków. Ludzie w głupocie swojej bardziej dbają o świat doczesny niż o tamten. Nie przejrzą na oczy. Swoje dusze sprzedają o wiele za łatwo. Tak jest. Modłę się, żeby Blackthorne nigdy tam nie dotarł. Ani jego wysłannicy! Nie zapominaj, że on wcale nie musi się tam zjawić osobiście. Tych ludzi można kupić i mu przywieźć. Chodź, bracie, wracajmy do domu.

Przygnębiony Alvito skierował się do misji jezuitów, odległej stamtąd o mniej więcej milę na zachód i usytuowanej blisko portu, za jednym z wielkich składów, w którym zwykle przechowywano jedwabie i ryż. Był on częścią rynku handlowego, którym jezuita zarządzali w imieniu nabywców i sprzedających.

Przez jakiś czas szli nad brzegiem. W pewnej chwili Alvito zatrzymał się i znów spojrzał na morze. Świtało. Nie zobaczył już statków.

–Jakie mamy szanse, że nasz list dotrze? – spytał.

Wczoraj Michał odkrył, że jeden z nowych wasali Blackthorne'a jest chrześcijaninem. Kiedy zeszłego wieczoru przez podziemną siatkę szpiegów przekazano mu wieści, że coś ma się wydarzyć z Anjin-sanem i jego statkiem, Alvito

pośpiesznie napisał zaszyfrowany list do dell'Aquy, przekazując przełożonemu najnowsze wiadomości. Ułagał też poddanego Blackthorne'a, żeby, jeśli kiedyś dotrze do Osaki, dostarczył ów list potajemnie adresatowi.

–Ta wiadomość dotrze – zapewnił cichym głosem brat Michał. – Nasz człowiek wie, że płynie z wrogiem.

–Niech Bóg czuwa nad nim, da mu siłę i niech ukarze Uragę. – Alvito spojrział na młodszego akolitę. – Dlaczego stał się apostatą? – spytał.

–Powiedział ci to, ojcze – odparł brat Michał. – Chciał zostać kapłanem wyświęconym w naszym Towarzystwie. To nie była przesadna prośba dla dumnego sługi Pana Jezusa.

–Był za dumny, bracie. Bóg w mądrości swojej powiódł go na pokuszenie i odkrył jego żądzę.

–Tak. Modłę się, żeby nie odkrył jej we mnie, kiedy przyjdzie moja kolej.

Alvito minął misję jezuitów, idąc w stronę wielkiej parceli, wyznaczonej przez Toranagę pod budowę katedry, która już wkrótce powinna wyrosnąć z tej ziemi na chwałę Pana. Jezuita widział ją już oczami wyobraźni: wysoką, majestatyczną, a jednak delikatną budowlę, dominującą nad miastem, z niezrównanymi dzwonami, odlanymi w Makau, Goi albo nawet w samej Portugalii i wydzwaniającymi najrozmaitsze melodie, oraz z ogromnymi drzwiami z brązu, zawsze szeroko otwartymi przed wierną samurajską szlachtą. Czuł woń kadzidła i słyszał łacińskie śpiewy.

Ale wojna zniszczy te marzenia, powiedział sobie. Wojna przyjdzie znowu, żeby zrujnować ten kraj, i pozostanie tu tak, jak zawsze było.

–Ojcze! – szepnął do niego ostrzegawczo brat Michał.

Przed nimi stała kobieta, patrząc na wyłaniające się już, częściowo wykopane fundamenty katedry. Obok niej dwie służące. Alvito czekał bez jednego ruchu, przyglądając się jej w półmroku. Twarz miała zasłoniętą i była bogato ubrana. Brat Michał poruszył się nieznacznie. Nogą dotknął kamienia i popchnął go z klekotem na żelazny szpadel, niewidoczny w szarówce. Zaskoczona kobieta obróciła się ze wzdrygnięciem. Alvito rozpoznał ją.

–Mariko-san? – spytał. – To ja, ojciec Alvito.

–i Ojciec? Och, właśnie... właśnie szłam zobaczyć się z tobą. Niedługo wyjeżdżam, a przed odjazdem chciałam z tobą porozmawiać. Alvito podszedł do niej.

–Tak się cieszę, że cię widzę, Mariko-san. Tak. Słyszałem, że wyjeżdżasz. Kilka razy próbowałem zobaczyć się z tobą, lecz w tej chwili w dalszym ciągu nie mam wstępu do zamku.

Mariko bez słowa obejrzała się na podwaliny katedry. Alvito zerknął na brata Michała, który również był zdumiony faktem, że tak ważna dama porusza się w tak skromnej asyście, o tak wczesnej porze i bez zapowiedzenia.

–Przyszłaś tu tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć, Mariko-sari? – spytał Alvito.

–Tak. I zobaczyć, jak odplywa ten statek.

–Czym ci mogę służyć?

–Chcę się wypowiedzieć.

–Więc zróbmy to tutaj – rzekł. – Niechże twoja spowiedź będzie pierwszą dokonaną w tym miejscu, chociaż ziemię tę dopiero co poświęcono.

–Przepraszam, ojcze, ale czy mógłbyś tu odprawić mszę?

–Tutaj nie ma kościoła, ołtarza, ornatów ani wina i hostii. Mogę to zrobić w naszej kaplicy, jeżeli pój...

–A czy możemy dziś wypić cha z pustej filiżanki, ojcze? Bardzo proszę – powiedziała cichutko. – Wybacz mi tę prośbę. Jest tak mało czasu.

–Tak – zgodził „się od razu, w lot ją pojmując.

Tak więc poszli tam, gdzie być może kiedyś, we wspaniałej nawie pod wysokim sklepieniem, stanie ołtarz. Dziś dachem katedry było jaśniejące niebo, a majestatyczny chór tworzyły głosy ptaków i przybrzeżnych fal. Zaintonował uroczystą, piękną śpiewaną mszę, w czym dopomógł mu brat Michał i razem sprowadzili Nieskończonego na ziemię.

Ale przed udzieleniem Mariko sakramentu w postaci wyobrażonej hostii urwał i rzekł:

–A teraz muszę wysłuchać twojej spowiedzi, Mario.

Dał bratu Michałowi znak, żeby odszedł, usiadł na kamieniu w wyimaginowanym konfesjonale i zamknął oczy. Mariko uklękła.

–Wyznaj przed Bogiem – powiedział.

–Zanim zacznę, ojcze, chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

–Ja czy Pan Bóg, Mario?

–Przed Bogiem błagam o to ciebie.

–A o co chodzi?

–O życie Anjin-sana w zamian za pewną wiadomość.

–Nie w mojej mocy jest dawać lub odbierać życie.

–Tak. Przepraszam, ale można przecież rozpowszechnić wśród chrześcijan rozkaz zabraniający składania jego życia w ofierze Bogu.

–Anjin-san to wróg. Straszliwy wróg naszej Wiary.

–Tak. Ale mimo to błagam o jego życie. W zamian... w zamian, być może, będę mogła bardzo pomóc.

–W jaki sposób?:

–Gzy obiecujesz, że to dla mnie zrobisz, ojcze? Przed Panem Bogiem?;

–Nie mogę ci składać takich obietnic. Nie mnie jest cokolwiek dawać lub odbierać. Z Bogiem nie ma targów.

Kłęcząc przed nim na twardej ziemi, Mariko zawahała się. A potem ukloniła się i chciała wstać.

–A więc dobrze – powiedziała. – W takim razie, wybacz mi...

–Przedstawię twoją prośbę ojcu Wizytatorowi – przerwał jej Alvito.

–Przepraszam bardzo, ojcze, ale to nie wystarczy.

–Przedstawię mu ją i będę błagał na wszystkie świętości, żeby ją rozważył.

–Jeżeli to, co ci powiem, będzie ogromnie ważne, czy przysięgniesz mi przed Bogiem, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, żeby dopomóc mu i go strzec, jeśli tylko nie będzie to bezpośrednio godziło w Kościół?

–Tak. Jeżeli nie będzie godziło w Kościół.

–Wybacz mi, ale czy zgadzasz się również na przedstawienie mojej prośby ojcu wizytatorowi?

–Bóg mi świadkiem, że tak.

–Dziękuję ci, ojcie. A więc posłuchaj... – zaczęła mówić i opowiedziała mu o swoich domysłach dotyczących Toranagi i jego podstępu.

Nagle Alvitowi wszystko zaczęło się zgadzać.

–Masz rację, masz na pewno rację! – powiedział. – Boże, przebacz mi, jakże mogłem być taki głupi!

–Posłuchaj dalej, ojcie, oto więcej faktów – dodała i szeptem przekazała mu tajemnice związane z Zatakim i Onoshim.

–To niemożliwe!

–Krąży też pogłoska, że pan Onoshi planuje otruć pana Kiyamę.

–Niemożliwe!

–Wybacz mi, ojcie, ale bardzo możliwe. To są przecież odwieczni wrogowie.

–Kto ci to wszystko powiedział, Mario?

–Krąży wieść, że Onoshi otruje pana Kiyamę w tym roku podczas święta błogosławionego świętego Bernarda – powiedziała ze znużeniem Mariko, umyślnie nie odpowiadając na jego pytanie. – Nowym władcą wszystkich ziem Kiyamy zostanie syn Onoshiego. Generał Ishido zgodził się na to pod warunkiem, że wcześniej mój pan znajdzie się w Wielkiej Pustce.

–A co z dowodami, Mariko-san? Gdzie dowody na to?

–Bardzo mi przykro, nie mam żadnych. Ale pan Harima jest wtajemniczony we wszystko.

–Skąd o tym wiesz? Skąd wie o tym Harima? Twierdzisz, że należy do tego spisku?

–Nie, ojcie. Twierdzą tylko tyle, że jest w niego wtajemniczony.

–Niemożliwe! Onoshi jest na to za dyskretny i o wiele za sprytny. Gdyby coś takiego planował, to nikt by się o tym nie dowiedział. Skąd masz tę wiadomość?

–Bardzo przepraszam, wybacz mi, ale ci nie powiem. Wierzę jednak, że to prawda.

Alvito szybko dokonał w myślach przeglądu ewentualnych źródeł wiadomości. A potem rzekł:

–Urąga! Urąga był spowiednikiem Onoshiego! Matko Święta! Urąga złamał święty sakrament spowiedzi i zdradził tajemnicę swojemu lennemu panu...

–Może ta tajemnica nie odpowiada prawdzie, ojciec. Ale ja wierzę, że jednak tak. Tylko jeden Bóg wie, jak jest naprawdę, nie?

Mariko nie podniosła woalu, więc Alvito nie widział jej twarzy. Na niebo w górze wlewał się już brzask. Alvito spojrzał na morze. Na widnokręgu zobaczył dwa statki płynące na południowy zachód. Wiosła galery zanurzały się rytmicznie w wodzie, wiał półwiatr, a morze było spokojne. Bolało go w piersi, a w głowie huczało od ech usłyszanych, niezwykle ważnych wieści. Modlił się do Boga o pomoc i próbował oddzielić fakty od zmyśleń. W głębi duszy wiedział jednak, że wyjawione przez Mariko tajemnice są prawdą, a jej wnioski bezbłędne.

–Twierdzisz, że pan Toranaga przechytry Ishido... że wygra?

–Nie, ojciec. Nikt nie wygra, ale bez waszej pomocy pan Toranaga przegra. Panu Zatakiem nie można ufać. Zataki zawsze pozostanie największym zagrożeniem dla mojego pana. Zataki w końcu dowie się o tym i zorientuje, że wszystkie obietnice pana Toranagi są bez pokrycia, ponieważ ostatecznie Toranaga i tak na pewno musi usunąć go ze swojej drogi. Gdybym to ja była Zatakim, to zgładziłabym pana Sudarę, panią Genjiko i ich potomstwo zaraz po ich oddaniu się w moje ręce i bezzwłocznie zaatakowałabym północne linie obrony Toranagi; Pchnęłabym swoje oddziały na północ, co natychmiast wyrwałoby z głupiego letargu Ishido, Ikawę Jikkyu i całą resztę. Toranagę można zgnieść ogromnie łatwo, ojciec.

Alvito odczekał chwilę.

–Podnieś woal, Mario – powiedział. Zobaczył jej zgnębioną minę i spytał: – Dlaczego mi to wszystko powiedziałaś?

–Żeby ocalić życie Anjin-sana.

–To dla niego popełniasz zdradę, Mario? Ty? Toda Mariko-no-Buntaro, córka generała Akechiego Jinsai, popełniasz zdradę z powodu cudzoziemca? Chcesz, żebym w to uwierzył?

–Nie, przepraszam, także... także dlatego, żeby ochronić Kościół. Przede wszystkim, żeby ochronić Kościół, ojciec... nie wiem, co robić. Myślałam, że ty mógłbyś... pan Toranaga jest jedyną nadzieją Kościoła. Może zdołasz mu jakoś pomóc... żeby ochronić Kościół. Pan Toranaga wymaga pomocy, to dobry, mądry człowiek i Kościół przy, nim rozkwitnie. Ja wiem, że prawdziwym wrogiem Kościoła jest Ishido.

–Większość chrześcijańskich daimyō uważa, że jeżeli Toranaga pokona kiedyś Ishido i zdobędzie władzę, zniszczy Kościół i następcę.

–Może to zrobić, ale wątpię. Będzie traktował Kościół dobrze. Zawsze go tak

traktował. Ishido jest zdecydowanym wrogiem chrześcijan. Tak samo pani Ochiba.

–Wszyscy chrześcijańscy możni władcy w Japonii są przeciwko Toranadze.

–Ishido to chłop. Toranaga jest prawy, mądry i pragnie rozwoju handlu.

.– Bez względu na to, kto ma władzę, handel musi istnieć.

–Pan Toranaga był zawsze twoim przyjacielem, jeżeli więc zachowasz się wobec niego uczciwie, to odplaci ci tym samym. – Wskazała na fundamenty katedry. – Czyż to nie jest miarą jego uczciwości? Daj ten grunt z własnej woli, dałby go nawet, gdybyś go zawiódł i gdybyś stracił wszystko, także twoją przyjaźń.

–Być może.

–I jeszcze jedno, ojcze, z pewnością wiesz, że tylko pan Toranaga może zapobiec nieustannej wojnie. Jako kobieta błagam cię o to, bo nie chcę wiecznej wojny.

–Tak, Mario. Tylko on jeden jest w stanie to zapewnić, być może.

Alvito odwrócił od niej wzrok. Brat Michał klęczał pogrążony w modlitwie, a dwie służące Mariko czekały cierpliwie bliżej brzegu morza. Alvito czuł się przytłoczony, a zarazem podniesiony na duchu, wyczerpany, a mimo to pełen siły.

–Cieszę się, że tu przyszłaś i mi to powiedziałaś – odezwał się. – Dziękuję ci. W imieniu Kościoła i swoim, jako Jego wiernego sługi. Zrobię wszystko, co przyrzekłem.

Skłoniła głowę i nic nie powiedziała.

–Czy zawieziesz wiadomość, Mariko-san? Dla ojca wizytatora?

–Tak. Jeżeli tylko przebywa w Osace.

–Wiadomość poufną?

–Tak.

–To wiadomość ustna. Przekażesz mu wszystko to, co mi powiedziałaś, oraz to, co ci na to odpowiedziałem.

–Dobrze.

–Przyrzekasz mi to? Bóg ci świadkiem?

–Nie musisz mi tego mówić, ojcze. Przecież się zgodziłam.

Zajrzał jej w oczy, patrząc niewzruszenie, śmiało i zdecydowanie.

–Proszę o wybaczenie, Mario. A teraz pozwól, że wysłucham twojej spowiedzi...

Opuściła woal.

–Wybacz mi, ojcze, ale nie zasługuję nawet na spowiedź.

–Wszyscy na nią zasługują w oczach Boga.

–Z wyjątkiem mnie. Ja nie zasługuję, ojcze.

–Musisz się wyspowiadać, Mario. Nie mogę prowadzić dalej mszy... musisz stanąć przed Nim oczyszczona.

Uklękła.

–Wybacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłam, ale mogę jedynie wyznać, że nie jestem godna spowiedzi – wyszeptala łamiącym się głosem.

Ojciec Alvito ze współczuciem delikatnie położył rękę na jej głowie.

–Córko boża, niechaj Bóg przebaczy ci twoje grzechy – powiedział. – Niech pozwoli mi w swoim imieniu rozgrzeszyć cię i uczynić w Jego oczach godną.

Pobłogosławił ją i kontynuował mszę w jej intencji, odprawianą w tej wyobrażonej katedrze pod gołym niebem o świcie... mszę prawdziwszą i piękniejszą niż wszystkie znane i jemu, i jej.

Erasmus zakotwiczył w najlepszej chroniącej od burz zatoce, jaką Blackthorne oglądał, na tyle daleko od brzegu, by zachować swobodę manewru, a jednak na tyle blisko, żeby był bezpieczny. Pod sobą miał sześć sążni czystej wody i twarde dno morskie, a dookoła, nie licząc wąskiego wejścia do zatoki, wzgórze, które osłoniłyby każdą flotę przed gniewem oceanu.

Trwająca dzień żegluga z Edo przebiegła bez wydarzeń, choć była męcząca. Galera cumowała o pół ri na północ na przystani w pobliżu małej rybackiej wsi Jokohama. W tej chwili na pokładzie oprócz Blackthorne'a byli tylko jego ludzie, Holendrzy i Japończycy. Yabu i Naga dokonywali na brzegu przeglądu pułku muszkietów, on zaś miał prędko do nich dołączyć. Słońce na zachodzie stało nisko nad widnokrzem, a czerwone niebo zapowiadało następny pogodny dzień.

–Dlaczego teraz, Uruga-san? – spytał Blackthorne z rufówki. Oczy miał zaczerwienione z niewyspania. Przed chwilą polecił swojej załodze i wszystkim wrócić na miejsca, ale Uruga poprosił, żeby ich jeszcze zatrzymał, bo chce

sprawdzić, czy pośród jego poddanych nie ma chrześcijan. – Czy nie można z tym poczekać do jutra?

–Bardzo przepraszam, wielmożny panie, nie można. – Urąga wpatrywał się, w niego, stojąc przed jego japońskimi wasalami. Holendrzy stali zbici w nerwową gromadkę blisko barierki pokładu rufowego. – Wybacz, ale ogromnie ważne jest, żeby ich znaleźć od razu. Jesteś ich największym wrogiem. Dlatego musisz ich znać, dla własnego bezpieczeństwa. Ja tylko pragnę cię ochronić. To nie potrwa długo, ne?

–Czy wszyscy są na pokładzie?

–Tak, wielmożny panie.

Blackthorne podszedł do barierki i zawołał po japońsku:

–Czy któryś z was jest chrześcijaninem?

Nie było odpowiedzi.

–Wszyscy chrześcijanie wystąp!

Nikt się nie poruszył. Blackthorne zwrócił się więc do Uragi.

–Zostaw na pokładzie dziesięciu strażników, a resztę rozpuść – powiedział.

–Za twoim pozwoleniem, Anjin-san. – Urąga wyjął spod kimona mały obrazek religijny i wizerunkiem do góry rzucił go na pokład. A potem umyślnie podeptał go. Blackthorne’a i jego ludzi zaniepokoiło to świętokradztwo. Wszystkich z wyjątkiem Jana Ropera. – Każ wszystkim poddanym zrobić to co ja. Proszę cię – rzekł Urąga.

–Po co?

–Znam chrześcijan. – Oczy Uragi skrywał częściowo skraj kapelusza. – Proszę, wielmożny panie. Ważne, żeby wszyscy zrobili to samo. Teraz, dziś wieczorem.

–Dobrze – zgodził się niechętnie Blackthorne.

Urąga obrócił się w stronę zebranych samurajów.

–Na moją propozycję nasz pan żąda, żebyście wszyscy zrobili to samo.

Samuraje zaszemrali, a któryś powiedział głośniej:

–Przecież powiedzieliśmy, że nie jesteśmy chrześcijanami, ne? Czego dowiedzie podeptanie obrazu barbarzyńskiego boga? Niczego!

–Chrześcijanie są wrogami naszego pana. Chrześcijanie są zdrajczy... ale są chrześcijanami. Wybaczcie, ale znam chrześcijan, gdyż ku mojemu pohańbieniu porzuciłem dla nich naszych prawdziwych bogów. Bardzo przepraszam, ale uważam, że tego wymaga bezpieczeństwo naszego pana.

–W takim razie to nam w zupełności wystarczy – oznajmił natychmiast samuraj, który stał na przedzie. Wystąpił z grupy i podeptał obraz. – Nie wyznaję żadnej barbarzyńskiej wiary! No dalej, reszta, zróbcie, o co was prosi.

Jeden po drugim występowali z szeregu. Blackthorne przyglądał się temu obrzędowi z pogardą.

–To się nie godzi – rzekł zafrasowany van Nekk.

Vinck spojrzał na rufówkę.

–Sakramenckie psubraty – zaklął. – Bez mrugnięcia okiem poderżnęliby nam wszystkim gardła. Im na pewno nie można ufać, pilocie.

–Owszem.

–Żaden katolik by tego nie zrobił, nie, Johann? – zagadnął Ginsel. – Sprytny ten Uraga-sama.

–A jaka to różnica, czy te łotry to papiści, czy nie, przecież to same zasrane samuraje.

–Tak jest – poparł Vincka Croocq.

–A jednak nie godzi się tego robić – powtórzył van Nekk.

Samuraje jeden po drugim wdeptywali wizerunek w pokład i rozchodzili się, tworząc grupki. Było to nudne widowisko i Blackthorne żałował, że na nie pozwolił, bo przed zmierzchem były do załatwienia pilniejsze sprawy. Spojrzał na wieś i przylądki. U stóp wzgórz wyrosło setki krytych słomą wiat, tworzących obóz pułku muszkietów. Tyle jest do zrobienia, pomyślał, gdyż pilno mu było zejść na brzeg, żeby obejrzeć nareszcie tę ziemię, nacieszyć się otrzymanym od Toranagi lennem, do którego należała wioska Jokohama. Panie Boże na wysokościach, rzekł w duchu, jestem panem jednej z największych zatok świata.

Wtem jakiś Japończyk wyminął obraz, wyszarpnął swój miecz i rzucił się na Blackthorne'a. Tuzin zaniepokojonych samurajów w jednej chwili odważnie stanęło mu na drodze, osłaniając rufówkę. Stojący na niej Blackthorne okręcił się na pięcie i wymierzył pistolet z odciągniętym kurkiem. Reszta rozpierzchła się wśród wrzawy, popychając się, potykając i kotłując. Samuraj zahamował, stanął rycząc z gniewu, po

czym zmienił kierunek natarcia i sieknął mieczem, chcąc zabić Uragę, ale ten jakoś uniknął ciosu. Napastnik obrócił się błyskawicznie w stronę innych samurajów, którzy na niego natarli, przez chwilę z nimi zażarcie walczył, a potem skoczył do burty i rzucił się do morza.

Czterech umiejących pływać samurajów upuściło swoje długie miecze, krótkie miecze chwyciło w zęby i skoczyło za nim. Reszta Japończyków i Holendrzy zgromadzili się przy burcie.

Blackthorne doskoczył do okrężnicy. W dole nie widział nic. Po pewnym czasie jednak wyłowił w wodzie wzrokiem wirujące kształty. Jeden z nich wyłonił się na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza, i znów się zanurzył. Wkrótce na powierzchnię wyskoczyły cztery głowy... a pomiędzy nimi trup z nożem w gardle. –

–Bardzo nam przykro, Anjin-san, nóż jest jego własny – zawołał któryś, na co pozostali ryknęli śmiechem.

–Uraga-san, powiedz im, żeby go obszukali, a potem zostawili rybom – polecił Blackthorne.

Obszukanie zabitego nie ujawniło nic. Kiedy cała czwórka powróciła na pokład, Blackthorne wskazał gotowym do strzału pistoletem leżący obrazek i rzekł:

–Wszyscy samuraje, jeszcze raz!

Posłuchano go natychmiast i sam dopilnował, żeby wszyscy przeszli próbę. A potem, żeby uhonorować Uragę i w ten sposób go pochwalić, kazał zrobić to samo Holendrom. Zaczęli protestować.

–No, dalej! – warknął do nich. – Prędzej, bo jak nie, to wam skopię tyłki!

–Nie powinienesz nam tego mówić, pilocie – powiedział van Nekk. – My nie jesteśmy śmierdzącymi, żółtymi poganami!

–To nie są śmierdzący, żółci poganie, do diabła, to samuraje!

Wpatrzyli się w niego. Zatrzęśli się z gniewu, smagani trwogą. Van Nekk chciał coś powiedzieć, ale Ginsel wpadł mu w słowo.

–Samuraje to sukinsyny i poganie. To oni albo im podobni zamordowali Pieterzoona, dowódcę naszej wyprawy i Maetsukker!

–Tak, ale bez tych samurajów nigdy nie powrócimy do ojczyzny! Rozumiesz?

Wszyscy Japończycy patrzyli w tej chwili na nich. W nic dobrego nie wróżących

pozach przysunęli się bliżej Blackthorne'a, gotowi go bronić.

–Zostawmy tę kwestię, co? – zaproponował van Nekk. – Jesteśmy zbyt rozdrażnieni i przemęczeni. Mamy za sobą długą noc. Nie jesteśmy tutaj panami siebie, nikt z nas. Nawet pilot. Pilot wie, co robi... jest wodzem, jest teraz dowódcą wyprawy.

–A, owszem. Ale nie ma prawa brać ich strony przeciwko nam i nie jest królem, jak Boga kocham, my zaś jesteśmy mu równi – wysyczał Jan Roper. – To, że jest uzbrojony jak oni, ubrany jak oni i umie się porozumieć z tymi psubratami, nie czyni go jeszcze naszym władcą. Mamy prawo, a nasze prawo obowiązuje także jego, nawet jeżeli jest Anglikiem, na miły Bóg! Przysiągł przed Bogiem, że uszanuje te zasady. Przysiągłeś, pilocie?

–Tak – odparł Blackthorne. – To nasze prawo obowiązujące na naszych morzach, na których panujemy i mamy liczebną przewagę. Tu jednak jest inaczej. Dlatego róbcie, co każę, i to już!

Szemrając pomiędzy sobą wypełnili polecenie.

–Sonk! Czy znalazłeś jakiś grog? – spytał Blackthorne.

–Nie, ani kropelki, psia jego mać!

–Przyślę wam na pokład sake – przyrzekł Blackthorne i dodał po portugalsku: – Uraga-san, popłyniesz ze mną na brzeg i weźmiesz kogoś do wiosłowania. Wy czterej – rzekł po japońsku, wskazując czwórkę samurajów, którzy zanurkowali za burtę – jesteście dowódcami. Rozumiecie? Każdy weźmie pięćdziesięciu ludzi.

–Hai, Anjin-san.

–Jak się nazywasz? – spytał jednego z nich, wysokiego, spokojnego, ze szramą na policzku.

–Nawa Chisato, wielmożny panie.

–Jesteś dzisiaj dowódcą całego statku. Do mojego powrotu.

–Tak jest, wielmożny panie.

Blackthorne podszedł do furty wejściowej. W dole pod nią cumowała łódka.

–Dokąd się wybierasz, pilocie? – spytał zaniepokojony van Nekk-

–Na brzeg. Później wrócę.

–To dobrze, pojedziemy wszyscy!

–Popłynę, na miły Bóg.

–Ja też jadę...

–O Jezu, nie zostawiajcie mnie...

–Nie! Jadę sam! – oświadczył Blackthorne.

–Ale co będzie z nami, jak Boga Kocham?! – wykrzyknął van Nekk. – Co zrobimy? Nie zostawiaj nas tu, pilocie.

–Poczekacie! – odparł. – Dopilnuję, żeby na pokład przysłano wam jedzenie i picie.

–Myślałem, że dziś wieczorem wracamy! Dlaczego nie wracamy? – spytał natarczywie Ginsel.

–Jak długo tu pozostaniemy, pilocie, i jak długo...

–A co z Edo, pilocie? – spytał głośniejszym głosem Ginsel. – Jak długo pozostaniemy tutaj w towarzystwie tych przeklętych małp?!

–Właśnie, małp, jak Boga Kocham! – włączył się ochoczo Sonk. – Co z naszymi manelami i znajomkami?

–Właśnie, co z naszymi etami, pilocie? Co z naszymi znajomkami i kobietami?

–Zjawię się jutro. – Blackthorne stłumił obrzydzenie. – Bądźcie cierpliwi, wróć najprędzej, jak się da. Baccusie, obejmiesz dowództwo.

Odwrócił się, chcąc odjechać.

–Jadę z tobą – oświadczył agresywnym tonem Jan Roper, idąc za nim. – Stoimy w zatoce, gdzie twoja władza się kończy, a poza tym chcę dostać jakąś broń!

Blackthorne odwrócił się ku niemu i w tej samej chwili tuzin samurajskich mieczy wysunęło się z pochew, gotowych zabić grubianina.

–Jeszcze jedno słowo, a po tobie! – ostrzegł Blackthorne.

Wysoki, szczupły kupiec zaczerwienił się i zamarł...

–Przy tych samurajach radzę ci trzymać język za zębami, ponieważ każdy z nich, nim będę w stanie go powstrzymać, może ci ściąć głowę tylko z powodu twojego niewłaściwego zachowania... nie wspominając już nawet o innych rzeczach! Są bardzo drażliwi, a i ja staję się taki sam w ich towarzystwie. Natomiast broń dostaniesz wówczas, kiedy będziesz jej naprawdę potrzebował. Zrozumiałeś?

Jan Roper skinął ponuro głową i cofnął się. Samuraje nie zmienili groźnych póz, ale Blackthorne uspokoił ich i pod karą śmierci przykazał, żeby pozostawili jego załogę w spokoju.

–Niedługo wrócę – zapowiedział.

Zszedł po schodni i wszedł do łódki, a za nim Urąga z samurajem. Nowo mianowany kapitan Chisato podszedł do Jana Ropera, który zadrżał na widok jego groźnej postawy, uklonił się i wycofał.

Kiedy łódka oddaliła się od statku, Blackthorne podziękował Uradzę za pochwycenie zdrajcy.

–Proszę, nie dziękuj, panie. To był mój obowiązek – odparł Urąga.

–Tak, obowiązek – powiedział po japońsku Blackthorne chcąc, żeby zrozumiał to drugi Japończyk. – Ale twoje koku zmienia się. Już nie jest dwadzieścia, jest sto.

–Och, dziękuję, wielmożny panie. Nie zasłużyłem na to. Wypełniałem jedynie swoje obowiązki i na pewno...

–Mów wolno. Nie rozumiem.

Urąga przeprosił i powtórzył wszystko wolniej.

Blackthorne pochwalił go jeszcze raz, a potem, czując przemożne znużenie, usadowił się na tyle łódki. Zmusił się, żeby otworzyć oczy i spojrzeć na statek, chcąc mieć pewność, że kotwiczony w dobrym miejscu. Van Nekk i pozostali stali przy nadburciu. Żałował, że wziął ich na pokład, lecz z drugiej strony wiedział, że nie ma wyboru. Bez nich rejs nie byłby bezpieczny.

Warchoły i szumowiny, pomyślał. Co, do diaska, z nimi zrobić? Wszyscy moi poddani wiedzą o tej wiosce eta i brzydzą się nimi równie mocno... O Chryste, ale kabała! Karma, ne? Są ci potrzebni na pokładzie, rzekł sobie, i więcej im podobnych. A ci nowi, też nie będą przyjaźnie nastawieni do samurajów, w dodatku większość z nich to katolicy. Boże Święty, jak ich wszystkich utrzymać w ryzach? Mariko miała rację. Towarzystwo katolików to mój koniec.

–Nawet moje, Anjin-san – powiedziała mu zeszłego wieczora... – Nie, Mariko-san. Twoje nie.

–Dziś po południu powiedziałaś, że jesteśmy twoimi wrogami.

–Powiedziałem, że moimi wrogami jest większość katolików.

–Gdyby mogli, toby cię zabili.

–Tak. Moja ty, ale... czy naprawdę spotkamy się w Osace?

–Tak, kocham cię, Anjin-san. Pamiętaj, pilnuj się pana Yabu.

Co do Yabu wszyscy mają rację, pomyślał, bez względu na to, co mówi i co obiecuje. Popełniłem wielki błąd, odwołując moich ludzi, kiedy był w pułapce. Kiedy tylko przestanę być użyteczny dla tego drania, natychmiast poderżnie mi gardło, choćby nie wiem jak bardzo udawał, że jest całkiem inaczej. A jednak nie myli się co do tego, że jest mi potrzebny. Bez czyjejs ochrony nie dotrę do Nagasaki i się stamtąd nie wydostanę. A ponadto Yabu na pewno mógłby mi pomóc w przekonaniu Toranagi. Z dwoma tysiącami fanatyków pod jego dowództwem możemy spustoszyć całe Nagasaki, a nawet Makau...

O Madonno! W pojedynkę jestem bezradny.

I wtedy przypomniało mu się, co Gyoko powiedziała Mariko o Urzędę, o tym, żeby mu nie ufać. Pomyliła się co do niego, pomyślał. I w czym myli się jeszcze?

KSIĘGA PIĄTA

52.

Znalazłszy się ponownie na zatłoczonej redzie pod Osaka po długiej podróży galerą Blackthorne poczuł się tak samo przytłoczony ogromem tego miasta jak za pierwszym razem, kiedy je zobaczył. Tai-fun dokonał tu wielkich spustoszeń, wiele dzielnic w dalszym ciągu było szerniałych po pożarze, ale rozległa metropolia pozostała prawie nietknięta i nadal dominował nad nią zamek. Nawet z odległości ponad trzech mil morskich widać było ogromny pierścień pierwszego wielkiego muru z wyniosłymi blankami, pomniejszonymi przez posępną złowrogość wielkiej zamkowej wieży.

–O Jezu – rzekł nerwowo Vinck, który stał na dziobie obok Blackthorne’a. – To niemożliwe, żeby było takie wielkie. Amsterdam przy tym mieście to musze łajno.

–Tak. Burza dała się Osace we znaki, ale nie za mocno. Tego zamku nic nie ruszy.

–O Jezu – powiedział znowu Vinck. – Chciałbym już być w kraju. Powinniśmy tam wrócić rok temu.

Blackthorne zabrał go z sobą z Jokohamy, a resztę załogi odesłał do Edo, pozostawiając Erasmusa bezpiecznie zakotwiczonego w zatoce pod strażą Nagi. Holendrzy z radością powrócili do siebie, a on ucieszył się, że mu zeszli z oczu. Zaraz po wypłynięciu stamtąd zaczął oswajać Vincka z japońskością. Bosman przyjmował to ze spokojem, ponieważ przez wiele lat wspólnego pływania z Blackthorne’em poznał go na tyle, żeby mu ufać.

–Pilocie, dla ciebie będę się codziennie kąpał i mył, ale niech mnie diabli, jeżeli włożę tę francowatą nocną koszulę! – oświadczył.

Nie minęło dziesięć dni, a Vinck z zadowoleniem mierzył ołowianką głębokość wody. Za szeroki pas na wydatnym brzuchu zatknięty miał z tyłu sztylet w pochwie, a za poszarpaną, lecz czystą koszulą trzymał jeden z pistoletów Blackthorne’a.

–Nie musimy jechać do tego zamku, co, pilocie? – spytał.

–Nie...

–Jezu Chryste... wolę się trzymać od niego z daleka.

Dzień był pogodny, spokojne morze skrzyło się w promieniach wysoko stojącego słońca. Wioślarze zachowali siły i karność.

–Tam urządzili tę zasadzkę, Vinck! – powiedział Blackthorne.

–Chryste, ależ tu są mielizny!

Blackthorne opowiedział mu, jak niemal cudem uciekli, o sygnałach dawanych z blanków zamku, o stosach zabitych na brzegu i o dybiącej na ich galerę fregacie wroga.

–O Anjin-san – odezwał się Yabu i podszedł do nich. – Dobrze, ne?

Wskazał ręką na zniszczenia w mieście.

–Źle, Yabu-sama.

–To przecież miasto wroga, ne?

–Ludzie nie są wrogami, wrogami są Ishido i samuraje, ne?

–Tu wszystko jest wrogie.

Blackthorne patrzył, jak Yabu przechodzi na dziób, a wiatr targa mu kimono na mocnej piersi.

–Mam zamiar zabić tego sukinsyna, pilocie – powiedział ściszym głosem Vinck.

–Tak. Nie bój się, ja również nie zapomniałem o biednym Pieterzoonie.

–Ani ja, Bóg świadkiem! Nie mogę pojąć, jak nauczyłeś się mówić po ichniemu. Co on powiedział?

–Po prostu odezwał się przez grzeczność.

–A jaki masz plan?

–Zatrzymamy się tutaj i zaczekamy. On opuszcza statek na dzień albo dwa, a my czekamy i siedzimy jak trusie. Toranaga obiecał, że wyśle listy, które zagwarantują nam spokojny przejazd, ale i tak musimy siedzieć cicho i pozostać na pokładzie. – Blackthorne przesunął wzrokiem po stojących tu statkach i morzu. Wprawdzie nie dostrzegł żadnego zagrożenia, ale i tak rzekł do Vincka: – Na wszelki wypadek najlepiej zrobisz, jeżeli znowu zaczniesz mierzyć głębokość.

Yabu przez chwilę obserwował Vincka, który robił pomiary głębokości wody ołowianka, po czym powrócił do Blackthorne'a.

–Anjin-san, a może lepiej popłynąć tą galerą do Nagasaki? Nie czekać, ne? – spytał.

–Proszę bardzo – zgodził się Blackthorne, nie chwytając jego przynęty.

Yabu roześmiał się.

–Lubię cię, Anjin-san!– powiedział. – Ale sam jeden prędko byś zginął, niestety. Nagasaki jest dla ciebie bardzo niedobre.

–Osaka niedobra... wszędzie niedobrze!

–Karma.

Yabu uśmiechnął się, a Blackthorne udał, że też go bawi jego żart.

W czasie rejsu z Jokohamy wielokrotnie przeprowadzali tę rozmowę, ale w różnych wersjach. Blackthorne bardzo dobrze poznał Yabu. Znienawidził go jeszcze mocniej, ufał mu jeszcze mniej, bardziej poważał i zdawał sobie sprawę, że ich losy są ze sobą związane.

–Yabu-san ma rację, Anjin-san – powiedział mu Urąga. – On zdoła cię ochronić w Nagasaki, ja nie.

–Z powodu twojego wuja, pana Harimy?

–Tak. Być może już wyjęli mnie tam spod prawa, ne? Mój wuj jest chrześcijaninem, choć, jak sądzę, chrześcijaninem ryżowym.

–A co to znaczy?

–Nagasaki to jego lenno. Miasto to dysponuje wielką zatoką na wybrzeżu Kiusiu, ale nie najlepszą. Więc szybko pojął, co należy zrobić, ne? Został chrześcijaninem i to samo nakazał zrobić swoim poddanym. Mnie polecił zostać chrześcijaninem, wstąpić do szkoły jezuitów, a potem wysłał mnie w szeroki świat jako jednego z chrześcijańskich delegatów. Ziemię podarował jezuitom i – jak to powiedzieć? – łąsi się do nich. W duszy jednak jest całkowicie japoński.

–Czy jezuici wiedzą, co sobie myślisz?

–Tak, oczywiście.

–A czy wierzą w to o ryżowych chrześcijanach?

–Nam, nawróconym, nie zwierzają się, co sobie naprawdę myślą, Anjin-san. A sobie również nie, na ogół. Są przyuczeni do zachowywania rzeczy i spraw w tajemnicy, do wykorzystywania ich, zapoznawania się z nimi, ale nie do ich ujawniania. Pod tym względem bardzo przypominają Japończyków.

–W takim razie lepiej zrobisz pozostając tu, w Osace, Uraga-san.

–Bardzo przepraszam, wielmożny panie, ale jestem twoim poddanym. Jeżeli ty pojedziesz do Nagasaki, to ja z tobą.

Blackthorne był świadom tego, że Uraga stał się dla niego nieocenionym pomocnikiem. Ten człowiek ujawniał tyle tajemnic jezuitów: jak, dlaczego i kiedy prowadzą negocjacje handlowe, jak są zorganizowani w Towarzystwie Jezusowym i jak niewiarygodne machinacje międzynarodowe prowadzą. Równie wiele powiedział mu o Harimie i Kiyamie, o sposobie myślenia, chrześcijańskich daimyō i o tym, dlaczego prawdopodobnie pozostaną sprzymierzeńcami Ishido. Mój Boże, to, co wiem, byłoby bezcenne w Londynie, a tyle jeszcze muszę się dowiedzieć, pomyślał! Jak to wszystko przekazać? Na przykład to, że handel z Chinami, licząc jedynie jedwabie sprzedawane w Japonii, jest wart dziesięć milionów rocznie w złocie i że już teraz jezuita mają swojego przedstawiciela na dworze cesarza Chin w Pekinie, gdzie jest dworakiem, powiernikiem władców i świetnie zna język chiński... Gdybym tylko mógł wysłać list, gdybym tak miał jakiegoś posłańca.

W zamian za te wszystkie wiadomości Blackthorne zaczął uczyć Uragę nawigacji, wiedzy o, wielkich schizmach religijnych i o parlamencie. Nauczył też jego i Yabu strzelać z pistoletu. Obaj okazali się pojętnymi uczniami. Uraga to dobry człowiek, pomyślał. Nie sprawi mi kłopotów. Tyle tylko, że wstydzi się, że nie ma samurajskiego węzła. Ale włosy niedługo mu odrosną.

Z oka na dziobie dobiegł go ostrzegawczy okrzyk.

–Anjin-san!

Japoński kapitan wskazywał przed siebie na elegancki kuter z osadą z dwudziestu wioślarzy, który nadpływał od prawej burty. Na jego maszcie widniało godło Ishido. A obok niego znak Rady Regencyjnej, ten sam, pod którym podróżowali do Anjiro Nebara Jozen i jego ludzie na spotkanie śmierci.

–Kto to? – spytał Blackthorne widząc, że wszyscy wpatrują się w kuter, i wyczuwając ich napięcie.

–Przepraszam, ale jeszcze, nie widzę – odparł kapitan.

–Yabu-san?

Yabu wzruszył ramionami.

–To urzędnik – odparł.

Kiedy kuter się zbliżył, Blackthorne ujrzał na jego rufie starszego mężczyznę, który

siedział pod baldachimem, w uroczystej ozdobnej szacie i kaftanie ze sztywnymi, sterczącymi ramionami. Nie nosił mieczy. Otaczali go Szarzy Ishido.

Bębniasta przestał uderzać w kocioł, żeby pozwolić kutrowi na podpłynięcie do burty. Japończycy pośpieszyli, żeby pomóc urzędnikowi w dostaniu się na pokład galery, pilot portowy wskoczył za nim i po licznych ukłonach przejął galerę pod swoje rozkazy.

Yabu i starzec zachowując się oficjalnie, dopełnili wszelkich wymaganych formalności. W końcu usiedli na poduszkach przysługujących ludziom nierównego stanu i urzędnik usadowił się w najbardziej eksponowanym miejscu na rufówce. Samuraje Yabu i Szarzy usiedli po turecku lub uklękli na głównym pokładzie, zajmując mniej godne miejsca dookoła nich.

–Rada wita cię, Kasigi Yabu, w imieniu Jego Cesarskiej Wysokości – rzekł przybyły, niski, przysadzisty, nieco zgrzybiały starszy doradca Rady do spraw protokołu, który ponadto był też urzędnikiem dworu cesarskiego.

Nazywał się Ogaki Takamoto, był księciem siódmej rangi, a służył jako jeden z pośredników pomiędzy dworem Jego Cesarskiej Wysokości, Syna Niebios, a regentami. Zęby, tak jak przystało na cesarskiego dworaka, miał zgodnie z obowiązującym od wieków zwyczajem uczernione.

–Dziękuję ci, książę Ogaki. To zaszczyt przybyć tu w imieniu pana Toranagi – rzekł Yabu, będąc pod ogromnym wrażeniem zaszczytu, jaki mu okazano.

–Tak, z pewnością. Naturalnie, przybywasz tu również w imieniu własnym, ne? – spytał chłodno Ogaki.

–Oczywiście – odparł Yabu. – A kiedy przybędzie pan Toranaga? Bardzo przepraszam, ale ten tai-fun opóźnił moje przybycie o pięć dni, więc od momentu wypłynięcia nie miałem żadnych wiadomości.

–Ach, tak, tai-fun. Radę bardzo ucieszyła wieść, że ta burza nie wyrządziła wam krzywdy. – Ogaki kaszlnął. – A co do twojego pana, to z przykrością muszę ci oznajmić, że do tej pory nie dotarł nawet do Odawary. Nastąpiły nie kończące się opóźnienia w wyjeździe i jakieś choroby. To godne ubolewania, ne?

–O, tak, bardzo... mam nadzieję, że to nic poważnego – rzekł prędko Yabu, niesłuchanie rad, że zna tajemnice Toranagi.

–Nie, na szczęście to nic poważnego. – Książę ponownie sucho zakaszłał. – Panu Ishido wiadomo, że twój pan dotrze do Odawary jutro.

Yabu zdumiał się, jak należało.

–Kiedy wyjeżdżałem dwadzieścia jeden dni temu, wszystko było gotowe do natychmiastowego wyjazdu i wtedy zachorował pan Hiro-matsu. Wiem, że pan Toranaga bardzo się tym przejął, ale równie pilno było mu wyruszyć w drogę, jak mnie w tej chwili pilno jest przystąpić do przygotowania się na jego przyjazd.

–Wszystko jest już przygotowane – rzekł niski emisariusz.

–Rada Regencyjna z pewnością nie będzie mi robić żadnych trudności, jeżeli sprawdzę, jak to załatwiono, ne? – spytał serdecznym tonem Yabu. – Uroczystość ta musi być bezwzględnie godna Rady i całego wydarzenia, prawda?

–Godna Jego Cesarskiej Wysokości, Syna Niebios. To on tym razem wzywa daimyō.

–Oczywiście, ale... – Dobrze samopoczucie Yabu przysło. – To znaczy... to znaczy, że Jego Cesarska Wysokość będzie tu obecny?

–Najjaśniejszy przystał łaskawie na uniżoną prośbę regentów, aby osobiście przyjął hołd od nowej Rady i wszystkich możnowładców, w tym pana Toranagi, jego rodziny i poddanych. Starszych doradców Jego Cesarskiej Wysokości poproszono o wybranie dnia pomyślnego na taki... taki rytuał. Jest to dwudziesty drugi dzień tego miesiąca, piątego roku ery Keichō.

Yabu osłupiał.

–Za... za dziewiętnaście dni? – spytał. – W południe. – Ogaki dystyngowanym gestem wyjął z rękawa papierową chusteczkę i delikatnie wysmarkał nos. – Przepraszam. Tak, w południe. Wróżby są doskonałe. Pan Toranaga został czternaście dni temu powiadomiony o tym przez cesarskiego posłańca. Jego bezzwłoczna, uniżona zgoda dotarła do Rady trzy dni temu. – Ogaki wyjął mały zwój papieru. – Oto twoje zaproszenie na tę uroczystość, panie Kasigi Yabu. Na widok cesarskiej pieczęci w kształcie chryzantemy o szesnastu płatkach Yabu zadrżał, dobrze wiedząc, że nikt, nawet Toranaga, nie może odmówić podobnemu wezwaniu. Odmowa byłaby niesłychaną zniewagą wobec Boskiego Cesarza, otwartym buntem, a ponieważ do panującego władcy należała cała ziemia, to znieważający mógł w jednej chwili stracić wszystkie włości, co szło w parze z cesarskim życzeniem, ażeby buntownik natychmiast popełnił seppuku, na mocy wezwania, które, opatrzone Wielką Pieczęcią cesarstwa, wydawała w imieniu Najjaśniejszego Rada Regentów. Od wezwania takiego nie było odwołania i musiało ono zostać wykonane. Yabu gwałtownie starał się opanować.

–Przepraszam, panie, czy może źle się czujesz? – spytał z troską Ogaki.

–Proszę o wybaczenie, ale w najśmielszych, marzeniach... – wyjąkał Yabu. – Nikomu nie powstało w głowie, że Najjaśniejszy Cesarz... wyświadczy nam taki zaszczyt, ne?

–Ależ zgadzam się, jak najbardziej. To nadzwyczajne!

–Zdumiewające, że jego Cesarska Wysokość... w ogóle pomyślał o wyjeździe z Kioto i... przybyciu do Osaki.

–Zgadza się. A jednak dwudziestego pierwszego tego miesiąca Najjaśniejszy wraz ze wszystkimi cesarskimi insygniami władzy przybędzie tu.

Na cesarskie insygnia, bez których żadne przekazanie władzy nie było ważne, składały się Trzy Święte Skarby, uznawane za boskie. Jak powszechnie wierzone, na ziemię przyniósł je bóg Ninigi-no-Mikoto i osobiście przekazał swojemu wnukowi Jimmu Tenno, pierwszemu ludzkiemu władcy, ten z kolei przekazał je swojemu spadkobiercy, i tak dalej aż do obecnego cesarza Go-Nijo. Były to Miecz, Klejnot i Zwierciadło. Święty Miecz i Klejnot zawsze podróżowały uroczyście z cesarzem, ilekroć przyszło mu nocować poza murami pałacu, Zwierciadło zaś przechowywano w najświętszym sanktuarium w wielkiej świątyni shintō Ise. Miecz, Zwierciadło i Klejnot były własnością Syna Niebios. Stanowiły symbole prawowitej władzy, boskości cesarza, tego, że kiedy on wędrował, wraz z nim wędrował jego boski tron. I tak też wędrowała jego władza.

–Aż się nie chce wierzyć, że zdąży się z przygotowaniami na Jego przyjazd – rzekł Yabu.

–Och, pan generał Ishido poprosił o to Najjaśniejszego w imieniu Rady Regencyjnej zaraz po tym, jak pan Zataki doniósł mu z Yokose, że pan Toranaga, też ku zdumieniu wszystkich, zgodził się przyjechać do Osaki i pokłonić temu, co nieuniknione. Tylko wielki zaszczyt, jaki twój pan czyni Radzie, zachęcił regentów do poproszenia Syna Niebios o uświetnienie tego wydarzenia swoją obecnością. – Starzec znów sucho zakaszłał. – Przepraszam cię, panie, ale czy mógłbyś mi jak najszybciej dać na piśmie swoje potwierdzenie, że przyjąłeś zaproszenie na tę uroczystość?

–Mogę to zrobić w tej chwili? – spytał Yabu słabym głosem.

Roztrzęsiony, posłał po przybory do pisania. Dziewiętnaście dni! – dudniło mu w głowie. Dziewiętnaście dni! Toranaga może zwlekać jeszcze tyle, a potem i on będzie zmuszony się tu stawić. Mam dość czasu na dopłynięcie do Nagasaki i powrót tutaj, ale za mało, żeby zaatakować Czarną Karawelę i zdobyć ją, a tym samym za mało czasu na wywarcie nacisku na Harimę, Kiyamę, Onoshiego i chrześcijańskich kapłanów, czyli także na rozpoczęcie Szkarłatnego Nieba, dlatego plan Toranagi to tylko jeszcze jedna mrzonka... och, och, och!

Toranaga przegrał. Powinienem był wiedzieć, że tak się stanie. Rozwiązanie mojego dylematu jest proste: albo ślepo zaufam Toranadze, że wydostanie się z tej matni,

albo, prędzej niż planowałem, dopomogę Anjinowi w pozyskaniu ludzi do zdobycia Czarnej Karaweli. Mogę też pójść do Ishido, powiedzieć mu wszystko, co wiem, i potargować się o swoje życie i o Izu.

Co wybrać? Przyniesiono papier, pędzelek i tusz. Yabu odłożył na chwilę na bok swoje troski i skupił się na pisaniu najlepiej i najpiękniej, jak potrafił, swojego potwierdzenia.

Niepodobna było odpisać Najjaśniejszemu Cesarzowi, mając zamęt w głowie. Kiedy skończył, podjął przełomową decyzję: że posłucha się we wszystkim Yuriko. Natychmiast z jego wa spadł wielki ciężar i poczuł się bardzo oczyszczony. Złożył butny, fantazyjny podpis.

Jak być najlepszym wasalem Toranagi? To proste: usunąć Ishido z powierzchni ziemi.

Jak tego dokonać, żeby mieć dość czasu na ucieczkę? – zadawał sobie pytanie. I wówczas nagle usłyszał słowa Ogakiego:

–Na jutro jesteś zaproszony, panie, na uroczyste przyjęcie, które wydaje pan komendant Ishido dla uczczenia urodzin pani Ochiby.

Urąga podążał chyłkiem ulicą w kierunku morza. Noc była ciemna, niebo pogodne i wygwieżdżone, powietrze przyjemne. Miał na sobie luźną pomarańczową szatę buddyjskiego mnicha, nieodłączny kapelusz i tanie słomiane sandały. Za plecami pozostawił magazyny i wysoką, niemal europejską bryłę budynku misji jezuitów. Skręcił za róg i przyśpieszył kroku. Ludzi było tu niewiele.

–Hej, ty tam! Stój! – dobiegło go z ciemności polecenie.

Urąga zatrzymał się spłoszony. Z mroków na światło wyszli Szarzy i otoczyli go.

–Dokąd idziesz, kapłanie?

–Do wschodniej części miasta – odparł wysuszonymi ustami, zacinając się. – Do naszej świątyni nichiren.

–Ach, więc ty jesteś z sekty nichiren, ne? – spytał szorstko jeden z Szarych.

–Ja nie należę do jej wyznawców. Uprawiam buddyzm zen, tak jak nasz pan, generał Ishido – powiedział inny.

–Zen... o, tak, zen jest najlepszy – rzekł trzeci Szary. – Żeby tak jeszcze mógł go pojąć. Jest za trudny na mój stary łeb.

–Jak na kapłana, mocno się poci, no nie? Dlaczego się pocisz?

–Uważasz, że kapłani się nie pocą?

Kilku Szarych zaśmiało się, a któryś przysunął bliżej pochodnię.

–A dlaczego mieliby się pocić? – zapytał gburowaty Szary. –

Przecież oni całe dni przesypiają, a całymi nocami poduszkują z mnisz kami, z chłopcami, psami, z sobą, z każdym, kto podleci, i bez przerwy opychają się żarciem, na które nie zapracowali. Kapłani to pasożyty, tak jak pchły.

–E, dajcie mu spokój, on tylko...

–Zdejmij kapelusz, kapłanie.

Urąga najeżył się.

–A dlaczego? – spytał. – I dlaczego naigrawacie się z kogoś, kto służy Buddzie? Budda nie robi wam nic...

–Powiedziałem, żebyś zjął kapelusz! – rzekł groźnie samuraj, występując z grupy.

Urąga wykonał polecenie.

–Nic nie usprawiedliwia niegrzeczności – odparł gniewnie, z nieuświadomioną jezuicką władczością w głosie. – Służba Buddzie jest zaszczytem, zaszczytem jest zostać kapłanem i powinien to zrobić każdy stary samuraj u schyłku życia. A może nie macie pojęcia o bushido? Gdzie wasze wychowanie?

–Jak to? Więc ty jesteś samurajem?

–Oczywiście, że jestem samurajem. W innym przypadku, jakże ośmieliłbym się rozmawiać z samurajami o niewłaściwym zachowaniu? – Urąga włożył kapelusz. – Lepiej patrolujcie ulice, zamiast zaczepiać i obrażać niewinnych kapłanów!

Odszedł wyniosłym krokiem na miękkich, uginających się nogach. Samuraje obserwowali go przez jakiś czas, aż wreszcie któryś splunął.

–Kapłani!

–Miał rację – powiedział z goryczą dowódca Szarych. – Gdzie wasze wychowanie?

–Bardzo przepraszam. Proszę o wybaczenie.

Urąga podążył ulicą, bardzo dumny z siebie. Zbliżywszy się do galery, znów stał się

ostrożniejszy i chwilę odczekał za ścianą budynku. A kiedy zmobilizował się, wyszedł na oświetlony pochodniami teren.

–Dobry wieczór – powiedział grzecznie do Szarych, niedbale opierających się o schodnię galery, i dorzucił religijne błogosławieństwo: – Namu Amida Butsu. (W imię Buddy Amidy).

Szarzy przepuścili go bez przeszkód. Ich rozkazy brzmiały, że barbarzyńcy i samurajom, z wyjątkiem Yabu i jego straży przybocznej, nie wolno schodzić na brzeg. Nikt nie mówił nic na temat buddyjskiego mnicha, który przy płynął tym statkiem.

Bardzo utrudzony Urąga wszedł na główny pokład.

–Urąga-san! – zawołał cicho z rufówki Blackthorne. – Tutaj.

Urąga zmrużył oczy, żeby je przyzwyczaić do ciemności. Zobaczył Blackthorne'a i wyczuł ostrą woń nie mytego ciała, od razu rozpoznając w drugim ludzkim cieniu barbarzyńcę o nazwisku nie do wymówienia, który również mówił po portugalsku. Już prawie zapomniał, jak to jest nie czuć smrodu barbarzyńców, który towarzyszył mu przez całe życie. Z tych, których znał, tylko jeden jedyny Anjin-san nie cuchnął, co było jednym z powodów, dla których mógł mu służyć.

–A, Anjin-san – wyszeptał i przedostał się do niego, krótko witając się z dziesięcioma strażnikami rozproszonymi po pokładzie.

U podnóża schodni zatrzymał się czekając, aż Blackthorne da mu znak, by wszedł na rufówkę.

–Poszło bardzo...

–Zaczekaj – ostrzegł go równie cicho Blackthorne i wskazał palcem. – Spójrz na brzeg. Tam, przy magazynie. Widzisz go? Nie, odrobinę na północ... tam, teraz go widzisz?

Cień człowieka przesunął się i po chwili rozplynął się w ciemnościach.

–Kto to był?

–Obserwowałem cię od chwili, gdy znalazłeś się na tej ulicy. Szedł za tobą. Nie zauważyłeś go?

–Nie, wielmożny panie – odparł Urąga, znowu pełen złych przeczuć. – Nikogo nie widziałem za plecami, nikogo nie czułem.

–Nie miał mieczy, więc to nie samuraj. Jezuita?

–Nie wiem. Wątpię... zachowałem nadzwyczajną ostrożność. Przepraszam, że go nie spostrzegłem.

–Trudno. – Blackthorne zerknął na Vincka. – Zejdź pod pokład, Johann. Ja dokończę tę wachtę i obudzę cię o świcie. Dziękuję, że poczekałeś.

Vinck zasalutował i zszedł pod pokład. Wraz z nim zniknął przykry zapach.

–Zaczynałem się już o ciebie martwić – powiedział Blackthorne. – Co się stało?

–Posłaniec pana Yabu spóźnił się, Anjin-san. Oto, co mam do powiedzenia: poszedłem z panem Yabu i czekałem przed zamkiem od południa aż do zmroku.!

–Co robiłeś przez cały ten czas? Dokładnie.

–Dokładnie, wielmożny panie? Wybrałem sobie spokojne miejsce z widokiem na Pierwszy Most i oddałem się medytacjom, to jezuicki nawyk, Anjin-san, ale nie myślałem o Bogu, tylko o panu Yabu, tobie i twojej przyszłości. – Uraga uśmiechnął się. – Wielu przechodniów wrzuciło monety do mojej żebraczej miski. Dałem odpocząć ciału, a umysłowi wędrować, choć przez cały czas Obserwowałem Pierwszy Most. Posłaniec od pana Yabu przybył tuż po zmroku i udawał, że modli się wraz ze mną, aż do chwili, kiedy zostaliśmy całkiem sami. Oto, co mi przekazał: „Yabu-sama mówi, że dziś wieczorem zostanie w zamku i że wróci jutro rano. Jutro wieczorem generał Ishido wydaje uroczyste przyjęcie, na które i ty zostaniesz zaproszony”. Wreszcie powiedział, że powinieneś uwzględnić „siedemdziesiąt”. – Uraga wpatrzył się w Blackthorne’a. – Ten samuraj powtórzył to dwukrotnie, jest to więc, jak pozwalam sobie przypuszczać, wasz prywatny szyfr, wielmożny panie.

Blackthorne skinął głową, ale nie potwierdził, że jest to jeden z umówionych znaków pomiędzy Yabu a nim. „Siedemdziesiąt” oznaczało, że powinien zadbać, żeby statek był przygotowany do natychmiastowego wypłynięcia w morze. Na pokładzie znajdowali się jednak wszyscy samuraje, marynarze i wioślarze, tak więc statek był w pełni gotów. Wszyscy też doskonale zdawali sobie sprawę, że znajdują się na wodach wroga, co bardzo ich niepokoiło, tak więc Blackthorne miał pewność, że wyjdą w morze bez najmniejszych trudności.

–Mów dalej, Uraga-san – zachęcił.

–Powiedziałem już wszystko, z wyjątkiem tego, że dzisiaj przyjechała do Osaki Tonda, Mariko-san.

–O! Czy ona... Czy nie dojechała tu z Edo bardzo szybko, jak na podróż lądem?

–Tak, wielmożny panie. Prawdę mówiąc, to kiedy czekałem, widziałem, jak jej orszak przejeżdża przez most. Było to po południu, w połowie godziny Kozła. Konie były spienione, ubłocone, a tragarze bardzo zmęczeni. Dowodził tej grupie Yoshinaka-san.

–Czy ktoś z nich cię widział?

–Nie, wielmożny panie. Wątpię.

–Z ilu osób składała się ta grupa?

–Z około dwustu samurajów, a ponadto z tragarzy i koni z bagażami. Eskortowało ich dwakroć tylu Szarych. Jeden z jucznych koni wiózł klatki z gołębiami.

–Dobrze. Co jeszcze?

–Oszczędłem najprędzej, jak mogłem. W pobliżu misji jest makaroniarnia, którą odwiedzają liczni kupcy, pośrednicy w handlu jedwabiem i ryżem, mieszkający w misji. W tamtejszej rezydencji znowu – przebywa ojciec wizytator. W rejonie Osaki znacznie wzrosła liczba nowo nawróconych. Na cześć panów Kiyamy i. Onoshiego pozwolono na odprawienie za dwadzieścia dni wielkiej mszy.

–A czy to ważne?

–Tak, a poza tym zdumiewa, że na to nabożeństwo pozwolono tak Otwarciem. Ma to być uczczenie święta świętego Bernarda. Dwudziesty dzień wypada w dzień po uroczystości złożenia hołdu Najjaśniejszemu Cesarzowi.

Za pośrednictwem Uragi Yabu opowiedział Blackthorne'owi o cesarzu. Wieści te rozeszły się po całym statku, wzmacniając u wszystkich przecucie nadchodzącej katastrofy.

–Co poza tym?

–Po rynku krąży wiele plotek. Większość złowróżbnych. Yodoko-sama, wdowa po taikō, jest bardzo chora. To źle, Anjin-san, ponieważ z jej radami wszyscy się liczą i są one rozsądne. Niektórzy twierdzą, że pan Toranaga jest już pod Nagoją, a inni, że jeszcze nie dotarł do Odawary, tak więc nie wiadomo, komu wierzyć. Wszyscy są zgodni, że tegoroczne żniwa będą straszne, tu, w Osace, a to oznacza, że znaczenie Kantō wzrośnie jeszcze bardziej. Większość jest zdania, że Wojna wybuchnie zaraz po śmierci pana Toranagi, a wtedy wielcy daimyō zaczną walczyć pomiędzy sobą. Cena złota jest bardzo wysoka, a odsetki od pożyczek dochodzą do siedemdziesięciu pięciu procent, co...

–To niewiarygodnie wysoko, na pewno się mylisz.

Blackthorne wstał i rozprostował plecy, a potem ze znużeniem oparł się o burtę. Urąga i pozostali samuraje również wstali. Siedzenie w obecności stojącego pana byłoby niegrzecznością.

–Racz mi wybaczyć, Anjin-san – ciągnął Urąga – ale one nigdy nie są mniejsze niż pięćdziesiąt procent, zwykle jest to sześćdziesiąt pięć, a bywa, że nawet osiemdziesiąt. Prawie dwadzieścia lat temu ojciec wizytator zwrócił się z prośbą do Ojca Świętego... do papieża, żeby pozwolił nam... pozwolił Towarzystwu pożyczać na dziesięć procent. Miał rację, że ta propozycja, a została ona przyjęta, przysporzy chrześcijaństwu chwały i wielu nawróconych, ponieważ naturalnie jedynie chrześcijanie mogli dostawać pożyczki, zresztą zawsze bardzo skromne. W twoim kraju nie płacicie takich wysokich procentów od pożyczek?

–Rzadko. To lichwa! Rozumiesz słowo „lichwa”?

–Tak, słowo rozumiem, ale u nas lichwa zaczyna się powyżej stu procent. Chcę ci też powiedzieć, że w tej chwili bardzo zdrożał ryż, co źle wróży. Przez te kilka tygodni, gdy mnie tu nie było, jego cena się podwoiła. Tania jest ziemia. Teraz najkorzystniej jest kupić grunt albo dom. W czasie tai-funów i pożarów zostaje zniszczonych do dziesięciu tysięcy domów i ginie parę tysięcy ludzi. To wszystko, Anjin-san.

–Doskonale. Świetnie się spisałeś. Minąłeś się ze swoim prawdziwym powołaniem!

–Słucham, wielmożny panie?

–Nic, nic – odparł Blackthorne, nie bardzo jeszcze wiedząc, jak daleko może się posunąć w żartach wobec Urągi. – Świetnie się spisałeś.

–Dziękuję, wielmożny panie.

Po chwili zastanowienia Blackthorne spytał Urągę o jutrzejsze przyjęcie, na co ten doradził mu najlepiej, jak umiał. Na sam koniec powiedział mu o tym, jak się wymknął patrolowi.

–„Czy twoje włosy by cię zdradziły? – spytał Blackthorne.

–O, tak. To by wystarczyło’, żeby zaprowadzili mnie do swojego dowódcy. – Urąga obtarł spocone czoło. – Przepraszam – rzekł – jest gorąco, ne?

–Bardzo.

–Jeszcze jedno, wielmożny panie. Poszedłem do misji, okrążyłem ją. Strażnicy byli bardzo czujni i za nic nie dostałbym się do środka. Obserwowałem misję przez krótki czas i tuż przed odejściem zobaczyłem, że wchodzi tam służąca pani Tody,

Chimmoko.

–Jesteś pewien?

–Tak. Była z nią druga służąca. Myślę...

–Pani Mariko? W przebraniu?

–Nie, wielmożny panie. Na pewno nie... ta druga służąca była za wysoka.

Blackthorne spojrział na morze i mruknął do siebie:

–Co to może znaczyć?

–Pani Mariko jest chrześci... katoliczką, ne? Bardzo dobrze zna ojca wizytatora. Należy do najważniejszych dam w cesarstwie, pod względem sławy stoi zaraz po trzech najwyżej szlachetnie urodzonych japońskich damach: pani Ochibie, pani Genjiko i żonie taikō, wielmożnej pani Yodoko.

–Może chciała się wypowiadać? Albo wziąć udział w mszy? Albo jakiejs naradzie? Posłała Chimmoko, by to przygotować?

–Może chodzić o jedno albo o wszystko naraz, Anjin-san. Wszystkie żony magnatów, zarówno przyjaciół generała Ishido, jak i tych, którzy mogą się obrócić przeciwko niemu, są zamknięte w zamku, ne? Kiedy raz tam trafią, to już pozostają, niczym złote rybki w akwarium, czekające na złowienie.

–Wystarczy! Dość tego złowieszczego gadania.

–Bardzo przepraszam. A jednak mimo to uważam, że pani Toda stamtąd nie wyjdzie. Aż do dziewiętnastego dnia.

–Powiedziałem ci, że wystarczy! Wiem o zakładnikach i o ostatnim dniu.

Na pokładzie panował spokój, głosy wszystkich były przyciszone. Strażnicy odpoczywali swobodnie, czekając na koniec warty. Małe fale chlupotały, uderzając w kadłub, a liny przyjemnie skrzypiały.

–Może Chimmoko przyniosła wezwanie – rzekł po chwili Urąga – prośbę do ojca wizytatora, żeby ją odwiedził. Po przejściu Pierwszego Mostu na pewno znalazła się pod strażą. Pani Toda Mariko-no-Buntaro-no-Jinsai z pewnością znalazła się pod strażą od pierwszych chwil po przekroczeniu granic ziem pana Toranagi. Ne?

–Czy będziemy wiedzieli, że ojciec wizytator wybiera się do zamku?

–O, tak. Z łatwością.

–A od kogo się dowiedzieć, co zostało powiedziane... albo zrobione?

–To trudna sprawa. Bardzo żałuję, ale oni będą ze sobą rozmawiać po portugalsku albo po łacinie, ne? A kto jeszcze mówi tymi dwoma językami oprócz mnie i ciebie? Oboje by mnie rozpoznali. – Urąga wskazał na zamek i na miasto...- Tam mieszka wielu chrześcijan. Każdy zyskałby bardzo wiele za usunięcie ciebie albo mnie... ne?

Blackthorne nie odpowiedział. Odpowiedź nie była potrzebna.

–Nie martw się, wielmożny panie. Karma – rzekł Urąga.

–Tak jest. Karma – odparł Blackthorne i nagle dosłyszał, że od strony morza nadciąga zagrożenie. Jego ciało zareagowało szybciej, niż nakazał mu to zrobić rozum. Okręcił się w chwili, gdy przelatująca z poszumem i poświstem strzała minęła go o centymetry i wbiła się rozedrgana w grodzie. Przyskoczył do Japończyka, żeby go ściągnąć w dół, ale w tym samym momencie następna sycząca strzała trafiła Urągę w gardło i przebiła je. Razem przypadli do zapewniającego osłonę pokładu. Urąga wrzeszczał, a samuraje krzyczeli i spoglądali ponad burtą na morze. Na pokład wpadli Szarzy, którzy strażowali na nabrzeżu. Z nocnych ciemności wyleciała następna seria strzał i wszyscy rozpierzchli się, szukając schronienia. Blackthorne podczołgał się do burty, wyjrzał przez splywnik i zobaczył, że na znajdującej się w pobliżu rybackiej łodzi gaszą pochodnie, chcąc zniknąć w ciemnościach. Na innych rybackich łodziach robiono to samo i na ułamek sekundy dojrzał na nich wiosłarzy, którzy wiosłowali jak szaleni, oraz rozbłyśki światła odbitego od mieczy i łuków.

Wrzask Uragi osłabł i zamienił się w bolesne, szarpiące nerwy bulgotanie. Szarzy, z łukami w pogotowiu, ruszyli w stronę rufówki i galerę ogarnął tumult. Vinck prędko wy dostał się na pokład i nadbiegł chyłkiem z pistoletem gotowym do strzału.

–Chryste, co się dzieje?... Nic ci nie jest, pilocie? – spytał.

–Nic. Uważaj... strzelają z tych rybackich łodzi! Blackthorne przedostał się z powrotem do Uragi, który szarpał za brzechwę strzały, a z nosa, uszu i ust wypływała mu krew.

–O Jezu – Wydusił z siebie Vinck.

Blackthorne jedną ręką uchwycił wąs strzały, a drugą przyłożył do ciepłego, pulsującego ciała i pociągnął z całej siły za brzechwę. Strzała wyszła bez przeszkód, lecz wraz z nią buchnęła fontanna krwi. Urąga zaczął się dusić.

Zdążyli już ich otoczyć samuraje Blackthorne'a i Szarzy. Niektórzy, nie dbając o własne bezpieczeństwo, osłonili swojego pana przyniesionymi tarczami. Inni trzęśli się w ukryciu, chociaż niebezpieczeństwo minęło. A jeszcze inni miotali groźby w ciemność i strzelali w mrok, nakazując niewidocznym łodziom rybackim zawrócić.

Blackthorne bezradnie trzymał w swoich objęciach Uragę, zdając sobie sprawę, że coś trzeba zrobić, ale nie miał pojęcia co i wiedział, że już nic zrobić nie można. Nozdrza zatykał mu natarczywy słodkomy zapach śmierci, a w mózgu jak zwykle krzychało: „Jezu Chryste, dzięki Ci, Boże, że to nie moja krew, nie moja, dzięki Ci”.

Zobaczył w oczach Uragi błaganie, jego poruszające się bezgłośnie usta, dławienie, ciężko falującą pierś, a potem ujrzał, jak jego własne palce same wędrują do czoła leżącego i kreślą pomiędzy jego oczami znak krzyża. Poczuł, jak ciało Japończyka drży, dygocze, a usta krzyczą bezgłośnie niczym u przebitej ryby.

Uraga umierał okrutnie długo.

Blackthorne podążał do zamku w honorowej asyście dwudziestu własnych samurajów i w otoczeniu dziesięciokrotnie przewyższającej ich liczbą eskorty Szarych. Z dumą nosił swój nowy mundur – brązowe kimono z pięcioma godłami Toranagi – i po raz pierwszy uroczysty, szerokoskrzydły kaftan. Złociste falujące włosy związał w porządną ogon. Podarowane mu przez Toranagę miecze wystawały przykładowo zza pasa. Na stopach miał nowe tabi i rzemieńne sandały.

Wcześniej Szarzy zaprowadzili go do części zamku przeznaczonych dla Toranagi, znanej mu już z pierwszej wizyty w tym miejscu, tam, gdzie ukrywały się nadal Kiritsubo, pani Sazuko z dzieckiem i pozostali samuraje władcy Kantō. Wykąpał się i znalazł przygotowany nowy strój.

–Czy jest tu pani Mariko? – spytał.

–Nie, wielmożny panie, niestety, nie ma – odparła mu służąca. Właśnie dochodził do wewnętrznej fosy twierdzy. Wszędzie płonęły pochodnie.

Otrząsnął się z obaw i wkroczył na drewniany most. Szedł w otoczeniu innych gości, którzy w asyście Szarych zdążali w tę samą stronę. Czuł na sobie ich ukradkowe spojrzenia.

Nogi same poprowadziły go przez ostatnią bramę z opuszczaną kratą, a dalej Szarzy powiedli go znów przez labirynt przejść aż do ogromnych drzwi. Tutaj go zostawili, podobnie jak i jego samuraje, którzy wraz z innymi odeszli na bok, żeby czekać. Wkroczył w oświetloną pochodniami paszczę drzwi.

Znalazł się w ogromnej, wysoko sklepionej sali ze złotym ozdobnym sufitem. Wykładane złotem kolumny podpierały krokwie z rzadkiego, wypolerowanego drewna, wymuskanego jak draperie na ścianach. W środku znajdowało się pięciuset samurajów z żonami w ubiorach we wszystkich kolorach tęczy, a ich perfumy mieszały się z kadzidlanańską wonią drewna, palącego się w malutkich naściennych kadzielnicach. Blackthorne wodził oczami po tłumie, szukając wzrokiem Mariko, Yabu bądź jakiegokolwiek przyjaznej twarzy. Ale nie znalazł żadnej. Po jednej stronie ciągnął się rząd gości, którzy czekali na złożenie pokłonu przed wysokim podium na końcu sali. Stał tam dworzanin, książę Ogaki Takamoto. Blackthorne rozpoznał też wysokiego, szczupłego Ishido, który we władczej postawie również stał obok podestu. Przypomniał sobie oślepiającą siłę ciosu, z jaką tamten uderzył go w twarz, oraz swoje własne palce zaciskające się na gardle przeciwnika.

Miejsce na podeście zajmowała tylko jedna osoba, pani Ochiba. Siedziała wygodnie na poduszce. Nawet z tej odległości widział przepych jej kimona, złote nici na najrzadszym niebiesko-czarnym jedwabiu. „Najwyższa Pani”, nazywał ją w podziwieniu

Urąga, opowiadając mu podczas rejsu wiele o niej i o jej historii.

Była lekkiej, niemal dziewczęcej budowy ciała, a jej blada cera jaśniała. Spod namalowanych łuków brwi spoglądały ciemne, duże oczy, a ufryzowane włosy przypominały skrzydlaty hełm.

Procesja gości wolno posuwała się naprzód. Blackthorne stał z boku w kałuży światła, o głowę przewyższając sąsiadów. Uprzejmie ustąpił z drogi przechodzącym gościom i spostrzegł, że oczy pani Ochiby kierują się na niego. Ishido też na niego spojrział. Powiedzieli coś do siebie i Ochiba poruszyła wachlarzem. Znow popatrzeli w jego stronę. Skrępowany, ruszył do ściany, pragnąc nie rzucać się tak bardzo w oczy, ale drogę zagroził mu jakiś Szary.

–Dózo – powiedział grzecznie, wskazując mu rząd gości.

–Hai, dómo – odparł Blackthorne i dołączył do reszty. Japończycy stojący przed nim i za nim ukłonili mu się. Odwzajemnił im ukłony. Wkrótce rozmowy zupełnie ścichły. Wszyscy patrzyli na niego.

Zakłopotani Japończycy i Japonki w rzędzie przed nim zeszli mu z drogi i w tej chwili nie było nikogo pomiędzy nim a pomostem. Na chwilę zamarł, po czym w kompletnej ciszy ruszył przed siebie.

Przed podwyższeniem uklęknął i złożył ceremonialne ukłony, które podpatrzył u innych, jeden jej, a drugi Ishido. Wstał, sparaliżowany myślą, że wypadną mu miecze albo że się pośliznie i zblaźni, ale wszystko przebiegło pomyślnie i zaczął się wycofywać.

–Zaczekaj, proszę, Anjin-san – powiedziała pani Ochiba...

Zaczekał. Bijący od niej blask jeszcze się wzmógł, tak samo jak emanująca z niej kobiecość. Wprawdzie nie robiła w tym celu nic, wyczuwał jednak spowijającą ją aurę niesamowitej zmysłowości.

–Powiadają, że mówisz naszym językiem? – spytała nadzwyczaj osobistym tonem.

–Racz mi wybaczyć, Wasza Wysokość – zaczął Blackthorne, korzystając z wyuczonego zwrotu i trochę się zacinając ze zdenerwowania. – Bardzo przepraszam, ale muszę używać krótkich słów, i z całym szacunkiem proszę cię, żebyś mówiła do mnie bardzo prostym językiem, tak żebym miał zaszczyt cię rozumieć. – Dobrze wiedział, że jego życie może bez wątplenia zależeć od odpowiedzi, jakich udzieli. Skupił w tej chwili na sobie uwagę całej sali. I wówczas spostrzegł, że przez tłum przesuwają się ostrożnie Yabu i jest coraz bliżej. – Niech mi wolno będzie z całym szacunkiem pogratulować ci w dniu twoich urodzin i prosić, żebyś cieszyła się jeszcze tysiącem następnych.

–To wcale nie są proste, słowa, Anjin-san – powiedziała pani Ochiba, na której zrobiło to wielkie wrażenie.

–Racz mi wybaczyć, Wasza Wysokość. Nauczyłem się ich zeszłej nocy. Czy dobrze to powiedziałem?

–Kto cię tego nauczył?

–Uraga-no-Tadamasa, mój poddany.

Zmarszczyła brwi i spojrzała na Ishido, który pochylił się w jej stronę i zaczął wyjaśniać, ale za szybko, żeby Blackthorne zrozumiał coś więcej ponad słowo „strzały”.

–A, ten chrześcijański kapłan zaprzaniec, który zginął zeszłej nocy na waszym statku?

–Słucham, Wasza Wysokość?

–Ten człowiek... samuraj, którego zabito wczoraj w nocy na statku. Rozumiesz?

–Ach, bardzo przepraszam. Tak, to on. – Blackthorne spojrzał na Ishido i znów na Ochibę. – Racz wybaczyć, Wasza Wysokość, czy wolno mi powitać wielmożnego pana generała?

–Tak, pozwalam na to.

–Dobry wieczór, panie generale – powiedział Blackthorne uprzedzająco grzecznym tonem. – Ostatni raz się widzieliśmy, ja byłem strasznie szalony. Bardzo przepraszam.

W odpowiedzi Ishido złożył mu niedbały ukłon.

–Tak, byłeś – rzekł. – A ponadto bardzo niegrzeczny. Mam nadzieję, że dziś wieczorem nie oszalejesz ani nigdy więcej.

–Tamtego wieczoru byłem bardzo szalony, wybacz, proszę.

–Takie szaleństwo to u barbarzyńców rzecz zwyczajna, ne? Podobne publiczne grubiaństwo wobec gościa było poważną niegrzecznością. Blackthorne natychmiast zerknął na Ochibę i spostrzegł, że ją również ono zdumiało. Dlatego zaryzykował.

–Tak, masz całkowitą rację, panie generale. Barbarzyńcy są zawsze tak samo szaleni. Teraz jednak, racz wybaczyć, jestem samurajem i hatamoto, a to dla mnie wielki, bardzo wielki zaszczyt. Nie jestem już barbarzyńcą! – oświadczył głosem, jakim komenderował z rufówki, który nie będąc krzykiem, był donośny na tyle, żeby

dotrzeć do wszystkich kątów sali. – Już rozumiem zachowanie samurajów... i trochę bushido. Oraz wa. Racz wybaczyć, nie jestem już barbarzyńcą. Ne?, Ostatnie słowa wypowiedział jak wyzwanie, bez najmniejszej obawy. Wiedział, że Japończycy rozumieją męskość i dumę i że poważają je. Ishido zaśmiał się.

–Ach tak, samuraju Anjin-san – odparł jowialnie. – Tak, przyjmuję twoje przeprosiny. Pogłoski o twojej potędze są prawdziwe. To dobrze, bardzo dobrze. Ja również powinienem cię przeprosić. To straszne, że ci parszywi roninowie zrobili coś podobnego, rozumiesz? Że zaatakowali nocą.

–Tak, rozumiem, wielmożny panie. Bardzo źle. Czterech zabitych. Jeden mój, trzech Szarych.

–To źle, bardzo źle. Nie martw się, Anjin-san. Już nigdy więcej. – Ishido w zamyśleniu spojrział na salę. Wszyscy zrozumieli go bardzo dobrze. – Wystawię strażę do pilnowania. Rozumiesz? Bardzo czujne strażę. Nie będzie więcej ataków zabójców. Ani jednego. Jesteś teraz dokładnie strzeżony. Całkiem bezpieczny w zamku.

–Dziękuję. Przepraszam za kłopot.

–To żaden kłopot. Jesteś ważną osobą, ne? Jesteś samurajem. Jesteś samurajem wyróżnionym przez pana Toranagę. Nie bój się, pamiętam o tym.

Blackthorne podziękował jeszcze raz i zwrócił się do pani Ochiby.

–Wasza Wysokość, w moim kraju mieliśmy królową... mamy królową. Wybacz mi mój niepoprawny japoński... Tak, moim krajem włada królowa. W moim kraju mamy zwyczaj obdarowywać kobiety w dniu urodzin. Nawet królową. – Z kieszeni w rękawie wyjął różową kamelię, którą zerwał z drzewa w ogrodzie. Położył ją przed Ochibą, bojąc się, że posunął się za daleko. – Wybacz, proszę, jeżeli dawanie darów jest niegrzeczne.

Ochiba spojrziała na kwiat. Pięćset osób czekało z zapartym tchem, żeby przekonać się, jak zareaguje na taką śmiałość i galanterię barbarzyńcy, a także na pułapkę, w którą – być może nieumyślnie – ją wciągnął.

–Nie jestem królową, Anjin-san – odpowiedziała wolno. – Tylko matką następcy i wdową po panu taikō. Nie mogę więc przyjąć twojego daru jako królowa, bo nią nie jestem, nigdy nią nie będę, nie zabiegam, żeby nią zostać ani też nie chcę nią być. – Po tych słowach uśmiechnęła się do sali i powiedziała do wszystkich: – Ale może jako damie obchodzącej urodziny pozwolicie mi na przyjęcie podarunku Anjin-sana?

Sala zareagowała aplauzem. Blackthorne uklonił się i podziękował jej, pojmując jedynie tyle, że jego dar przyjęto. Kiedy tłum ucichł, Ochiba zawołała:

–Mariko-san, to zaszczyt mieć takiego ucznia, ne?

Przez tłum gości nadeszła Mariko z młodym chłopcem. Rozpoznał też idące blisko nich Kiritsubo i panią Sazuko. Zobaczył, że chłopak uśmiecha się do jakiejś młodej dziewczyny, a po chwili dogania Mariko.

–Dobry wieczór, pani Toda – rzekł Blackthorne i podniecony odniesionym sukcesem dodał ryzykownie po łacinie: – Dzięki twojej obecności ten wieczór jest jeszcze piękniejszy.

–Dziękuję, Anjin-san – odparła po japońsku, czerwieniąc się. Weszła na podwyższenie, ale chłopak pozostał wśród widzów. Pokłoniła się Ochibie. – Niewielka w tym moja zasługa, Ochiba-sama. To wszystko zasługa pilności Anjin-sana i słownika, który dali mu chrześcijańscy księża.

–Ach tak, słownika! – Ochiba kazała Blackthorne’owi, żeby pokazał jej słownik i z pomocą Mariko dokładnie wyjaśnił jego sens. Książka zafascynowała ją. Tak samo generała Ishido, – Musimy mieć jego kopie, generale – powiedziała. – Każ im, żeby dostarczyli nam sto takich książek. Z ich pomocą nasza młodzież wkrótce nauczy się języka barbarzyńców, ne?

–To dobra myśl, pani. Im prędzej będziemy mieli własnych tłumaczy, tym lepiej. – Ishido zaśmiał się. – Niechaj chrześcijanie sami przełamią swój monopol, ne?

–Chrześcijanie nie mają żadnego monopolu, panie generale – odezwał się stojący pośród gości stalowosiwy samuraj po sześćdziesiątce. – Prosimy chrześcijańskich księży, a raczej domagamy się, żeby służyli nam za tłumaczy i negocjatorów, ponieważ jedynie oni potrafią porozumiewać się z obiema stronami i cieszą się ich zaufaniem. Przecież ten zwyczaj zapoczątkował pan Goroda, ne? A taikō kontynuował go.

–Oczywiście, panie Kiyama, wcale nie chciałem uchybić daimyō ani samurajom, którzy zostali chrześcijanami – odparł Ishido. – Ale lepiej byłoby dla nas, gdyby to nasi ludzie, a nie zagraniczni kapłani – jacykolwiek kapłani, skoro już o tym mówimy – zawiadywali naszym handlem z Chinami.

–Jak dotychczas nie było ani jednego przypadku oszustwa, panie generale – rzekł Kiyama. – Ceny są godziwe, handlujemy łatwo i z dobrym skutkiem, a księża rządzą swoimi własnymi rodakami. Bez Południowych Barbarzyńców nie będzie jedwabów, nie będzie handlu z Chinami. Bez księży wpadniemy w wielkie kłopoty. Przykro mi, ale bardzo wielkie. Zechciej wybaczyć, że o tym wspominał, panie.

–Och, panie Kiyama – wtrąciła pani Ochiba. – Jestem pewna, że sprawiłeś panu Ishido zaszczyt, prostując jego sąd, prawda, generale? Czymże byłaby Rada Regencyjna bez wskazówek pana Kiyamy?

–Naturalnie – rzekł Ishido.

Kiyama uklonił” się sztywno, zadowolony z takiego postawienia sprawy. Ochiba spojrzała na chłopca i poruszyła wachlarzem.

–Co ty na to, Saruji-san? – spytała. – Może chciałbyś nauczyć się języka barbarzyńców?

Chłopiec zaczerwienił się pod ich badawczymi spojrzeniami. Był szczupły, przystojny i bardzo starał się wyglądać doroślejsz niż na swoje piętnaście lat.

–Och, mam nadzieję, że nie będę musiał tego robić, Ochiba-sama, o, nie... ale jeżeli dostanę taki rozkaz, to się postaram. Tak, postaram się ze wszystkich sił.

Jego szczerość wywołała wesołość.

–Anjin-san, to mój syn Saruji – z dumą przedstawiła chłopca Mariko.

Blackthorne skupiał się na rozmowie, ale prowadzono ją na ogół za szybko i zbyt potocznym językiem, żeby mógł ją rozumieć. Niemniej na dźwięk nazwiska „Kiyama” stał się czujny. „Uklonił się Sarujiemu i w odpowiedzi otrzymał ceremonialny ukłon.

–Bardzo piękny z niego mężczyzna, ne? To szczęście mieć takiego pięknego syna, Mariko-sama – odparł.

Półprzymkniętymi oczami spojrzał na prawą rękę chłopca. Była wykręcona. To mu przypomniało, że kiedyś Mariko wspomniała o swoim ciężkim i długim porodzie. Biedny chłopak, pomyślał. Jakże może władać mieczem? Odwrócił wzrok. Nikt nie zauważył, na co patrzył. Oprócz Sarujiego. Na twarzy chłopaka odbiło się zakłopotanie i męka.

–To szczęście mieć pięknego syna – powiedział jeszcze raz do Mariko. – Ale to przecież niemożliwe, żeby twój syn był taki duży... jesteś na to za młoda, ne?

–A ty zawsze jesteś taki rycerski, Anjin-san? – spytała Ochiba. – Zawsze taki mądry?

–Słucham?

–Czy zawsze jesteś taki mądry? Mówisz komplementy? Rozumiesz?

–Nie, przykro mi, proszę o wybaczenie. – Blackthorne’owi od ciągłego skupiania się pękała głowa. Mimo to jednak, kiedy Mariko wyjaśniła mu, o czym mowa, odparł z udawaną powagą: – Ach, przepraszam, Mariko-sama. Jeżeli Saruji jest naprawdę twoim synem, to powiedz pani Ochibie, że w takim razie nie miałem pojęcia, że damy

wychodzą tu za mąż mając dziesięć lat.

Mariko przełożyła to, co powiedział. A potem dodała coś, co tamtych rozśmieszyło.

–Co powiedziałaś? – spytał.

–Ach! – Mariko spostrzegła, że Kiyama złowrogo spogląda na Blackthorne'a. – Bardzo przepraszam, panie Kiyama – powiedziała – czy pozwolisz, że przedstawię ci Anjin-sana?

Kiyama bardzo uprzejmie odpowiedział na bardzo stosowny ukłon Anglika.

–Mówią, że podobno uważasz się za chrześcijanina? – spytał.

–Słucham?

Kiyama nie raczył odpowiedzieć, więc Mariko przełożyła jego pytanie.

–Ach, bardzo przepraszam, panie Kiyama – powiedział po japońsku Blackthorne. – Tak, jestem chrześcijaninem... ale z innej sekty. – Twoja sekta nie jest mile widziana na mojej ziemi Nie w Nagasaki... tak samo, jak sądzę, na Kiusiu i nie w posiadłościach wszystkich chrześcijańskich daimyō.

Mariko nie przestała się uśmiechać. Zastanawiała się, czy Kiyama osobiście wynajął zabójcę z oddziału Amidy i czy to tan nakazał atak zeszłej nocy. Przełożyła jego słowa Blackthorne'owi, łagodząc ich nieuprzejmy ton. Wszyscy w sali przysłuchiwali się im uważnie.

–Nie jestem kapłanem, panie – rzekł Blackthorne wprost do Kiyamy. – Jeżeli jestem w twoim kraju... to wyłącznie dla handlu. Nie jestem kapłanem, żeby mówić czy uczyć. Z całym szacunkiem, ja proszę tylko o handel.

–Ja nie muszę handlować z tobą. Nie chcę widzieć ciebie na moich ziemiach. Pod karą śmierci zabraniam ci wstępu do nich. Rozumiesz?

–Tak, rozumiem – odparł Blackthorne. – Przykro mi.

–To dobrze – powiedział Kiyama i wyniośle obrócił się w stronę Ishido. – Powinniśmy tę barbarzyńską sektę całkowicie usunąć z cesarstwa. Zaproponuję to na następnym zebraniu Rady. Wszem i wobec oświadczam, iż uważam, że pan Toranaga postąpił bardzo nierozważnie robiąc cudzoziemca, a już zwłaszcza tego, samurajem. To bardzo niebezpieczny przykład.

–Ależ to przecież jest z całą pewnością bez znaczenia! Wszystkie pomyłki obecnego władcy Kantō już wkrótce zostaną naprawione. Ne?

–Wszyscy popełniają błędy, panie generale – rzekł z naciskiem Kiyama. – Tylko Bóg jest wszechwiedzący i doskonały. Jedynym prawdziwym błędem pana Toranagi jest to, że swoje interesy przedłożył nad interesy następcy.

–Tak – przyznał Ishido.

–Proszę o wybaczenie, panowie – wtrąciła Mariko. – Ale to nieprawda. Przykro mi, ale obaj mylicie się co do mojego pana.

Kiyama zwrócił się do niej. Grzecznie.

–Masz pełne prawo do swojego stanowiska, Mariko-san. Ale proszę, nie rozmawiajmy o tym dzisiaj. No więc, panie generale, gdzie jest w tej chwili pan Toranaga? Jakie są ostatnie wieści?

–Wczoraj gołąb pocztowy przyniósł mi wiadomość, że jest w Mishimie. Codziennie dostaję meldunki o jego podróży.

–To dobrze. A więc za dwa dni opuści swoje granice? – spytał Kiyama.

–Tak. Pan Ikawa Jikkyu jest gotów przyjąć go tak, jak na to zasługuje.

–Świetnie. – Kiyama uśmiechnął się do Ochiby. Bardzo ją lubił. – Pani, może spytałabyś następcę, czy dla uczczenia tego wydarzenia, pozwoliliby regentom pokłonić się mu.

–Następca będzie tym zaszczycony, wielmożny panie – odparła Ochiba ku aplauzowi sali. – A potem, być może, ty i wszyscy tutaj weźmiecie jako jego goście udział w turnieju poetyckim. Może sędziami w nim będą regenci?

Wywołało to jeszcze większy aplauz.

–Dziękuję ci, pani, ale może sędziami będą książę Ogaki, ty i inne damy dworu. –

–Doskonale, jak sobie życzyście.

–A więc, wielmożna pani, jaki będzie temat wiersza? – spytał bardzo zadowolony Kiyama, bo oprócz sławy fehmistrza i zaciętego wojownika, słyszał ze swoich umiejętności poetyckich.

–Proszę, Mariko-san, zechcesz odpowiedzieć panu Kiyamie? – spytała Ochiba, czym u wielu wzbudziła podziw dla swojej zręczności, jako że sama była marną poetką, za to Mariko słynęła ze swoich wierszy.

Mariko ucieszyła się, że nadeszła pora, aby zacząć. Po chwili zastanowienia odparła:

–Powinien być o dniu dzisiejszym, wielmożna pani, a pierwszy jego wers powinien brzmieć „Na bezlistnej gałęzi...”

Ochiba i wszyscy pozostali pochwalili jej wybór.

–Wspaniale – rzekł zadowolony Kiyama – ale żeby się z tobą zmierzyć, musimy się wznieść na wyżyny, Mariko-san.

–Mam nadzieję, że mi wybaczysz, wielmożny panie, ale ja nie stanę w szranki.

–Ależ oczywiście, że staniesz! – Kiyama roześmiał się. – Należysz do najlepszych poetek w cesarstwie! Bez ciebie turniej nie będzie taki jak powinien.

–Bardzo żałuję, wielmożny panie, wybacz mi, ale nie będę tu obecna.

–Nie rozumiem.

–Co masz na myśli, Mariko-san? – spytała Ochiba.

–Och, wybacz, wielmożna pani, ale jutro wyjeżdżam z Osaki – odparła Mariko. – z paniami Kiritsubo i Sazuko.

Ishido przestał się uśmiechać.

–Wyjeżdżasz? Dokąd? – spytał.

–Na spotkanie mojemu lennemu panu, wielmożny panie.

–On... pan Toranaga zjawi się tu przecież za kilka dni, ne?

–Pani Sazuko nie widziała męża od paru miesięcy, a mój pan nie miał jeszcze przyjemności widzieć najmłodszego syna. Pani Kiritsubo będzie nam oczywiście towarzyszyć. Pan Toranaga równie długo bowiem nie oglądał najstarszej ze swoich dam, ne?

–Pan Toranaga przybędzie tu tak niedługo, że nie ma potrzeby wyjeżdżać mu na spotkanie.

–A ja uważam, że jednak jest potrzeba, panie generale.

–Dopiero co przyjechałaś i bardzo się cieszyliśmy na twoje towarzystwo, Mariko-san – rzekł energicznie Ishido. – A zwłaszcza wielmożna pani Ochiba. Ponownie zgadzam się z panem Kiyamą, że koniecznie musisz wziąć udział w tym turnieju.

–Bardzo żałuję, ale nie będę obecna.

–Na pewno jesteś zmęczona, pani. Dopiero co przyjechałaś. To z całą pewnością nie jest dobre miejsce na omawianie prywatnych spraw. – Ishido zwrócił się do Ochiby. – Wielmożna pani, może... zechciałabyś przywitać pozostałych gości.

–Tak... tak, naturalnie – odparła Ochiba, tracąc głowę.

Znów posłusznie zaczęła się formować kolejka i rozszumiały się nerwowe rozmowy, lecz po chwili ponownie zapadła cisza, bo rozległy się słowa Mariko:

–Dziękuję, panie generale. Masz rację, ale to wcale nie jest prywatna sprawa, tak więc nie ma o czym mówić. Wyjeżdżam jutro, żeby złożyć uszanowanie mojemu lennemu panu, wraz z jego damami.

–Jesteś tu, wielmożna pani – rzekł chłodno Ishido – na osobiste zaproszenie Syna Niebios, a w dodatku jesteś mile widzianym gościem regentów. Zechciej więc okazać, cierpliwość. Twój pan wkrótce tu przybędzie.

–To prawda, wielmożny panie, ale Jego Wysokość cesarz zaprosił mnie na dwudziesty pierwszy dzień miesiąca. Nie wymaga to ode mnie albo kogokolwiek siedzenia w murach Osaki aż do tego dnia. A może nie?

–Zapominasz się, wielmożna pani Toda.

–Wybacz, panie, ale ani mi to w głowie. Bardzo przepraszam.

Mariko zwróciła się do dworzanina Ogakiego. – Wielmożny panie, czy zaproszenie Najjaśniejszego Cesarza wymaga ode mnie pozostawania na miejscu aż do jego przybycia?

Ogaki nie przestał się uśmiechać.

–Zaproszenie jest na dwudziesty pierwszy dzień tego miesiąca, pani – odparł. – Wymaga to twojej obecności tylko wtedy.

–Dziękuję, wielmożny panie. – Mariko złożyła mu ukłon i obróciła się ponownie w stronę podestu. – Wymaga to mojej obecności jedynie w tym dniu, generale. Nie wcześniej. Tak więc jutro wyjadę.

–Okaż cierpliwość, pani. Regenci powitali cię z zadowoleniem, a do czasu przyjazdu Najjaśniejszego przy wielu przygotowaniach będziesz im potrzebna. A teraz, pani Ochi...

–Bardzo przepraszam, wielmożny panie, ale rozkazy mojego lennego pana są dla mnie ważniejsze. Muszę jutro wyjechać.

–Nie wyjedziesz jutro i prosimy cię, błagamy, Mariko-san, żebyś wzięła udział w turnieju pani Ochiby. A teraz, wielmożna pani...

–A więc zatrzymuje się mnie tutaj... wbrew mojej woli?

–Mariko-san, odłóżmy tę sprawę” na później, dobrze? – powiedziała Ochiba.

–Bardzo przepraszam, Ochiba-sama, ale jestem prostą osobą. Powiedziałam wprost, że mam rozkazy od mojego lennego pana. Jeżeli nie mogę ich wykonać, to muszę wiedzieć dlaczego. Panie generale, czy jestem uwięziona aż do dwudziestego pierwszego dnia? Jeżeli tak, to na czyj rozkaz?

–Jesteś naszym honorowym gościem – odparł ostrożnie Ishido, chcąc, żeby mu się podporządkowała. – Powtarzam, wielmożna pani, że twój pan wkrótce się tu zjawi.

Mariko, wyczuwając jego siłę, zaczęła z nim walczyć.

–Przepraszam – powiedziała – ale z całym szacunkiem pytam jeszcze raz: czy jestem uwięziona w Osace na następne osiemnaście dni, a jeżeli tak, to na czyj rozkaz?

Ishido przygwałdził ją wzrokiem.

–Nie, nie jesteś uwięziona, pani – odparł.

–Dziękuję, wielmożny panie. Wybacz mi moją bezpośredniość.

Wiele dam w sali obróciło się do swoich sąsiadek i część z nich, nie kryjąc się z tym, szeptała” o czym myślą wszystkie te, które są przetrzymywane w Osace wbrew swojej woli:

–Jeżeli ona może jechać, to dlaczego nie ja? Tak samo ty, ne? Jutro wyjeżdżam, och, jak cudownie!

Ale ów poszum na sali uciął głos Ishido.

–Ponieważ jednak uznałaś, że możesz zwracać się do mnie tak arogancko, czuję się w obowiązku poprosić regentów o urzędowe zakazanie ci wyjazdu... na wypadek, gdyby inni okazali twój brak zrozumienia. – Uśmiechnął się ponuro w złowrogiej ciszy. – Aż do tego czasu zaczekasz w pogotowiu na ich pytania i dyspozycje.

–Przyjęłabym to jako zaszczyt, wielmożny panie, gdybym nie miała obowiązków wobec mojego lennego pana – odparła Mariko.

–Oczywiście. Ale to potrwa tylko kilka dni.

–Bardzo mi przykro, wielmożny panie, ale przez kilka następnych dni mam obowiązki wobec mojego lennego pana.

–Uzbroisz się w cierpliwość, pani. Zajmie to nam niedługo. Sprawa zakończona. A teraz, panie Ki...

–Bardzo mi przykro, ale nie mogę odłożyć wyjazdu na niedługo.

–Odmawiasz posłuszeństwa Radzie Regencyjnej?! – podniósł głos Ishido.

–Nie, wielmożny „panie – odparła dumnie Mariko. – Nie, chyba że kłóci się to z obowiązkami, jakie mam wobec mojego lennego pana i które są moją najwyższą powinnością.

–Przygotuj się na spotkanie z Radą posłusznie i z pokorą, tak jak przystało poddanej!

–Bardzo przepraszam, ale mam rozkaz towarzyszyć damom mojego pana na spotkanie z nim. Natychmiast.

Wyjęła z rękawa zwój papieru i wręczyła go oficjalnie Ishido, Rozerwał go i przeleciał wzrokiem tekst.

–. Mimo to zaczekasz na dyspozycje regentów – oświadczył podnosząc wzrok...”-.

Mariko spojrzała z nadzieją na Ochibę, ale napotkała jedynie chłodną nieprzychylność. Obróciła się w stronę Kiyamy. Ten jednak pozostał równie niemy, równie niewzruszony.

–Proszę wybaczyć, panie generale, ale przecież nie ma wojny – zaczęła. – Mój pan jest posłuszny woli regentów, tak więc przez następne osiemnaście dni...

–Sprawa jest zamknięta!

–Ta sprawa zostanie zamknięta, generale, kiedy okażesz się, panie, na tyle grzeczny, że pozwolisz mi dokończyć! Nie jestem chłopką, żeby po mnie deptać! Jestem Toda Mariko-no-Buntaro-no-Hiro-matsu, córka pana Akechiego Jinsai, pochodzę z tysięcletniego rodu samurajskiego Takashima i ostrzegam, że nigdy nie zostanę branką, zakładniczką ani nie dam się uwięzić! Przez następne osiemnaście dni, aż do wyznaczonej daty wizyty ustalonej przez Najjaśniejszego, mogę jeździć dokąd mi się podoba... tak jak wszyscy!

–Nasz... nasz pan taikō też był w swoim czasie chłopem. Bardzo wielu samurajów to byli chłopci. Każdy daimyō był kiedyś, w przeszłości, chłopem. Nawet pierwszy Takashima. Wszyscy byli ongiś chłopami. Dlatego posłuchaj uważnie: wypełnisz

życzenia regentów.

–Nie. Bardzo przepraszam, ale moim najważniejszym obowiązkiem jest posłuszeństwo mojemu lennemu panu.

Rozzłoszczony Ishido ruszył do niej.

Wprawdzie Blackthorne nie zrozumiał prawie nic z tej wymiany zdań, ale prawą dłoń wsunął niepostrzeżenie do lewego rękawa, żeby przygotować się do rzucenia ukrytym tam nożem.

Ishido stanął nad Mariko.

–Wypełnisz...

Wtem przy drzwiach zapanowało poruszenie. Przez tłum przedostała się zapłakana służąca i podbiegła do pani Ochiby.

–Bardzo przepraszam, wielmożna pani – przemówiła z płaczem – chodzi o wielmożną panią Yodoko... prosi cię o przybycie, jest... Musisz się pośpieszyć, następca już tam jest...

Zatroskana Ochiba spojrzała na Mariko i Ishido, a potem na wpatrzone w nią twarze gości. Złożyła im półukłon i spiesznie odeszła. Ishido zawahał się.

–Tobą zajmę się później, Mariko-san – powiedział i ciężko stąpając po tatami odszedł za Ochibą.

Za ich plecami znowu zaczęły się wznosić i opadać szepty. Dzwony obwieściły nową godzinę.

Blackthorne podszedł do Mariko.

–Co się stało, Mariko-san? – spytał.

Wciąż wpatrywała się nie widzącym wzrokiem w podest. Kiyama zdjął zaciśniętą dłoń z rękojeści miecza i uniósł ją.

–Mariko-san! – powiedział.

–Tak? Tak, wielmożny panie?

–Czy wolno mi doradzić ci powrót do domu? Może później łaskawie ze mną porozmawiasz... powiedzmy, o godzinie Dzika?

–Tak, tak, oczywiście. Proszę... proszę o wybaczenie, ale muszę...

Zamilkła.

–To złowróżbny dzień, Mariko-san. Niechaj Bóg ma cię w opiece. – Kiyama odwrócił się plecami do niej i władczo przemówił do sali. – Proponuję, żebyście powrócili do domów i zaczekali... zaczekali i pomodlili się, ażeby Nieskończony przyjął na swoje łono szybko, łatwo i szczerze wielmożną panią Yodoko, jeśli nadszedł jej czas. – Zerknął na wciąż jeszcze osłupiałego Sarujiego. – Pójdiesz ze mną – powiedział i ruszył.

Saruji, mimo że nie chciał zostawiać matki samej, zmuszony rozkazem i wystraszony tym, że ściągnął na siebie uwagę wszystkich obecnych, ruszył za nim.

Mariko złożyła zebranych półukłon i poszła do wyjścia. Kiri oblizwała suche wargi. Siedząca obok niej pani Sazuko dygotała, pełna obaw. Kiri wzięła ją za dłoń i obie razem podążyły za Mariko. Potem z tłumu wystąpił Yabu i wraz z Blackthorne'em poszedł za nimi, aż nadto dobrze świadom faktu, że jako jedyni spośród samurajów w tej sali noszą mundurowe kimona Toranagi.

Przed salą czekali na nich Szarzy.

–Na wszystkich bogów, cóż w ciebie wstąpiło, pani, żeby tak się stawiać? To głupota, ne? – zgromił ją Yabu.

–Bardzo przepraszam – odparła Mariko, ukrywając prawdziwy powód swojego zachowania. Była wściekła na jego grubiańskie zachowanie i pragnęła, żeby zostawił ją w spokoju. – Tak po prostu wyszło, wielmożny panie. Obchodziliśmy urodziny pani Ochiby, aż tu raptem... doprawdy nie wiem, jak to się stało. Przepraszam za to, Yabu-sama. Przepraszam za to, Anjin-san.

Blackthorne znów się odezwał, ale Yabu ponownie wpadł mu w słowo, tak więc bardzo tym rozjątrzony oparł się o okienny filar, a mózg pulsował mu z wysiłku, żeby cokolwiek zrozumieć.

–Bardzo przepraszam, Yabu-sama – powtórzyła Mariko myśląc, jacy uciążliwi są mężczyźni, którym wszystko trzeba dokładnie tłumaczyć. Że nie widzą nawet rzęs we własnych powiekach.

–Wywołałaś burzę, która zniszczy nas wszystkich! To głupota, ne?

–Tak, ale to nie w porządku, żeby nas zamykać, a pan Toranaga wydał mi rozkazy, żebym...

–To są rozkazy szaleńca! W jego głowie musiały zamieszkać diabły! Musisz przeprosić i spuścić z tonu. Od tej chwili środki bezpieczeństwa staną się ściślejsze niż dziura w tyłku komara. Ishido z pewnością cofnie nam pozwolenia na wyjazd, tak

więc zniszczyłaś wszystko! – Yabu spojrział na Blackthorne'a. – I co teraz zrobimy?

–Słucham?

Wszyscy troje przybyli przed chwilą do pokoju dla gości w domu Mariko, który stał wewnątrz pierwszego pierścienia zamkowych fortyfikacji. Doprowadziła ich tam eskorta Szarych, których znacznie więcej niż zwykle warowało w tej chwili przy bramie. Kiri i pani Sazuko udały się do siebie z inną „honorową” strażą Szarych, Mariko zaś obiecała obu, że odwiedzi je po rozmowie z Kiyamą.

–Ależ strażnicy nie pozwolą ci na to, Mariko-san – powiedziała roztrzęsiona Sazuko.

–Nie martw się – odparła. – Nic się nie zmieniło. Wewnątrz zamku możemy poruszać się swobodnie, chociaż pod eskortą.

–Zatrzymają cię! Och, czemu nie...

–Mariko-san ma słuszość, dziecko – odezwała się nieustraszona Kiri. – Nic się nie zmieniło. Niedługo się zobaczymy, Mariko-chan.

A potem odeszła z Sazuko do swojego skrzydła zamku i Brązowi zamknęli umocnioną bramę. Dopiero wtedy Mariko odetchnęła i wraz z Yabu i Blackthorne'em udała się do swojego domu.

Znów przypomniała sobie chwilę, kiedy samotnie przeciwstawiając się wrogowi ujrzała, jak Blackthorne szykuje się do rzucenia nożem, i poczuła się mocniejsza. Tak, Anjin-san, pomyślała. Tylko na ciebie jednego mogę liczyć. Byłeś tam, gdy znalazłam się w potrzebie.

Spojrzała na Yabu, który siedział naprzeciwko niej, zgrzytając zębami. Zaskoczyło ją, że publicznie ją poparł, wychodząc wraz z nią z sali. Właśnie dlatego, że to zrobił, a także dlatego, że okazując mu gniew nic by nie zyskała, nie zareagowała na jego grubiańskie zuchwalstwa i zaczęła go czarować.

–Racz mi wybaczyć głupotę, Yabu-sama – powiedziała tonem skruszonym i płaczkliwym. – Oczywiście, że masz rację, jestem tylko głupią kobietą.

–Racja! To głupota przeciwstawiać się Ishido w jego własnym gnieździe, ne? To głupota tam go atakować – odparł nieco udobruchany Yabu.

–Tak. Masz słuszość. Jaka szkoda, że nie wszyscy nasi wodzowie są tacy silni i mądrzy jak ty, wielmożny panie, bo wtedy pan Toranaga nie miałby takich kłopotów.

–Owszem. Ale i tak wtrąciłaś nas po same nosy w gnojówkę.

–Bardzo przepraszam, wielmożny panie. Tak, to wyłącznie moja wina. – Mariko udała, że powstrzymuje łzy. Spuściła oczy i szepnęła: – Dziękuję ci za to, żeś przyjął moje przeprosiny. Jesteś taki dobroduszny.

Yabu skinął głową wierząc, że zasłużył sobie na te komplementy, że Mariko słusznie się przed nim płaszczy i że sam jest niezrównany. Przeprosiła go jeszcze raz, kadząc mu i przypochlebiając się. Wkrótce też go ugłaskała.

–Czy mogę wyjaśnić swoją głupotę Anjin-sanowi? Może on podsunie mi jakąś myśl, jak wyjść z...

Umilkła, skruszona.

–Tak. Dobrze.

Mariko ukłonem wyraziła Yabu swoją wdzięczność, obróciła się do Blackthorne'a i odezwała się po portugalsku.

–Posłuchaj, proszę, Anjin-san, posłuchaj i nie zadawaj w tej chwili pytań. Bardzo przepraszam, ale najpierw muszę udobruchać tego drażliwego sukinsyna... czy tak się to mówi?

Prędko zrelacjonowała mu, o czym była mowa w sali i dlaczego Ochiba wyszła w takim pośpiechu.

–To źle – stwierdził, patrząc na nią badawczo. – Ne?

–Tak. Pan Yabu prosi cię o radę. Co trzeba zrobić, żeby wydostać się z tej kabały, w którą wpadliście przez moją głupotę.

–Jaką głupotę? – Blackthorne wpatrywał się w nią bacznie. Spłoszyła się jeszcze bardziej. Spuściła wzrok na maty. Przemówił więc wprost do Yabu. – Jeszcze nie wiem, wielmożny panie. Teraz rozumiem... teraz myślę.

–A o czym tu myśleć? – odparł ponuro Yabu. – Jesteśmy zamknięci.

Mariko przełożyła te słowa nie podnosząc oczu.

–To prawda, tak, Mariko-san? – spytał Blackthorne. – To zawsze była prawda.

–Tak, bardzo mi przykro.

Odwrócił głowę i wpatrzył się w noc. W uchwyty na kamiennym murze otaczającym ogród przed domem wetknięto pochodnie. Ich światło odbijało się w mokrych liściach i roślinach, które właśnie w tym celu zmoczono. Okutej żelazem bramy po zachodniej stronie strzegło kilku Brązowych.

–Moja ty – usłyszała Mariko jego słowa, które wypowiedział nie zwracając się w jej stronę. – Muszę porozmawiać z tobą na osobności.

–Mój ty – rzekła, nie patrząc na Yabu i nie ufając sobie. – Ja z tobą również. Znajdę cię dziś wieczorem. – Podniosła oczy na daimyō. – Anjin-san zgadza się z tobą co do mojej głupoty, wielmożny panie, bardzo przepraszam.

–Ale co za pożytek z tego w tej chwili?

–Anjin-san – powiedziała rzeczowo Mariko – późnym wieczorem przyjdę do Kiritsubo-san. Wiem, gdzie są twoje pokoje. Znajdę cię.

–Tak. Dziękuję – odparł, nadal zwrócony plecami do niej.

–Yabu-sama – zwróciła się z pokorą do daimyō – dziś wieczorem idę do Kiritsubo-san. To mądra kobieta... znajdzie rozwiązanie.

–Jest tylko jedno rozwiązanie – stwierdził Yabu, przewiercając ją oczami jak węgle. Jego stanowczy ton odebrał jej odwagę. – Jutro złożysz przeprosiny. I zostaniesz.

Kiyama przybył punktualnie. Przyprowadził z sobą Sarujiego, więc struchlała.

Po wymianie zwyczajowych powitań Kiyama rzekł ponuro:

–A teraz zechciej mi wyjaśnić, dlaczego to zrobiłaś, Mariko-san.

–Nie ma wojny, wielmożny panie. Nie powinniśmy być tutaj zamknięci ani traktowani jak zakładnicy, i właśnie dlatego mam prawo poruszać się swobodnie.

–Do przetrzymywania zakładników nie potrzeba wojny. Wiesz o tym. Panią Ochibę trzymano w Edo jako zakładniczkę, żeby zagwarantować bezpieczeństwo twojemu panu w Osace, a przecież nikt z nikim nie był w stanie wojny. Pan Sudara i jego rodzina są dzisiaj zakładnikami u brata pana Toranagi, a przecież oni nie prowadzą wojny. Ne?

Mariko nie podniosła oczu.

–Jest tu wielu takich, którzy są zakładnikami regentów, legalnych zarządców cesarstwa, po to, żeby zagwarantować posłuszeństwo ich panów wobec Rady Regencyjnej. To mądry, ogólnie przyjęty zwyczaj. Ne?

–Tak, wielmożny panie.

–Dobrze. A teraz wyjaw mi swój prawdziwy powód.

–Słucham, wielmożny panie?

–Nie igraj ze mną! – ostrzegł ją gniewnie Kiyama. – Ja również, tak jak ty, nie jestem chłopem! Chcę wiedzieć, dlaczego, dzisiaj zrobiłaś to, co zrobiłaś.

Mariko podniosła oczy.

–Bardzo przepraszam, ale generał Ishido po prostu rozdrażnił mnie swoją butą, wielmożny panie. Ja naprawdę mam rozkazy. Cóż złego w tym, żeby panie Kiri i Sazuko wyjechały stąd na kilka dni i zobaczyły się z naszym panem?

–Doskonale wiesz, że to niemożliwe. Pan Toranaga również z pewnością o tym wie.

–Bardzo mi przykro, ale mój pan wydał mi rozkazy. Samuraje nie kwestionują rozkazów swojego pana.

–Owszem, ale ja je kwestionuję, ponieważ są niedorzeczne. Twój pan nigdy nie postępuje niedorzecznie ani nie popełnia błędów. Dlatego też obstaję przy swoim prawie, by zakwestionować również twoje słowa.

–Bardzo przepraszam, wielmożny panie, ale nie ma o czym mówić.

–Ależ jest. Mamy do pomówienia o Sarujim. A także o tym, że znam cię przez całe życie i że przez całe życie szanowałem cię. Hiro-matsu-sama jest moim najstarszym żyjącym przyjacielem, a twój ojciec był moim najlepszym przyjacielem i zasłużonym sprzymierzeńcem aż do ostatnich dwóch tygodni swego życia.

–Samuraj nie kwestionuje rozkazów swojego lennego pana.

–W tej chwili możesz zrobić jedynie dwie rzeczy, Mariko-san. Przeprosisz i zostaniesz albo spróbujesz wyjechać. A jeżeli spróbujesz wyjechać, zostaniesz zatrzymana.

–Tak. Rozumiem.

–Jutro więc przeprosisz. Zwołam zebranie Rady Regencyjnej, ona zaś wyda decyzję w tej sprawie. Dopiero wtedy wolno ci będzie wyjechać z Kiritsubo i panią Sazuko.

–Bardzo przepraszam, panie, a ile czasu wam to zajmie?

–Nie wiem. Kilka dni.

–Bardzo żałuję, ale nie mam kilku dni, mam polecenie wyjechać natychmiast.

–Spójrz mi w oczy! – polecił, a Mariko posłuchała go. – Ja, Kiyama Ukon-no-Odanaga, pan Higo, Satsumy i Osumi, regent Japonii, potomek rodu Fujimoto, najważniejszy chrześcijański daimyō w tym kraju, proszę cię, żebyś została.

–Bardzo przepraszam, ale mój lenny pan zabrania mi zostać.

–Czy ty nie rozumiesz, co do ciebie mówię?

–Rozumiem, wielmożny panie. Ale wybacz mi, nie mam wyboru – odparła.

Kiyama wskazał na jej syna.

–Zaręczyny mojej wnuczki z Sarujim... doprawdy nie mogę pozwolić na ich przedłużanie, jeśli ty okryjesz się niesławą.

–Tak, tak, wielmożny panie – odparła Mariko z cierpieniem wypisanym w oczach. – Rozumiem to. – Spostrzegła rozpacz syna. – Bardzo przepraszam, synu, ale muszę wypełnić swój obowiązek.

Saruji chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się.

–Zechciej mi wybaczyć, matko – rzekł po dłuższej chwili – ale czy... czy twoje obowiązki wobec następcy nie są ważniejsze od obowiązków wobec pana Toranagi? Naszym prawdziwym lennym panem jest następca, ne?

Zastanowiła się nad tym.

–Tak, synu – odparła. – I zarazem nie. To pan Toranaga ma nade mną władzę, a nie następca.

–A czy to nie znaczy, że pan Toranaga ma również władzę nad następcą?

–Nie, przepraszam.

–Wybacz mi, matko, nie pojmuję ciebie, wydaje mi się bowiem, że jeżeli następca wydaje rozkaz, to na pewno jest on ważniejszy od rozkazu naszego pana Toranagi.

Milczała.

–Odpowiedz mu – rozkazał ostrym tonem Kiyama.

–Czy to twoja własna myśl, synu? Czy może ktoś ci ją podsunął? – spytała Mariko.

Saruji zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć.

–My... pan Kiyama i... i jego żona rozmawialiśmy o tym. A także ojciec wizytator. Nie pamiętam. Myślę, że sam to wymyśliłem. Ojciec wizytator przyznał mi rację, prawda, wielmożny panie?

–Powiedział, że następca jest ważniejszy w cesarstwie od pana Toranagi. Według

prawa. Odpowiedz mu wprost, Mariko-san – rzekł Kiyama.

–Gdyby następca był mężczyzną, dorosłym, kampaku, legalnym władcą cesarstwa, jakim był jego ojciec, to okazałabym mu w tej mierze posłuszeństwo, stawiając jego rozkaz ponad rozkaz pana Toranagi. Ale Yaemon jest dzieckiem, tak fizycznie, jak w oczach prawa, i dlatego nie może rozkazywać. Zgodnie z prawem. Czy ta odpowiedź cię zadowala?

–Ale... ale przecież pozostaje następcą, ne? Regenci słuchają go... pan Toranaga szanuje. Co znaczy... co znaczy rok, kilka lat, matko? Jeżeli nie przepro... wybacz mi, ale boję się o ciebie.

Chłopcu drżały wargi.

Mariko chciała wyciągnąć ręce, chwycić go w objęcia i przytulić. Ale nie zrobiła tego.

–A ja się nie boję, synu. Nie boję się niczego na ziemi. Boję się jedynie sądu Pana Boga – odparła i obróciła się do Kiyamy.

**–Tak – rzekł Kiyama. – Wiem o tym. Niech Madonna cię za to błogosławi. – Zamilkł.
– Mariko-san, czy przeprosisz publicznie komendanta Osaki?**

–Tak, chętnie, pod warunkiem, że publicznie nakaże zejść mi z drogi swoim żołnierzom i da pisemne pozwolenie na wyjazd jutro z paniami Kiritsubo i Sazuko.

–Czy okażesz posłuszeństwo woli regentów?

–Racz wybaczyć, wielmożny panie, ale nie w tej sprawie.

–Czy uszanujesz ich prośbę?

–Racz wybaczyć, ale nie w tej sprawie.

–Czy zgodzisz się zaspokoić życzenie następcy i pani Ochiby?

–Wybacz, proszę, jakie życzenie?

–Żeby odwiedzić ich, przez kilka dni dotrzymywać im towarzystwa, kiedy my będziemy rozpatrywać tę sprawę?

–Racz wybaczyć, wielmożny panie, ale co tu jest do rozpatrywania?

Powściągliwość Kiyamy skończyła się i krzyknął:

–Po pierwsze, przyszłość cesarstwa i porządek w nim, po drugie, przyszłość Matki

Kościół, a po trzecie, ty! To oczywiste, że przez bliski kontakt z tym barbarzyńcą zaraziłaś się od niego i, tak jak przewidywałem, zamącił ci w głowie!

Mariko w milczeniu mierzyła go wzrokiem. Kiyama z wysiłkiem opanował się.

–Zechciej mi wybaczyć... że się uniosłem. A także wybacz mi niegrzeczność – rzekł sztywno. – Tłumaczy mnie jedynie moja głęboka troska. – Ukłonił się jej z szacunkiem. – Przepraszam.

–To moja wina, wielmożny panie – odparła. – Przepraszam, że zakłóciłam twoją harmonię i przysporzyłam ci kłopotów. Ale nie mam wyboru. – Twój syn dał ci jeden, a ja kilka.

Nic na to nie odpowiedziała.

Atmosfera dla całej trójki stała się bardzo duszna, chociaż noc była chłodna, a ogniem pochodni kołysał wiatr.

–A więc podjęłaś decyzję?

–Nie mam wyboru, wielmożny panie.

–Dobrze, Mariko-san. Nic więcej już nie powiem. Nic oprócz tego, że jeszcze raz nakazuję ci nie przeciągać struny... proszę o to.

Pochyliła głowę.

–Saruji-san, zechciej poczekać na zewnątrz – polecił Kiyama.

Chłopak był roztrzęsiony, ledwie mógł mówić.

–Tak, wielmożny panie – odrzekł i ukłonił się Mariko. – Wybacz mi, proszę, matko.

–Niechaj Bóg ma cię w opiece przez całą wieczność.

–I ciebie.

–Amen – powiedział Kiyama.

–Dobranoc, synu.

–Dobranoc, matko.

–Ojciec wizytator bardzo się martwi – odezwał się Kiyama, kiedy zostali sami.

–O mnie, wielmożny panie?

–Tak. I o Kościół Święty... a także o tego barbarzyńcę. I o barbarzyński statek. Najpierw powiedz mi o pilocie.

–To wyjątkowy człowiek, bardzo silny i bardzo inteligentny. Na morzu jest... w swoim żywiole. Wydaje się, jakby należał do statku i morza, a na morzu nikt nie dorówna mu w dzielności i przebiegłości.

–Nawet Rodrigues-san?

–Anjin-san już dwa razy okazał się lepszy od niego. Raz tu, a drugi raz po drodze do Edo.

Opowiedziała mu o przybyciu Rodriguesa nocą, kiedy zatrzymali się pod Mishimą, o bronii, którą ukrył, i o wszystkim, co podsłuchiwała.

–Gdyby ich statki były równorzędne, to sądzę, że Anjin-san by zwyciężył. Zwyciężyłby nawet, gdyby nie były równorzędne.

–Opowiedz mi o jego statku. Spełniła polecenie.

–Opowiedz mi o jego poddanych. Opowiedziała, jak doszło do tego, że ich ma.

–W jakim celu pan Toranaga dał mu statek; pieniądze, poddanych i wolność?

–Mój pan nie zwierzył mi się z tego, wielmożny panie.

–A co ty o tym myślisz?...

–Zrobił to po to, żeby wypuścić Anjin-sana na wrogów – odparła z miejsca Mariko i bynajmniej się nie sumitując dodała: – Ponieważ mnie o to pytasz, w tym przypadku wrogowie Anjin-sana są również wrogami pana Toranagi, a są to Portugalczycy, świątobliwi ojcowie, którzy za nim stoją, a ponadto panowie Onoshi, Harima i ty sam, wielmożny panie.

–A czemu to Anjin-san upatruje w nas swoich osobistych wrogów?

–Z powodu Nagasaki, handlu oraz tego, że władacie przybrzeżnymi wodami Kiusiu, wielmożny panie. Ponadto zaś dlatego, że jesteście najmożniejszymi katolickimi daimyō.

–Kościół nie jest wrogiem pana Toranagi. Ani świątobliwi ojcowie.

–Bardzo mi przykro, ale pan Toranaga jest, jak sądzę, zdania, że świątobliwi ojcowie, podobnie jak ty, panie, wspierają generała Ishido.

–Ja popieram następcę. Jestem przeciwko twojemu panu, ponieważ on go nie

popiera i zniszczy nasz Kościół.

–Bardzo przepraszam, ale to nieprawda. Mój pan tak bardzo przewyższa komendanta Ishido, wielmożny panie. Dwudziestokrotnie, częściej walczyłeś jako jego sojusznik niż przeciwko niemu, zdajesz więc sobie sprawę, że można mu ufać. Po co stawać po stronie jego otwartego wroga? Pan Toranaga zawsze pragnął handlu i na pewno nie jest nastawiony antychrześcijańsko, tak jak generał Ishido i pani Ochiba.

–Wybacz, Mariko-san, ale Bóg mi świadkiem, jestem zdania, że pan Toranaga po cichu nienawidzi naszej chrześcijańskiej wiary, nienawidzi Kościoła i dąży do zniszczenia sukcesji po taikō, pragnąc zgładzić następcę i panią Ochibę. Marzy mu się jedynie shōgunat, wyłącznie to! Po cichu chce zostać shōgunem, planuje, żeby nim zostać, i wszystko podporządkował temu jednemu celowi.

–Bóg mi świadkiem, wielmożny panie, że nie wierzę w to.

–Wiem o tym... nie znaczy to jednak, że masz słuszność. – Kiyama przyglądał się jej przez chwilę, po czym dodał: – Sama przyznajesz, że Anjin-san i jego statek są wielkim zagrożeniem dla Kościoła, ne? Rodrigues zgadza się z tobą, że byłoby bardzo źle, gdyby Anjin-san dopadł Czarną Karawelę na morzu.

–Tak, myślę to samo, wielmożny panie.

–Mocno by to zaszkodziło naszej Matce, Kościołowi, ne?

–Tak.

–Ale mimo to nie dopomożesz Kościołowi w walce z tym człowiekiem?

–On nie występuje przeciwko Kościołowi, wielmożny panie, wcale nie przeciwko księżom, chociaż ich nie znosi. Występuje przeciwko wrogom swojej królowej. A Czarna Karawela jest dla niego celem... z chęci zysku.

–Ale jest przeciwnikiem Prawdziwej Wiary, a zatem heretykiem, ne?

–Tak. Nie sądzę jednak, żeby wszystko, co usłyszeliśmy od świętobliwych ojców, było prawdą. O wielu rzeczach nawet nam nie wspomnieli. Tsukku-san przyznał się do wielu przemilczeń. Mój pan kazał mi zdobyć zaufanie i przyjaźń Anjin-sana, nauczyć go naszego języka i zwyczajów, a od niego zdobyć wiedzę przydatną dla nas. Tak więc odkryłam...

–To znaczy wiedzę, która może się przydać Toranadze. Ne?

–Wielmożny panie, posłuszeństwo wobec swojego suzerena jest najwyższą

powinnością samuraja. Czyż nie wymagasz posłuszeństwa od wszystkich swoich poddanych?

–Tak. Ale herezja to rzecz potworna, a wygląda na to, że trzymasz z barbarzyńcą przeciwko własnemu Kościołowi i że człowiek ten zaraził cię. Modlę się, żeby Bóg otworzył ci oczy, Mariko-san, zanim stracisz szansę na swoje zbawienie. A na koniec jeszcze jedno, ojciec wizytator wspomniał mi, że masz dla mnie jakąś prywatną wiadomość.

–Słucham, wielmożny panie? – spytała Mariko, całkiem zaskoczona tym pytaniem.

–Podobno kilka dni temu nadeszła wiadomość od Tsukku-sana. Przywiózł ją specjalny posłaniec z Edo. Jest to jakaś wiadomość o moich... sojusznikach.

–Prosiłam o spotkanie z ojcem wizytatorem jutro rano.

–Tak. Poinformował mnie o tym. A więc...

–Racz mi wybaczyć... ale dopiero po zobaczeniu się z nim jutro...

–Nie jutro, teraz! Ojciec wizytator powiedział, że to związek z panem Onoshim i dotyczy Kościoła, ty zaś masz mi wyjawić wszystko-od razu. Tak powiedział, Bóg świadkiem. Czy rzeczy przybrały tak zły obrót, że nie ufasz już nawet mnie?

–Bardzo przepraszam. Umówiłam – się z ojcem Tsukku-sanem. Prosił mnie tylko o to, żebym otwarcie przedstawiła całą sprawę ojcu wizytatorowi, wielmożny panie, ale o nie więcej.

Mariko zrozumiała, że nie ma wyjścia. Kości zostały rzucone. Opowiedziała Kiyamie o spisku na jego życie. Wszystko, co jej było wiadomo. Także on wykpił plotkę, wtedy zaś wyjaśniła mu dokładnie, skąd pochodzi owa informacja...

–Od jego spowiednika? Od niego?

–Tak. Bardzo mi przykro.

–Szkoda, że Urąga zginął – rzekł Kiyama, upokorzony tym bardziej, że nocny atak na Anjin-sana, tak jak i poprzednia zasadzka, okazał się takim fiaskiem, a w dodatku zginął podczas niego człowiek, który jako jedyny mógłby udowodnić, że jego wróg Onoshi jest zdrajcą. – Za to świętokradztwo na wieki będzie się smażył w piekle. Postąpił niegodziwie. Zasłużył sobie na ekskomunikę i ogień piekielny, ale jednak oddał mi przysługę ujawniając spisec... jeżeli to prawda. – Kiyama spojrzał na Mariko. Nagle przybyło mu lat. – Nie wierzę, żeby Onoshi był do tego zdolny. Ani w udział w tym wszystkim Harimy.

–Tak. A czy... mógłbyś spytać pana Harimę, czy to prawda?

–Tak, ale on nigdy się do czegoś takiego nie przyzna. Ja bym tego nie zrobił, a ty? Przykra sprawa, ne? Jakże straszne są postęпки ludzkie.

–Tak.

–Nie uwierzę w to, Mariko-san. Urąga nie żyje, tak więc nigdy nie zdobędziemy dowodu. Zabezpieczę się na wszelki wypadek, ale... nie mogę w to uwierzyć.

–Tak. Jedna myśl, wielmożny panie. Czy to nie dziwne, i to bardzo, że komendant Ishido każe pilnować Anjin-sana?

–Dlaczego dziwne?

–W jakim celu go chroni? Skoro go nienawidzi. Bardzo dziwne. Czyż nie jest możliwe, że również on dostrzegł w Anjin-sanie broń, którą można wykorzystać przeciwko katolickim daimyō?

–Nie pojmuję twojego rozumowania.

–Jeżeli, Boże uchroni, umrzesz, wielmożny panie, to pan Onoshi stanie się najpotężniejszym daimyō na Kiusiu, ne? Co może zrobić generał Ishido, żeby poskromić Onoshiego? Nic... oprócz tego, że być może skorzysta z Anjin-sana.

–To jest możliwe – rzekł wolno Kiyama.

–Osłanianie w tej chwili Anjin-sana ma tylko jedną przyczynę: chęć wykorzystania go w przyszłości. Przeciw komu? Jedynie przeciwko Portugalczykom, a tym samym przeciwko chrześcijańskim daimyō z Kiusiu. Ne?

–To możliwe.

–Uważam, że Anjin-san jest równie cenny dla ciebie, jak Onoshiego, Ishidy bądź mojego pana. Żywy! Jego wiedza jest ogromna. Jedynie wiedza może nas ochronić przed barbarzyńcami, w tym nawet przed Portugalczykami.

–Możemy ich rozbić i wyrzucić stąd, kiedy nam się spodoba – rzekł z pogardą Kiyama. – To komary na koniu, nic ponadto.

–Jeżeli Kościół Święty zwycięży i cały ten kraj, tak jak się o to modlimy, stanie się chrześcijański, to co wtedy? Czy przetrwają nasze prawa? Czy przetrwa bushido? W konfrontacji z Dziesięcioma Przykazaniami? Przypuszczam, że nie – tak jak wszędzie w katolickim świecie – nie, jeżeli świątobliwi ojcowie zdobędą najwyższą władzę, chyba że się odpowiednio przygotujemy. Kiyama nie odpowiedział jej.

–Wielmożny panie -. odezwała się po chwili – błagam cię, żebyś spytał Anjin-sana o to, co zaszło wszędzie indziej na świecie.

–Nie zapytam. Uważam, że rzucił na ciebie urok, Mariko-san. Wierzę świątobliwym ojcom. Twój Anjin-san to wysłannik Szatana i wiedz, że zaraził cię swoją herezją. Trzykrotnie użyłaś słowa „katolik” mówiąc o chrześcijanach. Czyż nie świadczy to, że zgadzasz się z nim w tym, że istnieją dwa wyznania, dwie równie prawdziwe wersje Prawdziwej Wiary? Czyż twoja dzisiejsza groźba to nie nóż, który wbijasz w brzuch następcy? I czy nie godzi to w interesy Kościoła? – Kiyama wstał. – Dziękuję ci za wiadomość. Idź z Bogiem.

Mariko wyjęła z rękawa mały zapieczętowany pergamin.

–Pan Toranaga prosił mnie, żebym ci przekazała to. Kiyama spojrzał na nie przełamana pieczęć.

–Czy wiesz, co jest w środku, Mariko-san? – spytał.

–Tak. W razie schwytania miałam rozkaz zniszczyć ten list i przekazać ci wiadomość ustnie.

–Kiyama złamał pieczęć. List powtarzał życzenie Toranagi o pokój pomiędzy nimi, jego całkowite poparcie dla następcy i sukcesji po taikō, i krótko informował o Onoshim. Kończył się zaś słowami:

Nie mam dowodu w sprawie pana Onoshiego, ale dostarczy go Uraga-no-Tadamasa, który umyślnie zjawi się w Osace na wypadek, gdybyś życzył sobie go przesłuchać. Niemniej dysponuję dowodem na to, że Ishido odstąpił od waszej potajemnej umowy, na mocy której po mojej śmierci twoim potomkom miało przypaść Kantō. Kantō bowiem zostało w tajemnicy przyrzeczone przez niego mojemu bratu Zatakiemu w zamian za to, że mnie zdradzi, co też już nastąpiło. Wybacz, stary towarzyszu, ale ciebie również zdradzono. Kiedy zginę, ty i twój ród pozostaniecie samotni i zniszczą was, tak jak cały Kościół chrześcijański. Proszę cię, żebyś to sobie przemyślał. Już niedługo otrzymasz dowód mojej szczerości. -

Kiyama przeczytał list ponownie, a Mariko, tak jak jej przykazano, bacznie go obserwowała.

–Obserwuj go bardzo pilnie, Mariko-san – powiedział jej Toranaga. – Nie mam pewności, co do jego umowy z Ishido w sprawie Kantō. Donieśli mi o tym szpiegdy, ale nie jestem o tym przekonany do końca. Poznasz to po tym, co zrobi – albo czego nie zrobi – jeśli tylko przekażesz mu ten list w odpowiedniej chwili.

Zobaczyła reakcję Kiyamy. A więc to również jest prawda, pomyślała. – Daimyō podniósł wzrok i spytał wprost:

–To ty jesteś tym dowodem jego szczerości, ne? Ofiarą całopalną, Barankiem Bożym?.

–Nie, wielmożny panie.

–Nie wierzę ci. I nie wierzę jemu. W zdradę Onoshiego być może. Ale w resztę... Pan Toranaga znów stosuje swoje stare sztuczki, przyprawiając półprawdy miodem i trucizną. Obawiam się, że to ty zostałeś tutaj zdradzona, Mariko-san.

–Wyruszamy w południe.

–Nie, Mariko-san. – Pani Sazuko była bliska łez.

–Tak – powiedziała Kiri. – Wyruszymy tak, jak mówisz.

–Przecież nas zatrzymają! – wybuchnęła pani Sazuko. – To wszystko na nic.

–Mylisz się, Sazuko-chan – odparła Mariko. – Tak właśnie trzeba...

–Mariko-san ma słuszość, taki jest rozkaz – rzekła Kiri zaproponowała: – Możemy być gotowe o świcie, jeżeli sobie życzysz.

–Powinnyśmy wyruszyć w południe. To polecenie pana Toranagi – stwierdziła Mariko.

–Niewiele nam potrzeba bagażu, ne?

–Tak.

–Niewiele! – wykrzyknęła Sazuko. – Przepraszam, ale to głupota, zatrzymają nas!

–Może nie dojdzie do tego, moje dziecko. Mariko mówi, że nas puszczą. Pan Toranaga też tak uważa. Więc myśl, że tak się stanie – ucięła Kiri. – A teraz idź odpocząć. Muszę porozmawiać z Mariko-san.

Zafrasowana dziewczyna wyszła.

–Słucham, Mariko-san – powiedziała Kiri, składając ręce.

–Wyślę do pana Toranagi szyfrowaną wiadomość o tym, co się tu dziś wydarzyło. Gołąb poleci o brzasku. Ludzie Ishido na pewno zechcą zniszczyć jutro moje ptaki, jeżeli dojdzie do starcia, a tu gołębi przeniesić nie mogę. Czy chciałabyś też coś mu przekazać?

–Owszem. Zaraz napiszę list. Jak myślisz, co się stanie?

–Pan Toranaga jest pewien, że nas puszczą, jeżeli będę silna.

–Jestem innego zdania. Daruj, wydaje mi się, że i ty nie wierzysz w powodzenie tej próby.

–Mylisz się. Oczywiście, mogą nas jutro zatrzymać, a wówczas dojdzie do okropnej

awantury i gróźb, będą one jednak bez znaczenia – Mariko roześmiała się. – Już słyszę te groźby, Kiri-san, miotane cały dzień i noc. Ale na drugi dzień w południe puszczą nas.

Kiri potrząsnęła głową.

–Jeżeli pozwolą nam wydostać się, to wszyscy zakładnicy opuszczą Osakę. To osłabi potęgę Ishido. Straci twarz, a nie może sobie na to pozwolić.

–Rzeczywiście – potwierdziła z zadowoleniem Mariko. – Znalazł się w pułapce.

Kiri nie spuszczała z niej wzroku.

–Nasz pan przybędzie za osiemnaście dni, ne? Nie ma innego wyjścia.

–Tak.

–Daruj, dlaczego w takim razie nasz wyjazd ma takie znaczenie?

–Nasz pan przykłada do niego wagę, wydał rozkaz.

–A więc ma jakiś plan?

–Czyż nie jest tak, że zawsze ma wiele planów?

–Z chwilą, kiedy Najjaśniejszy zgodził się zaszczyścić nas swoją obecnością, nasz pan znalazł się w pułapce, ne?

–Tak.

Kiri zerknęła na shoji. Zamknięte. Pochyliła się i szeptem spytała:

–Dlaczego więc poprosił mnie w zaufaniu, żebym podsunęła tę myśl pani Ochibie?

–Takie przysłał ci polecenie? – skonfundowała się Mariko.

–Tak. Z Yokose, po pierwszym spotkaniu z panem Zataki. Dlaczego zastawił pułapkę sam na siebie?

–Nie wiem...

Kiri przygryzła wargi.

–Bardzo chciałabym wiedzieć. Wkrótce się dowiemy, ale swoją drogą, chyba nie mówisz mi całej prawdy, Mariko-chan.

Mariko zachnęła się. Kiri dotknęła jej ostrzegawczo, nakazując milczenie.

–Kazał mi zaufać ci bez zastrzeżeń – szepnęła. – Więc dość o tym. Ufam ci całym sercem, Mariko-chan, ale coś poradzę, że przychodzą mi do głowy różne myśli. Ne?

–Zechciej mi wybaczyć.

–Taka jestem z ciebie dumna – rzekła Kiri normalnym głosem. – Ja nie miałabym odwagi publicznie przeciwstawić się Ishido.

–To nie było dla mnie trudne. Nasz pan rozkazał nam wyjechać.

–To, co robimy, jest bardzo niebezpieczne. Powiedz jednak, jak mogłabym ci pomóc.

–Okaż mi swoje poparcie.

–O to nie potrzebujesz prosić. Zawsze byłam wobec ciebie lojalna.

–Zostanę tu z tobą do rana, Kiri. Ale przedtem muszę porozmawiać z Anjin-sanem.

–Dobrze. Pójdę z tobą.

Opuściły pokoje Kiri pod eskortą Brązowych. Mijani po drodze Brązowi kłaniali się, ogromnie dumni z Mariko. Kiri poprowadziła mały pochód przez wielką salę audiencyjną do korytarza, gdzie pełnili wartę i Brązowi, i Szarzy. Na widok Mariko jedni i drudzy złożyli jej pełen czci ukłon. Niespodziewana obecność Szarych na własnym gruncie wprawiła w zakłopotanie Kiri i Mariko. Nie dały jednak tego po sobie poznać. Kiri wskazała drzwi.

–Anjin-san?! – zawołała Mariko.

–Hai? – Drzwi otworzył Blackthorne. W głębi stało dwóch Szarych. – Witaj, Mariko-san.

–Witaj. – Mariko spojrzała na Szarych. – Muszę porozmawiać z Anjin-sanem na osobności.

–Proszę, rozmów się z nim, pani – rzekł z szacunkiem dowódca Szarych. – Niestety, pan Ishido osobiście wydał rozkaz, żebyśmy pod karą śmierci nie spuścili go z oka.

Podszedł Yoshinaka, dowódca straży.

–Zechciej zrozumieć, pani, musiałem przystać na dwudziestu strażników dla Anjin-sana. Na osobistą prośbę pana. Ishido. Bardzo mi przykro.

–O ile jest to wyraz troski pana Ishido o bezpieczeństwo Anjin-sana, są mile widziani
– odparła Mariko, kryjąc niezadowolenie.

Yoshinaka zwrócił się do kapitana Szarych.

–Będę za niego odpowiadał podczas odwiedzin pani Tody. Możecie poczekać za drzwiami.

–Przepraszam, ale ja i moi ludzie musimy mieć na niego baczenie osobiście – odparł stanowczo samuraj. – Nie ma innego wyjścia.

–Skoro czyjaś obecność jest konieczna, ja chętnie zostanę – zaproponowała Kiri.

–Wybacz, Kiritsubo-san, musimy być obecni – rzekł dowódca Szarych i dodał zakłopotany: – Żaden z nas nie mówi językiem barbarzyńców, pani Toda.

–Nikt nie podejrzewa was o to, że będziecie podsłuchiwać – odparła Mariko bliska gniewu. – Ale obyczaje barbarzyńców różnią się od naszych.

–Ci samuraje muszą być posłuszni swemu panu – rzekł Yoshinaka. – Miałaś całkowitą słuszność, pani. Najważniejszym obowiązkiem samuraja jest wierność panu lennemu. I słusznie przypomniałaś o tym publicznie.

–Najzupełniej słusznie, pani – potwierdził kapitan Szarych z taką samą dumą. – To sens życia samuraja, ne?

–Dziękuję – odparła podniesiona na duchu ich szacunkiem.

–Powinniśmy też w miarę możliwości uszanować zwyczaje Anjin-sana – rzekł Yoshinaka. – Chyba znalazłem sposób. Proszę za mną. –

Poprowadził ich do sali audiencyjnej. – Zechciej łaskawie, pani, usiąść z Anjin-sanem o tam – rzekł wskazując podwyższenie w końcu sali. – Strażnicy Anjin-sana mogą stanąć przy drzwiach i pełnić swoje obowiązki, my swoje, a ty, pani, będziesz mogła rozmawiać bez skrępowania, szanując zwyczaje Anjin-sana. Ne?

Mariko wyjaśniła Blackthorne'owi słowa Yoshinaki i przez rozwagę ciągnęła po łacinie:

–Nie zostawią cię dziś samego ani na chwilę. Nie mamy wyboru, chyba że każę ich zgładzić, jeżeli tego chcesz.

–Chcę jedynie porozmawiać z tobą na osobności – odparł Blackthorne. – Ale nie kosztem czyjegoś życia. Dziękuję, że mnie o to spytałaś.

Mariko zwróciła się do Yoshinaki.

–Dziękuję, Yoshinaka-san. Bądź łaskaw posłać kogoś po kadzielnice, żeby odpędzić komary.

–Tak jest. Pozwolisz, pani, że spytam, czy są jakieś wieści o pani Yodoko?

–Niej Yoshinaka-san. Wypoczywa, na nic się nie uskarża. – Mariko uśmiechnęła się do Blackthorne'a. – Idziemy tam usiąść, Anjin-san?

Ruszył za nią. Kiri wróciła do swojej kwatery, a Szarzy zajęli miejsce przy drzwiach sali audiencyjnej. Dowódca Szarych stanął koło Yoshinaki, w pewnym oddaleniu od pozostałych.

–Mnie się to nie podoba – szepnął gniewnie.

–Czyżby pani Toda zamierzała dobyć miecza i zabić go? Nie obraż się, ale gdzie się podział twój rozum?.

Yoshinaka pokuśtykał na obchód posterunków. Dowódca Szarych spojrzął na podwyższenie. Mariko i Anjin-san siedzieli naprzeciw siebie, wyraźnie oświetleni. Nie słyszał, co mówią. Zatrzymał wzrok na ich ustach, ale to nic nie dało, chociaż wzrok miał bardzo dobry i znał portugalski. Pewnie znów mówią językiem Ojca Świętego, pomyślał. Straszny język, nie do nauczenia się.

A zresztą, co za różnica? Czemu nie miałyby porozmawiać z heretykiem na osobności, jeżeli takie ma życzenie? Żadne z nich długo nie pożyje. O Matko Przenajświętsza, zabierz ją na zawsze do siebie za odwagę, jaką okazała.

–Bezpieczniej po łacinie, Anjin-san. Mariko odgoniła wachlarzem bzyczącego komara.

–Usłyszą nas stąd?

–To mało prawdopodobne, zwłaszcza jeżeli będziemy mówili cicho i jak najmniej poruszali wargami, tak jak mnie nauczyłeś.

–Dobrze. Jak wyglądała rozmowa z Kiyamą?

–Kocham cię. – Moja ty...

–Tęskniłam za tobą.

–A ja za tobą. Czy możemy się spotkać sam na sam?

–Dziś to niemożliwe. Ale jutro wieczorem tak, kochanie. Mam plan.

–Jutro? A twój wyjazd?

–Mogą mnie zatrzymać, Anjin-san, ale nie martw się, proszę. Pojutrze odzyskamy całkowitą swobodę. Jeżeli jutro zatrzymają mnie, wieczorem będę z tobą.

–Jakim sposobem?

–Kiri pomoże. O nic nie pytaj. Nie będzie utrudnień... – Urwała, bo właśnie służące przyniosły kadzielnice. Po chwili rozsnuł się dym odstraszając wieczornych natrętów. Kiedy służące odeszły, zaczęli rozmawiać o wspólnej podróży, jedynie spojrzeniami okazując sobie, jak bardzo cieszą się swoją obecnością. Nie wspominali o Toranadze ani o dniu jutrzejszym.

–Ishido jest moim wrogiem. Dlaczego więc pilnuje mnie tylu strażników? – spytał wreszcie Blackthorne.

–Żeby ciebie chronić. Ale także, by ograniczyć twoją swobodę. Może Ishido chce cię wykorzystać przeciw Czarnej Karaweli, przeciw Nagasaki i panom Kiyamie i Onoshiemu.

–Też o tym pomyślałem. Zauważyła jego przenikliwe spojrzenie.

–Dlaczego tak patrzysz, Anjin-san?

–W przeciwieństwie do Yabu uważam, że nie jesteś głupia i całe twoje wystąpienie było zaplanowane na rozkaz Toranagi.

Mariko wygładziła fałdkę na brokatowym kimonie.

–Tak. Wydał mi rozkazy.

–Zdradził cię – rzekł Blackthorne, przechodząc na portugalski. – Jesteś przynętą w jednej z jego pułapek.

:- Dlaczego tak mówisz?

–Ty jesteś przynętą, ja jestem przynętą i Yabu. Przecież to oczywiste. Toranaga zrobił z nas kozły ofiarne.

–Mylisz się, Anjin-san. Wybacz, mylisz się.

–Powiadam ci – odrzekł po łacinie – że jesteś piękna, kocham cię, ale kłamiesz.

–Nikt mi nigdy tego nie zarzucił.

–Mówiłaś kiedyś, że nikt ci nie powiedział „kocham”. Opuściła spojrzenie na wachlarz.

–Pomówmy o czymś innym.

–Co zyska Toranaga posyłając nas na stracenie? Nie odpowiedziała.

–Mariko-san, mam prawo pytać. Nie boję się. Chcę tylko wiedzieć, co on przez to zyska.

–Nie wiem. –

–Przysięgnij na swoją miłość i na swojego Boga.

–Więc ty także? – zapytała gorzko. – Ty też każesz mi przysięgać przed Bogiem i nic, tylko pytasz i pytasz?

–Twoje życie jest mi równie drogie jak moje, a oba są zagrożone. Dlatego pytam: co on zyska?

–Posłuchaj – odparła podniesionym głosem. – Wybrałam stosowną porę, nie jestem głupia i...

–Ścisz głos, proszę, Mariko-san, nieostrożność świadczyłaby o głupocie. –

–Przepraszam. A więc naumyślnie wystąpiłam publicznie, zgodnie z życzeniem Toranagi.

–Dlaczego?

–Ponieważ Ishido jest chłopem i musi nas wypuścić. Musiałam rzucić mu wyzwanie w obecności innych panów. Pani Ochiba jest przychylna naszemu wyjazdowi na spotkanie pana Toranagi. Rozmawiałam z nią i nie wyraziła sprzeciwu. O nic się nie kłopotz, nie ma powodu.

–Nie podoba mi się ogień w twoich oczach ani gniew, ani zajadłość. Gdzie się podział twój spokój i opanowanie? Może powinnaś popatrzeć, jak rosną kamienie. Ne?

Mariko rozchmurzyła się i roześmiała.

–Ach, mój ty! Masz rację. Wybacz, że się uniosłam. – Odetchnęła, znów była sobą. – Jakże cię Kocham i szanuję, taka byłam dziś z ciebie dumna, że omal nie ucałowałam ciebie przy wszystkich, jak to jest w twoim zwyczaju.

–O Madonno, to by dopiero wykrzeszło z nich ogień.

–Gdybyśmy byli sami, obsypałabym cię pocałunkami, iż krzyczałbyś o litość.

–Dziękuję ci, pani, ale siedzimy tu jak na dwóch krańcach świata.

–Nic nas nie rozdziela... Dzięki tobie żyję pełnią życia. Po chwili Blackthorne spytał:

–A rozkaz Yabu, żebyś przeprosiła i została?

–Niestety, nie mogę go usłuchać.

–Z powodu rozkazu Toranagi?

–Tak, ale niezupełnie. Sama go błagałam, żeby pozwolił mi przybyć tutaj.

Przysięgam przed Bogiem, że taka jest prawda.

–Co stanie się jutro?

Powtórzyła mu to, co wcześniej powiedziała Kiri, dodając:

–Pójdzie lepiej, niż można się było spodziewać. Czyż Ishido nie został twoim patronem? Nie do wiary, jak mądrze pan Toranaga to obmyślił. Przed moim odjazdem zapowiedział przebieg wydarzeń. Wiedział, że Yabu nie ma władzy w Kiusiu. Tylko Ishido albo Kiyama mogą cię tu chronić. Nie służymy za przynętę. Jesteśmy chronieni i bezpieczni.

–A te dziewiętnaście dni, a raczej już osiemnaście? Przecież Toranaga musi tutaj przybyć, ne?

–Tak.

–Czy to nie strata czasu, jak mówi Ishido?

–Doprawdy nie wiem. Wiem jedynie, że dziewiętnaście, osiemnaście, a nawet trzy dni to cała wieczność.

–A jutrzejszy dzień?

–Jutrzejszy dzień także. Albo ten, który po nim nastąpi.

–A jeżeli Ishido jutro cię nie wypuści?

–To jedyna szansa. Dla nas wszystkich. Trzeba go upokorzyć.

–Jesteś tego pewna?

–Bóg mi świadkiem, Anjin-san.

Blackthorne wyrwał się z dręczącego snu. Ledwie się ocknął, zobaczył Szarych,

którzy przyglądali mu się przez moskitierę. Świtało.

–Dzień dobry – powitał ich z przykrą świadomością, że obserwowano go śpiącego.

Krętymi schodami zszedł do ogrodu, do toalety. Brązowi i Szarzy strażnicy nie odstępowali go na krok. Przestał zwracać na nich uwagę.

Mgła tłumiała poranną jasność. Ale na wschodzie przezierało uwolnione od oparów niebo. Pachniało morzem. Muchy nie próżnowały. Będzie dziś upał, zawyrokował.

Usłyszał zbliżające się kroki. Przez wejście do toalety zobaczył, Chimmoko. Cierpliwie czekała, gawędząc ze strażnikami, a kiedy wyszedł, ukloniła się i powitała go.

–Gdzie Mariko-san? – spytał.

–U Kiritsubo-san, Anjin-san.

–Dziękuję. Kiedy wyjazd?

–Wkrótce, wielmożny panie.

–Powtórz Mariko-san, chcę powiedzieć dzień dobry przed wyjazdem.

Jeszcze raz to powiedział, choć Mariko obiecała go odnaleźć, zanim pójdzie po swoje rzeczy.

–Tak, Anjin-san.

Jak samuraj skinął jej głową na pożegnanie i poszedł się umyć. Nie było w zwyczaju branie rano gorącej kąpieli. On jednak chodził co dzień rano do łaźni i polewał całe ciało zimną wodą. Ci, którzy go przy tym widzieli, powiadali: „liiii, Anjin-san, to bardzo, bardzo zdrowo”:

Ubrany w brązowe kimono, uzbrojony w miecze i pistolet ukryty pod pasem, wyszedł na mury, skąd widać było dziedziniec w tym skrzydle zamku. Brązowi wartownicy powitali go jak swojego, choć mocno ich zaniepokoił nie odstupujący go Szarzy. Na przeciwległych murach i pod bramą roіło się od Szarych.

–Dużo Szarych, o wiele więcej niż zwykle. Rozumiesz, Anjin-san? – spytał Yoshinaka, wychodząc na blanki.

–Tak.

Podszedł do nich dowódca Szarych.

–Przepraszam, Anjin-san, nie wychylaj się, proszę.

Pokazało się słońce, grzejąc przyjemnie. Niebo było bezchmurne, powiew znad morza słabł.

Dowódca. Szarych wskazał miecz Blackthorne’a.

–Czy można obejrzeć ostrze?

Blackthorne wysunął kawałek miecza z pochwy. Nie wolno było wyciągać go do końca, chyba że miał być użyty.

–liii, piękny, ne? – rzekł dowódca Szarych.

Obstąpili ich i Brązowi, i Szarzy, przyglądając się z jednakowym podziwem. Blackthorne schował miecz z satysfakcją.

–Zaszczyt nosić taki miecz – rzekł.

–Umiesz się nim posługiwać, Anjin-san? – spytał dowódca Szarych.

–Nie tak jak samuraj, kapitanie. Ale uczę się.

–Ach tak. To bardzo dobrze.

Na dziedzińcu dwa piętra niżej, gdzie jeszcze nie dotarło słońce, ćwiczyli Brązowi. Blackthorne popatrzył.

–Ilu samurajów, Yoshinaka-san? – spytał.

–Czterystu trzech, Anjin-san, wliczając dwustu, którzy przyszli ze mną.

–A tam?

–Szarych? – Yoshinaka roześmiał się. – Mnóstwo. Dowódca Szarych odsłonił zęby w uśmiechu.

–Prawie sto tysięcy. Rozumiesz, Anjin-san, „sto tysięcy”?

–Tak. Dziękuję.

Wszyscy spojrzeli w tę stronę, gdzie zza rogu uliczki prowadzącej do dziedzińca pojawili się pod strażą tragarze, konie juczne i trzy palankiny. Głęboki cień w przejściu między wysokimi murami rozpraszały płonące żagwie. Nawet z oddali widać było zdenerwowanie pierwszego tragarza. Szarzy z naprzeciwka uciszyli się i patrzyli w skupieniu, podobnie pełniący wartę Brązowi.

Otwarto wysoką bramę, żeby wpuścić pochód. Szarzy z eskorty dołączyli do swoich i zostali przed bramą, którą ponownie zamknięto. Szczęknęła żelazna sztaba. Tej bramy nie strzegła spuszczana krata.

–Przepraszam, Anjin-san – rzekł Yoshinaka. – Muszę dopilnować, żeby wszystko było jak należy. Gotowe, ne?

–Zaczekam tutaj.

–Dobrze.

Dowódca Szarych podszedł do parapetu i spojrzał w dół. Chryste Panie, myślał Blackthorne, oby miała rację, oby Toranaga się nie mylił. Chyba już niedługo. Oceniał położenie słońca i mruknął pod nosem po portugalsku:

–Już niedługo.

Kapitan odruchowo potaknął i Blackthorne uprzytomnił sobie, że człowiek ten rozumie po portugalsku, a zatem jest katolikiem i jeszcze jednym potencjalnym zabójcą. Pomyślał o wczorajszej rozmowie z Mariko, przypominając sobie, że mówił po łacinie. Ale czy przez cały czas? Matko Boska, czy powiedziała po łacinie „...mogę kazać ich zabić”? Gzy ten też zna łacinę jak tamten, którego stracono podczas pierwszej ucieczki z Osaki?

Słońce coraz mocniej przygrzewało i Blackthorne przestał patrzeć na dowódcę Szarych. Jeżeli nie zamordowałeś mnie w nocy, to może nigdy tego nie zrobisz, pomyślał i zapamiętał sobie tego katolika.

Zobaczył w dole maleńką postać Kiri. Wyszła doglądać dziewcząt niosących kosze i paki dla koni jucznych. Stała na schodach, na których Sazuko umyślnie poślizgnęła się pomagając Toranadze w ucieczce. Nieco dalej na północ rozciągał się ogród z wiejskim domkiem, gdzie po raz, pierwszy zobaczył Mariko i Yaemona, następcę. Przebył w myślach drogę, którą musiał pokonać orszak, żeby wydostać się poza obręb zamku, przez labirynt uliczek i przez las nad morze. Modlił się o to, żeby ominęły Mariko wszelkie niebezpieczeństwa. Po jej odjeździe opuściłby zamek i popłynął galerą razem z Yabu.

Ze szczytu murów morze zdawało się bliskie jak na wyciągnięcie ręki. Czuł jego zew. Zew morskiej dali.

–Konbanwa, Anjin-san.

–Mariko-san!

Radość biła z jej twarzy.

–Konbanwa – odpowiedział i dodał niedbale po łacinie: Strzeż się tego Szarego, rozumie. – Przeszedł na portugalski, żeby dać jej czas na zebranie myśli. – Nie pojmuję, jak po tak krótkim śnie udaje ci się tak pięknie wyglądać. – Ujął ją pod rękę, odwracając tyłem do dowódcy Szarych i prowadząc bliżej parapetu. – Popatrz, tam jest Kiritsubo-san!

–Dziękuję. Tak, tak... dziękuję.

–Nie pomachasz jej?

Posłusznie pomachała i zawołała do Kiritsubo-san, która też ją pozdrowiła. Mariko opanowała się i spokojnie powiedziała:

–Dziękuję, Anjin-san. Jesteś bardzo mądry i sprytny. – Zdawkowo pozdrowiła dowódcę Szarych, podeszła do kamiennej ławki, sprawdziła, czy jest czysta, i usiadła. – Szykuje się piękny dzień, ne?

–Tak. Jak ci się spało?

–Wcale nie spałam, Anjin-san. Przegadałyśmy z Kiri resztę nocy, a potem patrzyłam, jak świta. To prawdziwa rozkosz oglądać początek dnia. A ty?

–Spałam niespokojnie, ale...

–Tak mi przykro.

–... teraz czuję się dobrze. Już odchodzisz?

–Przyjdę w południe po Kiri-san i panią Sazuko. – Odwróciła głowę, żeby kapitan nie widział jej twarzy i dodała po łacinie: – Mój ty. Pamiętasz naszą pierwszą noc w zajeździe?

–Jak mógłbym zapomnieć?

–Jeżeli wyjazd się opóźni... wieczorem będzie tak jak wtedy, najlepiej i najspokojniej na świecie.

–Ach, gdybyż to, było możliwe. Wolałbym jednak, żebyś bez przeszkód ruszyła w drogę.

–Muszę już iść, Anjin-san – ciągnęła Mariko po portugalsku. – Pozwolisz?

–Odprowadzę cię do bramy.

–Stąd na mnie popatrz, proszę. Ty i kapitan możecie przyglądać się stąd, ne?

–Oczywiście – odparł Blackthorne, pojmując jej intencję. – Idź z Bogiem.

–Ty też.

Został, na górze. Na dziedzińcu padło słońce i zepchnęło na bok cień. Wyszła Mariko. Widział, jak wita się z Kiri i Yoshinaką i rozmawiają nie nękani obecnością nieprzyjaciół. Ukłonili się sobie. Mariko zadarła głowę, osłaniając oczy, i pomachała mu wesoło. On też jej pomachał. Otwarto bramę i Mariko, w towarzystwie trzymającej się nieco z tyłu Chimmoko, wyszła pod eskortą dziesięciu Brązowych. Ciężkie skrzydła bramy znów się zawarły. Mariko na chwilę zniknęła z oczu, a potem pojawiła się otoczona dodatkową wartą honorową złożoną z pięćdziesięciu Szarych, którzy odłączyli od tłumu za bramą. Pochód ruszył zaciemioną ulicą między murami. Odprowadził ją wzrokiem, aż skręciła za róg. Nie obejrzała się ani razu.

–Idę zjeść, kapitanie – powiedział.

–Tak, oczywiście, Anjin-san.

Blackthorne poszedł do swojej kwatery, zjadł trochę ryżu, ryby, piklowanych warzyw, zagryzł wczesnymi, cierpkawymi owocami z Kiusiu. Smakowały mu małe jabłuszka, morele, twarde śliwki i cha. –

–Jeszcze, Anjin-san? – spytał służący.

–Nie, dziękuję.

Poczęstował owocami strażników, co zostało przyjęte z wdzięcznością, a kiedy się posilili, wyszedł z powrotem na osłonecznione blanki. Chętnie sprawdziłby panewkę ukrytego pistoletu, ale wolał nie ściągać niczyjej uwagi. Obmacał go raz w nocy pod przykryciem na posłaniu, ale bez obejrzenia nie był całkiem pewien, czy jest dobrze nabity.

Nic więcej nie możesz zrobić, pomyślał. Jesteś marionetką. Cierpliwości, w południe kończy się twoje czuwanie.

Oszacował wysokość słońca. Zaczynała się dwugodzinna pora Węża. Po Wężu następował Koń. Środek pory Konia to południe.

Dzwony w świątyniach na zamku i w mieście obwieściły początek pory Węża. Przyjemnie było umieć dokładnie określić czas. Spozregł leżący nie opodal kamyk. Podszedł, podniósł go i podłożył na brzegu otworu strzelniczego, w słońcu, po czym oparł się wygodnie i zaczął się w niego wpatrywać.

Szarzy śledzili każdy jego ruch. Kapitan zmarszczył brwi.

–Anjin-san, co znaczy ten kamień? – spytał.

–Słucham?

–Kamień. Po co kamień, Anjin-san?

–A! Patrzę jak rośnie.

–Rozumiem, przepraszam, że przeszkodziłem.

Blackthorne roześmiał się w duchu i spojrzał na Kamień.

–Rośnij, draniu – powiedział.

Przeklinał go, namawiał, rozkazywał, ale kamień za nic nie chciał urosnąć. Naprawdę spodziewasz się, że urośnie? – pomyślał. Nie, oczywiście, że nie, ale kiedy patrzy się na kamień, czas szybciej mija i wzrasta spokój ducha. Nigdy za mało wa. Ne?

liiii, z której strony spodziewać się ataku? Nie sposób obronić się przed zabójcą, który jest gotów sam zginąć. No tak?

Rodrigues sprawdził podsypkę na panewce jednego z muszkietów stojących przy dziale na rufie. Wziął pierwszy lepszy – i okazało się, że krzemień jest zużyty, nierówny, a więc niebezpieczny. Bez słowa cisnął muszkietem w kanoniera, który złapał broń w ostatniej chwili, ratując się przed uderzeniem kolbą w twarz.

–Matko Boża, senhor pilocie! – wykrzyknął. Nie trzeba...

–Posłuchaj, pieprzony gnojku, następnym razem, kiedy na twojej wachcie znajdę nie wyszykowany jak należy muszkiet albo działo, dostaniesz pięćdziesiąt batów i przepadnie ci trzymiesięczna zapłata. Bosmanie!

–Tak, pilocie?

Masywne cielsko przybliżyło się i bosman Pesaro zgromił spojrzeniem młodego kanoniera...

–Wezwij obie wachty! Sprawdź wszystko, każdą sztukę broni. Bóg jeden wie, kiedy będzie nam potrzebna.

–Zajmę się tym, pilocie. – Bosman przysunął się groźnie do kanoniera. – Nasiusiam ci wieczorem do grogu, Gomez, i radzę grzecznie go wychłęptać. Jazda do roboty!

Na głównym pokładzie było osiem małych dział na śródkręciu, po cztery na-każdej burcie, a prócz tego jedno na dziobie. Takie uzbrojenie pozwalało uporać się z piratami bez dział, ale nie wystarczało do przeprowadzenia ataku. Mała

dwumasztowa fregata nazywała się Santa Luz.

Rodrigues zaczekał, aż cała załoga zabierze się do pracy, odwrócił się i oparł na burcie. Zamek połyskiwał lekko w słońcu jak stara cyna, cały szary z wyjątkiem niebieskoszarej wieży ze złożonymi dachami. Rodrigues splunął i patrzył, czy plamka na wodzie dopłynie do pomostu, na co liczył, czy też skieruje się w stronę morza. Plwocina popłynęła w morze.

–Psiamać – mruknął pod nosem. Wiele dałby za to, żeby mieć pod stopami pokład swojej fregaty, Santa Marii. Diabli nadali taki pech, że kiedy jej potrzebujemy, jest w Makau. i – Go się stało, gubernatorze? – spytał przed kilkoma dniami, wyrwany z ciepłej pościeli w domu w Nagasaki.

–Muszę natychmiast udać się do Osaki – oznajmił Ferriera przypominający, zwłaszcza o tak wczesnej porze, butnego koguta. – Nadeszło pilne wezwanie od dell’Aquy.

–O co chodzi?

–Waży się przyszłość Czarnej Karaweli, nic więcej nie wiem.

–O Madonno, co oni takiego znów uknuli? Jak to waży się przyszłość? Nasz statek jest zdatny do żeglugi, kil ma czysty, osprzęt w idealnym porządku. Handel idzie lepiej, niż się spodziewaliśmy, bez opóźnień, mały dobrze się sprawują, dupek Harima jest dobrej myśli i... – Poraziła go niespodziewana myśl. – Ingeles! Wyruszył w morze?

–Nie wiem. Jeżeli tak...

Rodrigues spojrział na wejście do zatoki, jakby spodziewał się tam zobaczyć Erasmusa pod zniechęconą flagą angielską, blokującego mu drogę. Erasmusa, który czekał jak zażarty pies na dzień, kiedy będą musieli wyruszyć w podróż do Makau i dalej, do Portugalii.

–Jezu, Matko Boska i wszyscy święci, oby do tego nie doszło!

–Jak będzie najszybciej? Lorszą?

–Fregatą, gubernatorze. Wypłyniemy za godzinę. Przecież Ingeles nic nie wskóra bez ludzi. Nie zapominaj, panie...

–O Madonno, on już gada ich językiem. Co mu przeszkadza posłużyć się małpami? Tylu jest japońskich piratów, że bez trudu zebrałby nawet dwadzieścia załóg.

–Tak, ale nie znajdzie artylerzystów ani takich żeglarzy, jakich mu potrzeba... nie

zdąży ich wyszkolić. Owszem, może na przyszły rok, ale nie przeciw nam.

–Na Madonnę i wszystkich świętych, nigdy nie zrozumie, dlaczego ci księża, co wszędzie wściubiają nos, dali mu słownik! Chyba za podszeptem szatana! Wygląda na to, że sam diabeł ma Ingelesa pod opieką!

–Po prostu jest sprytny!

–Niejeden mieszka tu od dwudziestu lat, a nie zna ani słowa z tej małpiej mowy. Ingeles zaprzedał duszę diabłu, nie inaczej. Od ilu lat próbujesz mówić ich językiem i nawet żyjesz z Japonką? Będzie miał japońskich piratów na skinienie.

–Nie, gubernatorze, musi wziąć ludzi stąd, na co jesteśmy przygotowani, a wszystkich podejrzanych kazalesz zakuć w kajdany.

–Dwadzieścia tysięcy srebrnych cruzados i obietnica złupienia Czarnej Karaweli pozwolą mu kupić tylu ludzi, ilu zechce, nawet całe to przeklęte więzienie. Cabron! Może ciebie też uda mu się kupić.

–Uważaj, co mówisz, gubernatorze!

–Jesteś przyszywanym, farbowanym Hiszpanem, Rodrigues! To twoja wina, że Ingeles żyje, dwa razy pozwoliłeś mu się wywinąć! – Gubernator gotów był rzucić się na niego z pięściami. – Trzeba było z nim skończyć, kiedy miałeś go w garści.

–Możliwe, ale tyle to gadanie teraz warte, co piana za rufą – odparł gorzko Rodrigues. – Próbowałem go zabić kiedy miałem sposobność.

–Czyżby?

–Sto razy mówiłem. Głuchy jesteś, senhor? A może masz nie tylko usta, ale i uszy zatkane hiszpańskim łajnem?!

Sięgnął po pistolet, gubernator obnażył miecz, a wtedy skoczyła między nich przerażona Japonka.

–Proszę, Rod-san, nie gniewać, nie klócić, proszę! Chrześcijanin, proszę!, Oślepiająca obu wściekłość wyparowała.

–Bóg mi świadkiem, Ingeles to czarci pomiot – rzekł Ferriera. – Przez niego omal się nie pozabijaliśmy. Teraz to widzę. Rzucił zły czar na nas, a zwłaszcza na ciebie, Rodrigues!

Wspominając tamtą kłótnię Rodrigues chwycił krzyż, który nosił na szyi, i wzniosł, pod rozświetlonym niebem Osaki żarliwą modlitwę, by Bóg uchronił go przed

czarownikami wszelkiej maści, a jego nieśmiertelną duszę przed zakusami szatana.

Czy gubernator nie ma racji, czy to nie jedyne wytłumaczenie, rozmyślał pełen niedobrych przeczuć. Ingeles jak kot zawsze spada na cztery łapy. Został zausznikiem tego diabła wcielonego Toranagi, dostał statek, pieniądze i wako, a na dodatek mówi po ichniemu, co jest niemożliwe po tak krótkim czasie nawet ze słownikiem, a on dostał i słownik, i nieocenioną pomoc. Jezusie, Maryjo, uchroncie mnie przed Złym Okiem!

–Dlaczego dałeś Ingelesowi słownik, ojciec? – spytał Alvitę w Mishimie. – Nie trzeba było tego odwlec?

–Owszem, nie musiałem mu pomagać na wszelkie możliwe sposoby – przyznał Alvito w zaufaniu. – Jestem jednak przekonany, że uda mi się go nawrócić. Na pewno. Toranaga jest skończony... Muszę spróbować zbawić jednego człowieka, jedną duszę.

Księża, pomyślał Rodrigues. Bodaj zaraza wszystkich księży. Z wyjątkiem dell'Aquy i Alvity. O Madonno, biję się w piersi za złe myśli o tych dwóch. Przebacz mi sprawę, żeby Ingeles prędzej legł w grobie, niż pokazał mi się na oczy. Nie chcę go zabijać, bo złożyłem uroczystą przysięgę, ale on musi zginąć, im szybciej, tym lepiej...

Sternik obrócił klepsydrę i zadzwonił osiem razy. Było południe.

Mariko zbliżała „się zalaną słońcem ulicą do bramy. Za nią szła straż przyboczna, dziesięciu Brązowych. Mariko ubrana była do podróży w jasnozielone kimono, białe rękawiczki i duży ciemnozielony kapelusz zawiązany pod brodą złotym muślinowym szalem. Połyskiwała w słońcu parasolka. Otwarto bramę na oścież.

Tłum na ulicy zamarł w milczeniu. Szpalery Szarych ciągnęły się po obu stronach i na zwieńczeniach murów. Mariko widziała Anjin-sana i Yabu na blankach w ich skrzydle zamku, a na dziedzińcu gotową do wymarszu kolumnę, Kiri i panią Sazuko. Brązowi w odświętnych strojach zgromadzili się na podwórku pod dowództwem Yoshinaki, dwudziestu towarzyszyło Blackthorne'owi i po dwóch wyglądało z okien.

W przeciwieństwie do Szarych Brązowi nie mieli zbroi ani łuków, tylko miecze.

Wiele kobiet, samurajek, spoglądało z okien ufortyfikowanych domów przy ulicy i z murów. Niektóre stały wśród Szarych, trzymając za rękę dzieci barwne jak motyle. Wszystkie miały parasolki, co nie przeszkadzało niektórym korzystać z przywileju przypasania samurajskiego miecza.

Przy bramie stał Kiyama z pięćdziesięcioma własnymi samurajami.

–Witaj, wielmożny panie – pozdrowiła go Mariko i po wymianie ukłonów przeszła przez bramę.

–Dzień dobry, Kiri-chan, Sazuko-chan. Jak ładnie wyglądacie! Czy wszystko gotowe?.

–Tak – odpowiedziały, udając wesołość.

–Dobrze. – Mariko usiadła w palankinie dumnie wyprostowana. – Yoshinaka-san! Poprowadź; nas, proszę.

Kapitan utykając wyszedł naprzód i głośno wydał rozkazy. Dwudziestu Brązowych utworzyło czoło pochodu. Tragarze ponieśli palankin Mariko i ruszyli w ślad za Brązowymi przez bramę. Tuż za Mariko jechała Kiri, a za nią pani Sazuko z niemowlęciem.

Kiedy palankin Mariko wysunął się na osłoneczniony zaułek za bramą, zastąpił jej drogę dowódca Szarych. Brązowi, którzy już go minęli, zatrzymali się. Tragarze również.

–Przepraszam bardzo – rzekł dowódca Szarych. – Czy mogę zobaczyć przepustki?

–Wybacz, kapitanie, my przepustek nie potrzebujemy – odparł Yoshinaka.

–Bardzo mi przykro, ale generał Ishido, komendant zamku, dowódca straży przybocznej następcy, wydał rozkazy, do których wszyscy w zamku muszą się stosować.

–Jestem Toda Mariko-no-Buntaro – oznajmiła Mariko. – Mój pan lenny, pan Toranaga, nakazał mi wyjść mu na spotkanie wraz z damami. Bądź łaskaw nas przepuścić.

–Chętnie bym to uczynił, pani – odparł hardo samuraj, nie ruszając się z miejsca. – Ale nasz pan lenny zarządził, że nikomu nie wolno opuścić zamku w Osace bez przepustki.

–Jak się nazywasz, kapitanie? – spytała Mariko.

–Sumiyori Danzenji, dowódca czwartego legionu. Wywodzę się z równie starego rodu co ty, pani.

–Przykro mi, kapitanie Sumiyori, ale jeżeli nie zejdziesz mi z drogi, każę cię zabić.

–Nie przejdziecie bez przepustki!

–Zabij go, proszę, Yoshinaka-san.

Yoshinaka bez wahania skoczył i zamachnął się mieczem. Błysnęło ostrze, głęboko raniąc Szarego w bok, a drugi, jeszcze gwałtowniejszy cios ściął głowę, która potoczyła się po ziemi.

Yoshinaka wytarł ostrze i schował miecz do pochwy.

–Naprzód! – rozkazał Brązowym na czele. – Szybko!

Wojownicy ustawili się w szyku i pomaszerowali, aż zadudniło echo.

Wtem, nie wiadomo skąd, nadleciała strzała i utknęła w piersi Yoshinaki. Orszak zatrzymał się raptownie. Yoshinaka chwycił drzewce strzały, jakby chciał ją wyrwać, oczy zaszyły mu mgłą, osunął się na ziemię. Kiri jęknęła cicho. Lekki powiew poderwał końce zwiewnego szala Mariko. Gdzieś na ulicy rozplakało się dziecko i ktoś je uciszył. Wszyscy czekali z zapartym tchem.

–Miyai Kazuko-san! – zawołała Mariko. – Obejmij dowództwo, proszę.

Dumny, wysoki młodzieniec o wklęsłych policzkach wystąpił z grupy Brązowych stojących obok Kiyamy. Minął palankiny Kiri i Sazuko, zatrzymał się przy Mariko i złożył ceremonialny ukłon.

–Dzięki ci, pani – rzekł i krzyknął do żołnierzy w przodzie. – Ruszajcie!

Choć niektórych strach obleciał, usłuchali go wszyscy, ogarnięci dziwną gorączką. Znów szli, Kazuko przy palankinie Mariko. Sto kroków przed nimi ze zwartego tłumu samurajów wystąpiło dwudziestu Szarych i stanęło milczącym szeregiem w poprzek ulicy. Odległość między przeciwnikami zmniejszała się. Któryś z idących wypadł z szyku i dwudziestu Brązowych jeden po drugim zatrzymało się.

–Zmieść ich z drogi! – krzyknął Kazuko.

Od razu jeden Brązowy skoczył naprzód, za nim inni i zaczęła się szybka rzeź. Kiedy padał Szary, z czekającej drużyny wychodził następny, żeby wesprzeć towarzyszy w okrutnej walce. Walczono po rycersku, samuraj przeciw samurajowi, piętnastu na piętnastu, ośmiu na ośmiu, kilku rannych Szarych legło w drgawkach na ziemi, przeciw trzem Brązowym stało dwóch Szarych, do których dołączył trzeci, wkrótce pozostała jedna para przeciwników, ostatni Brązowy, ranny zwycięzca czterech pojedynków. Ostatni Szary bez trudu dobił go i stojąc samotnie pośród leżących ciał spojrzął na Miyaki Kazuko.

Zginęło dwudziestu Brązowych. Osiemnastu Szarych poległo, a czterech zostało rannych.

W ogromnej ciszy Kazuko ruszył naprzód wyciągając miecz.

–Zaczekaj – powstrzymała go Mariko. – Zaczekaj, proszę, Kazuko-san.

Stanął ze wzrokiem wlepionym w Szarego, rwąc się do walki. Mariko wysiadła z palankinu i podeszła do Kiyamy.

–Zwracam się do ciebie, panie, z oficjalną prośbą, byś rozkazał tym wojownikom, zejść z drogi.

–Wybacz, Toda-sama, rozkaz to rozkaz. Jeżeli sobie życzysz, zwołam posiedzenie regentów i wystąpię o odpowiednie zarządzenie.

–Jestem samurajką. Otrzymałam wyraźny rozkaz, zgodny z bushido, uświęcony kodeksem rycerskim. Rozkaz ten znosi wszelkie zarządzenia i muszę go wykonać. Prawo może wystąpić przeciw rozsądkowi, ale rozsądek, nie może obalać prawa. Jeżeli ktoś powstrzyma mnie od wykonania rozkazu, nie będę mogła żyć – z takim wstydem.

–Natychmiast zwołam posiedzenie.

–Wybacz, panie, ale to, co robisz, jest twoją sprawą. Ja troszczę się jedynie o rozkazy mojego pana i o mój honor. – Mariko wróciła na czoło kolumny. – Kazuko-

san! Wyprowadź nas, proszę, z zamku, to rozkaz!

–Jestem Miyi Kazuko z rodu Serata – rzekł Kazuko występując naprzód. – Dowódca Trzeciej Armii pana Toranagi. Proszę, zejść nam z drogi...

–Jestem Biwa Jiro, dowódca garnizonu generała Ishido – odparł Szary. – Moje życie nic nie znaczy, nie przejdziecie tędy.

Z donośnym okrzykiem wojennym „Toranagaaaaa!” Kazuko zaatakował. Szczęknęły ostrza. Wojownicy okrażali się. Szary był świetnym szermierzem, Kazuko również. Miecze dźwięczały w starciu. Tłum zamarł.

Kazuko został ciężko ranny, ale zwyciężył. Stanął chwiejnie nad nieprzyjacielem, wyciągnął zdrową rękę i wygrażając niebu mieczem ryknął na cześć i chwałę swego zwycięstwa: „Toranagaaaaa!” Nie było wiwatów. Nie mieściły się one w rytuale, który pochłonął wszystkich obecnych.

Kazuko zrobił niepewnie jeden krok, potem drugi i załamującym się głosem rozkazał:

–Za mną!

Nikt nie spostrzegł, skąd nadleciały strzały, które go uśmierciły. Ta obraza dla męstwa Kazuko obudziła zażartość w szykujących się na zatracenie Brązowych. Kazuko umierał i wkrótce padłby sam, spełniając swą powinność. Inny oficer wybiegł naprzód z dwudziestką żołnierzy, by utworzyć nowe czoło pochodu, pozostali skupili się wokół Mariko, Kiri i Sazuko.

–Naprzód! – warknął oficer.

Ruszył, a za nim dwudziestu samurajów. Jak w transie tragarze dźwignęli swoje brzemie i potykając się omijali trupy. Sto kroków przed nimi z milczącego tłumu znów wystąpiło dwudziestu Szarych po wodzą oficera. Tragarze stanęli. Straż przednia przyśpieszyła kroku.

–Stać!

Oficerowie wymienili zdawkowe ukłony i rodowe nazwiska.

–Proszę zejść z drogi.

–Proszę okazać przepustkę.

Tym razem Brązowi od razu rzucili się naprzód z okrzykiem „Toranagaaaaa!”, odpowiedziało im zawołanie „Yaemooooonn!”, zaczął się bój na śmierć i życie.

Ilekroć padł Szary, na jego miejsce wkraczał inny wojownik, dopóki nie zginęli wszyscy Brązowi.

Ostatni Szary wytarł ostrze, schował miecz i stanął zagradzając przejście. Spośród samurajów za palankinami wystąpił naprzód nowy oficer z dwudziestoma Brązowymi.

–Czekajcie – powstrzymała ich Mariko.

Z pobladłą twarzą wysiadła z palankinu, odłożyła parasolkę, schyliła się po miecz Yoshinaki i sama poszła naprzód.

–Wiesz, kim jestem. Proszę, zejdz mi z drogi.

–Jestem Kojima Harutomo, dowódca szóstego legionu – odparł z dumą Szary. – Daruj, pani, nie możesz przejść.

Zaatakowała go, ale odparował cios. Szary tylko się bronił i cofał, choć mógł ją bez trudu zabić. Wycofywał się powoli, zmuszając do wywalczenia każdej piędzi ziemi. Brązowi wraz z całą kolumną niepewnie ruszyli naprzód. Mariko próbowała zmusić Szarego do walki, zażarcie go atakując, zadając ciosy i pchnięcia, ale samuraj robił uniki, powstrzymywał ją, nie atakował, pozwalał, żeby się wyczerpała. Robił to z godnością i powagą z całym szacunkiem, na jaki zasługiwała.

Ponowiła atak, który pokonałby mniej wytrawnego szermierza, ale samuraj odparł go i znów zrobił krok w tył. Lały się z niej strugi potu. Jeden z Brązowych chciał przyjść jej z pomocą, ale powstrzymał go cichym rozkazem oficer, który wiedział, że nie wolno przeszkodzić walczącym. Po obu stronach samuraje czekali na przyzwalający znak, dysząc żądzą zabijania.

W tłumie jakiś chłopczyk ukrył twarz w kimonie matki. Matka odsunęła go od siebie i przyklękła.

–Patrz, synu – szepnęła. – Jesteś samurajem.

Zdyszana Mariko traciła siły, czuła otaczającą ją wrogość. Szarzy zaczęli zacieśniać pętlę wokół kolumny. Kilku podeszło, żeby odciąć Mariko, więc przestała napierać naprzód. Wiedziała, jak łatwo przyszło by im rozbroić ją i schwytać, a to byłby koniec. Brązowi gotowi byli ją wesprzeć, niektórzy ustawili się przy palankinach. W złowróżbnej atmosferze samuraje szykowali się do walki podrażnieni mdłym zapachem krwi. Kolumna pochodu ciągnęła się od samej bramy i Mariko nie miała wątpliwości, że Szarzy bez trudu wycięliby ich wszystkich w pień.

–Stać! – krzyknęła. Skłoniła się lekko przeciwnikowi, a potem z dumnie uniesioną głową odwróciła się i podeszła do Kiri. – Bardzo... bardzo mi przykro, ale w tej chwili nie sposób przebić się przez tych żołnierzy – rzekła. – Musimy chwilowo się wycofać.

– Poszła dalej wzdłuż szpaleru samurajów, zatrzymała się przed Kiyamą i ukloniła. – Nie pozwolono mi wypełnić mojej powinności, usłuchać rozkazu pana lennego. Nie mogę żyć z taką plamą na honorze, wielmożny panie. O zachodzie słońca popełnię seppuku. Proszę cię, abyś zechciał łaskawie być moim sekundantem.

–Nie zrobisz tego.

–Jeżeli nie będzie nam wolno usłuchać rozkazu naszego pana, jeżeli nie odzyskamy naszych praw – odpowiedziała z mocą – popełnię seppuku o zachodzie słońca!

Ukloniła się i ruszyła w stronę bramy. Kiyama i jego samuraje odklonili się. Potem wszyscy zgromadzeni na ulicy, na murach i w oknach oddali jej cześć ukłonem. Przeszła przez dziedziniec, a kiedy znalazła się w ogrodzie, nogi poniosły ją same do stojącego na uboczu skromnego domu cha. W środku, wreszcie sama, zaczęła opłakiwać tych, którzy, polegli.

–Piękne, co? – Yabu wskazał leżące w dole ciała.

–Słucham? – spytał Blackthorne.

–To był poemat. Rozumiesz „poemat”?

–Rozumiem słowo, tak. – To był poemat, Anjin-san. Nie rozumiesz?

Gdybym znał właściwe słowa, powiedziałbym, „nie”, Yabu-san, ale kiedy Mariko wydała pierwszy rozkaz i Yoshinaka zabił pierwszego samuraja, przejrzałem jej zamiar. Poemat? To był ohydny, bezsensowny, zdumiewający rytuał, którego nieuchronnym dopełnieniem jest śmierć jak w hiszpańskiej inkwizycji, a wszystkie ofiary są wstępem do ofiary Mariko. Nie ma odwrotu, Yabu-san – dla ciebie, dla mnie, dla Kiri, Ochiby, Ishido, dla wszystkich w zamku – dlatego, że ona postanowiła uczynić to, co uznała za konieczne. A kiedy powzięła tę decyzję? Dawno temu, ne? Mówiąc ściślej, powziął tę decyzję Toranaga, – Przepraszam, Yabu-sama, za mało słów – powiedział.

Yabu nie słuchał go. Panowała głęboka cisza, samuraje zastygli w bezruchu. Po chwili zalana słońcem ulica zaczęła ożywać przyciszonymi głosami, powściągliwymi ruchami. Yabu westchnął melancholijnie.

–To był poemat, Anjin-san – powtórzył na odchodnym.

Kiedy Mariko podniosła miecz i ruszyła naprzód, Blackthorne chciał rzucić się na dół w jej obronie, jednak, tak jak inni, nie zrobił nic. Nie dlatego, żeby się bał. Przestał lękać się śmierci. Odwaga Mariko uprzytomniła mu bezużyteczność tego lęku, a pogodził się ze sobą dawno temu, pamiętnego wieczoru w wiosce.

Naprawdę chciałem wtedy wbić sobie nóż w serce, pomyślał. Od tamtej pory przestałem odczuwać strach przed śmiercią, jak przewidziała Mariko. „Jedynie żyjąc o krok od śmierci można pojąć nieopisaną radość życia”. Nie pamiętam, jak Orni wstrzymał pchnięcie, pamiętam tylko, jak obudziłem się nazajutrz odrodzony.

Patrzył na poległych leżących na ulicy. Mógłbym zabić tamtego Szarego dla niej, myślał, może jeszcze jednego, a nawet kilku, ale wciąż podchodziliby nowi, a moja śmierć nie przeważałaby szali. Nie boję się umrzeć, tylko przeraża mnie, że nie mogę nic zrobić, by chronić Mariko.

Szarzy zaczęli zbierać ciała, z jednakowym szacunkiem traktując Szarych i Brązowych. Kiyama ze swoimi samurajami, kobiety z dziećmi, służące rozchodzili się wzbijając kurz. Nadmorska, bryza przyniosła kwaśny odór śmierci. Mariko, jej wielka

odwaga przepelniły mu serce dziwnym ciepłem, wyparły z głowy wszelkie myśli. Spojrzał na słońce. Do zachodu zostało sześć godzin. Skierował się do schodów.

–Anjin-san? Przepraszam, dokąd?

Odwrócił się. Dowódca pilnujących go Szarych, o których całkiem zapomniał, przyglądał mu się pytająco.

–Ach, przepraszam. Idę tam! – Wskazał dziedziniec.

Po zastanowieniu dowódca Szarych niechętnie wyraził zgodę.

–Dobrze. Proszę za mną.

Na dziedzińcu Blackthorne wyczuł wrogość Brązowych wobec strzegących go Szarych. Yabu stał przy bramie obserwując powracających. Kiri i pani Sazuko wachlowały się, mamka karmiła niemowlę. Siedziały w cieniu na werandzie, na pośpiesznie rozłożonych kapach i poduszkach. Przy koniach jucznych i bagażach przycupnęła trwożna gromadka tragarzy. Blackthorne chciał wejść do ogrodu, ale strażnicy potrząsnęli głowami.

–Daruj, Anjin-san, nie wolno tam teraz wchodzić.

–Tak, oczywiście – rzekł wycofując się.

Ulica pustoszała, ale około pięciuset Szarych zostało. Porozsiadali się na ziemi szerokim półkolem, na wprost bramy. Ostatni Brązowi dotarli na dziedziniec.

–Zamknąć bramę! – zawołał Yabu.

–Przepraszam, Yabu-san – odezwał się oficer. – Pani Toda kazała zostawić otwartą bramę. Mam jej strzec, ale nie zamykać.

–Jesteś pewien?

Oficer zachnął się. Miał trzydzieści parę lat, niesymetryczną twarz z zarostem.

–Wybacz, jestem tego najzupełniej pewien.

–Dziękuję. Nie chciałem cię urazić, ne? Jesteś tu najstarszy rangą?

–Tak, pani Toda zaszczyliła mnie swoim zaufaniem. Ty, panie, jesteś oczywiście starszy ode mnie.

–Ja dowodzę, ty pełnisz obowiązki dowódcy.

–Dziękuję, Yabu-san, ale dowodzi nami pani Toda. Ty jesteś najstarszy rangą. To honor dla mnie być twoim zastępcą. Za twoim przyzwoleniem.

–Przyzwalam, kapitanie – odparł Yabu złowrogo. – Dobrze wiem, kto nami dowodzi. Jak się nazywasz?

–Sumiyori Tabito.

–Czy pierwszy Szary nie nazywał się też „Sumiyori”?

–Tak, Yabu-san. Był moim kuzynem.

–Kiedy uznasz za stosowne, kapitanie Sumiyori, zechciej łaskawie zwołać oficerów na naradę.

–Tak jest, wielmożny panie. Za przyzwoleniem pani Tody.

Obejrzeli się. Na dziedziniec weszła, podpierając się laską, siwa samurajka. Trzymała się prosto, ale widać było, że kuśtykanie sprawia jej ból. Podeszła do Kiritsubo razem ze służącą, która osłaniała ją parasolką.

–A, Kiritsubo-san – rzekła. – Jestem Maeda Etsu, matka pana Maedy. Podzielam zdanie pani Tody. Byłby to dla mnie zaszczyt czekać razem z nią, za jej przyzwoleniem.

–Witamy, siadaj, proszę – odparła Kifi.

Służąca przyniosła dodatkową poduszkę i razem ze służącą pani Etsu pomogła jej usiąść.

–O, to co innego, teraz mogę odetchnąć – powiedziała pani Etsu, przygryzając wargę, żeby nie jęknąć z bólu. – Z moimi stawami z każdym dniem jest gorzej. Ach, co za ulga. Dziękuję.

–Życzy sobie pani cha?

–Najpierw cha, potem sake, Kiritsubo-san. Dużo sake. Po takich emocjach chce się pić, ne?

Kilka samurajek odłączyło się od odchodzącego tłumu i przeszło przez szeregi Szarych do przyjemnego cienia. Nie wszystkie były zdecydowane, trzy się wycofały, ale wkrótce na werandzie przybyło czternaście pań, w tym dwie z dziećmi.

–Przepraszam, nazywam się Achiko, jestem żoną Kiyamy Nagamasy i też chcę wrócić do domu – powiedziała nieśmiało młoda dziewczyna z małym synkiem. – Chcę wrócić do męża. Pokornie proszę, żebyś pozwoliła mi zostać, pani.

–Ale pan Kiyama srodze się na ciebie rozgniewa, pani, jeżeli tu zostaniesz.

–Wybacz, Kiritsubo-san, ale dziadek prawie mnie nie zna. Jestem żoną mało znaczącego wnuka. Jestem pewna, że to go nie poruszy. Nie widziałam się z mężem od wielu miesięcy i nie dbam o to, co kto powie. Nasza pani ma słuszość, ne?

–Całkowitą słuszość, Achiko-san – odpowiedziała pani Etsu, bez wahania występując w imieniu pozostałych. – Jesteś tu mile widziana, moje dziecko. Chodź, usiądź przy mnie. Jak ma na imię twój synek? Udany chłopak.

Panie jednogłośnie przyznały jej rację, a wtedy drugi chłopczyk, czterolatek, pisnął żałośnie:

–Przepraszam, ja też jestem udany chłopak, ne? Któraś roześmiała się, a inne jej zawtórowały.

–Rzeczywiście, ty też – powiedziała pani Etsu. Kiri otarła łzę.

–Lepiej trochę się pośmiać, za dużo było tej powagi, ne? – rzekła wesoło. – Miłe panie, to wielki zaszczyt, że mogę was powitać w imieniu pani Tody. Na pewno jesteście głodne i spragnione tak jak pani Etsu!

Posłała służące ze stosownymi poleceniami, dokonała prezentacji tych pań, które wymagały przedstawienia, chwając to piękne kimono, to znów niezwykłą parasolkę. Po chwili rozszczebiały się jak stadko kolorowych papug. – I jak tu zrozumieć kobiety? – powiedział Sumiyori.

–Nie sposób! – rzekł Yabu.

–Raz są przerażone i we łzach, a za chwilę... Kiedy pani Mariko wzięła miecz Yoshinaki, myślałem, że pęknę z dumy.

–Tak. Szkoda, że ten ostatni Szary był taki dobry. Zabiłaby gorszego szermierza. Chętnie bym to zobaczył.

Sumiyori potarł brodę, która swędziała go od schnącego potu.

–Co byś zrobił na jego miejscu?

–Zabiłbym ją i zaatakował Brązowych. Za dużo tam było krwi. Ledwie się powstrzymałem, żeby nie pościnać głów wokół siebie na murach.

–Dobrze jest czasem zabić. Bardzo dobrze. Czasem to nawet lepsze niż namiętna kobieta.

Rozległ się śmiech kobiet. Obaj malcy paradowali z nadętymi minami, aż fruwały

czerwone kimona.

–Przyjemnie popatrzeć. Dzięki bogom, że moje dzieci są w Edo.

–Tak. – Yabu spoglądał w zamyśleniu na kobiety.

–Nad tym samym się zastanawiam – rzekł cicho Sumiyori.

–I do czego doszedłeś?

–Nie ma wyboru. Jeżeli Ishido nas puści, dobrze. Jeżeli seppuku pani Mariko pójdzie na marne... wówczas pomożemy tym damom odejść w Pustkę i zaczniemy zabijać. Nie będą chciały żyć.

–Niektóre może zechcą.

–Później o tym zadecydujesz, Yabu-san. Przyniesie to korzyść naszemu panu, jeżeli wszystkie popelnia seppuku. Razem z dziećmi.

–Tak.

–Obsadzimy żołnierzami mury i otworzymy bramę. Będziemy walczyć do południa. Ci, co zostaną, cofną się do środka i podpalą to skrzydło zamku. Jeżeli dożyją do tego czasu, sprawiłoby mi zaszczyt, gdybyś zechciał być moim sekundantem.

–Oczywiście.

–Tylu poległych i seppuku pani Tody wstrząśnie cesarstwem, ne? – rzekł Sumiyori z uśmiechem. – Roznieci pożar, zniszczy Osakę, ne? Myślisz, że to opóźni przyjazd Najjaśniejszego? Czy takie są plany naszego pana?

–Nie wiem. Posłuchaj, Sumiyori-san. Pójdę do kwatery. Poślij po mnie, kiedy tylko wróci pani. – Podszedł do Blackthorne’a, który siedział zadumany na schodach. – Posłuchaj, Anjin-san – zagadnął go dyskretnie. – Może mam plan. Tajemnica, ne? Tajemnica, rozumiesz?

–Tak, rozumiem.

Dzwony wybiły nową godzinę. Początek godziny Małpy, sześć szklanek popołudniowej wachty, trzecia na zegarze. Donośny dźwięk przypomniał o upływie czasu, wielu odruchowo obejrzało się na słońce.

–Jaki plan? – spytał Blackthorne.

–Później porozmawiamy. Trzymaj się blisko. Nic nie mów, rozumiesz?

–Tak.

Yabu wymaszerował przez bramę z dziesięcioma Brązowymi. Za nimi ruszyło ulicą dwudziestu Szarych. Tuż za pierwszym rogiem znajdował się dom gościnny Yabu. Szarzy zatrzymali się przed jego bramą. Yabu wskazał Brązowym ogród, a sam wszedł do domu.

–To niemożliwe, panie generale – powiedziała Ochiba. – Nie wolno dopuścić, żeby tak znamienita dama popełniła seppuku. Przykro mi, ale znalazłeś się w pułapce.

–Też tak uważam – rzekł z mocą pan Kiyama.

–Pokornie zwracam ci uwagę, pani – rzekł Ishido – że cokolwiek powiedziałem lub przemilczałem, tyle dla niej znaczy, co łajno w wiosce eta. Podjęła decyzję wcześniej, a raczej postanowił tak Toranaga.

Ochiba wzdrygnęła się na taką wulgarność.

–Oczywiście, on za tym stoi – powiedział Kiyama. – Przykro mi, znów cię przechytrzył, generale. Ale nie możesz pozwolić, żeby popełniła seppuku!

–Dlaczego?

–Przepraszam, generale, musimy mówić ciszej – wtrąciła Ochiba. Stali przed pokojem, w którym leżała chora pani Yodoko, na pierwszym piętrze w samym sercu wieży. – Nie zawiniłeś, generale, i na pewno jest jakieś wyjście...

–Nie możesz pozwolić, generale, żeby nadal wprowadzała w życie swój plan – rzekł cicho Kiyama. – To wzburzy wszystkie damy w zamku.

–Nie pamiętasz – odparł Ishido, marszcząc brwi – że kiedy przez pomyłkę dwie zostały zastrzelone, nikt się nie oburzył, a przynajmniej nie próbowano już więcej ucieczek.

–To był wielki błąd, generale – powiedziała Ochiba.

–Zgoda. Ale prowadzimy wojnę, nie mamy Toranagi w garści, a dopóki on nie zginie, ani ty, pani, ani następca nie jesteście bezpieczni.

–Przepraszam, nie boję się o siebie, tylko o syna – rzekła Ochiba. – Muszą wrócić do zamku za osiemnaście dni. Radzę je wypuścić...

–To niepotrzebne ryzyko. Wybacz. Nie można ufać jej słowom.

–Przecież jest samurajką – rzekł Kiyama z wyrzutem, gardząc nieokrzesanym Ishido, którego obecność w bogatych komnatach przypominała mu taikō, przyjaciela i

szanowanego zwierzchnika.

–Tak – poparła go Ochiba. – Przepraszam, ale zgadzam się z panem Kiyamą. Mariko-san dotrzyma słowa. Jest jeszcze ta wiedźma Etsu! Ci Maedowie to dumna rodzina, ne?

Ishido podszedł do okna i wyjrzał.

–Niech ich ziemia pochłonie, mało mnie to wzruszy. Toda jest chrześcijanką, ne? Czy samobójstwo nie kłóci się z jej wiarą? Czy to nie ciężki grzech?

–Tak, ale mając sekundanta, nie popełni samobójstwa.

–A jeżeli nie będzie miała sekundanta?

–Jak to?

–Powiedzmy, że będzie rozbrojona i bez sekundanta.

–Jakim sposobem?

–Trzeba ją schwytać. Zamknąć z dobranymi służącymi do czasu, kiedy Toranaga przekroczy nasze granice. – Ishido uśmiechnął się. – Wtedy niech robi, co chce. Sam jej chętnie pomogę.

–Tylko jak ją schwytać? – spytał Kiyama. – Zawsze zdąży popełnić seppuku, chwycić nóż.

–Może. Ale powiedzmy, że uda się ją schwytać, rozbroić i przetrzymać kilka dni. Czy nie o te kilka dni chodzi? Czy nie dlatego nalega, żeby wyjechać właśnie dziś, zanim Toranaga przekroczy nasze granice i Wykastruje się?

–Czy to da się zrobić? – spytała” pani Ochiba.

–Całkiem możliwe, że tak – odparł Ishido.

–Za osiemnaście dni Toranaga musi się tu stawić – zastanawiał się Kiyama. – Na – granicy może zwlekać najwyżej cztery dni. Trzeba by trzymać ją tydzień.

–Albo bez końca – rzekła Ochiba. – Toranaga zwleka, jakby wcale nie zamierzał przybyć, tak mi się czasem zdaje.

–Musi przybyć przed dwudziestym drugim – rzekł Ishido. – Twój pomysł, pani, był wyśmienity, wyśmienity.

–Czyż nie był to twój pomysł, generale? – Ochiba miała głos jak miód mimo

zmęczenia po nie przespanej nocy. – A pan Sudara i moja siostra? Czy są u Toranagi?

–Nie, pani. Jeszcze nie. Przyłyną do Osaki statkiem.

–Włos jej z głowy spaść nie może ani jej synowi.

–Jej syn jest następcą Toranagi, który jest z rodu Minowara. Przypominam ci o tym, pani, przez lojalność dla następcy taikō.

–Mojej siostrze nie może sięgnie stać. Ani jej synowi.

–Jak sobie życzysz.

–Wielmożny panie – zwróciła się Ochiba do Kiyamy. – Czy Mariko-san jest dobrą chrześcijanką?

–Najlepszą, jaką znam. Masz, pani, na myśli grzech samobójstwa? Nie sędzę, by je popełniła, bo zatraciłaby nieśmiertelną duszę. Nie wiem jednak, czy...

–Wobec tego jest prostsze rozwiązanie – rzekł Ishido bez zastanowienia. – Zwrócić się do najwyższego kapłana chrześcijan, niech zabroni jej nękać prawowitą władzę cesarstwa!

–Nie jest do tego uprawniony – rzekł Kiyama i dodał rozdrażniony: – To interwencja polityczna, a zawsze byłś temu zdecydowanie przeciwny.

–Wygląda na to, że chrześcijanie wtrącają się wtedy, kiedy im wygodnie – rzekł Ishido. – Rzuciłem tylko propozycję.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich lekarz. Poważny, postarzały z wyczerpania.

–Przepraszam, pani, jesteś proszona.

–Umiera? – spytał Ishido.

–Jest bliska śmierci, panie generale, ale kiedy umrze, nie wiem.

Ochiba nie zwlekając ruszyła do drzwi. Niebieskie kimono opinało jej kibić, kołysało się wdzięcznie koło nóg. Obaj mężczyźni odprowadzili ją wzrokiem. Drzwi zamknęły się.

–Naprawdę uważasz, generale, że można schwytać panią Todę? – spytał po chwili Kiyama.

–Tak – odparł Ishido patrząc na drzwi.

W drugim, jeszcze wystawniej urządzonej pokoju, Ochiba podeszła do futonów otoczonych przez lekarzy i służące i przyklękła. Światło sączyło się przez bambusowe żaluzje i rozjaśniało czerwono-złote zdobienia na drzwiach, słupach i suficie. Łoże Yodoko osłaniały wokół ozdobne parawany. Chora miała zamknięte oczy, jakby spała, jej bladą twarz otulał kaptur buddyjskiej szaty, na chudych dłoniach rysowały się wydatne żyły. Jaka smutną jest starość, pomyślała Ochiba. Dlaczego upływ czasu bardziej dotyka kobiety? Właśnie kobiety, nie mężczyźni. Chrońcie mnie, bogowie, przed starością. Czuwaj nad moim synem, Buddo, doprowadź go do władzy, a mnie zachowaj dopóty, dopóki będę mogła ochraniać go i pomagać mu.

Z szacunkiem ujęła rękę Yodoko.

–Pani?

–O-chan? – szepnęła Yodoko, bo taki przydomek miała Ochiba.

–Tak, pani?

–Ach, jakaś ty śliczna, śliczna „jak zawsze”.

Staruszka uniosła rękę i pogłaskała piękne włosy. Ochibie jak zwykle sprawiło to przyjemność, bo lubiła Yodoko.

–Taka młoda, piękna, pachnąca. Jakie szczęście miał taikō. – Czy nic cię nie boli, pani? Może coś ci podać?

–Nic, nic, chciałam tylko porozmawiać. – Zapadłe oczy nadal patrzyły przenikliwie. – Każ im odejść.

Kiedy zostały same, Ochiba znów spytała:

–Tak, pani?

–Postaraj się, kochanie, żeby generał ją puścił.

–Nie może tego zrobić, pani, bo wszyscy zakładnicy wyjadą, a to nas osłabi. Regenci są tego samego zdania.

–Regenci! – prychnęła Yodoko. – A jakiego ty jesteś zdania?

–Tego samego, pani, sama wczoraj mówiłaś, żeby jej nie puszcząć.

–Ale teraz mówię, że trzeba koniecznie ją puścić, w przeciwnym razie inne popełnią seppuku i błąd Ishido zbruka ciebie i twojego syna.

–General jest lojalny, pani. Toranaga nie, niestety.

–Możesz zaufać panu Toranadze, jemu nie. Ochiba potrząsnęła głową.

–Przepraszam, jestem przekonana, że Toranaga chce za wszelką cenę zostać shōgunem i zniszczy mojego syna.

–Mylisz się. Zaprzeczał temu setki razy. Inni daimyō próbują go wykorzystać, każdy dla swoich ambicji. Zawsze tak było. Toranaga był ulubieńcem taikō i zawsze darzył następcę szacunkiem. Toranaga to Minowara. Nie uginaj się pod naciskiem Ishido ani regentów. Każdy z nich ma swoją karmę, swoje sekrety, O-chan. Czemu jej nie puścić? To takie proste. Zabronić jej wyprawić się statkiem, a na naszych ziemiach uda się gdzieś ją opóźnić. General ma ją w ręku, tak samo Kiri i inne, ne? Będzie otoczona przez Szarych. Myśl tak, jak myślałby taikō albo Toranaga. Wciągają ciebie i twojego syna... – Słowa zamarły jej na ustach, zadrżały jej powieki. Zebrała resztki sił i mówiła dalej: – Mariko-san nie mogłaby się sprzeciwić obecności straży. Wiem, że dotrzyma słowa. Puśćcie ją. – :

–Rozważaliśmy to, pani – cierpliwie tłumaczyła Ochiba. – Ale Toranaga ma tajne oddziały samurajów w samej Osace i w okolicy, nie wiemy ile. Ma też sprzymierzeńców, nie wiemy jakich. Mogłaby uciec. A kiedy ona wyjedzie, inne podążą jej śladem i przepadnie nasze zabezpieczenie. Sama to przyznałaś, Yodoko-chan, pamiętasz? Daruj, ale pytałam cię wczoraj, pamiętasz?

–Pamiętam, dziecko – odparła Yodoko, popadając w zamyślenie. – Ach, żeby tu był pan taikō, żeby mógł ci służyć radą. – Oddychała z coraz większym trudem.

–Podać ci cha albo sake?

–Tak, poproszę trochę cha.

Ochiba napiła ją.

–Dziękuję ci, moje dziecko. – Głos staruszki słabł, rozmowa wycieńczała ją. – Posłuchaj, dziecko, musisz zaufać Toranadze. Wyjdź za niego, a w zamian niech zapewni ci sukcesję.

–Nie, nie – odparła Ochiba zaskoczona.

–Yaemon mógłby objąć po nim władzę, a następcą twojego syna byłby owoc nowego małżeństwa. Synowie naszego syna przysięgną wierność po wasze czasy nowemu rodowi Toranagi.

–Toranaga nienawidził taikō. Wiesz o tym, pani. Toranaga jest źródłem wszystkich kłopotów. Od lat, ne? Właśnie on!

–A ty? A twoja дума, dziecko?

–On jest naszym wrogiem. – Masz dwóch wrogów, moje dziecko. Jeden to twoja дума, a drugi jest taki, że potrzebujesz mężczyzny, który dorównywałby naszemu mężowi. Wysłuchaj mnie cierpliwie, jesteś młoda, piękna, płodna i należy ci się mąż. Toranaga jest ciebie wart, a ty jego. On jeden może zapewnić przyszłość Yaemonowi.

–Nie, on jest wrogiem.

–Był największym przyjacielem naszego męża i najwierniejszym wasalem. Bez... bez Toranagi... zrozum... dzięki jego pomocy... zrozum. Dałabyś sobie z nim radę... dałabyś.

–Wybacz, Yodoko-chan, nienawidzę go, budzi we mnie obrzydzenie.

–Wiele kobiet... O czym to ja? Ach tak, wiele kobiet czuje obrzydzenie do swojego przyszłego męża. Chwała Buddzie, że nie musiałam przez to przejść... – Staruszka uśmiechnęła się. Westchnęła dziwnie przeciągle. Ochiba pomyślała, że nadszedł koniec. Ale powieki znów się rozwarły, nikły uśmiech zagościł na wargach.

–Ne?

–Tak.

–Zrób to, proszę, dobrze?

–Zastanowię się...

Kościste palce uściśnęły ją z trudem.

–Błagam cię, obiecaj, że poślubisz Toranagę, wtedy odejdę do Buddy wiedząc, że ród taikō przetrwa wieki, jak jego imię... jego imię przetrwa...

Ochiba tuliła bezwładną dłoń, łzy spływały jej po policzkach. Staruszka zamrugła i szepnęła:

–Musicie puścić Akechi Mariko. Nie... nie pozwólcie jej zemścić się na nas za to, co zrobił taikō... co zrobił jej... i jej ojcu...

–Co? – wyrwało się zaskoczonej Ochibie.

Yodoko nie odpowiedziała. Po dłuższej chwili zaczęła majaczyć:

–Drogi Yaemonie, witaj, kochany synu, jak... wspaniały z ciebie chłopak, ale masz tylu wrogów, tylu głupców... Czy ty też jesteś złudzeniem, czy...

Zadrżała. Ochiba wciąż pieściła jej rękę.

–Namu Amida Butsu – szepnęła pobożnie. Staruszka wstrząsnęła się i powiedziała wyraźnie:

–Przebacz mi, O-chan.

–Nie mam ci nic do przebaczenia.

–Tyle trzeba przebaczyć... – Głos umierającej słabł, spojrzenie przygasało. – Słuchaj... obie... obiecaj, że... ty i Toranaga, Ochiba-san... to ważne... proszę... możesz mu zaufać... – Stare oczy nakłaniały ją, błagały.

Ochiba nie chciała się podporządkować, choć wiedziała, że powinna. Poruszyło ją to, co usłyszała o Akechi Mariko, a w uszach dźwięczały wielokroć powtarzane słowa taikō: „Możesz zaufać Yodoko-samie, O-chan. Ona jest mądra, pamiętaj. Rzadko się myli, możesz jej zawierzyć swoje życie, życie mojego syna i moje...”

–Obiecu... – zaczęła Ochiba i nie dokończyła. Pełgający płomień życia zgasł.

–Namu Amida Butsu.

Ochiba uniosła dłoń Yodoko-samy do ust, ukloniła się, położyła jej rękę na kołdrze, zamknęła oczy zmarłej. Tylko dwa razy była z bliska świadkiem śmierci, teraz i wtedy, kiedy umierał taikō. Wówczas Yodoko zamknęła oczy zmarłemu, za drzwiami tego samego pokoju czekał Toranaga, tak jak teraz Ishido i Kiyama, czuwając nieprzerwanie od poprzedniego dnia.

–Dlaczego posyłasz po Toranagę, panie? – spytała tamtego dnia. – Powinieneś odpocząć...

–Odpocznę, kiedy umrę, O-chan – odparł taikō. – Muszę wyznaczyć następcę. Nieodwołalnie. Dopóki mam siły.

Wszedł Toranaga, energiczny, silny, władczy. Było ich czworo: Ochiba, Yodoko, Toranaga i Nakamura, pan Japonii na łożu śmierci. Czekali karnie na rozkazy taikō.

–No tak, Tora-san – rzekł taikō zwracając się do Toranagi tak samo poufale jak niegdyś Goroda. Zajadłe oczy wyzierały z pomarszczonej małpiej twarzy, drobne ciało straciło dawną krzepkość po kilku miesiącach choroby. – Umieram. Z nicości w nicość, ale ty będziesz żył, a mój syn jest zdany na łaskę losu.

–Nie jest zdany na łaskę losu, wielmożny panie. Wszyscy daimyō będą szanować twego syna tak, jak szanują ciebie.

–Owszem – odparł taikō ze śmiechem. – Dzisiaj. Dopóki żyję, o tak! Ale co mam zrobić, żeby Yaemon objął po mnie władzę?

–Powołaj Radę Regentów, panie.

–Regenci! – prychnął z pogardą taikō. – Może powinienem ciebie wyznaczyć moim następcą i ty powinienesz orzec, czy Yaemon będzie godny tego zaszczytu.

–Nie jestem godzien podjąć się tego. Twój syn, panie, powinien być twoim następcą.

–Tak, a po nim powinni objąć władzę synowie Gorody.

–Nie. Bo zerwali pokój.

–A ty wytraciłeś ich na mój rozkaz.

–Cesarz tobie, panie, powierzył władzę nad krajem. Zbuntowali się przeciw prawowitej władzy. Wydaj rozkazy, panie.

–Po to właśnie wezwałem ciebie – rzekł taikō i po chwili dodał: – To rzadkość mając pięćdziesiąt siedem lat doczekać się syna. Przykro umierać, kiedy mam sześćdziesiąt trzy lata, jedyne go syna, nie mam bliskich krewnych i jestem panem Japonii. Ne?

–Tak.

–Może lepiej byłoby, gdybym nie doczekał się syna, wówczas przekazałbym władzę tobie, jak to uzgodniliśmy. Masz więcej synów niż Portugalczyk wszy.

–Karma.

Taikō roześmiał się, z ust pociekła mu strużka zabarwionej krwią śliny, którą starannie wytarła Yodoko. Uśmiechnął się i podziękował. Potem spojrzał na Ochibę, uśmiechnęła się do niego, ale on zgasił Uśmiech i przyglądał jej się badawczo, z powątpiewaniem, ważąc w myślach pytanie, które, wiedziała o tym, nigdy go nie opuszczało, i którego nie ośmielił się nigdy zadać: „Czy Yaemon naprawdę jest moim synem?”

–Karma, O-chan. Ne? – powiedział łagodnie.

Ze strachu, że spyta ją wprost, Ochibie łzy napłynęły do oczu.

–Nie trzeba płakać, O-chan. Życie to tylko sen we śnie – powiedział. Zamyślił się, potem znów spojrzał na Toranagę i w przypiływie serdeczności, z czego sływał, rzekł: – liiii, przyjacielu, tośmy się nażyli, ne? Tyle bitew. Walczyliśmy ramię w ramię, razem byliśmy niepokonani. Dokonaliśmy rzeczy niemożliwych, ne? Upokorzyliśmy

wielkich, pluliśmy im na tyłki, a oni czołgali się i prosili o jeszcze. To my tego dokonaliśmy, chłop i Minowara! – Parsknął śmiechem. – Jeszcze kilka lat i rozbiłbym w puch Czoskojadów. Połączone oddziały koreańskie i nasze, japońskie, szybki wypad na Pekin i już siedzę na chińskim tronie smoka. Wtedy oddałbym tobie Japonię, bo tego pragniesz; a ja miałbym to, czego ja pragnę; – Mocny głos przeczył słabości ciała. – Chłop może zasiąść na smoczym tronie z twarzą i honorem, nie to co tutaj. Ne?

–Tak, panie, Chiny i Japonia różnią się między sobą.

–Tak. Chińczycy są mądrzy. Założyciel dynastii to zawsze chłop albo syn chłopca, a tron zdobywa się siłą, rękoma zbroczonymi krwią. Nie mają dziedzicznego zamku, czyż nie w tym leży siła Chin? – Zaśmiał się. – Chłop z zakrwawionymi rękoma, nieugięty i silny to ja. Ne?

–Tak. Ale jesteś też samurajem, panie. Zmieniłeś nasze zasady. Jesteś założycielem dynastii.

–Zawsze cię lubiłem, Tora-san. – Taikō z przyjemnością popijał cha. – Tak, pomyśl tylko, ja na tronie smoka! Cesarz Chin, Yodoko cesarzową, po niej piękna Ochiba, po mnie Yaemon, Chiny i Japonia połączone na zawsze, jak być powinno. Ach, jakie to byłoby łatwe! Potem pchnąłbym nasze oddziały i hordy Chińczyków na północny zachód i południe i wszystkie cesarstwa świata ległyby u naszych stóp jak dziwki dziesiątej kategorii, które, czekają zdyszane, aż weźmiemy to, na co mamy ochotę. Jesteśmy niezwyciężeni, ty i ja byliśmy niezwyciężeni, Japończycy są niezwyciężeni, to pewne, bo znamy sens i cel życia. Ne?

–Tak.

–Na czym on polega? – spytał taikō z dziwnym błyskiem w oku.

–Obowiązek, dyscyplina, śmierć – odpowiedział Toranaga. Zasuszony staruszek, który nigdy przedtem nie wydawał się taki maleńki, znów parsknął śmiechem, po czym w charakterystyczny sposób cała serdeczność pierzchła.

–Regenci? – spytał twardo, ze złością. – Kogo byś wybrał?

–Panów Kiyamę, Ischido, Onoshiego, Todę Hiro-matsu i Sugiyamę.

Złośliwy uśmiech wykrzywił twarz taikō.

–Jesteś najsprytniejszym człowiekiem w Cesarstwie, nie licząc mnie! Wyjaśnij moim paniom, dlaczego wybrałeś tych pięciu.

–Bo się nienawidzą, ale razem wzięci mogą rządzić skutecznie i zdusić każdego

przeciwnika.

– Nawet ciebie?

– Mnie nie, wielmożny panie. – Toranaga spojrział na Ochibę i zwrócił się wprost do niej. – Żeby Yaemon przejął władzę, pani, musisz przeczekać jeszcze dziewięć lat. A przez ten czas trzeba bezwzględnie utrzymać pokój. Wybrałem Kiyamę, ponieważ jest największym chrześcijańskim daimyō, świetnym generałem i wiernym wasalem. Następnie Sugiyamę, ponieważ jest najbogatszym daimyō, pochodzi ze starego rodu, nie znosi chrześcijan i ma najwięcej do zyskania, kiedy Yaemon przejmie władzę. Onoshiego, bo jest chrześcijaninem jak Kiyama, ale go nie znosi, więc równoważy jego potęgę. Jest trędowaty, ale trzyma się życia i przeżyje dwadzieścia lat, a szczerze wszystkich nienawidzi, zwłaszcza Ishido. Wybrałem Ishido, ponieważ będzie tropił i wykrywał spiski, bo jest chłopem, nie cierpi samurajów z tradycjami i występuje ostro przeciw chrześcijanom. Todę Hiro-matsu, ponieważ jest uczciwy, posłuszny i wierny, można na nim polegać jak na słońcu, jak na najlepszym mieczu, który jest dziełem rzemieślnika mistrza. On powinien zostać przewodniczącym rady.

– A ty?

– Popelnię seppuku razem z moim najstarszym synem, Noboru. Mój syn Sudara ożenił się z siostrą pani Ochiby, więc nigdy nie będzie stanowił zagrożenia. Mógłby odziedziczyć Kantō, jeśli taka będzie twoja wola, pod warunkiem, że przysięgnie wierność i posłuszeństwo twojemu rodowi.

Nikogo nie zaskoczyło, że Toranaga chce zrobić to, o czym zapewne myślał taikō, gdyż Toranaga był jedynym daimyō stanowiącym prawdziwe zagrożenie. Usłyszała wtedy, jak mąż zwraca się do niej:

– O-chan, co ty byś poradziła?

– To samo, co pan Toranaga, panie – odpowiedziała bez namysłu. – Z tą różnicą, że powinieneś kazać mojej siostrze rozwieść się z Sudarą, który powinien popelnąć seppuku. Pan Noboru powinien zostać następcą pana Toranagi i odziedziczyć prowincje Musashi i Shimoosa, a resztę Kantō powinien dostać twój następca, Yaemon. Radziłabym już dziś wydać te rozkazy.

– Yodoko-sama?

Ku jej zdumieniu Yodoko odpowiedziała:

– Ach, Tokichi, wiesz, że kocham ciebie, O-chan i Yaemona jak własnego syna. Uczyń Toranagę jedynym regentem.

– Co?

–Rozkazując mu umrzeć, wydasz wyrok na swojego syna. Tylko pan Toranaga może teraz dziedziczyć, bo cieszy się poważaniem, jest mądry i przebiegły jak nikt inny. Oddaj mu Yaemona pod opiekę do czasu, aż osiągnie pełnoletniość. Każ panu Toranadze adoptować naszego syna. Niech Yaemon ma w panu Toranadze nauczyciela i niech po nim dziedziczy.

–Nie, tak nie można zrobić – zaprotestowała Ochiba.

–A co ty na to, Tora-san? – spytał taikō.

–Z całą pokorą muszę odmówić, wielmożny panie. Nie mogę przyjąć tej propozycji. Pozwól mi, proszę, dopełnić seppuku i odejść przed tobą.

–Będziesz jedynym regentem.

–Nie odmówiłem nigdy posłuszeństwa, panie, odkąd zawarliśmy układ. Ale tego rozkazu nie wykonam.

Ochiba pamiętała, jak starała się nakłonić taikō, żeby zgodnie ze swoją wcześniejszą decyzją pozwolił Toranadze odejść na zawsze. Ale taikō zmienił zdanie i w końcu przyjął częściowo radę Yodoko ustalając, że Toranaga zostanie przewodniczącym Rady Regentów. Toranaga przysięgł wierność Yaemonowi, ale teraz wszyscy byli oplatani siecią jego intryg, wszystkich dotknął kryzys wywołany przez Mariko.

–Wiem, że to na jego rozkaz – szepnęła Ochiba, nie mogąc pogodzić się z prośbą pani Yodoko, żeby poddać się całkowicie jego woli.

Wyjść za mąż za Toranagę? – myślała. Uchroń mnie, Buddo, przed tym wstydem, spraw, żebym nie musiała go witać, czuć ciężaru jego ciała i jurności.

Przed wstydem?...

Jak jest naprawdę? – zadała sobie pytanie. Prawda jest taka, że kiedyś go pragnęłaś, jeszcze przed taikō, ne? A nawet wtedy, kiedy byłaś z taikō, ne? Nieraz, w głębi duszy. Ne? Mądra Yodoko słusznie powiedziała, że twoim wrogiem jest duma i że potrzebujesz męża. A może – przyjąć Ishido? Szanuje cię, pragnie i to on wygra. Łatwo będzie nim pokierować. Ne? Nie, tylko nie ten nieokrzesaniec! Wiem, jakie złośliwe plotki szerzą moi wrogowie. Bezczelne złe języki! Przysięgam, że wolałabym sypiać z pokojówkami i wygodzie sobie harigatą przez tysiąc żywotów niż zbezcześcić pamięć mojego pana wiążąc się z Ishido. Muszę być ze sobą szczerą. Zastanowić się nad Toranagą. Czy naprawdę nienawidzę go dlatego, że mógł mnie widzieć tamtego dnia?

Zdarzyło się to ponad sześć lat temu na Kiusiu. W towarzystwie dam wybrała się na

polowanie z taikō i Toranagą. Polowali osobno, na dużym terenie, a ona oddaliła się od pozostałych, galopując za jastrzębiem. Wjechała między zalesione wzgórza i natknęła się tam na wieśniaka, który zbierał jagody koło ścieżki. Odkąd przed dwoma laty umarł jej pierwszy, słabowity synek, nic nie poruszyło się w jej łonie, chociaż wypróbowała różne pozycje i sposoby, wszystkie modlitwy, zaklęcia i mikstury, byle zadowolić swojego pana, który pragnął za wszelką cenę mieć następcę.

Spotkanie było nagłe i zaskakujące dla obojga. Wieśniak wybałuszył oczy, jakby zobaczył kami, ona zaś ujrzała w nim drugiego taikō, tyle że młodszego.

Miała przed sobą dar niebios, o który tak się modliła. Zsiadła z konia, wzięła wieśniaka za rękę i weszli między drzewa.

To było jak we śnie – rozgorączkowanie, prymitywna, zwierzęca żądza, ziemia pod plecami – do dziś czuła tamten przyjemny oddech, cudownie mocne ręce, tryskające płynne ciepło. Ale potem przycisnął ją całym swoim ciężarem, owionął zepsutym oddechem i wydał jej się wstrętny, choć nie było wstrętne to, co jej dał, i wtedy zepchnęła go z siebie. Chciał jeszcze, ale go uderzyła, przeklęła i kazała dziękować bogom, że nie zamieniła go w drzewo za zuchwalstwo. Zabobonny głupiec błagał ją na klęczkach o przebaczenie – wierzył, że była duchem, bo jakże inaczej taka piękność tarzałaby się z nim po ziemi?

Na drżących nogach dosiadła konia, poprowadziła go, zostawiając za sobą tamtego człowieka i polanę. Oszołomiona myślała, czy aby to jej się nie śniło, czy aby wieśniak nie był prawdziwym kami. Modliła się, żeby to był kami, a jego nasienie zesłane przez bogów, żeby urodził się z niego syn na chwałę jej pana i przyniósł mu zasłużony spokój. Na skraju lasu czekał Toranaga. Przelekła się, że ją widział.

–Niepokoiłem się o ciebie, pani – rzekł.

–Dziękuję za troskę, ale nic... nic mi nie jest.

–Masz podarte kimono, liście paproci we włosach i na plecach...

–Koń mnie zrzucił... nic się nie stało.

Zaproponowała mu wyścig, żeby dowieść, że jest cała i zdrowa, i popędziła co koń wyskoczy. Bolały ją pokłute plecy, ale wkrótce zaradziły temu wonne olejki, i jeszcze tej nocy poduszkowała ze swoim panem i władcą, a po dziewięciu miesiącach, ku jego i swojej niezmierzonej radości, urodziła syna.

–Nasz mąż jest ojcem Yaemona – zapewniła z przekonaniem cielesną powłokę Yodoko. – Splodził obu moich synów, a tamto było snem.

Po cóż się oszukiwać? To nie był sen, pomyślała. To wydarzyło się naprawdę.

Tamten człowiek nie był kami. Jak grzejąca się suka nadstawiłaś się wieśniakowi, żeby spłodził syna, którego ty sama potrzebowałaś nie mniej niż taikō, bo chciałaś go ze sobą związać... Wzięłyby sobie jeszcze jedną konkubinę, ne?

A pierworodny?

–Karma – rzekła Ochiba odsuwając od siebie uśpiony ból.

Kiedy miała szesnaście lat, w rok po tym, jak została oficjalnie konkubiną taikō, Yodoko dała jej ziołową cha. Wypiła dziwnie rozgrzewający napar, usnęła, a po przebudzeniu pamiętała tylko erotyczne sny i kolorowe wizje rozpluwające się w nieskończoności. Yodoko, dzieląca z nią troskę o harmonię ich pana, czuwała przy niej, kiedy się obudziła. Po dziewięciu miesiącach powiła dziecko – pierwsza ze wszystkich kobiet, które miał taikō. Ale chorowite niemowlę zmarło.

Karma, pomyślała.

Ani ona, ani Yodoko nie wspomniały o tym, co się zdarzyło, co mogło się zdarzyć w czasie tego długiego, głębokiego snu. Dopiero przed śmiercią Yodoko napomknęła o tym jednym słowem, „przebacz”.

Jesteś bez winy, Yodoko-sama, do niczego nie doszło, nie miał miejsca żaden potajemny akt. A jeżeli nawet tak, to odpoczywaj w pokoju, skoro zabrałaś tajemnicę ze sobą. Patrzyła na martwą, żałośnie zwiędłą twarz. Tak samo żałośnie zwiędły był w ostatnich chwilach życia taikō, który też nie zadał nurtującego pytania. Umarł i to jest karma, pomyślała obojętnie. Gdyby żył jeszcze dziesięć lat, zostałabym cesarzową Chin, a tak... jestem sama.

–Dziwne, że umarłaś, pani, zanim złożyłam obietnicę – powiedziała wdychając kadzidlany zapach i odór śmierci. – Złożyłabym tę obietnicę, ale nie zdążyłam. Czy to jest moja karma? Czy mam spełnić prośbę i dotrzymać, nie wypowiedzianej obietnicy? Co robić?

Synu, synu, nie wiem, co robić.

Przypomniała sobie radę mądrej Yodoko. Myśl tak, jak myślałby taikō... albo Toranaga.

To ją natchnęło otuchą i dodało sił. Wyprostowała się i zaczęła kalkulować.

Na dziedzińcu zapadła cisza. Przez ogrodową furtkę wyszła Chimmoko i złożyła ukłon przed Blackthorne'em.

–Przepraszam, Anjin-san, moja pani pragnie się z tobą widzieć. Bądź łaskaw chwilę zaczekać, poprowadzę cię.

–Dobrze. Dziękuję.

Blackthorne wstał zamyślony, przytłoczony poczuciem klęski. Część dziedzińca już pokryła się cieniem. Eskorta Szarych stanęła w pogotowiu. Chimmoko podeszła do Sumiyoriego.

–Przepraszam, kapitanie, moja pani uprzejmie prosi, żebyś poczynił przygotowania.

–Gdzie sobie zażyczyła?

–Tam, wielmożny panie. – Chimmoko wskazała wolną przestrzeń przed bramą.

–Publicznie? – zdumiał się Sumiyori. – Nie na osobności, przy kilku wybranych świadkach? Chce, żeby wszyscy widzieli?

–Tak.

–Jeżeli to ma być tutaj... to... kto będzie sekundantem?

–Ufa, że pan Kiyama uczyni jej ten zaszczyt.

–A jeżeli nie?

–Nie wiem, kapitanie. Nie powiedziała. – Chimmoko ukloniła się, podeszła do werandy, znów złożyła ukłon. – Kiritsubo-san, moja pani przeprasza, niedługo przyjdzie.

–Dobrze się czuje?

–O tak – odparła z dumą Chimmoko.

Kiri opanowała niepokój, który ogarnął ją, podobnie jak kapitana, na wieść o wyborze miejsca.

–Czy wie, że inne panie czekają, by ją powitać?

–O tak, Kiritsubo-san. Patrzyłam, jak się schodzą, i powiedziałam jej o tym. Jest zaszczycona ich obecnością i niebawem podziękuję im osobiście. Przepraszam.

Wszyscy patrzyli, jak Chimmoko podchodzi do furtki i daje znak Blackthorne'owi. Szarzy chcieli iść za nim, ale potrząsnęła głową i oznajmiła, że jej pani ich nie wzywała. Dowódca Szarych pozwolił Blackthorne'owi odejść.

Za furtką rozpościerał się inny świat, świat zieleni i spokoju. Świergotały ptaki, żerowały owady, uroczy strumyk wpadał do sadzawki z liliami, drzewa dosięgały jeszcze słońca. Mimo to Blackthorne nie mógł pozbyć się przygnębienia.

Chimmoko stanęła i wskazała altanę cha-no-yu. Dalej poszedł sam. Zzuł chodaki i wszedł po trzech stopniach. Musiał niemal zgiąć się wpół, żeby wejść do środka.

–Mój ty – powiedziała Mariko.

–Moja ty.

Kłęczała na wprost drzwi w ciemnoniebieskim kimonie z zielonym obrzeżeniem, zielonym obi i z cienką, zieloną wstążką w starannie upiętych włosach. Nienaganny makijaż podkreślały szkarłatne usta.

–Jesteś piękna.

–Ty też. – Uśmiechnęła się niepewnie; – Przykro mi, że musiałeś na tamto patrzeć.

–To był mój obowiązek.

– Obowiązek? Nie. Nie spodziewałam się... nie planowałam, że tyłu zginie.

–Karma. – Blackthorne otrząsnął się z odrętwienia i przestał mówić po łacinie. – Od dawna planowałaś samobójstwo? Ne?

–Nigdy nie byłam panią swojego życia, Anjin-san. Należało ono zawsze do mojego pana lennego i do mojego męża. Takie jest nasze prawo.

–To złe prawo.

–Tak. I nie. – Oderwała spojrzenie od mat i popatrzyła na niego. – Czy będziemy spierać się o rzeczy, których nie można zmienić?

–Nie. Wybacz.

–Kocham cię – powiedziała po łacinie.

–Tak. Teraz o tym wiem. I ja ciebie kocham. Ale dla ciebie najważniejsza jest śmierć, Mariko-san.

–Mylisz się, kochanie. Najważniejsze dla mnie jest życie mojego pana. I twoje życie. A zdarzają się takie chwile, przebacz mi, Madonno, albo pobłogosław za to, kiedy twoje życie jest na pierwszym miejscu.

–Nie ma ratunku. Dla nikogo.

–Cierpliwości. Słońce jeszcze nie zaszło.

–Nie ufam temu słońcu, Mariko-san. – Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. –

Gomen nasai.

–Obiecałam ci, że dzisiejszej nocy będzie tak jak w naszym zajeździe. Bądź cierpliwy. Znam Ochibę, Ishido i pozostałych.

–Que va na innych – rzekł po portugalsku w przypiływie złości. – Po prostu liczysz na to, że Toranaga wie, co robi. Ne?

–Que va na twój zły humor – powiedziała łagodnie. – Ten dzień jest zbyt krótki.

–Przepraszam, masz rację. Dzisiaj nie ma czasu na humory. – Przyglądał się jej. Przez bambusowe pręty padał na jej twarz pasiasty cień, który przesuwiał się ku górze i zniknął, kiedy słońce schowało się za mury.

–Co robić? Jak ci pomóc? – spytał.

–Masz wierzyć, że po dzisiejszym dniu nadejdzie nowy dzień.

Przez twarz Mariko przemknęło przerażenie. Spostrzegł to, objął ją i czekanie przestało być straszne. Ktoś nadchodził.

–Tak, Chimmoko?

–Już pora, pani.

–Czy wszystko gotowe?

–Tak, pani.

–Zaczekaj na mnie przy sadzawce.

Kroki oddaliły się. Mariko pocałowała lekko Blackthorne'a.

–Kocham cię – powiedziała.

–I ja ciebie kocham.

Ukloniła się i wyszła, a on za nią.

Zatrzymała się przy sadzawce, odwinęła obi i upuściła je na ziemię. Chimmo ko pomogła jej zdjąć niebieskie kimono. Pod spodem Mariko miała na sobie najbielsze kimono i obi, jakie Blackthorne kiedykolwiek widział. Był to strój do rytualnej śmierci. Mariko ściągnęła z włosów zieloną wstążkę, odrzuciła ją i nie oglądając się na Blackthorne'a wyszła z ogrodu.

Pod bramą ułożono osiem tatami, przy których z trzech stron ustawili się w szyku

wszyscy Brązowi. Yabu i Kiri z paniami siedzieli w honorowym rzędzie, zwrócenii na południe. Na ulicy Szarzy uformowali uroczyste szeregi, dołączyli do nich inni samuraje i samurajki. Na znak Sumiyoriego wszyscy uklonili się. Mariko też złożyła ukłon. Czterech samurajów wystąpiło z szeregu i przykryło tatami czerwonym materiałem.

Mariko podeszła i przywitała się z Kiritsubo, Sazuko i damami. Odkłoniły jej się i wygłosiły uroczyste powitalne formułki. Blackthorne przyglądał się z boku. Mariko podeszła do czerwonego prostokąta i uklękła pośrodku przed małą białą poduszką. Wyciągnęła sztylet z za białego obi i położyła na poduszce. Podeszła Chimmoko, uklękła, podała śnieżnobiały kocyk i sznur. Przy pomocy służącej Mariko pieczołowicie poprawiła fałdy kimona, owinęła się kocykiem i przewiązała sznurem. Miało to ochronić kimono przed zakrwawieniem i zachować jego kształt.

Tak przygotowana spokojnie spojrzała na szczyt wieży. Złocenia błyszcząły w słońcu. Ogniste światło pięło się po iglicy. I zniknęło.

Znieruchomiła Mariko wyglądała jak biały posążek na szkarłatnym tle.

Na Ulicy zrobiło się ciemno, służący zapalili pochodnie. Kiedy skończyli, zniknęli równie szybko i cicho, jak się pojawili.

Mariko wyciągnęła rękę i poprawiła sztylet na poduszce. Po raz ostatni przebiegła wzrokiem ulicę do samego końca, ale nikogo tam nie zobaczyła. Znów spojrzała na sztylet.

–Kasigi Yabu-sama!

–Tak, Toda-sama?

–Wygląda na to, że pan Kiyama nie przyjdzie mi z pomocą. Byłabym zaszczycona, gdybyś zechciał być moim sekundantem.

–To dla mnie zaszczyt – odparł Yabu. Uklonił się, wstał i stanął za nią, po lewej stronie. Zadźwiewał miecz. Yabu zaparł się stopami w ziemię i uniósł miecz trzymając go oburącz, – Jestem gotów, pani – rzekł.

–Zaczekaj, proszę, aż zrobię drugie cięcie.

Nie odrywając spojrzenia od sztyletu przeżegnała się, pewną ręką sięgnęła po niego i przytknęła do ust, jakby chciała posmakować gładką stal. Poprawiła chwyt, zacisnęła palce i przyłożyła ostrze do szyi z lewej strony. W tym momencie na końcu ulicy zajaśniały pochodnie. Zza rogu wyłonił się orszak, na czele którego szedł Ishido.

Ręka Mariko nie drgnęła.

Yabu stał naprężony, szykując się do ciosu.

–Czekasz, pani, czy nie? – spytał. – Chciałbym spełnić swoje zadanie bez zarzutu.

Mariko z trudem cofnęła się znad przepaści.

–Cze... czekamy.

Opuściła powoli sztylet drżącą ręką. Równie powolnym ruchem Yabu opuścił miecz, schował i otarł ręce o poły.

–Słońce jeszcze nie zaszło, pani – rzekł Ishido stając w bramie. – Widać je na horyzoncie. Tak ci spieszno umrzeć?

–Nie, panie generale. Chcę być posłuszna memu panu... – Złożyła ręce, żeby powstrzymać ich drżenie.

Obrażliwa uwaga Ishido wywołała szmer gniewu w szeregach Brązowych. Yabu sprężył się do skoku, ale powstrzymało go głośnie oświadczenie Ishido.

–W imieniu następcy pani Ochiba zwróciła się do regentów z prośbą o zrobienie wyjątku w twojej sprawie, pani. Przychyliliśmy się do jej prośby. Oto zezwolenie na wyjazd jutro o świcie. – Wetknął papiery do rąk Sumiyoriemu, który był najbliżej.

–Wielmożny panie? – odezwała się ciekim głosem Mariko, nie rozumiejąc.

–Możecie wyjechać. O świcie.

–A... a Kiritsubo-san i pani Sazuko?

–Ach, to także twój „obowiązek”, pani, prawda? Dostały pozwolenie.

Mariko usiłowała zebrać myśli.

–A... a syn?

–On też. – Pogardliwy śmiech Ishido zagrzmiął w podcieniach bramy. – I wszyscy wasi ludzie.

–Wszyscy mają otwartą drogę? – wyjąkał Yabu.

–Tak, Kasigi Yabu-san – rzekł Ishido. – Jesteś dowódcą, ne? Zgłoś się, proszę, do mojego sekretarza. Wypisuje wasze przepustki, chociaż nie rozumiem, dlaczego mile widziani goście mieliby chęć wyjeżdżać. Szkoda zachodu na siedemnaście dni. Ne?

–A ja, panie generale? – spytała trwożnie staruszka Etsu badając, do jakich granic sięga zwycięstwo Mariko. – Czy... czy ja też mogę wyjechać?

–Oczywiście, pani Maeda. Dlaczego mielibyśmy kogokolwiek trzymać wbrew woli? Czy to więzienie? Nie! Jeżeli gościnność następcy jest tak przykra, że chce pani wyjeżdżać, proszę bardzo, chociaż nie wiem, jak można przejechać czterysta ri w tę i z powrotem w ciągu siedemnastu dni.

–Prze... przepraszam, gościnność następcy nie jest...

–Jeżeli życzy sobie pani wyjechać – przerwał jej surowo Ishido – proszę zwrócić się o zezwolenie zwykłym trybem. Na drugi dzień ruszy pani bez przeszkód w drogę. – Zwrócił się do pozostałych. – Każda z pań może wystąpić o pozwolenie, każdy samuraj. Ale to głupota wyjeżdżać na siedemnaście dni, to zniewaga lekceważyć gościnność następcy, pani Ochiby, regentów... – groźne spojrzenie spoczęło znów na Mariko -... albo grozić popełnieniem seppuku, z którego nie przystoi damie urządzić widowiska. Ne? Niech giną wrogowie następcy, a nie kobiety, jeżeli jednak kobiety nie kryją się z tym, że są jego wrogami, to niedługo splunę na ich trupy.

Ishido odwrócił się, głośno wydał rozkaz i odszedł. Dowódcy oddziałów powtórzyli rozkaz, Szarzy ustawili się i zaczęli odchodzić, pozostawiając zaledwie garstkę samurajów dla uhonorowania Brązowych.

–Już po wszystkim, pani – rzekł ochryple Yabu, znów ocierając spocone dłonie. Uczucie niespełnienia wywołało przykry smak w ustach. – Wygrałaś... wygrałaś.

–Tak... tak – powiedziała.

Mdlejącymi dłońmi wymacała węzły na białym sznurze. Podeszła Chimmoko, rozwiązała sznur, zabrała kocyk i usunęła się na bok. Wszyscy patrzyli na Mariko czekając, czy wstanie i pójdzie o własnych siłach.

Mariko, podpierając się rękami, usiłowała wstać. Na próżno. Spróbowała jeszcze raz. Daremnie. Kiri poderwała się, żeby jej pomóc, ale Yabu powstrzymał ją, więc usiadła z zapartym oddechem.

Blackthorne, przepelniony radością, że Mariko wyrwała się śmierci, przypomniał sobie, jak jego wola została wystawiona na próbę, kiedy omal nie popełnił seppuku, a potem musiał wstać jak mężczyzna i pójść bez niczyjej pomocy, jak został samurajem. Trudno mu było pogodzić się z-tym, że Mariko musi wykazać się taką odwagą, a zarazem rozumiał, że tak trzeba, nawet szanował tę konieczność.

Zobaczył, że znów podpira się i odpycha coraz mocniej od czerwonego materiału, aż wreszcie udało jej się wstać. Zachwiała się, z trudem utrzymała równowagę, niepewnie stąpając zeszła z mat i zatoczyła się bezradnie. Uznał, że udowodniła

swoją siłę i dość się namęczyła, więc podszedł, chwycił ją w ramiona i wziął na ręce w momencie, kiedy straciła przytomność.

Przez chwilę stał na środku areny dumny, że sam zdecydował, co robić. Mariko wisiła mu na rękach bez czucia. Nikt nie ruszył się z miejsca i nie zagroził drogi, kiedy wnosił ją do środka.

Atak na twierdzę Brązowych rozpoczął się ciemną nocą, kilka godzin przed świtem. Pierwsza fala dziesięciu ninja, osławionych skrytobójców, napłynęła przez najbliższe mury nie strzeżone już przez Szarych. Ninja zarzucili owinięte w materiał haki na dach po drugiej stronie wąskiej przepaści i przerzucili się nad nią na linach jak pająki. Ręce i twarze mieli poczernione, ubrani byli w obcisłe stroje, maski i tabi, wszystko czarne, i uzbrojeni w noże z łańcuchami i shuriken – broń do ciskania w kształcie gwiazdy, z ostrymi kolcami maczanymi w truciźnie, albo dysku wielkości dłoni. Na plecach nosili worki i krótkie kije.

Ninja byli płatnymi wojownikami. Mistrzami podstępu i zasadzki z haniebną specjalnością – szpiegostwo i zabójstwo.

Dziesięciu intruzów wylądowało bezszelestnie na dachu. Pozwijali liny, a czterech zaczepiło haki o jakiś występ i natychmiast spuściło się niżej, na balkon. Kiedy znaleźli się tam, nie wydając żadnego dźwięku, ich towarzysze odczepili haki, spuścili je na dół, a sami ruszyli dalej.

Pękła dachówka i wszyscy zamarli. Na dziedzińcu, trzy piętra niżej, robił obchód Sumiyori. Zatrzymał się i zadarł głowę, mrużąc oczy. Trwał w bezruchu z otwartymi ustami, żeby lepiej słyszeć, powoli przesuwając czujne spojrzenie. Dach, gdzie stali ninja, był w cieniu, księżyc ledwie świecił, gwiazdy traciły blask w parnym powietrzu. Wojownicy ani drgnęli, oddychając płytko, niedostrzegalnie, stapiając się w nieożywioną całość z dachówkami, na których stali.

Sumiyori ponowił oględziny, cały czas nasłuchując, potem jeszcze raz potoczył wzrokiem, wreszcie wyszedł bardziej na środek, skąd miał lepszy widok. Czterech ninja na balkonie znalazło się w polu jego widzenia, ale ponieważ znieruchomieli jak tamci, też ich nie zauważył.

–Hej! – zawołał do wartowników przy zabarykadowanej na noc bramie. – Widzieliście coś, słyszeliście?!

–Nie, kapitanie – odpowiedzieli czujni wartownicy. – Dachówki zawsze trzeszczą, same się przesuwają, od wilgoci albo może od ciepła.

–Idź na górę i rozejrzyj się – polecił jednemu z nich Sumiyori. – A jeszcze lepiej powiedz wartownikom na ostatnim piętrze, żeby przeszukali wszystkie izby.

Wartownik oddalił się pośpiesznie. Sumiyori jeszcze raz zadarł głowę, popatrzył, wzruszył ramionami i uspokojony podjął przerwany patrol. Pozostali samuraje wrócili na posterunki.

Ninja na dachu i balkonie trwali w takich pozach, w jakich zastygli. Nawet okiem nie mrugnęli. Umieli pozostawać w bezruchu godzinami, gdyby zaszła taka potrzeba – opanowywali tę umiejętność podczas ciągłego szkolenia. Na znak przywódcy ruszyli do ataku. Haki i liny umożliwiły im przedostanie się na drugi balkon, skąd mogli Wsłiznąć się do środka przez wąskie okna w granitowym murze. Było to możliwe na ostatnim piętrze, bo poniżej wszystkie okna – stanowiska obronne dla łuczników – przypominały szpary, przez które człowiek by się nie przecisnął. Na dany znak oba oddziały jednocześnie weszły do twierdzy.

W dwu ciemnych izbach spali w równych rzędach Brązowi. Podrzynano im gardła szybko i niemal bezgłośnie. Wyćwiczone zmysły naprowadziły napastników bezbłędnie na cel i po chwili ostatni z dziesięciu Brązowych dusił się z zamartwieniem na ustach ostrzegawczym okrzykiem. Kiedy nikt już im nie zagrażał, przywódca wyjął krzesiwo, zapalił świecę, poniosł ją do okna, osłaniając ostrożnie, i trzy razy posłał w ciemność sygnał. Tymczasem jego ludzie upewnili się, czy w którymś z Brązowych nie tli się jeszcze życie. Przywódca powtórzył sygnał, odsunął się od okna i Wydał polecenie umownymi gestami.

Napastnicy rozwiązywali worki i naszykowali broń – krótkie obosieczne, zakrzywione noże z przymocowanym do trzonka łańcuchem z ciężarkiem, shuriken i noże do rzucania. Na kolejny rozkaz wskazani ninja wydobyli z pokrowców kije i błyskawicznie porozkładali je na całą długość. Były to włócznie i rurki do dmuchania strzał. Po skończonych przygotowaniach każdy klękał twarzą do drzwi i zastygał w bezruchu. Kiedy wszyscy byli gotowi, przywódca zgasił świecę.

Dzwony w mieście wybiły środek godziny Tygrysa, czwartą rano. Wtedy, godzinę przed świtem, wtargnęła do twierdzy druga fala ninja. Dwudziestu wojowników wysunęło się z nie używanego kanału, do którego sphywały kiedyś strumyki z ogrodu. Ci byli uzbrojeni w miecze. Rozbiegli się po zaroślach jak cienie, znieruchomieli i stali się prawie niewidoczni. W tym samym czasie drugich dwudziestu wspinało się po linach na mury, z których roztaczał się widok na dziedziniec i ogród.

Na blankach stało dwóch Brązowych, obserwując puste dachy po drugiej stronie ulicy. Jeden z nich rozejrzał się, spostrzegł haki i zaalarmował drugiego. Ledwie tamten otworzył usta do krzyku, w otworze strzelniczym pojawił się Nina, i strzepnął ręką posyłając kolczasty shuriken prosto w twarz samuraja, który okropnie zacharczał. Ninja rzucił się na drugiego wartownika i dwoma naprężonymi palcami dźgnął go w szyję. Celne uderzenie sparaliżowało go, pod kolejnym ciosem pękł mu z trzaskiem kark. Ninja doskoczył do wartownika, który próbował wyrwać metalowe kolce tkwiące w twarzy. Trucizna już działała.

Konający samuraj resztkami sił wyszarpnął krótki miecz i uderzył. Mocno zraniony ninja stęknął, ale nie zatrzymał się i uderzeniem dłoni odrzucił głowę Brązowego w

tył, aż puściły kręgi. Samuraj wyzionął ducha na stojąco.

Ninja krwawił, ale nie wydał z siebie głosu. Przytrzymał trupa, położył go na kamiennych płytach i osunął się na kolana. Pozostali napastnicy wspięli się tymczasem po linach i omijając rannego towarzysza rozeszli się po murach. Ranny klęczał przy trupie Brązowego, trzymając się za bok. Przywódca obejrzał ranę, z której tryskała krew. Potrząsnął głową i dał znak palcami. Ninja posłusznie doczołgał się do kamiennego kąta, znacząc szeroki krwawy ślad. Oparł się wygodnie i wyjął shuriken. Zadrapał się po wierzchu dłoni zatrutymi kolcami, wyjął sztylet, przyłożył czubek ostrza u nasady szyi i z całych sił, oburącz, pchnął.

Przywódca upewnił się, że jego wojownik nie żyje, podszedł do okutych drzwi i ostrożnie je otworzył. W tym momencie ninja usłyszeli, że ktoś nadchodzi, i natychmiast zaczęli się, szykując zasadzkę.

Korytarzem zachodniego skrzydła zamku podążał Sumiyori z Brązowymi. Dwóch zostawił przy drzwiach i nie zatrzymując się szedł dalej. Dwaj zmiennicy wyszli na mury, kiedy Sumiyori dotarł do rogu i krętymi schodami zszedł piętro niżej. Tam, na drugim posterunku, ukłoniło mu się dwóch zmęczonych samurajów, którzy zostali złuzowani.

–Wracajcie do kwatery razem z tamtymi na górze. Obudzimy was o świcie – rzekł Sumiyori.

–Tak jest, kapitanie.

Dwaj samuraje ruszyli schodami, zadowoleni, że skończyła im się warta. Sumiyori pozmieniał wartowników na drugim korytarzu. Z dwoma ostatnimi żołnierzami dotarł do drzwi, przed którymi zatrzymał się, i zapukał.

–Yabu-san?

–Tak? – odpowiedział zaspany głos.

–Przepraszam, zmiana warty.

–A, dziękuję. Proszę wejść.

Sumiyori otworzył drzwi, ale przezornie stanął w progu. Wyrwany ze snu Yabu podparł się na łokciu, a drugą rękę położył na rękojeści miecza. Upewniwszy się, że to Sumiyori, puścił miecz i ziewnął.

–Coś nowego, kapitanie? – spytał.

Czułość nie była już potrzebna. Sumiyori potrząsnął głową, wszedł i zamknął drzwi.

W dużej schludnej izbie czekały fu tony, zapraszając wywiniętym brzegiem kołdry, żeby się położyć. Szpary okienne dla łuczników, trzydzieści stóp nad ziemią, wychodziły na ulicę i miasto.

–Nic się nie dzieje. Pani Toda śpi... Tak powiedziała służąca, Chimmoko.

Podszedł do niskiej komody, na której paliła się lampka oliwna, nalał zimnej cha do filiżanki. Przy czajniku leżała przepustka z pieczęcią Ishido, przyniesiona przez Yabu.

–Anjin-san? – spytał Yabu przeciągając się i ziewając.

–Nie spał, kiedy zaglądałem do niego ostatni raz, o północy. Prosił, żebym więcej do niego nie zaglądał, dopiero przed świtem, mówił coś o swoich zwyczajach. Nie wszystko zrozumiałem, ale nic się nie stanie, mamy wielu czujnych wartowników, ne? U pań jest cicho, chociaż Kiritsubo-san prawie przez całą noc się nie kładła.

Yabu wstał. Był prawie nagi, miał tylko przepasane biodra. – A co robiła?

–Siedziała przy oknie, wyglądała. Chociaż nie było na co patrzeć. Poradziłem jej, żeby się położyła. Podziękowała za dobrą radę, ale nie ruszyła się z miejsca. Kobiety, ne?

Yabu rozruszał ramiona i łokcie, podrapał się energicznie, żeby pobudzić krążenie. Zaczął się ubierać.

–Powinna odpocząć. Ma dziś przed sobą długą drogę. Sumiyori odstawił filiżankę.

–Wydaje mi się, że to podstęp.

–Co?

–Wątpię, żeby Ishido naprawdę chciał nas wypuścić.

–Mamy podpisane przepustki. Dla wszystkich. Sam sprawdzałeś, kapitanie, nazwiska. Jak mógłby wycofać się z danego publicznie przyrzeczenia? To niemożliwe, ne?

–Nie wiem. Daruj, Yabu-san, ale nadal uważam, że to podstęp. Yabu niespiesznie zawiązywał pas.

–Jaki podstęp?

–Wpadniemy w zasadzkę.

–Po wyjściu z zamku?

–Tak. Tak właśnie myślę. – Sumiyori pokiwał głową.

–Nie odważyłby się.

–Odważy się. Urządzi zasadzkę albo opóźni nasz wyjazd. Nie wyobrażam sobie, żeby puścił panią Todę, panią Kiritsubo, panią Sazuko i dziecko. A choćby panią Etsu albo kogokolwiek innego.

–Mylisz się, kapitanie.

Sumiyori potrząsnął głową ze smutkiem.

–Najlepszym wyjściem było seppuku. Bo tak nic nie zostało rozstrzygnięte.

Yabu wziął miecze i zatknął je za pas. Zgadza się, rzekł w duchu. Nic nie zostało rozstrzygnięte, a pani Toda nie spełniła swojego obowiązku. Ja o tym wiem, ty, kapitanie, Ishido też. Co za dyshonor! Gdyby zrobiła to cięcie sztyletem, okrylibyśmy się sławą na wieki. A tak... wróciła znad skraju przepaści, poniżyła nas, poniżyła siebie. Shigata ga nai, ne? Głupia! – pomyślał, ale na głos rzekł:

–Mylisz się, kapitanie. Pokonała Ishido. Pani Toda zwyciężyła. Ishido nie odważy się urządzić zasadzki. Idź spać, obudzę cię o świcie.

–Nie, dziękuję, Yabu-san, pójdę jeszcze raz na obchód. – Sumiyori podszedł do okna i wyjrzał. – Coś jest nie tak.

–Nic się nie dzieje. Odpocznij... Chwileczkę! Co to było?

Yabu podszedł do Sumiyoriego, udał, że wpatruje się w ciemności i nasłuchuje, a potem znenacka wyszarpnął krótki miecz i wbił go w plecy kapitana jednocześnie zatykając mu usta ręką. Sumiyori skonał. – Trzymając go na wyciągniętych rękach, żeby nie poplamieć się krwią, Yabu zaniósł trupą na futony i ułożył jak śpiącego. Oswobodził miecz i zaczął go czyścić wściekły, że intuicja Sumiyoriego zmusiła go do tego nie planowanego zabójstwa. Nie mógł przecież pozwolić, żeby Sumiyori kręcił się po korytarzach.

Poprzedniego dnia, kiedy wracał z przepustkami do kwatery, zastąpił mu drogę nieznanomy samuraj.

–Jesteś zaproszony do współpracy, Yabu-san.

–W czym i przez kogo?

–Przez kogoś, komu złożyłeś wczoraj propozycję.

–Jaką propozycję?

–Że w zamian za przepustki dla ciebie i Anjin-sana, postarasz się, żeby pani Toda została rozbrojona podczas zasadzki, kiedy będziecie w drodze;... Proszę, nie dotykaj miecza, Yabu-san, celuje w ciebie czterech łuczników!

–Jak śmiesz mnie napastować? O jakiej zasadzce mówisz? – rzekł udając oburzenie, choć nogi się pod nim ugięły. Samuraj był bez wątpienia posłańcem Ishido.

Rzeczywiście złożył po cichu taką propozycję przez swoich pośredników, chcąc za wszelką cenę uratować coś ze zrujnowanych przez Mariko planów związanych z Czarną Karawelą. Wiedział od razu, że to wariacki pomysł. Rozbroić Mariko i zachować życie graniczyło z niemożliwością, obie strony dużo ryzykowały. Nie zdziwił się więc, kiedy Ishido przesłał odpowiedź odmowną.

–Nie słyszałem o żadnej zasadzce – zaprzeczył gniewnie, żałując, że nie ma przy nim Yuriko, która wybawiłaby go z tarapatów.

–Jesteś jednak proszony o udział, chociaż na innych warunkach.

–Kim jesteś?.

–W zamian dostaniesz Izu, barbarzyńcę i jego statek, kiedy głowa wroga spadnie na ziemię. Oczywiście, jeżeli panią Todę dostaniemy żywą, a ty zostaniesz w Osace do przyjazdu cesarza i złożysz przysięgę wierności.

–Czyja głowa? – spytał Yabu, zmuszając się do myślenia, bo właśnie uprzytomnił sobie, że Ishido wezwał go po przepustki wyłącznie po to, by potajemnie, z zachowaniem środków ostrożności, przedstawić mu swoją propozycję.

–Zgadzasz się czy nie? – spytał samuraj.

–Kim jesteś i o czym mówisz? – Yabu podniósł rękę, w której trzymał dokumenty. – Oto przepustki pana Ishido. Nawet generał nie może ich cofnąć po tym, co się stało.

–Tak mówi wielu. Ale prędzej byki będą srały złotem, niż pozwolimy tobie albo komukolwiek obrażać pana Yaemona... Bądź łaskaw zdjąć rękę z miecza, panie!

–Uważaj lepiej, jak się wyrażasz!

–Przepraszam. Więc zgadzasz się?

–Jestem w tej chwili władcą Izu, a obiecano mi Totomi i Surugę – zaczął targować się Yabu. Wiedział, że choć on i Mariko są w potrzasku, tak samo znalazł się w pułapce Ishido.

–Owszem, jesteś – odparł samuraj. – Ale ja nie jestem upoważniony do negocjacji. Przedstawiłem warunki. Zgadzasz się czy nie?

Yabu skończył czyścić miecz, poprawił kołdrę na leżącym jak we śnie Sumiyorim. Wytarł spocone ręce i twarz, opanował nerwy, zgasił świecę i otworzył drzwi. Dwaj Brązowi czekali nie opodal w korytarzu. Ukłonili się.

–Obudzę cię o świcie, Sumiyori-san – rzekł Yabu do ciemnej izby i zwrócił się do jednego z samurajów: – Stań tu na straży. Nikogo nie wpuszczaj. Nikogo! Kapitan musi odpocząć, niech nikt mu nie przeszkadza.

–Tak, panie.

Samuraj stanął na posterunku, a Yabu z drugim wartownikiem pomaszzerowali korytarzem, weszli po schodach i skierowali się do sali audiencyjnej i komnat we wschodnim skrzydle. Wkrótce znaleźli się w korytarzu prowadzącym do dużej sali. Wartownicy ukłonili się i Wpuścili go do środka. Przepuścili go też wartownicy strzegący drzwi do następnego korytarza i kwater. Stanął przed właściwymi drzwiami i zapukał.

–Anjin-san? – spytał cicho.

Nikt nie odpowiedział. Odsunął shoji. W izbie nie było nikogo, ale zobaczył odsunięte drugie shoji. Zmarszczył brwi, dał znak wartownikowi, żeby zaczekał, przemierzył pokój i wszedł do ciemnego korytarzyka. Zagroziła mu drogę Chimmoko, z nożem w ręku. Jej posłanie leżało u progu jednego z pokoi.

–Wybacz, panie, zdrzemnęłam się – wytłumaczyła się opuszczając rękę. Nie usunęła się jednak na bok.

–Szukam Anjin-sana.

–Rozmawia z moją panią, wielmożny panie, z Kiritsubo-san i z panią Achiko.

–Spytaj go, proszę, czy mógłby na chwilę do mnie wyjść.

–Oczywiście, panie.

Zapraszającym gestem Chimmoko wskazała Yabu pierwszy pokój, a kiedy tam zawrócił, zasunęła za nim shoji. Wartownik w głównym korytarzu przyglądał się ciekawie.

Po chwili shoji znów się uchyliło i wszedł Blackthorne. Miał przypasany krótki miecz.

–Dobry wieczór, Yabu-san – rzekł.

–Przepraszam, że przeszkadzam, Anjin-san. Chciałem tylko sprawdzić... zobaczyć, czy wszystko w porządku, rozumiesz?

–Tak, dziękuję. Nie ma zmartwienia.

–Pani Toda dobrze się czuje? Nie chora?

–Teraz zdrowa. Zmęczona, ale zdrowa. Niedługo świt, ne?

–Tak. – Yabu kiwnął głową. – Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku. Rozumiesz?

–Tak. Po południu powiedziałaś „plan”, pamiętasz Yabu-san? Proszę, jaki tajemniczy plan?

–To żadna tajemnica, Anjin-san – odparł Yabu żałując, że niepotrzebnie tyle gadał. – Żle mnie zrozumiałaś. Mówiłem, że musimy mieć plan... bardzo trudno uciec z Osaki, ne? Musimy uciec, bo... – Yabu wymownie przeciągnął ręką po szyi. – Rozumiesz?

–Tak. Ale teraz mamy przepustki, ne? Wyjeżdżamy bezpiecznie z Osaki. Ne?

–Tak. Niedługo wyjeżdżamy. Statkiem bardzo dobrze. Niedługo zbierzemy ludzi w Nagasaki. Rozumiesz?

–Tak.

Z przyjazną miną Yabu odwrócił się i odszedł. Blackthorne zamknął za nim drzwi, wyszedł na wewnętrzny korytarz, zostawiając uchylone shoji. Minął Chimmoko i udał się do pokoju, w którym spoczywała na futonach Mariko, drobna i krucha, piękniejsza niż zwykle. Kiri klęczała na poduszce. Achiko leżała obok i spała.

–Czego chciał, Anjin-san? – spytała Mariko.

–Dowiedzieć się, czy wszystko u nas w porządku.

Mariko przetłumaczyła dla Kiri.

–Kiri mówi, czy spytałeś go o ten „plan”?

–Tak, ale mnie zbył. Może zmienił zdanie. Nie wiem. Może się myliłem, ale zdawało mi się po południu, że miał jakiś plan albo go układał.

–Chciał nas zdradzić?

–Oczywiście. Ale nie wiem jak. Mariko uśmiechnęła się.

–Może się myliłeś. Teraz jesteśmy bezpieczni.

Spojrzeni na Achiko, która mamrotała coś przez sen. Została przy Mariko na swoją prośbę, podobnie jak pani Etsu, która spała w sąsiednim pokoju. Pozostałe panie rozeszły się do swoich kwatery o zachodzie słońca. Wszystkie wystosowały prośby o zezwolenie na wyjazd. Rozeszła się wieść, że nazajutrz ponad sto dalszych złoży podania. Kiyama posłał po Achiko, żonę swojego wnuka, ale nie usłuchała go i została z Mariko. Daimyō wydziedziczył ją i zażądał oddania prawnika. Achiko rozstała się z dzieckiem. Dręczył ją teraz zły sen, ale wkrótce minął i dziewczyna spała spokojnie dalej.

Mariko spojrzała na Blackthorne'a.

–To cudownie odnaleźć spokój, ne?

–Tak.

Kiedy po przebudzeniu przekonała się, że żyje, nie mogła rozstać się z Blackthorne'em. Przez godzinę byli sami, leżała w jego objęciach.

–Tak się cieszę, że żyjesz, Mariko. Już widziałem cię martwą.

–Ja też myślałam, że już nie żyję. Wciąż nie mogę uwierzyć, że Ishido ustąpił. Choćbym miała żyć dwadzieścia razy... Kocham twoje ręce i twoją siłę.

–Od chwili, kiedy wezwano Yoshinakę do okazania przepustek, miałem przed oczami śmierć, która czeka ciebie, mnie, wszystkich. Przejrzałem twój plan. Układałaś go długo, ne?

–Tak. Od dnia trzęsienia ziemi, Anjin-san. Wybacz mi, nie chciałam... nie chciałam cię straszyć. Bałam się, że nie zrozumiesz. Tak, od tamtego dnia wiedziałam, że moim przeznaczeniem jest wyprowadzić zakładników z Osaki. Tylko ja mogłam tego dokonać dla pana Toranagi. I dokonałam. Ale jakim kosztem, ne? Madonno, przebacz.

Potem przyszła Kiri, więc musieli się rozłączyć i usiąść osobno, ale to nie miało znaczenia. Wystarczył uśmiech, spojrzenie, jedno słowo.

Kiri podeszła do wąskiego okna. Punkciki światła na morzu sygnalizowały płynące do brzegu łodzie rybackie.

–Niedługo będzie świtać – powiedziała.

–Tak – odparła Mariko. – Wstanę już.

–Jeszcze nie, Mariko-sama. Odpoczywaj, proszę. Musisz nabrać sił.

–Chciałabym, żeby był tu pan Toranaga.

–Tak.

–Przygotowałaś drugą wiadomość o... o naszym wyjeździe?

–Tak, Mariko-sama, drugi gołąb wyleci o świcie. Pan Toranaga dowie się dziś o twoim zwycięstwie. Będzie z ciebie bardzo dumny.

–Cieszę się, że nie mylił się w swoich przewidywaniach.

–Tak – odparła Kiri. – Wybacz, proszę, że „wątpiłam w ciebie i w niego.

–Ja w głębi duszy też w niego zwątpiłam. Niestety.

Kiri odwróciła się do okna i popatrzyła na miasto. Miała ochotę krzyknąć; Toranaga myli się! Nigdy nie wyjedziemy z Osaki, choćbyśmy nie wiem jak udawały, że tak się stanie. Naszym przeznaczeniem jest zostać tu, a jego – przegrać.

W zachodnim skrzydle Yabu zatrzymał się przy pokoju wartowników. Nowa zmiana warty była gotowa do objęcia służby.

–Przeprowadzę inspekcję.

–Tak jest, panie.

–Ty chodź ze mną. Reszta niech czeka.

Razem z wybranym samurajem zszedł do dużej sieni, strzeżonej przez wartowników, skąd wychodziło się na dziedziniec i do ogrodu. Jeden rzut oka przekonał go, że wszystko jest w porządku. Zawrócił do twierdzy, po chwili skręcił i ku zdumieniu wartownika zszedł do kwater służby. Służący budzili się z trudem i pośpiesznie przykładali czoła do kamiennej posadzki. Yabu minął ich obojętnie. Schodził coraz niżej rzadko uczęszczanymi, ale dobrze oświetlonymi korytarzami. Omszałe ściany połyskiwały wilgocią. Nikt nie strzegł tych podziemi, bo nie było czego strzec. Wkrótce zaczęli podchodzić wyżej, zbliżając się do murów obronnych.

–Co to było? – spytał Yabu, zatrzymując się raptownie.

Samuraj stanął, zaczął nasłuchiwać i padł zabity. Yabu oczyścił miecz, odciągnął trupa w ciemny kąt i podbiegł do ledwie widocznych, niedużych metalowych drzwi, o których powiedział mu wysłannik Ishido. Mocował się chwilę z zardzewiałymi

zasuwami. Kiedy ostatnia ustąpiła, drzwi otworzyły się. Wionęło zimne powietrze. Wysunęła się włócznia i dźgnęła Yabu w szyję, zatrzymując się w porę. Yabu zmarł. Z gęstej ciemności patrzyli na niego uzbrojeni wojownicy ninja.

Yabu uniósł drżącą rękę i dał umówiony znak.

–Jestem Kasigi Yabu – powiedział.

Pierwszy ninja, niemal niewidoczny w czarnym stroju, skinął głową, ale cały czas był gotów zadać cios. Dał znak Yabu, który posłusznie cofnął się o krok. Wysoki, potężny ninja wyszedł ostrożnie na korytarz. Skośnymi, szeroko rozstawionymi oczami rozglądał się zza maski. Spostrzegł leżącego Brązowego i cisnął w niego włócznią. Potem uwolnił ją, pociągając za umocowany do niej lekki łańcuch. Po cichu zwinął łańcuch nasłuchując, czy gdzieś nie czyha niebezpieczeństwo.

Wreszcie skinął ręką. Z ciemności wysypało się dwudziestu wojowników, którzy od razu pobiegli do zapomnianych schodów prowadzących na górę. Byli przygotowani do ataku, uzbrojeni w noże z łańcuchami, miecze i shuriken. Na środku czarnych kapturów mieli czerwone kółka.

Przywódca, nie spuszczać z oka Yabu, powoli odliczał na palcach. Yabu wyczuwał obecność licznego oddziału w ciemnym lochu, ale nie widział nikogo.

Oznakowani napastnicy, przeskakując stopnie, dotarli do szczytu schodów i tam się zatrzymali. Zagrodziły im drogę drzwi. Odczekali chwilę i spróbowali je otworzyć. Nie ustąpiły. Podszedł ninja z krótkim łomem i podważył je. Za drzwiami zaczynał się drugi omszały korytarz. Ruszyli bez słowa i zatrzymali się dopiero przed zakrętem. Ten, który szedł pierwszy, wyjrzał za róg i kiwnął na towarzyszy. Na końcu korytarza jaśniała smuga światła. Wydostawała się przez niewielki otwór w zamaskowanych drzwiach. Ninja przyłożył oko do dziurki. Zobaczył salę audiencyjną, dwóch Brązowych i dwóch Szarych niezbyt czujnie pełniących wartę pod drzwiami do kwater! Obejrzał się, kiwnął głową... Jeden z jego ludzi odliczał na palcach, odmierzając czas z tą samą dokładnością co przywódca dwa piętra niżej. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na liczącego.

W piwnicy przywódca rytmicznie odginał palce, wpatrując się przez cały czas w Yabu. Yabu też patrzył i czekał, pocąc się ze strachu. Ninja przestał liczyć i zacisnął pięść. Wskazał korytarz. Yabu kiwnął głową, odwrócił się i ruszył powoli tam, skąd przybył. Za jego plecami znów rozpoczęło się nieubłagane odliczanie.

Yabu znał ogrom ryzyka, na jakie się narażał z poczuciem, że nie ma wyboru. Znów przeklął Mariko, że przez nią musiał przejść na stronę Ishido. Jednym z warunków zawartej umowy było, że otworzy ukryte w podziemiach drzwi. Zgodził się na wszystko, ale nie było mowy o wojownikach ninja, znenawidzonych i budzących

postrach najemnikach, którzy dochowywali wierności tylko rodzinie i wprowadzali w arkana fachu tylko najbliższych krewnych – uczyli przepływać pod wodą na dużą odległość, wspinać się na gładki mur, maskować się, trwać w bezruchu dzień i noc, zabijać rękoma, nogami, każdą bronią i każdym sposobem, trucizną, ogniem, prochem. Jedynym celem życia wojowników ninja było zadawanie śmierci za opłatą.

Yabu z pewnym wysiłkiem utrzymał równy krok, oddalając się od przywódcy ninja. Gniotło go w piersi zdumienie, że napastnikami są ninja, a nie roninowie. Ishido oszalał, myślał roztrzęsiony, spodziewając się w każdej chwili włóczni, strzały albo garoty. Już dochodził do zakrętu. Ledwie go minął, puścił się pędem i wbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz. Na górze pobiegł następnym sklepionym korytarzem i znów skręcił w stronę pokoi czeladnych.

Ninja odliczał cały czas na palcach, wreszcie przestał. Szybko dał znak ręką i pobiegł za Yabu. Z ciemności wyskoczyło dwudziestu ninja, którzy podążyli za nim, a dalszych piętnastu ustawiło się na obu końcach korytarza, żeby bronić drogi ucieczki, prowadzącej przez podziemny labirynt lochów pod zamkiem do jednego z kanałów przekopanych pod fosą i znanych tylko Ishido. Tamtędy można było przedostać się do miasta.

Yabu potknął się w biegu, ledwie utrzymał na nogach, wpadł do pokoju czeladzi, roztrącając miski, garnki, tykwy.

–Ninjaaaaaa! – ryknął, co nie było przewidziane w umowie, ale takim podstępem postanowił się bronić na wypadek zdrady.

Przerażeni służący zawtórowali mu krzykami, chowając się w popłochu pod ławy i stoły. Yabu, nie zatrzymując się, gnał przed siebie, znów wbiegł po schodach i wypadł na jeden z głównych korytarzy, gdzie, natknął się na Brązowych z dobytymi mieczami.

–Alarm! – krzyknął. – Ninja... wśród służby są ninja!

Jeden samuraj pobiegł natychmiast do głównych schodów, a drugi rzucił się do krętych schodów prowadzących na dół i stanął u szczytu z uniesionym mieczem, gotów ich bronić do ostatka. Na jego widok rozpędzeni służący stanęli jak wryci, z jękiem przypadli do kamiennych murów, skulili się, osłaniając rękoma głowy. Yabu wybiegł przez drzwi wejściowe i zawołał:

–Alarm! Atakują nas!

Tak było umówione. Na ten znak czekali ninja w ogrodzie. Do nich należało odwrócić uwagę od głównego ataku – przez ukryte drzwi do sali audiencyjnej – którego celem było porwanie Mariko.

Samuraje przy bramie i na dziedzińcu rozglądali się skonsternowani, gdy wtem ukryci w ogrodzie ninja rzucili się na nich hurmem. Kiedy Yabu cofnął się do sieni, z pokoju wartowników na górze nadbiegły właśnie posiłki Brązowych.

–Co się dzieje?! – zawołał dowódca straży.

–Ninja, na dziedzińcu i wśród służby. Gdzie Sumiyori?

–Nie wiem... w swojej kwaterze.

Yabu skoczył na schody mijając pędzących na dół samurajów. Równocześnie ruszyli do ataku ninja w piwnicach. Kolczaste shuriken zgładziły samotnego obrońcę na schodach, służący poginęli przebici włóczniami. Kiedy fala szturmujących dotarła do głównego korytarza, wprowadziła wrzaskiem takie zamieszanie, że rozgorączkowani Brązowi nie wiedzieli, w którą stronę się obrócić.

Czekający na poddaszu ninja, słysząc pierwszy alarmujący krzyk, wypadli ze swoich kryjówek, dogonili i pozabijali ostatnich spośród spieszących tłumnie na dół Brązowych. Ciskając shuriken i zatrute strzały powalali coraz to nowe ofiary. Brązowi szybko zostali pokonani, napastnicy przeskoczyli ciała i parli naprzód, do głównego korytarza piętro niżej. Gwałtowna szarża przybyłych na odsiecz Brązowych załamała się. Ninja rzucali wirujące łańcuchy, które dusiły samurajów albo oplątywały się wokół mieczy – stawali się wtedy łatwym celem dla obosiecznych noży. W powietrzu śmigły shuriken, dziesiątkując Brązowych. Kilku ninja, którzy padli zranieni, czołgało się i walczyło jak wściekłe zwierzęta, do ostatka.

Pierwsze posiłki Brązowych, którzy pośpieszyli do ogrodu, okazały się za słabe. Dopiero wzmocniony liczebnie drugi atak powiódł się. Na dany rozkaz ninja wycofali się, dzięki maskującym strojom unikając poważniejszych strat w swoich szeregach. Uradowani Brązowi rzucili się za nimi i wpadli w zasadzkę, z której nikt nie wyszedł żywy.

Oznakowani napastnicy cały czas czekali pod ukrytymi drzwiami do sali audiencyjnej. Ich przywódca patrzył przez dziurkę na Brązowych i strzegących Blackthorne'a Szarych, którzy pilnowali okutych drzwi na korytarz, wsłuchując się niespokojnie w odgłosy rzezi na dole. Drzwi otworzyły się, pokazali się w nich stłoczeni Brązowi i Szarzy. Oficerowie obu grup, nie wytrzymując napięcia, rozkazali żołnierzom, opuścić salę i zająć stanowiska obronne na końcu korytarza. Droga była wolna, drzwi wewnętrznego korytarza otwarte, a stojący przy nich dowódca Szarych szykował się do odejścia. Podbiegła tam kobieta z wysokim barbarzyńcą, za nimi garstka kobiet. Ninja rozpoznał swoją ofiarę.

Pilno mu było wykonać zadanie i wrócić do czekających w napięciu krewnych na dole, trawiła go żądza zabijania, dlatego o ułamek sekundy za wcześnie dał sygnał i

wypadł przez drzwi.

Widząc go Blackthorne odruchowo wyciągnął zza kimona pistolet i strzelił. Trafił w głowę nacierającego, co na moment powstrzymało atak. Dowódca Szarych, który przybiegł w tym czasie, z dziką zajadłością rzucił się i powalił jednego ninję. Zgraja rzuciła się na Szarego i zabiła go, ale dzięki kilku sekundom zwłoki Blackthorne zdążył pociągnąć Mariko, zatrzasnąć drzwi, zasunąć żelazną sztabę. Ninja doskoczyli do zawarowanych drzwi. Część rozbiegła się, żeby obstawić główne wejście.

–Chryste Panie! Co się...

–Ninjaaaaaa! – okrzyknęła Mariko.

Kiri, pani Sazuko, pani Etsu, Achiko, Chimmoko i inne służące wybiegły z krzykiem z pokoi. Napastnicy walili w drzwi.

–Szybko, tędy! – zawołała Kiri, biegnąc w głąb apartamentów.

Kobiety uciekały za nią, nie oglądając się na nic. Dwie pomagały pani Etsu. Drzwi dygotały pod wściekłymi uderzeniami łomów i pękały. Widząc to Blackthorne pobiegł do pokoju po rożek z prochem” i miecze. W sali audiencyjnej ninja położyli trupem sześciu Brązowych i Szarych przy drzwiach, a pozostałych pokonali w korytarzu. Zabarykowali drzwi broniące dostępu do tej części piętra. W czasie walki zginęło ich dwóch, a dwóch zostało rannych.

–Szybko – warknął nowy przywódca z czerwonym kółkiem.

Wojowników z łomami nie trzeba było popędzać, zapamiętali rozpruwali drzwi. Przywódca zatrzymał się przy ciele brata i kopnął je wściekły, że brat swoją niecierpliwością zepsuł atak przez zaskoczenie. Dołączył do oddziału otaczającego drzwi.

Po drugiej ich stronie, w korytarzu, Blackthorne ładował pistolet poganiany łomotem i trzaskiem. Najpierw proch, pomyślał, podsyp go ostrożnie... łupnęło pękające drewno... ubij papierowym flejtuchem, włóż kulę, przybij flejtuchem... puścił zawias przy drzwiach i w powstałej szparze ukazał się łom... zdmuchnij pył ze skałki.

–Anjin-san! – zawołała Mariko z głębi apartamentów. – Śpiesz się!

Puścił to mimo uszu. Podszedł do drzwi, przyłożył lufę do najeżonej drzazgami szpary na wysokości brzucha i pociągnął za spust. Po drugiej stronie ktoś krzyknął, „walenie ustało. Blackthorne cofnął się, znów zaczął ładować broń. Najpierw proch, podsyp go starannie... Drzwi zatrzęsły się pod naporem ramion, pięści, nóg i łomów... Teraz flejtuch, kula, drugi flejtuch... Drzwi jęknęły, zadygotały, jedna śruba odskoczyła i stuknęła o podłogę...

Zdyszana Kiri biegła korytarzem, dwie służące wlokły panią Etsu.

–Po co biegniemy, nie ma dokąd uciec... – mówiła z płaczem Sazuko.

Ale Kiri potykając się biegła dalej, aż dotarła do pokoju, w którym odsunęła fragment ściany shoji. Ukazały się okute drzwi w kamiennym murze. Pociągnęła je. Ustąpiły lekko.

–To... to kry-kryjówka mojego pana – powiedziała chcąc wejść, ale zatrzymała się w progu. – Gdzie Mariko?

Chimmoko pobiegła z powrotem.

W pierwszym korytarzu Blackthorne zdmuchnął pył ze skałki i podszedł do drzwi. Ledwie się trzymały, ale mógł je jeszcze wykorzystać jako osłonę. Nacisnął spust. Rozległ się krzyk, atak ustał, ale tylko na chwilę. Zagrzmiała nowa seria ciosów, odleciała druga śruba, drzwi zakołysały się. Blackthorne znów zaczął ładować pistolet.

–Anjin-san!

Mariko kiwała na niego rozpaczliwie z końca korytarza, więc chwycił broń i puścił się pędem. Poprowadziła go biegnąc przodem. Drzwi rozpadły się i ninja wdarli się do korytarza.

Mariko pędziła co tchu, Blackthorne tuż za nią. Biegnąc przez pokój zaplątała się w kimono i upadła. Podniósł ją i popędzili dalej razem. Wybiegła im naprzeciw Chimmoko.

–Szybko! – krzyknęła przepuszczając ich.

Dla niepoznaki pośpieszyła kawalek za nimi, potem zawróciła i stanęła z nożem w ręku.

Kiedy ninja wpadli do pokoju, Chimmoko rzuciła się z nożem na pierwszego. Odparował cios i odepchnął ją na bok, tylko na moment przerywając pogoń za Blackthorne'em i Mariko. Ostatni z biegnących uderzeniem stopy złamał kark Chimmoko.

Mariko biegła najszybciej, jak mogła, ale przeszkadzało jej kimono, więc Blackthorne podtrzymał ją i ciągnął. Przebiegli jeden pokój, skręcili, potem drugi i Blackthorne zobaczył otwarte drzwi, przerażone Kiri i Sazuko, a za nimi Achiko i służące opiekujące się panią Etsu. Wepchnął Mariko do środka. Odwrócił się w progu i stał z nie naładowanym pistoletem w jednej ręce i mieczem w drugiej, spodziewając się lada chwila Chimmoko. Ponieważ nie pokazywała się, chciał wracać, ale usłyszał

szarżujących ninja. Jednym susem znalazł się w pokoiku, zobaczył nadbiegającego wojownika, zatrzasnął drzwi. Zgrzytnęły na żelazie włócznie i shuriken. Ledwie zdążył zasunąć zasuwę, kiedy napastnicy rzucili się na drzwi.

Podziękował Bogu za wyratowanie, widząc zaś, że mocne drzwi nie ulegną łatwo łomom, podziękował jeszcze raz. Rozejrzał się zdyszany. Mariko klęczała, łapiąc ustami powietrze. W pokoiku o kamiennych ścianach znalazło schronienie sześć służących, Achiko, Kiri, Sazuko i staruszka, która leżała poblądła, w półprzytomna. Boczne drzwi prowadziły na balkon. Blackthorne podszedł do okna i wyjrzał. Kryjówka zajmowała naroże twierdzy, widać stąd było ulicę i dziedziniec. Z dołu dolatywały odgłosy walki i pojedyncze, przeraźliwe okrzyki wojenne. Na ulicy i na murach naprzeciw zaczęli zbierać się Szarzy i inni samuraje, ale brama na dziedziniec była zamknięta i strzeżona przez ninja...

–Co się dzieje, u licha? – spytał Blackthorne, czując ból w piersiach.

Nikt mu nie odpowiedział, więc przykląkł przy Mariko i lekko nią potrząsnął.

–Co się dzieje?

Nie była w stanie odpowiedzieć.

Yabu biegł szerokim korytarzem w zachodnim skrzydle do swojej kwatery. Skręcił i raptownie zatrzymał się. Zobaczył sporą grupę wycofujących się samurajów, atakowanych wściekle przez napastników, którzy zbiegli z poddasza.

–Co się dzieje?! – zawołał, przekonany, że natarcie miało nastąpić tylko z dołu, – Atakują ze wszystkich stron – odparł zdyszany samuraj. – Ci przyszli z góry...

Yabu zaklął. Zrozumiał, że go oszukano, nie wyjawiono całego planu.

–Gdzie Sumiyori?

–Chyba zginął. Ninja zajęli tamtą część piętra. Miałeś szczęście, panie, że uszedłeś z życiem. Po co właściwie nas atakują?

Odwróciły ich uwagę krzyki. Brązowi przypuścili kontratak, wspomagając samurajów walczących włóczniami. Włócznicy zepchnęli wojowników ninja do tyłu, Brązowi natarli ze zdwojoną siłą. Spadł jednak na nich rój zatrutych shuriken, trafieni padali i umierali, barykadując korytarz. Ci, którzy ocaleli, wycofali się i przegrupowali.

–Wezwać łuczników! – krzyknął Yabu trzymając się w bezpiecznej odległości.

–Po co nas atakują? Dlaczego takimi siłami? – pytał stojący obok samuraj z

zakrwawionym policzkiem. Znienawidzeni, ninja atakowali zwykle w pojedynkę albo małą grupą i po wypełnieniu zadania znikali równie szybko, jak się pojawili.

–Nie wiem – odparł Yabu.

Wrzawa ogarnęła całe skrzydło zamku, niespodziewany i błyskawiczny napad poraził Brązowych i pomieszał im szyki.

–Gdyby Toranaga-sama był w zamku, mógłbym zrozumieć, dlaczego Ishido zarządził taki atak, ale... Dlaczego właśnie teraz? – zastanawiał się samuraj. – Nie ma nikogo... – Raptem go olśniło. – Pani Toda!

Yabu chciał mu to wyperswadować, ale samuraj ryknął:

–Po nią przyszli, Yabu-san! Na pewno przyszli po panią Todę! Skrzyknął Brązowych, którzy pobiegli za nim w stronę wschodniego skrzydła, Po chwili wahania Yabu ruszył ich śladem.

Po drodze musieli przeciąć główny podest opanowany przez ninja i usiany trupami samurajów. Gotowi oddać życie za swoją panią, której groziło niebezpieczeństwo, Brązowi przypuścili atak, którego impet przełamał kordon. Ci pierwsi jednak szybko poginęli. Ale rozchodząca się lotem błyskawicy wiadomość zmobilizowała ich towarzyszy. Yabu pośpieszył naprzód, żeby pokierować walką, trzymając się możliwie najdalej. Jakiś ninja wyciągnął z plecaka tykwę z lontem, który zapalił od pochodni w ścianie, i rzucił ładunek nad głowami Brązowych. Tykwa łupnęła w mur i wybuchła, rozrzucając płonące szczątki. Ninja po – I prowadził natarcie na Brązowych, którzy w rozsypce ruszyli do odwrotu. Pod osłoną dymu napływały z dołu nowe posiłki ninja.

–Wycofać się i przegrupować! – krzyknął Yabu w jednym z korytarzy odchodzących od podestu, chcąc spowodować jak największe” uzasadnione opóźnienie. Przypuszczał, że porywacze niosą już Mariko do lochów i lada chwila zabrzmi róg sygnalizujący odwrót po i wypełnieniu misji.

Wtem z góry oddział Brązowych rzucił się do samobójczego ataku i przełamał kordon za cenę życia. Inni, nie słuchając Yabu, też ruszyli naprzód. Wybuchwały rzucone bomby, od których zapalały się draperie. Ściany stawały w płomieniach, od iskier zajmowały się tatami. Jęzor ognia zagarnął wojownika ninja, zmieniając go w wyjącą pochodnię. Kimono paliło się też na jednym z samurajów, który rzucił się na innego – I ninję, żeby spłonąć razem z nim. Jeden samuraj, tnąc mieczem jak toporem wojennym, przedarł się przez szeregi wroga. Jego śladem poszło dziesięciu samurajów i choć dwóch zginęło na miejscu, a trzech padło I śmiertelnie rannych, pozostałym udało się pobiec do wschodniego skrzydła. Następnym dziesięciu zdecydowało się na to samo. Yabu poprowadził kolejną szarżę, która nie napotkała

oporu, bo ninja sprawnie wycofali się na parter, a stamtąd do piwnic. Rozpoczęła się walka o ślepy korytarz we wschodnim skrzydle.

W pokoiku słyhać było zgrzytanie. Napastnicy dobierali się do drzwi przy podłodze i zawiasach. Raptem rozległo się stukanie i ostry głos. Dwie służące zaczęły szlochać.

–Co powiedział? – spytał Blackthorne.

Mariko oblizwała suche wargi.

–Powiedział, że jeżeli nie otworzymy drzwi i nie poddamy się, to... je wysadzi.

–Mogą to zrobić, Mariko-san?

–Nie wiem. Mogą... mogą użyć prochu i... – Mariko sięgnęła za pas. – Gdzie mój nóż?

Wszystkie damy sięgnęły po broń. Żadna nie miała sztyletu. Blackthorne miał naładowany pistolet i długi miecz. Krótki miecz zgubił podczas ucieczki.

Głos za drzwiami coraz gniewniej domagał się usłuchania rozkazu. Kobiety spojrzały na Blackthorne'a. Mariko wiedziała, że została zdradzona, i nie ma dla niej ratunku.

–Powiedział, że jeżeli otworzymy drzwi i poddamy się, zatrzymają tylko ciebie, a nas puszcza wolno. – Mariko odgarnęła pasmo włosów z twarzy. – Chcą wziąć ciebie jako zakładnika, Anjin-san.

Blackthorne ruszył do drzwi, żeby je otworzyć, ale Mariko błagalnie zastąpiła mu drogę.

–Nie, Anjin-san, to podstęp – rzekła. – Im nie o ciebie chodzi, tylko o mnie! Nie wierz im, jak ja im nie wierzę.

Uśmiechnął się, pogłaskał ją i sięgnął do zasuw.

–Chodzi im o mnie, to podstęp! Przysięgam! Nie wierz im proszę – mówiła chwytając za jego miecz. Zdążyła go do połowy wyciągnąć,, zanim zorientował się i schwycił ją za rękę. – Nie! – zabronił. – Przestań!

–Nie oddawaj mnie w ich ręce! Nie mam noża! Błagam, Anjin-san!

Wyrywała mu się, ale odsunął ją na bok i położył rękę na górnej zasuwie.

–Dózo – zwrócił się do pozostałych, gdy Mariko rozpaczliwie uczepliła się jego ręki.

Podeszła Achiko, żeby ją uspokoić, ale Mariko odepchnęła ją z krzykiem:

–Błagam, Anjin-san, to podstęp, jak mi Bóg miły!

Zasuwa ustąpiła.

–Chcą mnie wziąć żywą! – krzyczała Mariko. – Nie rozumiesz?! Chcą mnie pojmać, schwytać żywą, a wtedy wszystko na nic, jutro Toranaga musi przekroczyć granicę, błagam cię, to podstęp, Bóg mi świadkiem...

Achiko obejmowała Mariko, przekonywała ją, odciągała, a na Blackthorne'a kiwnęła, żeby otwierał drzwi. – Isogi, isogi, Anjin-san. Blackthorne – otworzył środkową zasuwę.

–Tyle krwi się polało, na Boga, niech to nie będzie nadaremno. Pomóż mi! Pamiętaj, co przysięgałeś!

Dotarło do niego znaczenie jej słów. Wystraszony zasunął obie zasuwę.

–Dlaczego miałoby...

Przerwało mu łomotanie w drzwi, żelazo zabrzęczało o żelazo, ktoś przemówił, kończąc krótkim okrzykiem. Zrobiło się cicho. Kobiety rzuciły się pod ścianę.

–Odejdź od drzwi – krzyknęła Mariko, cofając się. – Zaraz je wysadzi!

–Powstrzymaj go przez chwilę – rzekł Blackthorne i doskoczył do drzwi prowadzących na balkon. – Lada chwila przybędą nasi. Ruszaj zasuwami, powiedz, że się zacięły.

Spróbował odsunąć górną zasuwę na drugich drzwiach, ale była zardzewiała. Mariko podbiegła do drzwi wejściowych, udała, że mociuje się ze środkową zasuwą, przemawiając błagalnie do wojownika po drugiej stronie. Zagrzechotała dolną zasuwę. Gniewny głos niecierpliwiał się, Mariko prosiła i zaklinała ze szlochem.

Blackthorne raz po raz uderzał dłonią o oporną zasuwę. Kobiety przyglądały się bezradnie. Wreszcie zamek odskoczył z brzękiem. Mariko zagłuszyła hałas manipulując przy drugich drzwiach. Blackthorne zaatakował ostatnią zasuwę. Ręce miał pokiereszowane. Ninja ponowił groźne ostrzeżenie. Zrozpaczony Blackthorne wyszarpnął miecz i zaczął uderzać rękojeścią jak młotkiem, nie zważając na hałas. Mariko zagłuszała go jak mogła. Zasuwa ani drgnęła.

Za drzwiami przywódca specjalnego oddziału ninja szalał z wściekłości. Ta kryjówka zupełnie go zaskoczyła. Przywódca rodu dał mu rozkaz – schwytać Todę Mariko żywą, rozbroić, przekazać Szarym, którzy czekali w podziemnym tunelu. Wiedział, że

ma coraz mniej czasu. Słyszał walkę toczącą się w korytarzu przed salą audiencyjną i gryzło go, że byliby już z pewnością na dole, gdyby nie ta szczurza nora i głupi, w gorącej wodzie kąpany brat. To mi się trafił braciszek, pomyślał.

Trzymał w ręku świecę, usypana z prochu dróżka prowadziła do beczulek, które przynieśli ze sobą w workach, żeby po ucieczce wysadzić w powietrze tajne wyjście z piwnic. Nie wiedział, co robić. Żeby dostać się do środka, musiał wysadzić drzwi. Ale stała za nimi Toda, więc wybuch zabiłby ją, a pewnie pozostałych także, niszcząc cel okupionej tyłoma stratami wyprawy.

Nadbiegł jeden z jego ludzi.

–Pośpiesz się! – szepnął. – Jeszcze trochę i nie powstrzymamy ich! – Popędził z powrotem.

Przywódca podjął decyzję. Dał znak, żeby wszyscy schowali się i krzyknął ostrzegawczo do uwięzionych:

–Odejdźcie! Wysadzam drzwi!

Przyłożył świecę do prowizorycznego lontu, odskoczył. Zatrzeszczało i wąż prochu ożył.

Blackthorne szarpnął boczne drzwi i otworzył je. Wionęło wonne powietrze. Kobiety wypadły na balkon. Pani Etsu potknęła się, ale Blackthorne podtrzymał ją w porę, wypchnął z pokoju i obrócił się. Nie odstępując na krok od żelaznych drzwi Mariko zawołała:

–Ja, Toda Mariko, protestuję przeciwko tej haniebnej napaści i swoją śmiercią...

Skoczył do niej, ale wybuch odrzucił go na bok. Wyrwane z zawiasów drzwi przeleciały przez pokój i odbiły się z jękiem od ściany. Kobiety na balkonie przewracały się. Kłęby dymu buchnęły do pokoju, a zaraz potem wpadli ninja. Wygięte drzwi wylądowały w kącie.

Przywódca klęknął obok Mariko, pozostali otoczyli go obronnym pierścieniem. Nie było wątpliwości, Mariko umierała. Karma, pomyślał i poderwał się. Ogłuszony Blackthorne powoli odzyskiwał przytomność, z nosa i uszu pociekła mu krew. W kącie leżał skrzywiony pistolet.

Ninja zrobił krok naprzód i stanął. W drzwiach od balkonu ukazała się Achiko. Rozpoznał ją. Zerknął na Blackthorne'a, którego nienawidził za to, że miał pistolet i tchórzliwie strzelał przez drzwi, za pierwszym razem zabijając, za drugim raniąc. Znowu spojrzał na Achiko i sięgnął po nóż. Rzuciła się na oślep i osunęła na podłogę z nożem wbitym w lewą pierś. Ninja podszedł bez gniewu, wyciągnął nóż z drgającego

ciała. Wypełnił ostatni z rozkazów pochodzących, jak przypuszczał, od Ishido, choć nie sposób było tego dowieść. Miał nie ścinać głowy pani Todzie, gdyby udało jej się odebrać sobie życie, chronić barbarzyńcę, a kobiety pozostawić nietknięte z wyjątkiem Kiyamy Achiko. Nie wiedział, dlaczego rozkazano mu ją zabić, ale zapłacono za to, więc zginęła.

Dał sygnał do odwrotu. Jeden z jego ludzi przyłożył do ust róg i zagrał, ostry dźwięk rozniósł się po całym zamku. Przywódca jeszcze raz obejrzał Mariko. Przyjrzał się dziewczynie i barbarzyńcy, któremu życzył śmierci. Wreszcie odwrócił się i poprowadził oddział przez pokoje i korytarze do sali audiencyjnej. Broniący wejścia ninja odczekali, aż oddział specjalny wycofa się, rozrzućili bomby zapalające i dymne i uciekli. Przywódca z czerwonym kółkiem osłaniał ich. Kiedy wszystkim udało się umknąć, rozsypał na podłodze śmiertelne pułapki – kolczaste metalowe kulki z trucizną. Rzucił się do ucieczki, gdy do sali audiencyjnej wpadli przez zasłonę dymną pierwsi Brązowi. Ci, którzy chcieli biec za nim, kaleczyli stopy o zatrute kolce i krzyczeli, skazani na śmierć... W warownej kryjówce słychać było tylko chrapliwy oddech Blackthorne'a. Kiri, która leżała na balkonie z poobcieranymi rękoma i w podartym kimonie, podniosła się z trudem. Weszła do pokoiku, krzyknęła na widok Achiko, dowlokła się do Mariko i osunęła na kolana. Następny wybuch wstrząsnął zamkiem, aż podniósł się kurz, rozległy się krzyki i wołanie „pali się”. Do pokoiku napłynęły kłęby dymu. Sazuko i służące podniosły się z podłogi. Sazuko miała posiniaczoną twarz i ramiona, złamaną rękę. Zobaczyła zastygłą w śmiertelnym przerażeniu twarz Achiko, i zaszlochała.

Kiri obejrzała się na nią i wskazała Blackthorne'a. Dziewczyna podeszła do Kiri i zobaczyła Mariko. Rozplakała się. Po chwili wzięła się w garść i zawróciła do Blackthorne'a, żeby pomóc mu wstać. Podbiegły służące. Podtrzymywany przez nie, podniósł się z trudem, zachwiał i upadł rżężąc. Z uszu sączyła mu się krew. Do pokoju wpadli Brązowi. Rozejrzeli się przerażeni.

Kiri klęczała przy Mariko. Jeden z samurajów pomógł jej wstać, pozostali tłoczyli się wokół. Rozstąpili się, kiedy nadszedł Yabu. Był blady i zdenerwowany, ale kiedy zobaczył, że Blackthorne żyje, trochę się uspokoił.

–Sprowadźcie lekarza! Szybko! – rozkazał i przykląkł przy dogorywającej Mariko. Twarz miała właściwie nietkniętą, ale ciało poszarpane. Yabu zdarł z siebie kimono i przykrył ją po szyję.

–Prędko, lekarza – wykrztusił i podszedł do Blackthorne'a. Pomógł mu usiąść i oprzeć się o ścianę.

–Anjin-san! Anjin-san!

Blackthorne był oszołomiony, dzwoniło mu w uszach, prawie nie widział, twarz miał

pokiereszowaną. Kiedy zaczął Odzyskiwać wzrok, zafalowała mu przed oczami postać Yabu, poczuł gryzący dym, ale nie wiedział, kim jest ani co się z nim dzieje. Zdawało mu się, że jest na pokładzie statku, który został uszkodzony w bitwie i czeka na jego pomoc. Wtem zobaczył Mariko i wszystko mu się przypomniało.

Podniósł się, podtrzymywany przez Yabu, i zataczając się doszedł do niej.

Wyglądała tak spokojnie, jakby spała. Uklęknął ciężko, odsunął kimono. Przykrył ją z powrotem. Puls był ledwie wyczuwalny. Po chwili zanikł.

Patrzył na nią chwiejąc się, omal nie upadł. Przyszedł doktor, potrząsnął głową i coś powiedział, ale Blackthorne nic nie słyszał. Wiedział tylko, że śmierć zabrała Mariko i on też nie żyje.

Zrobił nad nią znak krzyża, wypowiedział po łacinie błogosławieństwo i bezgłośnie odmówił modlitwę. Inni przyglądali mu się. Kiedy skończył, dźwignął się na nogi i wyprostował. Głowa mu pękała, zrobiło mu się czerwono przed oczami, przewrócił się. Pomocne dłonie chwyciły go w porę i ułożyły na podłodze.

–Nie żyje? – spytał Yabu.

–Niewiele mu brakuje – odparł doktor. – Nie wiem, czy nie ma jakiegoś krwotoku.

–Trzeba ich szybko stąd wynieść – rzekł niespokojnie jeden z samurajów. – Jeżeli pożar się rozszerzy, będziemy odcięci.

–Tak – odparł Yabu.

Wyszedł na balkon przywołany przez innego samuraja. Pani Etsu leżała pod ścianą w objęciach służącej. Oczy szklily jej się w poszarzałej twarzy. Z trudem skierowała spojrzenie na Yabu.

–Kasigi Yabu-san?

–Tak, pani.

–Jesteś dowódcą?

–Tak, pani.

Staruszka zwróciła się do służącej.

–Pomóż mi wstać, proszę.

–Zaczekaj, pani, dok...

–Pomóż mi wstać!

Samuraje na werandzie przyglądali się w milczeniu, jak staruszka wstaje, opierając się na służącej.

–Słuchajcie – powiedziała drżącym głosem. – Ja, Maeda Etsu, żona Maeda Arinosi, władcy Nagato, Iwami i Aki, zaświadczam, że Toda Mariko-sama wolała stracić życie niż dostać się w ręce tych bezwstydných potworów i narazić się na hańbę niewoli. Zaświadczam, że... że Kiyama Achiko rzuciła się na wojownika ninja i zginęła, ratując się przed hańbiącą niewolą... że gdyby nie odwaga samuraja barbarzyńcy, pani Toda zostałaby schwytana i poniżona, a my wraz z nią, dlatego jesteśmy mu wdzięczne i nasi panowie też winni mu są wdzięczność za to, że obronił nas przed tą hańbą... Oskarżam generała Ishido o to, że zarządził ten haniebny atak... że zdradził następcę i panią Ochibę... – Staruszka zachwiała się, służąca objęła ją mocniej. – Generał Ishido zdradził ich, zdradził Radę Regentów. Proszę was, bądźcie mi świadkami, że nie mogłam żyć z takim wstydem...

–Nie, pani, nie – szlochała służąca. – Nie pozwolę...

–Zostaw mnie! Kasigi Yabu-san, pomóż mi, proszę. Odejdź, kobieto!

Yabu podparł panią Etsu niemal nie czując jej ciężaru i kazał służącej odejść. Pani Etsu oddychała z trudem.

–Zaświadczam o prawdzie moich słów swoją śmiercią – powiedziała słabnącym głosem i spojrzała na Yabu. – Byłabym zaszczycona, gdybyś... gdybyś został moim sekundantem. Pomóż mi stanąć wyżej.

–Nie trzeba, pani, żebyś umierała.

–Ja już umieram, Yabu-sama – szepnęła tak, żeby inni nie słyszeli. Krwawię, coś we mnie pękło... Pomóż mi spełnić moją powinność... Jestem stara, na nic się nie przydam, a od dwudziestu lat ból towarzyszy mi we dnie i w nocy. Moja śmierć pomoże naszemu panu, ne? – Oczy staruszki roz błysły. – Ne?.

Yabu ostrożnie pomógł jej stanąć na parapecie, z dumą spełniając prośbę. Pod sobą, w dole, mieli dziedziniec. Przytrzymał staruszkę. Wszyscy jej się uklonili.

–Powiedziałam prawdę. Zaświadczam to swoją śmiercią – powiedziała utrzymując się na nogach o własnych siłach. Zamknęła oczy z błogim wyrazem, twarzy i rzuciła się w objęcia śmierci.

Regenci zebrali się w Wielkiej Sali w wieży na drugim piętrze. Ishido, Kiyama, Zataki, Ito i Onoshi. Wschodzące słońce rzucało długie cienie, w powietrzu unosił się przykry swąd.

Pani Ochiba też przyszła, mocno poruszona, jak wszyscy.

–Przepraszam, generale, nie zgadzam się – rzekł Kiyama napiętym, podniesionym głosem. – Nie sposób zlekceważyć seppuku pani Tody, męstwa mojej wnuczki, przypieczętowanego śmiercią, oświadczenia pani Maedy. Dochodzi do tego stu czterdziestu siedmiu poległych żołnierzy Toranagi, skrzydło zamku niemal obrócone w perzynę. Nie można przejść nad tym do porządku dziennego.

–Nie można – poparł go Zataki. Przyjechał poprzedniego dnia z Takato i ze skrywaną radością wysłuchał relacji o starciu Mariko z Ishido.– Gdybyśmy pozwolili jej opuścić zamek wczoraj, jak radziłem, nie znaleźlibyśmy się w tym potrzasku.

–Nie jest tak źle, jak myślisz – rzekł Ishido i zacisnął usta.

Ochiba nienawidziła go w tej chwili za to, że zawiódł, że wciągnął ich w tarapaty.

–Ninja zaatakowali, żeby zdobyć łup – dodał:

–I tym łupem miał być barbarzyńca? – prychnął Kiyama. – Taka wielka bitwa o jednego barbarzyńcę?

–Mogliby przecież zażądać okupu, ne? – Ishido wpatrywał się nieugięcie w daimyō siedzącego między Ito Teruzumim i Zatakim. – Chrześcijanie w Nagasaki słono by za niego zapłacili, żywego albo umarłego. Ne?

–Możliwe – zgodził się Zataki. – To podobne do barbarzyńców.

–Mam przez to rozumieć – rzekł rozdrażniony Kiyama – że to chrześcijanie zaplanowali i opłacili tę haniebną napaść?

–Powiedziałem, że to możliwe. Bo tak jest.

–Możliwe, ale mało prawdopodobne – wtrącił Ishido, który nie chciał, żeby otwarty konflikt zburzył delikatną równowagę sił w Radzie Regentów. Rozsadzała go wściekłość, że szpiedzy nie uprzedzili o kryjówce Toranagi, nie mieściło mu się w głowie, że jej budowa otoczona była tak nieprzeniknioną tajemnicą. – Uważam, że ninja przyszli po łup.

–Rozsądne i najzupełniej słuszne przypuszczenie – rzekł Ito ze złośliwym błyskiem

w oku. Był niemłody, niskiego wzrostu, ubrany w bogate szaty, z przypasanymi ozdobnymi mieczami, choć podobnie jak innych wyrwano go z łóżka. Twarz miał umalowaną jak kobieta, poczernione zęby. – Ale może ninja zamierzali zażądać okupu nie w Nagasaki, a w Edo, od pana Toranagi. Czy barbarzyńca nie jest jego pachołkiem?

Ishido spochmurniał na wzmiankę o Toranadze.

–Zgadzam się, że powinniśmy raczej porozmawiać o panu Toranadze, nie o ninja. To on zapewne wydał rozkaz ataku, ne? Jest zdolny dopuścić się takiej zdrady.

–Nigdy by się na to nie zdobył – zaprotestował Zataki. – Na zdradę owszem, ale nie posłużyłby się tak plugawym narzędziem jak ninja, Tak robią kupcy albo barbarzyńcy. Nie pan Toranaga.

Kiyama z nienawiścią patrzył na Zatakiego.

–Nasi portugalscy przyjaciele w żadnym razie nie posunęliby się do takiej ingerencji w nasze sprawy. Nigdy!

–A czy uwierzyłbyś, panie, że Portugalczycy, a nawet ich księża będą spiskować z chrześcijańskim daimyō z Kiusiu, żeby wydać wojnę niechrześcijanom, wojnę Wspieraną przez inwazję obcych sił?

–Kto spiskował? Są na to dowody?, – Jeszcze nie, panie Kiyama. Ale plotki krążą i pewnego dnia zdobędę dowody. – Zataki zwrócił się do Ishido. – Co począć z tym atakiem? Jakie mamy wyjście? – spytał i spojrzał na Ochibę, patrzącą to na Kiyamę, to na Ishido. Wydawała mu się piękna i pociągająca jak nigdy.

–Pan Toranaga, to dla nas oczywiste, zaplanował, że wpadniemy w pułapkę – rzekł Kiyama. – Urządziła ją Toda Mariko-sama, niech Bóg ma ją w swojej opiece, choć wypada uczcić jej odwagę, honor i poczucie obowiązku.

Ito wygładził fałdkę starannie udrapowanego kimona.

–Nie uważacie, że byłby to doskonały fortel pana Toranagi, taki atak na własnych wasali? Och, panie Zataki, wiem, że nie użyłby wojowników ninja, ale świetnie potrafi podsuwać pomysły innym tak, żeby brali je za swoje. Ne?

–Wszystko jest możliwe. Ale ninja? To do niego niepodobne. Jest za sprytny, żeby się nimi posłużyć. Nawet za czymś pośrednictwem. Nie można im ufać. I po co taki zamach na Mariko-samę? Byłoby mu wygodniej zaczekać, aż my popełnimy ten błąd. Byliśmy w pułapce. Ne?

–Tak. I nadal jesteśmy. – Kiyama spojrzał na Ishido. – Tylko głupiec mógł zarządzić

napad i tak nam się przysłużyć.

–Może generał słusznie sądzi, że sytuacja nie jest tak poważna, jak myślimy – rzekł Ito. – Żal tylko damy, nieładna spotkała ją śmierć.

–Taka była jej karma. Nie jesteśmy w pułapce – oświadczył Ishido, patrząc twardo na Kiyamę. – Szczęśliwie się złożyło, że uciekła do kryjówki, bo te plugawe żmije schwytałyby ją.

–Ale nikt jej nie schwytał, generale, można powiedzieć, że popełniła seppuku, nie ona jedna zresztą. Jeżeli teraz nie puścimy wszystkich wolno, inne będą odbierać sobie życie w proteście, a na to nie możemy sobie pozwolić – odparł Kiyama.

–Nie zgadzam się. Wszyscy powinni zostać tutaj, przynajmniej do czasu, kiedy Toranaga-sama nie wkroczy na nasze ziemie.

–To dopiero będzie pamiętny dzień – rzekł Ito z uśmiechem.

–Myślisz, panie, że nie przekroczy granicy? – spytał Zataki.

–To, co myślę, nie liczy się, panie Zataki. Wkrótce dowiemy się, co zamierza. Zresztą to nie ma znaczenia. Tak czy owak Toranaga musi zginąć, jeżeli następca ma objąć tron. – Ito spojrzał na Ishido. – Czy barbarzyńca już umarł, generale?

Ishido potrząsnął głową, patrząc na Kiyamę.

–To byłby pech, gdyby teraz umarł albo został kaleką, taki dzielny człowiek. Ne?

–Ten barbarzyńca to zaraza, im prędzej umrze, tym lepiej. Zapomnieliście już?

–Mógłby okazać się pożyteczny. Zgadzam się z panem Zatakim i z tobą, panie, Toranaga nie jest głupi. Musi mieć dobry powód, żeby tak wysoko go cenić. Ne?

–Racja – odparł Ito. – Jak na barbarzyńcę Anjin-san dobrze się sprawił. Toranaga słusznie zrobił go samurajem. – Spojrzał na Ochibę. – Kiedy dał ci kwiat, pani, pomyślałem, że to gest godny dworzanina i pełen poezji.

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami.

–A co z konkursem poetyckim, pani? – spytał Ito.

–Żałuję, ale trzeba go odwołać – odparła Ochiba.

–Tak – rzekł Kiyama.

–Czy ułożyłeś już, panie, wiersz na konkurs? – spytała.

–Nie. Ale teraz powiedziałbym tak:

Na uschtą gałąź

spadła burza...

ciemne łzy lata.

–Niech ten wiersz upamiętni jej śmierć. Była samurajką – rzekł cicho Ito. – Łzy tego lata są też moimi łzami.

–Ale ja wolałabym – wtrąciła Ochiba – inne zakończenie:

Na uschłej gałęzi

Śnieg słuchał...

Zimowej ciszy.

Zgadzam się jednak z tobą, panie Ito. Ciemne łzy tego lata będą łzami nas wszystkich.

–Daruj, pani, ale mylisz się – rzekł Ishido, – Łzy, owszem, popłyną, ale z oczu pana Toranagi i jego sprzymierzeńców. – Chcąc zakończyć spotkanie, oznajmił: – Natychmiast rozpocznę śledztwo w sprawie napaści ninja. Wątpię, czy kiedykolwiek dojdziemy prawdy. A na razie, ze względu na bezpieczeństwo, z przykrością cofniemy przepustki i zabronimy opuszczać zamek do dwudziestego drugiego dnia.

–Nie – odezwał się z drugiego końca sali trędowaty Onoshi, ukryty za zasłonami palankinu. – Przykro mi, generale, tego właśnie nie możesz zrobić. Musisz wszystkich, puścić wolno. Wszystkich. – Zabrzmiało to niemal jak pogróżka.

–Dlaczego?

–Jeżeli tego nie zrobisz, okryjesz hańbą najdzielniejszą damę w cesarstwie, zniesławisz panią Kiyamę Achiko i panią Maedę, oby Bóg ulitował się nad ich duszami. Kiedy rozejdzie się wieść o tym haniebnym postępku, Bóg jeden wie, jak to zaszkodzi następcy i nam wszystkim, jeżeli nie będziemy ostrożni.

Ochibę przeszły ciarki. Rok temu, kiedy Onoshi przybył złożyć wyrazy szacunku umierającemu taikō, strażnicy kazali rozchylić zasłonki, żeby sprawdzić, czy nie ukrył w palankinie broni. Zobaczyła wtedy ohydnie zniekształconą twarz błyszczące fanatycznie oczy, kikut lewej ręki, a w prawej, zdrowej ręce krótki miecz.

Pani Ochiba modliła się, żeby ani ona, ani Yaemon nie zarazili się nigdy trędem. Chciała, żeby narada dobiegła końca, musiała bowiem postanowić co dalej, co

począć z Toranagą i z Ishido.

–Po drugie – ciągnął Onoshi – jeżeli ten haniebny atak stanie się pretekstem, żeby wszystkich zatrzymać, tym samym dasz do zrozumienia, generale, że nie zamierzałeś nikogo wypuścić, chociaż zobowiązałeś się do tego na piśmie. Po trzecie...

–Rada jednomyślnie postanowiła wydać przepustki! – przerwał Ishido.

–Przepraszam, Rada jednomyślnie zgodziła się z panią Ochibą, która mądrze zaproponowała, by wydać przepustki na życzenie. Członkowie Rady, podobnie jak pani Ochiba, przypuszczali, że niewielu skorzysta z możliwości wyjazdu, a nawet wówczas dojdzie do opóźnień.

–Chcesz powiedzieć, panie, że damy Toranagi i Toda Mariko nie wyjechałyby, a inne nie poszłyby ich śladem?

–Los tych kobiet nie wpłynąłby ani trochę na zamierzenia pana Toranagi. Musimy myśleć o naszych sprzymierzeńcach! Gdyby nie atak ninja i trzy seppuku, całe to idiotyczne zamieszanie rozeszłoby się po kościach!

–Jestem innego zdania.

–Po trzecie i ostatnie: jeżeli nie puścisz wszystkich wolno po tym, co oświadczyła przy świadkach pani Etsu, większość daimyō oskarży cię, choć nie zrobią tego publicznie, o wydanie rozkazu ataku, zbiorą się nad nami chmury, a potem popłynie dużo łez.

–Nie potrzebuję wysługiwać się wojownikami ninja.

–Oczywiście – odparł Onoshi jadowicie. – Ani ja, ani nikt z tu obecnych. Czuję się jednak, w obowiązku przypomnieć, że potęga następcy opiera się na koalicji około dwustu z dwustu sześćdziesięciu czterech daimyō, i że jest niedopuszczalne, by najwierniejszy chorąży następcy i naczelną dowódca został uznany winnym użycia tak haniebnych metod, winnym rażącego niedołęstwa, skoro atak się nie powiodł.

–Mówisz, panie, że to ja wydałem rozkaz ataku?

— Skądże, przepraszam. Powiedziałem tylko, że zostaniesz zaocznie skazany, jeżeli nie pozwolisz wszystkim wyjechać.

–Czy jest tu ktoś, kto uważa, że ja wydałem rozkaz?

Nikt otwarcie nie wystąpił przeciw Ishido. Nie było dowodów. Z nikim wcześniej się nie naradzał, a nawet z Kiyamą i Ochibą rozmawiał wymijająco. Wszyscy jednak wiedzieli i byli wściekli, że swoją głupotą doprowadził do niepowodzenia – wszyscy z

wyjątkiem Zatakiego. Z drugiej strony Ishido był wciąż panem Osaki, zarządcą skarbu taikō, więc nie można go było tknąć.

–Dobrze – rzekł Ishido stanowczo. – Zatem ninja chcieli zdobyć łup. Sprawę przepustek rozstrzygniemy przez głosowanie. Jestem za tym, żeby je cofnąć.

–Nie zgadzam się – odezwał się Zataki.

–Przykro mi, ja też jestem przeciw – rzekł Onoshi.

Ito zaczerwienił się pod ich wzrokiem.

–Muszę się zgodzić z panem Onoshim, chociaż z drugiej strony... to bardzo trudne, nie?

–Głosuj – ponaglił Ishido.

–Zgadzam się z tobą, generale.

–Przykro mi, ale ja nie – powiedział Kiyama.

–Dobrze – rzekł Onoshi – więc postanowione. Jak zauważył generał, mamy inne niecierpiące zwłoki sprawy. Musimy wiedzieć, co robi teraz Toranaga. Jak uważacie?

Ishido wpatrywał się posępnie w Kiyamę.

–Co na to powiesz, panie? – spytał.

Kiyama starał się odsunąć od siebie obawy, lęki, nienawiść, dokonać ostatecznego wyboru – Ishido czy Toranaga. Musiał to zrobić teraz. Dobrze pamiętał, jak Mariko przekonywała go o zdradzie Onoshiego, o zdradzie Ishido, na co Toranaga miał ponoć dowody. Myślał o tym, jaki los czeka następcę i Kościół, gdyby do władzy doszedł Toranaga, a także, co by się stało z japońskim prawem, gdyby do władzy doszli ojcowie święci. W dodatku ojciec wizytator dręczył się obecnością heretyka i jego statku, nie wiadomo, co by było, gdyby przepadła Czarna Karawela, a generał-gubernator przysięgał na wszystkie świętości, że Anjin-san to czarci pomiot, a Mariko jest narzędziem złych duchów, podobnie jak Rodrigues. Z żalem pomyślał o Mariko, że tyle wycierpiała i zginęła bez rozgrzeszenia, bez księdza, na wieki pozbawiona Bożej łaski. Madonno, zlituj się nad nią. Tyle łez tego lata.

A jak to było z Achiko? Czy ninja wybrał ją spośród innych, czy zabił byle zabić? Jaka była dzielna, że go zaatakowała, biedne dziecko. Ale dlaczego żyje barbarzyńca? Dlaczego ninja go nie zabili? Powinni mieć taki rozkaz, jeżeli to w głowie Ishido powstał ten haniebny plan, a tak zapewne było. To wstyd dla Ishido, że atak się nie udał – porażka okrywa hańbą. A Mariko! Ile miała odwagi, jak dzielnie i

sprytnie schwytała nas do sieci. No i barbarzyńca.

Ja na jego miejscu nie potrafiłbym tak odważnie powstrzymać wojowników ninja ani uchronić Mariko przed hańbą niewoli. I nie tylko ją. Gdyby nie on i tajna kryjówka, pani Mariko zostałaby schwytana. I Kiritsubo, i Sazuko, i pani Etsu, tak, a nawet Achiko. Moim samurajskim obowiązkiem jest złożyć hołd Anjin-sanowi jako samurajowi. Ne?

Boże, przebacz, że nie poszedłem do Mariko-chan, żeby służyć jej za sekundanta, co było moim chrześcijańskim obowiązkiem. To ten heretyk pomógł jej, wziął ją na ręce, tak jak Chrystus pomagał ludziom, a ja... ja ją opuściłem. Kto jest prawdziwym chrześcijaninem?

–Nie wiem. A jednak on musi umrzeć.

–Co z Toranagą, panie Kiyama? – powiedział Ishido. – Co z naszym wrogiem?

–A co z Kantō? – spytał Kiyama, „wpatrując się w niego.

–Po rozgromieniu Toranagi proponuję oddać Kantō jednemu z regentów.

–Któremu?

–Tobie, panie – odrzekł wprost Ishido, po czym dodał: – Albo może Zatakiemu, panu Shinano.

Kiyama uznał to za mądrą odpowiedź, gdyż Zataki był bardzo potrzebny, dopóki żył Toranagą, a już miesiąc temu Ishido uprzedził go, że Zataki zażądał Kantō jako zapłaty za wystąpienie przeciw Toranadze. Uzgodnili wówczas, że Ishido powinien obiecać mu prowincję, choć obietnica ta miała pozostać gołosłowna. Obaj uważali, że za taką bezczelność Zataki powinien zapłacić życiem i swoją prowincją, kiedy nadejdzie stosowna pora.

–Zbyt wielki to dla mnie zaszczyt – powiedział Kiyama, uważnie oceniając, kto z obecnych jest z nim, a kto przeciw.

–Cenna propozycja, z pewnością warta omówienia, ne? – rzekł Onoshi z trudem kryjąc dezaprobatę. – Ale później. Teraz interesuje nas, co robi obecny pan Kantō.

–A więc? – Ishido patrzył wciąż na Kiyamę.

Kiyama wyczuł wrogość Zatakiego, zamaskowaną niewzruszonym wyrazem twarzy. Dwóch przeciw mnie, pomyślał, i Ochiba, ale ona nie ma prawa głosu. Ito zawsze będzie głosował za Ishido, więc wygram – o ile Ishido nic nie ukrywa. Tak czy nie, zastanawiał się patrząc na zaciętą twarz generała. Wreszcie zdecydował się

wypowiedzieć swoje zdanie. – Pan Toranagą nie przybędzie do Osaki.

–Dobrze – rzekł Ishido. – Zatem został izolowany, wyjęty spod prawa. Przygotowane jest już do podpisu Najjaśniejszego cesarskie zaproszenie do popełnienia seppuku. A to oznacza koniec Toranagi i jego rodu.

–Tak. Jeżeli Syn Niebios przybędzie do Osaki.

–Co?

–Zgadza się z panem Ito – ciągnął Kiyama, który wolał mieć w nim sprzymierzeńca niż wroga. – Pan Toranagą jest przebiegły jak mało kto. Myślę, że potrafiłby nawet, nie dopuścić do przyjazdu Najjaśniejszego.

–To niemożliwe!

–A jeżeli wizyta zostanie odłożona na później? – spytał Kiyama. Gardził Ishido za porażkę, dlatego sprawiło mu przyjemność jego zmieszanie.

–Syn Niebios przybędzie zgodnie z planem!

–A jeżeli nie?

–Powiadam, że przybędzie!

–A jeżeli nie?

–Jak pan Toranaga mógłby to osiągnąć? – spytała pani Ochiba.

–Nie wiem. Ale jeżeli Najjaśniejszy zechce opóźnić przyjazd o miesiąc... nic na to nie poradzimy. Pan Toranaga jest niedościgłym mistrzem przewrotnych intryg. Może być zdolny do wszystkiego, nawet oplatania intrygą Syna Niebios.

Zapadła grobowa cisza. Monstrualna myśl i jej konsekwencje przygniotły zebranych.

–Bądź łaskaw wyjaśnić, panie, co... co wtedy? – spytała Ochiba, wyrażając wątpliwości, które ogarnęły wszystkich.

–Wojna! – odparł Kiyama. – Już dziś, potajemnie, rozpoczniemy mobilizację. Poczekamy, aż wizyta zostanie odłożona. Będzie to znak, że Toranaga narzucił swoją wolę Najwyższemu. Tego samego dnia pomaszerujemy na Kantō, w czasie pory deszczowej.

Wtem zadrżała podłoga. Zajęczały belki, ale pierwszy lekki wstrząs trwał krótko.

Po chwili nastąpił drugi. Silniejszy. W kamiennej ścianie zarysowała się od dołu

szczelina. Posypał się kurz. Zatrzeszczał drewniany szkielet komnaty, zastukały osuwające się dachówki.

Ochibie zrobiło się słabo, poczuła mdłości. Myślała, czy to jej karma zginąć pod kupą gruzu. Przyłgnęła do drżącej podłogi i czekała tak jak inni na zamku – wraz z całym miastem i statkami w porcie – na właściwe trzęsienie ziemi.

Nic takiego jednak się nie stało. Wstrząsy ustąpiły. Życie zaczęło się od nowa. Radość wlała się do serc, w kamiennych murach rozbrzmiał śmiech. Wszyscy poczuli, że tym razem – o tej godzinie, tego dnia – kataklizm ich nie dosięgnie.

–Shigata ga nai – rzekł zeszywniały Ishido. – Ne?

–Tak – odparła rozradowana Ochiba.

–Głosujmy – powiedział Ishido rozkoszując się smakiem istnienia. – Jestem za wojną!

–I ja!

–I ja!

–I ja!

–I ja!

Po odzyskaniu przytomności Blackthorne wiedział od razu, że Mariko zginęła, pamiętał też, w jaki sposób i dlaczego. Leżał na futonach, strzeżony przez Szarych, widział nad sobą belkowany sufit, raziło go słońce, otaczała niesamowita cisza. Przyglądał mu się doktor. Opuścił go największy lęk, lęk o utratę wzroku.

Doktor uśmiechnął się i powiedział coś, ale Blackthorne nie usłyszał. Kiedy spróbował się podnieść, oślepił go ból, huk rozsadził uszy. Czuł jeszcze w ustach gryzący smak prochu, wszystko go bolało.

Znów stracił przytomność, a potem poczuł, jak ktoś delikatnie unosi mu głowę, przytyka do ust filiżankę. Cierpkawa cha o jaśminowym aromacie splukała smak prochu. Dźwignął powieki. Doktor znów coś powiedział, ale on nie usłyszał. Zdusił podchodzący do gardła strach, przywołując w pamięci wybuch, martwą Mariko, rozgrzeszenie, którego udzielił jej przed śmiercią, nie mając do tego prawa. Odepchnął od siebie to wspomnienie i powrócił myślami do innego wybuchu – tego, który wyrzucił go za burtę, a staremu Caradocowi urwał nogi. Wówczas też nie docierały do niego dźwięki, tak samo go bolało, tak samo szumiało w uszach, ale po kilku dniach odzyskał słuch.

Nie ma co się martwić, orzekł. Przynajmniej na razie.

Zwrócił uwagę na długość cieni i zabarwienie słonecznego światła. Wczesny ranek, pomyślał i podziękował Bogu za to, że zachował wzrok.

Zobaczył poruszające się usta doktora, ale żaden dźwięk nie przebił się przez szalejącą mu w głowie burzę.

Ostrożnie obmacał twarz. Nie bolała go, wszystko było całe. Teraz szyja, ręce, tors. Żadnych obrażeń. Z ociąganiem przesunął ręce niżej, do przyrodzenia. Nie został okaleczony jak Alban Caradoc, więc podziękował Bogu, że nie przeżył utraty męskości tak jak on.

Odпочzął chwilę, bo głowa bolała go strasznie. Potem obmacał nogi. Wszystko w porządku. Ostrożnie przyłożył ręce do uszu, docisnął, otworzył usta, przełknął ślinę, spróbował ziewnąć, żeby odetkać uszy, ale skończyło się to nasileniem bólu.

Odczekani półtora dnia, przyrzekł sobie, a nawet, jeśli trzeba, dziesięć razy dłużej, ale bać się nie będę.

Doktor dotknął go poruszając ustami.

–Przepraszam, nie słyszę – powiedział spokojnie Blackthorne, słysząc te słowa tylko w głowie.

Doktor skinął głową i znów coś powiedział. Blackthorne odczytał z ruchu warg: „Rozumiem. Teraz śpij, proszę”.

Ale on przecież nie mógł spać. Musiał ułożyć plan działania. Musiał wstać, wyjść stąd, popłynąć do Nagasaki, zebrać tam artylerzystów i marynarzy, żeby zdobyć Czarną Karawelę. Nie miał już o czym myśleć, co wspominać. Nie miał powodu wcielać się w samuraja czy Japończyka. Więzi zostały, przecięte, długi i przyjaźnie anulowane. Dlatego, że jej już nie było...” ...

Uniósł się i znów oślepił go ból. Pokonując go usiadł. Zakręciło mu się w głowie, powróciło wspomnienie, które przeżywał we śnie – że jest w Anjiro w czasie trzęsienia ziemi, grunt przesuwa się i pęka, a on skacze w szczelinę, żeby ratować Toranagę i Mariko, zanim połknie ich ziemia. Jak wtedy czuł zimną, lepką wilgoć, ziejący z czeluści odór śmierci, słyszał śmiech zolbrzymiałego we śnie Toranagi.

Zmusił się do patrzenia. Zawroty głowy ustąpiły, mdłości również. Poprosił o cha, żeby pozbyć się powracającego smaku prochu. Napojono go, a kiedy wyciągnął ręce, ktoś pomógł mu wstać. Bez tej pomocy byłby się przewrócił. Cały był obolały, ale przynajmniej wiedział, że nie odniósł poważnych obrażeń poza uszkodzeniem słuchu, że wyleczy goodpoczynek, masaże i czas. Jeszcze raz podziękował Bogu za to, że

żyje, widzi i nie jest kaleką. Szarzy pomogli mu usiąść, położyć się.

Słońce przesunęło się o kwadrant, zanim otworzył oczy nie zdając sobie sprawy, że się przespał. Dziwne, pomyślał mierząc wzrokiem długość cieni. Byłbym przysiągł, że ledwie świta. Widocznie oczy splątały mi figla. Wygląda na koniec przedpołudniowej wachty. To mu przypomniało Albana Caradoca, więc jeszcze raz się obmacał, dla pewności.

Poczuł czyjeś dotknięcie. Zobaczył nad sobą Yabu, który mówił coś do niego.

–Przepraszam – powiedział wolno. – Na razie nic nie słyszę, – Yabu-san. Niedługo będę zdrow. Uszy bolą, rozumiesz?

Yabu skinął głową, marszcząc brwi. Porozmawiał chwilę z doktorem, a potem na migi wyjaśnił, że zaraz wróci i żeby Blackthorne do tego czasu odpoczywał.

–Poproszę kąpiel i masaż – powiedział Blackthorne.

Zajął się nim troskliwe ręce. Drzemał pod kojącym dotykiem palców, rozkoszował się ciepłem i aromatem olejków, które delikatnie wcierano mu w ciało. I przez cały czas snuł plany.

Przyszli Szarzy i przenieśli go śpiącego w palankinie do izby w głębi wieży. Nie obudził się. Zmogło go znużenie i lecznicze, usypiające zioła.

–Nie dosięgnie go tu żaden nieprzyjaciel – rzekł Ishido.

–Kiyama? – spytała Ochiba.

–Żaden chrześcijanin. – Ishido dał znak strażnikom, żeby mieli się na baczności, wyszedł na korytarz, a stamtąd do zalanego słońcem ogrodu.

–Czy dlatego zginęła pani Achiko? Bo była chrześcijanką?

Ishido kazał ją zabić na wypadek, gdyby nasłał ją dziadek Kiyama, żeby uśmierciła Blackthorne'a.

–Nie mam pojęcia – powiedział.

–Trzymają się razem jak rój pszczoł. Jak ktokolwiek może wierzyć w te ich religijne – bzdury?

–Nie wiem. Tak czy owak wytępiamy ich, i to niedługo.

–Jak chcesz to osiągnąć, generale, skoro tyle zależy od ich dobrej woli?

–Obietnicami, dopóki żyje Toranaga. Kiedy zginie, skoczą sobie do gardeł. Będziemy dzielić i rządzić. Czyż nie tak robi Toranaga, a przed nim taikō? Kiyama chce dostać Kantō, ne? Więc będzie posłuszny. Po to właśnie obiecałem mu Kantō, w nieokreślonej przyszłości. Onoshi? Kto wie, czego chce ten szaleniec... wiadomo tylko, że chciałby przed śmiercią splunąć na głowę Toranagi i Kiyamy.

–A jeżeli Kiyama dowie się o twojej obietnicy danej Onoshiemu, że ziemie Kiyamy będą jego, albo o twoich zamiarach dotrzymania obietnicy danej Zatakiemu, jego kosztem?

–Kłamstwa, pani, szerzone przez nieprzyjaciół – odrzekł Ishido, spoglądając na nią.
– Onoshi chce głowy Kiyamy. Kiyama chce dostać Kantō. Zataki tak samo.

–A ty, generale? Czego ty chcesz?

–Po pierwsze, żeby następca szczęśliwie ukończył piętnaście lat i objął władzę. Żebyście oboje, pani, byli do tego czasu bezpieczni. Nic więcej.

–Nic więcej?

–Nie, pani.

Kłamca, pomyślała Ochiba. Ułamała kwiat, powąchała, zachwycona zapachem ofiarowała go Ishido.

–Śliczny, ne?

–Tak – odparł Ishido, przyjmując kwiat. – Dziękuję.

–Yodoko-sama miała piękny pogrzeb. Należą ci się gratulacje, generale.

–Żałuję, że umarła. Zawsze udzielała cennych rad.

Szli chwilę w milczeniu.

–Czy już wyjechały? – spytała Ochiba. – Kiritsubo-san i pani Sazuko z synem?

–Nie. Wyjadą jutro. Po pogrzebie pani Tody. Wiele wyjedzie jutro, to niedobrze.

–Przepraszam, czy to ma jakieś znaczenie? Teraz, kiedy uznaliśmy, że Toranaga-sama nie przybędzie do Osaki?

–Myślę, że tak. Ale to nieważne, dopóki mamy w ręku zamek w Osace. Nie, pani, musimy być cierpliwi, jak powiedział Kiyama. Poczekamy do wyznaczonego dnia. Wtedy ruszymy.

–Po co czekać? Nie można wyruszyć od razu?

–Trochę potrwa, zanim zbiorą się nasze armie. – Ilu żołnierzy stanie przeciw Toranadze?

–Trzysta tysięcy. Co najmniej trzy razy tyle, co po stronie Toranagi.

–A mój garnizon?

–Zostawię osiemdziesiąt tysięcy doborowych wojowników w obrębie murów i dalszych pięćdziesiąt tysięcy na przejściach.

–A Zataki?

–Zdradzi Toranagę.

–Nie dziwi cię, generale, że pan Sudara, moja siostra i wszystkie jej dzieci udały się w odwiedziny do Takato?

–Nie. Zataki oczywiście udał, że doszedł do potajemnego porozumienia z przyrodnim bratem. Ale to wybieg, nic więcej. On go zdradzi.

–Zapewne, w jego żyłach płynie przecież ta sama zła krew – powiedziała z niesmakiem. – Ale ciężko bym przeżywała, gdyby mojej siostrze i jej dzieciom coś się stało.

–Nic się nie stanie, pani. Jestem tego pewien.

–Jeżeli Zataki gotów był podnieść rękę na własną matkę... ne? Czy aby ciebie nie zdradzi?

–Nie. W decydującej chwili, nie. Dlatego, że nienawidzi Toranagi bardziej niż mnie, pani, nade wszystko zaś szanuje ciebie i pożąda Kantō. – Ishido uśmiechnął się, spoglądając na zwaliste mury. – Dopóki zamek jest nasz i można komuś obiecać Kantō, nie ma się czego bać.

–Bałam się dziś rano – powiedziała przytykając do nosa nowy kwiat i zaciągając się jego aromatem, jakby chciała zatrzeć prześladowające ją wspomnienie strachu. – Chciałam uciekać, ale przypomniały mi się słowa wróżbity.

–Hm? A, tego wróżbity. Zapomniałem o nim – rzekł Ishido z ponurym uśmiechem.

Chiński posłaniec, wróżbita, przepowiedział kiedyś, że taikō umrzeć w łóżku i zostawi zdrowego syna, że Toranaga zginie od miecza będąc jeszcze w wieku średnim, Ishido zaś umrze w podeszłym wieku, jako słynny w całym cesarstwie generał, ze stopami wbitymi w ziemię. Oraz że pani Ochiba dokona żywota w zamku

w Osace otoczona przedstawicielami najznamienitszych rodów cesarstwa.

–Tak, zupełnie o nim zapomniałem – powtórzył Ishido. – Toranaga jest w średnim wieku, ne?

–Tak.

Ochiba poczuła świdrujące ją spojrzenie. Ugięły się pod nią kolana na wspomnienie mężczyzny, który ją przygniółł, wziął, spłodził w niej nowe życie. A potem narodziny z honorami, zupełnie inne niż poprzednio, kiedy przerażeniem napawała ją myśl, jakie będzie to dziecko, które miało przyjść na świat.

Jaka ja jestem głupia, pomyślała idąc cienistą, pełną woni alejką. Muszę odpędzić te zwidy, bo przecież niczym innym nie są. Myślałam o mężczyźnie w ogóle.

Ni stąd, ni zowąd zapragnęła, żeby szedł koło niej Toranaga, a nie Ishido, żeby Toranaga był panem na zamku w Osace, włodarzem skarbu taikō, protektorem następcy, naczelnym wodzem Armii Zachodu – a nie Ishido. Nie byłoby wówczas tych kłopotów. Razem objęliby w posiadanie wszystkie ziemie, cały kraj, a dziś, w tej chwili, wabiłaby go do łóżka albo na słoneczną polanę, jutro zaś, pojutrze wzięliby ślub, przyszłość nie miałaby znaczenia, tylko terażniejszość, dziś brałaby w posiadanie i oddawałaby się w posiadanie i byłaby spokojna.

Sięgnęła po gałązkę gardenii, przyciągnęła ją do siebie i syciła się bogatym zapachem.

Odsuń od siebie marzenia, nakazała sobie w duchu. Stąpaj po ziemi jak taikō. Jak Toranaga.

–Co zrobisz z Anjin-sanem? – spytała.

–Przypilnuję, żeby mu głowa z karku nie spadła – odparł Ishido ze śmiechem. – Może pozwolę mu zdobyć Czarną Karawelę, a w razie potrzeby posłużę się nim jako straszakiem na Kiyamę i Onoshiego. Obaj go nienawidzą, ne? O tak, to miecz przyłożony im do gardeł, broń przeciw nim i ich kościołowi.

–Jaką wartość dałbyś Anjin-sanowi, generale, w rozgrywce szachowej następcy z Toranaga? Pionek? Czy może koń?”

–Ach, pani, w Wielkiej Grze to zaledwie pionek – odparł bez namysłu Ishido, – Ale w rozgrywce następcy przeciw chrześcijanom to wieża, co najmniej wieża, a może dwie.

–Czy obie gry nie są ze sobą powiązane?

–Owszem, są, ale Wielka Gra rozstrzygnie się, kiedy daimyō wystąpi przeciw daimyō, samuraj przeciw samurajowi, miecz przeciw mieczowi. W obu grach ty, pani, jesteś oczywiście królową.-

–Nie, generale, przepraszam, nie jestem królową – odparła zadowolona, że zwrócił na to uwagę. Na wszelki wypadek zmieniła temat. – Krąży plotka, że Anjin-san i Mariko-san poduszkiwali ze sobą.

–Tak. Też o tym słyszałem. Chciałabyś poznać prawdę? Ochiba potrząsnęła głową.

–Nie do pomyślenia, że to się mogło zdarzyć. Ishido pilnie jej się przyglądał.

–Uważasz, pani, że pozbawienie jej honoru coś by dało? Teraz? I zniszczenie razem z nią Buntaro-sana?

–Nic takiego nie przyszło mi na myśl, generale. Zastanawiałam się tylko, kobieca słabość. Pan Kiyama dobrze to nazwał: ciemne łyzy lata. To takie smutne, ne?

–Bardziej podobał mi się twój wiersz, pani. Obiecuję, że łyzy popłyną po stronie Toranagi.

–Wracając do Buntaro-sana, może ani on, ani pan Hiro-matsu nie będą walczyć po stronie pana Toranagi.

–Czy to pewne?

–Nie, generale, ale możliwe.

–A może mogłabyś coś zrobić, pani?

–Jedyne, co mogę, to zwrócić się do nich z prośbą o poparcie następcy... i do wszystkich generałów Toranagi, kiedy okaże się, że bitwa jest nieunikniona...

–Już wiadomo, gdzie i jak się odbędzie. Zwierające się od północy i południa kleszcze, decydujące starcie pod Odawarą.

–Tak, ale to jeszcze nie przesądzone, dopóki wojska nie staną naprzeciw siebie na polu bitwy... Przepraszam, czy to na pewno mądre posunięcie postawić następcę na czele armii?

–Ja stanę na czele armii. Obecność następcy jest konieczna, bo wtedy Toranaga nie wygra. Nawet on nie zaatakuje chorągwi następcy.

–Czy następca nie byłby bezpieczniejszy tutaj, ze względu na zabójców, amidów... Nie wolno nam narażać jego życia. Toranaga ma długie ręce, ne?

–Tak, ale nie aż tak długie. Chorągiew następcy po naszej stronie oznacza, że Toranaga buntuje się przeciw prawowitej władzy. Znam Toranagę. Uszanuje prawo. Jego głowa trafi na ostrze włóczni. Już zapadł na niego wyrok, pani. Kiedy zginie, wytrzebię chrześcijan. Wtedy będziecie bezpieczni, ty i następca.

Spojrzenie Ochiby wyraziło niemą obietnicę.

–Będę się modlić za twoją pomyślność i bezpieczny powrót. Ishido wyprężył się. Tak długo czekał.

–Dziękuję, pani, dziękuję. Nie zawiodę cię.

Ukloniła się i odwróciła. Co za bezczelność, pomyślała, spodziewać się, że wezmę chłopca za męża. Co teraz? Odrzucić Toranagę czy nie?

Dell’Aqua klęczał przed ołtarzem w ruinach kapliczki. Dach zawalił się prawie cały i częściowo jedna ściana, ale trzęsienie ziemi nie zniszczyło prezbiterium, ocalał piękny witraż i rzeźba Madonny – przedmiot dumy dell’Aquy.

Popołudniowe słońce wpadało między połamanymi belkami stropu. W ogrodzie krzątali się robotnicy usuwając gruz, ich wesołe głosy dobiegały do dell’Aquy wraz z pokrzykiwaniem mew. Wiatr przynosił drażniącą woń słonej wody, dymu, wodorostów i mokradeł. Zapach ten przypominał mu rodzinny dom pod Neapolem, gdzie wraz z aromatem morza wdychał zapach cytryn i pomarańczy, ciepłego chleba, makaronu, czosnku i pieczeni jagnięcej. W dużym okazałym domu dźwięczał głos matki, głosy braci i sióstr, których dzieci baraszkowały w złotym słońcu.

Madonno, modlił się, spraw, żebym wrócił do domu. Tak długo byłem w obcych stronach. Z dala od domu i od Watykanu. Madonno, zdejmij ze mnie to brzemię. Przebacz, mam dość japońskiego, Ishido, zabijania, surowych ryb, Toranagi, Kiyamy, ryżowych chrześcijan i wysiłków, których celem jest ożywianie Twojego Kościoła. Obdarz mnie Twoją siłą.

Chroń nas przed hiszpańskimi biskupami. Hiszpanie nie rozumieją Japonii ani Japończyków. Zniszczą dzieło, które rozpoczęliśmy ku Twojej chwale. Przebacz swojej słudze, Marii, i przyjmij ją do siebie. Opiekuj się...

Usłyszał kroki w nawie. Skończył modlitwę i wstał.

–Przepraszam, że przeszkadzam, eminencjo – powiedział ksiądz Soldi. – Prosiłeś, żeby zawiadomić cię od razu. Ojciec Alvito przysłał szyfrowany list z Mishimy. Właśnie przyleciał gołąb.

–I?

–Pisze, że spotka się dziś z Toranagą. Wczoraj to było niemożliwe, bo Toranagą wyjechał z Mishimy, ale ma wrócić dziś w południe. List datowany jest dzisiaj o świcie.

Dell'Aqua ukrył rozczarowanie, popatrzył na niego, na chmury, jakby wśród nich szukał pocieszenia. Wiadomość o ataku ninja i śmierci Mariko wysłano do Alvity o świcie, dla pewności posyłając dwa gołębnie.

–Nasza wiadomość powinna już dotrzeć – rzekł Soldi.

–Taką mam nadzieję.

Ojciec wizytator wyszedł z kaplicy, przemierzył krużganek i skierował się do kancelarii. Niski Soldi podbiegał za nim jak ptaszek, z trudem nadążając.

–Jest jeszcze jedna wiadomość ogromnej wagi, eminencjo – powiedział Soldi. – Nasi informatorzy donieśli, że wczesnym rankiem regenci przegłosowali decyzję o wojnie.

–O wojnie? – Dell'Aqua stanął jak wryty.

–Najwyraźniej uznali, że Toranagą nie przybędzie do Osaki, cesarz także. Dlatego postanowili razem wystąpić przeciw Kantō.

–To nie pomyłka?

–Nie, eminencjo. Będzie wojna. Kiyama przesłał wiadomość przez brata Michała, potwierdzającą wieści z innego źródła. Michał właśnie wrócił z zamku. Decyzję podjęto jednogłośnie.

–Kiedy zacznie się wojna?

–Kiedy będą mieli pewność, że cesarz nie przybędzie do Osaki.

–Ta wojna nie będzie miała końca. Boże zmiłuj się nad nami! I miej w opiece Mariko, dzięki której Kiyama i Onoshi dowiedzieli się zawczasu o perfidii Toranagi.

–A Onoshi, eminencjo? A jego perfidia wobec Kiyamy?

–Nie mam dowodów, Soldi. Zapewne wyssano to z palca. Nie mogę uwierzyć, że Onoshi byłby do tego zdolny.

–A jeżeli tak, eminencjo?

–Na razie jest to niemożliwe, nawet gdyby zostało zaplanowane. Teraz obaj są sobie potrzebni.

–Dopóki żyje pan Toranaga...

–Nie potrzebujesz przypominać mi o nieprzyjaźni między tymi dwoma. Wiem, do czego byliby zdolni, żeby... Boże wybacz im obu.

Dell'Aqua zaczął iść. Soldi zrównał się z nim.

–Czy mam wysłać tę informację ojcu Alvicie?

–Jeszcze nie. Najpierw muszę postanowić, co robić. Toranaga dowie się wkrótce z własnych źródeł. Boże, zmiłuj się nad nami i wejrzyj łaskawie na ten kraj.

Soldi usłużnie otworzył drzwi.

–Jest jeszcze jedna sprawa dużej wagi. Rada zarządziła, że ciało pani Marii nie zostanie nam wydane. Jutro odbędzie się uroczysty pogrzeb, na który nas nie zaproszono.

–Należało się tego spodziewać. To wspaniale, że zechcieli ją tak uhonorować. Wyślij kogoś z naszych, żeby przyniósł garść prochów. Tego nie zabronią. Prochy zostaną pochowane w poświęconej ziemi w Nagasaki. Poprawił przekrzywiony obraz i usiadł za biurkiem. – Odprawię tu za nią requiem, a w Nagasaki pełną mszę żałobną z jak najwspanialszą oprawą. Spocznie w grobie przy katedrze jako najgodniejsza córka Kościoła. Zajmij się nagrobkiem, zatrudnij najlepszych artystów, kaligrafa, dopilnuj wszystkiego. Jej odwaga i poświęcenie będą ogromną zachętą dla naszych wiernych. To bardzo ważne, Soldi.

–A wnuczka Kiyamy, eminencjo? Wydadzą nam ciało. Na żądanie Kiyamy.

–Dobrze. Należy zatem jak najszybciej odesłać zwłoki do Nagasaki. Porozumiem się z Kiyamą i ustalę, jaką oprawę nadamy pogrzebowi.

–Wasza eminencja osobiście odprawi nabożeństwo?

–Tak, o ile będę mógł opuścić Osakę.

–Pan Kiyama czułby się zaszczycony.

–Tak, ale nie możemy dopuścić, żeby jej pogrzeb pomniejszył wagę drugiej ceremonii. Pogrzeb pani Marii ma wielkie znaczenie polityczne.

–Oczywiście, eminencjo. Dobrze to rozumiem.

Dell'Aqua przyjrzał się swojemu sekretarzowi.

– Dlaczego nie ufasz Onoshiemu?

–Chyba dlatego, że jest trędowaty, budzi we mnie przerażenie. Przepraszam, eminencjo.

–Jego powinieneś przeprosić, Soldi, trudno go winić za chorobę. Nie mamy dowodów na istnienie, spisku.

–Inne jej wyznania były zgodne z prawdą. Więc może i to?

–Nie mamy dowodów. To tylko domysły.

–Tak, domysły.

Dell’Aqua obrócił karafkę, przyglądając się refleksom światła.

–Podczas modlitwy przypomniał mi się zapach kwitnących pomarańczy i świeżego chleba. Zateśkniłem za domem.

Soldi westchnął.

–Marzy mi się abbacchio, eminencjo, pizzaiola, gąsior Lacrima Christi i... Boże przebacz mi moje łakomstwo! Niedługo będziemy mogli wrócić do domu, eminencjo. W przyszłym roku. Do tego czasu wszystko się ułoży.

–Nic się nie ułoży. Ta wojna nas nie oszczędzi. Ucierpi Kościół, ucierpią wierni.

–Nie, eminencjo. Kiusiu pozostanie chrześcijańskie niezależnie od tego, kto zwycięży – rzekł z przekonaniem Soldi, chcąc podnieść na duchu przełożonego. – Ta wyspa może poczekać, aż Bóg spojrzy na nią przychylnym okiem. W samym Kiusiu jest nad czym pracować. Trzy miliony dusz do nawrócenia, pół miliona wiernych oczekujących posługi. Dalej, Nagasaki i handel. Japończycy muszą handlować. Ishido i Tora-naga skoczą sobie do gardeł. Czy to ma jakieś znaczenie? Obaj są przeciwnikami chrześcijaństwa i mordercami.

–Owszem. Ale, niestety, wydarzenia w Osace i Edo mają decydujący wpływ na Kiusiu. Co robić, co robić? – Dell’Aqua nie poddał się przyływowi melancholii. – Gdzie jest Ingeles? – spytał.

–Pod strażą w wieży.

–Zostaw mnie na chwilę samego, przyjacielu, muszę pomyśleć. Muszę postanowić, co robić. Co dalej. Kościół jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Dell’Aqua wyrzął przez okno. Nadchodził brat Perez. Soldi ruszył do drzwi, żeby zatrzymać zakonnik.

–Nie – rzekł ojciec wizytator. – Przyjmę go teraz.

–Dzień dobry, eminencjo – powiedział brat Perez, drapiąc się bezwiednie. – Wzywałeś mnie?

–Tak. Przynieś list, Soldi.

–Podobno wasza kaplica legła w gruzach – rzekł zakonnik.

–Częściowo. Usiądź, proszę.

Perez zajął miejsce po drugiej stronie biurka.

–Bogu dzięki, nikt nie zginął – ciągnął dell’Aqua. – Za kilka dni usuniemy szkody. A jak tam wasza misja?

–Bez uszczerbku – odparł Perez, nie kryjąc zadowolenia. – Po wstrząsach wybuchły dookoła pożary, wielu ludzi zginęło, ale my wyszliśmy bez szwanku. Bóg czuwa nad nami. Podobno poganie mordowali się wczoraj na zamku – dodał enigmatycznie.

–Tak. Pani Maria, ważna postać wśród naszych nawróconych, zginęła w tych zamieszkach.

–A tak, mam swoje źródła informacji. „Zabij go, Yoshinaka”, powiedziała pani Maria, rozpoczynając krwawą łaźnię. Słyszałem, że sama próbowała kilku uśmiercić, zanim popełniła samobójstwo.

Dell’Aqua poczerwieniał.

–Spędziłeś tu tyle czasu i nie masz zielonego pojęcia o Japończykach, chociaż znasz trochę ich język.

–Wiem, co to herezja, głupota; zabójstwo, polityczne rozgrywki, a pogańskim językiem władam bardzo dobrze. Znam się nieźle na tutejszych poganach.

–Ale nie na obyczajności.

–Słowo Boże jest ponad obyczajem. Na początku było Słowo. Jeszcze jedno. Wiem też o cudzołóstwie. Co eminencja sądzi na temat cudzołóstwa i nierządnic?

Otworzyły się drzwi. Soldi podał list od papieża i wyszedł. Ojciec wizytator triumfalnie wręczył dokument zakonnikowi.

–Od Jego Świątobliwości. Dostarczył go wczoraj specjalny wysłannik z Makau.

Perez przeczytał dekret papieski. Dokument przewidywał, za oficjalną zgodą króla Hiszpanii, że kapłani wszystkich zakonów religijnych będą od tej pory podróżować do Japonii wyłącznie przez Lizbonę, Goa i Makau. Zabraniał pod groźbą

natychmiastowej ekskomuniki udawania się z Manili bezpośrednio do Japonii, a ponadto nakazywał wszystkim księżom, z wyjątkiem jezuitów, opuścić natychmiast Japonię i udać się do Manili, skąd mogli, na życzenie przełożonych, powrócić do Japonii, ale tylko przez Lizbonę, Goa i Makau.

Brat Perez obejrzał pieczęć, podpis i datę, jeszcze raz przeczytał uważnie dekret, po czym zaśmiał się szyderczo i cisnął list na biurko.

–Nie wierzę!

–To dekret Jego Świątobliwości...

–To nowa herezja wymierzona przeciw braciom zakonnym, przeciw nam albo innym zakonnikom żebrzącym, którzy niosą Słowo Boże między pogan. To pismo zamyka nam na zawsze dostęp do Japonii, bo Portugalczycy, za namową pewnych ludzi, będą się wiecznie wykręcać, nie zezwolą na przejazd, nie udzielą wiz. Jeżeli ten dokument nie jest sfalszowany, dowodzi to słuszności tego, co od lat powtarzamy: jezuita mogą potrząsnąć nawet namiestnikiem Chrystusa w Rzymie!

Dell'Aqua powstrzymał gniew.

–Rozkazuję ci wyjechać. Jeżeli nie usłuchasz, zostaniesz ekskomunikowany.

–Jezuickie groźby nie mają znaczenia, eminencjo. Nigdy nie przemawiacie językiem Boga. Nie jesteście żołnierzami Chrystusa. Służycie papieżowi, eminencjo, człowiekowi. Jesteście politykami, przyziemnymi, – Używającymi życia ludźmi, wystarczy spojrzeć na wasze pogańskie jedwabie, ziemie, bogactwa, wpływy i potęgę. Chrystus objawił się na ziemi pod postacią prostego człowieka, który chodził boso, drapał się i śmierdział. Nie wyjadę stąd nigdy. Ani ja, ani moi bracia w Chrystusie!

Dell'Aqua zapalał straszliwym gniewem.

–Wyjedziesz z Japonii!!!

–Przysięgam na Boga, że z Japonii nie wyjadę! Ale tutaj moja noga więcej nie postanie. Jeżeli zechcesz mnie kiedyś widzieć, pofatyguj się do naszej świętej misji, przyjdź i służ biednym, chorym i nie chcianym, tak jak robił to Chrystus. Obmyj im nogi jak Chrystus i zbaw swoją duszę, zanim będzie za późno.

–Pod groźbą ekskomuniki rozkazuję ci natychmiast opuścić Japonię.

–Dajmy temu spokój, eminencjo. Nie jestem i nie będę nigdy ekskomunikowany. Przyjmuję do wiadomości treść tego dokumentu, jeżeli jest aktualny. Nosi datę szesnastego września tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, sprzed

niespełna dwóch lat. Tak ważnej decyzji nie sposób podporządkować się od razu, trzeba ją sprawdzić, co zajmie przynajmniej cztery lata.

–Oczywiście, że jest aktualny!

–Nieprawda. Bóg mi świadkiem, że jest odwrotnie. Za kilka tygodni, a najdalej kilka miesięcy, doczekamy się wreszcie arcybiskupa Japonii. Zostanie nim hiszpański biskup! W listach z Manili donoszą mi, że z każdą pocztą spodziewają się nadejścia królewskiego aktu mianowania.

–Niemożliwe! To terytorium portugalskie i nasza prowincja.

–Kiedyś należało do Portugalczyków i jezuitów. Teraz jest inaczej. Dzięki naszym braciom, z Bożą pomocą, król hiszpański utracił waszego generała w Rzymie.

–Plotki. Wierutne kłamstwa. Jeżeli jest ci miła twoja nieśmiertelna dusza, usłuchaj rozkazu Namiestnika Chrystusa.

–Usłucham. Jeszcze dziś do niego napiszę. Ty zaś oczekuj hiszpańskiego biskupa, hiszpańskiego wicekróla i nowego kapitana Czarnej Karaweli, też Hiszpana! O tym także będzie mowa w liście od króla. I my mamy wysoko postawionych przyjaciół, którzy nareszcie pokonali jezuitów, i to na dobre! Z Bogiem, eminencjo. – Brat Perez wstał i wyszedł.

Widząc opuszczającego budynek zakonnik, Soldi nadbiegł z sąsiedniego pokoju. Dell'Aqua tak się zmienił na twarzy, że przestraszony sekretarz czym prędzej nalał mu brandy z karafki.

–Eminencjo?

Dell'Aqua potrząsnął głową i dalej patrzył tępo przed siebie. Od roku nadchodziły niepokojące wieści z Madrytu. Specjalni wysłannicy na dwór Filipa Hiszpańskiego donosili o rosnących wpływach wrogów zakonu.

–To nieprawda, eminencjo. Hiszpanie tu nie przyjadą.

–Niestety, to może okazać się prawdą. Ani się obejrzymy. – Dell'Aqua położył rękę na liście od papieża. Ten papież mógł umrzeć, nasz generał też... a nawet król Hiszpanii. A zatem... – Wstał prostując plecy. – A zatem przygotowujemy się na najgorsze, będziemy modlić się i robić wszystko, co w naszej mocy. Poślij brata Michała po Kiyamę. Niech zaraz tu przyjdzie.

–Tak, eminencjo. Ale Kiyama jeszcze nigdy tu nie był. Trudno oczekiwać, że usłucha wezwania.

–Powiedz Michałowi, żeby użył dowolnych argumentów, byle tylko I sprowadził Kiyamę przed zachodem słońca. Następnie wyślij wiadomość I o wojnie Martinowi, żeby przekazał ją natychmiast Toranadze. Ty o tym napiszesz, a ja dołączę zaszyfrowany list od siebie. Potem pošlesz kogoś po Ferrierę.

–Tak, eminencjo. Ale wracając do Kiyamy, Michałowi na pewno nie uda się...

–Powiedz Michałowi, żeby rozkazał mu przyjść, w imię Boga, jeśli trzeba! Jesteśmy żołnierzami Chrystusa, szykujemy się do wojny, do świętej wojny! Nie ma chwili do stracenia!

–Anjin-san?

Blackthorne usłyszał przez sen swoje imię. Głos dobiegł go z daleka, odbijając się długo echem.

–Hai? – odpowiedział.

Ktoś powtórzył jego imię, dotknął go. Otworzył oczy, wyteżył wzrok, i oprzytomniał, usiadł. Przy łóżku klęczał doktor. Kiritsubo i pani Ochiba stały w pobliżu. Pod ścianami dużej izby rozstawili się Szarzy. Lampy oliwne mrugały czerwono.

Doktor znów przemówił. Blackthorne usłyszał jego głos słabo, wciąż szumiało mu w uszach, ale teraz nie miał już wątpliwości. Odzyskiwał słuch. Odruchowo podniósł ręce do uszu i docisnął. Ostry ból rozsadził mu czaszkę, aż zaćmiło go w oczach.

–Przepraszam – wydukał czekając, aż ból się zmniejszy, nakazując mu to. – Uszy bolą, ne? Ale słyszę, rozumiesz, doktor-san? Teraz słyszę, trochę. Co mówisz?

Patrzył na ruszające się usta, żeby lepiej słyszeć.

–Pani Ochiba i Kiritsubo-san pytają, jak się czujesz.

–A! – Blackthorne spojrział na nie. Dopiero teraz zwrócił uwagę, że Kiritsubo ubrana jest na biało, tylko we włosach ma zieloną przepaskę. Kimono Ochiby było ciemnozielone, gładkie, ozdobione zwiewnym białym szalem. – Dziękuję, czuję się lepiej – odpowiedział, i zaniepokojony ceremonialną bielą. – Tak, lepiej. – Przyjrzał się l blednącym ciemnościom za oknem i zrozumiał, że to pierwszy brzask, a nie zmierzch. – Doktor-san, ja spać dzień i noc?

–Tak, Anjin-san, Dzień i noc. Połóż się, proszę.

Doktor wziął Blackthorne'a za rękę i zacisnął długie palce na przegubie, – opuszkami wsłuchując się w dziewięć pulsów – trzy wierzchnie, trzy środkowe i trzy głębokie – jak od niepamiętnych czasów nakazywała chińska medycyna.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu na diagnozę. Doktor pokiwał głową z zadowoleniem.

–Jest dobrze, Anjin-san, Nie ma ciężkich obrażeń, rozumiesz? Głowa bardzo boli, ne?

Ze szczegółowymi wyjaśnieniami doktor zwrócił się do pani Ochiby i Kiritsubo.

–Anjin-san – powiedziała Ochiba. – Dziś jest pogrzeb Mariko-samy. Rozumiesz słowo „pogrzeb”?

–Tak, pani.

–Odbędzie się, kiedy wzejdzie słońce. Masz prawo wziąć w nim udział, jeżeli sobie życzysz. Rozumiesz?

–Chyba tak. Proszę, ja też idę.

–Dobrze.

Ochiba przykazała doktorowi, żeby otoczył pacjenta staranną opieką, ukłoniła się Kiritsubo, uśmiechnęła do Blackthorne’a i wyszła.

–Wszystko dobrze, Anjin-san? – zapytała Kiri.

–Głowa słaba, pani. Przepraszam.

–Bądź łaskaw przyjąć moje podziękowanie. Rozumiesz?

–Obowiązek. Tylko obowiązek. Porażka. Mariko-sama nie żyje, ne?

Kiri złożyła pełen szacunku ukłon.

–Nie porażka. O nie. Dziękuję ci, Anjin-san. Za nią, za siebie, za wszystkich. Później powiem więcej. Dziękuję.

Ona także wyszła.

Blackthorne wziął się w garść i wstał. Głowa pękała mu z bólu, aż chciało mu się krzyczeć. Zaciśnął usta. Oddychanie było męką, buntował się żołądek. Mdłości minęły, pozostawiając obrzydliwy niesmak. Powoli wysunął nogę, zrobił krok, podszedł do okna i przytrzymał się parapetu, usiłując zapanować nad nudnościami. Odczekał chwilę i zaczął się przechadzać w tę i z powrotem, ale to nie pomagało ani na ból głowy, ani na mdłości.

–Jestem dobrze, dziękuję – powiedział i usiadł z ulgą.

–Proszę, wypij to. Będzie ci lepiej. Hara się uspokoi.

Doktor uśmiechnął się dobrotliwie. Blackthorne pociągnął łyk i zrobiło mu się niedobrze. Smak mikstury był jeszcze gorszy niż zapach, który przypominał ptasie odchody i gnijące w upalny dzień wodorosty.

–Wypij. Wkrótce lepiej, przepraszam.

Blackthorne przezwyciężył wstręt i wypił do dna.

–Zaraz lepiej, przepraszam.

Przyszły służące i uczesały go. Fryzjer ogolił. Zrobiono mu gorące okłady na ręce i twarz. Poczuł się lepiej, ale głowa nadal go bolała. Inne służące pomogły mu ubrać się w odświeżone kimono i kaftan. Dostał nowy krótki miecz.

–Podarunek, panie. Podarunek do Kiristubo-samy – wyjaśniła służąca.

Blackthorne zatknął krótki miecz za pas razem z długim mieczem od Toranagi. Rękojeść mocno ucierpiała, kiedy walił nią w zasuwę. Pamiętał Mariko stojącą tyłem do drzwi, potem była pustka, a potem klęczał przy niej patrząc, jak umiera. I znowu pustka, aż do tej chwili.

–Przepraszam, to jest wieża, ne? – rzekł do dowódcy Szarych.

–Tak, Anjin-san. – Samuraj, przykucnięty jak wielka, groźna małpa, ukłonił się z szacunkiem.

–Powiedz, proszę, dlaczego tu jestem?

Samuraj uśmiechnął się i głośno wciągnął powietrze, co było objawem uprzejmości.

–Pan generał wydał taki rozkaz.

–Ale dlaczego tutaj?

–Rozkaz pana generała. Bardzo mi przykro, rozumiesz?

–Tak, dziękuję – odparł Blackthorne z rezygnacją.

Kiedy był wreszcie gotów, poczuł się okropnie. Napił się cha i to pomogło, ale na krótko. Zwymiotował do miski, którą trzymał przed nim służący. Przy każdym skurczu żołądka dźgał go ból, jakby ktoś wbijał mu igły w piersi i głowę.

–Bardzo mi przykro – powiedział spokojnie doktor.– Proszę, pij.

Wypił ohydne lekarstwo, ale nie pomogło. Świt rozjaśniał niebo.

Służący dali znak i wyprowadzili go z dużej izby z obstawą wartowników z przodu i z tyłu. Zeszli po schodach, potem na dziedziniec. Czekał tam na niego strzeżony palankin. Z ulgą w nim usiadł. Na rozkaz-dowódcy Szarych tragarze chwycili za drągi i dołączyli do palankinów oraz odświeżnie ubranych samurajów i dam zdążających na piechotę przez labirynt uliczek. Część kobiet miała biały szal na głowie do ciemnego kimona, inne uzupełniły biały strój kolorowym szalem.

Blackthorne udawał, że nie widzi skierowanych na siebie spojrzeń, starał się trzymać prosto i przybrał obojętną minę. Modlił się w duchu, żeby nie napadły go mdłości, żeby oszczędzony był mu ten wstyd. Ból wzrastał.

Orszak przepływał przez warowne mury, między milczącymi szeregami tysięcy samurajów. Nikogo nie zatrzymano, od nikogo nie żądano przepustki. Żałobnicy bez przeszkód mijali wartownie, przechodzili pod podniesionymi kratami i pokonali pięć fos. Za główną bramą, kiedy opuścili fortyfikację, Blackthorne spostrzegł, że Szarzy otoczyli go ciasniej i zaostrzyli czujność, pilnie przyglądając się każdemu w pobliżu. To go trochę uspokoiło. Nie zapomniał przecież, że rzuca się w oczy swoją obecnością. Wąż pochodni wysunął się na otwartą przestrzeń, prześlizgnął przez most, zwinął na placu nad brzegiem rzeki.

Na środku placu długości pięciuset i szerokości trzystu kroków wykopano głęboki kwadratowy dół, który wypełniono drewnem. Bambusowe słupki podpierały dach z mat osłonięty białym jedwabiem, a cztery ściany z białych lnianych płacht wskazywały wschód, północ, zachód i południe. Pośrodku każdej ściany ustawiono drewnianą furtkę.

–Furtki są po to, Anjin-san, żeby dusza miała którędy wylecieć do nieba – wyjaśniła kiedyś Mariko w Hakone.

–Chodźmy popływać albo porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym.

–Dobrze, ale przedtem pozwól, że dokończę, bo to bardzo przyjemne. Pogrzeb jest dla nas bardzo, bardzo ważny, dlatego powinieneś się o nim dowiedzieć, ne? Zgadzasz się?

–Tak. Ale po co aż cztery furtki? Nie wystarczyłaby jedna?

–Dusza musi mieć wybór. To mądre... o, my jesteśmy bardzo mądrzy, ne? Czy mówiłam ci już dziś, że cię kocham? – spytała. – Jesteśmy bardzo mądrym narodem, bo dajemy duszy wybór. Prawie wszystkie wybierają południową furtkę. To przy niej na stołach leżą suszone figi, świeże granaty i inne owoce, rzodkiewki i różne warzywa, pęczki ryżowych sadzonek, jeżeli pora roku pozwala. I zawsze stoi miseczka świeżo ugotowanego ryżu, to bardzo ważne. Na wypadek, gdyby dusza zechciała się pożywić przed odejściem.

–Dla mnie naszykujcie pieczonego bażanta albo...

–Niestety, mięsa nie można, nawet ryby. Traktujemy to bardzo poważnie, Anjin-san. Na stole nie może też zabraknąć kociołka z płonącym węglem, szczapami drogiego drewna i olejkami, żeby ładnie pachniało...

Łzy cisnęły się Blackthorne'owi do oczu.

–Chcę mieć pogrzeb o świcie – mówiła nieraz z rozmarzeniem. – i Nade wszystko lubię świty. A gdyby to mogło jeszcze być jesienią...

Biedactwo, pomyślał. Wiedziałaś, że nie doczekasz jesieni.

Palankin zatrzymał się na honorowym miejscu w pierwszym rzędzie, i niemal pośrodku. Widać było stąd nawet krople wody, którą zroszono owoce. Było tak, jak to opisała. Setki palankinów ustawiły się dokoła, a cały plac wypełnił milczący, nieruchomy tłum samurajów i dam. Blackthorne dojrzał Ishido i Ochibę. Siedzieli w bogatych palankinach wpatrzeni w białe płachty łopoczące lekko na wietrze. Kiyama znalazł się i po drugiej stronie Ochiby, nieco dalej Za taki oraz Ito. Zamknięty palankin Onoshiego też tam był. Wszyscy obstawieni przez straż. Samuraje Kiyamy i Onoshiego nosili krzyże.

Blackthorne daremnie szukał wzrokiem Yabu, nie widział też żadnego Brązowego ani życzliwej twarzy. Kiyama rzucił mu tak złowrogie spojrzenie, że od razu docenił obecność wartowników. Skłonił głowę, ale Kiyama nie odwzajemnił nawet tej uprzejmości. Odetchnął, kiedy Kiyama popatrzył gdzie indziej.

Ciszę rozdarły bębny, dzwony, metaliczny łomot. Kakofonia dźwięków świdrowała uszy. Wszyscy spojrzeli na bramę wjazdową zamku. Z jej czeluści wyłonił się ozdobny palankin z dachem, niesiony przez ośmiu kapłanów shintō. Siedział w nim jak posąg Buddy najwyższy kapłan. Idący przed nim i za nim mnisi uderzali w metalowe bębny, i wyprzedzając procesję dwustu kapłanów buddyjskich w pomarańczowych szatach. Za nimi pojawili się ubrani na biało kapłani shintō, i a potem ozdobne, białe mary z daszkiem.

Siedziała na nich z pochyloną głową, podparta poduszkami Mariko, starannie umalowana i uczesana. Niosło ją dziesięciu Brązowych. Idący przodem dwaj młodzi mnisi rzucali papierowe płatki róży, które wiatr porywał na znak, że życie jest nietrwałe jak kwiat. Za marami dwóch kapłanów ciągnęło ostrzem po ziemi włócznie, oznaczające, że Mariko była samurajką i nieugięcie wypełniała swoje obowiązki. Dalej czterech kapłanów niosło nie zapalone pochodnie. Syn Saruji szedł z twarzą białą i jak kimono, które miał na sobie. Kiritsubo i pani Sazuko, też ubrane na biało, miały włosy rozpuszczone i przewiązane zielonym muślinem. W pewnej odległości za nimi zamykali pochód niedobitkowie garnizonu Toranagi, niektórzy ranni, wielu okulałych.

Blackthorne widział tylko Mariko. Wydawała się pogrążona w modlitwie, nietknięta. Trwał w niewzruszonej pozycji wiedząc, jakim zaszczytem była dla niej ta publiczna uroczystość, na którą przybyli Ishido i Ochiba. Ale to nie złągodziło jego rozpacz.

Najwyższy kapłan zaintonował pieśń, przy wtórze bębnów. Śpiewne zawrodozenie rozbrzmiewało ponad godzinę. W ciszy, która potem zapadła, Saruji sięgnął po nie zapaloną pochodnię i obszedł wszystkie cztery furtki sprawdzając, czy nic ich nie

przesłania.

Chłopiec drżał, a wracając do mar, wbił wzrok w ziemię. Wziął wiszący przy nich biały sznur i wprowadził Brązowych przez południową bramę. Ustawiono palankin na stercie drewna. Popłynęła żałobna pieśń. Saruji przytknął pochodnię do żaru w kociołku. Buchnął płomień. Ociągając się Saruji wszedł sam przez południową bramę i cisnął pochodnię na stos. Nasycone olejem drewno zajęło się w okamgnieniu. Dół zamienił się w wielki piec. Płomienie wystrzeliły na dziesięć stóp w górę. Saruji cofnął się przed żarem, wziął pachnące drewnienka i wonne olejki i wrzucił je do ognia. Suchy jak pieprz dach wyleciał w powietrze. Zapaliły się płócienne ściany. Ogień szalał niepowstrzymanie, pożerając z trzaskiem wszystko wokół dołu.

Przewróciły się słupki, na których wcześniej spoczywał dach. Tłum westchnął. Kapłani dorzucili drewna na stos, płomienie urosły, buchnął dym. Pozostały już tylko cztery małe bramy. Lizał je żar. Po chwili stanęły w płomieniach.

Ishido, najważniejszy uczestnik uroczystości, wysiadł z palankinu i dopełnił rytuału, rzucając drogocenne drewno. Złożył ceremonialny ukłon, wszedł do palankinu i kazał się odnieść na zamek. Odjechała też Ochiba. Za nią inni.

Saruji po raz ostatni pokłonił się płomieniom. Zbliżył się do Blackthorne'a, stanął przed nim i złożył ukłon.

–Dziękuję, Anjin-san – powiedział i odszedł razem z Kiri i panią Sazuko;

–To już koniec, Anjin-san – rzekł z uśmiechem dowódca Szarych. – Kami bezpieczne. Idziemy do zamku.

–Zaczekajcie, proszę.

–Przepraszam, rozkaz, ne? – zaniepokoił się samuraj. Wartownicy stali murem.

–Proszę, zaczekajcie.

Nie zważając na ich niepokój, Blackthorne wysiadł z palankinu. Przeszył go oślepiający ból. Samuraje rozstawili się wokół. Podeszedł do stolika, wziął kilka szczapek kamforowego drewna i rzucił je przez ścianę płomieni.

–In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti – wyszeptał i zrobił znak krzyża. Odwrócił się i odszedł.

Kiedy się obudził, czuł się o wiele lepiej, choć był osłabiony, a tępy ból wciąż pulsował mu w skroniach i w czole.

–Jak się czujesz, Anjin-san? – spytał doktor, szczerząc się w uśmiechu. Jego głos

był nadal słabo słyszalny. – Długo spałeś.

Blackthorne podparł się na łokciu i spojrział rozespany na wpadające przez okna słońce. Dochodzi piąta po południu, pomyślał. Spałem ponad sześć godzin.

–Spałem cały dzień, ne?

Doktor uśmiechnął się.

–Cały dzień wczoraj, noc i dzisiaj. Rozumiesz?

–Rozumiem. Tak. – Blackthorne położył się. Skóra lśniła mu od potu. Dobrze, pomyślał. To najlepsze, co mogłem zrobić, nic dziwnego, że poczułem się lepiej.

Łoże z miękkich kołder osłaniały z trzech stron parawany z namalowanymi krajobrazami, inkrustowane kością słoniową. Przez okna naprzeciw wlewało się słońce, rozjaśniając przyjemny, duży pokój. Unosiły się roje much. Za, oknami odgłosy życia na zamku spletały się ze stukotem nie podkutych koni, brzęczeniem uprzęży. Łagodny wiaterek roznosił zapach dymu. Chyba nie chciałbym, żeby spalono moje ciało, pomyślał Blackthorne. Zaraz, zaraz, czy to aby nie lepsze niż skrzynia, którą zakopują w ziemi, a potem robaki... Przestań, przywołał się do porządku. Po co się martwić, karma to karma, a trup to trup, wtedy już wszystko jedno – byleby nie utonąć, to najgorsze, woda wypełnia ciało, rozdyma je, kraby... Przestań!

–Napij się, proszę. – Doktor podał mu wstrętny napój. Mdlilo go, ale wypił.

–Poproszę cha – powiedział.

Służąca naląa mu. Była to niemłoda kobieta o twarzy jak księżyc w pełni, z przyklejonym uśmiechem i oczami jak szpareczki. Trzy filiżanki przywróciły mu znośny smak w ustach.

–Powiedz, proszę, Anjin-san, jak uszy?

–Tak samo. Ciągle daleko... daleko, rozumiesz?

–Rozumiem. Jeść, Anjin-san?

Na małej tacce zobaczył ryż, zupę i przypieczoną rybę. Dolegliwości żołądkowe wprawdzie nie ustały, ale ponieważ od dwu dni nie jadł, więc usiadł i zmusił się do zjedzenia odrobiny ryżu, popijając zupą rybną. To uspokoiło żołądek. Jadł więc dalej, posługując się bez trudu pałeczkami, aż nic nie zostało.

–Dziękuję. Głodny.

–Tak – rzekł doktor. Na niskim stoliku przy łóżku położył płócienny woreczek z ziołami. – Parz sobie tego cha, Anjin-san. Raz dziennie, aż zużyjesz. Rozumiesz?

–Tak, dziękuję.

–To był dla mnie zaszczyt, że mogłem ci służyć.

Sędziwy doktor skinął na służącą, która zabrała pustą tackę, jeszcze raz uklonił się i oboje wyszli. Blackthorne został sam. Wyciągnął się na fotonach z o wiele lepszym samopoczuciem.

–Po prostu byłem głodny – powiedział na głos.

Był ubrany tylko w przepaskę na biodrach. Zdziwiło go, że uroczysty strój leży niechlujnie na podłodze tam, gdzie go rzucił, chociaż przy mieczach pojawiło się czyste brązowe kimono. Zamyślił się. Raptem wyczuł czyjąś obecność. Zaniepokojony usiadł i rozejrzał się. Potem ukląkł i spojrzał za parawan. Niewiele myśląc zerwał się na nogi, aż łupnęło mu w głowie. Koło drzwi klęczał japoński jezuita z różańcem w ręku.

–Kim jesteś? – spytał walcząc z bólem.

–Brat Michał, senhor.

Czarne oczy wpatrywały się w niego nieprzerwanie. Blackthorne odszedł od parawanu i stanął nad mieczami.

–Czego chcesz ode mnie?

–Przysłano mnie, żebym spytał, jak się czujesz – odparł Michał po portugalsku. Mówił wyraźnie, choć z akcentem.

–Kto cię przysłał?

–Pan Kiyama.

Blackthorne uzmysłowił sobie, że są zupełnie sami.

–Gdzie moi, strażnicy?

–Nie masz strażników, senhor.

–Oczywiście, że mam! Dwudziestu Szarych. Gdzie oni są?

–Nie było ich, kiedy przyszedłem, senhor, a ty jeszcze spałeś. Bardzo mi przykro. – Michał-wskazał z powagą drzwi. – Może spytasz tamtych samurajów.

Blackthorne wziął miecz.

–Odejdź od drzwi, proszę.

–Nie jestem uzbrojony, Anjin-san.

–Ale nie zbliżaj się do mnie. Księża mnie drażnią.

Michał posłusznie wstał i odsunął się, zachowując denerwujący spokój. Na podeście schodów dwóch Szarych opierało się niedbale o balustradę.

–Dzień dobry – rzekł uprzejmie Blackthorne, nie poznając żadnego z nich.

Nie ukłonili się.

–Dzień dobry, Anjin-san – powiedział jeden.

–Przepraszam, gdzie moi strażnicy?

–Strażnicy odwołani w godzinie Zająca, dziś rano. Rozumiesz: w godzinie Zająca? Nie jesteśmy twoimi strażnikami, Anjin-san. To nasz zwykły posterunek.

Blackthorne poczuł na plecach zimny pot.

–Strażnicy odwołani... czyj rozkaz?

Samurajowie roześmieli się. Wyższy odpowiedział:

–W wieży wydaje rozkazy tylko pan generał albo pani Ochiba. Jak się czujesz, Anjin-san?

–Dziękuję, lepiej.

Wyższy samuraj zawołał kogoś. Po chwili z pokoju w końcu korytarza wyszedł oficer z czterema żołnierzami. Oficer był młody, szedł prężnym krokiem. Kiedy zobaczył Blackthorne'a, rozbłysły mu oczy.

–A, Anjin-san. Jak się czujesz?

–Lepiej, dziękuję. Przepraszam, gdzie moi strażnicy?

–Mam rozkaz powiedzieć ci, żebyś udał się na statek, kiedy wstaniesz. Oto twoja przepustka. – Oficer wyjął dokument z rękawa i wskazał pogardliwie Michała. – Ten człowiek będzie twoim przewodnikiem. Niebezpieczeństwo! – kołatało po głowie usiłującemu zebrać myśli Blackthorne'owi.

–Dziękuję – rzekł. – Najpierw muszę widzieć pana Ishido. Proszę. Bardzo ważne.

–Przykro mi. Masz rozkaz wrócić na statek, kiedy wstaniesz. Rozumiesz?

–Tak. Przepraszam, bardzo ważne widzieć pana Ishido. Powiedz swojemu dowódcy, proszę. Teraz. Muszę widzieć pana Ishido, zanim odejdę. Bardzo ważne.

Samuraj podrapał się w ospowatą szczękę.

–Spytam. Ubierz się, proszę.

Odmaszerował dumnie. Blackthorne z ulgą wrócił do pokoju i szybko się ubrał. Pozostali czterej pilnowali go. Mnich czekał w korytarzu.

Cierpliwości, powtarzał w duchu Blackthorne. Nie myśl i nie martw się. To jakaś pomyłka. Nic się nie zmieniło. Nadal jesteś ważny i potężny.

Zatknął miecze za pas i wypił cha. Obejrzał przepustkę. Była opatrzona pieczęcią, pokryta pismem. To nie pomyłka, pomyślał. Czyste kimono zaczęło kleić mu się do ciała.

–Hej, Anjin-san – odezwał się jeden z samurajów. – Słyszałem, że zabiłeś pięciu ninja. Bardzo dobrze, ne?

–Niestety, tylko dwóch. Może trzech.

Blackthorne pokręcił głową, chcąc złagodzić ból i szum.

–Słyszałem, że zginęło pięćdziesięciu siedmiu ninja, a Brązowych, stu szesnastu. To prawda?

–Nie wiem. Przepraszam.

Wszedł oficer.

–Masz rozkaz wrócić na statek, Anjin-san. Ten mnich będzie twoim przewodnikiem.

–Tak. Dziękuję. Ale najpierw, przepraszam, muszę widzieć panią Ochibę. Bardzo, bardzo ważne. Spytaj, proszę...

Samuraj zachnął się i gardłowym głosem powiedział coś szybko do Michała. Mnich uklonił się niewzruszenie i rzekł do Blackthorne'a:

–Przykro mi, senhor. Jego zwierzchnik zwrócił się z zapytaniem do swojego zwierzchnika, ale teraz masz natychmiast udać się ze mną na galerę.

–Ima! – dodał samuraj, żeby nie było wątpliwości. Blackthorne czuł, że wydano na niego wyrok.

–Dziękuję, kapitanie – rzekł otępiąły. Gdzie moi strażnicy? –

–Nie masz strażników.

–Poślij, proszę, na mój statek. Sprowadź, proszę, moich wasali z...

–Rozkaz na statek! Rozumiesz, ne? – Zabrzmiało to niegrzecznie i nieodwoalnie. – Na statek! – dodał samuraj z kwaśnym uśmiechem, czekając, aż Blackthorne pierwszy się ukloni.

Blackthorne spostrzegł to i pociemniało mu w oczach. Wydawało mu się, że śni jakiś koszmarny sen. Miał nieprzepartą ochotę wypróżnić się, otrzeć pot z czoła i uklonić się. Wiedział, że jeśli nawet dowódca Szarych odkłoni się, to nieuprzejmie, na pewno nie jak równemu sobie, więc będzie to dla niego policzek przy wszystkich. Było oczywiste, że został sprzedany, wydany chrześcijańskim wrogom, że” w zdradzieckim spisku maczali palce Kiyama, Ishido i księża. Niezależnie jednak od powodu zdrady, od jej ceny, nie pozostawało mu nic innego jak obetrzeć czoło, uklonić się i wyjść... czekali na niego.

Przypomniała mu się Mariko i jej strach, kim dla niego była, czego dokonała, czego nauczyła. Oparł dłoń na nadłamaną rękojeść miecza, stanął w groźnym rozkroku. Wiedział, że jego los jest rozstrzygnięty, karma wyznaczona, więc jeżeli miał zginąć, to wołał zginąć od razu, byle z honorem.

–Jestem John Blackthorne, Anjin-san – rzekł z zawziętością, dzięki której sprawiał wrażenie dziwnie silnego i pełnego lekceważenia. – Dowódca statku pana Toranagi. Wszystkich statków. Samuraj i hatamoto! A ty kim jesteś?

Dowódca Szarych poczerwieniał.

–Saigo Massakatsu z Kagi, oficer garnizonu pana Ishido.

–Jestem hatamoto, a ty? – spytał Blackthorne jeszcze bardziej niegrzecznie, nie wymieniając choćby nazwiska przeciwnika, którego widział z niewiarygodną wyrazistością, dostrzegając każdy por, włos zarostu, cętkę w nieprzyjaznych brązowych tęczęwkach, każdy włos na zaciskającej się na mieczu dłoni.

–Nie jestem hatamoto. – Jesteś samurajem czy roninem?

Ostatnie słowo wysyczał, czując za plecami żołnierzy, ale było mu wszystko jedno. Nie odrywał oczu od oficera, spodziewając się szybkiego, śmiertelnego ciosu, który wymagał hara-gei, zdobycia energii z najgłębszych pokładów. Szykował się do

odparcia ciosu z równie oślepiającą siłą, by obaj zginęli godnie, by pokonać przeciwnika.

Zdumiał się, kiedy dowódca Szarych pobladł, skulił się, uklonił z pokorą. Trwał w tym ukłonie całkowicie bezbronny.

–Źle się zachowałem, daruj, Anjin-san. Byłem roninem, ale pan generał pozwolił mi spróbować jeszcze raz. Proszę o wybaczenie Anjin-san, źle się zachowałem. – Szczery wstyd przebijał przez te słowa.

Blackthorne'owi wydawało się, że śni. Był gotów zadać cios, spodziewał się śmierci, nie zwycięstwa. Rozejrzał się. Samuraje uklonili się jak za pociągnięciem sznurka i zastygli tak razem ze swoim dowódcą. Uznali jego przewagę.

Blackthorne odczekał chwilę i złożył sztywny ukłon. Ukłon zaznaczający własną wyższość. A oni stali pochyleni, aż wyszedł na korytarz razem z Michałem, zszedł na dół po schodach i wy dostał się na dziedziniec. Przepelniało go przemożne uczucie zadowolenia, ból znikł. Szarzy na dziedzińcu przyglądali mu się, a samuraje eskortujący go do pierwszej wartowni trzymali się w bezpiecznej odległości. Jednego żołnierza posłano naprzód.

Przy następnej wartowni Blackthorne wymienił ukłony jak równy z równym z oficerem, który uważnie, przepisowo obejrzał przepustkę... Nowa eskorta doprowadziła Blackthorne'a i Michała do następnej wartowni, gdzie wszystko się powtórzyło. Przeszli jedną fosę, potem drugą. Nikt ich nie zatrzymał ani nie interesował się nimi.

Blackthorne spostrzegł, że głowa coraz mniej mu dokucza, przestał się pocić. Rozluźnił palce zaciśnięte na rękojeści miecza i poruszył nimi. Zatrzymał się przy źródelku w murze, napił się i zmoczył głowę.

Eskorta Szarych posłusznie czekała. Nie przestawał zachodzić w głowę, dlaczego stracił łaskę Ishido i pani Ochiby. Nic się nie zmieniło, wmawiał sobie. Prostując się spostrzegł spojrzenie Michała.

–Czego chcesz?

–Nic, senhor – odparł Michał i uśmiechnął się serdecznie. – A, senhor, oddałeś mi wielką przysługę. Miło było popatrzeć, jak ten cham i cabron liże podłogę! Dzięki ci – dodał po łacinie.

–Nic dla ciebie nie zrobiłem – odrzekł Blackthorne po portugalsku, gdyż nie chciał rozmawiać po łacinie.

–Pokój z tobą, senhor. Bóg chadza dziwnymi ścieżkami. Przysłużyłeś się nie tylko

mnie, ale wszystkim samurajom. Ten ronin zasłużył na to, żeby najeść się wstydu. Nie godzi się naruszać bushido.

–Ty też jesteś samurajem?

–Tak, senhor, mogę się tym poszczycić. Mój ojciec jest kuzynem pana Kiyamy, a mój ród pochodzi z prowincji Hizen na Kiusiu. Skąd wiedziałeś, że to ronin?

–Sam nie wiem. Powiedział, że jest z Kagi, a to daleko. Mariko... pani Toda mówiła, że Kaga jest daleko na północy. Nie wiem, nie bardzo pamiętam, co właściwie powiedziałem.

Podszedł dowódca eskorty.

–Przepraszam, Anjin-san, czy ten człowiek robi ci jakieś przykrości?

–Nie. Nie, dziękuję – odparł Blackthorne i ruszył w drogę.

Znów, bardzo uprzejmie, sprawdzono przepustkę.

Do zachodu pozostało jeszcze kilka godzin. W rozgrzanym powietrzu podnosiły się kłębki kurzu. Mijali stajnie, w których samuraje oporzędzali konie i czyścili ekwipunek. Siodła, lance i włócznie wskazywały na gotowość do natychmiastowego wymarszu.

–Ile koni, kapitanie? – spytał Blackthorne zdumiony ich liczbą.

–Tysiące, Anjin-san. Trzydzieści tysięcy tutaj i gdzie indziej na zamku.

Kiedy przechodzili przez przedostatnią fosę, Blackthorne skinął na Michała.

–Prowadzisz mnie na galerę?

–Takie dostałem polecenie, senhor.

–Nigdzie indziej?

–Nie, senhor.

–Kto wydał to polecenie?

–Pan Kiyama. I ojciec wizytator, senhor.

–Aha! Wolę, żebyś mówił do mnie Anjin-san, księżu.

–Daruj, Anjin-san. Nie jestem księdzem. Nie zostałem jeszcze wyświęcony.

–A kiedy będziesz?

–Wszystko w rękach Boga – rzekł Michał z przekonaniem.

–Gdzie jest Yabu-san?

–Przykro mi, nie wiem.

–Zabierasz mnie na statek – Tylko tam?

–Tak, Anjin-san.

–I potem będę mógł udać się, gdzie zechcę?

–Miałem się tylko dowiedzieć, jak się czujesz i zaprowadzić na statek, nic więcej. Jestem zwykłym posłańcem, przewodnikiem.

–Jak ci Bóg miły?

–Jestem zwykłym przewodnikiem, Anjin-san.

–Gdzie tak dobrze nauczyłeś się portugalskiego? I łaciny?

–Byłem jednym z czterech... czterech akolitów wysłanych przez ojca wizytatora do Rzymu. Ja miałem trzynaście lat, Uraga-no-Tadamasa dwanaście.

–Teraz sobie przypominam. Uraga-san opowiadał mi o tobie. Byłeś jego przyjacielem. Wiesz, że nie żyje?

–Tak. Serce mi się ścisnęło, kiedy o tym usłyszałem.: – Zrobili to chrześcijanie.

–Mordercy, Anjin-san. Zabójcy. Zostaną osądzeni, nie ma obawy. Po chwili milczenia Blackthorne spytał:

–Jak ci się podobał Rzym?

–Rzym był okropny, odrażający. Brudny i brzydki. Jedzenie też było okropne. Tam żyją sami eta, aż trudno uwierzyć! Osiem lat zajęła nam podróż tam i z powrotem. Na klęczkach dziękowałem Matce Bożej, kiedy wreszcie wróciłem.

–A Kościół? Duchowni?

–Wielu było okropnych – rzekł spokojnie, Michał. – Byłem wstrząśnięty, patrząc na ich zachowanie, brak skrupułów, kochanki, przepych, chciwość i hipokryzję. Na ich podwójną moralność, inną dla owieczek, inną dla pasterzy. To było wstrętne... A mimo to znalazłem wśród nich Boga. Dziwne. Znalazłem Prawdę w katedrach,

klasztorach, między kapłanami. – Michał popatrzył na niego szczerze, tkliwie. – Rzadko, Anjin-san, bardzo rzadko dostrzegałem przebłyśki świętości, to muszę przyznać. Ale odnalazłem Prawdę, Boga i wiem, że chrześcijaństwo to jedyną drogą do życia wiecznego... daruj, katolickie chrześcijaństwo.

–Widziałeś stosy inkwizycji, więzienia, sądy nad czarownicami?

–Widziałem straszne rzeczy. Niewielu jest mądrych ludzi, większość to grzesznicy i wiele zła dzieje się na ziemi w Imię Boże. Ale nie są to dzieła Boga. Ten świat to padół płaczu, przygotowanie do wiecznej szczęśliwości. – Pomodlił się w skupieniu dla otuchy i po chwili rzekł: – Nawet niektórzy heretycy mogą być dobrzy, ne?

–Może – odparł Blackthorne, czując sympatię do Japończyka.

Ostatnia fosa i ostatnia brama, główna brama południowa. Ostatnia wartownia, przy której zabrano przepustkę. Michał pierwszy przeszedł pod podniesioną kratą. Blackthorne za nim. Czekają na nich stu samurajów Kiyamy. Nosili krzyże, nie byli przyjaźnie nastawieni. Widząc – to Blackthorne zatrzymał się. Michał szedł spokojnie dalej. Ponaglony skinieniem przez dowódcę eskorty, Blackthorne ruszył naprzód. Samuraje otoczyli go zwartym murem. Tragarze i handlarze pierzchali na boki i bili czołem o ziemię. Niektórzy trzymali w wyciągniętej ręce prosty, krzyż. Idący przodem Michał błogosławił ich. Droga prowadziła lekko w dół, mijała plac pogrzebowy z wygasłym dołem, przebiegała przez most do miasta, kierując się ku morzu. Tym samym gościńcem szli od I strony miasta Szarzy i inni samuraje. Krzywili się na widok Michała i zmusiliby go do ustąpienia im z drogi, gdyby nie oddział samurajów Kiyamy.

Blackthorne szedł krok w krok za Michałem. Strach nie miał do niego przystępu, ale myśl o ucieczce owszem. Nie było jednak gdzie uciec ani gdzie się ukryć. Na lądzie. Mógł poczuć się bezpieczny tylko na pokładzie Erasmusa, wypływając w morze z kompletem załogi, zapasami żywności i amunicji.

–Co się stanie na galerze, bracie?

–Nie wiem, Anjin-san.

Szli ulicami miasta, coraz bliżej morza. Michał pierwszy skręcił za róg i wyszedł na targ rybny. Zgrabne dziewczęta i grubaski, staruszki i młodzieńcy, kupujący i sprzedawcy, dzieci i dorośli wybałuszili na niego oczy i pośpiesznie zaczęli bić pokłony. Blackthorne z obstawą samurajów mijał stragany, kosze i bambusowe tace pełne ryb i owoców morza połyskujących świeżością. Wyłożone ryby, ryby pływające w zbiornikach, krewetki i homary, kraby i langusty. W Londynie nie jest tak czysto, pomyślał, ani ryby nie są takie czyste, ani sprzedawcy. Wtem zobaczył rząd straganów z kociołkami na węgiel, odurzył go zapach pieczonej langusty.

–Boże świąty! – Bez namysłu skreślił w tamtą stronę. Samuraje zagrodzili mu drogę.

–Gomen nasai kinjiru – powiedział jeden.

–Iye! – odparł Blackthorne szorstko. – Watashi tabetai desu, ne? Watashi Anjin-san, ne? (Jestem głodny. Jestem Anjin-san.)

Zaczął się przepychać. Dowódca eskorty chciał go zatrzymać. Michał szybko zawrócił, żeby załagodzić sytuację. Uprzejmie, ale stanowczo poprosił o pozwolenie, którego z ociąganiem udzielono.

–Kapitan mówi, żebyś jadł do woli – rzekł Michał. – Czego sobie życzysz, Anjin-san?

–Poproszę to. – Blackthorne wskazał olbrzymie krewetki ogołoczone z głów i rozcięte wzdłuż. Pod kruchą skorupką jaśniało białoróżowe mięso. Oczu nie mógł oderwać od tych delicji. – Powiedz, proszę, kapitanowi, że od dwóch dni nic nie jadłem i głód jest silniejszy ode mnie. Przepraszam.

Pólnagi sprzedawca, wysuszony i ogorzały, błyskał trzema zębami. Rozpierała go duma, że wybrano właśnie jego stragan. Zręcznie wyłożył pałeczkami najładniejsze pięć krewetek na bambusową tackę i od razu zaczął piec następną porcję.

–Dózo, Anjin-sama!

–Dómo.

Blackthorne'owi burczało w brzuchu. Miał ochotę rzucić się łapczywie na jedzenie. Opanował się jednak, wziął czyste, drewniane pałeczki, umoczył krewetkę w sosie i zjadł ze smakiem. Była pyszna. Poczęstował Michała, który przez grzeczność sięgnął po krewetkę. Dowódca eskorty odmówił uprzejmie.

Uporawszy się z pierwszą porcją, zjadł jeszcze dwie. Nie miałby nic przeciwko kolejnym dwóm, wstrzymał się jednak, żeby nie wyjść na żarłoka i nie przeciążać żołądka.

–Dómo – powiedział odstawiając tackę i bekając, jak nakazywała uprzejmość. – Bimi desu! (Pyszne).

Uszczęśliwiony sprzedawca uklonił się, to samo zrobili właściciele pobliskich straganów i w tym momencie Blackthorne uzmysłowił sobie, że nie ma czym zapłacić. Poczzerwieniał.

–Co się stało? – spytał Michał.

–Nie mam pieniędzy ani nic takiego, co mógłbym mu dać. Czy mógłbyś z łaski

swojej pożyczyc mi trochę?

–Nie mogę, Anjin-san. My chodzimy bez pieniędzy.

Zapadła kłopotliwa cisza. Sprzedawca uśmiechnął się i czekał cierpliwie. Zażenowany Michał zwrócił się do dowódcy eskorty. Dowódca, wściekły na Blackthorne'a, wydał polecenie jednemu z żołnierzy, który podszedł i hojnie zapłacił sprzedawcy, ten zaś wylewnie podziękował. Michał, czerwony i spocony, odwrócił się i ruszył naprzód. Blackthorne dogonił go.

–Bardzo przepraszam za to, co zaszło... nie pomyślałem! Pierwszy raz chciałem tu coś kupić. Nigdy nie miałem przy sobie pieniędzy, to może dziwne, nigdy nie pomyślałem...

–Drobiazg, Anjin-san. Zapomnij o tym, proszę.

–Bądź łaskaw powiedzieć oficerowi, że zapłacę mu, kiedy wejdę na statek.

Michał spełnił prośbę, po czym szli jakiś czas w milczeniu. Blackthorne próbował uprzytomnić sobie, gdzie dokładnie się znajduje. U wylotu ulicy widać było plażę, spokojne morze ciemniejące w przedwieczornym słońcu. Kiedy zorientował się, gdzie są, pokazał w lewo, na szeroką ulicę biegnącą ze wschodu na zachód.

–Chodźmy tamtędy.

–Tędy będzie szybciej, Anjin-san.

–Tak, ale trzeba przejść koło misji jezuitów i portugalskiej lorszy. Wolę obejść ich z daleka, choćby dłuższą drogą.

–Kazano mi iść tędy.

–Chodźmy tamtędy.

Blackthorne stanął. Zapytany przez oficera Michał wyjaśnił w czym rzecz. Oficer machnął ręką, żeby szli dalej tak, jak prowadził Michał.

Blackthorne pomyślał; co by było, gdyby się zapał. Zmusiliby go, żeby szedł, albo związali i nieśli, albo wlekli po ziemi. Żadna z tych ewentualności nie odpowiadała mu, więc wzruszył ramionami i pomaszerował.

Wyszli na biegnącą wzdłuż plaży szeroką drogę, która pół ri dalej doprowadzała do nabrzeży i magazynów portowych jezuitów. Sto kroków stamtąd cumował portugalski statek, jeszcze dwieście kroków dalej galera. Z tej odległości nie sposób było dojrzeć ludzi na pokładzie...

Blackthorne schylił się po kamień i cisnął go w morze.

–Przejdźmy się kawałek plażą – zaproponował.

–Dobrze, Anjin-san.

Michał szedł po piasku, Blackthorne po płytkiej wodzie, orzeźwiając się jej chłodem, rozkoszując szumem.

–Piękny dzień, ne?

–Tak, Anjin-san – rzekł Michał z niespodziewaną serdecznością. – Nieraz się zdarza, wybacz mi, Madonno, że chciałbym nie być księdzem, a tylko synem mego ojca, i to jest właśnie taka chwila.

–Dlaczego?:

–Chciałbym, żebyś przepłynął swoim dziwnym statkiem z Jokohamy do Hizen, do portu Sasebo. Wymienilibyśmy się wiedzą. Ty uczyłbyś nas wszystkiego, co wiesz o morzu i statkach, a w zamian zaproponowałbym ci najlepszych w cesarstwie nauczycieli bushido, cha-no-yu, hara-gei, ki, medytacji zazen, układania kwiatów i wszystkich umiejętności i gałęzi wiedzy, które opanowaliśmy.

–Odpowiada mi taka wymiana. Może spróbujemy?

–Dzisiaj to niemożliwe. Ale i tak nauczyłeś się już dużo, i to w krótkim czasie, ne? Mariko-sama była wspaniałą nauczycielką. Jesteś prawdziwym samurajem. Posiadasz też rzadką u nas cechę: nieobliczalność. Taikō był taki, Toranaga-sama też taki jest. Bo widzisz, zwykle można dokładnie przewidzieć, jak każdy z nas się zachowa.

–Naprawdę?

–Tak.

–Czy możesz wobec tego przewidzieć, jak mogę wyrwać się z tej pułapki?

–Niestety, nie, ma z niej wyjścia, Anjin-san.

–Nie wierzę. Skąd wiedziałeś, że mój statek jest w Jokohamie? – To żadna tajemnica.

–Tak?

–Powszechnie wiadomo prawie o wszystkim, co ma związek z twoją osobą. Jesteś poważany za obronę pana Toranagi i pani Tody.

.– W to też nie wierzę.

Blackthorne schylił się, wziął płaski kamyk i puścił drugą „kaczkę”. Poszedł dalej, nucąc marynarską piosenkę. Kiedy po chwili natknęli się na falochron, skręcili z powrotem na drogę. Magazyn portowy i misja jezuitów rysowały się groźnie na tle czerwieniejącego nieba. Ubrani – na pomarańczowo bracia strzegli kamiennej bramy.

Michał skierował się w tamtą stronę. Tak właśnie przewidywał Blackthorne. Postanowił, że nie wejdzie do środka ani nie odda broni, chyba żeby pobito go do nieprzytomności.

–Prowadzisz mnie tylko do galery, he?

–Tak, Anjin-san. – Michał dał mu znak, żeby został przed bramą. – Nic się nie zmieniło. Kazano mi zawiadomić po drodze ojca wizytatora. Przepraszam, musisz chwilę poczekać.

Zaskoczony Blackthorne patrzył, jak Michał przechodzi pod kamiennym łukiem. Spodziewał się, że tutaj nastąpi kres wędrówki. Że czeka go dochodzenie, tortury, a potem wydadzą go w ręce gubernatora. Sto kroków dalej widać było lorszę. Na rufie stali Ferriera i Rodrigues, a na głównym pokładzie zebrali się uzbrojeni marynarze. Za lorszą przybrzeżna droga zakreślała lekki łuk, przy końcu którego widać było galerę. Blackthorne’owi zdawało się, że wśród marynarzy przy burtach poznaje Yabu i Vincka i że są tam też jakieś kobiety. Dostępu do galery strzegł silny zastęp Szarych.

Blackthorne wyteńczył wzrok. Ferriera i Rodrigues byli uzbrojeni po zęby. Członkowie załogi tak samo. Artylerzyści rozłożyli się niedbale „w pobliżu dwóch małych dział skierowanych na brzeg, ale byli w pogotowiu. Zwalisty bosman, Pesaro, schodził z kilkoma marynarzami na nabrzeże. Blackthorne wyprzedził go spojrzeniem i zadrzał. W twardej ziemi tkwił słup, a pod nim ułożono stos.

–A, pan pilot, witam.

Nadszedł dell’Aqua. Idący obok Michał wyglądał przy nim jak karzeł. Ojciec wizytator, ubrany w jezuicką sutannę, z wielką siwą brodą, przypominał biblijnego patriarchę. Inkwizytor w każdym calu, dobrotliwy na pokaz, pomyślał Blackthorne. Dziwnie się poczuł, kiedy musiał zadrzeć głowę, żeby spojrzeć w brązowe oczy, w których wyczytał litość. Wiedział jednak, że to tylko pozór, i nie spodziewał się szczerzego współczucia.

–Witam, ojcie wizytatorze – odparł. Krewetki zaciążyły mu w żołądku jak ołów.

–Idziemy?

–Czemu nie.

A więc sąd odbędzie się na pokładzie, pomyślał Blackthorne przerażony, żałując, że nie ma przy sobie pistoletów. Zginałbyś pierwszy, eminencjo.

–Zostań tu, Michale – polecił dell’Aqua. Spojrzał na portugalską fregatę, spochmurniał i ruszył w jej stronę.

Blackthorne zawahał się. Michał i stojący wokół samuraje dziwnie na niego patrzyli.

–Sayonara, Anjin-san – rzekł Michał. – Idź z Bogiem.

Blackthorne skinął głową i zaczął iść między samurajami spodziewając się, że doskoczą do niego i odbiorą mu miecze. Przepuścili go jednak bez zatrzymywania. Stał i obejrzał się z bijącym sercem.

Ogarnęła go chęć, żeby dobyć miecza i ruszyć do ataku. Ale tędy nie mógłby uciec. Nawet by z nim nie walczone. Samuraje mieli włócznie, więc rozbroliby go i związali. Nie dam się związać, postanowił... Pozostawało mu tylko iść naprzód, gdzie miecze nie dawały żadnej obrony przed działami. Gdyby chciał szarżować, postrzeliliby go w kolana, związali...

–Kapitanie Blackthorne – zawołał dell’Aqua. – Już idę, za chwilę. – Blackthorne skinął na Michała. – Powiedziałeś, że jestem prawdziwym samurajem. Mówiłeś szczerze?

–Tak, Anjin-san.

–Więc jako samuraj proszę cię o przysługę – rzekł niemal szeptem, pełen napięcia.

–Jaką?

–Chcę zginąć śmiercią samuraja.

–Twój los jest w rękach Boga, Anjin-san.

–Tak. Ale ja zwracam się z prośbą do ciebie. – Blackthorne wskazał widoczny w oddali stos. – To paskudna śmierć.

Zaskoczony Michał popatrzył w tamtą stronę i dopiero teraz spostrzegł słup.

–Matko przenajświętsza...

–Kapitanie Blackthorne, proszę za mną – zawołał dell’Aqua.

–Wyjaśnij to oficerowi – nalegał Blackthorne. – Ma ze sobą dość samurajów, żeby postawić na swoim, ne? Wyjaśnij mu to. Byłeś w Europie. Wiesz, jak tam jest. Nie proszę o wiele, ne? Przecież jestem samurajem. Któryś z nich mógłby być moim

sekundantem.

–Dobrze... poproszę. – Michał podszedł do oficera i zaczął mu coś szybko tłumaczyć.

Blackthorne ruszył naprzód, skupiając całą uwagę na statku, Dell'Aqua zaczekał na niego i poszli dalej razem.

Ferriera, z pistoletami zatknętymi za pas i rapierem u boku, zszedł z rufy i kroczył majestatycznie po pokładzie. Przyglądał mu się Rodrigues, trzymając rękę na kolbie pistoletu. Na brzegu stał już Pesaro i dziesięciu, marynarzy dzierżących muszkiety z bagnetami. Słup rzucał długi cień ku nadchodzącemu Blackthorne'owi.

Boże, co ja bym dał za parę pistoletów, działo i dziesięciu marynarzy, pomyślał Blackthorne, idąc naprzeciw swemu przeznaczeniu. Boże, oszczędź mi wstydu...

–Dobry wieczór, eminencjo – rzekł Ferriera, nie spuszczać z oka Blackthorne'a. – A więc, Inge...

–Dobry wieczór, gubernatorze. – Dell'Aqua gniewnym gestem wskazał stos. – To pański pomysł?

–Tak, eminencjo.

–Wracaj na pokład, gubernatorze!

–To wojskowa decyzja.

–Na pokład!

–Nie! Pesaro!

Bosman poprowadził marynarzy z bagnetami na Blackthorne'a. Ferriera wyciągnął zza pasa pistolet.

–A więc, Ingeles, znów się spotykamy.

–Nie powiem, żeby to była przyjemność. – Blackthorne wysunął miecz z pochwy. Trzymał go oburącz, niezbyt zręcznie, bo obłamania rękojeść uwierała.

–Jeszcze dziś będziesz miał przyjemność znaleźć się w piekle – ochryplym głosem rzekł, Ferriera.

–Gdyby starczyło ci odwagi, stanąłbyś do walki jak mężczyzna. Ale ty jesteś tchórzem, hiszpańskim tchórzem bez jaj.

–Rozbroić go! – rozkazał Ferriera.

Blackthorne został „otoczony, miał odcięty odwrót. Dziesięciu marynarzy celowało w niego bagnietami. Jeden zadał cios w nogi, Blackthorne zamachnął się mieczem, ale kiedy pierwszy napastnik cofał się, drugi zaatakował od tyłu. Dell’Aqua oprzytomniał i krzyknął:

–Przestańcie, na Boga! Zabierzcie broń, to rozkaz!

Marynarze zamarli w napięciu. Wszystkie muszkiety wymierzone były w Blackthorne’a, który stał osaczony z uniesionym mieczem.

–Wszyscy do tyłu – zawołał dell’Aqua. – Cofnąć się! Na Boga, cofnąć się! Jesteście ludźmi czy zwierzętami?

–Chcę go dostać w swoje ręce! – rzekł Ferriera.

–Wiem, ale nie dostaniesz, panie! Mówiłem o tym wczoraj i dzisiaj! Boże, daj mi cierpliwość! Każ swoim ludziom wejść na pokład!

–Rozkazuję ci, ojcze wizytatorze, wrócić tam, skąd przyszedłeś!

–Ty rozkazujesz mnie?

–Tak, rozkazuję! Ja, dowódca Czarnej Karaweli, gubernator Makau, naczelny wódz portugalskiego korpusu wojskowego. Ten człowiek zagraża państwu, Kościołowi, Czarnej Karaweli i Makau!

–Bóg mi świadkiem, jeżeli temu człowiekowi włos z głowy spadnie, obłożę ekskomuniką ciebie i całą twoją załogę. Słyszysz, co mówię, panie? – Dell’Aqua obrócił się do muszkieterów, którzy cofnęli się przestraszeni. Jedynie Pesaro trwał hardo na swoim miejscu z pistoletem w ręku, czekając na rozkaz Ferriery. – Z drogi, wracajcie na pokład!

–Popelniasz wielki błąd, ojcze wizytatorze – wściekał się Ferriera. – Ten człowiek jest niebezpieczny! Jestem naczelnym dowódcą wojskowym w Azji i powiadam, że...

–W tej sprawie decyduje Kościół, nie wojskowi.

Oszołomiony Blackthorne nie mógł zebrać myśli i ledwie widział na oczy, bo głowa znów pękała mu z bólu. Wszystko działo się tak szybko, najpierw strzeżono go, potem już nie, zagroził mu stos, ale uszedł cało, Spodziewał się sądu, ale nieoczekiwanie sam inkwizytor stanął w jego obronie. Nie mógł się w tym wszystkim połapać.

–Jeszcze raz ostrzegam! – krzyczał Ferriera. – Na Boga Wszchemmogącego, popełniasz wielki błąd, księżu. Zawiadomię o tym Lizbonę!

–Ale teraz każ swoim ludziom wejść na pokład, bo inaczej odbiorę cii dowództwo Czarnej Karaweli!

–Nie masz takiej władzy, księżu!

–Albo natychmiast rozkażesz swoim ludziom wejść na pokład i zabronisz im tknąć Ingelesa, albo obłożę ekskomuniką ciebie i wszystkich, którzy pod tobą służą, i przeklnę was na wieki!

–Na Madonnę... – Ferriera umilkł. Nie bał się o siebie, tylko o los Czarnej Karaweli, opuściłaby go większość załogi, gdyby nie usłuchał. Zastanawiał się chwilę, czy nie zastrzelić jezuitę, ale to nie zdjęłoby klątwy. Dlatego uległ. – Dobrze, wszyscy na pokład! Odstąpić go!

Marynarze posłusznie rozeszli się, z ulgą oddalając od rozgniewanego kapłana. Blackthorne wciąż nie mógł uwierzyć własnym oczom i uszom. Chwilowe zamieszanie wykorzystał Pesaro. Wycelował. Dell’Aqua spostrzegł ukradkowy ruch i doskoczył do Blackthorne’a, żeby osłonić go własną pierśią. W momencie, kiedy Pesaro nacisnął spust, dosięgły go strzały, pistolet wypalił w powietrze, Pesaro zwałił się z krzykiem na ziemię.

Blackthorne obejrzał się i zobaczył sześciu łuczników Kiyamy, którzy znów naciągali cięciwy. Stał przy nich Michał. Oficer powiedział coś ostro. Pesaro zawył, naprężył się i wyzionął ducha.

Michał drżąc przemówił.

–Oficer przeprasza, ale obawiał się o życie ojca wizytatora.

W duchu błagał Boga o przebaczenie. Ale Pesaro złamał zakaz, tłumaczył sobie. A moim obowiązkiem jest pilnować, żeby wypełniano rozkazy ojca wizytatora, chroniono go, tępieno zabójców, i żeby nikt nie został ekskomunikowany.

Dell’Aqua ukląkł przy zwłokach, przeżegnał je i odmówił modlitwę. Zgromadzeni wokół Portugalczycy patrzyli na samurajów jak na morderców. Najchętniej by ich pozabijali. Od strony misji śpieszyli pozostali żołnierze Kiyamy, a od galery nadciągała gromada zaniepokojonych Szarych. Rozwścieczony Ferriera zachował dość przytomności, żeby w tym momencie zapobiec walce.

–Wszyscy na pokład! Zabierzcie ciało! – krzyknął. – Posępni marynarze wykonali rozkaz.

Blackthorne opuścił miecz, ale nie schował go do pochwy. Stał otępiały, spodziewając się jakiegoś podstępu.

Na pokładzie Rodrigues wydał po cichu polecenie:

–Przygotować się do odparcia ataku, tylko ostrożnie, jeśli wam Bóg miły! – Marynarze stanęli w pogotowiu na swoich miejscach. I – Oślaniać gubernatora! Przygotować łódź.

Dell’Aqua powstał z klęczek i zwrócił się do Ferriery, który stał butnie przy schodni, gotów bronić swojego statku.

–Ty, panie, jesteś winien śmierci tego człowieka! – syknął. – Twoja żądza zemsty, twój fanatyzm i...

–Zastanów się, eminencjo, zanim powiesz coś, czego będziesz żałował – przerwał Ferriera. – Usłuchałem twego rozkazu wiedząc, że popełniasz straszny błąd. Słyszałeś, że kazałem swoim ludziom wrócić na pokład! Pesaro tobie był nieposłuszny, nie mnie, i jeśli ktoś jest winien, to ty. Nie pozwoliłeś nam spełnić obowiązku. Ingeles to nasz wróg! Wojsko powinno decydować o jego losie! Bóg mi świadkiem, powiadomię o wszystkim Lizbonę.

Ocenił spojrzeniem gotowość bojową statku, rzucił okiem na nadchodzących samurajów.

Na zejściówce na główny pokład pojawił się Rodrigues.

–Gubernatorze, nie mogę wypłynąć przy tym wietrze i stanie wody.

–Naszykuj łódź, żeby w razie czego nas odholowała.

–Właśnie wydałem rozkaz.

Ferriera ponaglił marynarzy niosących ciało bosmana. Wkrótce wszyscy znaleźli się na pokładzie. Działa były obsadzone tak, żeby nie rzucało się to w oczy, i każdy miał pod ręką dwa muszkiety. Z dwóch stron nabrzeża gromadzili się samuraje. Stojąc jeszcze na brzegu, Ferriera powiedział stanowczo do Michała:

–Kaź im się rozejść! Nic się nie dzieje, nie mają tu nic do roboty. Popełniono błąd, wielki błąd, ale słusznie zastrzelono bosmana. Kaź im się rozejść.

Mówił to wbrew sobie, bo najchętniej by ich wszystkich pozabijał, ale wiszące w powietrzu niebezpieczeństwo zmusiło go do wycofania się. Michał spełnił prośbę. Samuraje nie zawrócili.

–Proszę już iść, eminencjo – rzekł z goryczą Ferriera. – Ale to jeszcze nie koniec. Pożałujesz, że go uratowałeś!

Dell’Aqua też wyczuwał napiętą atmosferę. Pozostał niewzruszony. Zrobił znak krzyża, wypowiedział krótkie błogosławieństwo i odwrócił

–Chodźmy, pilocie – rzekł.

–Dlaczego puszczacie mnie wolno? – spytał Blackthorne z niedowierzaniem, udręczony bólem głowy. I – Chodźmy, pilocie!

–Ale dlaczego puszczacie mnie wolno? Nie rozumiem.

–Ja też nie – wtrącił Ferriera. – Ja też chciałbym poznać prawdziwy powód, eminencjo. Czy nie jest nadal niebezpieczny dla nas i dla Kościoła?

Dell’Aqua patrzył na niego w milczeniu. Tak, chciał odpowiedzieć i utrzyć nosa temu fanfaronowi. Ale bardziej nam zagraża szykująca się wojna i ważniejsze jest zapewnienie tobie i twoim następcom swobodnej żeglugi Czarną Karawelą przez najbliższe pięćdziesiąt lat. Ważne jest, kogo wybrać: Toranagę czy Ishido. Nie masz pojęcia o naszych zmartwieniach, Ferriera, o stawce tej gry, o zagrożeniach, o tym, w jak delikatnej jesteśmy sytuacji.

–Zastanów się, proszę, panie Kiyama – powiedział wczoraj do daimyō za pośrednictwem Michała, gdyż nie był pewien swojej japońszczyzny. – Wydaje mi się, że powinieneś wybrać Toranagę.

–To niepożądane wtrącanie się w nasze wewnętrzne sprawy, wykraczające poza kompetencje Kościoła. A barbarzyńca musi zginąć.

Mimo dyplomatycznych zabiegów nie udało mu się nakłonić Kiyamy do zmiany stanowiska. Ale dziś rano, kiedy poszedł powiedzieć Kiyamie, że z Bożą pomocą Ingeles został unieszkodliwiony, zajaśniał promyk nadziei.

–Rozważyłem twoje słowa, ojczyznio rzekł Kiyama. – Nie zostanę sprzymierzeńcem Toranagi. Ale do czasu bitwy będę się bacznie przyglądał obu stronom i we właściwej chwili dokonam wyboru. A teraz zgadzam się puścić barbarzyńcę wolno... nie z powodu tego, co powiedziałaś, ale żeby uczcić panią Mariko... i dlatego, że Anjin-san jest samurajem...

Ferriera cały czas wpatrywał się w niego.

–Czy Ingeles nie jest już niebezpieczny?

–Pomyślnych wiatrów, gubernatorze, niech Bóg cię prowadzi. Pilocie, zabieram cię

na galerę... Dobrze się czujesz?

–Głowa... po wybuchu... Naprawdę puszczaście mnie wolno? Dlaczego?

–Ponieważ pani Maria, pani Mariko, prosiła, żebyśmy zaopiekowali się tobą. – Dell’Aqua ruszył naprzód.

–Ale to żaden powód! Nie robilibyście tego tylko na jej prośbę.

–Pewnie – rzekł Ferriera i zawołał: – Eminencjo, a może by tak powiedzieć mu całą prawdę?

Dell’Aqua nie zatrzymał się. Blackthorne zaczął posuwać się za nim, ale tyłem, wciąż spodziewając się podstępu.

–Nic nie rozumiem. Ale zniszczę cię. Zdobędę Czarną Karawelę. Ferriera roześmiał się pogardliwie.

–Jakim sposobem, Ingeles? Nie masz już statku!

–Jak to?

–Nie masz statku. Przepadł. Gdyby nie to, dostałbym cię w swoje ręce, nie bacząc na groźby eminencji.

–Kłamiesz...

Zamroczony Blackthorne słyszał, jak Ferriera powtarza to ze śmiechem, mówi coś jeszcze o palcu bożym... słowa: „Twój statek wypalił się do cna, nigdy nie zdołasz dobrać się do mojego statku, ale zawsze będziesz wrogiem, heretykiem, zagrożeniem dla prawdziwej wiary” ... – Spojrzenie Blackthorne’a padło na Rodriguesa, którego twarz wyrażała współczucie, a wargi ułożyły się w zdanie: Tak, to prawda, Ingeles.

–Nie wierzę, to nie może być prawda.

Gdzieś z końca świata dobiegł go głos inkwizytora.

–Dostałem dziś wiadomość od ojca Alvito. Trzęsienie ziemi wywołało wysoką falę, która...

Blackthorne już nie słuchał. W głowie dudniło mu: Twój statek przepadł, zawiodłeś go, twój statek przepadł, nie ma go, nie ma, nie ma...

–Nieprawda! Kłamiesz, mój statek kotwiczy w bezpiecznej przystani, pod strażą czterech tysięcy ludzi. Nikt go nie dosięgnie!

–Nikt prócz Boga – odezwał się ktoś, a inkwizytor mówił dalej:

–Fala przechyliła statek. Podobno poprzewracały się lampy olejowe na pokładzie i wybuchł pożar, który strawił statek. –

–Kłamstwa! A wachty na pokładzie? Przecież zawsze na pokładzie jest wachta! To niemożliwe! – krzyczał z rosnącym przeświadczeniem, że żyje za cenę zniszczonego statku.

–Jesteś uziemiony, Ingeles – szydził Ferriera. – Jesteś szczurem lądowym. Zostaniesz tu na zawsze, nie zabierzesz, się żadnym z naszych statków. Nigdy się stąd nie wyrwiesz...

To nie miało końca, a on czuł, że tonie. Wtem odzyskał jasność widzenia. Usłyszał krzyki mew, poczuł zgniłą woń wybrzeża, zobaczył Ferriera, śmiertelnego wroga i pojął, że to wszystko kłamstwo, które miało mu pomieszać w głowie. Był o tym święcie przekonany, jak również o tym, że do spisku należą księża.

–Niech cię piekło pochłonie! – ryknął i rzucił się do Ferriery z uniesionym mieczem, ale tylko w wyobraźni dopadł nieprzyjaciela. Ktoś go przytrzymał, odebrał miecz, ustawił między dwoma Szarymi, którzy odprowadzili go do galery i tam dopiero oddali miecze i puścili wolno.

Niewiele słyszał i widział, ból wyparł mu z głowy wszystkie myśli prócz pewności, że chcą go podstępem przywieść do szaleństwa, więc musi zebrać wszystkie siły, by do tego nie dopuścić. Niechże mi ktoś pomoże, błagał w duchu. Raptem pojawił się przy nim Yabu, Vinck, wasale, a on nie mógł rozróżnić języków, w jakich się do niego zwracali. Wprowadzono go na pokład, gdzie była Kiri i Sazuko, dziecko płaczące w objęciach piastunki, niedobitki garnizonu Brązowych, wioślarze i marynarze.

Odór potu, odór strachu. Yabu coś do niego mówił. Vinck też. Jak długo trzeba skupiać uwagę.

–Pilocie, jak Boga kocham, dlaczego cię puścili?

–Bo... bo... – Nie mógł tego z siebie wykrztusić.

Nie wiedząc jak i kiedy, znalazł się na pokładzie rufowym. Yabu wydał rozkaz kapitanowi, żeby wypłynął w morze, zanim Ishido rozmyśli się i zatrzyma ich, albo Szarzy na brzegu rozmyślą się i nie pozwolą galerze wypłynąć. Yabu kazał kapitanowi płynąć jak najszybciej do Nagasaki... Kiri uprzejmie zaprotestowała, że najpierw trzeba do Edo, koniecznie do Edo...

Wiosła zsunęły się z nabrzeża i zaczęły zmagać się z przeciwną falą i wiatrem, kierując płaski statek na szerokie wody... Odprowadzały go rozkrzyczane mewy.

Blackthorne otrząsnął się i wydał polecenie.

–Nie. Przepraszam. Do Jokohamy. Musimy do Jokohamy.

–Najpierw weźmiemy ludzi w Nagasaki, Anjin-san,– rozumiesz? Najważniejsze. Najpierw ludzie. Mam plan – odparł Yabu:

–Nie. Do Jokohamy. Mój statek... mój statek w niebezpieczeństwie.

–Jakim niebezpieczeństwie?

–Chrześcijanie mówią... pożar!

–Co takiego?!

–Na miłość boską, pilocie, co się stało? – krzyknął Vinck.

Blackthorne drżącą ręką wskazał lorszę.

–Powiedzieli mi... powiedzieli, że Erasmus przepadł. Nasz statek przepadł, Johann... spalił się. – Zbolałym głosem wyrzucił z siebie: – Boże, spraw, żeby to nie była prawda!

KSIĘGA SZÓSTA

60.

Stał w płytkiej wodzie patrząc na przechylony, czarny szkielet statku zaryty w dnie siedemdziesiąt jardów od brzegu. Szkielet bez masztów, bez pokładów, bez niczego, sam kil i sterczące żebra obmywane drobnymi falami.

–Małpy próbowały wyciągnąć go na brzeg – stwierdził ponuro Vinck.

–Nie. To przyływ tam go osadził.

–Jak Boga jedyne go kocham, dlaczego tak mówisz, pilocie? Jeżeli statek się pali blisko brzegu, to wyciągasz go, do cholery, i gasisz! Chryste Panie, nawet te zaszrane żółtki to wiedzą! – Vinck splunął na piasek. – Nie powinieneś być oddać go w ręce małpom. Co my teraz zrobimy? Jak wrócimy do domu? Trzeba go było zostawić w Edo, a nam dać żyć z naszymi eta.

Zawodzenie Vincka zezłościło Blackthorne'a. Vinck w ogóle go denerwował. Trzy razy w ciągu minionego tygodnia był bliski tego, żeby kazać wasalom ukrócić cierpienia Vincka, po cichu uprzątnąć go i wyrzucić za burtę, tak nieznośne były te jęki, płacze i oskarżenia. Za każdym razem jednak opanowywał się i ruszał na poszukiwanie Yabu. W obecności Yabu Vinck z przerażenia zapominał języka w gębie. Na galerze łatwo się było opanować. Tutaj, wobec haniebnie ogołoconego statku, było trudniej.

–Może wyciągnęli go na brzeg, Johann – rzekł śmiertelnie znużony Blackthorne.

–Jasne, że tak. Ale gównojady nie ugasiły pożaru, niech ich piekło pochłonie! Nie trzeba było zostawiać statku śmierdzącym Japońcom, zaszczanym małpom.

Blackthorne nie słuchał, tylko patrzył uważnie na galerę. Cumowała kilkaset kroków dalej, koło wioski Jokohama, przy pomoście od nawietrznej. Szalasy regimentu muszkietników stały nadal nad brzegiem i na pobliskich wzgórzach, a żołnierze biegali i ćwiczyli zatroskani. Dzień był ciepły, słoneczny, wiatr ożywczy. Zapachniało mimozą. Blackthorne nie był pewien, czy to aromat perfum Kiri i pani Sazuko, które rozmawiały na pokładzie dziobowym, osłaniając się pomarańczowymi parasolkami. Zaczął przyglądać się Yabu i Nadze. Chodzili w tę i z powrotem po pomoście, Naga coś mówił, Yabu słuchał, obaj bardzo niespokojni. Spojrzeli raz z napięciem w jego stronę.

Kiedy przed dwoma godzinami galera okrążyła przylądek, Yabu powiedział:

–Po co patrzeć z bliska, Anjin-san? Statek przepadł, ne? Koniec. Płynmy do Edo! Szykować się do wojny. Nie ma czasu.

–Przepraszam, tu się zatrzymamy. Muszę popatrzeć z bliska. Proszę.

–Płynmy do Edo! Statek przepadł, koniec. Ne?

–Chcesz, weź galerę. Ja skoczę do wody.

–Czekaj. Statek przepadł, ne?

–Zatrzymajmy się, proszę. Na krótko. Potem do Edo.

W końcu Yabu zgodził się, przycumowali i spotkali się z Nagą.

–Bardzo mi przykro, Anjin-san. Ne? – powiedział Naga. Po jego oczach znać było niewyspanie.

–Tak, bardzo przykro. Jak to się stało?

–Niestety nie wiem. Nie było mnie tu, rozumiesz? Musiałem jechać na kilka dni do Mishimy. Kiedy wróciłem, dowiedziałem się, że w nocy było trzęsienie ziemi, to stało się w nocy, rozumiesz? Rozumiesz „trzęsienie ziemi”, Anjin-san?

–Rozumiem. Tak. Mów dalej, proszę.

–Małe trzęsienie ziemi. W nocy. Niektórzy mówią, że przyszła fala przyływu, inni, że jedna wielka fala sztormowa. Tej nocy była burza, ne? Mały tai-fun. Rozumiesz „tai-fun”?

–Tak.

–Przepraszam. Noc była ciemna. Nadchodzi wielka fala. Lampy olejowe na pokładzie tłuką się. Statek zaczyna się palić, ne? Wszystko się pali, szybko, bardzo...

–A wartownicy, Naga-san? Gdzie marynarze?

–Bardzo ciemno. Pożar bardzo szybki, rozumiesz? Bardzo przykro. Shigata ga nai, ne? – dodał z nutką nadziei.

–Gdzie marynarze, Naga-san? Zostawiłem wartowników. Ne?

–Wróciłem na drugi dzień, bardzo przykro, ne? Statek palił się jeszcze przy brzegu. Statek przepadł. Zebrałem wszystkich, którzy tej nocy byli na pokładzie albo patrolowali brzeg. Kazałem zdać sprawozdanie. Nikt nie wie dokładnie, co się stało. – Naga spochmurniał. – Kazałem wyratować, przynieść, co się da, rozumiesz?

Wszystko leży teraz w obozie. – Wskazał polanę. – Pod strażą. To moja straż. Tamtych zabiłem i pojechałem czym prędzej do Mishimy powiadomić pana Toranagę.

–Wszystkich zabiłeś?

–Tak, nie wypełnili swoich obowiązków.

–Co powiedział pan Toranaga?

–Bardzo zły. Bardzo słusznie zły, ne? Chciałem popełnić seppuku. Pan Toranaga nie dał zgody. liiiii! Pan Toranaga bardzo zły, Anjin-san. – Naga nerwowo zatoczył ręką półkole. – Cały pułk w niełasce, Anjin-san. Oficerowie w niełasce. Odesłani do Mishimy. Pięćdziesięciu ośmiu już popełniło seppuku.

Blackthorne miał ochotę krzyknąć: choćby pięć tysięcy, a nawet pięćdziesiąt tysięcy, to i tak nie przywróci mi statku!

–Źle – powiedział jak automat. – Bardzo źle.

–Tak. Lepiej płynąć do Edo. Dziś. Wojna lada dzień.

Naga zaczął konferować z Yabu. Otępiały Blackthorne niewiele z tego rozumiał, widział natomiast rosnące zakłopotanie Yabu, czuł wstręt do drażniących uszy słów, nienawiść do Nagi, Yabu i całej reszty. Naga zwrócił się do niego z zażenowaniem, ale stanowczo.

–Wybacz, Anjin-san. Nic więcej nie mogłem zrobić. Honto, ne? Blackthorne z wysiłkiem skinął głową.

–Honto. Dorno, Naga-san. Shigata ga nai.

Bąknął coś przepaszajaco i odszedł od nich. Chciał być sam ze swoją wściekłością, nad którą ledwie panował. Wiedział, że nic więcej nie może zrobić, nigdy nie dowie się całej prawdy, a statek tak czy owak przepadł, że księżom udało się w jakiś sposób, prośbą, groźbą czy przekupstwem, nakłonić ludzi do tej haniebnej zdrady. Uciekając od Yabu i Nagi kroczył niespiesznie, z dumnie uniesioną głową, ale zanim zszedł z pomostu, dogonił go Vinck. Widząc, że Vinck kuli się z przerażenia, uległ jego błaganiom i pozwolił iść za sobą.

Kawałek dalej, za przybrzeżnymi wydmami, natknęli się niespodziewanie na odrażające czerepy nadziane na włócznie. Było ich ponad sto. Spłoszyli ptaki, które zerwały się białą rozwrzeszczaną chmarą, a kiedy pośpiesznie stamtąd odeszli, poroziadały się z powrotem do kłótlivego żeru.

Przyglądał się teraz wypalonemu kadłubowi nękany myślą, że Mariko dojrzała

prawdę i szepnęła Kiyamie albo księżom: „Bez statku Anjin-san jest bezbronny wobec Kościoła. Proszę zostawcie go przy życiu, zniszczcie tylko statek...”

Zupełnie jakby słyszał padające z jej ust słowa. Nie myliła się. Takie proste rozwiązanie ciężącego katolikom problemu. Właściwie każdy mógł na to wpaść. Tylko jak katolicy zrobili wyłom w cztero tysięcznym pułku? Kogo przekupili? Jak?

Teraz to już nie ma znaczenia. Zwyciężyli.

Boże, pomóż mi, przepadł statek, przepadłem i ja. Nie mogę pomóc Toranadze, ta wojna zetrze nas na proch.

–Przebacz mi – rzekł zwracając się do wraku. – Tyle mil przepłynęliśmy razem, a taki smutny spotkał cię koniec.

–Hę? – odezwał się Vinck.

–Nic – odparł. Przebacz mi, myślał. Nie wydałem cię nikomu. Biedna Mariko. Jej też przebacz.

–Co mówiłeś, pilocie?

–Nic. Myślałem na głos.

–Powiedziałeś coś. Sam słyszałem, jak Boga Kocham!

–Na miłość boską, zamilcz!

–Zamilcz i tyle, tak? Skazani jesteśmy do końca życia na tych gównojadów! Tak?

–Tak!

–Mamy klaniać się w pas pogańskim matołom do końca naszego zasranego życia, które nie wiadomo jak długo potrwa, bo im tylko w głowie wojna, wojna, wojna. Tak?

–Tak.

–A więc to tak? – Vinck drżał jak w febrze, Blackthorne nie spuszczał go z oka. – To twoja wina. Namawiałeś, żeby płynąć do Japońców, a ilu zginęło w drodze? Ty jesteś temu winien!

–Tak. Masz rację, bardzo mi przykro.

–Przykro ci, pilocie? A jak wrócimy do domu? Masz nas doprowadzić do domu, to twój psi obowiązek! Jak chcesz to zrobić? No?

–Nie wiem. Dotrze tu kiedyś inny nasz statek, Johann. Musimy czekać, aż...

–Czekać? Jak długo mamy czekać? Pięć gównianych lat, dwadzieścia? Chryste Panie, sam mówiłeś, że te matoly urządziły sobie wojnę! – Vinck darł się jak opętany. – Poucinają nam głowy i zatkną jak tamte, żeby je ptaki rozdziobały...

Zatrząsał się w ataku szaleńczego śmiechu, sięgnął za poję podartej koszuli, spod której wyrzała kolba pistoletu. Blackthorne mógł z łatwością przewrócić Vincka i odebrać mu pistolet, ale nie zrobił tego. Z pianą na ustach, wymachując pistoletem, Vinck puścił się wokół niego w opętańcze płasy. Blackthorne bez strachu, z nadzieją czekał na kulę, ale Vinck raptem czmychnął i pobiegł brzegiem, strasząc ptaki, które podrywały mu się spod nóg, wypełniając wrzawą powietrze. Vinck pędził jak szalony, a po jakichś stu krokach padł na ziemię i leżąc na plecach przebierał nogami, wymachiwał rękoma i miotał przekleństwami. Potem obrócił się na brzuch, krzyknął i zastygł z twarzą zwróconą do Blackthorne'a. Nastąpiła cisza.

Kiedy Blackthorne podszedł do leżącego, zobaczył wycelowany pistolet, zbuntowane, obłąkane oczy, wyszczerzone zęby. Vinck nie żył.

Blackthorne zamknął mu powieki, dźwignął go, przerzucił przez ramię i ruszył w stronę galery. Wybiegli mu naprzeciw samuraje z Nagą i Yabu na czele.

–Co się stało, Anjin-san?

–Oszalał...

–Naprawdę? Nie żyje?

–Tak. Najpierw pogrzeb, potem do Edo. Zgoda?

–Hai.

Blackthorne kazał przynieść łopatę i poprosił, żeby zostawiono go na chwilę samego. Pochował Vincka na niedostępnym dla przyływu wzniesieniu, skąd widać było wrak. Zmówił nad grobem modlitwę, zatknął krzyż sporządzony z wyrzuconych przez morze deszczulek. Miał wielką, zbyt wielką wprawę w odmawianiu modlitwy za zmarłych. W ciągu tej jednej podróży, odkąd pożegnali Holandię, ponad sto razy zastępował kapłana członkom swojej załogi. Zostali przy życiu tylko Baccus van Nekk i chłopak Croocq, reszta pochodziła z innych statków – niemowa Salamon, Jan Roper, kucharz Sonk, żaglomistrz Ginsel. Pięć statków, czterystu dziewięćdziesięciu sześciu ludzi. Odeszli wszyscy z wyjątkiem tej siódemki. W imię czego?

Marzenia, żeby opłynąć dokoła ziemię? Być pierwszym?

–Nie wiem – rzekł na głos. – Teraz wszystko przepadło. Uklepał ziemię, żeby grób

porządnie wyglądał.

–Sayonara, Johann.

Zszedł do morza, rozebrał się do naga i popłynął do wraku. Uprzedził Nagę i Yabu, że zwyczaj wymaga oczyszczającej kąpieli, kiedy pochowa się żeglarza na brzegu. Z braku innej osoby, musiał to zrobić kapitan, bez świadków, morze oczyszczało duszę przed Bogiem, który był Bogiem chrześcijańskim, chociaż nie tym samym, co Bóg jezuitów.

Uchwycił się żebra statku, na którym już sadowiły się kolonie skorupiaków, trzy sążnie niżej piasek zasypywał stępkę. Morze upominało się o swoje. Rozejrzał się bez nadziei. Nie było czego ratować.

Dopłynął do brzegu. Wasale czekali z czystym kimonem. Ubrał się, zatknął miecze za pas i ruszył do pomostu. Nie zdążył tam dojść, kiedy jeden z wasali zawołał, wyciągając rękę:

–Anjin-san!

Uciekający przed jastrzębiem gołąb pocztowy łopocząc skrzydłami pędził do gołębnika w wiosce. Gołębnik mieścił się na poddaszu najwyższego domu stojącego nieco dalej ód brzegu, na pagórku. Zawieszony wysoko nad ofiarą jastrzęb złożył skrzydła i spadł jak pocisk. Poleciały pióra, ale atak nie był celny. Gołąb zaskrzeczał i opadł jakby śmiertelnie raniony, ale tuż nad ziemią odzyskał siły i frunął do bezpiecznej kryjówki. Dał nura do dziury w gołębniku, w ostatniej chwili umykając rozwścieczonemu jastrzębiowi. Rozległy się wiwaty. Tylko Blackthorne pozostał obojętny na ten popis sprytu i odwagi. Nic nie mogło go poruszyć.

–To dobre, ne? – powiedział wasal skrępowany ponurą miną pana.

–Tak.

Blackthorne wszedł na galerę. Zastał Yabu, panią Sazuko, Kiri i kapitana. Mogli ruszać w drogę.

–Yabu-san. Ima Edo ka? – spytał.

Ale Yabu nie odpowiedział, nikt zresztą nie zwrócił uwagi na Blackthorne'a. Wszyscy śledzili Nagę, który biegł do wioski. Wyszedł mu naprzeciw gołębiarz. Naga złamał pieczęć i przeczytał:

*Galera z całą załogą i pasażerami ma czekać na moje przybycie w Jokohamie.
Toranaga.*

Jeźdźcy pokonali szczyt wzgórza oświetleni porannym słońcem. Pierwszych pięćdziesięciu, straż przednią, prowadził Buntaro. Za nimi jechał oddział chorągwianych. Potem Toranaga. Dalej główne siły wojennej wyprawy pod wodzą Omiego. Następnie ojciec Alvito Tsukku-san i dziesięciu akolitów trzymających się blisko siebie, a na końcu nieliczna straż tylna z sokolnikami. Samuraje byli w pełnym rynsztunku bojowym kawalerii.

Toranaga jechał swobodnie, jakby odmłodził i sił mu przybyło, zadowolony, że zbliżają się do kresu podróży. Dwa i pół dnia temu wysłał rozkaz do Nagi, żeby zatrzymał galerę w Jokohamie, i wyruszył z Mishimy. Kawalkada posuwała się naprzód forsownym marszem, zmieniając konie co dwadzieścia ri. Kiedy na jednym z postojów zabrakło świeżych koni, odpowiadający za to samuraj stracił pobory-na rzecz drugiego i został postawiony przed wyborem: popełnić seppuku albo ogolić głowę i zostać kapłanem. Wybrał śmierć.

Wiedział głupiec, co go czeka, pomyślał Toranaga, całe Kantō jest postawione w stan gotowości bojowej. No, ale nie można go całkiem spisać na straty. Wieść o nim rozniesie się lotem błyskawicy po moich włościach i więcej opóźnień nie będzie.

Tyle jeszcze zostało do zrobienia, myślał. W głowie kłębiło mu się od pewników, planów, przewidywań. Za cztery dni rozstrzygający dzień, dwudziesty drugi dzień ósmego miesiąca, miesiąca Oglądania Księżyca. Dziś w Osace dworzanin Ogaki Takamoto uda się do Ishido i z żalem oznajmi, że z powodu złego stanu zdrowia Syn Nieba złoży wizytę w Osace z kilkudniowym opóźnieniem.

Jakże łatwo było to zaaranżować. Wprawdzie Ogaki szczyił się tytułem księcia Siódmego Rzędu i należał jako dziewięćdziesiąty piąty potomek do dynastii cesarza Go-Shoko, ale był biedny, jak cały cesarski dwór. Dwór nie miał stałych dochodów. Tylko samuraje czerpali dochody z ziemi i od stuleci dwór musiał zadowalać się ściśle kontrolowaną i niewygórowaną pensją przyznawaną przez shōguna, kampaku lub rządzących w danym czasie generałów. Toranaga, z zachowaniem dużej ostrożności, przez pośredników, przeznaczył dziesięć tysięcy koku dla Ogakiego, by ten rozdzielił je wedle życzenia między potrzebujących krewnych. Przypominając uniżenie, że jest Minowarą, a zatem również „potomkiem Go-Shoko, z radością ofiarowywał swe usługi i mniemał pokornie, że Najjaśniejszy nie narazi swojego bezcennego zdrowia na zdradziecki klimat Osaki, zwłaszcza około dwudziestego drugiego dnia.

Nie było oczywiście gwarancji, że Ogaki wpłynie na Najjaśniejszego, ale Toranaga przypuszczał, że Syn Nieba sam albo namówiony przez doradców skorzysta z wymówki i opóźni, a może nawet odwoła przyjazd, Raz tylko w ciągu trzech stuleci rządzący cesarz opuścił pałac w Kioto. Zdarzyło się to cztery lata temu. Na zaproszenie taikō cesarz przybył obejrzeć kwitnące wiśnie koło zamku w Osace, a ponieważ zbiegło się to w czasie z przekazaniem tytułu kampaku Yaemonowi,

przypieczętował niejako tę sukcesję.

W zwykłych okolicznościach żaden daimyō, nawet Toranaga, nie ośmieliłby się złożyć tak obraźliwej propozycji członkowi dworu, gdyż równało się to przywłaszczeniu sobie przywilejów wyższej władzy – w tym wypadku Rady Regentów – i zostałyby uznane, całkiem słusznie, za zdradę. Ale Toranaga już był o zdradę oskarżony.

Jutro Ishido ze swoimi sprzymierzeńcami wyruszy przeciwko mnie, myślał. Ile czasu zostało? Gdzie powinna się odbyć rozstrzygająca bitwa? Pod Odawarą? Zwycięstwo zależy od czasu i miejsca, nie od liczebności wojsk. Będę miał przeciw sobie co najmniej trzykrotnie większą armię. Nie szkodzi, najważniejsze, że Ishido opuszcza zamek w Osace! Zmuszony przez Mariko. W szachowej grze o władzę poświęciłem królową, ale Ishido stracił dwie wieże.

Tak. Ale w ostatniej rozgrywce straciłeś więcej niż królową. Straciłeś statek. Pionek może zostać królową, ale statkiem nie!

Zjeżdżali ze wzgórza kłusem, trzęsąc się niemiłosiernie. W dole rozpościerało się morze. Minęli zakręt i ujrzeli wioskę Jokohamę i wrak niedaleko brzegu. Na polanie ustawił się do przeglądu pułk muszkietów z końmi i wyposażeniem, a trasę przejazdu nad morzem wyznaczała honorowa gwardia zbrojnych samurajów. Na skraju wioski, w równych rzędach, klęczeli chłopci. Dalej widać było galerę z załogą. Po obu stronach pomostu leżały na piasku jedna przy drugiej łodzie rybackie. Toranaga zapamiętał, żeby dać reprimendę Nadze. Wysłał rozkaz, żeby pułk był gotów do wymarszu, ale odrywanie rybaków i chłopów od pracy, to brak odpowiedzialności.

Obrócił się w siodle, przywołał samuraja i polecił mu przekazać rozkaz dla Buntaro, żeby pojechał naprzód na inspekcję.

–Potem jedź do wioski i odeślij chłopów do pracy. Tylko naczelnik niech zostanie.

–Tak, panie – odparł samuraj i dźgnął konia ostrogami.

Toranaga podjechał na tyle blisko oczekujących, że rozróżniał ich twarze. Anjin-san i Yabu, Kiri i pani Sazuko. Krew popłynęła mu szybciej w żyłach.

Buntaro, z wielkim łukiem i dwoma kołczanami na plecach, galopował drogą, a za nim sześciu samurajów. Zjechali na bok, na polanę. Buntaro spoępniał na widok Blackthorne'a. Ściągnął cugle, rozejrzał się uważnie. Na wprost pułku stał zadaszony podest z poduszką. Obok, na niższym i mniejszym podeście, – czekały Kiri i pani Sazuko. Na czele pułku, z racji starszeństwa, stał Yabu, a przy nim Naga i Anjin-san. Nic nie budziło podejrzeń, więc Buntaro dał znak oddziałowi, że można wjeżdżać. Samuraje z przedniej straży posiadali z koni i otoczyli podest. Nadjechał Toranaga. Naga uniósł chorągiew. Cztery tysiące żołnierzy ryknęło: „Toranagaaaaaaa!” Potem

ukłonili się.

Toranaga nie odpowiedział na powitanie. W milczeniu lustrował zgromadzonych. Zauważył, że Buntaro ukradkiem obserwuje Anjin-sana. Yabu miał miecz, prezent od Toranagi, ale był zdenerwowany. Łuk Anjin-sana był prawidłowo założony i nieruchomy, miecz miał ukruszoną rękojeść. Kiri i najmłodsza konkubina klęczały z pochylonymi głowami, opierając dłonie na tatami. Twarz mu złagodniała, ale zaraz potem z niezadowoleniem spojrzął na pułk. Żołnierze trwali w ukłonie. Zamiast odkłonić się, skinął tylko głową, a wtedy samuraje wyprostowali się. Wyczuł przebiegający ich dreszcz niepokoju. Świetnie, pomyślał zsiadając zręcznie z konia, zadowolony, że drżą przed jego zemstą. Oddał cugle samurajowi i podszedł do kobiet.

–Witaj, Kiri-san!

Ukłonila się z radością.

–Dziękuję, panie. Myślałam, że już nigdy nie będę miała przyjemności cię ujrzeć.

–Ja też, pani. – Toranaga wspaniałomyślnie dał po sobie poznać zadowolenie. Spojrzął na młodą konkubinę. No, Sazuko-san? Gdzie mój syn?

–Jest pod opieką mamki, panie – wyszeptala, radując się jego widomą łaskawością.

–Poślij kogoś, proszę, po naszego syna.

–Pozwól łaskawie, panie, że sama go przyniosę.

–Dobrze, skoro sobie tego życzysz. – Toranaga uśmiechnął się i czule odprowadził ją wzrokiem. Spojrzął na Kiri. – A ty, czy dobrze się czujesz? – spytał cicho.

–Tak, panie. O, tak, i serce mi rośnie, kiedy widzę, jaki jesteś silny.

–Schudłaś, Kiri-chan, odmłodniałaś.

–Dziękuję, panie, dziękuję, ale niestety, to nieprawda.

Toranaga uśmiechnął się.

–Nie wiem, co cię zmieniło, ciężkie przejścia czy samotność, ale jest ci z tym do twarzy... twój widok sprawia mi wielką przyjemność, Kiri-chan.

–Dziękuję, panie. Tak się cieszę, że poświęcenie Mariko-san otworzyło bramy Osaki. Byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby o tym wiedziała.

–Najpierw zajmę się tą zbieraniną, potem porozmawiamy. Jest o czym, ne?

–O tak! – Oczy jej rozbłysły. – Syn Nieba opóźni przyjazd, ne?

–To byłoby rozsądne. Ne?

–Mam poufną wiadomość od pani Ochiby.

–Tak? Dobrze! Ale to musi poczekać. – Umilkł. – Czy pani Mariko zginęła godną śmiercią? Z wyboru, a nie przez przypadek?

–Sama wybrała śmierć. To było seppuku. Gdyby tego nie zrobiła, zostałaby pojmana. O, panie, była taka wspaniała, taka dzielna w trudnych chwilach. Ale gdyby nie Anjin-san, spadłaby na nią i na nas wszystkie hańba niewoli.

–No tak, ninja. – Toranaga prychnął, oczy mu pociemniały, aż Kiri mimo woli zadrżała. – Ishido bardzo zawinił i musi za to zapłacić. Pozwól, że cię opuszczę, Kiri-chan.

Podszedł do podwyższenia i usiadł, znów przybierając groźną minę. Zewsząd otaczała go straż.

–Omi-san! – zawołał.

–Tak, panie?

Orni, smuklejszy i jakby starszy, podszedł i uklonił się.

–Odprowadź panią Kiritsubo do jej kwatery i sprawdź, czy przygotowano odpowiednią dla mnie. Będę tu dziś nocował.

Orni zasalutował i poszedł, nie mrugnawszy nawet okiem na tę niespodziewaną zmianę planu.

Dobrze, pomyślał Toranaga, Orni uczy się albo szpiedzy donieśli mu, że kazałem Sudarze i Hiro-matsu stawić się tutaj, z czego wynika, że do jutra na pewno zostanę.

Przeniósł uważne spojrzenie na pułk. Skinął na Yabu, który podszedł i zasalutował. Uprzejmie odwzajemnił gest.

–Witaj, Yabu-san!

–Dziękuję, panie. Jestem niezmiernie rad, że nie wpadłeś w zdradzieckie szpony Ishido.

–Dziękuję. Wzajemnie. Nie powiodło wam się w Osace.

–Nie. Moja harmonia legła w gruzach, panie. Liczyłem, że wydostaniemy się z Osaki

i przyprowadzę do ciebie obie panie, syna, a także panią Todę, Anjin-sana i marynarzy na jego statek. Niestety, przykro o tym mówić, spotkała nas zdrada i tam, i tutaj.

–Tak. – Toranaga spojrzął na obmywany przez morze wrak. Gniewny mars ściągnął mu twarz, wszyscy spodziewali się wybuchu. Trwało to jednak tylko chwilę. – Karma – rzekł spokojnie. – Tak, karma, Yabu-san. Co może człowiek wobec żywiołów? Nic. Co innego ludzkie zaniedbanie. Wracając do Osaki, chciałbym szczegółowo dowiedzieć się o wszystkim, co się tam zdarzyło, kiedy tylko żołnierze rozejdą się i wezmą kąpiel.

–Przygotowałem dla ciebie, panie, pisemny raport.

–Dobrze. Dziękuję, ale wolałbym najpierw usłyszeć o tym wprost od ciebie.

–Czy to prawda, że Najjaśniejszy nie przybędzie do Osaki?

–Najjaśniejszy zrobi to, co uzna za stosowne.

–Życzysz sobie, panie, przeprowadzić przegląd pułku?

–Z jakiej racji miałbym obdarzyć ich tym zaszczytem? Nie wiesz, że są w niełasce, niezależnie od potęgi żywiołów? – Cierpliwość wyraźnie wyczerpywała się.

–Tak, panie. Przepraszam. To okropne. – Yabu daremnie usiłował odgadnąć zamiary Toranagi. – Byłem przerażony, kiedy usłyszałem, co się stało. W głowie się nie mieści.

–Owszem. – Toranaga sposepniał, spojrzął na Nagę i stojące za nim zwarte szeregi. – Nie pojmuję, jak możliwa była taka nieodpowiedzialność. Ten statek był mi potrzebny!

–Nie gniewaj się, panie – odezwał się wzburzony Naga. – Życzysz sobie, żebym przeprowadził drugie dochodzenie?

–Czy czegoś zaniedbałeś?

–Nie wiem, panie, niczego, wybacz, panie.

–Przeprowadziłeś drobiazgowie dochodzenie, ne?

–Tak, panie. Daruj mi moją głupotę.

–To nie stało się z twojej winy. Wyjechałeś, nie byłeś dowódcą. – Zniecierpliwiony Toranaga zwrócił się do Yabu. – To dziwne, a nawet podejrzanе, że z wyjątkiem kilku roninów Anjin-sana, wszyscy pochodzili z Izu. Dowódca, żołnierze na patrolach w

obozie, na brzegu i na pokładzie.

–Dziwne, panie, ale pozwolę sobie zauważyć, niepodejrzane. Miałeś całkowitą słusność, obciążając odpowiedzialnością oficerów, tak jak Naga słusznie wymierzył karę. Zaraz po przybyciu przeprowadziłem własne dochodzenie, ale nie mam nic do dodania, wybaczone. To karma, karma wspomagana przez tych głównojadów chrześcijan. Mimo to racz przyjąć moje przeprosiny.

–A więc dopatrujesz się umyślnego działania?

–Dowodów nie ma, panie, ale fala i zwykły ogień to zbyt łatwe wytłumaczenie. Każdy pożar można ugasić. Jeszcze raz przepraszam.

–Przyjmuję twoje przeprosiny, ale powiedz mi, z łaski swojej, skąd mam wziąć drugi statek. Jest mi potrzebny!

Yabu poczuł skurcz żołądka.

–Tak, panie, wiem. Żałuję, że nie można go niczym zastąpić, ale Anjin-san mówił mi w podróży, że niedługo przybędą inne zbrojne statki z jego kraju.

–To znaczy kiedy?

–Nie wiadomo, panie.

–Za rok? Dziesięć lat? Ją mam zaledwie dziesięć dni.

–Nie wiem, niestety. Może spytasz go, panie.

Toranaga spojrział, na Blackthorne'a, który stał trochę z boku, przygaszony.

–Anjin-san!

–Tak, panie?

–Źle, ne? Bardzo źle. – Toranaga wskazał wrak statku. – Ne?

–Tak, bardzo źle, panie.

–Kiedy przybędą inne statki?

–Moje statki, panie?. – Tak.

–Kiedy... kiedy Budda pozwoli.

–Porozmawiamy wieczorem. Teraz idź. Dziękuję za Osakę. Idź na galerę albo do

wioski. Porozmawiamy wieczorem. Rozumiesz?

–Tak, panie, rozumiem. Dziękuję. Gdzie wieczorem?

–Przyślę po ciebie. Dziękuję za Osakę.

–Obowiązek, ne? Zrobiłem mało. Toda Mariko-sama dała wszystko. Wszystko „dla Toranaga-sama.

–Tak.

Toranaga z powagą odwzajemnił ukłon. Blackthorne zatrzymał się w pół kroku. Toranaga podążył za jego spojrzeniem. Nadszedł właśnie” Tsukku-san z akolitami, zsiadali z koni na skraju polany. W Mishimie Toranaga nie udzielił księdzu zgody na rozmowę.– Zawiadomił go wprawdzie od razu o pożarze statku, ale umyślnie kazał czekać, aż wyjaśni się sytuacja w Osace i galera dotrze do Anjiro. Dopiero wówczas postanowił sprowadzić księdza i dopuścić do konfrontacji we właściwym momencie.

Blackthorne ruszył w stronę jezuitów.

–Nie, Anjin-san. Nie teraz, później. Teraz idź do wioski! – rozkazał Toranaga.

–Panie! Ten człowiek zabił mój statek! To wróg!

–Pójdiesz – tam! – Toranaga wskazał położoną niżej wioskę. – Bądź łaskaw tam poczekać. Porozmawiamy wieczorem.

–Wielmożny panie, ten człowiek...

–Nie. Pójdiesz na galerę – obstawał przy swoim Toranaga, chcąc wymusić posłuszeństwo. – Pójdiesz teraz. Proszę.

To lepsze niż przyzwyczajanie sokoła do ręki, pomyślał podekscytowany, zapominając na chwilę o kłopotach. To lepsze, bo Anjin-san jest nie tylko dziki i niebezpieczny, ale także nieobliczalny, jedyny w swoim rodzaju, niepodobny do nikogo.

Kątem oka spostrzegł, że Buntaro zaszedł drogę Anjin-sanowi, jakby mu było pilno siłą nakłonić go do wykonania rozkazu. Co za głupota, przemknęło przez myśl Toranadze, to zbyt częste. Nie odrywał spojrzenia od Blackthorne’a.

–Już idę, panie. Przepraszam. Już idę – rzekł Blackthorne ulegając. Otarł spoconą twarz i ruszył w dół.

–Dziękuję, Anjin-san – powiedział Toranaga, kryjąc zadowolenie. Patrzył, jak Blackthorne posłusznie odchodzi – silny, gwałtowny, zdolny do zabijania, a przecież

poddający się woli swojego pana.

–Anjin-san! – Zawołał uznawszy, że pora spuścić drapieżnika z uwięzi, dać mu Swobodę. Ostatni sprawdzian. – Idź do niego, jeżeli chcesz. Lepiej nie zabijać Tsukku-sana. Ale jeżeli chcesz go zabić, zrób to. Lepiej nie zabijać. – Powiedział to wolno i wyraźnie, powtórzył. – Wakarimasu ka?

–Hai.

Toranaga spojrział w niewiarygodnie błękitne oczy, ziejące niepoohamowaną nienawiścią, jakby chciał odgadnąć, czy ten dziki ptak rzuci się na ofiarę i zabije ją z własnej woli, czy powróci nie nasycony na rękawicę.

–Wakarimasu ka?

–Hai.

Toranaga odprawił go skinieniem ręki. Blackthorne odwrócił się i ruszył jak odrętwiały w stronę Tsukku-sana. Buntaro zszedł mu z drogi. Blackthorne nawet go nie zauważył, patrząc tylko na księdza. Powietrze zgęstniało.

–Jak myślisz, Yabu-san, co robi? – spytał Toranaga.

–Zabije. Oczywiście, że zabije, jeżeli go dopadnie. Ksiądz zasługuje na śmierć, ne? Wszyscy chrześcijanie zasługują na śmierć, he? Jestem pewien, że księża i Kiyama przyłożyli rękę do zniszczenia statku, choć nie mogę tego udowodnić.

–Dałbyś głowę, że zabije Tsukku-sana?

–Nie, panie – odparł szybko Yabu. – Głowy bym nie dał. To barbarzyńca, obaj są barbarzyńcami.

–Naga-san?

–Ja na jego miejscu, mając twoją zgodę, zabiłbym księdza i całą resztę. Nie widziałem nigdy tak silnej i nie skrywanej nienawiści. Od dwu dni Anjin-san chodzi w kółko i mamrocze jak szaleniec, gapi się na wrak, śpi na plaży, prawie nic nie je... – Naga spojrział na oddalającego się Blackthorne'a. – Też uważam, że same siły przyrody nie dokonały dzieła zniszczenia. Znam księży, na pewno maczali w tym palce. Dowodów nie ma, ale... Nie wierzę, że powodem była burza.

–Odpowiedz na pytanie!

–Wścieknie się. Popatrzcie, jak idzie... Chyba go zabije, taką mam nadzieję.

–Buntaro-san?

Buntaro pokazał nie ogoloną twarz o mocnych szczękach. Nie wypuszczając łuku z rąk stał pewnie na muskularnych nogach.

–Radziłeś mu nie zabijać Tsukku-sana, więc nie chcesz, żeby ksiądz zginął. Nie jest dla mnie ważne, czy Anjin-san zabije czy nie. Obchodzi mnie tylko to, co jest ważne dla ciebie, panie. Czy mogę go powstrzymać, gdyby chciał okazać ci nieposłuszeństwo? To dla mnie nic trudnego z tej odległości.

–Czy mogę mieć pewność, że tylko go zranisz?

–Nie, panie.

Toranaga roześmiał się, rozładowując atmosferę.

–Anjin-san nie zabije. Badzie krzyczał, złorzeczył i potrząsał mieczem, a Tsukku-san zapala świętym oburzeniem i bez cienia strachu wysyczy: „Nie tknąłem twego statku!” Anjin-san nazwie go kłamcą, a Tsukku-san, nie przestając pałać oburzeniem, będzie obstawał przy swoim, powołując Boga na świadka, i przeklnie Anjin-sana. Będą się nienawidzić przez dwadzieścia wcieleń, ale nie pozabijają się. Przynajmniej nie teraz.

–Skąd to wszystko wiesz, ojczy? – zawołał Naga.

–Nie wiem tego na pewno, synu. Przewiduję, co się stanie. Trzeba poświęcić wiele czasu na przyglądanie się ważnym ludziom, przyjaciółom i wrogom, żeby ich dobrze poznać. Tych dwu obserwowałam, bo obaj są dla mnie bardzo ważni. Ne, Yabu-san?

–Tak, panie – odparł Yabu zaniepokojony.

Naga spojrział szybko na Blackthorne’a – szedł niespiesznie, jeszcze jakieś siedemdziesiąt kroków dzieliło go od Tsukku-sana, który stał na czele akolitów w pomarańczowych szatach.

–Ojczy, żaden z nich nie jest tchórzem, ne? Jak mogą się teraz z honorem wycofać?

–Anjin-san nie zabije z trzech powodów. Po pierwsze, ponieważ Tsukku-san jest nie uzbrojony i nie będzie się bronił, nawet gołymi rękami. Zabicie bezbronnego kłóci się z ich zasadami, jest grzechem wobec chrześcijańskiego Boga. Po drugie, ponieważ jest chrześcijaninem. Po trzecie, ponieważ ja uznałem, że jeszcze nie czas.

–Za pozwoleniem – odezwał się Buntaro – mogę zrozumieć trzeci, a nawet pierwszy powód, ale ich nienawiść bierze się właśnie stąd, że jeden drugiego nie uznaje za chrześcijanina tylko za czciciela Szatana, jak to nazywają.

–Owszem, ale ten ich Chrystus podobno nauczał, że wrogom należy przebaczać. Na tym polega bycie chrześcijaninem.

–To głupota, ne? – rzekł Naga. – Przebaczać wrogowi to głupota.

–Jestem tego samego zdania. – Toranaga spojrział na Yabu. – To głupota przebaczać wrogom. Ne, Yabu-san?

–Tak – przyznał Yabu.

Toranaga spojrział na północ. Dwaj nieprzyjaciele byli już bardzo blisko siebie i Toranaga przeklął w duchu swój brak rozwagi. Obaj byli mu nadal bardzo potrzebni, nie należało więc ryzykować ich życia. Wypuścił z ręki Anjin-sana dla zachcianki” nie po to, żeby zabił, i teraz tego żałował. Nie pozostawało mu jednak nic innego, jak przyglądać się z daleka razem z innymi. Krótkie, ostre starcie rozegrało się zgodnie z przewidywaniami. Toranaga powachlował się z ulgą. Wiele dałby za to, żeby rozumieć pełne zacietrzewienia słowa i przekonać się, czy miał słuszność. Po chwili Anjin-san odwrócił się i odszedł. Tsukku-san otarł – twarz kolorową papierową chusteczką.

–lililil! – Naga był pełen podziwu. – Pod twoim dowództwem nie możemy przegrać.

–Możemy, synu, i to łatwo, jeżeli taka jest moja karma. – Zmienionym głosem dodał:
– Naga-san, każ samurajom, którzy przy płynęli z Osaki, przyjść do mojej kwatery.

Naga pobiegł.

–Cieszę się, Yabu-san, że przybyłeś cały i zdrowy. Daj pułkowi rozkaz rozejścia się. Porozmawiamy po kolacji. Mogę posłać po ciebie?

–Oczywiście. Dziękuję, panie. – Yabu zasalutował i odszedł.

Zostali tylko wartownicy, na znak Toranagi stojący w pewnym oddaleniu. Toranaga zaczął uważnie przyglądać się Buntaro, który poczuł się nieswojo jak pies pod zbyt natarczywym spojrzeniem. Kiedy Buntaro nie mógł już wytrzymać, rzekł:

–Panie?

–Prosiłeś kiedyś o głowę Anjin-sana, ne? Ne?

–Tak... tak, panie.

–Co teraz powiesz?

–Obraził mnie w Anjiro. Nadal jestem okryty wstydem.

–Rozkazuję ci zapamiętać o tym wstydzcie.

–Już zapomniałem, panie. Ale Mariko zdradziła mnie i o tym nie mogę zapamiętać, dopóki Anjin-san żyje. Mam dowody. Pragnę jego śmierci. Proszę o pozwolenie... Do czego jest ci potrzebny bez statku, panie? To moja prośba życia.

–Jakie dowody?

–Wszyscy o tym wiedzą. W drodze z Yokose. Rozmawiałem z Yoshinaką. Wszyscy o tym wiedzą – powtórzył posępnie.

–Yoshinaką widział ich razem? Rzucił na nią oskarżenie?

–Nie. Ale z tego, co mówił... – Udręczony Buntaro spojrzał prosto w oczy Toranadze. – Wiem i to wystarczy. Błagam o spełnienie prośby życia. Nigdy cię o nic nie prosiłem, panie, ne?

–Jest mi potrzebny żywy. Gdyby nie on, ninja schwytałiby ją i okryli hańbą, a więc ciebie również...

–Prośba życia, jedyne pragnienie – rzekł Buntaro. – Proszę o pozwolenie. Statku nie ma, barbarzyńca spełnił swoje zadanie. Zechciej mnie wysłuchać.

–Mam dowody, że Anjin-san nie okrył ciebie hańbą.

–Jakie dowody, panie?

–Posłuchaj i zachowaj to dla siebie, tak jak uzgodniłem to z Mariko. Kazałem jej zaprzyjaźnić się z nim. – Toranaga nie dopuścił Buntaro do głosu. – Owszem, byli przyjaciółmi. Anjin-san uwielbiał ją, ale nigdy nie okryli ciebie hańbą. W Anjiro, przed trzęsieniem ziemi, kiedy Mariko ofiarowała się uwolnić zakładników z Osaki, wystąpić publicznie przeciw Ishido, wywołać kryzys popołniając seppuku, tego dnia właśnie posta...

–A więc to było zaplanowane?

–Oczywiście. Nigdy się tego nie nauczysz? Tego dnia kazałem jej wziąć z tobą rozwód.

–Panie?

–Rozwód. Czy można wyrazić się jaśniej?;.– Ale...:

–Rozwód. Od lat doprowadzała cię do furii, a ty od lat źle ją traktowałeś. A jak odnosieś się do jej niani i dam do towarzystwa? Mówiłem ci, że potrzebna mi jest jako tłumaczka dla Anjin-sana, a ty wpadłeś w straszny gniew i pobiłeś ją. Niewiele

brakowało, a byś ją zabił, ne? Ne?

–Tak, zechciej mi wybaczyć.

–Uznałem, że nadeszła pora położyć kres temu małżeństwu. I taki wydałem rozkaz. Właśnie wtedy.

–Poprosiła o rozwód?

–Nie. Ja o tym zdecydowałem. Twoja żona błagała, żebym cofnął rozkaz. Odmówiłem. Wtedy oznajmiła, że natychmiast popełni seppuku, nie oglądając się na moją zgodę, bo nie może pozwolić, żebyś doświadczył takiego poniżenia. Kazałem jej poddać się mojej woli. Odmówiła. – Toranaga mówił ze złością. – Twoja żona zmusiła mnie, swojego pana lennego; żebym cofnął rozkaz i zgodził się przewrócić go nieodwołalnie „dopiero po Osace, a wiedzieliśmy oboje, że w Osace czeka ją śmierć. Rozumiesz?

–Tak... tak, rozumiem.

–W Osace Anjin-san uratował nie tylko jej honor, ale także honor moich pań i najmłodszego syna. Gdyby nie on, zakładnicy siedzieliby do tej pory w Osace, a ja zginąłbym albo dostał się w ręce lkawy Jikkyu zakuty w kajdany jak pospolity przestępca!

–Wybacz, panie, ale dlaczego to zrobiła? Nienawidziła mnie, dlaczego więc chciała odłożyć rozwód na później? Z powodu Sarujiego?

–Ze względu na twój honor. Wiedziała, co to znaczy obowiązek. Twoja żona dbała o twój honor do tego stopnia, że przyrzekła zachować całą tę historię w tajemnicy. Nikt prócz mnie i was dwojga nie miał się nigdy o niej dowiedzieć. Ani Anjin-san, ani syn Mariko, ani nawet jej chrześcijański spowiednik.

–Co?

Toranaga wyjaśnił jeszcze raz. W końcu Buntaro pojął wszystko i Toranaga odesłał go. Zostawszy wreszcie na chwilę sam, wstał i przeciągnął się, czując ciężar wykonanej pracy. Minęło już południe, ale słońce stało wysoko. Ugasił dokuczliwe pragnienie zimną cha, którą podał mu członek przybocznej straży, i zszedł na brzeg. Zdjął przepecone kimono i zanurzył się w rozkosznie orzeźwiającej wodzie. Trochę ponurkował, ale niezbyt długo, żeby nie budzić niepokoju wartowników. Wyłynął na powierzchnię, obrócił się na plecy i patrzył w niebo, gromadząc siły na długi wieczór i noc.

Ach, Mariko, pomyślał, jesteś niezrównana. Tak, jesteś, bo z pewnością będziesz żyć wiecznie Czy jesteś u Boga chrześcijan w chrześcijańskim niebie? Oby nie. To

byłaby niepowetowana strata. Mam nadzieję, że twój duch odczekaże czterdzieści dni, żeby odrodzić się gdzieś tutaj. Proszę o to Buddę. Niech twój duch przyjdzie do mojej rodziny i znów wcieli się w kobietę, nie w mężczyznę. Jesteś tak wielkim skarbem, że szkoda byłoby mieć ciebie w męskim wcieleniu.

Uśmiechnął się. Pamiętał dobrze, co zaszło w Anjiro, i w rozmowie z Buntaro w tym tylko rozminął się z prawdą, że Mariko nie zmusiła go do cofnięcia rozkazu. „Jak mogłaby mnie zmusić do zrobienia czegoś, co nie byłoby po mojej myśli?” – spytał patrząc w niebo. Poprosiła mnie z należyty szacunkiem, żeby nie ogłaszać wszem i wobec o rozwodzie przed jej powrotem z Osaki. Jestem jednak pewien, że gdybym jej odmówił, popełniłaby seppuku. Nalegałaby, ne? Oczywiście, że tak, a to by wszystko zepsuło. Wyrażając z góry zgodę, oszczędziłem jej niepotrzebny wstyd, a sobie kłopotu, na zachowaniu zaś tego w tajemnicy, jak zapewne życzyłaby sobie, zyskują wszyscy. Ciesząc się ze swego łaskawego ustępstwa, roześmiał się w głos. Niewielka fala zalała mu usta, zachłysnął się.

–Nic ci się nie stało, panie? – zawołał z niepokojem pływający w pobliżu strażnik.

–Nic, nic. – Toranaga odkaszlnął i splunął, młócąc nogami pod wodą. Teraz widzisz, do czego prowadzi zadufanie, skarcił się w duchu. Drugi raz popełniasz dziś błąd. Spojrzał na wrak. – Płyn ze mną, pościgamy się! – zawołał do strażnika.

Wyścigi z Toranaga oznaczały dokładnie to właśnie. Kiedyś jeden z generałów, chcąc się przypodobać, umyślnie pozwolił mu wygrać. Zapłacił za to wszystkim, co miał.

Strażnik zwyciężył. Toranaga pogratulował mu i trzymając się żebra wraku odczekał, aż odzyska równy oddech. Ciekawość nie dawała mu spokoju. Przyjrzał się dokładnie stępcy Erasmusa. Po skończonych oględzinach wrócił na brzeg i poszedł do obozu wypoczęty i rześki.

W dogodnym miejscu przygotowano dla niego tymczasową kwaterę. Mocna bambusowa konstrukcja podtrzymywała szeroką słomianą strzechę. Podwyższoną drewnianą podłogę pokrywały tatami, a ściany shoji tworzyły pomieszczenia. Straże stały już na posterunkach. Przygotowano także pokoje dla Kiri, Sazuko, służby i kucharzy, połączone chodnikami na palikach.

Pierwszy raz ujrzał syna. Pani Sazuko nie przyszłoby na myśl popełnić nietakt i przynieść dziecko na polanę, choć wspaniałomyślnie przystał na to, mogłaby wszak przeszkodzić w sprawach wielkiej wagi.

–Udany chłopak – powiedział z dumą, bardzo zadowolony, trzymając z wprawą dziecko. – A ty, Sazuko, wypiękniałaś, macierzyństwo służy ci. Musimy jak najszybciej postarać się o następnego potomka.

–Tak się bałam, panie, że już nigdy cię nie zobaczę, że nie pokażę ci najmłodszego syna. Jak uciekniemy z tej pułapki... Wojska Ishido...

–Spójrz, jaki udany chłopak! Za tydzień wybuduję na jego cześć świątynię z dochodem...- podzielił na pół i jeszcze raz na pół liczbę, którą miał na myśli... – dwudziestu koku rocznie.

–Jesteś bardzo hojny, panie! – Uśmiechnęła się szczerze.

–To wystarczy, żeby jakiś nierób powiedział od czasu do czasu Namu Amida Butsu, ne?

–O tak, panie. Czy świątynia stanie w pobliżu zamku w Edo? A gdyby tak nad rzeką albo strumieniem? To byłoby cudownie.

Przystał na to z ociąganiem – tak korzystnie położona działka kosztowała więcej, niż gotów był wyłożyć na ten kaprys. Ale chłopak jest udany, pomyślał, mogę sobie w tym roku pozwolić na taki gest.

–Dziękuję ci, panie.

Pani Sazuko chciała coś jeszcze powiedzieć, ale właśnie do cienistej werandy, na której siedzieli; podbiegł Naga.

–Wybacz, ojcze, czy samurajów z Osaki chcesz widzieć pojedynczo czy wszystkich razem?

–Pojedynczo.

–Tak, panie. Ksiądz Tsukku-san prosi o spotkanie w dogodnej porze.

–Przeznacz mu, że niebawem po niego poślę.

Toranaga podjął rozmowę z konkubiną, lecz poprosiła, by pozwolił jej odejść wiedząc, że chciał jak najszybciej zająć się samurajami. Nie uległa jego prośbie, żeby została, ponowiła uprzejme nalegania, aż w końcu ją puścił.

Przesłuchał uważnie wszystkich po kolei, gromadząc fakty, porównując relacje, przywołując czasami to jednego, to drugiego samuraja ponownie. Do zachodu słońca poznał przebieg wydarzeń, a raczej obraz ich przebiegu wyniesiony przez uczestników. Zjadł szybko lekki posiłek, pierwszy tego dnia, i wezwał Kiri, odsyłając strażników na bezpieczną odległość.

–Opowiedz mi najpierw, Kiri-san, co robiłaś, co widziałaś, czego byłaś świadkiem.

Przygotowała starannie swoją opowieść, ale wypytywał ją długo, aż zrobiło się

całkiem ciemno.

–liiii – rzekł. – Mało brakowało, Kiri-chan. Niebezpiecznie mało.

–Tak – odparła Kiri, siedząc z rękoma złożonymi na szerokim brzuchu. Dodała tkliwie: – Wszyscy wielcy i mali bogowie strzegli ciebie, panie, i nas. Wybacz, że wątpiłam w ostateczny wynik i w ciebie. Bogowie nam sprzyjali.

–Wygląda na to, że bardzo sprzyjali.

Toranaga wpatrywał się w ciemności. Przyjemny wietrzyk od morza chwiał płomieniami pochodni i odganiał owady. Po niebie płynął piękny księżyc z widocznymi ciemnymi plamami i Toranaga pogrążył się w zadumie. Czy ciemne są lądy, a reszta to śnieg i lód? Skąd właściwie wziął się księżyc? Kto tam mieszka? Tyle jest rzeczy, które chciałbym wiedzieć, myślał.

–Czy mogę o coś spytać, Tora-chan?

–O co chcesz spytać, pani?

–Dlaczego właściwie Ishido nas wypuścił? Przecież nie musiał, ne? Na jego miejscu nigdy bym tego nie zrobiła. Więc dlaczego?

–Powtórz mi najpierw wiadomość od pani Ochiby.

–„Powiedz, proszę, panu Toranadze, że moim szczerym życzeniem jest, by mógł on w jakiś sposób dojść do porozumienia z następcą. Na dowód przyjaznych uczuć następcy chciałabym przytoczyć jego wielokrotne zapewnienia, że nie chce prowadzić wojsk przeciw swojemu wujowi, panu Kan...

–Tak powiedziała?!

–Tak. Dokładnie.

–Wie przecież, tak jak Ishido, że gdyby Yaemon stanął na czele wojsk przeciw mnie, musiałbym przegrać!

–Powtórzyłam, co powiedziała, panie.

–liiii! – Toranaga walnął żylastą pięścią w tatami. – Jeżeli to prawda, a nie podstęp, to jestem już jedną nogą w Kioto.

–Tak.

–Za jaką cenę?

–Nie wiem. Nic więcej nie powiedziała, panie. Przesyła tylko pozdrowienia dla siostry.

–Co mógłbym dać Ochibie, kiedy wszystko już ma. Ma w swoich rękach Osakę, skarb, a Yaemon był dla mnie zawsze jedynym następcą. Ta wojna jest niepotrzebna. Cokolwiek się zdarzy, za osiem lat Yaemon zostanie kampaku i odziedziczy wszystkie ziemie, cały kraj. Nic więcej nie mógłbym jej ofiarować.

–Może zależy jej na małżeństwie? Toranaga zdecydowanie pokręcił głową. – Na pewno nie. Nie wyszłaby za mnie za nic „w świecie”.

–Dla niej to idealne rozwiązanie.

–: Nie weźmie go pod rozwagę. Ochiba moją żoną? Cztery razy zaklinała taikō, żeby zaprosił mnie do Wielkiej Pustki.

–Owszem, za jego życia...

–Zrobię wszystko dla scalenia państwa, utrzymania pokoju, zapewnienia Yaemonowi godności kampaku. Czy tego właśnie pragnie?

–Małżeństwo przypieczętowałoby sukcesję, jej oczko w głowie.

Toranaga zapatrzył się w księżyc, roztrząsając słowa wypowiedziane przez panią Yodoko w Osace. Ponieważ jednak nie mógł rozwikłać zagadki, którą miał przed sobą, odłożył ją na później i skupił się na niecierpiących zwłoki sprawach bieżących.

–Chyba znów uprawia swoje sztuczki. Czy Kiyama powiedział ci, że statek barbarzyńców został umyślnie podpalony?

–Nie, panie.

Toranaga zmarszczył brwi.

–Dziwne, bo musiał już wtedy o tym wiedzieć. Tsukku-san od razu dowiedział się ode mnie i dla niepoznaki wysłał gołębia, chociaż tamci na pewno już wiedzieli.

–Winnych tej zdrady trzeba ukarać, ne? Tych, którzy namawiali, i tych głupców, którzy do niej dopuścili.

–Trochę cierpliwości, a każdy otrzyma, co mu się słusznie należy, Kiri-san. Podobno chrześcijańscy księża nazywają to „palcem bożym”.

–Szczyt zakłamania! I głupota, ne?

–Tak...-...

Z jednej strony głupota, pomyślał Toranaga, a z drugiej nie.

–Dziękuję ci, Kiri-san. Twoja obecność sprawia mi wielką radość. A teraz bądź łaskawa posłać po Yabu-sana, a potem przynieś nam cha i sake i zostaw nas samych.

–Tak, panie. Czy mogę teraz zadać pytanie?

–To samo pytanie?

–Tak, panie. Dlaczego Ishido nas wypuścił?

–Odpowiedź brzmi: nie wiem, Kiri-chan. Popełnił błąd. Ukłoniła się i odeszła zadowolona.

Dochodziła północ, kiedy Toranaga pożegnał Yabu, dziękując mu za wszystko i kłaniając się jak równemu sobie. W czasie spotkania zaprosił Yabu na tajną naradę wojenną, która miała się odbyć nazajutrz, tytułował go nadal generałem pułku muszkietów i zaświadczył na piśmie jego panowanie nad Totomi i Surugą – z chwilą, kiedy włości te zostaną zdobyte.

–Pułk ma decydujące znaczenie, Yabu-san. Na tobie spoczywa odpowiedzialność za przygotowanie go do walki. Łącznikiem między nami może być Omi-san. Korzystaj z wiedzy Anjin-sana, z czego się da, ne?

–Tak, panie, o nic więcej nie mógłbym prosić. Pokornie dziękuję.

–Wielce mi się przysłużyłeś, sprowadzając moje panie, syna i Anjin-sana. Utrata statku jest dotkliwa, ale może doczekamy się wkrótce następnego. Dobranoc, przyjacielu.

Po odejściu Yabu Toranaga, bardzo zmęczony, popijał cha.

–Naga-san?

–Tak, panie?

–. Gdzie Anjin-san?

–Jest z wasalami koło wraku.

–Co robi?

–Nic, tylko patrzy. – Naga poczuł się nieswojo pod przenikliwym spojrzeniem ojca. – Wybacz, czy powinien być gdzie indziej?

–Co? Nie, to bez znaczenia. Gdzie Tsukku-san?

–W jednym z domków gościnnych.

–Mówiłeś mu, że chcesz przyjąć wiarę chrześcijańską?

–Tak, panie.

–Dobrze. Sprowadź go tu.

Niedługo potem Toranaga dojrzał znajomą szczupłą sylwetkę księdza, któremu oświetlały drogę pochodnie. Widok pobrużdżonej twarzy, ciemnych włosów bez śladu siwizny, przypomniał mu Yokose.

–Cierpliwość to ważna cnota, Tsukku-san. Ne?

–Zgadzam się najzupełniej. Dlaczego o tym mówisz, panie?

–Myślałem o Yokose. To było tak niedawno, a wszystko wyglądało wtedy inaczej.

–O tak, niezbadane są zrządenia Boże. Bardzo się cieszę, panie, że nie przekroczyłeś swoich granic.

–Chciałeś się ze mną widzieć? – przypomniał Toranaga, wachlując się. Zazdrościł skrycie księdzu płaskiego brzucha i znajomości języków.

–Chciałem przeprosić za to, co się zdarzyło.

–Co powiedział Anjin-san?

–Gniewał się na mnie i oskarżał o to, że spaliłem mu statek.

–A zrobiłeś to?

–Nie, panie.

–Więc kto?

–Sprawił to Bóg. Bóg rozpętał burzę i statek spłonął.

–Nie wierzę. Twierdzisz, że nie miałeś w tym udziału? Ani ty, ani żaden chrześcijanin?

–Miałem udział o tyle, że się modliłem. Tak jak inni. Przysięgam na wszystkie świętości, że ten statek był narzędziem Szatana. Nieraz przekonywałem cię o tym, panie, wiedząc, że jesteś odmiennego zdania. Zechciej mi wybaczyć, że obstawałem

przy swoim. Może jednak ten akt Bożej woli obróci się na korzyść?

–Jak to?, – Ojciec wizytator, uwolniony od tego zmartwienia, może teraz poświęcić całą uwagę panom Kiyamie i Onoshi.

–Nie pierwszy raz o tym słyszę, Tsukku-san – rzekł ostro Toranaga. – Jaka rzeczywistą pomoc może mi zaofiarować przełożony chrześcijańskich kapłanów?

–Zaufaj, panie... – Alvito ugryzł się w język. Potem rzekł z namaszczaniem: – Daruj, panie, jestem głęboko przekonany, że jeżeli zaufasz Bogu, On ci dopomoże.

–Ufam, ale najbardziej sobie. Na razie dochodzą mnie wieści, że Ishido, Kiyama, Onoshi i Zataki zgromadzili wojska. Ishido wystawi przeciw mnie trzysta, a nawet czterysta tysięcy żołnierzy.

–Ojciec wizytator wywiązuje się z umowy, którą zawarł z tobą, panie. W Yokose doniosłem o niepowodzeniu, ale teraz dostrzegam nadzieję.

–Nadzieja nie zda się na nic przeciw mieczom.

–Bóg zwycięża mimo wszelkich przeciwności.

–Owszem, jeżeli istnieje. – Toranaga znów zaostrzył głos. – W czym upatrujesz tę nadzieję?

–Nie jestem pewien, panie. Czyż jednak nie widać ręki boskiej w tym, że Ishido wyrusza przeciw tobie, opuszczając zamek w Osace?

–Nie. Rozumiesz znaczenie tej decyzji?

–Jak najbardziej. Ojciec wizytator z pewnością też.

–Chcesz powiedzieć, że to jego zasługa?

–Nie, panie. Alę taki jest bieg wydarzeń.

–A jeśli Ishido mianuje pana Kiyamę naczelnym wodzem i wyśle go razem z następcą przeciw mnie, a sam zaczai się w Osace?.

–Tego nie mogę przewidzieć, panie. Ale jeżeli Ishido opuści Osakę, to będzie cud. Ne?.

–Uznasz to z całym przekonaniem za kolejne dzieło Boga chrześcijan?

–Nie. Ale może tak być. Wierzę, że nic się nie dzieje bez Jego wiedzy.

– Nawet po śmierci możemy nie dowiedzieć się niczego o Bogu – rzekł Toranaga i niespodziewanie dorzucił: – Podobno ojciec wizytator opuścił Osakę. – Z satysfakcją obserwował niezadowolone Tsukku-sana. Wiadomość nadeszła w przeddzień wyjazdu z Mishimy.

– Tak – potwierdził ksiądz coraz bardziej zaniepokojony. – Wyjechał do Nagasaki, panie.

– Odprawić nabożeństwo żałobne dla Tody Mariko-samy?

– Tak, panie. Jak ty dużo wiesz. Jesteśmy gliną na garncarskim kole, którym ty obracasz.

– To nieprawda. Zapomniałeś, że nie lubię czczych pochlebstw.

– Nie, panie, proszę o wybaczenie. Nie zamierzałem ci schlebiać. – Skonsternowany Alvito podwoił czujność. – Jesteś przeciwny tej uroczystości, panie?

– Nie przywiązuję do niej wagi. Tak wyjątkowa osoba zasługuje, żeby uczcić jej pamięć.

– Dziękuję, panie. Ojciec wizytator będzie bardzo zadowolony. To dla niego bardzo ważne.

– Oczywiście. Ponieważ była moim wasalem, a zarazem chrześcijanką, więc posłuży za wzór innym chrześcijanom. Albo tym, którzy noszą się z zamiarem przejścia na nową wiarę. Ne?

– Z pewnością stanie się wzorem dla innych. Takie poświęcenie zasługuje na najwyższą pochwałę.

– To, że oddała życie za innych? – spytał Toranaga oględnie, nie mówiąc nic o seppuku. – Tak. Toranaga uśmiechnął się na myśl, że Tsukku-san nie wspomniał ani razu o dzielnej Kiyamie Achiko, jej śmierci i uroczystym pogrzebie.

– Więc nie wiesz o nikim, kto wydał rozkaz lub pomagał w podpaleniu statku? – spytał twardo.

– Nie, panie. Wiem tylko o modlitwach.

– Słyszałem, że budowa kościoła w Edo idzie dobrze.

– Tak, panie. Dziękuję.

– Liczę, że starania najwyższego kapłana chrześcijan przyniosą wkrótce rezultaty. Potrzeba mi czegoś więcej niż nadziei, a pamięć mam bardzo dobrą. A teraz bądź

łaskaw posłużyć mi za tłumacza. – Wyczuł wrogość księdza. – Nie ma powodu do obaw.

–Nie boję się go, panie, ale zechciej zrozumieć, że nie chcę przebywać w jego pobliżu.

Toranaga wstał.

–Wymagam od ciebie szacunku dla Anjin-sana. Nieraz wykazał się odwagą i ratował życie Mariko-samie. Odchodzi od zmysłów, bo stracił statek, to zrozumiałe, ne?

–Tak, tak, bardzo mi przykro.

Toranaga ruszył w stronę morza. Wartownicy oświetlali drogę pochodniami.

–Kiedy dostanę raport najwyższego kapłana o przemyście broni?

–Kiedy tylko zdobędzie wszystkie informacje z Makau.

–Bądź łaskaw poprosić, żeby przyspieszył śledztwo.

–Tak, panie.

–Którzy daimyō chrześcijanie byli w to zamieszani?

–Niestety, nie wiem. Może żaden.

–Szkoda, że nie wiesz, Tsukku-san. To by mi oszczędziło sporo czasu. Niejeden daimyō chciałby poznać prawdę.

A jednak wiesz, Tsukku-san, pomyślał Toranaga. Mógłbym cię zapędzić w kozi róg, choćbyś się wywijał i wykręcał jak wąż, a kiedy kazałbym ci przysiąc na twojego Boga, musiałbyś powiedzieć: Kiyama, Onoshi i zapewne Harima. Ale jeszcze nie nadszedł czas. Tak samo za wcześnie, żebyś się dowiedział, że nie posądzam was, chrześcijan, o podpalenie statku. Nie zrobił tego Kiyama, Harima, ani nawet Onoshi. Jestem tego pewien. A jednak to nie był palec boży. To był palec Toranagi.

Tak.

Spytałbyś pewnie, dlaczego to zrobiłem.

Kiyama zrobił mądrze, odrzucając moją propozycję, kiedy Mariko przekazała mu list ode mnie. Musiałem dowieść szczerości intencji. Jaki inny mogłem dać dowód, jak nie statek i barbarzyńcę, których wy, chrześcijanie, tak się baliście. Spodziewałem się, że utracę wszystko, ale w końcu przepadł tylko statek. Dziś w Osace pośrednicy powiedzą Kiyamie i najwyższemu kapłanowi chrześcijan, że to prezent ode mnie.

Dowód, że jestem przeciwnikiem Ishido, nie Kościoła. To chyba jest dowód, ne?

Czy można zaufać Kiyamie? – spytasz całkiem słusznie.

Nie. Ale Kiyama jest przede wszystkim Japończykiem, a dopiero potem chrześcijaninem. Zawsze o tym zapominasz. Kiyama zrozumie mój gest. Zniszczenie statku ma wymiar ostateczny, podobnie jak ofiara Mariko i odwaga Anjin-sana.

Chciałbyś wiedzieć, jak dokonałem dzieła zniszczenia.

Co za różnica, Tsukku-san? Niech ci wystarczy, że to zrobiłem. Nikt o tym nie wie prócz mnie, kilku zaufanych ludzi i podpalacza. Podpalacz? Skoro Ishido użył wojowników ninja, dlaczego ja nie miałbym tak postąpić? Nająłem jednego i udało się. Ishido poniósł porażkę.

–Niewybaczalna głupota – powiedział Toranaga na głos.

–Panie? – spytał Alvito.

–To niewybaczalne nie ukryć tak wybuchowej tajemnicy jak przemycone muszkiety – rzekł naburmuszony. – I namawiać daimyō chrześcijan do buntu przeciw panu lennemu, taikō. Ne?

–Tak, panie. Jeżeli to prawda.

–Jestem tego pewien, Tsukku-san.

Toranaga nie podtrzymywał rozmowy widząc, że Tsukku-san jest podekscytowany, a zatem będzie znakomicie tłumaczył.

Doszli już nad morze i Toranaga kroczył pewnie naprzód, nie poddając się znużeniu. Kiedy mijali czerepy na piasku, Tsukku-san przeżegnał się ze strachem. To głupota być przesądnym, pomyślał Toranaga, ale głupotą też jest niczego się nie bać.

Wasale Anjin-sana czekali pochyleni w ukłonie. Tylko Anjin-san nie wstał na powitanie. Siedział patrząc tępo przed siebie.

–Anjin-san – zawołał łagodnie Toranaga.

–Tak, panie? – Blackthorne otrząsnął się z zamyślenia i wstał. – Przepraszam, chcesz teraz rozmawiać?

–Tak, proszę. Przyprowadziłem Tsukku-sana, bo chcę rozmawiać wyraźnie. Rozumiesz? Szybko i wyraźnie?

–Tak.

W znieruchomych oczach Blackthorne'a widać było śmiertelne znużenie. Toranaga zwrócił się do Tsukku-sana. – Czy on rozumie, co powiedziałem?

Patrzył i słuchał przykrej dla uszu mowy. Anjin-san skinął głową, nie odrywając oskarżycielskiego spojrzenia od księdza.

–Tak, panie – rzekł ksiądz.

–Bądź łaskaw tłumaczyć dokładnie, co powiem. Słuchaj, Anjin-san, przyprowadziłem Tsukku-sana, żebyśmy mogli rozmawiać szybko, nie gubiąc znaczenia żadnego słowa. To dla mnie bardzo ważne, więc proszę o twoją cierpliwość.

–Tak, panie.

–Tsukku-san, najpierw przysięgnij na Boga chrześcijan, że dochowasz naszej tajemnicy, jakby była święta. Jakbyś słuchając Anjin-sana siedział w konfesjonale. Ne?, – Ależ, panie, to nie...

–Zrobisz to. Jeżeli nie, cofnę na zawsze swoje poparcie dla ciebie i twojego Kościoła.

–Zgadzam się, panie. Przysięgam przed „Bogiem.

–Dziękuję. Wyjaśnij mu, co uzgodniliśmy.

Toranaga usadowił się na piasku, odganiając wachlarzem natrętne owady.

–Opowiedz, proszę, Anjin-san, co wydarzyło się w Osace...

Blackthorne zaczął opowiadać urywanymi zdaniem, ale niedawne przeżycia narzuciły mu się z taką siłą, że słowa popłynęły same i ojciec Alvito z trudem nadążał za tłumaczeniem. Toranaga słuchał i nie przerywał, wtrącając w miarę potrzeby delikatną zachętę, jak to robią wytrawni słuchacze.

Blackthorne skończył opowiadać o brzasku, niemal zapomniawszy o obecności księdza. Wiem wszystko, pomyślał Toranaga, a raczej wszystko to, co gotów był mi opowiedzieć Anjin-san. Ksiądz też wszystko wie, ale na pewno nie usłyszał nic takiego, co katolicy albo Kiyama mogliby wykorzystać przeciw mnie, Mariko albo Anjin-sanowi:

–Jesteś pewien, Anjin-san, że gubernator skazałby cię na stos? – spytał.

–O tak, gdyby nie ten jezuita. W jego oczach jestem heretykiem, a ogień podobno „oczyszcza” duszę.

–Dlaczego ojciec wizytator uratował cię?

–Nie wiem. Mariko-sama miała z tym coś wspólnego. Bez statku jestem bezradny. Sami pomyśleliby o tym, ale może ona podsunęła im, jak to zrobić.

–Co mogła wiedzieć o podpalaniu statków?

–Nie wiem. Ninja wdarli się do zamku. Może i tutaj ninja zmylili strażę. Mój statek został umyślnie podpalony. Mariko widziała się z ojcem wizytatorem w dniu, w którym zginęła. Wydaje mi się, że powiedziała mu, jak spalić Erasmusa, w zamian za moje życie. Ale dla mnie nie ma życia bez mojego statku, panie. Nie ma życia.

–Mylisz się, Anjin-san. Dziękuję ci, Tsukku-san, możesz odejść. Napracowałeś się. Odpocznij, proszę.

–Dziękuję, panie. – Alvito zawahał się. – Przepraszam za gubernatora. Ludzie rodzą się w grzechu i często w grzechu żyją, choć są chrześcijanami.

–Chrześcijanie rodzą się w grzechu, my nie. Jesteśmy ludźmi cywilizowanymi, a nie ograniczonymi, niepiśmiennymi chłopami. Rozumiemy, czym naprawdę jest grzech. A jednak, Tsukku-san, na miejscu gubernatora nie wypuściłbym z rąk Anjin-sana. To była słuszna decyzja wojskowa. Jeszcze pożałuje, że nie postawił na swoim. Ojciec wizytator także.

–Życzysz sobie, panie, żebym to przetłumaczył?

–To było przeznaczone dla twoich uszu.

Toranaga pożegnał księdza, dziękując za pomoc, i odprawił go pod strażą do domu.

–Anjin-san. Najpierw pływamy.

–Panie? – Pływamy!

Toranaga rozebrał się i wszedł do rozjaśniającej się wody. Blackthorne i wartownicy wzięli z niego przykład. Toranaga wypłynął w morze, a potem okrążył wrak. Blackthorne płynął za nim, orzeźwiony chłodem. Niebawem Toranaga wyszedł na brzeg. Służący przygotowali ręczniki, czyste kimona, cha, sake i jedzenie. – Jedz, Anjin-san.

–Dziękuję, nie jestem głodny.

–Jedz!

Blackthorne usłuchał, ale po kilku kęsach zakrztusił się.

–Przepraszam...

–Jesteś głupi. I słaby. Słaby jak Czosnkojad. Niepodobny do hatamoto. Ne?

–Panie?

Toranaga powtórzył ostro. Wskazał wrak wiedząc, że Blackthorne słucha go teraz z całą uwagą.

–To jest nic. Shigata ga nai. Nieważne. Słuchaj, Anjin-san jest hatamoto, ne? Nie Czosnkojad. Rozumiesz?

–Tak, przepraszam.

Toranaga skinął na strażnika, który podał opieczętowany zwój.

–Słuchaj, Anjin-san. Mariko-sama dała mi to przed wyjazdem z Edo. Prosiła, żebym ci to oddał, jeżeli wyjdiesz żywy z Osaki, rozumiesz, jeżeli wyjdiesz żywy.

Blackthorne wziął pergamin, potrzymał chwilę, złamał pieczęć. Mariko napisała po łacinie:

Mój ty. Kocham cię. Jeżeli czytasz te słowa, to znaczy, że zginęłam w Osace, i przeze mnie straciłeś zapewne też statek. To, co dla ciebie najcenniejsze, poświęcę ze względu na moją Wiarę, by chronić Kościół, a przede wszystkim uratować ci życie, które jest mi najdroższe, droższe nawet od dobra pana Toranagi. Mogę stanąć przed wyborem: ty albo twój statek. Nie gniewaj się, że wybieram twoje życie. Statek i tak jest skazany na zagładę, niezależnie od twojego losu. Oddam statek w ręce twoich wrogów, żebyś ty mógł żyć. Statek nic nie znaczy, zbuduj drugi. Przecież umiesz, uczyłeś się nie tylko żeglować, ale i budować statki, prawda? Jestem przekonana, że pan Toranaga przyśle cieśli i innych rzemieślników - potrzebuje ciebie i twoich statków - a ja zapisałam tobie z osobistego majątku niezbędne fundusze. Zbuduj nowy statek, zbuduj nowe życie, kochanie. Zdobądź Czarną Karawelę w przyszłym roku i żyj jak najdłużej. Wiedz, najdroższy, że moja chrześcijańska dusza modli się, żeby spotkać ciebie w chrześcijańskim niebie, a moja japońska hara modli się, żeby w przyszłym życiu być zawsze blisko ciebie i dawać ci radość. Wybacz, twoje życie jest najważniejsze. Kocham cię.

–Co jest w tym liście, Anjin-san?

–Przepraszam, panie. Mariko-sama pisze, że statek jest niepotrzebny. Zbudować drugi. Pisze...

–O! To możliwe? Możliwe, Anjin-san?

–Tak. Jeżeli dostanę... – Nie pamiętał, jak powiedzieć „cieśla”. – Jeżeli Toranaga-sama da ludzi, ludzi do budowy statku, ne? Tak. Mogę zbudować. – Od razu zaczął

wyobrażać sobie nowy statek. Mniejszy, o wiele mniejszy od Erasmusa. Dziewięćdziesiąt do stu ton wyporności, większego nie dałby rady. Wprawdzie Alban Caradoc szkolił go i na pilota, i na budowniczego, ale nigdy nie projektował ani nie nadzorował od początku do końca budowy statku. Bóg zapłać, Alban, podziękował mu z głębi serca. Tak, na początek dziewięćdziesiąt ton. Golden Hind Drake'a miał mniej więcej taką wyporność, a ile wytrzymał! Mógłbym wziąć na pokład dwadzieścia dział wystarczająco dużo, żeby... – Chryste Panie, działa!

Obejrzał się gwałtownie na wrak, potem popatrzył na minę Toranagi i samurajów i uprzytomnił sobie, że mówił po angielsku.

–Przepraszam, panie. Myślę za szybko. Duże muszkiety w morzu, ne? Muszę szybko wziąć!

Toranaga porozumiał się ze swoimi ludźmi.

–Samuraje mówią, że wszystko ze statku jest w obozie. Morze płytkie przy odpływie, rzeczy wyłowione, ne? Teraz w obozie. Dlaczego o tym mówisz?

Blackthorne'owi zakręciło się w głowie z radości.

–Mogę zrobić statek. Jeżeli są-działa, mogę walczyć z wrogiem. Czy Toranaga-sama może dostać proch?

–Tak. Ilu cieśli? Czego potrzebujesz?

–Czterdziestu cieśli, kowali, dębowe deski, rosną tu dęby? A potem żelazo, stal, zrobię tu kuźnię, potrzebny mi... – Znów mówił po angielsku. – Przepraszam. Napiszę na papierze. Pomyślę i napiszę. Powiedz, proszę, dostanę ludzi do pomocy?

–Tylu, ilu zechcesz. I pieniędzy. Zaraz. Potrzebny mi statek. Zaraz! Jak szybko możesz zbudować?

–Sześć miesięcy.

–Nie można szybciej?

–Żałuję, ale nie.

–Później porozmawiamy, Anjin-san. Co jeszcze pisze Mariko-sama? –

–Niewiele, panie. Daje pieniądze na statek, swoje własne. Przeprasza, bo... bo myśli, że pomaga moim wrogom zniszczyć statek.

–Jakim wrogiem? W jaki sposób zniszczyć?

–Tego nie pisze, panie. Nic dokładnie. Tylko przeprasza. Mariko-sama mówi sayonara.

–Cieszę się, że już wszystko dobrze, Anjin-san. liiiii, Mariko-sama miała rację. O tamto się nie martw! – Toranaga wskazał wrak. – Zbuduj zaraz nowy statek. Statek do walki, ne? Rozumiesz?

–Rozumiem bardzo dobrze.

–Czy ten nowy statek mógłby walczyć z Czarną Karawelą?

–Tak.

–W przyszłym roku?

–Może.

–A załoga?

–Na przyszły rok wyćwiczę swoich wasali na kanonierów. Na marynarzy nie.

–Możesz wybrać najlepszych marynarzy w Kantō.

–Na przyszły rok mogę być gotów – rzekł z uśmiechem Blackthorne. – A wojna? Co z wojną?

–Może być, może nie być, a próbować trzeba, ne? Czarna Karawela to twój łup, rozumiesz: „łup”? I nasza tajemnica, ne?

–Księża szybko odkryją tajemnicę.

–Może. Ale tym razem nie będzie fali przyływu ani tai-funu, przyjacielu. Ty będziesz czuwał i ja będę czuwał.

–Tak.

–Najpierw Czarna Karawela, potem do domu. Sprowadzisz całą flotę. Rozumiesz?

–O tak.

–Jeżeli przegram, karma. Jeżeli nie, wtedy jest wszystko, Anjin-san. Tak jak powiedziałeś. Czarna Karawela, ambasador, układ, statki! Rozumiesz?

–Tak, tak! Dziękuję.

–Podziękuj Mariko-samie. Gdyby nie ona...

Toranaga po raz pierwszy pożegnał się z nim jak równy z równym. Wasale Blackthorne'a uklonili się, pozostając pod wrażeniem – zaszczytu, jaki spotkał ich pana.'

Blackthorne odprowadził spojrzeniem Toranagę, a potem spostrzegł, że służący pakują nie dokończony posiłek. Powstrzymał ich i zasiadł do jedzenia.

Jadł powoli, jak należy, z godnością, a służący spierali się, kto mu będzie usługiwać. Próbował ogarnąć myślami niezmierzone perspektywy, które otworzył przed nim Toranaga. Wygrałeś, powiedział sobie, mając ochotę skakać i tańczyć z radości. Pełen wdzięczności odczytał ponownie list Mariko.

–Za mną – rozkazał i ruszył w stronę obozu.

W głowie już układał plan statku i rozmieszczenie dział. Boże Przenajświętszy, pomóż Toranadze, niech Ishido nie wejdzie do Kantō i Izu, miej w opiece Mariko, gdziekolwiek jest, i spraw, żeby działa nie były zardzewiałe. Mariko miała rację, Erasmus był skazany na zagładę. Przywróciła mi chęć do życia. Mogę zbudować nowe życie, nowy statek. Dziewięćdziesiąt ton! Mój statek będzie pruł fale ostrym dziobem, gotów w każdej chwili do walki, zgrabny i szybki jak greyhound, lepszy od Erasmusa, a tuż pod wystającym butnie bukszprytem będzie piękny galion o rysach Mariko. Mój statek... Chryste Panie, z wraka można wyratować tonę rzeczy! Stępka częściowo nadaje się do wykorzystania, niektóre żebra, a do tego tysiące gwoździ – z reszty stępki zrobię wiązania i brasy, wszystko, co trzeba... jeżeli będę miał dość czasu.

Tak. Mój statek będzie podobny do niej, przyrzekł sobie. Będzie mały, wypieszczony, doskonały jak ostrze Yoshitomo, najlepsza broń na świecie, i tak samo niebezpieczny. Za rok zdobędzie statek dwadzieścia razy większy od siebie i wypędzi nieprzyjaciół z Azji. A za dwa, trzy lata wpłynie Tamizą do Londynu, z ładowniami pełnymi złota, obryzgany przez wszystkie morza świata.

–Będzie się nazywał Pani – powiedział na głos.

Dwa dni później, o świcie, Toranaga sprawdził popręgi przy siodle. Pchnął klacz kolanem w miękki brzuch i podciągnął popręg o dwa oczka. Paskudne bydlę, pomyślał mając za złe koniom, że są zdradliwe, złośliwe i niebezpieczne. To ja, Yoshi Toranaga-no-Chikitada-no-Minowara, a nie jakiś głupkowaty dzieciuch. Odczekał chwilę i znów mocno dźgnął klacz kolanem, aż stęknęła i potrzęsnęła łbem. Podciągnął popręg do oporu.

–Dobrze, panie! Bardzo dobrze – rzekł z podziwem łowczy, żyłasty samuraj, krzepki i zahartowany. – Niejednemu wystarczyłoby podciągnąć raz.

–A kiedy siodło przekrzywiłoby się, głupiec mógłby skrócić kark. Ne?

–Tak panie, za karę! – odparł ze śmiechem łowczy.

W zagrodzie dla koni otaczali ich wartownicy i sokolnicy z okapturzonymi ptakami. Tylko jastrzęb gołębiarz Kogo mógł przypatrywać się wszystkiemu złotymi bezlitosnymi oczyma. Sokół wędrowny Tetsu-ko wydawał się przy nim mały, ale zajmował honorowe miejsce.

Podszedł Naga, prowadząc konia.

–Dzień dobry, ojciec.

–Dzień dobry, synu. Gdzie twój brat?

–Pan Sudara czeka w obozie, panie.

–Dobrze. – Toranaga uśmiechnął się, a ponieważ lubił syna, wziął go na stronę i rzekł: – Zamiast jechać na polowanie, wypiszesz rozkazy wojenne, które podpiszę wieczorem po powrocie.

–Och, ojciec, dziękuję ci, dziękuję – ucieszył się Naga, dumny, że przypadł mu zaszczyt podjęcia rękawicy rzuconej przez Ishido, że własnoręcznie wypisze rozkazy dla wojsk, żeby ruszyły do przełęczy granicznych, zgodnie z wczorajszym postanowieniem rady wojennej.

–Dalej: pułk muszkietów ma rozkaz wyruszyć do Hakone jutro z samego rana. Dalej: dziś po południu przybędzie transport z bagażami z Edo. Dopilnuj, żeby wszystko było gotowe.

–Oczywiście. Kiedy staniemy do walki?

–Wkrótce. Wczoraj dostałem wiadomość, że Ishido i następca wyjechali z Osaki na

przeгляд wojsk. Nie ma odwrotu.

–Żałuję, że nie mogę polecieć do Osaki jak Tetsu-ko, zabić Ishido, Kiyamę i Onoshiego, a tobie oszczędzić trudu.

–Dziękuję, synu. – Toranaga nie podjął się wytłumaczenia, jak ogromne przeszkody trzeba najpierw usunąć, by dostać się tamtym do skóry. Rozejrzył się. Sokolnicy i strażnicy czekali w pogotowiu. Przywołał łowczego. – Najpierw pojedę do obozu, potem pojedziemy nad brzegiem cztery ri na północ.

**–Ale naganiacze są już na wzgórzach... – Łowczy ugryzł się w język i szybko dodał:
– Wybacz, panie. Zdaje się, że zjadłem jakieś świństwo.**

–Na to wygląda. Może powinieneś przekazać swoje obowiązki komuś innemu. Może krwawnicę zamąciły ci w głowie, współczuję – odparł Toranaga. Gdyby nie to, że polowanie miało zmylić wroga, zmieniłby łowczego. – Hę?

–Tak, daruj, panie – rzekł stary samuraj. – Pozwolisz, że spytam, czy życzysz sobie polować tam, gdzie zdecydowałeś wczoraj, czy nad brzegiem morza?

–Nad brzegiem morza.

–Tak jest, panie. Przepraszam, muszę wydać nowe polecenia.

Pora zwolnić go ze służby, pomyślał Toranaga bez złości, patrząc na biegnącego samuraja. Do końskiej zagrody wszedł Orni i kulejący młody samuraj ze świeżą szramą na twarzy, pamiątką z Osaki. Toranaga od razu ich zauważył.

–Omi-san! To ten wojownik?

–Tak, panie.

Toranaga sprawnie i szybko przepytął samuraja na osobności. Zrobił to przez grzeczność dla Omiego, gdyż rozmawiał już z tym żołnierzem pierwszego wieczoru i wyciągnął wnioski. Również przez grzeczność pytał Anjin-sana o treść listu Mariko, choć wiedział, co napisała.

–Wyraź to, proszę, swoimi słowami, Mariko-san – rzekł przed jej wyjazdem z Edo do Osaki.

–Mam wydać jego statek w ręce wrogów, panie? – spytała ze łzami w oczach.

–Nie, pani. Nie. To, co wyjawiałaś mnie, masz szepnąć Tsukku-sanowi tu, w Edo, a potem w Osace powtórzyć naczelnemu kapłanowi i Kiyamie. Powiesz im, że bez statku Anjin-san nie stanowi dla nich zagrożenia. A teraz napiszesz list do Anjin-

sana.

–Oni zniszczą mu statek.

–Będą próbowali to zrobić. Sami wpadliby na to rozwiązanie, więc właściwie niczego nie zdradzasz, ne?

–Czy możesz ochronić jego statek, panie?

–Będą go strzegły cztery tysiące samurajów.

–Ale jeżeli im się uda... Anjin-san nic nie znaczy bez statku. Błagam o zachowanie go przy życiu.

–Niepotrzebnie, Mariko-san. Jest dla mnie cenny nawet bez statku, zapewniam cię. A w liście poproś go, żeby zbudował nowy statek, jeżeli straci ten.

–Co?

–Mówiłaś, że potrafi, ne? Jeżeli dostarczę mu cieśli i wszystkich rzemieślników?

–O, tak. Jesteś taki mądry, panie! Nieraz mówił, że uczył się budowy statków...

–Jesteś tego całkiem pewna, Mariko-san?

–Tak, panie.

–Dobrze.

–Sądysz, panie, że nawet cztery tysiące samurajów nie będzie przeszkodą dla księży chrześcijan?

–Tak. Niestety, chrześcijanie nie spoczną, dopóki nie zniszczą statku. Anjin-sanowi też nie przepuszczą, póki statek pływa po morzu. To dla nich zbyt wielkie zagrożenie. Ten statek musi przepaść, więc równie dobrze można go im wydać. Ale tylko ty i ja będziemy wiedzieli, że jedyną nadzieją Anjin-sana jest zbudowanie nowego. Ja jeden mogę mu w tym pomóc. Rozwiąż dla mnie problem Osaki, a ja dopilnuję, żeby zbudował statek.

Powiedziałem jej prawdę, pomyślał Toranaga, wdychając końskie zapachy i nie słuchając rannego samuraja ani Omiego. Wspomnienie Mariko przepełniło go żalem. Życie jest takie smutne, westchnął w duchu, zniechęcony do ludzi, Osaki i rozgrywek – cóż z tego, że o wielką Stawkę, skoro przynosiły tyle cierpień żyjącym.

–Dziękuję, Kosami – powiedział, kiedy samuraj umilkł. – Świetnie się spisałeś. Jedźcie ze mną, proszę.

Toranaga podszedł do klaczy i jeszcze raz trącił ją kolaniem. Zarżała, ale popręgu nie dało się docisnąć.

–Konie są o wiele bardziej zdradliwe od ludzi – powiedział sam do siebie. Dosiadł klaczy i pogalopował, a za nim straż przyboczna, Orni i Kosami.

W obozie na polanie zatrzymał się. Czekali tam Buntaro, Yabu, Hiro-matsu i Sudara z sokołem w ręku. Pozdrowili go.

–Dzień dobry – powitał ich wesoło Toranaga, dając znak Omie-mu, żeby wziął udział w rozmowie, a innym, żeby się odsunęli. – Jesteś gotów, synu?

–Tak, ojciec – odparł Sudara. – Posłałem ludzi w góry, żeby sprawdzili gotowość naganiaczy.

–Dziękuję, ale postanowiłem polować nad morzem.

Sudara natychmiast przywołał strażnika, kazał mu jechać w góry i ściągnąć stamtąd ludzi nad morze.

–Wybacz, panie, powinienem był to przewidzieć. Hiro-matsu, jak zawsze trzymający miecz w pogotowiu, miał naburmuszoną minę.

–Nadal uważam, że to niehonorowe i niepotrzebne – rzekł. – Niedługo wszystko będziemy mieli za sobą. Bez zdradliwych podstępów dopadniemy Ishido i naszczamy na niego.

–Daruj, Hiro-matsu-san – rzekł Yabu. – Bez tej strategii i muszkietów przegramy. To nowoczesna wojna, tylko w ten sposób możemy wygrać. – Obejrzał się na Toranagę, który nie zsiadał z konia. – Dowiedziałem się wieczorem, że Jikkyu zmarł.

–To pewne? – Toranaga udał zaskoczenie. W dniu wyjazdu z Mishimy otrzymał o tym poufną wiadomość.

–Tak, panie. Podobno niedomagał od jakiegoś czasu. Mój szpieg donosi, że zmarł dwa dni temu.– Yabu nie krył zadowolenia. – Jego następcą jest syn, Hikoju.

–Ten szczeniak? – wtrącił z pogardą Buntaro.

–Tak, zgadzam się, że to pisklę. – Yabu rósł w oczach. – Panie, czy to nie otwiera nam południowego szlaku? Nie moglibyśmy od razu zaatakować na gościńcu Tokaidō? Izu jest bezpieczne po śmierci tego starego lisa, a Suruga i Totomi są bezradni jak tuńczyki na piasku. Ne? Zamyślony Toranaga zsiadł z konia.

–Co ty na to? – zwrócił się do Hiro-matsu.

–Gdyby udało się opanować szlak aż do przełęczy Utsunoya – odparł generał – zachowując łączność zdobyć wszystkie mosty i szybko przejść Tenriu, wbilibyśmy nóż w brzuch Ishido. Moglibyśmy odciąć Zatakiego w górach, wzmocnić atak Tokaidō i popędzić na Osakę. Bylibyśmy niezwyciężeni.

–Dopóki następca stoi, na czele wojsk Ishido, możemy zostać zwyciężeni – powiedział Sudara.

–Jestem innego zdania – rzekł Hiro-matsu.

–Przykro mi, ja również – powiedział Yabu.

–Ale ja też tak uważam – powiedział Toranaga równie surowo i poważnie jak Sudara. Nie wspomniał im jeszcze o ewentualnym przejściu Zatakiego na ich stronę, kiedy przyjdzie na to czas. Po co mam im o tym mówić, pomyślał. To jeszcze nie przesądzone.

Ciekawe, jak mam pogodzić dwie sprzeczności? – zastanawiał się. Zgodnie z obietnicą ożenić przyrodniego brata z Ochibą, a jednocześnie samemu ożenić się z nią, bo taką wystawiła cenę? Mało prawdopodobne, żeby Ochiba zdradziła Ishido. Gdyby tak się stało i obstawała przy swojej cenie, wyjście jest proste: brat będzie musiał ugiąć się przed nieuniknionym.

Spostrzegł skierowane na siebie spojrzenia.

–Co? – spytał.

Po chwili milczenia odezwał się Buntaro.

–Co będzie, panie, kiedy staniemy przed chorągwią następcy?

Pytanie to nigdy dotąd nie zostało zadane wprost.

–Jeżeli do tego dojdzie, przegram – odparł Toranaga. – Popelnię seppuku, a ci, którzy szanują testament taikō i niewątpliwe prawo następcy do dziedziczenia, poddadzą się, prosząc o łaskę. Jeżeli tego nie zrobią, stracą honor. Ne?

Wszyscy pokiwali głowami. Toranaga wrócił do przerwane go wątku i rzekł wesoło do Yabu:

–Ale do tamtego pola bitwy jeszcze daleko, więc nie zmieniamy planów. Rzeczywiście, Yabu-san, otworzył się przed nami południowy szlak. Na co zmarł Jikkyu?

–Zachorował, panie.

–Czy to była choroba za pięćset koku?

Yabu roześmiał się, choć ogarnęła go wściekłość, że Toranaga dotarł do pilnie strzeżonej tajemnicy.

–Tak przypuszczam, panie. Mój brat ci powiedział?

Toranaga kiwnął głową i poprosił, żeby wyjaśnił pozostałym. Zadowolony z chytrego fortelu, Yabu opowiedział, jak Mizuno, jego brat, przekazał pieniądze zdobyte od Anjin-sana pomocnikowi kucharza, podstawionemu do kuchni Jikkyu.

–Tanio, ne? – cieszył się Yabu. – Pięćset koku za południowy szlak?

–Daruj, panie, to obrzydliwa historia – rzekł Urażony Hiro-matsu do Toranagi.

Toranaga uśmiechnął się.

–Podstęp i zdrada to oręż wojenny, ne?

–Tak, ale nie dla samuraja.

–Przepraszam, panie Hiro-matsu, nie chciałeś mnie chyba obrazić – rzekł z rozdrażnieniem Yabu.

–Nie chciał obrazić. Prawda, Hiro-matsu-san? – spytał Toranaga.

–Nie, panie. Wybacz, proszę.

–Podstęp, zdrada, trucizna, skrytobójstwo zawsze były bronią w czasie wojny, przyjacielu – rzekł Toranaga. – Jikkyu był wrogiem i głupcem. Pięćset koku za południowy szlak to tyle co nic! Yabu-sama dobrze mi się przysłużył. Tutaj i w Osace. Ne, Yabu-san?

–Staram się zawsze wiernie ci służyć, panie.

–Wytłumacz więc, proszę, dlaczego zabiłeś kapitana Sumiyoriego przed atakiem ninja.

Twarz Yabu nie zdradzała niczego. Dłoń spoczywała spokojnie na rękojeści miecza Yoshitomo.

–Kto tak twierdzi? Kto mnie oskarża, panie?

Toranaga wskazał czekających nie opodal Brązowych... – Tamten wojownik! Podejdź, proszę, Kosami-san.

Samuraj zsiadł z konia, przykuśtykał i uklonił się.

–Ktoś ty? – spytał groźnie Yabu.

–Sokura Kosami z dziesiątego legionu, panie, przydzielony do straży przybocznej pani Kiritsubo w Osace – odparł młodzieniec. – Postawiłeś mnie na straży przed swoją kwaterą, którą zajmował też Sumiyori-san, tej nocy, kiedy napadli ninja.

–Nie pamiętam ciebie. Śmiesz twierdzić, że zabiłem Sumiyoriego?

Kosami zawahał się.

–Mów! – rozkazał Toranaga.

–Zanim dopadli nas ninja, panie.– zaczął szybko opowiadać Kosami – zdążyłem otworzyć drzwi i krzyknąć do Sumiyori-sana, ale on nie poruszył się, panie. – Zwrócił się do Toranagi drżąc pod wlepionymi w siebie spojrzeniami. – Zawsze miał lekki sen, a to było zaledwie chwilę po tym... to wszystko, panie... –

–Wszedłeś do izby? Potrząsnąłeś nim? – dopytywał się Yabu.

–Nie, panie, skądże. Ninja przybiegli tak szybko, że zaraz się wycofaliśmy, a dopiero potem przeszliśmy do ataku, tak jak mówiłem...

Yabu spojrział na Toranagę.

–Sumiyori-san pełnił służbę od dwóch dni. Był wyczerpany, tak jak wszyscy. Czy to, co mówi strażnik, czegoś dowodzi?

–Niczego – przyznał spokojnie Toranaga. – Ale później, Kosami-san, wróciłeś do izby. Ne?

–Tak, panie, Sumiyori-san leżał na futonach tak, jak go widziałem poprzednio... nie było żadnych śladów zamieszania, a Sumiyori-san leżał martwy, ktoś dźgnął go nożem w plecy. Pomyślałem, że to ninja i nie zastanawiałem się, dopóki Omi-san nie zaczął mnie wypytywać.

–Ach! – Yabu popatrzył na bratanka, mierząc dzielącą ich odległość. – A więc wypytywałeś go?

–Tak, panie – odparł Orni. – Pan Toranaga prosił, żebym jeszcze raz wszystkich przesłuchał. To był pierwszy dziwny szczegół zasługujący moim zdaniem na uwagę naszego pana.

–Pierwszy dziwny szczegół? Więc jest drugi?

–Na rozkaz pana Toranagi wypytałem służących, którzy przeżyli atak. Było ich dwóch, panie. Przykro mi, ale obaj mówili, że widzieli cię idącego w jedną stronę z samurajem, a w chwilę potem zawróciłeś, już bez niego, krzyząc „Ninja!”

–Przeszyli biedaka włócznią i mieczem, a mnie omal nie stratowali. Musiałem się wycofać, żeby ogłosić alarm. – Yabu zwrócił się do Toranagi, ustawiając się w lepszej pozycji do ataku. – Składałem o tym raport tobie, panie, ustnie i pisemnie. Jaką wagę mają słowa służących?

–Omi-san? spytał Toranaga.

–Przepraszam, Yabu-sama:- rzekł Orni. – Obaj widzieli, jak otwierasz zaryglowane drzwi w lochach i słyszeli, jak mówisz: „Jestem Kasigi Yabu”. Dzięki temu zdążyli się ukryć i ocaleli.

Ręka Yabu drgnęła. Sudara jednym skokiem osłonił Toranagę, a równocześnie Hiro-matsu zamachnął się mieczem na kark Yabu.

–Stać! – rozkazał Toranaga.

Miecz zawisł w powietrzu, zatrzymany mistrzowską ręką Hiro-matsu. Yabu stał nieruchomo. Popatrzył na nich i gromko się roześmiał.

–Czy jestem roninem bez honoru, który zaatakowałby własnego pana lennego? Jestem Kasigi Yabu, pan Izu, Surugi i Totomi. Ne? – Spojrzał na Toranagę. – O co jestem oskarżony, panie? Że pomogłem ninja? To niedorzeczne! Służący kłamią! Wymyślają niestworzone historie nie mające nic wspólnego ze mną. Albo ten tutaj. Rzuca oskarżenie, którego nie można udowodnić, a ja nie mogę odeprzeć.

–Dowodów nie ma, Yabu-sama, przyznaję – rzekł Toranaga. – Yabu-sama, czy jesteś winien tych czynów? – spytał Hiro-matsu.

–Oczywiście, że nie!

–Ja jednak myślę, że dopuściłeś się zdrady – rzekł Toranaga. – Dlatego odbieram ci wszystkie twoje ziemie. Dziś przed południem rozprujesz sobie brzuch.

Wyrok był nieodwołalny. Na tę chwilę Yabu przygotowywał się przez całe życie.

Myślał gorączkowo. Karma. Nic nie mogę zrobić, rozkaz jest niepodważalny, Toranaga to mój pan lenny, albo zetną mi głowę, albo umrę z godnością. Tak czy owak zginę. Omi mnie wydał, to moja karma. Wszyscy służący mieli zginąć, taki był plan, ale dwóch ocalało i to moja karma. Zachowuj się godnie, nakazał sobie w duchu, zbierając całą odwagę. Panuj nad myślami i czynami.

–Panie – rzekł śmiało – po pierwsze, jestem niewinny, Kosami jest w błędzie, a służący kłamią. Po drugie, jestem twoim najlepszym dowódcą. Proszę uniżenie o zaszczyt poprowadzenia szarży gościńcem Tokaidō albo w czasie pierwszej bitwy, żebym zginął z pożytkiem.

–Dobra myśl, Yabu-san – rzekł uprzejmie Toranaga. – Z ręką na sercu przyznam, że jesteś najlepszym dowódcą dla pułku muszkietów, ale, niestety, nie ufam ci: Dziś przed południem masz rozpruć sobie brzuch.

Yabu opanował wściekły gniew i spełnił powinność samuraja i głowy rodu, dokonując aktu całkowitego poświęcenia. – Uroczyście zwalnięm mojego bratanka Kasigi Omi-sana z wszelkiej odpowiedzialności za wystąpienie przeciwko mnie i ustanawiam go moim następcą.

–Dobrze – rzekł Toranaga, zdziwiony nie mniej od pozostałych. – To mądra decyzja. Wyrażam zgodę.

–Przekazuję mu we władanie Izu, dziedziczne lenno rodu Kasigi.

–Nie możesz oddać Izu, bo już do ciebie nie należy. Jesteś moim wasalem, ne? Izu to moja prowincja i ja mogę ją oddać, komu zechcę. Ne?

Yabu wzruszył ramionami.

–Przekazuję mu Izu, tak czy owak... – Roześmiał się. – To prośba życia. Ne?

–Prosić zawsze można. Odrzucam prośbę. Od tej chwili wszystkie twoje rozkazy będą zatwierdzane przeze mnie. Buntaro-san, będziesz oficjalnym świadkiem. Yabu-san, kogo wybierasz na sekundanta?

–Kasigi Omi-sana.

Toranaga spojrział na Omiego. Poblady Omi uklonił się.

–To dla mnie zaszczyt – rzekł.

–Dobrze. Zatem wszystko ustalone.

–A co z atakiem gościńcem Tokaidō? – spytał Hiro-matsu.

–Jesteśmy bardziej bezpieczni pod osłoną gór.

Toranaga pożegnał się krótko, dosiadł konia i odjechał. Sudara uprzejmie skinął głową i ruszył za nim. Kiedy tamci dwaj oddalili się, Buntaro i Hiro-matsu stanęli swobodniej, ale żaden, Omi także, nie odrywał wzroku od bliskiej miecza ręki Yabu.

–Gdzie chcesz to zrobić, Yabu-sama? – spytał Buntaro.

–Tu czy tam, nad brzegiem morza czy na kupie gnoju, Wszystko mi jedno. Nie potrzebuję ceremonialnych szat. Omi-san, zaczekasz, aż zrobię dwa cięcia.

–Tak, panie.

–Pozwolisz, Yabu-san, że ja też będę świadkiem – rzekł Hiro-matsu.

–Nie popękają ci wrzody na tyłku? Generał zjeżył się i powiedział do Buntaro:

–Poślij po mnie, proszę, kiedy będzie gotowy. Yabu splunął.

–Jestem gotowy. A ty? Hiro-matsu obrócił się na pięcie.

Po chwili namysłu Yabu wyciągnął zza pasa miecz Yoshitomo.

–Zechciej spełnić moją prośbę, Buntaro-san. Oddaj ten miecz Anjin-sanowi. – Zmarszczył brwi. – A właściwie, jeżeli to nie kłopot, czy byłbyś łaskaw posłać po niego, żebym wręczył mu ten miecz osobiście?

–Zaraz to zrobię.

–Sprowadź też, proszę, tego śmierdzącego księdza, żebym mógł bez przeszkód porozmawiać z Anjin-sanem.

–Dobrze. Czego jeszcze sobie życzysz?

–Potrzebny mi papier, tusz i pędzelek, którym napiszę testament i przedśmiertny wiersz, a prócz tego dwie tatami. Dlaczego miałbym kaleczyć kolana albo klęczeć w błocie jak śmierdzący chłop. Ne? – dodał zawadiacko Yabu.

Buntaro podszedł do czekających z boku samurajów, którzy z podniecenia przestępowali z nogi na nogę. Yabu usiadł niedbale na ziemi i zaczął dłużyć w zębach łądzką trawę. Orni przyklęknął obok, ale na wszelki wypadek poza zasięgiem miecza.

–liiiii! Tak mało brakowało! – rzekł Yabu. W porywie wściekłości załomotał wyciągniętymi nogami. – liiiii, tak mało! Ech, karma, ne? Karma! – Ryknął śmiechem i splunął, dumny, że ma jeszcze w ustach ślinę. – Plwam na wszystkich bogów, którzy byli, są i będą! Wiedz, Omi-san, umieram szczęśliwy. Jikkyu nie żyje i czeka na mnie, zgrzytając zębami, po drugiej stronie Ostatniej Rzeki, a ja, kiedy tam dotrę, będę mu pluł w twarz przez całą wieczność.

Orni, nie spuszczać z niego czujnego spojrzenia, rzekł z przekonaniem:

–Oddałeś panu Toranadze wielką przysługę, panie. Nadmorski szlak stoi otworem. Masz słuszość, panie, a Żelazna Pięść i Sudara są w błędzie. Trzeba od razu atakować, z muszkietami damy radę.

–Ta kupa gnoju! Stary głupiec! – Yabu roześmiał się. – Zsiniął, kiedy przypomniałem mu o jego krwawnicach, widziałeś? Ha! Już wtedy o mało mu nie popękały. Samuraj? Jestem lepszym samurajem od niego! Ja mu pokażę! Nie uderzysz, dopóki nie dam rozkazu.

–Pokornie dziękuję za ten zaszczyt i za to, że uczyniłeś mnie swoim następcą. Przysięgam, że honor rodu Kasigi jest bezpieczny w moich rękach.

–Gdybym tak nie uważał, nie powierzyłbym go tobie. – Yabu ściszył głos. – Słusznie wydałeś mnie Toranadze. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo, choć to wszystko kłamstwa. Toranaga ma powód, żeby się mnie pozbyć. Zawsze mi zazdrościł, że jestem nieustraszony w boju, rozumiem się na broni palnej i znam wartość statku. Ja to wszystko wymyśliłem.

–Tak, panie, pamiętam.

–Uratujesz nasz ród. Jesteś przebiegły jak stary szczur. Odzyskasz Izu i inne ziemie, to jest teraz najważniejsze, i przekażesz je swoim synom. Wiesz dużo o muszkietach. I o Toranadze. Ne?

–Przysięgam, że zrobię, co w mojej mocy, panie.

Obronna postawa i czujność Omiego nie uszły uwagi Yabu. Spojrzał na rękę gotową schwycić miecz.

–Myślisz, że ciebie zaatakuję?

–Ależ nie, panie, przepraszam.

–Cieszę się, żeś taki ostrożny. Jesteś podobny do mojego ojca. Tak, bardzo go przypominasz. – Wystrzegając się gwałtownych ruchów odłożył oba miecze na ziemię, jak najdalej od siebie. – Proszę! Jestem bezbronny. Jeszcze przed chwilą chciałem ściąć ci głowę, ale teraz już nie. Nie masz powodu się mnie bać.

–Zawsze trzeba się ciebie bać, panie.

Yabu parsknął śmiechem i zaczął ssać świeże źdźbło. Po chwili odrzucił je.

–Wysłuchaj moich ostatnich rozkazów, które wydaję jako głowa rodu Kasigi. Przyjmiesz pod swój dach mojego syna i wykorzystasz go, jeżeli będzie tego wart. Mojej żonie i konkubinie gorąco podziękujesz za to, że były mi tak oddane, i

znajdziesz dla nich dobrych mężów. Twojemu ojcu, Mizuno, rozkazuję popęlić seppuku.

–Proszę uniżenie, by mógł zgolić głowę i zostać kapłanem.

:- Nie. Jest zbyt głupi, nie mógłbyś mu nigdy zaufać... Jak śmiał przekazywać Toranadze moje poufne wiadomości!... Byłby ci zawsze zawadą. A twojej matce... – wyszczerzył zęby – rozkazuję zgolić głowę i wstąpić do klasztoru poza Izu, gdzie do końca życia będzie się modlić za pomyślność rodu Kasigi. Do klasztoru buddyjskiego albo shintō, wolę shintō. Zgadzasz się na shintō?

–Tak, panie.

–Dobrze. Wreszcie przestanie jęczeć ci nad uchem i odrywać od spraw rodu – rzekł Yabu ze złośliwym zadowoleniem.

–Stanie się, jak każesz.

–Dobrze. Rozkazuję ci pomścić kłamstwa, jakich dopuścił się przeciw mnie Kosami i zdrajcy służący. Nieważne, kiedy to zrobisz, bylebyś zdążył przed śmiercią.

–Będę ci posłuszny.

–Czy o czymś zapomniałem?

Orni upewnił się, czy nikt ich nie podsłuchuje.

–A następca? – spytał ostrożnie. – Jeżeli stanie przeciw nam na polu bitwy, przegramy, ne?

–Poprowadzisz na niego pułk muszkietów i zabijesz, niezależnie od tego, co powie Toranaga. Yaemon to twój główny cel.

–Tak właśnie wywnioskowałem. Dziękuję.

–Dobrze. Ale zamiast tak długo czekać, lepiej potajemnie uzgodnić cenę za jego głowę, zwrócić się do ninja... do sekty Amidy.

–Jak do nich dotrę? – spytał Omi drżącym głosem.

–Ta wiedźma Gyoko, Mama-san, będzie wiedziała jak.

–Ona?

–Tak. Ale uważaj na nią i na Amidów. Nie zwracaj się do nich pochopnie, Omi-san. Niczym jej nie uraż, otaczaj ciągłą opieką. Ona zna zbyt wiele tajemnic, a papier i tusz

dosięgają nawet przez rzekę śmierci. Była przez rok nieoficjalną konkubina mojego ojca... być może jej syn jest moim przyrodnim bratem. Strzeż się jej, zbyt wiele zna tajemnic.

–Skąd wezmę pieniądze?

–To twoje zmartwienie. Zdobądź je, jak chcesz, skądkolwiek.

–Tak. Dziękuję. Będę-ci posłuszny.

Yabu nachylił się. Omi błyskawicznie sięgnął po miecz, gotów go obnażyć w mgnieniu oka. Yabu poczuł się mile polechtany, że nawet bez broni budzi respekt.

–Zachowaj to w głębokiej tajemnicy. I pamiętaj, bratanku, podtrzymuj przyjaźń z Anjin-sanem. Postaraj się podporządkować sobie flotę, którą kiedyś sprowadzi. Toranaga nie rozumie, ile naprawdę jest wart Anjin-san, ale słusznie zostaje za górami. Zyskuje czas. I ty zyskujesz czas. Musimy wypłynąć w morze, nasze załogi na ich statkach, pod naczelnym dowództwem Kasigich. Kasigowie muszą żeglować, zawładnąć morzem. Wydaję taki rozkaz.

–Zaufaj mi. Tak się stanie.

–Dobrze. I ostatnia rzecz, nigdy nie ufaj Toranadze.

–Nie ufam, panie – odparł Omi żarliwie. – Nigdy nie ufałem i nie będę ufał.

–Dobrze. Nie zapomnij rozprawić się z tamtymi parszywymi kłamcami. I Kosamim. – Yabu westchnął głęboko, uspokojony. – Wybacz, muszę ułożyć przedśmiertny wiersz.

Orni wstał, zrobił kilka kroków tyłem, uklonił się i odszedł jeszcze dalej. Dopiero pod obstawą własnych strażników poczuł się bezpiecznie, usiadł i zaczął czekać.

Toranaga i towarzyszący mu jeźdźcy kłusowali drogą podmywaną przez wody wielkiej zatoki, którą mieli po prawej ręce. Okolica była nizinna, bagnista, usiana poletkami błota. Kilka ri na północ droga łączyła się z głównym traktem Tokaidō. Dwadzieścia ri dalej w tym samym kierunku leżało Edo.

Toranaga miał ze sobą stu samurajów i dziesięciu sokolników z ptakami. Sudara, z dwudziestoma strażnikami i trzema sokolnikami, jechał w przedniej straży.

–Sudara! – zawołał Toranaga, jakby raptem o czymś pomyślał. – Zatrzymaj się w najbliższej gospodzie. Chcę zjeść śniadanie!

Sudara pomachał ręką na znak, że usłyszał, i pogalopował naprzód.

Nadjeżdżającego Toranagę powitał bijący pokłony gospodarz i uśmiechnięte służące. Zatknięto proporce Toranagi, od północy i od południa stanęły straże.

–Witaj, panie, twoje przybycie to wielki zaszczyt – rzekł gospodarz. – Czym raczysz się posilić w moim skromnym zajeździe?

–Poproszę cha i trochę klusek z soją.

–Tak, panie.

Niemal natychmiast pojawiła się przed nim piękna miseczka z jedzeniem przygotowanym tak, jak lubił, dzięki pośpiechowi Sudary. Toranaga przysiadł na werandzie i spoglądając na drogę zjadł z apetytem prosty chłopski posiłek. Zebrani goście ukłonili się i rozeszli, dumni, że zatrzymali się w tej samej gospodzie, co wielki daimyō. Sudara objechał posterunki straży.

–Gdzie naganiacze? – spytał łowczego.

–Część na północy, część na południu, a dodatkową grupę wysłałem na wzgórza. – Stary samuraj z żalną miną wskazał kierunek na Jokohamę, w głąb lądu. – Przepraszam, czy wiadomo, gdzie nasz pan życzy sobie jechać?

–Nic nie wiem. Ale nie popełnij dziś więcej błędów.

–Tak, panie.

Po skończonym objeździe Sudara zameldował się u Toranagi.

–Czy wszystko jest po twojej myśli, panie? Co jeszcze mógłbym dla ciebie zrobić?

–Nic, dziękuję, – Toranaga skończył jeść, popił zupą. Potem beznamiętnie stwierdził: – Trafiłeś w sedno, mówiąc o następcy.

–Wybacz, panie. Jeżeli cię obraziłem, to nieumyślnie...

–Miałeś rację, więc o co miałbym się obrażać? Co zrobisz, jeżeli następca wystąpi przeciwko mnie?

–Będę wypełniał twoje rozkazy.

–Idź i przyprowadź sekretarza.

Po chwili zjawił się Kawanabi, sekretarz podróżujący wszędzie, z Toranaga, były samuraj i kapłan. Szkatułka, którą Woział w koszu przy siodle, zawierała przybory do pisania i pieczęcie.

–Panie?

–Napisz tak: „Ja, Yoshi Toranaga-no-Minowara, na powrót mianuję syna Yoshi Sudarę-no-Minowarę moim następcą, przywracając mu należne dochody i tytuły”.

Sudara uklonił się.

–Dziękuję ci, ojczy – powiedział pewnym siebie głosem, ale w duchu zadał sobie pytanie: „Dlaczego?”

–Przysięgnij uroczyście, że będziesz postępował zgodnie z moimi nakazami, testamentami i zapisami.

Sudara złożył przysięgę. Toranaga zaczekał, aż Kawanabi wypisze rozkaz, podpisał się i przyłożył pieczęć, która nadawała dokumentowi moc prawną. Na kwadratowej podstawie pieczęci z kości słoniowej wyrzeźbione było imię Toranagi. Toranaga przycisnął pieczęć do twardego czerwonego tuszu, a potem u dołu stronicy ryżowego papieru. Odbitka wyszła doskonale, – Dziękuję, Kawanabi-san, postaw wczorajszą datę. Na razie to wszystko.

–Pozwolę sobie zauważyć, że będziesz potrzebował jeszcze pięciu kopii, panie, dla zapewnienia trwałości sukcesji. Dla pana Sudary, dla Rady Regentów, dla notariusza, do akt osobistych i do archiwum.

–Sporządź je bezzwłocznie. I daj mi dodatkową kopię.

–Tak, panie. – Sekretarz oddalił się.

Toranaga zaczął przyglądać się smagłej, beznamiętnej twarzy Sudary. Ani ta twarz, ani ręce niczego nie zdradziły, kiedy umyślnie zaskoczył Sudarę nagłym oświadczeniem. Ten brak zadowolenia, wdzięczności, dumy, czy choćby zdziwienia, zasmucił go. Ale właściwie po co się smucić, myślał Toranaga. Mam innych synów, którzy śmieją się, popełniają błędy, krzyczą, złoścą się i mają wiele kobiet. To normalni synowie. A ten ma iść w moje ślady, przewodzić po mojej śmierci, trzymać w garści ród Minowara, przekazać Kantō i władzę kolejnym potomkom. Ma rozważać wszystko na zimno, jak ja. Nie, nie jak ja. Mnie zdarza się pośmiać, zdarza się nad kimś ulitować, lubię sobie pierdnąć, poduszkować, ciskać gromy, tańczyć, grać w szachy i w sztukach nō. Niektórzy ludzie, tacy jak Naga, Kiri, Chano i Anjin-san, radują moje serce. Z przyjemnością poluję, a nade wszystko lubię zwyciężać. A ciebie nic nie cieszy, Sudara, niestety. Nic prócz twojej żony, pani Genjiko. Pani Genjiko to twoja słabość.

–Panie? – odezwał się Sudara.

–Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się śmiałeś.

–Życzysz sobie, żebym się śmiał, ojczy?

Toranaga potrząsnął głową. Wiedział, że przygotował syna, by jak najlepiej wykonał czekające go zadania.

–Ile potrzebujesz czasu, żeby potwierdzić wiadomość o śmierci Jikkyu?

–Przed wyjazdem z obozu wysłałem pilny szyfr do Mishimy na wypadek, gdybyś nie był pewien, czy to prawda, ojczy. Odpowiedź dostanę w ciągu trzech dni...

Toranaga podziękował bogom, że został uprzedzony o zamachu na Jikkyu przez Kasigi Mizuno, a przed paroma dniami dowiedział się o śmierci wroga. Rozważył od nowa swój plan, ale nie dopatrył się żadnych niedociągnięć. Ze zdławionym gardłem podjął decyzję.

–Postaw w pogotowiu pułk jedenasty, szesnasty, dziewięćdziesiąty czwarty i dziewięćdziesiąty piąty w Mishimie. Za cztery dni rzuć je na Tokaidō.

–Szkarałatne Niebo? – spytał zbity z tropu Sudara. – Atakujesz?

–Tak. Nie będę czekał, aż wyruszą przeciwko mnie.

–Więc Jikkyu nie żyje?

–Tak.

–Dobrze rzekł Sudara. – Radziłbym, jeśli pozwolisz, dodać dwudziesty i dwudziesty trzeci.

–Nie. Dziesięć tysięcy żołnierzy działających z zaskoczenia powinno wystarczyć. Muszę jeszcze utrzymać granice na wypadek niepowodzenia lub pułapki. Trzeba też związać wojska Zatakiego.

–Tak.

–Kto powinien poprowadzić wojska do ataku?

–Pan Hiro-matsu. To dla niego wymarzona kampania.

–Dlaczego?

–Bo wiedzie utartym szlakiem, jest prosta i niewymyślna, ojczy. Pan Hiro-matsu będzie wymarzoną dowódcą tej kampanii.

–Ale nie nadaje się już na naczelnego dowódcę?

–Niestety, Yabu-san słusznie powiedział, że broń palna zmieniła oblicze świata. Żelazna Pięść nie nadążyła za duchem czasu.

–Jeśli nie on, to kto?

–Tylko ty, panie. Aż do zakończenia wielkiej bitwy nie powinieneś nikomu powierzać dowództwa, taka jest moja rada.

–Rozważę ją – odparł Toranaga. – Jedź do Mishimy. Wszystko przygotuj. Oddziały Hiro-matsu będą miały dwadzieścia dni na przebycie rzeki Tenriu i opanowanie gościńca Tokaidō.

–Z całym szacunkiem chciałbym zauważyć, że cel ostateczny powinien znajdować się nieco dalej na szczycie wzniesienia Shiomi. Daj im trzydzieści dni.

–Nie. Jeżeli wydam taki rozkaz, większość zginie, zanim tam dotrze, i nie będzie komu odeprzeć przeciwnika ani robić na niego wypadów w czasie odwrotu.

–Nie wyślesz za nimi posiłków?

–To atak pozorowany. Główne uderzenie pójdzie przez góry Zatakiego.

Toranaga uważnie przyglądał się synowi. Sudara nie okazał po sobie zdziwienia ani aprobaty, ani dezaprobaty.

–Ach. Przepraszam, panie.

–Kto w miejsce Yabu ma dowodzić muszkietami?

–Kasigi Omi.

–Dlaczego?

–Zna się na nich. Myśli po nowemu, jest odważny, inteligentny, cierpliwy, ale też niebezpieczny, i to bardziej niż wuj. Jeżeli zwyciężysz, a oh przeżyje, radzę ci pod byle pozorem zaprosić go do Wielkiej Pustki.

–Jeżeli zwyciężę?

–Szkarałatne Niebo zawsze było planem ostatecznym. Sam tak mówiłeś wiele razy. Jeżeli zostaniemy rozbici na Tokaidō, Zataki spadnie na równiny. Muszkiety nie zdadzą się wtedy na nic. To plan ostateczny. Nigdy takich nie lubiłeś.

–Co radzisz zrobić z Anjin-sanem?

–Tak jak Omi-san i Naga-san uważam, że należy trzymać go w ryzach. Jego ludzie

nic nie znaczą, to ludzie eta, tylko patrzeć, jak sami się wyróżną. Wszystkich obcych należałoby trzymać pod ścisłą strażą albo w ogóle przegnać. Trzeba ich traktować jak zarazę.

–Ustanie handel jedwabiem. Ne?

–Zapłaciłbym taką cenę, żeby pozbyć się tej zarazy.

–Jedwab jest nam koniecznie potrzebny, a dla własnej obrony musimy jak najlepiej poznać obcych, zdobyć ich wiedzę, ne?

–Powinno się ograniczyć liczbę obcych i trzymać ich pod ścisłym nadzorem w Nagasaki. Mogliby raz na rok przeprowadzać wymianę handlową. Przecież chodzi im przede wszystkim o pieniądze. Tak przynajmniej twierdzi Anjin-san.

–A więc jednak jest użyteczny?

–I to bardzo. Przekonał nas o słuszności dekretów o wydaleniu. Anjin-san jest mądry i odważny. Ale jest tylko zabawką. Sprawia ci przyjemność, panie, tak jak Tetsu-ko.

–Dziękuję ci za uwagi. Kiedy ruszy atak, wrócisz do Edo i tam zaczekasz na dalsze rozkazy – rzekł stanowczo Toranaga.

–Tak, panie.

Zataki przetrzymywał panią Genjiko z synem i trzema córkami w swojej stolicy Takato. Na prośbę Toranagi Zataki wypuścił Sudarę, ale tylko na dziesięć dni, pod uroczystą przysięgą. Zataki słynął z bezwzględności i pojmowania honoru. Gdyby Sudara w porę nie wrócił, wybiłby do nogi zakładników, bo tak przewidywał kodeks honorowy. Toranaga i Sudara dobrze wiedzieli, że nie powstrzymałoby Zatakiego żadne jawne bądź tajne porozumienie.

–Wyruszysz do Mishimy bez chwili zwłoki.

–Najprędzej będzie tamtędy. – Sudara wskazał rozchodzące się przed nimi drogi.

–Tak. Jutro prześlę ci rozkazyienne.

Sudara uklonił się, podszedł do konia i odjechał wraz z dwudziestoma strażnikami.

Toranaga wziął miseczkę, w której ostygła resztkaklusek.

–Przepraszam” panie, życzyś sobie jeszcze? – zapytała podbiegając młoda służąca.

Była pucołowata i nieładna, ale spostrzegawcza i bystra, a takie właśnie Toranaga lubił mieć kobiety i służące.

–Nie, dziękuję. Jak ci na imię?

–Yuki, panie.

–Powiedz swojemu panu, Yuki, że robi dobre kluski.

–Tak, panie. Dziękujemy, że raczyłeś odwiedzić naszą gospodę. Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, wystarczy jedno skinienie.

Mrugnął do niej, a ona roześmiała się, zabrała tackę i szybciotko odeszła. Z lekkim zniecierpliwieniem popatrzył na drogę, a potem uważnie rozejrzał się wokół siebie. Gospoda była zadbana, koło studni czysto, wszędzie zamiecione. Na podwórku i dalej, jak okiem sięgnąć, czekali cierpliwie jego ludzie. Toranaga spostrzegł zdenerwowanie łowczego i postanowił, że ten dzień będzie ostatnim dniem służby starego samuraja. Gdyby Toranaga rzeczywiście był zainteresowany polowaniem, z miejsca wyznaczylby nowego łowczego, a tego odesłał do Edo, wyposażając hojnie na stare lata.

Tym się różnimy, pomyślał bez złośliwości, ja i ty,” Sudara. Ty bez wahania kazałbyś mu popełnić seppuku, żeby oszczędzić wydatku i późniejszych kłopotów, a także zwiększyć fachowość nowego łowczego. Tak, mój synu, znam cię bardzo dobrze. Jesteś dla mnie niezwykle ważny.

A co z panią Genjiko i dziećmi, zadał sobie nieuniknione pytanie. Gdyby pani Genjiko nie była siostrą Ochiby – najukochańszą siostrą – z żalem dopuściłbym do ich wygubienia przez Zatakiego, żeby uchronić Sudarę przed przyszłymi niebezpieczeństwami. Pani Genjiko i dzieci to jedyna słabość Sudary, a ja mogę niebawem zginąć. Na szczęście Genjiko jest siostrą Ochiby, a przez to ważnym elementem Wielkiej Gry, więc mogę ją oszczędzić. Nie powinienem, ale zrobię to. Muszę zaryzykować. Będę pamiętał, że Genjiko jest cenna z innych powodów – rodzi udane dzieci, ma przebiegłość rekina, gotowa jest bronić zajadle gniazda tak jak Ochiba, z tą jedną zasadniczą różnicą, że jest wierna i oddana mnie, a Ochiba następcy.

A więc postanowione. Przed upływem dziesiątego dnia Sudara musi oddać się w ręce Zatakiego. Prosić o przedłużenie? Nie, Zataki nabrałby podejrzeń, a na to nie mogę pozwolić. Po czyjej stronie stanie Zataki?

Mądrze zrobiłem, zabezpieczając Sudarę. Jeżeli jest dla nas przyszłość, to w rękach jego i Genjiko, pod warunkiem, że będą się trzymać testamentu taikō. Decyzja, żeby przywrócić Sudarę do łask, była słuszna i sprawi przyjemność Ochibie.

Napisał już list, który zamierzał wysłać do niej wieczorem wraz z kopią rozkazu. W ten sposób, myślał, wyciągnę jej z gardła ość, którą się dławi od dawna za moją przyczyną. Dobrze wiedzieć, że Genjiko to jedna ze słabości Ochiby, a może nawet jedyna. A jaką ma słabość Genjiko? Żadnej. Dotąd żadnej nie znalazłem. A jeżeli jakąś ma, to na pewno ją znajdę.

Przyglądał się sokołom. Poskrzekiwały, poprawiały pióra, były w świetnej formie. Samica Kogo, jedyny ptak bez kaptura, strzelała żółtymi ślepiami i rozglądała się dokoła z równym jak on zainteresowaniem.

Co byś powiedziała, moja piękna, zapytał w duchu, gdybym ci wyjawiał, że nie mogę być cierpliwy, muszę rzucić się do ataku, a główne uderzenie pójdzie gościńcem Tokaidō, nie przez góry Zatakiego, jak powiedziałem Sudarze? Spytałabyś pewnie dlaczego? Bo nie ufam Zatakiemu, tak jak ty nie ufasz nikomu, tylko swoim skrzydłom. A ja przecież nie mam nawet skrzydeł. Ne?

Kogo łysnęła oczami, oglądając się na drogę. Wytężył wzrok i uśmiechnął się widząc, że zza dalekiego zakrętu wylaniają się palankiny i juczne konie.

–Jak się masz, Fujiko-san?

–Bardzo dobrze, panie, dziękuję. – Ukłoniła się ponownie. Widać było, że nie odczuwa bolesności po poparzeniach. Odzyskała zręczność ruchów, miała zaróżowione policzki. – Pozwolisz, że spytam, jak się miewa Anjin-san? Podobno bardzo źle zniósł podróż z Osaki.

–Powrócił do zdrowia, ma się bardzo dobrze.

–Och, panie, nie mogłabym usłyszeć lepszej nowiny.

–Świetnie.

Podszedł do drugiego palankinu, żeby powitać Kiku, która uśmiechnęła się wesoło i pozdrowiła go tkliwie.

–Tak długo cię nie widziałam, panie.

–Wybacz, szczerze żałuję – odparł, mimo niepewności i zmartwień zniewolony jej radością i olśniewającą urodą. – Bardzo się cieszę, że cię widzę. – Spojrzał na ostatni palankin. – Ach, Gyoko-san, dawnośmy się nie widzieli rzekł cierpko.

–Tak, panie, dziękuję. Chociaż jestem stara, czuję się jak nowo narodzona, mając zaszczyt znów cię widzieć, panie. – Gyoko złożyła przepisowy ukłon, spod kimona z kosztownego jedwabiu wyrzwał szkarłatny rąbek. – Prawdziwy mocarz z ciebie, panie – przymilała się.

–Dziękuję. Ty też dobrze wyglądasz.

Kiku klasnęła w ręce i wszyscy roześmieli się.

–Poczyniłem przygotowania, żebyście się tu zatrzymały – rzekł Toranaga uszczęśliwiony obecnością Kiku. – Fujiko-san, chodź ze mną, proszę.

Zaprosił ją na poczęstunek, porozmawiał o tym i owym, wreszcie przeszedł do rzeczy.

–Uzgodniliśmy termin, pół roku. Daruj, muszę już dziś wiedzieć, czy zechcesz go zmienić.

Fujiko posmutniała, zbrzydła. Przytknęła koniuszek języka do spiczastych zębów.

–Jak mogłabym zmienić zawartą umowę, panie?

–Bardzo prosto. Zarządzam jej rozwiązanie.

–Wybacz, panie, nie o tym myślałam – rzekła Fujiko bez wzburzenia. – Z własnej woli zawarłam przed Buddą uroczystą umowę z duchem męża i syna. Nie mogę od niej odstąpić.

–Rozkazuję ci.

–Daruj, panie, bushido zwalnia mnie z obowiązku posłuszeństwa względem ciebie. Umowa z tobą była równie uroczysta i żeby ją zmienić konieczna jest dobrowolna zgoda obydwu stron.

–Czy jest ci dobrze z Anjin-sanem?

–Jestem jego konkubina. Staram się, żeby jemu było dobrze ze mną.

–Czy mogłabyś żyć z nim dalej, gdyby nie było tej drugiej umowy?

–Bardzo trudno jest z nim żyć, panie. Trzeba odrzucić albo omijać prawie wszystkie uprzejmości, zwyczajowe formy, dzięki którym życie staje się znośne, bezpieczne, wygodne, dlatego jego dom nie jest dla mnie bezpieczny, nie ma wa, harmonii. O ileż trudniej wytłumaczyć to służącym, skoro ja sama tego nie rozumiem... ale mogłabym nadal prowadzić jego dom.

–Proszę, żebyś odstąpiła od umowy.

–Jestem winna posłuszeństwo tobie, panie, ale swojemu mężowi również.

–Umyśliłem sobie, Fujiko-san, że Anjin-san ożeni się z tobą. Nie byłabyś już

konkubina.

–Samuraj nie może służyć dwóm panom, a żona dwóm mężom. Mam obowiązek wobec zmarłego męża. Wybacz, nie mogę tego zmienić.

–Cierpliwością można zmienić wszystko. Anjin-san pozna lepiej nasze zwyczaje i wtedy jego dom będzie miał wa. Aż trudno uwierzyć, ile się nauczył, odkąd...

–Nie zrozum mnie źle, panie, Anjin-san jest wyjątkowym, niezwykłym człowiekiem, najlepszym, jakiego znam. Obdarzył mnie wielkim zaszczytem i wiem, że jego dom stanie się wkrótce prawdziwym domem, ale... wybacz, panie, muszę spełnić moją powinność. To, co przyrzekłam mężowi, jedynemu mężowi... – Z trudem opanowała się. – Tak musi być, ne? Tak musi być, panie bo inaczej... cały wstyd, cierpienie i poniżenie tracą sens, ne? Jego śmierć, śmierć mojego dziecka, miecze połamane i zakopane w wiosce eta... Bez wypełniania obowiązków bushido byłoby śmiechu warte.

–Musisz odpowiedzieć na jedno pytanie, Fujiko-san. Czy obowiązek spełnienia prośby pana lennego i powinność wobec zdumiewająco dzielnego człowieka, który staje się jednym z nas i jest twoim panem, a także wobec jego nie narodzonego dziecka – dodał, gdyż takiej przyczyny dopatrzył się w zdrowo zarumienionej twarzy – czy to wszystko nie przeważa tamtego zobowiązania?

–Nie noszę w łonie jego dziecka, panie.

–Jesteś tego pewna?; – Nie, nie jestem.

Toranaga patrzył i czekał. Cierpliwie. Miał jeszcze wiele do zrobienia, a poza tym nie mógł się doczekać przyjemności polowania. Ważniejsza jednak była Fujiko. Dziś obiecał sobie udawać, że zwyciężył, ma czas, może być cierpliwy i spokojnie dopilnować wszystkiego, co do niego należało.

–Więc?

–Przepraszam, panie, odpowiem nie.

–Niech więc tak będzie, Fujiko-san. Wybacz, że pytałem, to było konieczne. – Toranaga nie był ani zły, ani zadowolony. Fujiko szła za głosem honoru, nie spodziewał się niczego innego przed pół rokiem, kiedy zawierał z nią umowę. To czyni z nas wyjątkowy naród na ziemi, pomyślał z satysfakcją. Układy ze śmiercią to układy święte. Ukłonił się z szacunkiem. Twoje poczucie honoru i lojalność wobec męża przynoszą ci zaszczyt, Usagi Fujiko – rzekł wymieniając nazwisko, które poszło w niepamięć.

–Dziękuję ci, panie...- powiedziała płacząc ze szczęścia, gdyż te proste słowa

zdejnowały piętno z męża, jedyne, jakiego miała w tym życiu.

–Wysłuchaj mnie teraz, Fujiko. Cokolwiek stanie się ze mną, przed ostatnim dniem wyruszysz do Edo. W czasie tej podróży możesz zginąć, ale tak, żeby to wyglądało na wypadek. Ne?

–Tak, tak, panie.

–To będzie nasza tajemnica. Nikt inny się nie dowie.

–Tak, panie.

–Do tego czasu będziesz prowadziła jego dom:

–Tak, panie.

–A teraz powiedz Gyoko, żeby tu przyszła. Poślę po ciebie przed odjazdem. Zostało nam jeszcze do omówienia kilka spraw.

–Tak, panie. – Fujiko ukloniła się nisko. – Jestem ci wdzięczna za uwolnienie mnie od życia. – Odeszła.

Dziwne, myślał Toranaga, jak kobieta potrafi się zmieniać. Raz jest brzydka, to znów ładna, a chwilami nawet piękna, choć to tylko złudzenie.

–Posłałeś po mnie, panie?

–Tak, Gyoko-san. Jakie przynosisz wieści?

–Najrozmaitsze, panie – odparła Gyoko. Twarz miała starannie umalowaną i nie okazywała strachu, chociaż wszystko się w niej kotłowało. Wiedziała, że do tego spotkania doszło nieprzypadkowo, a instynkt ostrzegał przed Toranaga. – Prace nad utworzeniem cechu kurtyzan postępują zadowolająco. Niebawem zostanie ci przedstawiony do zatwierdzenia regulamin. Piękna okolica na północ od miasta byłaby...

–Wybrałem już miejsce, bliżej wybrzeża. Yoshiwarę.

Pochwaliła wybór, jęcząc w duchu. Yoshiwara – Szuwary – to były bagna, które należało osuszyć, żeby nadały się do zabudowy.

–Wyśmienicie, panie. Przygotowany jest również regulamin dla gejsz, do twojej akceptacji.

–Dobrze. Przepisy mają być krótkie i rzeczowe. Jakim hasłem oznaczysz bramę do Yoshiwary?

–Żądza nie trwa wiecznie, trzeba coś z nią zrobić.

Roześmiał się. Gyoko uśmiechnęła się, zachowując jednak czujność.

–Pozwól, panie, że podziękuję ci w imieniu przyszłych pokoleń – dodała z powagą.

–Zgodziłem się nie ze względu na ciebie ani przyszłe pokolenia – odparł Toranaga i przytoczył fragment swojego komentarza do testamentu taikō. – „Wielcy mężowie od wieków potępiali domy nierządu i frywolne przybytki, jednakże mężczyźni nie są cnotliwi i władca zakazujący poduszki w takich domach jest głupcem, gdyż zakaz taki sprowadza jeszcze większe zło”.

–Jakiś ty mądry, panie.

–Zebranie w jednym miejscu frywolnych przybytków pozwala nie tylko mieć na oku wszystkich niecnotliwych, ale również ich opodatkować. Słusznie mówisz, Gyoko-san: „Żądza nie trwa wiecznie”. Szybko się psuje, jak żywność. Co więcej?

–Kiku-san powróciła całkowicie, do zdrowia, panie.

–Tak, widziałem. Jest zachwycająca! Trudno wytrzymać letnie upały w Edo, przepraszam. Na pewno jest zdrowa?

–Ależ tak, panie, tylko bardzo za tobą tęskniła. Czy będziemy ci towarzyszyć do Mishimy?

–Jakie jeszcze plotki doszły do twoich uszu?

–Tylko to, że Ishido wyjechał z zamku, w Osace. Rada Regentów wyjęła cię spod prawa, panie, co za bezczelność.

–Którędy zamierzają atakować?

–Nie wiem, panie – odparła ostrożnie Gyoko. – Przypuszczam, że natarcie będzie dwukierunkowe. Po śmierci ojca, pana Jikkyu, Ikawa Hikoju ruszy Tokaidō, a pan Zataki, który lekkomyślnie sprzymierzył się z panem Ishido, wyruszy z Shinano drogą Koshu-kaidō. Pod osłoną gór jesteś, panie, bezpieczny. Na pewno dożyjesz sędziwego wieku. Za twoim pozwoleniem przeniosę swoje interesy do Edo.

–Proszę bardzo. A przedtem postaraj się dowiedzieć, którądy pójdzie główne uderzenie.

–Postaram się, panie. Okropne czasy, panie, kiedy brat występuje przeciw bratu, syn przeciw ojcu.

Toranaga spuścił powieki i odnotował w pamięci, że trzeba czujniej pilnować

Noboru, najstarszego syna, który winien był wierność taikō.

–Tak, okropne czasy – rzekł. – Czasy wielkich przemian. I złych, i dobrych. Na przykład ty i twój syn jesteście teraz bogaci. Twój syn zarządza, zdaje się, wytwórnią sake w Odawarze?

–Tak, panie. Gyoko poszarzała pod warstwą szminki.

–Wytwórnia przynosi duże zyski, me?

–Jest najlepszym zarządcą w Odawarze, panie.

–Tak słyszałem. Mam dla niego pracę. Anjin-san będzie budował nowy statek. Ja dostarczę materiałów i rzemieślników, dlatego chcę, żeby przypilnował tego ktoś doświadczony i odpowiedzialny.

Gyoko poczuła taką ulgę, że omal nie zemdląca. Myślała, że Toranaga zechce ich zlikwidować przed wyruszeniem na wojnę albo obłożyć druzgocącymi podatkami, ponieważ dowiedział się o jej kłamstwie na temat Anjin-sana i pani Tody albo o poronieniu Kiku, o którym powiadomiła go ze łzami w oczach miesiąc temu, a które zostało wywołane przy jej pomocy i za jej namową.

–Oh ko, panie, kiedy mój syn ma przyjechać do Jokohamy? Dopilnuje, żeby to był taki tani statek, jakiego jeszcze nie było.

–Nie chcę, żeby był tani. Chcę, żeby był najlepszy, a koszty zmieściły się w rozsądnych granicach. Twój syn będzie odpowiadał przed Anjin-sanem.

–Przyrzekam, panie, na moją przyszłość i związane z nią nadzieje, że stanie się wedle twego życzenia.

–Jeżeli statek powstanie dokładnie według wskazań Anjin-sana i budowa nie potrwa dłużej niż sześć miesięcy; uczynię twego syna samurajem.

Gyoko ukloniła się, nie mogąc wykrztusić słowa.

–Wybacz mnie głupiej, panie – rzekła po chwili. – Dziękuję, dziękuję.

–Ma się nauczyć od Anjin-sana budowania statków, żeby potem samemu uczyć innych. Ne?

–Tak się stanie.

–Wracając do Kiku-san. Ze swoimi talentami zasługuje na lepszy los.

–Sprzedasz jej kontrakt, panie? – spytała Gyoko, znów pełna najgorszych przeczuć.

–Nie powinna zostać na powrót kurtyzana ani jedną z twoich gejsz. Powinna żyć w domu, gdzie będzie tylko parę dam.

–Ależ, panie, gdzie będzie jej lepiej?

Wymienili uprzejmości, po czym Toranaga rzekł:

–Szczerze mówiąc, Gyoko-san, zbyt ją polubiłem, a nie mogę sobie pozwolić, żeby ktokolwiek zaprzętał moje myśli. Jest za ładna, jest klejnotem nie dla mnie... Przepraszam, to musi pozostać między nami.

–Oczywiście, panie, skoro tak mówisz – zapewniła Gyoko, łamiąc sobie głowę nad rzeczywistym powodem. – Gdyby to był ktoś, kto wzbudziłby podziw i uwielbienie Kiku, mogłabym spokojnie umrzeć.

–Ale nie wcześniej niż za sześć miesięcy, kiedy zobaczysz statek Anjin-sana pod pełnymi żaglami.

–Tak... o tak. – Gyoko powachlowała się, bo słońce tak przygrzewało, że nie było czym oddychać. Nie mogła odgadnąć, dlaczego Toranaga jest taki hojny, ale spodziewała się, że cena będzie bardzo, bardzo wysoka. – Kiku-san będzie niepokieszona, opuszczając twój dom, panie.

–Naturalnie. Myślę, że powinna otrzymać wynagrodzenie za wierność i posłuszeństwo. Zostaw to mnie i na razie o niczym jej nie wspominaj.

–Tak, panie. Kiedy mój syn ma przyjechać do Jokohamy?

–Powiadomię cię o tym przed odjazdem.

Gyoko ukloniła się i podreptała. Toranaga poszedł popływać. Niebo na północy pociemniało jak przy ulewie. Kiedy zobaczył jeźdźców zbliżających się od strony Jokohamy, wrócił do gospody.

Orni zsiadł z konia i odwinął ściętą głowę.

–Pan Kasigi Yabu spełnił twój rozkaz, panie.

Umyta i uczesana głowa tkwiła na podstawce przeznaczony specjalnie do – tego celu.

Toranaga przyjrzał się wrogowi, jak to robił tysiące razy w życiu. I jak zwykle zastanawiał się, czy – po śmierci na jego twarzy, oglądanej przez zwycięzcę, znać będzie strach, ból, gniew czy przerażenie. A może dostojeństwo? Twarz Yabu zastygła w wyrazie wściekłości, wargi były ściągnięte w mściwym grymasie.

–Jak umarł? – spytał.

–Najlepszą śmiercią, jaką widziałem, panie. Pan Hiro-matsu powiedział to samo. Dwa cięcia, trzecie pod gardło. Bez pomocy i bez krzyku. Oto jego testament.

–Ściąłeś głowę za jednym zamachem?

–Tak, panie. Poprosiłem Anjin-sana, żeby pozwolił mi wziąć miecz pana Yabu.

–Yoshitomo? Ten, który dałem Yabu? Dał go Anjin-sanowi?

–Tak, panie. Rozmawiał z nim przez Tsukku-sana. Powiedział tak: „Anjin-san, daję ci ten miecz na pamiątkę twojego przybycia do Anjiro i w podziękę za przyjemność, której zaznałem dzięki tamtemu małemu barbarzyńcy”. Anjin-san wzdragał się, ale Yabu nalegał i dodał: „Żaden z tych gównojadów nie zasługuje na taką klingę”. W końcu Anjin-san przyjął miecz. Dziwne, pomyślał Toranaga. Spodziewałem się, że da go Omiemu.

–Jakie wydał polecenia? – spytał.

Otóż to, myślał słuchając odpowiedzi. Gdyby nie zostały zapisane w testamencie, który Yabu w obecności innych samurajów wręczył oficjalnemu świadkowi, Buntaro, Orni nie powtórzyłyby wszystkich zaleceń a może nawet kilka by zmyślił. Yabu dobrze zrobił, pomyślał Toranaga i przyrzekł sobie nigdy nie zapominać, że papier i tusz dosięgają zza grobu.

–Żeby uczcić odważną śmierć twojego wuja, powinienem uszanować jego ostatnie życzenia. Wszystkie bez wyjątku i bez zmian, ne? – rzekł Toranaga wypróbowując Omiego.

–Tak, panie.

–Yuki!

–Tak, panie – odezwała się służąca.

–Przynieś cha, proszę.

Kiedy służąca pobiegła, Toranaga rozważył raz jeszcze ostatnie życzenia Yabu. Były uzasadnione i przemyślane. Głupiec Mizuno stał na drodze Omiego. Matka także, nieznośna stara wiedźma.

–A zatem, z twoją zgodą, zatwierdzam je wszystkie. Chcę też zatwierdzić przedśmiertne życzenia ojca, zanim zostaną spełnione. W nagrodę za wierność i oddanie mianuję cię dowódcą pułku muszkietów.

–Dziękuję, panie, nie zasługuję na takie wyróżnienie – rzekł uszczęśliwiony Omi.

–Twoim zastępcą będzie Naga. Dalej: wyznaczam cię na głowę rodu Kasigi, a twoje nowe lenno obejmuje przygraniczne ziemie Izu, od Atami na wschodzie do Nimazu na zachodzie, razem ze stolicą Mishimą, z rocznym dochodem trzydzieści tysięcy koku.

–Nie wiem, jak ci dziękować, panie. Nie jestem godzien takich zaszczytów.

–Więc postaraj się być godzien, Omi-san – rzekł dobrodusznie Toranaga. – Obejmij w posiadanie zamek w Mishimie. Już dziś wyjedziesz z Jokohamy, a w Mishimie zgłosisz się do pana Sudary. Pułk muszkietów za cztery dni dotrze do Hakone. Dalej: tylko do twojej wiadomości, w zaufaniu powiem, że wysyłam Anjin-sana z powrotem do Anjiro. Zbuduje tam nowy statek. Przekażesz mu swoje obecne lenno. Bezzwłocznie.

–Tak, panie. Czy mogę dać mu swój dom?

–Możesz – odparł Toranaga, chociaż lenno obejmowało wszystko: nieruchomości, domy, chłopów, rybaków, łodzie.

Obejrzeni się, słysząc perlisty śmiech. Na podwórku nie opodal Kiku bawiła się w przerzucanie wachlarza ze służącą Suisen, której kontrakt Toranaga wykupił, żeby pocieszyć Kiku po przykrościach poronienia.

Zachwyt Omiego, choć starał się go ukryć, widoczny był jak na dłoni i tym większy, że zupełnie się nie spodziewał zobaczyć ją tutaj. Spojrzała w ich stronę. Śliczny uśmiech rozjaśnił jej twarz, pomachała wesoło i wróciła do zabawy.

–Ładna, ne? – rzekł Toranaga.

–Tak – odparł Orni zakłopotany.

Toranaga wykupił jej kontrakt z myślą, że odsunie od niej Omiego, ponieważ była jego słabością i mogła stać się pożądaną nagrodą czekającą, aż Omi dowiedzie, po czyjej jest stronie. Okazało się, że pomógł w usunięciu Yabu i nieraz dowiódł lojalności. To właśnie Orni podsunął myśl, żeby przesłuchać służących. Dobre pomysły Yabu też zresztą pochodziły od Omiego. Miesiąc temu Orni wykrył szczegóły spisku Yabu z udziałem kilku oficerów pułku muszkietów, którzy mieli zamordować na polu walki Nagę i innych Brązowych oficerów.

–Nie mylisz się, Omi-san? – spytał Toranaga, kiedy Orni doniósł mu o tym w Mishimie. Czekał wtedy na wynik misji Mariko.

–Nie, panie. Kiwami Matano z trzeciego pułku Izu czeka na posłuchanie.

Oficer z Izu, niemłody, mocno zbudowany, przedstawił tajny plan, podał hasła i udzielił wyczerpujących objaśnień.

–Nie mógłbym dłużej żyć z tą hańbiącą tajemnicą, panie. Jesteś naszym panem lennym. Gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że plan był ułożony „na wypadek konieczności”. To znaczy, jak przypuszczam, gdyby Yabu-sama postanowił w czasie bitwy przejść na drugą stronę. Nie gniewaj się, panie, miałeś być głównym celem napaści, potem Naga-san i pan Sudara

–Kiedy powstał ten plan i kto o nim wie?

–Wkrótce po utworzeniu pułku. Wie o nim pięćdziesięciu czterech z nas, nazwiska dałem na piśmie wielmożnemu Omiemu. Kasigi Yabu-

–sama osobiście zatwierdził plan, znany pod nazwą „Śliwa”, przed wyjazdem do Osaki.

–Dziękuję. Należy ci się pochwała za lojalność. Zachowaj tę tajemnicę, aż dam ci znać. Potem dostaniesz lenno warte pięć tysięcy koku.

–Daruj, panie, na nic nie zasługuję. Błagam o pozwolenie na seppuku za to, że tak długo zachowałem tę hańbę w tajemnicy.

–Nie udzielam pozwolenia. Będzie, jak powiedziałem.

–Wybacz, panie, nie zasługuję na taką nagrodę. Pozwól mi przynajmniej pozostać z tym, co mam. Spełnienie obowiązku nie wymaga nagrody. Powinienem raczej zostać ukarany.

–Jakie masz dochody?

–Cztery tysiące koku, panie. Dostatecznie dużo.'

–Zastanowię się nad tym, co powiedziałaś, Kiwami-san. Po wyjściu oficera Toranaga spytał:

–Co mu obiecałaś, Omi-san?

–Nic, panie. Przyszedł do mnie wczoraj z własnej woli.

–Chcesz powiedzieć, że jest uczciwy?

–Nie wiem, panie. Przyszedł do mnie wczoraj, więc czym prędzej przybiegłem tutaj.

–Zatem nagrodzę go. Lojalność jest najważniejsza, ne?

–Tak, panie.

–Nikommu o tym ani słowa.

Po odejściu Omiego Toranaga zadał sobie pytanie, czy Mizuno i Omi nie zmyślili spisku, żeby zniesławić Yabu. Wysłani przez niego szpiedzy potwierdzili jednak prawdziwość spisku. Pożar statku dostarczył znakomitego pretekstu do usunięcia pięćdziesięciu trzech zdrajców, którzy zostali włączeni wyznaczonego wieczoru do straży z Izu. Kiwami Matano trafił na daleką północ, gdzie otrzymał nieduże lenno.

–Ten Kiwami jest chyba najbardziej niebezpieczny – powiedział Sudara, jedyny wtajemniczony w sprawę spisku.

–Tak. Nigdy nie zostanie obdarzony zaufaniem. Ale pamiętać trzeba, że w złych ludziach tkwi dobro, a w dobrych znajdzie się zło. Trzeba pozbywać się zła nie tracąc tego, co dobre. Pod moimi rządami niczego nie spisuje się lekkomyślnie na straty.

Tak, Omi, myślał teraz Toranaga z wielką satysfakcją, rzeczywiście zasługujesz na nagrodę.

–Służyłeś mi wiernie, Omi-san. Za kilka dni rozpocznie się walka. Kiedy zwyciężę na polu ostatniej bitwy, mianuję cię władcą Izu i przywrócę twojej linii Kasigich dziedziczny tytuł daimyō.

–Daruj, panie, nie zasługuję na taki zaszczyt.

–Jesteś młody, ale nad wiek dojrzały, wiele sobie po tobie obiecuję. Przypominasz swojego dziadka, który był mądry, ale brakowało mu cierpliwości.

Wesoły śmiech znów przyciągnął uwagę Toranagi. Patrząc na Kiku, zastanawiał się od nowa, co z nią począć.

–Czy wolno spytać, panie, co rozumiesz przez cierpliwość? – rzekł Orni wyczuwając, że należało zadać to pytanie.

Toranaga z lubością przyglądał się rozbawionej dziewczynie.

–Być cierpliwym znaczy panować nad sobą. Jest siedem uczuć, ne? Radość, gniew, niepokój, zachwyty, smutek, strach i nienawiść. Jeżeli człowiek nie ulega żadnemu z nich, jest cierpliwym. Nie jestem tak silny, jak mógłbym być, ale jestem cierpliwym. Rozumiesz?

–Rozumiem cię, panie.

–Cierpliwość to niezbędna cecha przywódcy.

–Tak. –

–Weźmy na przykład tę damę. Rozprasza mnie, jest doskonale piękna. Nie dla prostego żołnierza takie cacko. Uznałem, że będzie jej lepiej gdzie indziej.

–Ależ, panie, nawet jako pomniejsza z twoich dam...

Orni wypowiedział obowiązkowy grzecznościowy zwrot – obaj Wiedzieli, że nieszczere – modląc się żarliwie ze świadomością, iż nigdy nie wypowie swojej prośby na głos.

–Owszem – rzekł Toranaga. – Ale wielki talent zasługuje na poświęcenie. – Wciąż patrzył, jak roześmiana Kiku przerzuca się wachlarzami ze służącą. Przechodzące konie zasłoniły widok. Bardzo mi przykro, Kiku-san, pomyślał, muszę cię oddać innemu, odsunąć szybko od siebie. Zanadto przywiązałem się do ciebie, taka jest prawda, choć Gyoko nie chciała w nią uwierzyć, podobnie jak nie uwierzy Omi ani nawet ty sama. – Kiku-san zasługuje na dom, który mogłaby nazwać swoim. I na męża.

–Lepiej, żeby była konkubiną najskromniejszego samuraja niż żoną bogatego chłopca albo kupca.

–Jestem innego zdania.

Te słowa zamknęły sprawę. Karma, pomyślał Orni rozżalony. Głupcze, skarcił się w duchu, po co się smucisz. Twój pan podjął decyzję, od której nie ma odwołania. Midori jest idealną żoną. Matka zostanie mniszką i w twoim domu zapanuje harmonia.

Jednego dnia tyle smutku i tyle szczęścia. Zostanę daimyō Izu, dowódcą pułku, Anjin-san zbuduje pierwszy statek w Anjiro, a więc w moim lennie Izu. Muszę przegnać smutek. Życie jest samym smutkiem. Kiku-san ma swoją karmę, ja swoją, Toranaga swoją, a na przykładzie pana Yabu widać, jaką głupotą jest martwić się o cokolwiek.

Omi spojrział na Toranagę czując, że rozjaśniło mu się w głowie, wszystko poukładało się na swoim miejscu.

–Proszę o wybaczenie, panie, zmąciły mi się myśli.

–Jeśli chcesz, możesz się z nią pożegnać.

–Dziękuję, panie. – Omi zawiął głowę Yabu. – Życzysz sobie, żebym ją zakopał, czy ma być wystawiona na pokaz.

–Nadziej ją na włócznie, twarzą do wraku.

–Tak, panie.

–Jaki ułożył wiersz przed śmiercią? Omi odpowiedział:

Czymże są chmury

Jeśli nie wytłumaczeniem nieba?

Czymże jest życie

Jeśli nie ucieczką przed śmiercią?

–Ciekawe – rzekł Toranaga z uśmiechem.

Omi uklonił się, oddał zawiniętą głowę jednemu ze swoich ludzi i przeszedł między końmi i samurajami na podwórko, gdzie bawiła się Kiku.

–O pani, jakże się cieszę, widząc ciebie zdrową i szczęśliwą – rzekł z kurtuazyjną uprzejmością.

–Jestem z moim panem, Omi-san, który jest silny i zadowolony. Trudno, żebym nie była szczęśliwa.

–Sayonara, pani.

–= Sayonara, Omi-sama. – Ukloniła się, przeczuwając ostateczną rozłąkę, z której dotąd nie zdawała sobie sprawy. Otarła łzę i jeszcze raz ukloniła się.

Patrząc, jak Omi odchodzi szybkim, zdecydowanym krokiem, miała ochotę rozplakać się, bo serce jej pękało, ale zaraz, tak jak zawsze, przypomniały jej się wielokroć słyszane słowa, słowa dobre i mądre: „Czemu płaczesz, dziecko? My ze Świata Wierzb żyjemy chwilą, oddajemy się bez reszty przyjemnościom, jakie dają kwiaty wiśni, śnieg, liście klonu, cykanie świerszczy, uroda księżyca, zmieniającego swoją postać i odradzającego się wciąż na nowo, pieśni, cha i sake, pachnidła i jedwabie, pieszczoty, uleganie prądowi życia. Posłuchaj, dziecko: nie bądź smutna, bądź jak lilia unoszona przez prąd strumienia. Jakaś ty szczęśliwa, Kiku-chan, jesteś księżniczką Ukiyo, Płynącego Świata, bądź uległa, żyj chwilą...”

Kiku otarła drugą łzę, ostatnią. Niemądra dziewczyno, nie płacz, dość! – nakazywała sobie w duchu. Spotkało cię niewiarygodne szczęście! Jesteś konkubiną największego daimyō, co prawda mało ważną, nieoficjalną konkubiną, ale co to szkodzi, twoi synowie będą samurajami. Czyż to nie najwspanialsza rzecz na świecie? Czyż wróżbita nie przepowiedział losu tak dobrego, że aż trudno uwierzyć? A przecież wróżby spełniły się, ne? Jeśli chcesz płakać, to jest ważniejszy powód. Kiełkujące nasienie, które cha o dziwnym smaku wypłukała z twego łona. Ale czemu nad tym płakać? To był dopiero kiełek, nie dziecko, a kto tak naprawdę był ojcem?

–Nie wiem, nie wiem tego na pewno, Gyoko-san, przepraszam, wydaje mi się, że mój

pan – odpowiedziała na pytanie Gyoko, bardzo pragnąc mieć jego dziecko, żeby zapewnić sobie synów samurajów.

–A jeżeli będzie miało niebieskie oczy i jasną cerę? To możliwe, ne? Policz dni.

–Liczyłam i liczyłam, och, jak liczyłam!

–Więc bądź ze sobą szczerą. Bardzo mi przykro, ale od ciebie zależy również moja przyszłość. Przed tobą wiele płodnych lat. Masz dopiero osiemnaście wiosen, ne? Lepiej mieć pewność, moje dziecko, ne?

Jakaś ty mądra, Gyoko-san, pomyślała, a mnie jakby ktoś odebrał rozum. To był tylko kielek, a my, Japończycy, uważamy rozsądnie, że dopiero trzydzieści dni po urodzeniu dusza wiąże się z ciałem i karma staje się nieodwołalna. Tyle szczęścia mnie spotkało, chcę mieć syna, jednego drugiego, chcę mieć synów i ani jednej dziewczynki. Biedne dziewczynki! O bogowie, otaczajcie opieką wróżbitę, dziękuję wam, dziękuję za moją karmę, za łaskawość wielkiego daimyō, za to, że moi synowie będą samurajami, i sprawcie, proszę, żebym była godna tych wspaniałości...

–Co się stało, pani? – spytała Suisen zdumiona radością bijącą z twarzy Kiku.

Kiku westchnęła z ukontentowaniem.

–Myślałam o wróżbicie, o moim panu, mojej karmie, oddałam się marzeniom...

Oslaniając się czerwoną parasolką, podeszła bliżej Toranagi ledwie, widocznego zza koni, samurajów i sokolników. Siedział na werandzie popijając cha, kłaniała mu się znów Fujiko. Wkrótce przyjdzie kolej na mnie, pomyślała Kiku. Może dziś zakiełkuje nowe nasienie. Oby tak się stało... Zadowolona i szczęśliwa powróciła do zabawy.

Za bramą Omi dosiadł konia i ruszył z kopyta, czując jak coraz szybszy pęd orzeźwia go i oczyszcza, wdychając przyjemnie drażniący zapach końskiego potu. Nie potrzebował oglądać się za siebie. Zostawiał u stóp Kiku całą namiętność swojego życia, całe uwielbienie. Ogarnęła go pewność, że nigdy więcej nie przeżyje namiętności, jednoczącej dwie dusze ekstazy. Ale przeświadczenie to nie było przykre. Przeciwnie, błogosławił Toranagę za uwolnienie go z krępujących pęt. Nie jestem od nikogo uzależniony, myślał chłodno i rzeczowo jak nigdy przedtem. Ani od ojca, ani od matki, ani od Kiku. Teraz ja też mogę być cierpliwy. Mam dwadzieścia jeden lat, tylko patrzeć, jak zostanę daimyō Izu, świat stoi przede mną otworem.

–Tak, panie? – spytała Fujiko.

–Pojedziesz prosto do Anjiro. Zamiast Jokohamy wyznaczyłem Anjin-sanowi lenno wokół Anjiro. Ziemie w promieniu dwudziestu ri od wioski i cztery tysiące koku rocznie. Przejmiesz dom Omi-sana.

–Pozwolisz, panie, że podziękuję w jego imieniu. Czy mam rozumieć, że jeszcze o tym nie wie?

–Tak. Powiadomię go dzisiaj. Kazałem mu wybudować nowy statek, Fujiko-san. Anjiro o wiele lepiej nadaje się do tego celu niż Jokohama. Ustaliłem z Gyoko, że jej najstarszy syn będzie zarządcą budowy odpowiedzialnym przed Anjin-sanem, a materiały i rzemieślników opłaci się z mojej kiesy. Musisz mu pomóc to wszystko zorganizować.

–Oh ko, panie – powiedziała zatroskana. – Zostało mi bardzo mało czasu u boku Anjin-sana.

–Tak. Muszę mu znaleźć inną konkubinę. Albo żonę. Ne? Fujiko zmrużyła oczy.

–Jak mogłabym w tym pomóc, panie? – spytała.

–Kogo proponujesz? Chcę, żeby Anjin-san był zadowolony. Zadowoleni ludzie lepiej pracują, ne?

–Tak. – Fujiko zaczęła myśleć: Kogo dałoby się porównać z Mariko-samą? Uśmiechnęła się. – Panie, obecna żona Omi-sana, Midori-san, byłaby najlepsza. Teściowa jej nie znosi, jak wiesz, i chce, żeby Omi rozwiódł się. Przepraszam, była zdumiewająco nietaktowna i powiedziała to przy mnie. Midori-san jest urocza i bardzo inteligentna.

–Myślisz, że Omi chce się rozwieść? – To była nowa myśl.

–O nie, panie, na pewno nie. Jaki mężczyzna pragnie być posłuszny matce? Ale takie jest nasze prawo, więc powinien być rozwieść się z nią od razu, kiedy powiedzieli o tym rodzice, ne? Wprawdzie jego matka ma przykry charakter, ale z pewnością wie, co jest dla niego najlepsze. Przepraszam, muszę trzymać się prawdy, bo sprawa jest wielkiej wagi. Nikogo nie chcę urazić, panie, ale posłuszeństwo względem rodziców to podpora naszego prawa.

–Masz słuszność – rzekł Toranaga, rozważając pomysł, który spadł jak z nieba. – Czy Anjin-san przychyliłby się do wyboru Midori-san na żonę?

–Nie, panie, gdybyś rozkazał mu zawrzeć małżeństwo... ale pozwolę sobie zauważyć, że nie trzeba mu rozkazywać.

–Tak?

–Może udałoby się tak urządzić, żeby sam o tym pomyślał. To byłoby najlepsze wyjście. Omi-sanowi, oczywiście, wystarczy rozkazać.

–Oczywiście. Pochwaliłabyś wybór Midori-san?

–O tak. Ma siedemnaście lat, zdrowego syna, pochodzi ze świetnego rodu, więc dałaby Anjin-sanowi udanych synów. Gdyby rodzice Omiego nie nalegali, żeby Midori oddała mu syna, wówczas Anjin-san mógłby go adoptować. Wiem, że mój pan ją lubi. Mariko-sama żartowała z nim na ten temat. Midori-san jest dobrze urodzona, rozważna i mądra, z pewnością byłby przy niej bezpieczny. Jej rodzice nie żyją, więc nie będą mieli za złe, że wyszła za mąż za jednego z... za Anjin-sana.

Toranaga zastanowił się. Muszę zakłócić równowagę Omiego, to pewne. Ten młodzik łatwo mógłby zepsuć mi szyki. Nie będę musiał nic robić, żeby rozwieść Midori. Ojciec Omiego wyrazi nieodwołalne ostatecznie życzenie przed popełnieniem seppuku, a jego żona nie pozwoli mu odejść z tego świata, dopóki nie ożeni syna jak należy. Więc tak czy owak za kilka dni Midori dostanie rozwód. Tak, byłaby bardzo dobrą żoną.

–Jeżeli nie ona, Fujiko-san, to co powiesz o Kiku? Kiku-san?

–Przepraszam, panie, rozstanieś się z nią? – zdumiała się Fujiko.

–Możliwe. Więc?

–Uważam, że byłaby z niej doskonała nieoficjalna konkubina. Jest zachwycająca i utalentowana. Zwykłemu człowiekowi, trzeba przyznać, zawróciłaby w głowie, a miną lata, zanim Anjin-san nauczy się doceniać jej rzadki kunszt w tańcu, śpiewie i rozmowie. A jako żona? – powiedziała z naciskiem wyrażającym całkowitą dezaprobatę. – Dziewczęta ze Świata Wierzb nie są uczone i ćwiczzone w tym, co... co pozostałe. Rozwijają inne zdolności, panie. Nie takie, jakich potrzeba, by prowadzić dom samuraja i odpowiadać za sprawy finansowe.

–Czy mogłaby się tego nauczyć?

–Najlepiej byłoby – odparła Fujiko po dłuższym namyśle – żeby Anjin-san miał za żonę Midori-san, a Kiku-san za konkubinę.

–Czy nauczyłyby się żyć z jego, hm, odmiennymi poglądami i zwyczajami?

–Midori-san jest samurajką, panie. To byłby jej obowiązek. Rozkazałbyś jej. Kiku-san również.

–Ale Anjin-sanowi nie?

–Znasz go lepiej ode mnie, panie. O poduszkiowaniu i... lepiej niech sam decyduje.

–Toda Mariko-sama byłaby dla niego idealną żoną? Ne?

–Zdumiewająca myśl, panie – odparła Fujiko bez zmrużenia oka. – Nie ulega wątpliwości, że bardzo się szanowali.

–Tak – rzekł znacząco. – Dziękuję ci, Fujiko-san. Rozważę twoje słowa. Za dziesięć dni Anjin-san będzie w Anjiro.

–Dziękuję, panie. Jeśli wolno mi coś doradzić, port Ito i uzdrowisko Yokose też powinny należeć do lenna Anjin-sana.

–Dlaczego?

–Ito na wypadek, gdyby Anjiro okazało się za małe. Może dla takiego dużego statku potrzebna będzie większa pochylnia? Tam takie mogą być. A Yokose...

–Są czy nie?

–Tak, panie.

–Byłaś tam?

–Nie, panie.– Ale ponieważ i ty, i Anjin-san interesujecie się morzem, uznałam za swój obowiązek dowiedzieć się czegoś o statkach i żegludze. Kiedy usłyszałam o pożarze statku Anjin-sana, pomyślałam, że może mógłby zbudować drugi. Zastanawiałam się jak i gdzie i najlepsze wydało się Ito. Łatwo się tam obronić przed wojskami Ishido.

–A dlaczego Yokose?

–Bo hatamoto powinien mieć w górach odpowiednią siedzibę, gdzie mógłby ciebie, panie, godnie przyjąć.

Toranaga przyglądał się uważnie Fujiko wiedząc, że pod pozorami łagodności kryje się nieugięta wola, którą mógł złamać tylko rozkazem.

–Zgoda. Rozważę, co mówiłaś o Midori-san i Kiku-san.

–Dziękuję, panie – powiedziała z pokorą, zadowolona, że wywiązała się z powinności wobec swojego pana i spłaciła dług wobec Mariko. Ito dla pochylni, a Yokose, bo tam, jak powiedziała Mariko, zaczęła się ich „miłość”.

–Tyle szczęścia mnie spotyka, Fujiko-san – powiedziała Mariko w Edo. – Nasza podróż tutaj dała mi więcej szczęścia, niż mogłabym oczekiwać, żyjąc dwadzieścia razy.

–Błagam cię, Mariko-san, opiekuj się nim w Osace. Jest inny niż my, niestety jest barbarzyńcą. Znajduje nirwanę w życiu, nie w śmierci.

Nic się nie zmieniło, pomyślała Fujiko, wspominając Mariko z wdzięcznością. To Mariko uratowała Anjin-sana, nikt inny – ani Bóg chrześcijan, ani bogowie, ani sam Anjin-san, nawet nie Toranaga, nikt tylko Mariko. Uratowała go Mariko-no-Akechi Jinsai.

Przed śmiercią wzniosę małą świątynię w Yokose i ufunduję jeszcze dwie, w Osace i Edo. To będzie jedno z moich przedśmiertnych życzeń, Toranaga-sama – przyrzekła sobie patrząc na niego cierpliwie i ciesząc się, że tyle jeszcze miłych rzeczy zrobi dla Anjin-sana. Midori na żonę, to pewne, w żadnym razie Kiku, która może najwyżej zostać konkubiną, i to niekoniecznie najważniejszą. Lenno powiększone do Shimody na południowym krańcu wybrzeża Izu.

–Życzysz sobie, panie, żebym Zaraz wyjechała?

–Zostań tu na noc i wyjedź jutro. Tylko nie przez Jokohamę.

–Rozumiem. Przepraszam, czy mogę od razu po przyjeździe objąć w posiadanie nowe lenno mojego pana?

–Kawanabi-san dostarczy ci przed odjazdem potrzebne dokumenty. A teraz przyślij tu, proszę, Kiku-san.

Fujiko ukloniła się i odeszła.

Toranaga chrząknął. Szkoda, że ta kobieta skończy z sobą, pomyślał. Jest bystra nad podziw, jej odejście to niepowetowana strata. Ito i Yokose? Ito, rozumiem, ale dlaczego Yokose? O czym jeszcze przemyśliwała?

Tanecznym krokiem zbliżała się Kiku. Szeleszcząc wytwornymi jedwabiami, w białych tabi okrywających drobne stopy pod czerwoną parasolką była obiektem zazdrości wszystkich, którzy na nią patrzyli. Ach Kiku, pomyślał Toranaga, nie mogę sobie pozwolić na tę zazdrość. W tym życiu nie mogę sobie na ciebie pozwolić, bardzo mi przykro. Powinnaś zostać w Płynącym Świecie, być kurtyzaną pierwszej rangi. Albo lepiej gejszą. Jaki świetny pomysł miała ta stara wiedźma! Byłabyś bezpieczna, należąc do wielu, przez wielu adorowana. Byłabyś bohaterką schadzek, powodem waśni i samobójstw, pięknnością obsypywaną pieniędzmi, którymi byś gardziła, niepokojącą legendą – dopóki zachowałabyś urodę. A tak? Nie mogę cię zatrzymać, niestety. Samuraj, któremu oddałbym ciebie za konkubinę, miałby w łóżku obosieczny miecz – własne odurzenie oraz powszechną zazdrość. Ne? Trudno byłoby znaleźć takiego, co wziąłby ciebie za żonę, niestety, taka jest prawda. Fujiko ma rację, nie jesteś przygotowana do prowadzenia domu samuraja, bardzo mi przykro. Uroda przeminie – głos, owszem, zachowasz, żywość umysłu też, ale i tak niezadługo wyrzucą cię na śmietnik świata. Niestety, wszystko to prawda. Jak również to, że nawet najsłynniejsze damy Płynącego Świata, kiedy poczują brzemię

lat, najlepiej robią, pozostając w swoim świecie, prowadząc inne domy, oplakując utraconych wraz z młodością kochanków, topiąc smutek w beczkach sake. Pomniejsze damy w najlepszym razie zostają żonami chłopów, rybaków, kupców, sprzedawców ryżu albo rzemieślników, spośród których ty się wywodzisz. Wyrosłaś nieoczekiwanie jak rzadki kwiat na dzikiej polanie, by szybko rozkwitnąć i równie szybko zwiędnąć.

To takie smutne. Jak dać tobie synów samurajów?

Zatrzymaj ją do końca życia, podpowiedziało serce. Jest tego warta. Nie oszukuj siebie, jak oszukujesz innych. Mógłbyś ją zachować dla siebie, trzymając trochę z bliska, a najczęściej z daleka, tak jak twoje ulubienice Tetsu-ko i Kogo. Przyznaj, że Kiku znaczy dla ciebie tyle co sokół, którego karmisz z ręki, z którym polujesz, a po kilku sezonach rozstajesz się na zawsze, porzucając na łaskę losu. Nie okłamuj siebie, to zgubne. Dlaczego nie miałbyś jej zatrzymać? Znaczy tyle co sokół, piękny i rzadki, wysokiego lotu, ale nie jest niczym więcej, choć jest z pewnością wyjątkowa i jakże sposobna do uciech...

–Dlaczego śmiejesz się, panie, z takim ukontentowaniem?

–Bo twój widok cieszy moje oczy, pani.

Blackthorn wisiał całym ciężarem ciała na jednej z trzech lin umocowanych do stępki wraku.

–Hipparuuuu! – zawołał. – Ciągnij!

Stu półnagich samurajów wyęźało siły, ciągnąc liny. Blackthorne liczył, że w porze popołudniowego odpływu uda się wyciągnąć wrak na brzeg i uratować, co się da. Zmienił pierwotny plan, dokonawszy radosnego odkrycia, że wszystkie działa zostały wyłowione z morza nazajutrz po pożarze i wyglądają niemal jak w dniu, w którym opuściły odlewnię pod Chatham, w rodzinnym hrabstwie Kent. Odzyskano również prawie tysiąc kul armatnich, kartacze, kule łańcuchowe i wiele części metalowych. Te ostatnie były wprawdzie pogięte i porysowane, ale miał na początek więcej materiału do budowy statku, niż wyobrażał sobie w najśmielszych marzeniach.

–Wspaniale, Naga-san! Wspaniale! – nie mógł się nachwalić Japończyka, kiedy zobaczył, ile rzeczy ocalono.

–Dziękuję,– Anjin-san. Bardzo się starałem, przepraszam.

–Nie ma za co przepraszać. Już wszystko dobrze!

Cieszył się wtedy jak dziecko. To będzie żaglowiec, jakiego świat nie widział, odrobinę dłuższy i szerszy, ale smukły jak greyhound, psiajucha!

Cieszę się, że ciebie tu nie ma, Rodrigues, myślał bez zawziętości, a za rok zatopię kogoś innego, kto przyplynie na-twoje miejsce. Jeżeli Ferriera znów będzie gubernatorem, byłby to dar niebios, ale nie liczę na to i cieszę się, że odpłynąłeś stąd cało. Jesteś świetnym pilotem i zawdzięczam ci życie.

–Hipparuuuuuuu! – krzyknął. Naprężone liny otrząsnęły się z wody jak z kropli potu, ale wrak ani drgnął.

Od czasu rozmowy z Toranagą na plaży, kiedy przeczytał list Mariko, a wkrótce potem obejrzał działa, dni wydawały mu się za krótkie. Rysował wstępne plany, sporządzał coraz to nowe wykazy, poprawiał plany, przedstawiał dokładne spisy potrzebnych ludzi i materiałów, żeby nie popełniono żadnych błędów. A wieczorami przesiadywał do późna nad słownikiem, ucząc się nowych słówek, żeby dawać polecenia rzemieślnikom i dowiedzieć się od nich, co mogą już wykonać. Nieraz popadał w zwątpienie i chciał zwrócić się o pomoc do księdza, ale przypominał sobie, że to niemożliwe, bo zostali śmiertelnymi wrogami. Karma, powtarzał bez żalu, współczując księdzu ogarniętemu fanatyzmem.

–Hipparuuuuuuu! –

Samuraje znów zmierzili siły z oporem morza, zabrzmiała pieśń, pociągnęli równo liny. Wrak drgnął, a kiedy zdwoili wysiłki, oderwał się od dna i wszyscy rozciągnęli się jak dłudzy na piasku Podnieśli się ze śmiechem, chwycili za liny, ale wtedy okazało się, że wrak ponownie utknął.

Blackthorne pokazał, jak mają przesuwac liny w lewo i w prawo, ruszyć wrak bokiem, ale nic to nie dało, tkwił w miejscu jak zakotwiczony.

–Będę musiał podwiązać pławy, wtedy przypliw go podniesie – powiedział na głos po angielsku.

–Dozo? – spytał Naga.

–Ah, gomen nasai, Naga-san.

Przeklinając nieznamość słów, objaśnił za pomocą rysunków na piasku, że trzeba zrobić tratwę i przy niskiej wodzie przywiązać do żebrowania, wtedy przypliw uniesie wrak i będzie go można wyciągnąć na brzeg. A dzięki podłożonym wałkom, przy kolejnym odpływie da się nim manewrować.

–Ah, so desu! – rzekł z podziwem Naga.

Jego objaśnienia zrobiły wielkie wrażenie na pozostałych oficerach, a wasale Blackthorne'a aż spuchli z dumy, tacy wydali się sobie ważni. Blackthorne spostrzegł to i wskazał jednego z nich palcem.

–Jak się zachowujesz?

–Co? Wybacz, panie, jeśli cię obraziłem.

–Dzisiaj wybaczam, jutro nie. Płyn do statku i odwiąż linę. Samuraj ronin zadrzał i wyrócił oczy:

–Daruj, panie, nie umiem pływać.

Zapadła cisza i Blackthorne zrozumiał, że wszyscy czekają, co teraz nastąpi. Był wściekły na siebie, bo tym razem nieopatrzenie wydał wyrok śmierci, całkowicie niezasłużony. Chwilę się zastanowił.

–Toranaga-sama rozkazał, wszyscy uczą się pływać. Ne? Za trzydzieści dni moi wasale mają pływać. Zrozumiano? A ty do wody, będziesz miał pierwszą lekcję pływania.

Samuraj szedł na coraz głębszą wodę jak na stracenie. Kiedy stracił grunt pod nogami, podążający za nim Blackthorne wyciągnął go za włosy i zmusił do pływania. Samuraj krztusił się kaszlał, ale dopłynął jakoś do wraku, ratowany co chwila przez Blackthorne'a. Blackthorne zaczął go holować z powrotem, ale dwadzieścia jardów przed pływaczem odepchnął go i rozkazał:; – Płyn!

Samuraj dotarł półżywy do brzegu. Zapamiętał na całe życie, żeby nie puszyć się w obecności swojego pana. Koledzy wiwatowali, a ci, którzy umieli pływać, tarzali się ze śmiechu.

–Bardzo dobrze, Anjin-san, bardzo mądrze – rzekł Naga, śmiejąc się. – Pozwolisz, że wyślę ludzi po bambus. Na tratwę, ne? Jutro wszystko będzie na miejscu.

–Dziękuję.

–Ciagniemy jeszcze dzisiaj?

–Nie, dzie... – Blackthorne urwał w pół słowa i osłonił oczy. Na wydmie, spoglądając w ich stronę, stał ksiądz Alvito. – Nie, dziękuję, Naga-san. Na dziś koniec. Przepraszam.

Chciał pójść po ubranie i miecze, ale szybko mu je przyniesiono. Ubrał się niespiesznie, zatknął miecze za pas.

–Dzień dobry – rzekł Blackthorne, podchodząc do Alvity.

Ksiądz miał zapadłe policzki, ale patrzył przyjaźnie, podobnie jak przed straszną kłótnią pod Mishimą. Nieufność Blackthorne'a wzrosła.

–Dzień dobry, pilocie. Chciałbym, jeśli pozwolisz, zamienić z tobą kilka słów przed wyjazdem.

–Proszę bardzo.

–Co zamierzasz, ruszyć wrak na fali przyływu?

–Tak.

–Obawiam się, że nic z tego nie będzie.

–Nie szkodzi. Spróbuję.

–Naprawdę wierzysz, że uda ci się zbudować statek?

–O tali – rzekł spokojnie Blackthorne, zachodząc w głowę, czego chce od niego Alvito.

–Sprowadzisz do pomocy resztę załogi?

–Nie – odparł Blackthorne po chwili namysłu. – Lepiej im w Edo. Kiedy statek będzie prawie gotowy... zdążę ich tu sprowadzić, nie śpieszy mi się.

–Mieszkają z ludźmi eta, prawda?

–Tak.

–Czy z tego powodu nie chcesz ich sprowadzić?

–To jeden z powodów.

–Nie dziwię się. Podobno ciągle się kłóczą i chodzą pijani. Słyszałeś, że jakiś tydzień temu wybuchła awantura i spalił im się dom, a przynajmniej taka krąży plotka?

–Nie. Są jacyś poszkodowani?

–Nie. Ale tylko Bogu można za to dziękować. Następnym razem... Podobno któryś z nich zaczął pędzić wódkę. Okropność, do czego doprowadza człowieka pijaństwo.

–Tak. Przykro mi z powodu tego domu. Zbudują nowy.

Alvito kiwnął głową i popatrzył na sterczące z wody żebra wraku.

–Chciałem ci powiedzieć, że wiem, co dla ciebie znaczy utrata Mariko-san. Twoja opowieść o Osace bardzo mnie zasmuciła, ale też podniosła na duchu. Rozumiem sens jej ofiary... Czy opowiadała ci o ojcu, o tamtej tragedii?

–Trochę.

–Więc ty też rozumiesz. Znałem dobrze Ju-san Kubo.

–Masz na myśli Akechi Jinsai? –

–Tak, przepraszam. Teraz jest znany pod tym imieniem. Mariko-sama nie opowiadała ci?

–Nie.

–Taikō nadał mu szyderczy przydomek: Ju-san Kubo, Shōgun Trzynastu Dni. Jego bunt, od skrzyknięcia ludzi do wielkiego seppuku, trwał zaledwie trzynaście dni. To był wybitny człowiek, ale nienawidził nas, nie jako chrześcijan, ale jako obcokrajowców. Nieraz myślałem, czy Mariko nie przyjęła wiary chrześcijańskiej tylko po to, żeby jak najwięcej się o nas dowiedzieć, a potem zniszczyć. Mówił, że nastawiłem Gorodę przeciw niemu.

–A zrobiłeś to?

–Tak.

–Jaki on był?

–Niski, łysy, bardzo dumny, wybitny generał i znany poeta. Przykro, że wszyscy z rodu Akechi tak skończyli. A ostatnia Mariko... ale to, co zrobiła, uratowało Toranagę, jeśli Bóg tak zechce. – Alvito dotknął różańca. – I jeszcze jedno, pilocie. Chciałem cię przeprosić... no cóż, cieszę się, że ojciec wizytator wyratował cię z opresji.

–Za mój statek też przepraszasz?

–Za Erasmusa nie, nie miałem z tym nic wspólnego. Przepraszam za tamtych dwóch, Pesaro i gubernatora, ale jestem zadowolony, że twój statek przepadł.

–Shigata ga nai, ojcie. Niedługo będę miał drugi.

–Jaki statek chcesz zbudować?

–Odpowiednio duży i szybki.

–Żeby zaatakować Czarną Karawelę?

–Żeby popłynąć do Anglii i przed każdym się obronić. – Szkoda całej tej pracy.

–A co, znów „palec boży”?

–Albo ludzka interwencja.

–Jeżeli coś się stanie z nowym statkiem, zbuduję następny, a w razie potrzeby jeszcze jeden. Albo zaciągnę się na statek, a po powrocie do Anglii stanę na głowie, żeby zdobyć statek korsarski i przyłynę z powrotem.

–No właśnie. Dlatego nigdy stąd nie wyjedziesz. Za dużo wiesz, Anjin-san. Już ci to mówiłem i powtarzam jeszcze raz, bez złej woli. Naprawdę. Jesteś dzielnym człowiekiem, przeciwnikiem godnym szacunku, szanuję cię i uważam, że powinniśmy zawrzeć rozejm. Będziemy często widywać się w nadchodzących latach, jeżeli obaj przeżyjemy tę wojnę.

–A przeżyjemy?

–Tak. Za dobrze znasz japoński. Niebawem zostaniesz osobistym tłumaczem Toranagi. Nie powinniśmy się kłócić, jesteśmy na siebie skazani. Czy Mariko-san mówiła ci o tym? Mnie mówiła.

–Nigdy mi o tym nie mówiła. Co jeszcze powiedziała?

–Prosiła mnie gorąco, żebym został twoim przyjacielem i chronił, jak mogę. Anjin-san, nie przyszedłem, żeby spierać się z tobą i kłócić, proszę o rozejm, zanim odjadę.

–Dokąd jedziesz?

–Najpierw statkiem z Mishimy do Nagasaki. Kończą się negocjacje handlowe. Potem tam, gdzie Toranaga i wielka bitwa.

–Pozwolą ci swobodnie podróżować nawet w czasie wojny?

–O tak. Będziemy potrzebni temu co wygra. Możemy chyba obaj okazać rozsądek i zawrzeć pokój. Proszę o to ze względu na Mariko-samę.

Blackthorne przez chwilę nie odpowiadał – Kiedyś zawarliśmy rozejm, bo ona tego chciała – rzekł. – Mogę zaofiarować ci rozejm, nie pokój, pod warunkiem, że przyrzekniesz trzymać się co najmniej pięćdziesiąt mil z dala od mojej przystani.

–Przyrzekam, pilocie, oczywiście, ale nie masz się czego obawiać z mojej strony. A zatem rozejm, przez pamięć o niej. – Alvito wyciągnął rękę. – Dziękuję.

Blackthorne uścisnął mu dłoń.

–Jej pogrzeb odbędzie się niebawem w Nagasaki – rzekł Al vi to. – Nabożeństwo odprawi sam ojciec wizytator. Część prochów zostanie złożona w katedrze.

–Ucieszyłaby się. – Blackthorne popatrzył na wrak, potem na Alvitę. – O jednym... o

jednym nie wspomniałem Toranadze. Tuż przed śmiercią udzieliłem jej błogosławieństwa tak, jak zrobiłby to ksiądz. Była katoliczką, a nikogo prócz mnie nie było. Chyba mnie nie słyszała, nie wiem, czy była przytomna. Czy to uznajecie? Zwracałem się do Boga, nie mojego czy twojego, ale po prostu do Boga.

–Uczą nas, że tego nie można uznać. Ale dwa dni przed śmiercią Mariko-sama na swoją prośbę otrzymała rozgrzeszenie od ojca wizytatora i była w stanie łaski.

–Więc wiedziała, że Umrze... odda życie za innych.

–Tak, błogosławiona niech będzie na wieki!

–Dziękuję, że mi to powiedziałeś – rzekł Blackthorne.

–Sayonara, Anjin-san – rzekł Alvito, znów podając mu rękę.

–Sayonara, Tsukku-san. Zapal, proszę, świeczkę na jej grobie... ode mnie.

–Dobrze.

Uścisk rąk i rozstali się, godni siebie przeciwnicy. Zawsze będziemy wrogami, myślał Blackthorne, patrząc na wysoką sylwetkę oddalającego się księdza. Wiemy o tym obaj, nawet zawierając rozejm. Co byś powiedział, znając plany Toranagi i moje? Tak samo byś mi groził, ne? Dobrze. Rozumiemy się. Rozejm nikomu nie zaszkodzi. Ale nie będziemy się często widywać, Tsukku-san. Budując statek, zastąpię ciebie w roli tłumacza dla Toranagi i regentów, po pewnym czasie wyłączę cię z rozmów handlowych, nawet kiedy jeszcze portugalskie statki będą woziły jedwab. Zresztą i to się zmieni. Moja flota to tylko początek. Za dziesięć lat będzie rządził na tych morzach angielski Lew. Ale najpierw mój statek, potem wszystko inne...

Zadowolony podszedł do Nagi i ustalił plany na następny dzień. Wspiął się wyżej, do tymczasowego domu w pobliżu domu Toranagi. Z wielkim smakiem zjadł ryż i rozdrobnioną surową rybę. Dołożył sobie drugą porcję i roześmiał się.

–Panie? – spytał kucharz.

–Nic, nic.

Czuł przy sobie Mariko i słyszał, jak mówi: „Może któregoś dnia polubisz nawet surową rybę. Wejdiesz wtedy na drogę do nirwany, wiecznego spokoju”...

Nieraz, w dzień i w nocy, rozmawiał z nią w myślach, wspominając przeżyte razem chwile, opowiadając jej, co zdarzyło się nowego, odczuwając jej obecność z taką siłą, że oglądał się czasami, jakby za nim stała.

Zrobiłem to znów dziś rano, Mariko, lecz zamiast ciebie zobaczyłem Buntaro, a przy nim Tsukku-sana. Miałem miecz u boku, ale Buntaro trzymał w ręku swój wielki łuk. Musiałem zebrać całą odwagę, moja kochana, żeby podejść i powitać ich jak należy. Patrzyłaś na to? Byłabyś ze mnie dumna, zachowałem kamienny spokój, jak przystało na samuraja. Buntaro oznajmił: „Pani Kiritsubo i pani Sazuko powiadomiły mnie o tym, jak obroniłaś je i moją żonę przed utratą honoru. Uratowałaś je przed wielkim wstydem. Dziękuję ci, Anjin-san. Wybacz mi moje dawne wybuchy gniewu. Przepraszam i dziękuję”. Ukłonił się i poszedł, a ja tak bardzo chciałem, żebyś wiedziała, że wszelka groźba minęła i nikt się nigdy o nas nie dowie.

Pogodził się z tym, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Była przy nim na zawsze, wiedział, że będzie ją kochał w dobrych i złych chwilach, do schyłku życia.

Toranaga wjechał na pagórek przy obozie w otoczeniu samurajów. Wcześniej polował z Tetsu-ko na wybrzeżu, a teraz wybierał się na wzgórze za wioską, trzymając na ręku Kogo. Chciał wykorzystać ostatnie dwie godziny dnia, bo nie wiedział, czy kiedykolwiek jeszcze zapoluje.

To był mój dzień, pomyślał. Jutro idę na wojnę, ale dzisiejszy dzień miałem na to, by uporządkować domowe podwórko udając, że nic nie zagraża Kantō, Izu ani mojej sukcesji, że dożyję zimy, a potem na wiosnę znów będę polował. Tak, dziś był dobry dzień.

Przyszło mu na myśl, że Anjin-san Chętnie pożywiłby się mięsiwem, więc postanowił upolować zająca. Jadąc pod górę krętą drogą, uważnym spojrzeniem lustrował obóz. Odbywała się musztra – zabroniona, podobnie jak strzelanie, kiedy w pobliżu przebywał Tsukku-san. Z przyjemnością popatrzył na uzbrojonych żołnierzy. Poblyskiwało w słońcu dwadzieścia dział, w których odzyskanie włożono tyle trudu, a nie opodał pochylał się nad niskim stolikiem Blackthorne, siedząc na ziemi, wreszcie jak normalny człowiek. Wrak wystawał z wody nie ruszony z miejsca. Ciekawe, jak wydostaniesz go na brzeg, myślał Toranaga, nie wątpiąc, że Blackthorne znajdzie sposób, żeby tego dokonać.

Zbudujesz statek, a ja go zniszczę, tak jak zniszczyłem ten, albo oddam, żeby przypodobać się chrześcijanom, którzy są dla mnie ważniejsi od twoich statków, daruj, przyjacielu, i od innych statków w twojej ojczyźnie. Tamtymi statkami przyplyną twoi pobratymcy z poselstwem od królowej. A ty potrzebny mi jesteś tutaj.

Kiedyś powiem ci, Anjin-san, dlaczego musiałem spalić twój statek, ale wtedy będziesz tak zaprzątnięty innymi sprawami, że nie rozgniewasz się i zrozumiesz, przed jakim stanąłem wyborem – twój statek albo twoje życie. Słusznie wybrałem twoje życie, ne? A potem będziemy razem śmiać się z „bożego palca”. Nic prostszego, jak wyznaczyć zaufanych ludzi na wybraną wachtę, żeby potajemnie rozsypali po pokładzie proch strzelniczy, uprzedziwszy Nagę – zaraz po tym, kiedy

Orni dostarczył wiadomości o spisku Yabu – żeby poprzekładał dyżury i na następnej wachcie i patrolach na brzegu znaleźli się wyłącznie ludzie z Izu, a wśród nich pięćdziesięciu trzech zdrajców. Jeden ninja z krzesiwem i statek zamienia się w pochodnię. Oczywiście, ani Omi, ani Naga nic o tym nie wiedzieli.

Bardzo mi przykro, to było konieczne. Uratowałem ci życie, Anjin-san, na którym bardziej ci zależało niż na statku. Dziesiątki razy musiałem ważyć w rękę twój los, ale jak dotąd udało mi się zachować ciebie przy życiu. Mam nadzieję, że tak będzie dalej. Dlaczego? Dziś dzień szczerości, ne? Odpowiedź brzmi: ponieważ mnie śmieszysz i potrzebuję przyjaciela. Nie odważę się zaprzyjaźnić z żadnym ze swoich ani z Portugalczykiem. Jeśli nikt nie będzie słuchał, przyznam się szeptem głębokiej studni, że jest mi potrzebny jeden przyjaciel. Twoja wiedza również. Mariko-sama miała rację. Zanim odjedziesz, chcę dowiedzieć się wszystkiego, co wiesz. A jak mówiłem, obaj mamy mnóstwo czasu.

Chcę wiedzieć jak opłynąć statkiem ziemię i w jaki sposób mała wyspa może bronić się przed wielkim mocarstwem. Odpowiedź mogłaby mieć zastosowanie do nas i Chin, ne? Tak, tak, taikō w niejednym miał słuszość.

Kiedy poznaliśmy się, powiedziałem: „Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla buntu”, a ty odparłeś: „Owszem jest, jeżeli się wygra!” Och, Anjin-san, przyjąłem cię wtedy na swojego terminatora. Ja też uważam, że wszystko jest w porządku, jeżeli się wygra.

Niewybaczalną głupotą jest przegrać.

Nie przegrasz, będziesz bezpieczny w swoim dużym lennie w Anjiro, gdzie rybak Mura będzie strzegł cię przed chrześcijanami, których karmi fałszywymi doniesieniami na moje polecenie. Tsukku-san naiwnie uwierzył, że jeden z moich ludzi – cóż z tego, że chrześcijanin – ukradnie twoje ruty i przekaże księżom bez mojej wiedzy. Och, Mura, jesteś mi wierny od trzydziestu lat z okładem i doczekasz się wkrótce nagrody! Co powiedzieliby księża na to, że jesteś samurajem, nazywasz się Akira Tonomoto, szpiegujesz na moje polecenie, będąc rybakiem, naczelnikiem wioski i chrześcijaninem? Zaczęliby pierdzieć, aż by się kurzyło, ne?

Nie martw się o swoją przyszłość Anjin-san, ja o niej myślę. Snuję plany, że hej, jesteś w dobrych rękach.

Kiedy Toranaga powiedział Kiku, że za zgodą Fujiko-san zostanie za miesiąc konkubiną Anjin-sana, zaczęła jęczeć i rozpaczać. Wyjaśnił cierpliwie to, co zostało postanowione, przywracając twarz niepokieszanej dziewczynie.

–A kiedy Anjin-sanowi urodzi się syn, będziesz dostawała tysiąc koku rocznie.

–Co, co, co?

Powtórzył obietnicę i dodał:

–W końcu samuraj to samuraj, dwa miecze to dwa miecze, jego synowie będą samurajami. Anjin-san to hatamoto, jeden z najważniejszych wasali, admirał mojej floty, bliski doradca, a nawet przyjaciel. Ne?

–Wybacz, panie, ale...

–Najpierw będziesz konkubina.

–Najpierw, panie?

–Może powinnaś zostać żoną. Fujiko-san nie chciała drugi raz wyjść za mąż, a uważam, że Anjin-san powinien się ożenić. Mógłby z tobą, czemu nie. Jeżeli spodobaś mu się, a na pewno umiesz się o to postarać, bylebyś nie odrywała go od budowy statku... ne? Tak, myślę, że powinnaś zostać jego żoną.

–Och, tak, tak, tak!

Zarzuciła mu ręce na szyję, przepaszając, że tak niestosownie i niegrzecznie przerwała mu i nie wysłuchała posłusznie do końca. Odeszła wniebowzięta, choć przed chwilą gotowa była rzucić się ze skały w przepaść.

Ach, kobiety” zamyślił się Toranaga ukontentowany. Ma teraz wszystko, czego chce, Gyoko też – jeżeli statek zostanie zbudowany na czas, a tak będzie – tak samo księża i...

–Panie! – Jeden z myśliwych wskazał kępę krzaków koło drogi.

Toranaga ściągnął cugle i rozluźnił pęczę, którą sokół przywiązany był do rękawicy.

–Teraz – rozkazał cicho.

Spuszczono psa. Zając wyskoczył spod krzaka i Toranaga uwolnił Kogo. Pomknęła jak strzała za uciekającą w panice ofiarą. Zając pędził zygzakiem przez wertepy do ciernistych zarośli. Kogo zbliżała się nieuchronnie, tnąc powietrze silnymi skrzydłami coraz bliżej ziemi. Dziobnęła, a kiedy zając z piskiem uskoczył, zawracając z drogi, nie przerwała pogoni, skrzecząc z wściekłości. Ostatni zwrot w szalonym pędzie do kryjówki, wrzask schwytanego w szpony – Kogo zaczęła podskakiwać, składając skrzydła, wreszcie skręciła kark miotającej się ofierze. Wypuściła zająca ze szponów, podfrunęła strzepując pióra i opadła na ciepły, drgający zewłok. Dopiero teraz wydała okrzyk zwycięstwa, zasyczała rozkoszując się mordem. Popatrzyła na Toranagę.

Podjechał bliżej, zsiadł z konia, pokazał przynętę. Jastrząb zostawił upolowaną zwierzynę, a nie widząc zręcznie schowanej przynęty, usiadł na wyciągniętej ręce.

Toranaga poczuł przez skórzano-stalową rękawicę zaciskającą się na palcu szpony.

–liiii, dobrze się sprawiłaś, moja piękna – powiedział nagradzając ją kawałkiem zajęczego ucha, które odciął naganiacz. – Podjedź sobie, byle nie za dużo, bo to jeszcze nie koniec.

Uradowany naganiacz podniósł zająca.

–Panie! Waży chyba cztery razy tyle co ona. Dawno takiego nie widzieliśmy, ne?

–Tak. Odeślij go Anjin-sanowi do obozu.

Toranaga dosiadł konia i dał znak, że ruszają dalej.

Udane polowanie, myślał, ale to nie to samo, co podziwiać atak sokoła wędrownego. Jastrząb gołębiarz jest po to, żeby zapełnić kucharzowi garnek – zabija wszystko, co się rusza. Urodzony zabijaka. Jak ty, Anjin-san, ne? Jesteś krótkoskrzydłym jastrzębiem. Co innego Mariko, ona była wędrownym sokolem.

Stała mu przed oczami jak żywa, wywołując daremne pragnienie, żeby wyprawa do Osaki i w Pustkę nie była konieczna. Nie można było inaczej, tłumaczył sobie cierpliwie. Musiałem uwolnić zakładników, nie tylko z mojego rodu. Za to teraz mam kilkudziesięciu nowych sprzymierzeńców, potajemnie stojących po mojej stronie. Dzięki tobie i pani Etsu, waszej odwadze i poświęceniu, związali się ze mną podobnie jak ród Maeda, a tym samym całe zachodnie wybrzeże. Musiałem wypłoszyć Ishido z bezpiecznego legowiska, poróżnić regentów, oswoić Ochibę i Kiyamę. Tobie to zawdzięczam, a ponadto dałaś mi czas. A czas pozwala przygotować sidła i przynęty.

Ach, Mariko-chan, kto by pomyślał, że słaba kobieta, córka Ju-san Kubo, mojego dawnego rywala, zdrajcy Akechi Jinsai, może tyle dokonać i tak pięknie i z honorem zemścić się na taikō, wrogu i zabójcy twojego ojca. Poszybowałaś jak Tetsu-ko i spadłaś na wypatrzone ofiary, które ja chciałem zabić.

Smutno, że już ciebie nie ma. Taka lojalność zasługuje na specjalne wyróżnienie.

Na grzbiecie wzniesienia Toranaga zatrzymał się i kazał sobie podać Tetsu-ko. Sokolnik zabrał Kogo, Toranaga ostatni raz pogłaskał Tetsu-ko, zdjął kaptur i wypuścił. Zakołowała mu nad głową, unosząc się coraz wyżej i wyżej, wypatrując zdobyczy, której nie miał już nigdy dla niej płoszyć. Wypuszczam Tetsu-ko na wolność, żeby uczcić ciebie, Mariko-san, pomyślał. Twoją wierność dla mnie i dla naszej najważniejszej zasady: nie spocznie syn ni córka pod niebem, pod którym żyje morderca ojca.

–Mądrze zrobiłeś, panie – powiedział sokolnik.

–Hę?

–Wypuszczając Tetsu-ko na wolność. Ostatnim razem już myślałem, że do ciebie nie wróci. Jesteś najlepszym sokolnikiem, panie, wiedziałeś, kiedy zwrócić ją niebu.

Toranaga zgromił go spojrzeniem. Nie wiedząc, czym sobie na to zasłużył, wystraszony sokolnik podał mu Kogo i czmychnął.

Rzeczywiście, przyszła na nią pora, pomyślał rozdrażniony Toranaga, ale jest też symbolicznym darem dla ducha Mariko, uczczeniem wyjątkowości jej zemsty.

A synowie tych wszystkich, których ty zabiłeś?

To co innego, zginęli ci, którzy na to zasłużyli, odpowiedział sobie w duchu. A jednak czujnie wypatrujesz, kto zbliża się do ciebie na odległość strzału z łuku – tak nakazuje rozsądek. Spodobała mu się ta uwaga, i postanowił włączyć ją do testamentu taikō.

Zadarł głowę i popatrzył na sokoła, który już nie należał do niego. Piękny ptak krążył swobodnie, wolny i beztroski. Jakaś nieznama siła pociągnęła go na północ, znikł Toranadze z oczu. – Dziękuję ci, Tetsu-ko. Obyś miała wiele córek – powiedział i przeniósł uwagę na to, co działo się w dole.

Przedwieczne słońce podświetliło schludną wioskę, Anjin-sana przy stoliku, ćwiczących samurajów, dym znad palenisk. Na drugim krańcu zatoki, około dwudziestu ri stąd, było Edo. Czterdzieści ri na południowy wschód – Anjiro. Dwieście dziewięćdziesiąt ri na zachód – Osaka, a na północy, w odległości zaledwie trzydziestu ri – Kioto.

Tam powinna odbyć się decydująca bitwa, pomyślał. W pobliżu stolicy. Na północ, koło Gifu, Ogaki albo Hashimy, po obu stronach Nakasendō, Wielkiego Północnego Gościńca. Może tam, gdzie droga skręca do stolicy, nie opodal wioski Sekigahara, w górach. Gdzieś tam. Z pewnością utrzymałbym się przez całe lata pod osłoną gór, ale czekałem na taką właśnie okazję: Ishido wystawił głowę i mogę poderżnąć mu gardło.

Główne natarcie pójdzie Północnym Gościńcem, nie wzdłuż wybrzeża, Tokaidō, chociaż do ostatniej chwili będę wciąż zmieniał zdanie. Mój brat pojedzie razem ze mną. O tak, Zataki sam się przekona, że Ishido wydał go Kiyamie. Mój brat nie jest głupi. Dotrzymam przyrzeczenia i wystaram się dla niego o Ochibę. W czasie bitwy Kiyama zmieni front, jak przypuszczam, i zaatakuje znieprawionego wroga, Onoshiego. To będzie sygnałem dla muszkietów, zaatakuję ich wojska z obu flank i zwyciężę. O tak, zwyciężę – Ochiba nie pozwoli następcy stanąć przeciwko mnie. Wie, że gdyby do tego dopuściła, byłbym zmuszony go zabić, niestety.

Toranaga uśmiechnął się do siebie. Kiedy zwyciężę, zaraz oddam Kiyamie wszystkie

ziemie Onoshiego i namówię, żeby wyznaczył na swojego następcę Sarujiego. Kiedy zostanę przewodniczącym nowej Rady Regentów, od razu przedłożę ofertę Zatakiego pani Ochibie, którą ta bezczelność rozwścieczy, co z kolei zmusi regentów, by z żalem zaprosili mojego brata do Wielkiej Pustki. Kto powinien zająć jego miejsce w Radzie? Kasigi Omi. Kiyama stanie się celem ataku Omiego... Tak, to rozsądne i proste posunięcie, bo przecież Kiyama, jako pan wszystkich chrześcijan, na pewno zacznie obnosić się ze swoją wiarą, która jest prawnie zakazana. Nadal obowiązują wydane przez taikō dekrety o wydaleniu, ne? Można się chyba spodziewać, że Omi powoła się na moc prawną dekretów, a reszta go poprze? Nie będzie Kiyamy, nie będzie też nigdy więcej regenta chrześcijanina, wykorzenimy głupią obcą religię, która zagraża Krainie Bogów, od początku zagrażała naszemu wa... a zatem należy ją zniszczyć. My, regenci, zachęcimy rodaków Anjin-sana, żeby przejęli handel od Portugalczyków. Postaramy się też, nie zwlekając, ograniczyć handel i obcokrajowców do Nagasaki, zamknąć to tałatajstwo w silnie strzeżonej, niewielkiej dzielnicy miasta. Na zawsze zamkniemy przed nimi nasz kraj... przed nimi, przed ich bronią i jadem.

Tylu wspaniałych rzeczy dokonam, kiedy zwyciężę. Tak przewiduję. Jesteśmy narodem, w którym wiele da się przewidzieć.

Nastanie złota era. Ochiba i następca będą rezydować w zamku w Osace, a ja będę rządził w ich imieniu, od czasu do czasu składając im pokłon. Za jakieś trzy lata Syn Niebios poprosi, żebym rozwiązał Radę i został shōgunem. Regenci będą nalegali, żebym się zgodził. Uczynię to, z ociąganiem. Po dwóch latach, bez specjalnych uroczystości, ustąpię na rzecz Sudary, zachowując władzę i mając na oku zamek w Osace. Będę czekał cierpliwie i pewnego dnia tych dwoje uzurpatorów zamkniętych w środku popełni jakiś błąd, i będzie po nich, jakimś sposobem przepadnie zamek w Osace, jeszcze jeden sen we śnie. Zdobędę prawdziwą nagrodę w Wielkiej Grze, która rozpoczęła się, odkąd nauczyłem się myśleć, a stała się możliwa z chwilą śmierci taikō, tą nagrodą zaś jest SHŌGUNAT.

O to zabiegam i walczę przez całe życie. Ja, nikt inny, jestem dziedzicem cesarstwa. Będę shōgunem. Dałem początek dynastii.

Wszystko to jest możliwe dzięki Mariko-san i barbarzyńcy, który przyplłynął ze wschodu.

Mariko-san, twoim przeznaczeniem była chwalebna śmierć i wieczne życie. Anjin-san, przyjacielu, twoim przeznaczeniem jest nigdy nie opuścić tej ziemi. A moim – zostać shōgunem.

Siedzący na ręku jastrzęb zatrzepotał skrzydłami i uspokojony popatrzył na niego. Toranaga uśmiechnął się. Nie ja decydowałem o tym, kim zostanę, myślał. To moja karma.

Tego roku, dwudziestego pierwszego dnia dziesiątego miesiąca, miesiąca Bez Bogów, natarły na siebie o świcie wielkie armie. Działo się to w górach koło Sekigahary, przy Północnym Gościńcu, we mgle, a potem w marznącej mżawce. Późnym popołudniem Toranaga wygrał bitwę i rozpoczęła się rzeź. Spadło czterdzieści tysięcy głów.

Trzy dni później schwytano Ishido, któremu Toranaga przypomniał łaskawie o przepowiedni. Zakutego w łańcuchy odesłano do Osaki, gdzie ludzie eta zakopali pana generała tak, że z ziemi wystawała tylko głowa. Bambusowa piła czekała na przechodniów zachęcając do piłowania najsłynniejszej szyi cesarstwa. Ishido postarzał się bardzo, zanim po trzech dniach umarł.

Od tłumaczy

Z wyjątkiem utrwalonych w polszczyźnie japońskich nazw geograficznych (np. Kiusiu) i pojedynczych wyrazów, w przekładzie zachowaliśmy transkrypcję międzynarodową, przyjętą w polskich publikacjach, a opartą na pisowni angielskiej. Należy zatem czytać:

ch jak ć

sh jak ś

j jak dź

z jak dz

y jak j

w jak ł.

Np.: cha (ćia), shōgun (śioogun), ninja (nindzia), zen (dzen), Yabu (Jabu), wa (ła).

Kreska nad samogłoską oznacza jej wydłużenie (ó to długie o). Pozostałe samogłoski i spółgłoski wymawia się tak jak w języku polskim.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-25

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/